

B E M



154

WACŁAW GAŚSIORÓWSKI
(WIESŁAW SCLAVUS)

B E M

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XIX W.



WYDANIE DRUGIE

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Państwowego
w GLIWICACH
Nr 2043~~

N^o 2073

WARSZAWA — 1927
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA



Gąsior.
Bem.
~~2073~~

22.

Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone.

Droits de traduction et de reproduction réservés
pour tous les pays.

Entered according to act of Congress in the
year 1911 by W. Gąsiorowski in the office of
the Librarian of Congress at Washington.

All rights reserved.



811.162.1-3

SN 21037

DRAKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

I.

Baterje Dybicza gwałtowniej, celniej zionęły ku prawemu brzegowi Narwi.

Pahlen jakby tego znaku czekał. Z kłębami dymów spowitej, pożarami rozpalonej Ostrołęki, niby z czeluści, jęły płynąć czarne, stałą łyskające, pasma mrowia grenadjerów.

Na prawym brzegu rzeki, gorączkowiej ozwały się armaty, żwawiej trzasnęły karabiny. Grenadjerzy nie ustawali, szli, zdawali się być, jak fala Narwi, którą już od ośmiu godzin płużyło żelazo, darły skorupy granatów, zawałały stopy ciał ludzkich, a ona z nich jeno pianę krwawą brała, jeno nurt zawziętszy, jeno prąd mocniejszy. Tak i grenadjerzy Pahlena. Smagani chmurami ołowiu, rozszczepiani kartaczami, zwierali się, dwoili kroku, rzucali się na most, przebywali go pędem i łączyli się z łańcuchami piechoty Lüdersa i Rumiancewa, którzy, na prawym brzegu Narwi, do nowego sposobili się ataku.

Skrzynecki ze sztabem stał na wzgórku piaszczystym, a spoglądał zamglonym, osłupiałym wzrokiem ku odmetowi bitewnemu. Czy jeszcze ufał zwycięstwu, czy jeszcze ludził się możliwością wygrania bitwy, czy spodziewał się ciągle, że leniwy Gielgud nadejdzie od Łomży i Dybicza do odwrotu zmusi, czy, wobec ogromu klęski, zdretniał, ostygl dla hasel płomiennych, dla przysiąg tylekroć razy na paradach głoszonych? Czy też, w bohaterskim pułkowniku, w nieznanym lęku żołnierzu, w piechurze, umięjącym czworobokiem jednego bataljonu całej armji nieprzyjacielskiej uragać, czy w niezrównanym oficerze, pod mun-

durem naczelnego wodza wojsk polskich, ozwało się nagle zajęcze serce?

Na pytania te odpowiedzieć nie umieliby nawet ci, co go otaczali, co mu adjutantowali, co roznosili rozkazy, co raportowali hiobowe wieści. Chwilami, gdy się doń wprost zwracano, Skrzynecki ożywał się, zagadywał Prądyńskiego, wyprawiał adjutantów i, w takt lomotu armatniego a skrzeczącego głosu generała kwatermistrza i szefa sztabu, zapadał znów w odrętwienie, znów wydawał się być pochłoniętym widokiem czarnych, skulonych, krwią spływających postaci, wlokących się od strony Narwi.

Sztab tymczasem, w przeciwieństwie do milczenia wodza, coraz śmielej rozprawiał, coraz mniej zważał na jego obecność, coraz częściej szukał racji Prądyńskiego. Tak, bo on jeden, naczelnik sztabu, znał już na pamięć każde działo Dybicza, on jeden i najlepiej ogarniał położenie rozpaczliwe wojska polskiego, on przecież klęskę z góry przepowiedział, on jeden triumfował. On nadto, dla każdego, odpartego przez pułk Suworowa, ataku na most, miał rysunek, objaśniający przewagę pozycji armji rosyjskiej, dla każdego zdemontowanego działa, wykład strategiczny, dla każdego rozkazu Skrzyneckiego, niewiarę w jego skutek. Prądyńskiego żaden raport nie był w stanie zaskoczyć, żadna nowina zdziwić. Tak stać się musiało, tak mówi nauka, tak jego, kwatermistrza, wiedza niezmierna...

W pobliżu wzgórza zadudniła ziemia. Sztab porwał za lunety. W kłębach dymu mignęły żółte pasma.

— Ulani! Trzeci pułk szarżuje! — zawołano między oficerami.

Skrzynecki poruszył się.

— Po raz piąty — objaśnił za plecami wodza Prądyński — i napróżno! Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie zdołają przebiec linii strzałów... a gdyby nawet, to ugrzęzną w mokradlach... patrzcie, panowie, tu, równolegle do Narwi, nasyp, a na nim gościniec, wiodący do mostu ostrołęckiego, ba, ale piechota rosyjska stoi na lągach...

— Prawda, prawda!

— Na błotach, z kawalerji żadna pociecha!

Wrzawa i zgiełk piekielny, idący od strony bitwy, wzmógł się raptownie.

Lunety sztabowców znów zaparły się na obłokach dymu.

— Ułani! ułani! — Cofają się!... uchodzą!... — Czwarty pułk idzie na bagnety! — Piechota!... Piechota idzie na most omulewski...

Salwa karabinowa, tuż w pobliżu wzgórka, przerwała wykrzykniki sztabowców.

Pułkownik Grodzicki przypadł do Skrzyneckiego.

— Wcdzu, chcę nas odciąć od Omulewa!

Skrzynecki targnął się, jakby pęta zerwać chciał.

— Od Omulewa! Masz pułkownik, słusność!... Omulew, więc droga do Pułtuska. Trzeba natychmiast... Gdzie Prądyński! Jesteś generale, więc cóż? Mów!... Chwili nie ma do stracenia...

Prądyński wydał flegmatycznie policzki na banie.

— Hm i ja tak sądzę, bo straciliśmy już za wiele chwil...

— Mów, generale głośniej! Co sądzisz?

Kwaternistrz generalny rozpostarł mapę.

— Znajdujemy się w położeniu conajmniej trudnem. Przyjęliśmy bitwę na pozycji dla nas zabójczej. Proszę spojrzeć. Lewy brzeg góruje nad prawym, posiada niemal naturalne dla baterji reduty. Lubieński nadto, cofając się z Ostrołeki, nie zatroszczył się o zburzenie szanca przedmostowego! Słowem pozycja Dybicza jest wymarzoną... Dziwić się należy, iż skądinąd tak powolnie atakuje, zwłaszcza wobec swych przeważających sił. Kto wie, czy Gielgud nie jest tu sprawcą ociągania się. Gdyby naturalnie...

Skrzyneckiemu w oczach się zaćmiło. Chropowaty, piszczący głos Prądyńskiego zdał mu się naraz zawodzeniem puszczyka, który zawisł nad jego mocą, nad jego chwałą i wróżył mu hańbę, wróżył nicosć i szydził zeń i dowodził mu niedołęstwa, dowodził braku uczoności, braku wojskowej sztuki. Kret, mól książkowy, zdechłak, ślęczący nad rachunkami, wspinał się doń i jemu ważył się przymawiać! Trwał tuż przed nim z miną bakalarza-mentora

i znów liczył trupy, liczył rozbite, zdziesiątkowane pulki...
i znów radził! I radząc, jeszcze klół, jeszcze się natrząsał,
jeszcze grobowo zawodził...

Naraz przed Skrzyneckim, stanęła czarna, lachmanami okryta mara i poruszyła wargami. Skrzynecki natężył całą siłę woli.

— Coś ty? Skąd?

Mara zachwiała się. Grodzicki porwał ją w ramiona i podtrzymał. Mara dźwignęła głowę.

— Wodzu — zachrypiało cicho — wodzu, bateria Turckiego..., trzy armaty wzięte... amunicji... Bogusławski bez ducha... generał Kamiński poległ... następują...

Sztab ze Skrzyneckim jeszcze wsłuchiwał się w szmer, dobywający się z pobielających ust mary, jeszcze grozy zwiastowanych wieści nie zdołał ogarnąć, gdy już z dymów bitewnych dobieły się bezładne, pomieszane, słoczonne gromady żołnierzy i biegły na oślep ku zaroścom mysznickiego lasu.

Sztabowcy wraz z wodzem rzucili się do koni.

Przez chwilę zdawało się, że ta strojna, lśniąca złotem i srebrem gromada rozpadnie się w popłochu, da się powlec chmarze uciekających, że ani ośmieli się zagrozić im drogi.

Jakoż już między sztabem ozwały się pierwsze pomruki popłochu, już ten i ów zmieszany wodził spojrzeniem, już konie rwały się do galopa, gdy wtem w rękę Skrzyneckiego błysnął pałasz.

— Bacność! Brygada Kickiego do szarży! — zabrzmiał hardo głos naczelnego wodza.

— Kicki, poległ — warknął opryskliwie generał kwatermistrz.

— Więc jest Prądyński! — huknął zajadle Skrzynecki. — Naprzód! Piąty pułk strzelców czeka na generała! Tu los sprawy się rozstrzyga! Nasze psie prawo zwyciężyć lub ledz pokotem.

— Wybieram co pewniejsze! — odparł butnie Prądyński i spiął konia ostrogami.

— A wy za mną panowie! Naprzód! Zbierać oddziały. Całą piechotę uderzać!

Skrzynecki ciął płazem pałasza po koniu i rzucił się naprzeciw uchodzących. Ledwie pierwszych dosięgnął, już zagrzmał.

— Ani kroku dalej! Tój!... Piechury! miejscu tój! — do nogi broń!... Formuj się od prawego!

Pierwsza gromada uciekających, na dźwięk głosu Skrzyneckiego, zatoczyła się, stanęła jak wryła i, zanim rozeznała, kto ją zakląć zdołał, kto obezwładnił, już odliczyła się, już szyk sprawiła.

— Ósmy pułk! — gromił tymczasem Skrzynecki — cóż to? takiego wojowania was nauczyłem?

— Skrzynecki! Skrzynecki! Prowadź!

— Hej! A wy tam, wałkonie! Popłucz sam gębę gorzałką! Zieliński, a ty nicponiu, mamże ci pokazać, jak karabin trzymać w garści, Paluch! Masz ich dziewięć jeszcze do wyręki!

Nowo sformowany oddział piechoty wybuchnął śmiechem.

Skrzynecki ani momentu nie dał mu się opamiętać. Podwoił go, potroił w oczach, powiódł do ataku i, pod gradem kul, ledwie porzucił, aby innych zagrzewać, łączyć na linii bojowej utrzymywać.

Skrzynecki cudów teraz dokazywał męstwa. Do każdej zagrożonej docierał pozycji, stawał bez drgnienia w największym ogniu, gdy mu konia ubito, za karabin porwał i na bagnety szedł w szeregu. Oficerowie sztabu sekundovali wytrwale wodzowi, ubiegali się o palmę brawury, zawadjackiej waleczności.

I duch żołnierzy Skrzyneckiego potężniał i opór i ataki a nawet szarże kawalerji, jeno na rozrachunek sił, jeno nie plan bitwy, bo teraz już nie było komu myśleć o ładzie natarcia, o posiłkach, rezerwach, oskrzydleniach.

Marszałek Dybicz tymczasem nietylko rezerwy miał, nietylko cały lewy brzeg Narwi najeżony paszczami dział, nietylko żołnierza tęgiego i mnogiego, ale i pełną przytomność strategicznego nim kierowania...

Więc, choć furja ataku Skrzyneckiego zdołała pułk staroingermanlandzki na most wyprzeć, choć, u stóp palów mostowych, z miazgi ludzkiej groblę całą usypała, przecież

musiała rozbić się o mur świeżych bataljonów dywizji Szkurina, przecież na ład, na plan, na pełne namysłu posunięcia Dybicza na krwawej szachownicy miała jeno porwy, jeno przypadek, jeno zdziesiątkowane, zmordowane, pomieszane szeregi.

Gdy się to działo, hen, za pultuskim traktem, w pobliżu Olszewa, niedaleko miejsca, gdzie dywizja jazdy Skarżyńskiego rozpostarła swe podręczne lazarety, stała bateria konnej artylerji. I jakiej artylerji! Dwanaście armat błyszczących, wycacanych, wychuchanych, oprzęgniętych gnidoszami na schwał. Dwanaście armat, a w nich sześć granatników jednorogów i sześć dwunastofuntówek. Na każdą zaś, po trzy jaszczyki pękate, wyladowane co się zmieści.

Dopieroż obsługa. Gromada zuchów zestrojona niby na paradę. Zielone mundury, aksamitem zdobione, białemi pętlcami, gwardjackiemi znaczone. Czapy szkopiaste na żółtych podpinkach, naramienniki z luszczyki, tęgie bary, zawadjackie miny, jeno wódz czegoś niezdarzony. Wątlly, ledwie do ramienia byle kanonierowi sięgający, w podszarzanym mundurze i zwyczajnej furażerce, z pod której wysuwały mu się kosmyki ciemnych włosów. Lecz jeżeli dowódzca baterji raził i wzrostem i postawą, na tle żołnierzy swoich i oficerów, to już zgola odstręczał obliczem, które, w otoczeniu jasnych, krwią a mlekiem tryskających twarzy, zdawało się być prawie że plamą szaro-żółtą, prawie, że maskarą. Oblicze bowiem dowódcy było tak podziobane, nasiekane, białemi bliznami pozszywane, na policzkach szczególnie, iż wyglądało jakby oblepione martwą a nierówną powłoką. Nos przytem zadarty, ciemnymi punktami nacentkowany nieznacznie, równie mało dodawał urody dowódcy artylerji, jak i szerokie usta. I charakteru też musiał być równie nieprzystojnego, bo miast w gronie oficerów przysiąść na łące, miast po koleżeńsku, nie bacząc na swą podpułkowniczą szarzę, zagadać do kapitanów, do poruczników a dobrem słowem uradować, ucieszyć, zachęcić tego lub owego z zuchów ogniomistrzów, — on samotrzeć siedział na pniu, samotrzeć się pcsilał, niby odmieniec, jak powiadał młody ka-

nonier Surmacki, co, mimo racji towarzysza po armacie, Zarzyckiego, ani rusz do pułkownika nie dał się przekonać.

I pewnie. No, bo wolno było podpułkownikowi stronić od żołnierzy, wolno marsa na nich stawiać, ale nie na oficerów. Niechby sobie tam Łabanowskiemu porucznikowi, cóż, Łabanowski tyle znaczy, co Surmacki — ale księciu Jabłonowskiemu wykrzykiwać! I gdy samemu jest się Bemem! Cóż bo to za splendor „Bem“... Bemus — hm — kto wie, z łaciny byłoby, ale „Bem“!

Zarzycki usiłował nawracać towarzysza do podpułkownika Bema. Tłumaczył zawzięcie że podpułkownik jest bodaj najtęższym oficerem artylerji, że choć z nikim z podkomendnych się nie zadaje, a przecież, gdy, pod Iganiami, poprzednika Surmackiego kula w pól przetrąciła, to biedakiem Czapelskim podpułkownik, niby rodzonym, się zajął, że wogóle Bem rzetelny jest serca a dużej poczciwości — ale Surmackiego przekonać nie zdołał.

Osobliwie tego dnia właśnie Surmacki był na podpułkownika zawziętym.

— Masz ci twego Bema! Piąty raz już nam koni dośiaść kazał. I cóż, stoimy! A tam, słyszysz, przysięgłbym, że moja baterja dudni od rana. Chciało mi się konnej artylerji.

— Pilno ci do bitwy? Patrz, ilu ich tam ciągną do krajanja.

Surmacki sięgnął do puchu młodzieńczego pod nosem.

— Pilno, oczywiście, wolę odrazu... niż tu prażyć się na słońcu.

— Czekamy na rozkaz. Przyjdzie i na nas!...

— Przyjdzie! Dcbrze mi tak. Niech tylko, przenoszę się do ułanów, do strzelców konnych. Ci przynajmniej. Choć konia wypuścić — a tu stój na uwięzi, niby pies za wozem na postronku.

Zarzycki nic nie odrzekł, bo i jemu się cknęło i nie jemu tylko, ale całej baterji.

Od świtu trwali w zagajniku, za dywizją kawalerji, od świtu czekali w pogotowiu, nie wając się koniom zluzować popręgów, nie wając na krok oddalić. Daremnie. Bitwa

wrzała tuż, o ćwierć mili zaledwie, ziemia aż jęczała od huku armat, obłoczki dymu i woń ostra spalenizny aż tu dosięgła, a rozkazu ruszenia na pozycje nie było.

Z początku nikt w baterji nie turbował się bezczynnością, ufając, że nie bez kozery wódz naczelny w odwodzie ich trzyma. Lecz, gdy minęło południe, gdy, stojąca przed baterją, dywizja kawalerji Skarzyńskiego znikła im z przed oczu, — niepokój ogarnął oddział Bema. I niepokój już nie dla zapomnienia o jego wojskim zapale, jeno dla złowrogięgo widoku, którym coraz obficiej pasła ich rozgrywająca się bitwa...

Tu bowiem, na polany między zaroślami, zwożono rannych, tu wlokły się, pelzły gromadki skulonych, ociekających krwią postaci.

Jeszcze do południa baterja nie zważała na sąsiedztwo. Cały oddział medyków uwijał się w pobliżu. Było komu opatrywać, było komu zabierać co słabszych, bo sznury wozów i bryk czekały. Na łąkach ledwie kto zostawał, a i to niedaleko kapelana...

Aż niebawem zabrakło i wozów i bryk i medyków i kapelanów — za to rannych trzykroć tyle przybywało. Jęki, skargi i wclania o pomoc nawet już lomotowi dział nie dawały się tłumić.

Bem po dwakroć przesunął w bok baterję, aby oszczędzić jej ponurego widoku i coraz bliższego sąsiedztwa. Nie na wiele się to zdało. I tu i tam tarzały się w konwulsjach śmiertelnych skrwawione ciała i tu błagalne rozlegały się prośby o kroplę wody, o pchnięcie bagnetem, o kulę.

Artylerzystom, choć nie jedną oglądali bitwę, skóra cierpła. Ani myśli było z pomocą śpieszyć, ani myśli ordynku naruszyć. A zagajnik jęczał wokół, zaklinał, rzeżał, pomstował, belkotał, majaczył, komendami wyl, dyktował testamenty a straszne, okrutne rozpowiadał wieści o pogromie, o kłęsce, o leżących pokotem pułkach, o zniesionych szwadronach.

Słońce jęło chylić się ku zachodowi. Już i zimnego, flegmatycznego dotąd podpułkownika niepokój snąć zdjął, bo konia dosiadł i toczył nim dokoła baterji a poglądał ku drodze, na której znikł, przed godziną, po raz trzeci wysła-

ny, adjutant. Lecz na drodze, miał adjutanta, ukazały się bezładne, biegnące, ile tchu, kupy bezbronnego, przerażonego żołdactwa.

Bemowi oczy się zaiskrzyły. Skoczył ku żołdakom, aby ich pytać, aby ich zatrzymać. Nikt go nie słuchał. Kupy pędziły na oślep, obłąkane, oszłomione, pijane popłochem.

Bem stanął przed baterją, jakby od niej rady czekał, co czynić, co począć. Gdy wtem wzrok jego padł na twarz konnowodnego pierwszej armaty. Twarz konnowodnego była sina powieki na wpeł zmrużone, drgały w takt huku dział.

Bem zrozumiał konnowodnego. Zebrał cugle i skinął na trębaczy. Trąbki zachrypiały z wysiłkiem, baterja potoczyła się drogą ku pultuskiemu gościńcowi i dosięgnęła niebawem linii strzałów.

Bem zatrzymał baterję i wyprawił jeszcze porucznika Łabanowskiego, by odszukał bądź sztab, bądź wodza, bądź którego z generałów i rozkazów żądał. Sam zaś odwrócił się laskawie do artylerzystów:

— Opatrz się jeden z drugim! Gęby zwilż! Uprzeż sprawdź — popręgów dociągnij!

Granat pękł tuż około podpułkownika i obsypał go piaskiem i drzazgami poszarpanego chojaka.

Bem rozśmiał się w głos.

— A co — cha, cha — przecież, że tu lepiej! Zwijaj się żywo!

Baterja zawrzała gorączkową czynnością. Podpułkownik tymczasem, niby przed rewją na Saskim dziedzińcu, zjechał na stronę, aby wyczekać rychło nań przyjdzie kolej odprawić lustrację.

Ale że w miejscu kędy był się podpułkownik zatrzymał, rzadkie już chojaki roztwierały widok na dymami spowitą dal, — więc ku niej się skierował. Tu atoli przewrócony, rozbitý na polý a dymiący żarem wóz markietana zagroził mu drogę.

Bem skreślił, aby budę wozu minąć i na drgający kaślub konia nie najechać, gdy, nagle, z pod budý doszedł go przeraźliwy, zdławiony okrzyk.

Bem pochylił się i ciał pałaszem w płótno budý.

Koń pod Bemem wspiął się. Podpułkownik pohamował go i zbliżył się znów.

Na dnie zapadniętego wozu, z pośród krwawej miazgi ciał ludzkich, wychyliła się ku niemu biała, delikatna, przerażeniem i bólem wykrzywiona twarzyczka młodego dziewczątka i jakiś kadłub ciemny, wijący się nad nią a skowyczący przeraźliwie.

Bem zakrzyknął groźnie. Lecz za całą odpowiedź, kadłub zarechotał dzikim, przeciągłym śmiechem, a czarne, zakrzywione jego palce wpily się w pierś dziewczęcia.

Podpułkownik bez wahania zeskokczył z konia, cugle na sosnę zarzucił i przypadł do kadłuba, porwał go za bary i odciągnąć chciał. Kadłub jednak tylko przeraźliwie zarechotał, gwałtowniej wpił palce w ofiarę, jeno mocniej leb swój kudłaty do dziewczęcia cisnął. Bem chwycił leb za kudły, lecz tyle dokazał, że leb dźwignął się na mgnienie, lypnął żółtymi zębami i zacisnął je na chudem, wątłym ramieniu...

Bem porwał za pałasz i ciął nim raz i drugi po kadłubie, po łbie kudłatym. Krew trysnęła. Kadłub wreszcie uległ i, targnięty przez podpułkownika, runął obok wyszczerzonego trupa baby.

Bem pochylił się nad dziewczęciem i podźwignął je. Czarne oczy dziewczęcia mgłą zaszyły, małe jego rączyny oplotły szyję podpułkownika, drobne, wiotkie ciało stężało.

Podpułkownik stał przez chwilę bezradny, jakby zawstydzony a może zdumiony lekkością dźwiganego ciężaru. Gdzież bo, toć unosił ją, w ramionach trzymał a nie czuł.

— Dziecina taka, złotowłosa, kilkunastolatek zaledwie... Dziw, skąd się w tym piekle wzięła!... Unurzane biedactwo, może ranne... Już cię tak nie zostawię... A grzeje maleństwo...

Kula armatnia zaryła się w pobliżu. Bem bąknął coś pod nosem i ruszył do baterji.

Tu zjawienie się podpułkownika z dziewczęciem na ręku wywołało poruszenie. Bem atoli, nie zważając na nie, zawołał na najbliższych żołnierzy i kazał im w rozbitym wozie markietana wody poszukać, a sam dziewczę na murawie ułożył i wódką z manierki własnej jął trzeźwić. Wy-

slani żołnierze, a między nimi Surmacki, doskonale się sprawili, bo nie tylko bańkę z wędą przynieśli, ale i barylkę ckowity. Podpułkownik tej ostatniej, jakby nie zauważył, pochłonięty dalej energiczniejszym jeszcze cuce-
niem dziewczęcia.

Dopiero kiedy zemdłona, omyta nieco ze krwi, opatrzo-
na na podrapanych i pokąsanych rękach i ramionach,
otworzyła powieki a obrzuciła Bema gorącym spojrzeniem
swych wielkich, czarnych oczu, podpułkownika zawsty-
dzenie zdjęło, tem większe, iż czuł na sobie zezujący cieka-
wie wzrok kapitana Orlikowskiego.

Ten ostatni wnet chwycił sposobność zerwania z subor-
dynacją.

— Wcale nieszpetyny dzieciak.

Bem sponsowiał.

— He? Co? Proszę na miejsca! Kto przy ostatnim
jaszczyku? Prószyński!... Zabierz pan tymczasem i bacz...
honorowi twemu polecam... Może trafi się podwoda, trze-
baby wyprawić ją do Warszawy, do Pultuska bodaj...

Prószyński zaprowadził dziewczątko na ogon baterji
i tam, usadowiwszy ją na pudle wózka amunicyjnego, po-
doficerowi, staremu Mateuszowi ją zlecił.

Podpułkownik zaś, już reszty niewczesnego roztkliwie-
nia się wyzbywszy, dosiadł wierzchowca. A czas był naj-
większy, bo nim Bem zdolał artylerzystów do ładu napę-
dzić, porucznik Łabanowski zarył przed nim pianą okry-
tego konia.

— Pogrem, podpułkowniku, nasi cofają się, uchodzą...
baterja Turskiego wzięta... chmary nieprzyjaciela są tuż...

— Rozkaz! Masz rozkaz?!

— Żadnego rozkazu... niema sztabu, niema wodza...
Kłęska! Przegrana!

— Milcz! — rozkazał Bem — ani słowa więcej!

Zaczem ryknął zajadle:

— Ba-czność!!... Nasza pora! Zbieraj cugle. Za mną,
naprzód — ...arsz!!

Podpułkownik spał konia ostrogami. Baterja zawahała
się, zadzwoniła żelazem, zgrzytnęła, natężyła szleje i ru-
nęła za Bemem w odmęt bitewny...

II.

Słońce zaszło a z niem ostatni błysk nadziei dla Skrzyneckiego, nadziei, której treścią było już nie zmożenie feldmarszałka Dybicza, nie wygranie ostrołęckiej bitwy, lecz zgotowanie mu oporu, lecz wyparcie go za Narew, lecz ocalenie szczątków wojska polskiego przed śmiertelnym pościgiem.

Złamana, podarta na strzępy dywizja Langermana jeszcze próbowała stawić opór, jeszcze usiłowała godzinę klęski opóźnić. Daremnie. Piechota rosyjska, pod osłoną morderczego ognia baterij nadbrzeżnych, opanowała już część traktu pultuskiego, już łańcuchem tyraljerów szła, już czyniła miejsce dla gotującej się do przejścia Narwi, kawalerji. Armaty polskie milkły. Tu i ówdzie, sprawione pospiesznie oddziały ulanów i strzelców konnych zrywały się do szarży, lecz podarte, skłębione nieubłaganym miotem kul, ustawały w pół drogi, pierzchały w nieładzie. Tu i ówdzie, zagrzana gorącem wezwaniem, kompanja woltyzarów lub grenadjerów rzucała się na osłep z pochylonemi bagnietami, na bataljon, na pułk, na dywizję, na zdziśiałkowanie, na śmierć niechybną. Były to już konwulsje. Bitwa dosięgała kresu, którego nie mogło uchylić ani męstwo, ani poświęcenie, ani szalona brawura oficerów, ani zapal żołnierzków.

Niebo ciemniało. Krwawa luna pożarów niszczących Ostrołękę, rozpalala się. Baterje łyskały już ognistemi żądłami.

Skrzynecki trwał na czele resztek ósmego pułku.

On jeden nie stracił przytomności, a raczej on jeden, w obliczu pogromu, ją odzyskał. Zimny a czujny, przykładem odwagi świecący, on jeden ogarniał rozpacz położenia. Teraz dopiero miał Skrzynecki, co moment dla otaczającej go garści wycieńczonego wojska znakomity ruch, miał co moment i rozkaz genialny i słowo krzepkie i moc wodza nad wodzami. I gdyby mu był Gielgud przyprowadził swoją dywizję, gdyby los dał Skrzyneckiemu jedną brygadę, jeden pułk świeży wypoczętej rezerwy — cha, toby z nim cudu dokazał...

Ale i Skrzynecki nie mógł naprawić błędów naczelnego wodza... ale i Skrzynecki nie zdolen był uchylić klęski, która poczęła się nie z bitwy ostrołęckiej, jeno z całego pasma nieopatrznych, gnuśnych rządów, z lekkomyślnego prowadzenia sławetnej wyprawy na gwardje.

Skrzynecki trwał atoli na stanowisku, trwał, a może kuli szukał, a może okupienia win popelnionych.

Tymczasem ogień karabinowy tyraljerów rosyjskich ustał raptownie a i baterje z rzadka odzywać się zaczęły.

Skrzynecki wpił lunetę w mroki wieczorne i odetchnął.

Czarne pasma piechoty rosyjskiej zwieraly się, kupiły przed mostem. Tarabany cichły, miarowy wybijały takt na zbór, na ład...

Więc Dybicz do zaniechania bitwy się gotuje, narzecie! Teraz jeszcze kilka strzałów pożegnalnych i noc, noc cała wytchnienia, noc cała na zebranie sił, dobycie się z piekielnego zamętu, na cofnięcie się z honorem.

I Skrzynecki już rozkazy wydał, jak woltażerowie strzelców pieszych mają w pojedynkę rozsypać się półkolem, wyczekać chwili, gdy ostatni bataljon na most wejdzie i jak mają wziąć go na krzyżowy ogień, a jak kompanja saperów do przyczółka mostowego ma się zakraść i, minę prochową założywszy, podpalić go; jak znów inna kompanja saperów most drugi, zniszczony prawie, do reszty zatopi.

Echa tych rozkazów już i o zaciągnięcie wedet nad Narwią jęły się troszczyć i o pogrzebanie poległych i o podwoły dla rannych i o furazę i o wyznaczenie obozowiska.

W zmordowane, wyczerpane, potem i krwią oblane nie-dobitki wojska pclskiego otucha wstąpiła. Żołnierz opuszczał do nogi karabin, rozpaloną lufę na przedramieniu opierał i chłodził spieczone usta wilgotną ziemią.

Skrzynecki czuwał z okiem zapartem na poruszających się leniwie czworobokach piechoty rosyjskiej, czuwał i czekał.

Naraz, ponad trawionemi pożogą domostwami Ostrołęki, snop iskier trysnął w niebiosa a za nim legjon płomiennych języków ślizgnał się ku górze i buchnął czerwono-

nem światłem. Wieża ostrołęckiego kościoła stanęła w ogniu.

Wódz naczelny, oślepiiony blaskiem, który zalał oba brzegi Narwi, zmrużył na mgnienie powieki, gdy je rozwarł, już sto armat ryknęło, już chmura ołowiu i żelaza dosięgnęła, rojących o spoczynku, żołnierzy Skrzyneckiego.

Piechota rosyjska równocześnie drgnęła i jęła następować pełnym frontem.

Skrzyneckiemu krew uderzyła do głowy. Chciał głosu dożyć, zawołać na oficerów, na żołnierzy, by za krze, za poszycie zagajnika się cofali — nie mógł. A czarne czworoboki szły nieubłaganie miarowym krokiem ku polanom, wyżerany przez armaty, ku ostatecznej pozycji naczelnego wodza.

Od strony zagajnika kilkanaście bębnow zadudniło żałośnie. Jakaś, zasobniejsza w amunicję kompanja usiłowała nierównym trzaskaniem kilkudziesięciu karabinów dotrzymać placu gromom działowym. Tuż w pobliżu Skrzyneckiego rozległ się młody, hardy okrzyk: „Naprzód, za mną!“ lecz nim przebrzmiał, nim dosięgnął tych, których wolał, już zmieszał się ze złomami granatu i z pyłem wyprysniętej ziemi.

Zreszłą niemoc okrutna oświadczyła obrońców prawego brzegu Narwi. Wyrok nieubłagany zapadł. Żaden rozkaz, żaden ruch nie oddali go, nie osłabi, nie umniejszą. Czy tu, czy o tysiąc kroków dalej lub bliżej, jeden los, jedna śmierć, jedna mogiła.

Wtem, od prawego skrzydła Skrzyneckiego, zerwał się szalony tentent i łomot żelaza i runął wprost na czoło piechoty, długim, poskręcany wężem.

— Kawalerja! Ułani! Strzelcy! Nasi! — rozległy się bezładne okrzyki.

Skrzynecki porwał za lunetę. Śród kłębow dymu, przed linią nadchodzącego czworoboku rosyjskiego, szarżował oddział kawalerji dwójkami, pędził w lewo, na oślep, ku pagórkowi...

Wódz naczelny jeszcze nie ogarnął, co by to mógł być za szwadron, co za pułk, ani co jego naczelnik zamierzał, czy atakował, czy uchodził, czy był to poryw męstwa nad

męstwami, czy hasło do pepłochu — gdy naraz oddział ten stanął jak wryty, zaszamotał się, chrapnął trąbkami i rzygnął dwunastu paszczami dział w sam środek czworoboku.

Skrzyneckiemu w oczach pociemniało. Toć sen, sen mamiący przeżywał, toć mara złośliwa opanowała go i ludzila w momencie ostatnim, w chwili, gdy wieża ostrołęcka płonęła, niby gromnica, nad ciałem konającej sprawy.

Tymczasem nieznaną, tajemniczą artylerja już po raz piąty i szósty morderczą dała salwę i salwę bezkarną, bo działa rosyjskie niosły ponad nią, bo nie zdążyły rozecznąć niespodziewanego przeciwnika, bo pasma własnej ich piechoty były tej nieznannej artylerji tarczą.

Czworoboki po trzykroć zdołały się zewrzeć, zeszlusować, zemknąć i rzucić naprzód, lecz wnet polargane, rozdarły ustawały, łamały się.

Pahlen kazał bębnić na odwrót. Piechota cofnęła się za nasyp gościńca. Baterje Dybicza wzięła na cel. Lecz jednocześnie tajemnicza artylerja już się oprzegła, już mlasnęła batami i już na prawą stronę pozycji Skrzyneckiego, ku Omulewowi, pomknęła i w chwili, kiedy baterje feldmarszałka ryły kartaczami opustoszałe już stanowisko tajemniczej artylerji, ta, z przeciwnej strony, nowe hekatombę wybierać zaczęła.

Bitwa w oka mgnieniu przeszła w pojedynek armat. W pojedynek, dający niezawodną z pozoru przewagę dzieściętkroć liczniejszym baterjom feldmarszałka, baterjom, bądź na szańcu przedmostowym ustawionym, bądź zatoczonym na górujący nad prawym brzegiem, lewy brzeg rzeki, i silnemi przedpieścieniami osłonionym. A jednak, już po kilkunastu minutach, piechota rosyjska jęła cofać się pośpiesznie za rzekę, a jednak ogień działowy Dybicza słabł, tracił na mocy, na liczbie głosów piekielnego chóru i coraz wolniejsze wybijał akordy.

Ale bo też istne licho dowodzić musiało dwunastu armatami tajemniczej artylerji na prawym brzegu. Armaty te bowiem, miał, według wojskowej sztuki, rozeprzeć się na pozycji i strzelać raz za razem czwórkami czy pełnym sze-

regiem, czy kolejno uderzać a cel rychtować, pędzili z krańca linii bojowej na kraniec, dzieliły się, rozpadały na dzwona, ziały pociskami i ze wzgórza piaszczystego i z poza wikliny nadbrzeżnej i z pod zagajnika, raz w środek mostu, raz w baterje, raz zdala, przy najwyższem podniesieniu armatnich wysuwek, raz zbliśka i na ostre przez metal, a raz tuż, rykoszetowemi strzały.

Napróżno baterje Dybicza czaiły się na tajemniczego napastnika, daremnie czyhały z zapalonemi lontami, aby go wypatrzeć, aby go zadławić. Napastnik w oczach ginął i, gdy go szukano lunetami a granatami macano w wiklinie, on pluł z pod lasku, gdy ku laskowi nawracano silnie działowe, on już w wiklinie, z przeciwnej strony, odprzodkował armaty.

Niedobitki wojska polskiego, kupiące się przy Skrzyneckim, drgnęły i huknęły szalonym wiwatem, ku pędzącej znów, tuż przed ich frontem, artylerji.

— Gwardjacka baterja! — zakrzyknięto w szeregach — Bem! Bem! podchwycili — adjutanci.

— Wiwat Bem!

Baterja na podziękowanie, zdarła konie, zakręciła i niemal między arjergardą tyraljerów rosyjskich zatoczyła armaty.

Tyraljerzy rzucili się na kanonierów... Wszczął się zgiełk. Skrzynecki skoczył z picchotą na odsiecz, lecz, nim dosięgnął utarczki, już zabrzmiał stalowy głos.

— Czternasty stopień! Z rykoszetu cełpall!

Baterja ryknęła. Stado kartaczy wyrwało się ze śpiżowych gardzieli i bluznęło między tyraljerów...

Szczątki arjergardy potoczyły się ku mostowi.

Skrzynecki dopadł baterji.

— Bem! Gdzie Bem! Podpułkowniku, okryłeś się chwałą! Ocaliłeś nas! Patrz, tam na lewo, za mokradłami, tam zatocz, tu nie wytrzymasz!...

Mała, zgarbiona figurka Bema, za całą odpowiedź, pochylila się na koniu ku trębaczom. Trąbki chrapnęły dyszkantem, kanonierzy zarzucili łożyska na haki przodków, baterja ruszyła...

Wódz naczelny zdumiał się takiej sprawności. Ale nim

się zorjentował, czyli Bem dobrze rozkaz pojął, baterja gwardjacka już na przyczółku mostowym, a więc na sto kroków od bagnatów Pahlena, rychtowała armaty...

— Niekarność — samowola! — mruknął do siebie Skrzynecki. Hej tam, — mości... adjutantciel...

— Saperzy pod mostem!

— Ruszaj do podpułkownika Bema z nominacją na pułkownika!

Adjutant śmignął do przyczółka.

— Podpułkownik Bem! Gdzie podpułkownik? Rozkaz wodza — nawoływał gorączkowo adjutant, kołując za armatami.

— Czego do stu piorunów?

— Wódz naczelny mianuje cię pułkownikiem!

— Precz stąd! Nie przeszkadzaj! Orlikowski pół baterję zaczynaj! Ceeel!... Al... Dobra nasza! Jabłonowski, zakładaj przodkil!... Pół baterja wysuwki do ośmnastej linii!... Ceeel! All...

Armaty umilkły nad brzegami Narwi. Łuna ponad Ostrolęką ciemniała, gasła. Dudnienie tarabanów i zawođenje trąbek uciszyło trzask karabinów.

Bitwa była skończona.

Wódz naczelny ścisnął gorąco Bema.

— Tyś ocalił nas, tyś, pułkowniku, uchronił od klęski nad klęskami!

— Chcesz powiedzieć, generale, że zdołałem wystrzelać naboje, które od rana wyglądały rozkazu.

— Nie przesadzaj skromnością, zarobileś rzetelnie na wdzięczność nietylko moją, ale całego narodu! Pomyśl, co by się stało z nami, gdyby nie twoja baterja!

Bem spojrział w stronę, kędy gromada żołnierzy lądowała na wozy ciała poległych.

— Chyba nic gorszego staćby się nie mogło...

— Masz słusznosc, — przyznał glucho wódz naczelny — dziś rozstrzygnęły się losy nie tylko bitwy, nie tylko wojny... Najdzielniejsze pulki, kwiat oficerów, czoło naszej armji, nadzieja i chwała narodu legła tu... Lęk, lęk mnie zdejmuje pytać, kto żywi!...

Bem nic nie odrzekł. Skrzynecki, z właściwą sobie za-

palczywością, z niedawnego ukontentowania staczał się po pochyłości własnych słów, ku rozterce, ku przygnębieniu.

— Daremnie wypominać tych, co zawinili! Tak, tak, masz stokroć słuszność, pułkowniku, nic gorszego stać się nie mogło... gdyby nas co do nogi, w pień wycięto, lżejby nam było, niż się wlec ku Warszawie... Wszystko, wszystko poszło w niwecz!... Cóż nam pozostaje, — tu wytrwać, resztki zebrać i o świcie zacząć drugą bitwę...

— Nie posiadamy amunicji.

— W naszym położeniu i bez amunicji możemy się obejść...

— Lecz, panie generale, jakaż korzyść z tak desperackiej bitwy?

— Korzyść? — pochwycił z uniesieniem Skrzynecki — więc, pułkownik, jeszcze o korzyściach roisz? Chyba nie ogarniasz, że ponieśliśmy klęskę haniebną, klęskę nad klęskami! Chyba nie pojmujesz, że miano tej klęski... finis Polonia! Tak, tak, finis, finis i tym razem niezawodny, nieublagany...

— Jak dla kogo — mruknął Bem przez zęby.

Wódz naczelny drgnął i wyprostował się dumnie.

— Chwali się pułkownikowi zaufanie. Spodziewałem się go po tobie. Opatrz swoją baterję i miej w pogotowiu na pozycyi przed mostem omulewskim...

Tu Skrzynecki skinął wyniosłe Bemowi i zawrócił ku widniejącej w pobliżu gromadce sztabowców. Bem atoli zastąpił mu drogę.

— Generale, pozwól...

— Słucham, o cóż idzie?

— Z laskawych słów pana generała czerpię śmiałość, abyś raczył na moją baterję cztery krzyże wyznaczyć...

— Krzyże! I tak za wiele ich rozdajemy.

— Moja baterja nie otrzymała dotąd żadnego.

— Twoja baterja. — Jest takich więcej. Nie wiem, zobaczymy. Pora nie właściwa, niema krzyżów za przegrane bitwy. Złóż pułkownik raport do sztabu brygady...

— Jednakże...

— Do sztabu brygady! — powtórzył niecierpliwie Skrzynecki i odszedł.

Bem stał przez chwilę, jak wryty w ziemię, jakby słowami wodza ogłuszony, aż zachnął się i powlókł w stronę, spoczywającej pod zagajnikiem, baterji.

Aliści, zaledwie z mroków nocy wylonił się ku pułkownikowi czarny kadłub pierwszego działła, znużenie snąc nagle zdjęło Bema, gdyż przysiadł na kamionce, głowę na rękę wsparł i zapadł w odrętwienie. Trwało ono jednak nie długo, bo pod zagajnikami wnet buchnął żwawy płomień obozowego ogniska i przygasłe źrenice Bema światłem napelnił.

Pułkownik dźwignął się, lecz, nim się wyprostować zdołał, wzrok jego rozeznał w dali, w blasku ogniska, płową czuprynę podoficera Ilińskiego. Bem zawahał się i osunął znów na kamionkę.

— Ani wątpić, że Iliński! Najdzielniejszy z jego podkomendnych. Innych wprawdzie nie mcźna!... Szli a trzymali się, jak stare wygi, choćby Zarzycki. Miare w lot chwyta, ale sam niedalékiego lotu! Lecz Iliński! Panicz, smarkacz, magnacik, a zawija armatą, niby panną na reducie... Potrąciło go — nieszkodliwie, bo łapą obandażowaną wymachuje! A jak to, kiedy grenadjerzy opadli mu armatę, wyciorem śmignął po kaszkietach, a potem plunął im z granatnika, że cha, niby w garść pierza dmuchnął. Dzieciuch jeden.

— A stary Czekalski, gdy mu Bem przykazywał Ilińskiego hamować w zawadjaćwie, rozśmiał się i odrzekł — kiedy zawziął się krzyża sobie wystukać. — Krzyża!!! Smykowi się zdawało, że to feta na Ujazdowie, albo parada na Pradze, kędy laskawość naczelnego wodza damom imponuje, a protegowane cnoty wejskowe nagradzał! Dobrze mu tak, niech sobie nie imaginuje. Chce mu się medalika, niech się cioci starościnie, czy babci wojewodzinie opowie, a po polu bitewnem niech się napróżno nie szasta.

Bemowi naraz przypomniała się nominacja na pułkownika, którą go obdarzono. Wzdrygnął się z odrazą.

— Nominacja! Tfy! Wolalby jej nie mieć... Pewnie, bo i jakże! Nie jego była tu zasługa. Łatwiej rozkazywać, niż wykonywać! Dwadzieścia jeden lat służby!

— Należało mu się. Młodszy się przed nim wysforowali.

Skrzynecki w dwunastym roku ledwie kapitanem był, gdy on, Bem, porucznikował. A gdzież teraz Skrzynecki! Cóż — nie szkodzi! Byleby był tym, kim go się spodziewano! Lecz to inna sprawa. W baterji siła awansów się należy. Raport do sztabu brygady! Cztery już napisał. Wolalby awans dla Ilińskiego niż buljony pułkownicckie. I tak przecież baterją dowodził, od majora nią dowodził. Zaszczyt więc dla ramion, bo zresztą, po dawnemu, wyglądać będzie musiał sztabowczyków, po dawnemu tyle zdoła, ile rozkaz po swojemu przeinaczy. A powiadał przecież Łubieńskiemu, aby szaniec przedmostowy ostrołęcki armatami obsadzić! Nie ugryźliby bitwy! Jeden Chrzanowski by umiał, pozbyli go się, wysłali do Zamościa!... U Honoratki mają rację. Do oczu im skakał, upierał się za Chłopickim, za Skrzyneckim, warchołami zwał patryjotów. Krępowickiego chciał rozsiekąć i doczekał się zwierzeń! Mataczyny i tego obleciały. I temu pilno do układów, do poddania. Inaczej by nie powiadał. Finis?! Bo go chcą, bo na niego pracują, bo dławią ducha, bo nie czynią. Sejmy, rządy, komisje, kluby — na cztery wiatry porozpędzać, rozkaz i ani kroku, bo kulą w łeb. Bylby i porządek i rygor i zwycięstwo. A inaczej... inaczej nawet Krępowicki wisieć nie będzie! — Eh, gdyby miał dziś pod ręką choćby drugie tyle armat... Co tam — jego prawo słuchać. Nie imć panu wodzowi służyć, jeno sobie. Swarów, zawiści, knowań i tak za wiele. Juści Skrzyneckiego desperacja zdjęła i lada co bąknął. Żołnierz jest, może nie tęgim naczelnik, nie strategik, ale i nie zdrajca... Dobrze tym krzykaczom ozorami wojować. Toż tam jutro gorąco będzie, jak wieści nadejdą. Wuj Olechowski spije się na umór a lampka-Malachowski zgra się do ostatniego szeląga! I szkoda Honoratki, — gdyby jeno skinęła, nie takiego losu warta. Pewnie, kobieta, jak łania, lada pokraka, choćby w generalskim mundurze, do serca jej nie przypadnie...

Bem westchnął ciężko i zapatrzył się w dal.

— Nie szczęściło mu się, nie wiodło. Toć jeszcze za czasów, kiedy wuj Olechowski przy komisarjacie ubiorczym służył, kiedy to u Honoratki oficerowi nie zρέcznie się było pokazywać, bo Makrot wietrzył a donosił, toć już

wówczas Bem tam przesiadywał. Tam przecież, gdy kwaterował w Koziennicach, wyrwał się bez urlopu i tam uwikłał się w pamiętną awanturę z postrzelonym burdą, w awanturę, która zakończyła się dla niego dymisją za śmiertelny pojedynek, za samowolę, za przyjazd bez zezwolenia! I gdybyż dymisja tylko. Wszak ci radować się musiał, że do Galicji, do rodzica, umknąć zdołał, że, po latach służby, wolno mu było tulać się a bakalarzowaniem na chleb zarabiać. Okrutnie się namęczył, okrutnie natęsknił. — Z początku Honoratka raz i wtóry wcale dobrem pisaniem go ucieszyła a zarzekała się, że niech aby kupca na kawiarnię znajdzie, a wnet do Lwowa podąży, i choć ani myśli, żeby mogła dostać paszporty zagraniczne, cna przecież sobie poradzi, bo nie darmo ma krewniaka w ulanach, co nad kordonem austriackim stoją. Dwa razy tak pisała. A potem ustało, ucichło. Daremnie słał do niej listy, daremnie wzywał. Po roku dopiero, od poręcznika Baniewskiego, który z artylerji gwardji wyszedł i także we Lwowie familję miał, po roku dopiero, dowiedział się coś o Honoratce... I wówczas zarzekł się, zaprzysiągl. Ba i gdyby Anusia Wereńszczyńścianka nie była go odpałiła, to podotąd byłby uleczon z tej pasji... A tak wróciła, sam nie umiałby sobie wytlumaczyć, jak wróciła. Spotkał na ulicy Horocha. Wstąpmy, powiada, do Honoratki. Niezręcznie było się wymówić — i zaczęło się znów.

— Gorzej nawet, bo niegdyś były pozory, było decorum jakoweś, było trzpioctwo, zalotność, pustota. A teraz żadnych złudzeń, żadnych niepewności. Honoratka nie udawała świętoszka. Ilu gości, tylu liczyła wielbicieli. I jakich! Cicha, przystojna niegdy kawiarnia Honoratki była przecież nie tylko miejscem zebrania klubistów, w rodzaju Krępowickiego, ale i domem gry i siedliskiem mętów różnego kalibru, nieponiów i ladałów plci obojga. A on, Bem, wieczór w wieczór tam wysiadywał, przestawał z całą zgrają ludzi niegodnych pogardy, narażał się dobrowolnie na to, że go za jakobina, sankiulota, demagoga ogłaszano, wpadał w jakieś pijackie zatargi, szulerskie sprzeczki, wysłuchiwał godzinami mów, które w nim burzyły krew, i dla tego przyglądał się godzinami obcesowym za-

lecankom do gospodyni, aby, w ostanku, zarobić na natrętne spojrzenie jej skośnych, podcienionych mocno oczu, by uledez uśmiechowi białej, sytej twarzy, jednemu z tysięcy uśmiechów, rozdawanych na prawo i lewo.

— I, gdy po nocy strawionej w kawiarni, wracał do izdebki swej, na Podwalu, wówczas zdejmował go bunt, bunt szalony. I przysięgał sobie i zarzekał się Honoratki i wymawiał słabość i wytrwanie sobie ślubował... A kiedy, wzmocniony na duchu, pokrzepiony, zdeterminowany układał się do snu, gdy jeno powieki kleić mu się zaczynały, znów czuł na sobie spojrzenie natrętnych oczu Honoratki i znów rozchyłały się ku niemu drżące usta a w uszach szumiała mu jakaś pieśń odrodzenia, ocknienia, szczęścia.

Bem otrząsnął się gwałtownie i jak burza spadł na baterję.

Baterja, na widok pułkownika, zerwała się na równe nogi. Bem wysłuchał raportu kapitana Orlikowskiego, obejrzał działa, zarządził oprzęgnięcie czterech koni wierzchowych na miejsce ubitych, trzech nowych ogniomistrzów mianował, kazał rannych na pustych wózkach amunicyjnych wyprawić do Pultuska, zrachował naboje, zlustrował szlej i wysówki celownicze, wyznaczył dwie zmiany na noc i baterję dźwignął na stanowisko, za mostem omulewskim.

Tu dopiero, kiedy armaty rozkraczyły się wygodnie na podsypach a artylerzyści częścią legli pokotem, częścią popasali konie na mokradłach, a częścią stanęli w ordynku przy działach, tu dopiero, gdy w oddali zaczęły się snuć cienie wedel ulańskich, Bem zawołał na ordynansa i samotrzeć, w kącie na poły rozwalonej stodółki, do posiłku się zabrał.

Lecz zaledwie głód jako tako zdołał zaspokoić, przybył adjutant naczelnego wodza z wezwaniem na radę wojenną... Bem zebrał się pośpiesznie, dosiadł konia i ruszył za adjutantem.

Po oddaleniu się pułkownika, miarowemi krokami wart i nawoływaniem koniuchów ledwie odzywająca się baterja ożywiła się nagle, rozczmychała, zaszemrała. W środku pozycji zatliły się fajeczki, tu i ówdzie zabulgotały butle,

nawet konie pasące się, czegoś śmielej trawę drzeń zaczęły.

Kapitan Orlikowski niby się rozsierdził a napomniiał surowo.

— Hej tam jeden z drugim, służba do kroćset! Czuwaj!

Ale tem jeno wywołał rażną odpowiedź.

— Gdzieby się tam, panie kapitanie, po takim hycaniu do snu miało.

— I pewnie! — przyznały głosy.

— No, no — groził Orlikowski — bylebyś sobie nadto folgi nie dawał. Kto wie, co wypaść może.

— Myślę, że Dybicza jutro w Ostrołęce nie będzie... Toćbym przysięgł, że ściągają armaty...

— A żeby mu tak puknąć z granatnika.

— Milczeć tam! — ozwał się lizusowato podoficer Zarzycki.

— Jaki to chytrzec, niby fuka a boi się, aby mu cyganicha nie ogłuchła z kretesem — śmiał się w głos Surmacki.

Porucznik Jabłonowski, który wartę na linji wylotów armatnich trzymał, podszedł do Surmackiego.

— Co bajesz acan. Co za cyganicha?

— A no ta, którą pan pułkownik na jaszczyku trzymać kazał wachmistrzowi... Całą bitwę odprawiła!..

— Patrzcie!... Więc dosiedziała na wózkul! Toż nie może być! Trzeba ją było zostawić...

— Niezawodnie panie poruczniku, bo biedactwo użyć musiało strachu. Ale nie było kiedy. Pan podpułkownik ledwie przykazał, gdy zatrąbiono i z kopyta ruszyliśmy... Jaszczykiem ostatnim, niby wiechciem, miotało po wertepach — ona nic, wczepiła się palcami i dobrze. Dopiero, kiedyśmy pierwszy raz odprzęgli a wygarnęli — dziewczyna łomot z jaszczyka. Wachmistrz dostrzegł na szczęście, i cyganichę na wpół żywą wciągnął na siodło... I tak dychała, póki nas grenadjerzy nie opadli i wachmistrza nie zakłóli. Cyganichę i to minęło. Wówczas Zarzycki konia swego dał Klimkowi, bo mu jego trębackiego ubili, a sam dziewczynę za włosy i na przodek armatni, a potem, po

łożysku do wózka i tu ją rzemieniem wpół do żelaznego oparcia...

— Wyszła cało?

— Potluczona musi trochę — ale nie. Jeno, myślę, ogłuchła, bo ani słowa. Gorzalki wleliśmy jej, lyknęła, ale co ani piśnie. Zwalila się i leży na czapraku, tu zaraz...

Jabłonowski zbliżył się do wskazanego miejsca.

— Kto tu? Zarzycki?

— Według rozkazu, panie poruczniku.

— Hm! I cóż?

— Zdaje się, że śpi!

— No-no! Osobliwe zdarzenie... I to dzieciuch jeszcze...

— Niema się po co schylać! — wtrącił pogardliwie Surmacki. — Za dziesięć lat może z tego wyrość niewiast!

— Trzeba z nią coś zrobić. Skoro podpułkownik kazał.. Szkoda, że acan nie przypomniał o niej, gdy rannych wyprawiano.

— Nie śmiałem podpułkownika.

— Zaraporfujesz, jak wróci.

— Uważam.

Tymczasem wieść o dziewczynie rozczmychała do reszty baterji. Dookoła Zarzyckiego skupiła się gromadka co ciekawszych i jęła zerkać natrętnie ku skulonej na derce postaci, rozprawiać a żartami i konceptami sypać. Surmacki rej wodził.

— A cóż, dziwować się niema czemu!... Cyganicha i już! Przypięła się to i dosyć. Taka zawsze potrafi z djablem pospółu i Zarzyckim w odwiedzie.

— Bajesz od rzeczy! Cygaństwo ci się przyśniło.

— Widzicie go! Mnie powiadać będzie... Czekajcie! Hej — Radoński, choć sam!... Pamiętasz, jakżem ci wódki kupował u markietana, gdyśmy stali, temu będzie tydzień, w Rożanie?

Wezwany przez Surmackiego konnowodny, Radoński, wysunął się ku przodowi.

— A jakżeby! Siwucha taka była tęga, że niech go...

— Baczysz że jeszcze, u którego markietana piliśmy?

— Jakby nie! Wszak ci u Piotra Jagi cygana, co to jeszcze pod obozem powązkowskim...

— Doskonale! Tedy przyjrzyj no się tej dziewczynie i wspomnij a dobrze, czyli ją widziałeś.

Radeński podsunął się ku leżącej, nachylił nad skuloną a plwiącą się w świetle księżyca postacią i zakrzyknął z przekonaniem:

— Toć Zula!

Postać skulona zadrżała.

— A co! a nie mówiłem! — zakrzyknął z triumfem Surmacki. — Jużci Zula a nie żadna zaczarowana królowna. Markiętańskie dziecko, włóczydroga cygańska.

— I gdzieżby — widział że kto kiedy jasnowłosą cyganke!

— Tak! A o albinosach słyszałeś? Nie — no, to nie pleć lada czego.

Zarzycki głową kręcił a poglądał ze współczuciem ku leżącej postaci.

— I wymyśliłeś zaraz historję.

— Baczność, chłopcy, imć pan Djonizy Zarzycki prosi was na zrękowiny.

— Nie plółł byś, nie natrząsał z dzieciaka.

— Ani trochę! Bardzom rad, że do gotowego przyjdiesz i z kilku dywizjami odrazu wejdiesz w parantelę. Skupieni dokola Zarzyckiego wybuchnęli śmiechem.

— A tobie zazdrość.

— Mnie, niby o tą...

— Może nie! A nie nastęczyłeś się z derką, nie posłałeś jej! Nie wysączyłeś jej manierki! Zaprzecz się?

— Niby ja? — zmieszał się Surmacki, zaskoczony rechetem całej gromady.

— A kto — Dybicz? Znamy się. Nie darmo drzesz się do ulańskiego mundurka, do żółtych wyłogów, do rogatej czapy. Na amory ci się zbiera, a nie mogąc urodą straszyć, radbyś ulańskiem wcięciem! I zazdrość ci, że ta nawet, co się baterji nawinęła, na cię i nie spojrziała...

— Mnie o tę... tę!

— Nie kręć — wybuchnął zapalczywie Zarzycki — bo dla mnie taki wichetek babskiego autoramentu tyle, co

wczorajszy deszcz. Użaliłem się półkurczęcia, smarkuli cygańskiej, czy jak tam, bo podpułkownik, chciał. Kto sperki zakoszłował, ten się na chude nie złowi.

— Boli cię kares, coś go u Honoratki od Rózi malowanej dostał

— Ani słowa więcej!

Surmacki czapę na ucho nasunął i ujął się pod boki.

— Cha — cha! Trafiło cię! Blizna ci się na policzku otwarła.

Zarzycki porwał się do pałasza, lecz, w tejże samej chwili, wpadł między gromadkę kapitan Orlikowski.

— Milczeć tu jeden z drugim. Marsz na miejscal... Precz!...

Gromadka rozpadła się na części.

— Kto tu? Surmacki! Służba, do kroćset! Milcz! — Co tu za klótnie? Jak śmiesz?...

— Właśnie...

— Milczeć jeden z drugim!... Gdzieś się acan karności uczył? He? — Co? Dostyc — ani mru mru! Podoficer! Galony oberwę, na cztery wiatry przepędzę! Do piechoty, do ciurów, do szczyglów, między fałdy, między cywile acan pójdziesz! Armaty nie zobaczysz, panie dziul!...

III.

Bem ledwie po północy wrócił z rady wojennej. Wrócił rozlagniony czegoś, zamyślony czy utrudzony, bo zbył kapitana Orlikowskiego kilku słowy o arjergardzie, którą baterja ma trzymać z ulanami i udał się na spoczynek do szopy, kędy ordynas siakie takie posłanie mu wygotował.

Tu atoli, miast zasłużonego wczasu użyć, luczywo kazał ordynansowi za belkę zasadzić i, ze skrzyneczki podróżnej zwoju map i papierów dobywszy, jął je rozkładać na klepisku, przeziarać i znaczyć szpilkami.

Dopiero, kiedy wszystkie mapy ponakłował a dokoła siebie rozpostarł, dopiero przysiadł w pośrodku i na skrawku papieru zaczął z map liczby zbierać, wypisywać i rachować je.

A musiała to być kalkulacja nie łatwa do zliczenia, bo pułkownik zastanawiał się, wodził palcem po zygzakach map, przepinał szpilki, coraz to inne cyfry kreślił, powiększał je, odejmował, ocierał, potem zroszone, czoło, wy-poczywał i znów do map wracał.

Aż naraz oczy mu się rozpalily, a fala krwi, nie mogąc przedostać się na bliznami oblepioną twarz, purpurą zalala mu wyniosle, lysawe czoło.

— Więc się nie omylił. Była droga i do korpusu Gielguda i na Litwę. Droga była wolna... Żeby feldmarszałek całą swoją armję na zastawienie sieci rozstawił, nie poradziłby, nie zdołał... Jeden, dwa, trzy kontrmarsze wykonać. Zbęnić kilka podjazdów i w tydzień armaty zagrałyby nad Niemnem! Na tyłach Dybicza stanęłaby druga armja! Trzydzieści armij, któreby darły arjergardę, niszczyły magazyny, odcinały posilki! A potem isć, isć w głąb, piorunem isć, bodaj nad Dźwinę... i przetrwać tak bodaj trzy, cztery miesiące! Prądzyński się opierał, nie wierzył. Skrzynecki ledwie uległ... Jeden Dembiński opowiedział się za nim, a raczej ozwał się za Bemem! Ozwał się i sobie dowództwo zagarnął. Wyrwał mu myśl i za swoją podał... Teraz może rusza już do Gielguda z rozkazem. Czy dokona! A potem, gdy się z Gielgudem połączy!... Dembińskiemu roi się naczelne dowództwo. Żołnierz odważny, gotów się przerębać ze szwadronem jazdy. Lecz nie w tem rzecz, nie w tem! Prądzyńskiemu oczy się śmiały. Znów jednego się pozbył przeciwnika!...

Bem powiódł wzrokiem po rozłożonych mapach i westchnął smutnie.

— Cały jego plan poszedł w niwecz. Od miesiąca go układał, układał go wówczas, gdy generał Chłapowski jeszcze do wyprawy swej się gotował. Potem, kiedy Chłapowski ruszył — już z zamysłów swych skwitował. Nie posiadał ani stopnia, ani dostępu do rady wojennej, ani prawa do mierzenia się z Chłapowskim. Teraz, dzisiaj dopiero usłużyło mu niedołęstwo Gielguda. Gra była pewna. Skrzynecki przecież rad był dokument niedołęstwa przekuć na dowód głębokiej strategji! Przegrana bitwa ostrołęcka

była wygraną, bo Gielgud poszedł na Litwę, aby za Chłapowskim porwać lud, aby drugą wojnę wszcząć...

Bem rozśmiał się gorzko.

— Dembińskiemu się zwierzył przed radą wojenną!... Cha, a niegdy przyjaciel jeszcze z czasów Księstwa Warszawskiego; nie zawiódł, i tak energicznie plan jego przedłożył, iż o Bemie ani słyhu nie było! A kiedy już dla siebie tego jeno zadowolenia pragnął, aby Dembiński odeń jego wypracowane, przesłęczane plany wziął — zbył go wyniośle oświadczeniem, że ma własne i dokładnie zbadane i oddawna. Pyszalek! Niech by jego była, niechby zdołał! Tak, tak, bo inaczej tu jeno ostatniego spodziewać się można ciosu, jeno klęski cięższej, niż dzisiejsza, jeno konania. Starczy jeżeli Dybicz przejdzie Wisłę, jeżeli pierścieniem następować będzie, jeżeli zamknie tę okruszynę wolnego przestworu, który pozostał.. Niechby, niechby Dembińskiego była sława, niechby jego w tem była chwala.

Bem targnął się, jakby przemocą oczy od map oderwał podniósł się i spojrział przed się...

W rozwalonej ścianie szopy, lysnęła ku pułkownikowi blacha czapy artyleryjskiej.

— Kto tu?

— Zarzycki, podoficer trzeciej kompanji — ozwał się niepewny głos.

— Co to — czego?

— Według raportu, panie pułkowniku.

— A — cóż takiego?

— Pan porucznik kazał mi się opowiedzieć do pana pułkownika i prosić o rozkazy, co uczynić z Zulą?

Bem brwi ściągnął niecierpliwie.

— Z kim? Mów wyraźnie...

— Z cyganichą, proszę pana pułkownika, niby z tą, którą pan pułkownik zlecił wachmistrzowi...

Bem potarł czoło.

— A! Prawda i cóż się z nią stało?

— Nic — dycha pod armatami na derce, ale chyba ogłuchła, jako niezwyčajna artylerji, bo ani się ozwie.

Bem, któremu teraz dopiero stanęła przed oczyma przy-

goda uwolnienia dziewczęcia, zdziwił się szczerze, dowiedziawszy się od Zarzyckiego, jak bitwę przetrwała.

— No-no! I cało mówisz, wyszła?

— Tak się widzi. Ślepiami przewraca, ale ani piśnie.

— Zuch dziewczyna.

— Bez urazy pana pułkownika, biedactwo wychudzone, że niema co w jedną garść zebrać.

Pułkownik wykrzywił usta do uśmiechu, ileż wspominał, żeć on sam, gdy ją dźwigał, nie czuł ciężaru.

— Hm! Więc obozuje przy armatach... Trzeba z nią coś... zostawać tak nie może... Co?...

— Według rozkazu pana pułkownika, bo i nie sporo. Młodziutkie biedactwo i drobne... ale cóż, dziewczyna, maruderów... a i naszym ciekawości nie brak...

— Masz rację, masz rację — mruknął Bem. — Przeprowadź ją tu, zobaczymy co, kto, jak!...

Zarzycki salutował i wykonał pół obrotu.

Pułkownik atoli coś jeszcze sobie przypomniał, bo zawołał nań.

Młody podoficer zatrzymał się i wyprężył słuźbiście. Lecz pułkownika jakoweś roztargnienie zdjęło, bo, miał Zarzyckiemu zapytanie czyli rozkaz rzucić, jął mierzyć wielkimi krokami klepisko szopy.

Zarzycki trwał bez ruchu, wodząc oczyma za Bemem.

Upłynęła tak długa chwila. Aż pułkownik dźwignął ociężale ramiona, potracił z impetem szczapę drzewa, zagradzającą mu drogę do podoficera, i zatrzymał się tuż przed nim.

— Zarzycki.

— Uważam.

— Więc ten, dobrze się spisałeś... Tak, ty i Iliński. Jestem kontent z was, bardzo kontent...

— Rad zasłużyć.

— He — a no tak. Przyłożyć się jeszcze w wolnym czasie, do książek zajrzeć... Wyuczyć się, jak pacierza, proporcji wagomiaru do odległości i podnoszenia wysuwek. Fortyfikacji polowej trza ci liznąć; koszoekopy, przedpiersienie również ci się zdadzą. I sztuki ogniów gotowania i kul, musisz... I ten, wyjdziesz!

Zarzycki pokraśniał. Bem wpatrzył się w guzik munduru podoficera.

— Wyjdziesz!... Iliński także wyjdzie. Jednemu szkoła aplikacyjna napędza armatniej nauki, a drugiemu same armaty wygadają, jak z niemi... Do porucznika wam niedaleko!... Starać się a nie minie was. To sobie acan zakonotuj i to powtórz tamtemu, powiedziałem, nie minie...

— Uważam! — wyjąkał z przejęciem Zarzycki, poruszony do głębi tak niesłychaną łaskawością pułkownika. Lecz ten snąć inaczej zrozumiał odpowiedź podoficera, bo brwi ściągnął i mruknął:

— Co? Krzyża ci się zachciało! Cacka? Świedidelka! Niebieskiego gałganka!?

— Jako żywol

— Tój sam! Nie lżyj! Znam was! Ojczyzna w gębie, a w sercu wisiołek dzyndzyk metalowy, byle go przyszpilić, byle nim bimbać ludziom w oczy, byle tumanić!

Bem odsapnął i jał mierzyć znów krokami klepisko.

— Wszyscy tacy! Krzyża! U mnie niema krzyżów! Żadnych suplik, żadnego wybierania, kto wart a kto nie wart. Weźmie który granatem w trzewia, to krzyż sobie wystróże. W ułanach, piechurach, ciemięgach tak, no a u mnie tak! Niema żadnych przedstawień, niema orderzyków! Służba jest, artylerja, armata! Rozumiesz jeden z drugim!

— Wedle rozkazu — stęknął żałośnie Zarzycki.

Bem zlagodniał raptem.

— Aha! Możesz odejść. Bardzo dobrze. Więc ją przyprowadzisz... Ale bo — dodał sięgając do mantelzaków — czekaj no. Weź tę tabakierkę. Mam ją po generale Sokolnickim... Bierz na pamiątkę i... i... ten o krzyżach, fatalaszkach nie myśl...

— Panie pułkowniku...

— Głupstwo. Zażywasz tabakę?

— Nie, panie pułkowniku.

— No więc będziesz ją zażywał; bo, widzisz, general Sokolnicki wielkim był artylerzystą! Gdyby był dożył... Możesz odejść.

Zarzycki znikł w otworze szopy.

Bem znów pochylił się nad mantelzakami i przebierał w podręcznych drobiazgach a szukał, wreszcie z pudełka dobył piękną, złotemi, cyzelowanemi blaszkami nabijaną ladownicę. Obtarł ją starannie, obejrzał, musnął po pięknym monogramie, gryfami misternie rzeźbionemi do pokrywy przytwierdzonym, westchnął i, ułożywszy ladownicę w pudzderku, — zamknął je na dwa kruczki.

W otworze szopy znów ukazał się Zarzycki.

— A jesteś! Weźmiesz acan to pudzderko i dasz Ilińskiemu. Powiedz mu, że Włodzimierz Połocki pod Raszy-nem ją nosił... wówczas, kiedy ja chodziłem w podoficerskich obszegach... Więc Ilińskiemu dasz, bo... bo... mi to wcale nie potrzebne.

Zarzycki odebrał pudzderko z rąk Bema, i sięgnąwszy poza siebie, bąknął półgłosem.

— Chodź sama!...

Z mroku wysunęła się ciemna, wąła postać dziewczę-cia i, pchnięta zlekka przez podoficera, zatoczyła się na środek ku pełni, rzucanego przez gorejące luczywo, światła.

Bem, na widok obcej, nieznaney mu postaci, która zdała mu się jednym, szarym, bezkształtnym lachmanem, cofnął się z odrazą. Lecz że Zarzycki dodał obocześnie:

— Według rozkazu pana pułkownika — niby ta, co pan pułkownik kazał...

Bem pohamował odrazę i spojrział uważnie ku dziewczynie.

Stała przed nim z przysłoniętymi powiekami, z bole-snem odrętwieniem na zczerniałej od prochu i dymu twar-zyczce, w koronie splełanych czarnych, jak szmaty, które ją ledwie w połowie okrywały, włosów. Chude, obnażone jej ramiona, poprzewiązywane brudnemi, splamionemi krwawą rdzą galgankami, zwisały bezwładnie. Koścista, sucha pierś czerwonymi szramami i rdzawemi strupami upstrzona, wychylała się ze strzępów zgrzebnjej koszuliny.

Bema litość zdjęła. Wszak ci biedactwo, niedola, wy-głądała mu na podrostka, na dziecko, liczące mniej lat, niż palców u drobnych a tak już poszarpanych rączyn.

Pułkownik ujął dziewczę pod szyję i zadarł jej głowę ku światłu.

Powieki dziewczęcia poruszyły się, głowa poddała się bezwładnie.

— Nie mylił się. Dwunastolatek, licho co więcej!... I tu, na szyi, pręga sina!... Lazaretu by trzeba... odzienia... nędza... włóczęga, sierota...

Naraz, powieki dziewczęcia rozwarły się, mignęły smutnem, przyémionem, lękliwem światłem, lecz snąc z wilgoci, która je pławiła, nabrały mocy, bo wpatrzyły się w zoraną bliznami twarz pułkownika z taką rzewnością, z taką pokorą, że ten ostatni przerwał badanie, puścił głowę dziewczęcia i, odwróciwszy się odeń, jął przechadzać się po klepisku.

Jużci Bemowi wydawało się jasnem, że przecież nie przystoi mu rzucić sierotę na pastwę losu wojny, na ofiarę żołdactwa. Nie dlatego przypadek kazał mu ją ocalić, aby teraz świadomie ją wydał na okrutniejszą, bo dłuższą mękę. Cyganiątko, czy jak, ale dziecko. Trzebaby coś, nie uchodzi nie poratować — ba, ale jak. Zmordowane to, pokaleczone. A tu straż przednia i pobitewny zamęt...

Bem zerknął ku Zarzyckiemu.

— Acan cobysyś myślał uczynić?

— Co pan pułkownik uważa — odrzekł bez zajäknicenia podoficer.

— Bajesz! W tem sęk, że tu nietylko pieczy by trzeba, ale i niańki... Widzisz acan, wszak ci to dziecko prawie.

Zarzyckiemu przypomniało się, kiedy, wysłany raz z papierami dla doręczenia pułkownikowi, rozmawiał się oko w oko z samą panią Honoratką i kiedy to od jej wspañiałych, bujnych kształtów aż go ciarki napadły.

— Prawda, panie pułkowniku — odrzekł smętnie. — Dziecko! Chude to, drobne, kościste... żeby... żeby to była... prawdziwa niewiasta.

— Toby ci się pewno wodzić nie dała!... Hm!... Jeden Dziurbacki potrafi.

— Nikt inny! — przyznał gorąco Zarzycki, któremu równie oczywistem się stało, że nikt inny w baterji nad starego profosa, wszystkich sztuk najosobliwszych majstra, wybrnąć zręcznie z kłopotu nie zdoła.

— Czy jest na służbie?

— Dziurbacki? — Gdzieżby!

— Wołaj go do mnie.

Rozkaz tymczasem łatwiejszy był do wydania, niż do spełnienia, choć z pozoru szło niby o zbudzenie jednego z nierozdzielnych, niemal nieodłącznych baterji konnej strażników. Profos Dziurbacki bowiem ze zgola osobliwej korzystał wolności a bodaj samowoli, która poczęła się w czasach niemożliwych do ujęcia.

Każdy z dowódców baterji kapitanów, żołnierzów, ilu ich od formacji roku 1815 było, — już Dziurbackiego takim zastał. A choć ten i ów usiłował Dziurbackiego w rygorze właściwym a w odległości przystojnej utrzymać — nie zdołał, bo ani postrzegł się, gdy profos górę wziął i po swojemu, po dawnemu się zachowywał.

Bywało dawniej, że sam generał Hauke o Dziurbackim czegoś się dowie i marsa nań postawi. Profos artylerji gwardji, niby uszy stuli, niby zezuje strachliwie, a po chwili za pan brat rozmawia z generałem o jakowychś razem przebytych turbacjach. Bywało, że sam Wielki książę wpadnie do koszar chmurny, zły, nieporządek na gorącym ucapi i pułkownika Szwerina, cały sztab dywizji gwardji na równe nogi zerwie i dopieroż każdemu, według rangi, rozdawać zacznie. Generałowi Krasińskiemu twarz zblednie ze wruszenia, Milbergowi aż zęby szczękają, oficerom, żołnierzom dech w piersi zamiera a Dziurbacki nic, zezuje po swojemu, żuchwami ospowate policzki porusza — aż sobie spojrzenie Wielkiego księcia wymani.

Książę spojrzy ostro z pod rudych, krzaczastych brwi, zda się, profosowi na lejbiku plamę znajdzie lub czapę zbakierowaną spostrzeże, gdzie tam.

— I stary Dziurbacki — a ty co? — zawoła rażno książę. Profos wyprostuje się, huknie bez zajknięcia.

— Garści nie pożałuję, co by subordynacja była!

Książę, na taką odpowiedź, roześmieje się i niekiedy dorzuci z intencją, aby profosa wytrącić z rezonu.

— A cóże myślisz o tem?

— Że jednemu więcej delikwentowi skórę wytataruję.

— He! A tobie kto za czapkę na uchu?

— Mnie? Juści nie ma komu, bo profos nie kapucyn, aby samego siebie umartwiał...

A że po tego rodzaju djalogu z Dziurbackim, książe rozchmurzał się zazwyczaj, stąd na profosa spadała jeszcze większa estyma. Najzawziętszy z kapitanów przez szpary na sprawki Dziurbackiego poglądal.

Sprawek tych zaś było ciągle pod dostatkiem.

Srogi na paradach, inspekcjach i rewjach, zwolennik ładu i subordynacji, na codzien miał wprost do niej obrzydzenie. Jako profos a więc dozorca aresztu koszarowego, nosił klucz odeń zawsze w kieszeni, lecz drzwi na klucz nie zamykał. W czasach, kiedy różgami szkołę żołnierza uzupełniano — Dziurbacki siekł okrutnie, ale lawę. Do apelu, jak rok długi, nie stawiał się, tak że w ostatku przestano go wywoływać. Z koszar o każdej porze dnia i nocy wymykał się. Nic mu nie mówił ani szyldwach, ani służbowy oficer, ani kapitan, ani pułkownik, bo daremny byłby to trud.

Oczywiście, że Dziurbacki musiał posiadać nie tylko dowcip, nie tylko owo kaptowanie sobie żołnierzków symulowaniem kar, że tyle powolności i zachowania osiągnął.

Jakoż istotnie, profos miał zalet i zasług, osobliwych niekiedy, ale mnóstwo.

Najpierw, choć nikt nigdy, nawet sam wykaz służbowy, nie wymiarkował, ile lat może mieć Dziurbacki, przecież był niezawodnie najstarszym wiekiem w baterji i był nadto żołnierzem, nie mającym równego w całym wojsku, gdy szło o wspomnienia, o dawne dzieje. Najsędziwsi nie mogli mu strzymać, bo gdy mu który legjonami, on mu Kościuszką, a gdy kto o Kościuszcze, on mu o Barskiej konfederacji, o porwaniu króla jegomości i o dragonach królewskich. Pamięć przy tem wyborna i zażyłość z tymi, co z dawnych jego rówieśników na dygnitarzy i generalów powychodzili, bardziej jeszcze potęgowała urok tych wspomnień.

Lecz i ten urok jeszczeby niebył wyrobił profosowi tych przywilejów, bo śledziennicy mruczełi, że Dziurbacki umiał być i pod Jeną i pod Auerstaedtem równocześnie, że w tym samym dniu i roku raz bronił Gdańska a raz Lip-

ska — raz odbywał kampanję roku dwunastego w piątym korpusie księcia Józefa, a raz w legji nadwiślańskiej — gdyby nie inne talenta. Talentów tych miał profos mnóstwo, sensem zaś tych talentów była sztuka uczynienia się każdemu niezbędnym.

Dziurbacki był balwierzem znakomitym, cyrulikiem, rwał zęby, miał leki na każdą bolączkę, preparował różne trunki przedziwnej delikatności, umiał piec ciasta, warzyć, smażyć, niczem sławny Tremo, kuchmistrz czwartkowych obiadów. Był snycerzem i cieślą, kołodziejem i szewcem, krawcem i ślusarzem i majstrem na wszystko, z czem sobie kto nie umiał poradzić.

Stąd w baterji, żeby kto się nie wiem jak zarzekął, musiał do Dziurbackiego wędrować. A niech, broń Boże, w drodze, przed paradą, w gorączkowym momencie coś się zepsuło, urwało, złamało, rozdarło — bez profosa nie byłoby ratunku.

Dziurbacki nadto był chętnym, uczynnym, gderał zawsze, mrucał, wyrzekał, lecz byle zdarzyła się robota, choćby bez nadziei wdzięczności, miał się jej z zapalem. W zamian, gdy i na profosa przychodziła kreska i gdy z baterją musiał wlec się, trwać na pozycji a, jak ostatnio, w bitwie się kollarować, wówczas profos rzedniał, tracił rezon i zgola lichym był żołnierzem. Najczęściej zaś, w stanowczej chwili, ginął raptem, zawieruszał się, przepadał. Dopiero, kiedy przy apelu, zaczynało się oń trwożyć i suponować, czyli Dziurbackiemu nieszczęście się nie stało, profos, niby z pod ziemi, się jawił. I jawił się z gorącą opowieścią o jakowejś nieslychanej przygodzie, o jakowemś bohaterskim starciu, które go z ordynku wytrąciło.

A że, czy po rewji, jak niegdy, czy po bitwie, jak teraz, mnóstwo na majsterstwo Dziurbackiego bywało spodziewań tedy nikt mu nie przeczył. Dziurbacki znów tak żwawo umiał się zakręcić, tak wygodzić i rannym i spragnionym i głodnym, że ani miejsca nie było na wymówkę, na docinek, na niedowierzanie. A jeżeli kto ze złośliwych, czy weredyków, pomimo tego sposobność upatrzył, a profosowi wypomniał to jego znikanie, — niechybnie pożałował niepolityczności, bo Dziurbacki zawziętym był i urazy

łatwo nie przebaczał, nie darmo z Kurpiów się wywodził..

Zarzycki więc w nielada był kłopotcie, gdy mu pułkownik kazał wezwać Dziurbackiego. Profos bowiem i tym razem umknął i tak, że nawet do apelu się nie stawił.

Lecz, z nawyknięcia do ślepego posłuszeństwa, Zarzycki podążył do granatnika, za którym profos baterji włókł się zazwyczaj, aby akuratnie pułkownikowi nieobecność Dziurbackiego zaraportować.

Przy granatniku, stojącym na krańcu pozycji, krom szyldwacha, czuwała cała obsługa pod wodzą podporucznika Prószyńskiego.

Zarzycki zameldował rozkaz Bema.

Podporucznik, który, jako nowomianowany do baterji konnej, miał samowolę Dziurbackiego na wątrobie, obruszył się.

— Widzisz, acan, że go niema. W mej komendzie chodzi, lecz pod własnym przewodem!

— Kto idzie?! — rozległ się w oddali głos wysuniętej placówki.

Podporucznik nie zważał na niepokój szyldwachów.

— Ż pod ziemi ci Dziurbackiego nie wydobęde. Przyczaił się gdzie w norze i wojuje..

— Jak mam panu pułkownikowi?..

— Jak się acanowi podobał — uniósł się Prószyński.

— Tój — bo strzełę — groził w oddali chrapliwy głos.

— Baczność! — ostrzegł szyldwach przy granatniku.

Prószyński, a za nim cała gromadka zwróciła się w stronę, kędy na wedecie stał żołnierz z podniesionym do strzału pistoletem i mierzył w stronę, widniejącej o kilkanaście kroków, przed nim, postaci.

Postać zatrzymała się, zrzuciła na ziemię, dźwigany na plecach, toboł i ozwała się gniewnie.

— A ty co sobie, gamoniu jeden, imaginujesz!

— Hasło!

— Bodajś skisł!.. Pomacaj no się dobrze a najdziesz micjsce, gdzie ci hasło profosowe wypisałem!

— Dziurbackill! — zawołano przy granatniku. Prószyński wyslorował się ku placówce, aby kres położyć wydziwianiom Dziurbackiego.

— Hej-sam! — Przepuścić!

— Skaranie boskie! Własnego profosa, mosanie, krucicą będzie straszyl! Akuratnie pan podporucznik! Smarkul jeden. Drugi by podskoczył i pomógł.

— Dosyć tam! Służba! Placówka miał prawol — gromił Prószyński.

— To się wiel — mrucał profos, zabierając porzucony toboł i dźwigając ku wózkom amunicyjnym. — Kto się wyleguje a kto ledwie teraz docłapać się może po batalji!

— Dziurbacki powinienby sobie przepowiedzieć służbę połową — bo u mnie, w mojej kompanji musi statek być!...

— I sprawiedliwie — odparł bez zajäknienia profos — rekruta różnego, co ledwie liźnął szkoły żołnierza, znalazło, że niepedobna. Opatrzność pana podporucznika — inaczej, mosanie, taki szczygieł wypaliłby w łeb rodzonemu profosowi!...

— Dowiesz się acan jutro od pułkownika, kto ma rację!

— Jak pan podporucznik rozkaże, chociaż zawzięty nie jestem. Młodziak nabił sobie głowę hasłem!...

— Milcz, acan, nie lubię rezonów, do milion!!!

Dziurbacki uszy stulił i, złożywszy dźwigany toboł na ziemi pod wózkiem, jał go rozwiązywać a rozkładać.

Przez chwilę słyhać było jeno odgłos energicznych kroków podporucznika i, towarzyszące im, brząkanie ostrogami. Kanonierzy milczeli wyczekująco. Zarzycki baczył, aby się ozwać do Prószyńskiego a przypomnieć mu rozkaz Bema.

Aż raptem Dziurbacki mruknął półszepsem — ale tak, że go wokół słyhać było.

— Czekałskil! Ogniomistrzu! Nie pełnisz służby!? Pomóżże mi, mosanie. Widzisz, dwie flasze siwuchy! Weźmiesz i, jak pan podporucznik pozwoli, wydzielisz każdemu...A tu ci, widzisz, maślacz, jużci nie na kanonierską gębę. Panu podporucznikowi dasz, bo ja nie śmię. Zekpał mnie sprawiedliwie, bo i ktoże mógł zgadnąć, że mnie grenadjerzy zajęli i wciągali na most do Ostrołeki!... Maślacz, tedy, dasz panu podporucznikowi. I dasz mu te dwie chorągiewki bataljońskie, com je w pojedynkę zdobył a tu, po rotmistrzu huzarskim, com go zwałil, sabeltasz srebrem

szyty, pistoleciki nabijane i mentyki! — Uchodzi, aby z tak okrutnej batalji zostało niejaki przypomnienie! — Tako czyniliśmy niegdy pod Marengo i tak pod Friedlandem. Wiesz, mosanie, co to było Marengo? — Nie wiesz, krótko żyjesz!... To sobie zakonotuj, że imć pan generał-wojewoda Dąbrowski arsenal własny miał, bo z każdej potrzeby coś zachował a coś ode mnie kupił i ta się uskróbało. Ale co pasuje oficerowi, to nie uchodzi ciurze. Nie powiadamei, ogniomistrzu, abyś ciurą był, jeno byś się nie równał z tem, czego nie sięgniesz. Kalkulujesz sobie, epoleta podporucznikowska nie parada dla ogniomistrzowskich obszlągów i kumać byś się rad. A tu, bratku, mosanie, gdzie Rzym a gdzie Krym! Ani się obejrzyysz, jak ci twojemu panu podporucznikowi szlufy napęcznieją.

— Patrzące, że, w dziewiątym roku, naszemu podpułkownikowi mówilem prawie: Józiu! — A teraz, czuj duch, bratku mosanie! Tedy, ogniomistrzu, weźmiesz sobie z dzisiejszej batalji tę parę butów. Tęgie, palone! Był ci taki jeden akurat, któremu już były niepotrzebne. Czy będąc do nogi? Nie turbuj się, znam twoje guzioly. Akurat masz na nie miejsce. Tu jest kapciuch tytuniu przedniego, złocistego. Zameldujesz go panu kapitanowi. Te lejbike zbrukane, lecz byle je wyprać, zdadzą się lontowemu, jakże mu — Kucharczyk.

W miarę rozkładania zawartości toboła, zaciekawienie wśród żołnierzy wzmagalo się. Ten i ów przysuwał się nieznacznie ku Dziurbackiemu. Ten i ów bąknął coś.

Profos tymczasem coraz śmieiej perorował, dla każdego z żołnierzy znajdując jakiś przedmiot. Jednemu pas nowy, drugiemu podpinkę do czapy, na miejsce rozerwanej, temu lederwerki, innemu uździennicę, czwartemu koszulę, piątemu choćby furaższnurów nowiutkich parę. A wszystko tak grzecznie dobrane, że jakby z magazynu balcerji, z komisarjatu wprost. Stało się to zaś tak prędko, że podporucznik, który z całej mocy silił się, aby nie zważać na apostrofy profosa i w gniewie wytrwać, ani nie spostrzegł, gdy i jego i całą obsługę granatnika jakoweś rozmazanie zdjęło. Na szczęście atoli dla powagi podporucznika, nawinął mu się przed oczy Zarzycki.

— Profos Dziurbacki — sam proszę do mnie!

Dziurbacki wyprężył się przed Prószyńskim bez mitręgi.

— Udasz się acan natychmiast do dowódcy baterji! Imię Zarzycki cię doprowadził...

— Czy mam co zaraportować... czy pan podporucznik...

— Dowiesz się od pułkownika! — zakonkludował Prószyński.

— Uważam! — mruknął niepewnie Dziurbacki, zaczem zakręcił się jeszcze przy tobołku, coś zeń wyjął i do ładownicy wepchnął a coś do amunicyjnego wózka schował i, oporzadziwszy nieco swój uniform, poszedł za Zarzyckim.

W drodze, Dziurbackiego, który był z początku nasronżony szedł, konfuzja zdjęła, bo przystanął raptownie i ozwał się do Zarzyckiego.

— Czekażże, niechże wytchnę! Uf! nie na moje lata tyle umęczenia. Masz tu manierkę. Pociągnij sobie. Ja nie piję! Tobie, młodemu, nie zawadzi! He! — cóż naskarzył na mnie — pułkownika nasądził? He?...

— Gdzie zaś, ojczy profesiel

— Myślisz! A niby skądże mnie po nocy...

Zarzycki odpowiedział Dziurbackiemu o cyganisze.

Profos poweselał.

— Dziw, dziw taka historja! Teraz wiem. Markietańskie dziecko... Widziałem. Wózek pod zagajnikiem. Kartaczami go dosięgnęło i zesmoliło... I szkoda, bo siła dobytku się zmarnowała, lichy co dało się uratować...

— Jako więc ratowaliście?...

Oczy Dziurbackiego lysnęły zezem w świetle księżyca.

— Niby ja? Cóż znowu! Mówię tylko, bratku mosanie, — bo widziałem, jak się resztki bryki kopcily! Z cyganów ledwie półcie osmażone ostały... Jak szukałem was, tedy przechodzilem tamtędy. Sam myślałem, — lecz czego ogień nie strawił, to maruderstwo złupilo.

— Niezawodnie, bo sam, pemnę, stary cygan, przy kamizeli, guzy szcerosrebrne, jak śliwy wielkie, nosił, a babie aż się szyja lśnily od łańcuszków.

Dziurbacki się obruszył.

— Ot, już, gotówes skarb cały w budzie włóczęgi cygańskiego znaleźć! Śliwy! Z ołowiu albo i lepiej!

— Powiadam tylko.

— Lada czego i powiadać nie trza — warknął z pasją Dziurbacki i zaciął się tak, że, gdy w otworze rozwalonej stodółki ozwał się doń laskawie pułkownik, stary ledwie bąknął.

Lecz Bem nie myślał do serca brać niehumoru wiarusa.

— No, Dziurbasiu, czeka tu na ciebie nielada kłopot! Patrzże na to biedactwo.

Profos spojrział obojętnie w stronę, kędy, na posłaniu ze słomy, drżała konwulsyjnie, szmatami spowita, postać.

— Należy coś pomódz! Zająć się — wyprawić do miasta...

Dziurbacki podszedł do posłania, przyklęknął i jął rozpatrywać leżącą.

— I cóż myślisz?

Profos uchylić chciał rąbka koszuli, aby widniejące okaleczenie zbadać, i targnął niebacznie strupem zeschłej krwi. Ciało dziewczęcia zadygotało. Pod ramieniem ukazała się czarna, spieczona rana.

— Nie wiadomo! Trza do żywego iść, trza opatrzyć! — Skóra i kości.

— Nie wylize się?

— Kto ją! — mruknął profos — oglądając głowę rannej — tu nie rozeznasz, co jest, a czego niema. Trza to do porządku doprowadzić.

— Czyń, co uważasz.

— Wola pana pułkownika!

— Wydaje mi się tylko zmordowana i potluczona. Twojej opiece ją polecam. Za dnia, trzeba będzie ją do lazaretu — gdzie przyjdzie do siebie, to może dobrzy ludzie przygarną.

— Jak pan pułkownik rozkaże, zrobi się, mosanie, akuralnie a co zresztą wola Boża. Aby mi krzynkę Zarzycki pomógł i aby mi ze służbą sfolgowano, bo to u młodego podporucznika łatwo staremu o guza.

— Bajesz, Dziurbasiu! Ktoby ci dobrego nie życzył. Bierżże sobie Zarzyckiego i czyn.

Profos, za całą odpowiedź, podsunął garście pod dziewczynę i śmignął ją sobie na ramię.

— He, jakże bo! — zdziwił się Bem.

— Akuratnie trzeba, panie pułkowniku — odrzekł profos i, skinąwszy na Zarzyckiego, skierował się wprost na most omulewski, a stąd w dół i do rzeki.

Tu ułożył dziewczynę na murawie i, przykazawszy Zarzyckiemu pilnować jej, poszedł do wózka amunicyjnego, kędy chudobę swoją skrył i, wybrawszy zeń spore zawiniątko, wrócił nad rzekę. Zaczem wyprawił Zarzyckiego, aby mu derkę i dwa wiadra od pojenia koni przyniósł z baterji, a kiedy podoficer spełnił polecenie, Dziurbacki wskazał mu pobliski wzgórek i rzekł:

— Staniesz sobie acan tam i będziesz dawał baczenie, aby kto mi nie przeszkodził.

— Toć tu mogę! — bronił się Zarzycki, którego okrutna ciekawość zdjęła, jak sobie stary poczynąć będzie. Profos słuchać nie chciał o ustępstwie.

— Młody jesteś — obrzasku byś dostał. Nie uchodzi, mosanie, bratku. Dziecko dzieckiem a dziewczyna dziewczyną. Marsz, jak powiedziałem.

Zarzycki, rad nie rad, zajął wyznaczone sobie stanowisko.

Profos rozejrzał się, sprawdził, czyli krzak nadbrzeżny dostatecznie chroni przed spojrzzeniami ze wzgóрка, i do pracy się zabrał.

Więc najpierw czapę odrzucił, zdjął z siebie potrzeby, ściągnął mundur i zakasał rękawy po łokcie. Dalej rozpostarł na murawie zawartość zawiniątko. Derkę tuż obok rozłożył i, ujawszy za wiadro, zaczerpał wody i chlusnął zeń raz i drugi na dziewczynę. I dopiero, kiedy lachmany cyganiątka wskróś wodą nasiąkły, ujął za kozik i porozcinał je i płatami podejmował. Uporawszy się z nędznem odzieniem dziewczyny i precz je odrzuciwszy, zabrał się do skrupulatnego omycia skrzepów krwi, rany i okaleczeń.

Chude, wątłe ciało opatrywanej, oblane trupiemi światłami księżyca, drżało, dygotało, na wpół rozchylone usta dziewczęcia wydawały zdławione jęki. Dziurbacki nie zważał, pochłonięty teraz bandażowaniem urazów i rany.

Lecz gdy nareszcie mogłoby się zdawać, że profos z najtrudniejszym się rozprawił, że zgola, niby chirurg, dokończył dzieła, — Dziurbacki ledwie nałożył bandażę dla zabezpieczenia skrwawic przed mydłem! Bo, w jednej chwili, po zasupłaniu ostatniej przepaski, nabelfał białej piany i płóciennym wiechciem jął wycierać pacjentkę. A musiał w tem Dziurbacki dla się nielada znajdować przyjemność, bo aż sapał a dogadywał półgłosem:

— Widzisz, cygański morusie! Znaj artylerję konnej gwardji! Nie stękaj, bo cię nie krzywdzę, jeno lustru krzynkę ci dobywam! Świdruje cię w nosie — furda, bratku mosanie, mydłem się nie udławisz! Siup wody! Lu — jeszcze i jeszcze mydła, aby ci blocko gojeniu nie bruździło! Uda ci się to przynajmniej na sądzie boskim staniesz pocziwie!... Patrzcie, jak to bieleje cygaństwo! Dawaj lba! Koltun jeden. Bilgorajki nie symuluj. Taak! A co — i koltun umyka. Daj, jeszcze cię przemydlę! Do cna! Niby nieprzytomne, a jak się toto kręci. Nie bój się — niczego ci nie omknę! Nie dygecz — toć maj a nie grudzień!... Teraz lu! wody... i jeszcze!...

Dziurbacki, sprawiwszy dziewczynę, niby szczupaka, czystą plachtą głowę jej obwinął i poniósł na derkę.

Ale i tu jeszcze nie koniec był zabiegów profosa, bo ukucnął na murawie i, dobywszy blaszanego puzderka, zabrał się do ponownego i skrupulatniejszego obmycia, namaszczenia i przewijania ran i okaleczeń. Aż kiedy i tego dokazał, krzyknął na Zarzyckiego i, zawiąwszy w derę dziewczynę, kazał mu ją nieść na pozycję, między wózki amunicyjne. Tu ułożył ją, okrył drugą jeszcze derą, wlał jej w usta wódki i, zbywszy się podoficera, przysiadł się do leżącej i, kiwnąwszy się raz i drugi, zasnął.

Ale, po tylu trudach, nie danem było profosowi zasłużonego wczasu znaleźć, bo ledwie zemknął powieki, zmory nań przysły dokuczliwe. Oto, niby na jawie, nasadziło się nań czterech aż potępieńców. Hiszpan, Niemiec, Włoch i cygan. I przysławiali doń, szczerząc trupie czaszki a wyciągając doń skrwawione kikuty. Dziurbacki paktował, tłumaczył im, że nie przystoi, aby cztery nacje różne, bo i cygana chciał sobie ująć, na jednego szły — ale oni nic —

darli się do niego!... Dziurbacki w nogi, a oni za nim. On do koszar, oni do koszar, on na odwach, oni na odwach. Kamraci stoją, wola by go ratowali, nikt się nie ruszy. A Hiszpan dyszy mu za plecami, a rechocze, a sięga go kikutem. A cygan wyje w głos, że wstyd — oddasz mie-szek, coś go wziął! — Profos pędzi na oślep, wpadł na drogę ocienioną... Teraz byle skrócić! w bok i już Zapiecek a na Zapiecku, u kumy Olesiowej, jego stancyjka, o której żywa dusza nie wie. I sama Olesiowa nie wie, bo paraliżem ruszona, już trzydziesty rok leży i do stancyjki dostać się nie może! Tam schronienie, tam ratunek! Już wi-dać kamieniczkę zapiecką, już widać się — aż tu, naraz, piach, piach grzązki, nogi mu więzną. Mocuje się, mocuje, nie może pospieszać! A Włoch teraz już, już go ma pochwyć! Dziurbacki dopadł sieni, runął na piąterko, dał susa do mieszkania Olesiowej, zawarł drzwi i dalej, po drabinie, do stancyjki swojej. Skrzynię żelazną wsunął pod łóżko a sam w pierzynę. A tu z dołu idzie rumor piekielny. Napastnicy wałą drzwi, Olesiowa nawołuje — co wy, czego wy!? — A oni ryczą — kuma waszego chcemy, mieszków naszych, co nam zabrał, chcemy! — dudnią po drabinie. Już weszli i idą doń kołem, czaszki wyszczerzone, szydercze, kikuty skrwawione wyciągają. Profos porwał za krucicę, wypalił raz — nic, kikuty coraz bliżej, bliżej... wypalił drugi raz — nic. Chwycił za pałasz, ciał — czaszki jeno mocniej się wyszczerzyły...

— Jesteś, jesteś! — syczą.

— Oddam, wszystko oddam! — jęczy Dziurbacki.

— Zapóźno — zapóźno! — skowyczą szydercze głosy. — I w tej samej chwili kikuty skrwawione dosięgają jego szyi.

Dziurbacki szarpnął się z całej mocy, aby ująć kikutem, i obudził się.

Dniało. Profos otrząsnął się, przetarł oczy, splunął od uroku, sięgnął w zanadrze i, namacawszy ukrytej pod mundurem kieszeni — odetchnął z ulgą.

Ciche, przeciągłe westchnienie odpowiedziało profosowi.

Dziurbacki odwrócił się i przeżegnał zabobonnie.

Tuż przy nim, z derek artyleryjskich, wychylała się ku niemu główka młodziutkiego dziewczęcia o twarzyczce delikatnej, niby z filigranu wyrzeźbionej, o usteczkach wpółotwartych a drgających zlekka, w takt sennego falowania misternych chrapek.

Profos jeszcze spoglądał a myśli, zwichrzone wspomnieniami mary, co mu dokuczyła, porządkował, gdy hen, od wschodu dźwignęła się kula ognista i purpurowem rzuciła przed się światłem.

Światło oblało twarzyczkę dziewczęcia, zaróżowiło ją i perłami rosy zagrało w jedwabistych złoto-popielatych, jakby z kobierca zielonego murawy wyrosłych, splotach. Konik polny, który sobie za uszkiem dziewczyny drzemał, bęcknął skrzydełkami, zadzwonił po swojemu na dzień dobry, pyszczka musnął, różki nastawił i odleciał.

Dziurbacki pokręcił głową i rozśmiał się do siebie.

— Cie — farfurka dopiero! Żeby, żeby tak Staszek chodził po świecie, to taka wypadłaby mu dwojaką wnuczką. A może nie. Staszkowy syn byłby już dla córki o gospodarstwie myślał.

Dziewczę poruszyło się niespokojnie. Dera usunęła się i odkryła wążle, obandażowane ramię.

Profos zafrasował się, podźwignął i podszedł do wózka amunicyjnego, kędy był swój tłomoczek zostawił i jął przebierać w nim a oglądać rozmaite części umundurowań. Wreszcie wydobył zeń koszulę zgrzebną żołnierską, parę butów huzarskich i huzarskich malinowych rajtuzów, pas biały grenadjerski i poniósł do dziewczyny.

— Heł Myrgasz już oczami. Na zdrowie! Masz tu przyodziewek! Hycaj głową w koszulinę.

Dziewczyna otuliła się trwożnie derą. Profos zdarł ją bez pardonu.

— Głupstwo, mcsanie! Fraucymeru ci się zachciewał! Nie płacz! Wolalabyś golem ciałem łyskać! Taak! — Ładuj się w huzary! Nie marudź, kiecki ci z pod ziemi nie dobędę... A spiesz się, już Klimek po trąbę sięga — dopiero miałabyś się kogo sromać! — Idą ci, no prawie. Huzarzyna cienki był, niema co! dobrze się złożyło — a już miałem mu rajtuzy zostawić... Nie majdruj, czekaj, daj, ściągnę ci

hycelka! Jeszcze lecą, furda, mosanie, pasa ci dopnę! — Teraz okręć nożynę gałganami, więcej, bo ci się będą bełtać... I buty! Zaraz, włożę ci pakuł w noski, to ci skróci. A no! A co?!...

Dziurbacki zaśmiał się na całe gardło. Dziewczyna, która z początku z widocznym przerażeniem spełniała rozkazy profosa, spojrziała po sobie ciekawie i zarumienila się.

Dziurbacki skrzywił się uciesznie.

— Idzie ci — nic. Teraz do kołtuna. Jak robić, to robić. Siadaj tu, w wądole... Zgrzebla by chyba na taki targon a nie grzebuszka. Znów piszczysz? — Widzisz, do rajtuzów był mentyk oficerski, ale go darowałem podporucznikowi... Nie szkodzi, wycyganę go z powrotem. — Przystoi nawet wycyganąć, kiedy dla cyganiątka!... Będziesz miała mentyk, furażerkę ci upatrzę. Na polu jest tego dobrego, że przykro widzieć tyle marniejącego dobytku. I cóż, będziesz miała prawie! — Nie wierć się, mazgajul! Jeszcze twojej babki nie było na świecie, kiedy ja już grzywy koniom czesywałem! W artylerji gwardji jesteś, to musisz po ludzku wyglądać... Tylko mi się nie przylep znów do harmaty, bo cię do cna roztrzęsie. Mnie się pilnuj! Rozumiesz, co do cię mówię! — He? Co?

— Tak — szepnęła dziewczyna.

— Czyjaś ty córka? — Cóż nie odpowiadasz? Jagów? He?

Dziewczyna zadrżała

— Z Jagami przecież byłaś, jakżeś na niego wołała — kumie?...

— Wuju.

— Ano — i pilno ci do nich, do budy! — Czegóż dygoczesz? Nie pilno ci — to i lepiej, bo im także nie pilno. Jak ci na imię?

— Cilli.

— Czyli, co?...

— Cilli.

— Głupstwo, mosanie! Czyli! — Takiego imienia nie ma, nie było i nie będzie!

— I Zula — dodała rezolutnie dziewczyna.

— Koszałki opalki. Czyli — Zula dobre dla jamniczki,

dla legawej może! Hm — widzisz, gdyby Staszek żył a miał syna, to ten jużby miał tyłą córkę. Po dwoistej babce byloby jej Antoszka! Rozumiesz? Więc ten... na imię ci Antoszka!

IV.

Po dziesięciodniowym wleczeniu się z pozycji na pozycję a ostrzeliwaniu awangardy, następującego, za cofającym się z pod Ostrołki wojskiem polskim, generała Witta, baterja konna artylerji gwardji dosięgnęła Pragi. I oficerowie i żołnierze ze szczerem ukontentowaniem powitali mury warszawskiego przedmieścia. Dokuczyla im ta cała wyprawa, srodze dokuczyla. I nie dla niewczasu, nie dla zmęczenia i nie dla poniesionych szczerb, lecz dla myśli, że właściwie niewiadomo, dlaczego odbywali forsowne marsze i kontrmarsze, dlaczego zawrócili dobrowolnie za Narew i że, wciąż zapomniani przez sztaby, skazani byli w ostateku na słuchanie rozkazów lada szpicy kozackiej, lada podjazdu nieprzyjacielskiego.

I oficerowie i żołnierze wracali ku Warszawie chmurni, zniechęceni, przygnębeni. Pierwsi z mrowiem racyj o błędach, uchybieniach strategicznych, drudzy, bez tych racyj, ale z przeświadczeniem, że nie tak obiecywano sobie, że nie tak być powinno, że musi inaczej, należy.

Dopiero w pobliżu Pragi, kiedy ku baterji wyjrzały z mgieł garby szanćów — otucha w nią wstąpiła a szczególnie, kiedy ukazało się jej obozowisko aż dudniące od rozgwaru i fantazyj. — Gdzieżby z taką chmarą zuchów można sobie desperacją zaprzętać myślenie! Byle się wódz naczelny zawziął a lepiej się uczyni niż pod Dębem.

W Warszawie baterję nie tylko wytchnienie czekało, ale i nowin mnóstwo. Więc rozkaz dzienny mocny a hardy generała Skrzyneckiego; wiadomość, że Dwernicki, bohater z pod Stoczka, z całym bohaterstwem swoim przeszedł granicę austriacką i złożył broń, że był to zresztą całe doniosły fortel, bo korpusik Dwernickiego niechybnie, boczną drogą, do Warszawy powróci. Prawda, że bez broni — lecz broni w arsenałach jest zadość. Dalej, że generał Chrza-

nowski już ostatecznie z szefostwa sztabu ustąpił a na jego miejsce wszedł Lubieński, biorąc równocześnie rangę generała dywizji i że stąd Prądzyńskiemu zostało się samo kwatermistrzowstwo; że generał Lafayette przysłał podziękowanie za tytuł gwardzisty narodowego i że wielka z tego powodu odbyła się parada; że w Ogrodzie Krasieńskich sprawiono ucztę dla „najwaleczniejszych“ i że „całe“ miasto do rana hasało; że fałdy i cywile broją coraz więcej, że trzaby raz porządek uczynić, aby znali mores dla rangi, dla wojskowej zasługi, bo tu ani sejm, ani Rząd narodowy niema nic do roboty, najpierw kampanję należy rozegrać, a wtem generalskie głowy a nie poselskie gadania, lecz na to sposób będzie, nie darmo, na obiedzie pod Blachą, hukano „niech żyje Jan IV“.

Takich i tym podobnych dowodzeń, nowin, wieści mnóstwo całe przywitało na Pradze baterję artylerji gwardji.

A że baterja spragniona ich była i udręczona pochodowym ordyńkiem, więc, gdy jeno zatoczyła armaty a siako tako się posiliła, wnet rozgadała się *de publicis* z kamrami i znajomkami, którzy ze wszech stron obozu do baterji nadciągali.

Fukał niby na niesforność kapitan Orlikowski, napominali perucznicy, lecz dla tego bodaj, aby im samym zaciszniej było nad położeniem sprawy się zastanowić a zdecydować, czyli wódz naczelny powinien się dyktatorem ogłosić, czyli powinien dowództwo innemu generalowi oddać i mianowicie któremu.

Gdy tak baterja na dobre do sejmikowania się zabrała, jej naczelnik precz wyczekiwał w kwaterze głównego sztabu na zameldowanie się. A było to zadanie trudne, bo małe, prowizoryczne izdebki sztabu zalegała ciżba oficerów rozmaitej broni, bo każdemu z nich było pilno, bo nareszcie na głowie jednego pod-szefa Lewińskiego spoczywała cała sztabowa dyrekcja.

Napróżno Bem oglądał się, czyli gdzie kogo z lepiej mu znanych oficerów nie zobaczy. Widział dokola majorów, kapitanów, podporuczników, jakichś dygnitarzów zgola, w mundurach gwardji narodowej, w uniformach, których nie znał, lecz żywego ducha bliższego.

Aż dostrzegłszy generalski kornierz, przed którym grada rozstępowała się z uszanowaniem, odważył się zapytać, stojącego w pobliżu, oficera w granatowym, osobliwego kroju mundurze.

— Za pozwoleniem, co to za general?

Oficer spojrział ze zdziwieniem na Bema.

— Przecież to Sałacki! Jeden z tych, którzy pod Ostrołęką zdecydowali o naszym zwycięstwie!

Bem rozwarł szeroko oczy.

— O którym zwycięstwie?

— Widzę, że pułkownik nic nie wiesz. Pozwól pan, jestem Stanisław Sikorski — wódz augustowskich partyzantów — z kim mam honor?

— Józef Bem!

— Owóż, kochany panie Józefie dobrodzieju — zaczął z całą swobodą wódz — najpierw pozwól sobie wyrazić radość moją z poznania tak dzielnego oficera!

— Mości naczelniku.

— Więc podpułkownik nie znasz kochanego pana Antoniego? Sałasia pan nie znasz! Panie, a toż brylant! To jeden z tych, których wielka, wielka czeka przyszłość...

Tu Sikorski zniżył głos.

— Sałackiego by nam trzeba! On by pokazał — on by poprowadził!

— Do ostrołęckiego zwycięstwa — bąknął zgryźliwie pułkownik.

— Uważam, kochany panie Józefie, że bierzecie bitwę ryczałtowo. Straty muszą być, nie bez strat, ale rezultat. Napoleon, w czternastym roku, niby wszystkie bitwy wygrał i cóż, dokąd go zapędziły? Do Fontainebleau! — Pozwól, podpułkownik. Oto prześliczna relacja „Kurjera Polskiego“... Proszę, czytaj, przekonaj się!

Bem rozłożył machinalnie podany mu numer dziennika i osłupiał... bo tuż do oczu skoczyły mu natrętne litery i wrzasnęły przeraźliwie...

„Oręż polski okrył się nieśmiertelną sławą. Nieprzyjaciel ogromną poniósł klęskę“...

Bemowi na to oczywiste kłamstwo zimny pot wystąpił na czoło. Do takich więc już posuwają się ostateczności,

takiemi łgarstwami usypiają już czujność narodu, więc niedolę, żalobę, nieszczęście, pogrom czynią triumfem!

— Imć pan pułkownik Sikorski — zawołał adjutant.

Przygodny znajomy Bema podążył ku drzwiom kancelarji podszefa. Bem osunął się na ławkę pod ścianę i pogrzążył się w smutnej, bolesnej zadumie.

Dokola niego gwar roześmianych, ożywionych głosów zlewał się z brząkaniem ostróg i dzwonieniem pałaszy kawaleryjskich w jeden zadufany, butny rozhovor.

Dokola niego raz po raz zrywały się huczne opowiadania o jakowychś szarżach, pościgach, czynach heroicznych, raz po raz ścierały się zdania, czyli Łubieński więcej dokazał, czyli Skarzyński a Bemowi zdawało się, że hen, z nad Narwi, z podartych kulami ostrołęckich zagajników, idzie ku niemu ponury jęk „przepadła na zawsze... na zawsze!”

Dwa rude szpikulce wąsów nachyliły się ku Bemowi.

— Panie Józefie! — Panie Józefiel!

Bem spojrział na mówiącego.

— A imć pan...

— Sikorski, mój podpułkowniku Sikorski! Pamiętałem o panu i szepnąłem słówko komisarzowi dyżurnemu, abys nie czekał. Skopowski kręcił się, lecz musiał! Sznat czasu znam Alojzego.

— Dziękuję!

— Niema za co! Rad niezmiernie. Teraz jest generał Hurtig, a po Hurtigu pan zaraz...

Bem wzdrygnął się.

— Po Hurtigu?

— Tak! — podjął Sikorski, nie zauważywszy odruchu pułkownika. — Gdyby nadto czego trzeba panu było, proszę, proszę do mnie, jak w dym.

— Uważam, iż tu nawet ze służbowym raportem trzeba przez znajomości.

— Jak wszędzie, jak wszędzie, kochany panie Józefiel! Przytem naraz i szef nowy i podszef, a tu gwałt, rwetes, bo jeszcze im, na dobitek utrapienia, spadła uczta...

— Uczta!?

— Pcdpułkownik Bem! — wywołał przy drzwiach adjutant.

Bem, nie czekając na odpowiedź Sikorskiego — ruszył do kancelarji.

Podszef szlabu, pułkownik Lewiński, wyciągnął po przyjacielsku rękę do Bema i zagadał żwawo.

— Witam, witam, podpułkownika! Dawno, dawno nie miałem okazji! Cóż nowego, coś nowego! Pewnie żądasz miejsca przy stole honorowym! Ani myśli, ani myśli. Bacz, pięćset osób, a tu generalitet, dowódcy pułków, senat, posłowie, rada miasta, delegacje stanów... Więc niżej pułkownika...

— Za pozwoleniem...

— Gdybyś podpułkownik bodaj wczoraj był się zgłosił.

Siedzący nad papierami komisarz wojenny wtrącił się z boku.

— Podpułkownik Bem został mianowany pułkownikiem.

— Czy być może! — zdziwił się serdecznie podszef. — Winszuję pozdrawiam kolegę. Lecz co tu robić, ani jednego miejsca...

— Daruje pan podszef — ozwał się ostro Bem — ale nie po karty przybyłem, nie po jakieś inwitacje — jeno z raportem.

Lewiński wyprostował się dumnie.

— A — proszę! Mości Skopowski, proszę pisać. Słucham...

— Baterja artylerji konnej gwardji...

— Gwardji! Tytuł ten przestał istnieć. — Proszę zapisać: pozycyjna pułkownika Bema...

— Przybyła na Pragę.

— Skąd?

— Z pod Ostrołęki.

— Więc i pułkownik byłeś! — Co to? — Meldunek! Stan oddziału: siedm koni i ośmiu ludzi, działa w porządku... Phi! Nadzwyczajne! Widzę, żeś pułkownik umiał się oszczędzać.

— Czy są dla mnie rozkazy?

— Mości Skopowski! — Niema? — Niema tymczasem, lecz będą niechybnie. — Artylerji zadość nie mamy, zwłaszcza po ostatniej bitwie.

Tu Lewiński spojrzął na trzymany w rękę meldunek baterji i dodał.

— Arjergarda! Teraz rozumiem! Szedłeś w tylnej straży. No tak, myślałem, żeś pułkownik był w bitwie. Mówisz co? — Żold, amunicja, konie? Pan Skopowski wysłał za wiadomienie do sztabu dywizji i do komisarjatu generalnego. Pułkownik daruje, że nie będę go zatrzymywał, tyle spraw, tyle pilnych spraw...

Bem wyszedł od podszefa wzburzony i, nie bacząc, że pojawienie się jego w antykamerach wywołało teraz poszmer zaciekawienia, przesunął się przez cizbę wojskową i wybiegł prawie na wolny przestwór.

Tu zatrzymał się, odetchnął pełną piersią i skierował się powoli w stronę baterji.

Naraz ktoś nań zawołał po imieniu. Bem przystanął machinalnie, odwrócił się i namarszczył.

Był to Sikorski.

— Wybacz pułkowniku dobrodzieju, że cię trudzę — ale nie mogłem, nie mogłem nie spełnić obowiązku! Tom się wybrał do ciebie z ostrołękami nowinami!

— Pilno mi...

— Odprowadzę pułkownika! — Jak mi dopiero pocziwy Grodziński rąbnął o tem, kto bitwę rozstrzygnął, tak ledwiem się pod ziemię z konfuzji nie zapadł.

— Niema o czem mówić.

— A nie, pułkowniku! Wola twoja zasługi własne umniejszać, lecz takich jak ja, prawo je znać! Ale cóż, masz dokument! Wierz teraz rozkazom dziennym. Sumituję się, proszę o wybaczenie.

Bem usiłował zbyć natręta, lecz ten tak ogniście a tak zacnie jął dalej turbować się swą nieświadomością, a tak zręcznie wpadać do przekonania pułkownikowi artylerji, że ten zlagodniał.

Nadomiar, w chwili, gdy, pomimo to, układał dla Sikorskiego zręczną, ale stanowczą odprawę, aby ująć zbytnim tegoż konfidencjom, — kompanja ósmego pułku piechoty, której obozowisko mijali, na widok Bema, porwała się na równe nogi.

— Bem! — Bem! — Wiwat Bem! — Niech żyje Bem! — huknęli z zapalem żołnierze.

Pułkownik salutował i przyspieszył kroku. Sikorski aż odchrząknął ze wzruszenia.

— Panie Józefie, toć prawdziwa nagroda! Wolę to, niż najpochlebniejszy rozkaz dzienny! Ile rzetelnego serca w nich, ile zrozumienia! Z takim żołnierzem! Eh-ch! — czegoby nie można. Wiem, wiem coś o tem, — zbieraninką zacząłem, ale i ładem i sprawiedliwością i duchem. Ot najważniejsze — inaczey żadna tęgość się nie utrzyma, nie ostoi...

— Bezcynności, kunktatorstwu...

— Święte słowa pułkownika. Owóz nas gnębi, owóz toczy, wywołuje niesnaski... Chłopicki, gdyby nie skrupulizował, gdyby mu mataczyny dyplomatyczne nie świtały! — Ale nie śmiem trudzić dłużej...

— Mam istotnie kilka spraw — a potem, przed zmierzchem, chciałbym do Warszawy.

— Do Warszawy. Więc służę pułkownikowi moja bryczką.

— Ależ gdzieżbym się ważył.

— Zaszczyt mi wyświadczysz. A przy tem, kochany panie Józefie, obawiam się, że wyboru nie masz.

— Lecz nie sam muszę. Jakaś biedota przygarnęła się po drodze do baterji...

— Jest zadość miejsca i na sześć osób.

Bem, po krótkim certowaniu się, przyjął zaproszenie Sikorskiego.

W godzinę niespełna Bem w towarzystwie partyzanta augustowskiego, a mając za sobą, na tylnem siedzeniu, Dziurbackiego z młodziutkim huzarzykiem, któremu, z pod nasuniętego na uszy kaszkietu, co rusz pęki złoto popielatych włosów wypadaly, pędził ku Warszawie.

W takt rażnego chrapania rosłych, tęgich mierzynków, rozinowa szła wartko. Pułkownik podotąd dla swego przygodnego znajomka nieufny, sztywny — rozruszał się z kretesem.

Sikorski wydał mu się zgola zacnym człowiekiem, lu-

biącym dociekać co moment: a ile gotowych do boju jest armat, a ile może być zapasu amunicji w Modlinie, a ile nabojów bierze w pochód przodek amunicyjny, — lecz z gruntu pocziwym. Ot sobie jednym z tych szlachciców, który, na wieść o rewelucji, uniform sobie sam wysztukował, pacholków kilkunastu sformował, jak mu się zdawało, i, pułkownikiem się ogłosiwszy, przywędrował do Warszawy z famą o stoczeniu i wygraniu jakowejś bitwy, o której podkomendni takiego pułkownika żadnego, oczywiście, nie mieli pojęcia. W Warszawie juści łatwiej było z „pułkiem“ sobie poradzić, niż z „pułkownikiem“. Pierwszy bowiem, za wspaniałomyślną zgodą „wodza“, szedł na służbę do prawdziwego pułku a drugi paradował w swoim fantastycznym mundurze, kręcił się po sztabach, recepcjach, zgromadzeniach, wiwatował, biadał a niekiedy zdobywał się nawet na poryw, na ofiarę pieniężną, na pracę pożyteczną. Takich, jak Sikorski, snuło się po Warszawie mnóstwo pułkowników, naczelników, wodzów. Już dyktator próbował ich trzebić, a nie zdołał. Niechybnie było to umniejszanie powagi rang wojskowych, samozwaństwo, — ale potrosze niewinna maskarada, fanfaroństwo ucieszne. Cha i w takich czasach bodaj lepsi byli tacy sobie pyszalkowie, niż ci, którzy z wielkiej troski o arkana polityczne i sukurs gabinetów, hulali sobie w Wiedniu, Londynie, Dreźnie lub Paryżu. Tych tu można było często na ich własny argument uwiązać i do czynu napędzić, na tamtych żadnego nie było sposobu.

Zresztą Sikorski i z tego jeszcze zyskał przychylność pułkownika, że sam i otwarcie jął przyznawać się do swego nowicjatu wojskowego, a gdy Bem wprost zapytał go o partyzancką jego epepeję, machnął lekceważąco ręką i odrzekł:

— Et-tam! Nie wstydziłbyś mnie, pułkownik! Niema o czem. Moje pułkownictwo! Ba, cóżem miał czynić, jakżem się miał nazwać? No, robiło się, co mogło! Żebym to ja miał pułkownika eksperjencję, żebym sztukę znał! Ba! Tyle, że kilkunastu drażkowych szlachetków i lyków z miasteczka przywędrowało ze mną. I Bóg strzegł, że nas gdzie plutonik jaki, zabłąkany nie ucapił. Trociny by zo-

staly! Śmieję się pułkownik zdrów. Człowiek sobie po gospodarsku kalkulował — dasz chłopu palasz w garść i będzie żołnierz!

— W sedno trafiłeś!

— Nieco zapóźno! — przyznał skromnie Sikorski. — No, ale zawsze luda trochę się zdało i pieniądze też się zdały. Choć coś! Pułkownik masz tu juści kwaterę.

— Tak, na Podwalu, przy Piekielku.

— Więc każę tam nawrócić. Ja u Lelewela w kamieniczce, po obozowemu lecz pod dobrą opieką, bo u członka Rządu. Co pułkownik mniemasz o Lelewelu?

— Cóż — dobry człek i znakomity profesor!

— Cha, cha! Profesor! Udało mi się. Hm, ale mocny, na dwie strony rządzi, bo i w pałacu Radziwiłłowskim i w Patryjotycznym. Siedzi sobie po prawicy i po lewicy! Ale czynszu nie daruje — oho — ani myśli! — Panie Józefie, lecz może byście chcieli na ucztę do Saskiego ogrodu?! Kto wie, możeby należało być. Pojmuję szlachetne skrupuły. Dostyc zabaw, dostyc uciech — nie pora! — Daje ją pierwszy pułk gwardji narodowej, *alias* imię pan Ostrowski funduje. Parada będzie setna, iluminacja, tany, wódz naczelny, prezes rządu! Toasty, muzyki, mowy! Kto wie, pułkowniku! — Przy twoich talentach i zasługach trzeba się ludziom pokazywać. Mam dwie karty. Odmawiasz — niechże będzie — zawsze drugą dla cię zachowam. Jak się namyślisz, to kamieniczka Lelewela...

— Dziękuję.

Sikorski zerknął w tył za siebie i zauważył.

— Nie szpetny dzieciak, ta wasza znajda ostrolęcka.

— I kłopot właśnie, bo niewiadomo, co uczynić z nią. Radbym komu w dobre ręce, inaczej na marne pójdzie.

— Czekać pułkownika, a gdyby, gdyby do pani Marchockiej.

— Marchockiej? Zdaje mi się, że znam to nazwisko.

— I nie dziwno mi. Któżby nie znał pani Anny. Osoba dobroczynna, lazaret cały u siebie w domu założyła! Złote serce, piękne relacje.

— Sądzisz pan zatem, iż podjęłaby się...

— Ręczę pułkownikowi.

— Hm, bo mnie istotnie trudno. Myślałem ją do jednej kawiarki, lecz cóżby dla dziecka...

— Chyba zły przykład!

— Gdyby nawet...

— To pułkownik pragnąłbyś czegoś właściwszego. Podzielał ten sentyment. Obce stworzenie, nie ziębi, nie grzeje, a powiadasz sobie, niechże coś uczynił! Przynieśli mi znajdę raz do dwora — i też póty żem się głowił, aż dzieciaka zaopatrzyłem i ekonomowej na wychowanie dałem.

Bem, frasował się, czyli przystoi mu nadużywać grzeczności Sikorskiego, ten atoli, dowiedziawszy się, że dziewczyna była córką cygana Jagi, markietana obozowego — tak obcesowo natarł na pułkownika, że ten przystał. Zwłaszcza, iż nie wiedział, co począć z przybłądą. Stary Dziurbacki raportował mu wprowadzić, aby dziewczynę przy baterji zostawić, a już on na siebie bierze za nią odpowiedzialność — lecz pułkownik myśli tej nie dopuszczał. Dawniej, niegdy, za Księstwa Warszawskiego, a w dwunastym roku zwłaszcza, bywało przy pułkach mnóstwo podobnego biedactwa — lecz nie na statek. Prędzej czy później marniało to, ginęło.

A że Sikorski najmocniej w tych obawach utwierdził pułkownika — więc układ w jednej chwili stanął, że augustowski partyzant odrazu dziewczynę do swej dobrodziejki odwiezie.

Przed kolumną króla Zygmunta, Bem kazał zatrzymać bryczkę, podziękował raz jeszcze Sikorskiemu za tyle przysług i, wzięwszy odeń zapowiedź rychłych odwiedzin, skinął na Dziurbackiego.

Profos zsunął się żwawo i do huzarzyka rękę wyciągnął, aby mu pomódz zejść z bryczki, lecz pułkownik zatrzymał go.

— Zostaw ją, acan — ten pan ją odwiezie i odda pod opiekę.

Profos skonfundował się.

— Kiedy bo, melduję panu pułkownikowi, że jako raportowałem, Antoszka...

— No, no, mój stary, wiem, że masz poczciwe intencje.

Nie od dziś cię znam. Lecz inaczej być nie może. Na poniewierkę jej nie dam. Takiemu stworzeniu trzeba opieki, kobiecej ręki a nie kordegardy.

Dziurbacki poruszył wargami, żeby odpowiedzieć, lecz, w tejże samej chwili, Sikorski pochylił się ku woźnicy i konie pomknęły z kopyta.

Bem dodał jeszcze kilka słów pomiarkowania, zalecił profosowi, aby, czuj duch, o rannym apelu pamiętał i skręcił ku Podwalowi.

Dziurbacki stał, jak w ziemię wryty, poglądając męt-
nym, przyciemnionym wzrokiem w stronę, kędy na bryczce
chwiała się niska postać w wielkim, na uszy nasuniętym,
kaszkiecie. Bryczka już po dwakroć skryła mu się między,
postępujące ociężałe, furgony wojskowe, już jeno kaszkiet
ukazywała. Naraz, gdy miała zanurzyć się i zniknąć w gar-
dzieli Senatorskiej ulicy, hen, zdala, mignęła profosowi
drobną, maleńką twarzą w obramowaniu dwóch nie-
sfornych złoto popielatych loków.

Dziurbacki drgnął i rzucił się na przelaj za bryczką.

V.

Tego samego dnia pani Honorata, nadobna właścicielka sławnej na całe miasto, na kraj cały, kawiarni, w niedługo była opalach. I tym razem nie z desperacji już, że konkurentka jej, Kościółowska, rezydująca w sąsiedniej „Dziurce“, ma więcej od niej gości, lecz z nadmiaru powodzenia i niespodziewanego powodzenia.

Kawiarnia bowiem pani Honoraty srogi przechodziła kryzys. Po dobrych dostatnich czasach przed rewolucją, kiedy to dzień dnia zarobek płynął nie wielki, ale pewny, bo ów, faraon czy putyfonik, w bocznej izdebce, włókł się nienajgorzej — miała „Honoratka“ czasy złote. Tu przecież, u niej, zakładało się Towarzystwo patrijotyczne, tu, bez mała, cała czyniła się rewolucja, tu wsuwał się sam Lelewel, tu na personata rósł Mochnecki, tu aż mury trzęsły się od akademików, obywatelów, patrijotów. Tu przecież sam Różniecki, sam Lubowidzki do pani Honoraty

się wdzięczyl. A że pani Honorata miała zręczność i przytomność, więc wszyscy byli jej radzi i ci i tamci i złote były czasy. Trwały one jeszcze i za Chłopickiego i do niedawna prawie. Kościolowska z „Dziurki“ obniżyła ceny, taniej dawała od niej i poncze i fajki, montowe taniej i flaki taniej i owsiane taniej, — plotkowała, obgadywała, że pani Honorata miała starego Gendra za kochanka, że była szpiegiem, że za kradzione w komisarjacie ubiorczym założyła kawiarnię — nic nie mogła. Ludzie nie patrzyli na łaniosć, nie patrzyli na zestrojone w „Dziurce“ dziewczęta, jeno szli do Honoratki. Tu bowiem były zgromadzenia, tu układały się polityczne racje, stąd szły nowiny, stąd hasła biegły na całą Polskę, tu dopiero było wiadomo, co dobre a co złe. W pałacu Radziwiłłowskim był Rząd, na Zamku senatorowie z posłami się wodzili, ówdzie był wódz naczelny, generał-gubernator miasta, urzędy, komisje, a tu, u Honoratki, było wszystko razem. A jak trzeba było, to sobie choćby sam poseł stanął na stole, na stolku, i mowę ciał, że aż szkło dzwoniło na szynkwasio.

Bywało wówczas, iż pani Honoracie aż ręce omdlewają od przebierania w pieniądzach, a tu do białego dnia goście siedzą, rozprawiają, nastroczają się jeden przez drugiego, że trzeba całej przytomności pani Honoraty, by sprostać, by co należy każdemu, według honoru, by nie zrazić, nie uchybić a nie obligować się samej. Pani Honorata nie żadna Kościolowska z „Dziurki“, żeby z lada wasągą zleciała.

I tak trwało długo. Pani Honorata już kalkulowała sobie, że gdyby tak do końca roku wytrzymać to, potem, bierz lichu. Nie do wysiadywania za szynkwasem się rozdziła. Wiedziała, czego jej trzeba. Kapitanową mogła była oddawna zostać, lecz ona wyżej patrzyła. Kapitaństwo zresztą nie uciekło.

Szło więc wszystko, jak z płatka, gdy, w tem, grom, grom uderzył w kawiarnię.

Mochnacki, który, podczas dyktatury, za Warszawą przepadał, zjawił się raptem. Pani Honorata najpiękniej, najzyczliwiej ucieszyła się jego powrotowi. On niby także. Przez tydzień coś wdzięczyl się, pił kawę na kredyt, na

kredyt émił fajki — aż pewnego wieczora, na stół wskoczył i palnął mowę...

Mowę o tem, że Towarzystwo patrijotyczne musi wziąć rozbrat z ósmieszającym je przydomkiem, że, dzięki tej szynkowni, zwą je powszechnie „Honoratką“. Że dla Towarzystwa stąd dyshonor i kompromitacja, bo mimowolny domysł, że uchwały nie tylko ze ścierania się poglądów, lecz i trącania się szklanic powstają, że zgromadzenie, niośące tak wysoko sztandar godności i obowiązku obywatelskiego, niema prawa w karczmie rezydować...

Tak przemówił Mochnacki.

Pani Honorata, podczas, w bocznej nawie sali gościnnej, rozmawiała najspokojniej z Kraińskim, co to metrem tańca był i balety wytańcowywał, a teraz mundurem kapitana gwardji narodowej straszyl. Pani Honorata nie słyszała, co mówił Mochnacki, bo w nawie, pod arkadą, przy rozgwarze, nie słyhać, co na sali. Lecz widziała go doskonale. Stał na krzyżowym stole, fontaż mu wiuwał, głowa rozczochrana, wypieki na twarzy, gest okrutny, no, jak to Mochnacki. Jeszcze pani Honorata mówi do Kraińskiego.

— Coś chyba będzie nowego, bo Mochnacki nasrożony bardzo.

Kraiński nie zdążył odpowiedzieć, gdy przypadła do pani Honoraty Rózia.

— Słyszysz pani, słyszysz?!... To wszystko na naszą kawiarnię...

Pani Honorata juści zrozumieć nie mogła, więc dopiero co, kto, jak... A tu Mochnackiemu krzyczą na wiwat i wolają, jak opętani.

— Prawda! Wielka prawda! — Dosyć karczmy! — Towarzystwo nie jest Honoratką! — Trzeba mu ładu, statutów, powagi! — Sala posiedzeń akademickich! Tam nasze miejsce! — Na Krakowskie Przedmieście — Gromadą, obywatele! — Precz z Honoratką!

Zanim pani Honorata zdolala przypaść do którego, zanim mogła pomyśleć o obronie — Mochnacki, a za nim Zwierkowski, Nabelak, Kazimierski, Wysocki i całe Towarzystwo na ulicę! — Za Towarzystwem poszli nawet ci, co, jak kawiarnia kawiarnią, dnia nie opuścili.

Z początku pani Honorata myślała, że jeden, drugi dzień minie i wróćą ptaszki do gniazda, przeproszą się. Gdzie tam. Snuli się jeszcze niby goście, lecz ledwie, ledwie. Pani Honorata zawzięła się. Poszła, sama poszła do Nabelaka, do Krępowickiego, do Wysockiego, do Ostrowskiego. Powiedziała im, że przecież, żeby nie jej zabiegliwość, nie jej czujność, poświęcenie, to nie byłoby ani rewolucji, ani Towarzystwa, ani może żadnego z nich na świecie; że złem za tyle ofiar się nie godzi, że nie dlatego tyle trudów ponosiła, aby była stratna.

Wysłuchali ją uważnie, pożałowali i odprawili, jakby ich kto tego samego na pacierz nauczył. Co innego było dawniej. Dawniej Towarzystwo było przygodnym zbieraniem się ludzi jednych przekonań, dawniej musiało knować, kryć się a teraz rządzić będzie! — Teraz jest organizacją, zniewoloną dbać o powagę.

Androny, najrzetelniejsze androny, bo przecież, choć się zaparli, nikt, nikt, o nich inaczej, jak „Honoratka“. Z tą różnicą, że dotąd „Honoratka“ była w „Honoratce“ pani Honoraty, a teraz siaduje w Akademickiej sali na Krakowskiem.

I nastaly dla pani Honoraty czasy nikczemne. Kilku mieszczuchów, grywających w szachy, kilku oficerów, a zresztą zbieranina i tej nawet nie wiele. A jeżeli ktoś ważniejszy, to na to, aby zdziwić się, że nikogo niema z „Honoratki“?

Wymarsz wojsk na wyprawę na gwardje był ostatecznym ciosem dla pani Honoraty. Kawiarnia stanęła pustkami. A w „Dziurce“, obok, dzięki aktorom, których Kościółowska, przez komitewę z Dmuszewskim, sobie ściągnęła, dzień dnia coraz się ludniej robiło.

Pani Honorata była w desperacji. Przed kilku dniami właśnie stary Filiński, przy kwindeczu, bąknął jej, że jedyna rada była do Gurowskiego uderzyć, bo Gurowski wodzi za sobą całą gromadę.

Panią Honoratę, na odezwanie się Filińskiego, aż zgnęło pod serce. Nie byłaby chyba niewiastą, żeby, w skrytości ducha, nie tęskniła do pięknego oficera artylerji gwardji narodowej. Toć na ostatniej paradzie, na Ujazdowie, oczu

odeń nie mogła oderwać. Ach, i czy ona jedna. Twarz, jak malowanie, wąsik jedwabny, podkrecony, nos orli, pośmiłość i zgrabność junacka, czapa na bakier, a z pod czapy skry nie źrenice. Przytem nie byle kto! Wiadomo.

Rej wodzi między demokratami, lykom każe sobie „obywatelić“, niby Mochnacki lub Lelewel, bo się panu tak podobą, bo hrabia i tak hrabią zostanie. Lampka - Małachowski przygryza, że Gurowskiego pod Stanisławowem adjutant Leski batem od ucieczki powstrzymał. Ale to jest złość ludzka. Dla „lampki“ ten wart, kto się dał zabić.

Pani Honorata tego wieczora półtorasta złotych do Fialińskiego przegrała. A potem doń w prośby. Fialiński kłował, sadił swoją godnością magistra prawa i administracji, krztusił się, napomykał, że trzebaby Gurowskiego przystojnie uhonorować, bo hrabia kwinceza ma za nic, że i tak wdzięczność ludzka zadość jemu, Fialińskiemu, wyrządziła zawodów, a wreszcie, po solennych wynurzeniach, przyrzekl.

Uplęnęło tak dni kilka. Magister nie pokazał się. Panią Honoratę zwątpienie naszło, ach, i niedłatego, że w Gurowskim widziała odnowiciela powodzenia kawiarni...

Aż tego właśnie dnia, w którym baterja artylerji konnej pułkownika Bema przybyła na Pragę, dziw się stał, cud istny.

Już około południa Rózia zapukała do mieszkania pani Honoraty, zwiastując jej, że gości sporo i że trzeba kluczy od loszku, bo araku w butelkach nie wystarcza. Pani Honorata przyjęła tę wiadomość obojętnie. Spodziewała się, że wobec powrotu wojska, gości będzie więcej. Dała Rózi klucze i bez pośpiechu, zaczęła się odziewać. Godziny bodaj nie wyszło, gdy do mieszkanka pani Honoraty, wtoczył się wuj Olechowski spocony, zasapany, zziajany.

Pani Honorata oburzyła się, myśląc, że wuj zalał palkę i od rana brewerje chce wyprawiać, lecz ten machnął ręką energicznie.

— Honoruś, ani dudul! Górą nasza i koniec, paje! Trzech, paje, klubistów, Krępowickiego tylko patrzeć, paje... Kozłowski mówi wieczorem! Będą zrzucac, paje, naczelnego wodza, rząd paje, senat paje, sprzedawczyków

pod sąd, paje i koniec, paje! Dziesięć antałków nie starczy, paje! Górą Honoratka! Wdziej niebieską w kwiatki...

Pani Honorata jęła żwawiej papiloty rozkręcać, a starraniej się zdobić a zagadywać, skąd, co, jak. Wuj Olechowski, po swojemu prawil od Sasa, bajdurzył i dopiero w ostatku rąbnął.

— Był właśnie maiister...

— Filialski!

— Był, żeby ci pojedzić, jako słowo, paje, się rzekło...

— Więc hrabia Gurowski?

— Niema hrabiów, paje, demokratyczne, paje...

— Niechże, wujo, porządnie. Więc Gurowski?!..

— Będzie! Wszystko będzie. — Pojedziałem w kwiatki...

Pani Honorata, bez słowa, stuknęła wickiem skrzyni i dobyła czarną, morową suknię...

Wuj Olechowski uderzył palcami w tabakierkę.

— Nie zawadzi, paje! Bo owóz nie wszystko...

— Cóż jeszcze?

— Bem, paje!

Pani Honorata wzruszyła ramionami i zabrała się do kończenia toalety. Wuj Olechowski nie dał się zrazić tą widoczną odprawą.

— Honoruś, mówię, paje, Bem!

— Jużby wujo mógł raz przestać!

— Pszyt ani dudul!

— Wiem, stateczny oficer, dobry człek a jeszcze lepszy strach na wróble.

— Pułkownik!

— Dopiero pod...

— Nie. Został pułkownikiem! Rozumiesz, paje. On jeden paje, pod Ostrołęką, całą armję, paje, harmatami, paje, zbębnił!

— Nie ujmuję mu.

— On jeden! Uważasz paje! — Pół roku ledwie i masz — kapitan, major, podpułkownik, pułkownik! — Trzebaby, Honoruś. Nieboszczyk twój był, prawda, paje, w hulanych, ale furjerem...

— To i cóż! — odparła rezolutnie pani Honorata.

— Więc co pułkownik, to nie furjer!

— Grosza niema w majątku.

— Ale może mieć. Dziś pułkownik, jutro generał brygady, pojutrze dywizji, szef sztabu, wódz, dyktator, paje...

— Wuj zawsze mi głowę skotłuje!

— Honoruś! Twego pragnę! W klubie, paje, wczoraj, paje, wolano — Szembek, Krukowiecki, Soltyk, Bem! I znów Szembek — Bem! I znów Bem!

Zobaczymy, zobaczymy. Takie szczęście nie zając jeszcze! Niech wujo tylko patrzy dzisiaj lampek wydawania, a do butelek się nie przysuwa i kompanji nie szuka.

— Honoruś!

— Dobrze już dobrze. Zapowiem Rózi to pewniejsze.

Pani Honorata, nie zważając na mruczenie wuja Olechowskiego, bęcnęła raz jeszcze bielidłem po szyi, musnęła piesków przy uszach, zerknęła w lustro i pachnąca, furkocząca, podążyła do kawiarni.

Tu, gdy z wysokości swego dominującego nad szynkwasem stolka, ogarnęła swoje królestwo, ledwie oczom wierzyć mogła. Ani jednego wolnego stołu. Znajomych gości mnóstwo, a między nimi, co i rusz ktoś, kogo od miesięcy nie oglądały mury Honoratki.

Nadobna właścicielka kawiarni, choć jej serce biło z zadowolenia, z jednej myśli, że Kościółowska znów żóltaczki dostanie, — umiała przystojną zachować miarę. Rozdawała uśmiechy i wdzięczne spojrzenia nawet tym, których przeniewierstwo było oczywistem. Krępowickiego przywitała, jakby widziała go wczoraj. Soczyńskiemu ani się nie skrzywiła, choć wiedziała, że, od trzech tygodni, w „Dziurce“ siadywał. A kiedy Duchanowski zdziwił się, że tak pełno — odrzekła mu bez zająknięcia: „prawie, jak wczoraj“.

Aliści tego dnia nawet przytomność pani Honoraty miała być na ciężką wystawiona próbę. Bo oto zaledwie o zmroku przerzedziło się nieco w izbach kawiarnianych, zaledwie lampy rozpałi się zdołały, do Honoratki jął tłum całą falą napływać. I jaki tłum. Akademików w mundurach gwardji dyktatorskiej, klubistów bez liku, pisarzy z dzienniczków cały jeden stół, z Kraińskim gromada oficerów gwardji narodowej, audytor Fiszer z panią Chłę-

dowską, w amarantowych wstążkach na kapeluszu, podse-
dek Rzepecki, major Boski, Rożewski, pułkownik Żwan,
Bukowski, pani Parysowa, chirurg Brawacki, Dmochow-
ski...

Pani Honoracie w oczach aż się dwoiło ze zdziwienia,
skąd się tyle naraz personalów u niej wzięło. A tu dopiero
zamęt, gwałt. Dziewczęta nastarczyć nie mogą. A tu już
i stolców brak i stołów i lampek i kubków i poncz trzeba
zaprawiać i do loszku biedz i liczyć, liczyć precz, bez wy-
technienia, bez spoczynku.

I pani Honorata możeby dnia tego straciła głowę, mo-
żeby nie podolała batalji, gdyby nie nagła, niespodziewana
obrotność wuja Olechowskiego, w którym, niewiadomo
skąd, w decydującym momencie, nieznanie zagrały talenta.
Wuj Olechowski bowiem, miast korzystać ze zgiełku
i, wyrwawszy się z pod kurateli opieklej panny Rózi, do
kropelki gdzie dotrzeć, ruszył do czeladnej, na parobków
zakrzyknął i dalej z nimi stoly i ławy wywłóczyć a gościom
znosić. Gdy zaś domowych sprzętów rychło nie stało, po-
biegł do sąsiadów, Lessla cukiernika zobligował i w rezul-
tacie uczynił, że jeszcze raz tyle przybyło kawiarni i sie-
dzenia i miejsca na kubki, lampki i szklanice.

I powoli ład zapanował za szynkwasem. Goście, z naj-
pierwszego obsłużeni, już prawidłowem zajęli się osusza-
niem naczyń. W kuchni niejaki jeszcze panował rwetes,
ale i ten miał się ku końcowi.

Pani Honorata promieniała. Ciemne jej, mocno podcie-
nione oczy żarzyły się, pulchne, ostro zakończone paluszki
przebierały w szufladzie pełnej pieniędzy, a uśmiech ku-
szący, w dwa pociągające dolki na białej twarzyczce za-
łamany, szedł na prawo i lewo, przyrzekał, obiecywał, bu-
dził i młokosa gwardzistę i koł wiernego Honoratki by-
walca-mieszczucha, tam podstarzałemu majorowi podkrę-
cał wąsisków, owdzie gladził lwią czuprynę klubisty.

Pani Honorata promieniała.

Wzmagający się w izbach kawiarnianych rozgwar zda-
wał się ją kołysać, rozmarzać. Tuż dokoła niej, wybuchały
zapalczywe dyskusje, spory, padały groźne hasła, kuly się
ponure wyroki, dźwigały szubienice, huštały na stryczkach

ciała i Skrzyneckiego i księcia Czartoryskiego i Lubieńskiego i wszystkich po kolei dygnitarzów — a pani Honorata spokojna, majestatyczna, uśmiechnięta, wylawiała z ulnego wrzenia jeno to, co stanowiło dla niej treść. Z setki głosów naraz, z dziesiątka stuknięć równoczesnych, z czterdziestu zawołań — czujne, wyzieraające figlarnie z pod kruczych włosów, uszko pani Honoraty chwyciło najsłabsze, najcichsze odezwanie, najskromniejszy dźwięk, jeżeli tylko znaczył — „jeszcze grzanego“ — „jeszcze ponczu“ — „miodu“ „wina“. Niemniej bacznem było spojrzenie pani Honoraty. Bo, w chwili, gdy zdawało się tonąć w oczach młodzianckiego gwardzisty, któremu z wielkiej alteracji na tyle sukcesu, broda więzła w wielkim, amarantowym kołnierzu, przenikało i kłęby fajczanego dymu i liczyło roznoszone przez dziewczęta kubki, butle, lampki i odróżniało złotówki dobre od nikczemnych dydków i, tym samym rzutem, okrutne płomienie zapalało i w sercu majora Boskiego i do wklęsłej piersi jakiegoś rozwichrzonego demokraty się dobierało.

Aliści, dzień ten i czujnemu spojrzeniu pani Honoraty zgotował niespodziankę. Oto, w momencie, gdy z pozoru nic nie mogło ujść jego bystrości, drzwi wchodowe uchyliły się nieznacznie i wpuściły do kawiarni nowego gościa i śnać nielada kogo, bo przy stołach, najbliższych wejścia, wszczął się przeciągły rumor.

Pani Honorata zwróciła głowę, lecz zanim dociekła przyczyny rumoru, już wuj Olechowski szepnął gorączkowo.

— Honoruś — Bem! Bem przyszedł!

Zgrabnie wykrojone usta pani Honoraty skrzywiły się przelotnie — powieki zmrużyły się. Twarzyczka właścicielki kawiarni okryła się woalem poważnej zadumy.

Pani Honorata nie widziała teraz ani niepozornej postaci oficera artylerji, który chyłkiem przesuwiał się między stolami, ani nie słyszała zgola wyraźnego pomruku „Bem — Bem“...

Dopiero, kiedy, od strony przejścia za szynkwias, rozległo się ciche:

— Witam panią! — Pani Honorata drgnęła z wielkiej

siuprzy, wyrzuciła w górę powiekami i, rozpromieniona, skonfundowana, porwała się z siedzenia i wionęła ku pułkownikowi.

— Ach, to pan pułkownik! Jakaż niespodzianka! — Róziu, proszę zapalić pająka w alkierzyku! Śnilam o panu! Dwa razy dowiadywałam się na Pragę.

Bemowi, na lysawem czole, aż plamy czerwone wystąpiły na taką życzliwość serdeczną.

— Bardzo, bardzo wdzięczny — wyjąkał niepewnie, ileże obocześnie czuł na sobie, krom żaru wielkich, przepastnych źrenic pani Honoraty, natrętne, ciekawe, a nawet złowrogie zezowania, godzące weń ze wszech stron kawiarni.

Lecz tymczasem w alkierzyku za szynkwasem, a raczej w rozwarłej wnęce, przesłoniętej zielonemi, tyftykowemi firankami, zamigotało światelko.

Pani Honorata zaprosiła pułkownika. Bem skwapliwie wsunął się za firankę.

— Niech pułkownik zajmie miejscel! — Róziu! Dasz mi kawałek pulardy i moją lampkę... a pan pułkownik...

— Wszystko jedno! Kawy! Proszę o kawę...

— Może madero! Tak, tak! Ja proszę! — Przynieś! — Godzi się, godzil! — Trzeba za awans wychylić, za szczęśliwy powrót! A nie, proszę z tej strony!... Należy mi się po tak długim niewidzeniu — trzepotała się pani Honorata, sadowiąc się przy pułkowniku w kącie izdebki, a strojąc doń wdzięczne minki.

Rózia nakrywała pośpiesznie stół i znosiła talerze, sztućce, wino, kawę i jedzenie.

Pani Honorata zasypywała pułkownika pytaniami, zerkała, poprzez podpięte firanki, w stronę szynkwasu, chyliła główkę tuż-tuż, prawie do bliznami pooranej twarzy Bema, a wreszcie, przepiwszy doń na cześć pułkowniczych buljonów — uśmiechnęła się kusząco, pucolowatym swym paluszkami wskazała na dołeczek w buzi i rzekła cicho.

— Proszę — nagroda walecznych!

Bemowi w oczach pociemniało... lecz, nim tknął puszystej twarzyczki, — twarzyczka, a z nią pani Honorata, frunęła z alkierzyka za szynkwas.

Pułkownik samego siebie się zawstydził. Lecz, ledwie ochłonął, nadobna właścicielka już wsunęła się i, grożąc figlarnie palcem na nosku, zakonkludowała.

— Jenó, proszę być grzecznym.

— Jestem nim, jestem przecież — odparł ochoczo Bem, wpadając w swywołność. — Jenó tamten się nie liczy! Taki całus, to nie całus — lecz oskoma!

— Tak! Więc pułkownik ma go sobie za nic!

— Za skarb cały, droga moja, za skarb! Ale zważaj, że aby musnęłam!

— Przepraszam... nie uchodzi inaczej! — Pułkownik by chciał wszystko odrazu.

— Tak, tak, kochanie, wszystko, wszystko.

— A nie, trzeba, by coś zostało i dla przyszłego generała brygady i dla wodza naczelnego...

Bem porwał panią Honoratę za łapki.

— Jak, jak powiadasz?

— Że generał potem uprzykszy sobie, co pułkownikowi się podobało!

— I ty, ty śmiesz to powiadać, dręczycielko najmilsza. A toż nie widzisz, żem wobec ciebie niby podchorąży, kadet.

— Uch! Bo pan pułkownik tak mocno ścisnął.

— Więc o pardon łapki proszę...

— Ach, zaraz tylko zobaczę do gości...

Bem poruszył niecierpliwie.

— Goście-gości! Co tam, niech raz moje będzie święto! I cóż z tych gości! — Właśnie postanowiłem sobie jasno rzecz...

— W tej chwili, w tej chwili! — Byle wydam reszty...

Pani Honorata jednym zwinnym poruszeniem wysliznęła rączki z ujęcia dłoni pułkownika i znikła znów za firanką.

Bem zachmurzył się i głowę na rękę wsparł.

VI.

Kawiarnia huczała tuż, rozbrzmiewała zapamiętałymi okrzykami, a Bem ani słyszał piekielnego zgicłku, ani po-

strzegał kłębow dymu, które we wnęce bałwanily się do-
kola żółtych, chorobliwych światelek pajaka, ani czuł
ostrych, zatęchłych wyziewów, bijących weń z każdego
kąta bezokienego alkierzyka.

Rozgorączkowane oczy Bema trwały na rąbku sylwetki
pani Honoraty, widniejącym w perspektywie rozchylo-
nych firanek. A trwały tak zawzięcie, że gdy sylwetka
przybrała na się pełnię kształtów i kolorów, oczy pułkow-
nika jeszcze tkwiły tam, kędy już jej dawno nie było.

Pani Honorata zaszleściła spódniczkami, przysiadła się
do Bema i zagadnęła nieśmiało.

— Pan pułkownik się gniewa?

Bem zwrócił powoli ku niej spojrzenie.

— Gniewa się?... Nie-nie! Prawda? Ach, bo panowie
nie wystawiają sobie, ile to kłopotu, ile trudu, ile utra-
pienia rozmaitego! Samo nie idzie. Ciągłe coś. Właśnie
ten poseser — dziewczyna powiada — że obywatel miał
pięć lampek gdańskiej, a on mówi cztery! Głowę bym
dała, że Kasia dobrze policzyła. Ale cóż. Z tym niema
rady. I jeszcze powiada, że u Kościółowskiej taniej! Pan
pułkownik mniema, że mi życie po różach się układa z ka-
wiarnią, że nie wolalabym rozmawiać się spokojnie — albo
siedzieć sobie teraz gdzie w Saskim Ogrodzie! Pan puł-
kownik doprawdy niesprawiedliwie. Gdybym mogła, ach,
gdybym mogła, dziś jeszcze rzuciłabym wszystko!

— Gdybyś chciała! — poprawił głucho Bem.

— Nie, nie, gdybym mogła! Nie za własne kawiarnię
wzięłam — więc nie wolno mi zmarnować cudzego, nie
wolno z torbami puścić wuja Olechowskiego. Więc trzeba
kupca, a o niego trudno. Za byle co niepodobna! — Ach,
żebym miała tak, jak nie mam...

— Pomówmy rozsądnie.

— Radam wielce! — Jeszcze malagi. Dziś, Bogu dzięki,
nieco więcej gości — lecz co będzie jutro. A tu Fukier
z Dobryczem spokoju mi nie dają, kawa znów zdrożała...
A tu nikogo, nikogo! Pan pułkownik laskaw, tak, ale
cóż, przecież rozumiem, nawet nie przystoi panu puł-
kownikowi...

— Wiesz dobrze, iż nic sobie z ludzkich jęzorów nie robię.

— Tak się to mówi, a zawsze kawiarka kawiarką! Już nawet myślałam, że nie bez kozery baterja konna przepada bez wieści. Ach, ile się nadręczyłam, ile nabeczałam...

Bem żwawiej się poruszył.

— I bez przyczyny, bez powodu! — Daj mi mówić. Mój awans na pułkownika...

— Niesłychany...

— Był mi obojętnym dotąd, dopóki nie wspomniałem na ciebie.

— Trzy i pół dukata więcej miesięcznie.

— Nie w tem rzecz. — Pomnisz list mój ze Lwowa...

— Jakżeby nie! — odrzekła pani Honorata, poglądając niespokojnie w stronę kawiarni. — Mam go w szkatułce... Proszę wybaczyć, jeno do Rózi muszę...

Pani Honorata podniosła się, lecz pułkownik przytrzymał ją za rękę.

— Pozwól — dokończę...

— Wróć natychmiast.

— Dwa słowa.

Pani Honorata uległa, wystraszona stanowczością pułkownika.

— Nie bierz za złe — rzekł po pauzie Bem — lecz postanowiłem sobie jasno sprawę przedłożyć, wyjść z nieznośnego labiryntu półsłówki i zapytać ci się wprost...

— Proszę pani, pan radca Filiański — rozległ się śpiewny głosik Rózi.

Bem targnął się.

— Niech czeka...

— Niepodobna.

— Pan radca w pilnej sprawie...

Pani Honorata poderwała się, rzuciła pułkownikowi błagalne spojrzenie i wybiegła za Rózią z alkierzyka.

Pułkownik znów sam został. Lecz tym razem śnać rady nie mógł sobie dać z natłokiem myśli, bo szarpnął się gniewnie, odepchnął stół i, jał mierzyć niespokojnymi krokami wąski przestwór.

Pani Honorata nie wracała. Pułkownik zatrzymał się

raptownie przed rozchyleniem firanki, spojrział pytająco w głąb kawiarni i rozśmiał się cierpko do samego siebie...

O kilka kroków, przy ustronnym stoliku, pod filarem arkady, powabna główka pani Honoraty chyliła się bezwładnie ku srebrnym naramiennikom wytwornego porucznika gwardji narodowej.

Bem pohamował śmiech.

— Wzburzenie go prze — toć coś zdroźnego. Taki jej los, taki zawód. Musi być uprzejmą, musi nieraz przyjąć zaproszenie! Choćby pragnęła, niema prawa. Faramuski! Wyrwać ją należy, do innego życia, innego otoczenia dźwignąć! Tu inaczej niepodobna... niepodobna...

I pułkownik bronił przed sobą samym pani Honoraty i tłumaczył, że ani grająca kolorami jej twarzyczka, ani zalotne uśmiechy, ani ożywienie, z jakim wiodła z porucznikiem rozmowę, niczego zgola nie dowodzą. Lecz pułkownik bronił panią Honoratę coraz słabiej, coraz niezręcznie, bo oto tam, pod filarem, promień kruczych włosów związał już znajomość z falistą, wijącą się czupryną gwardzisty, bo oto opiekle paluszki spoczęły już z poddaniem w dłoniach porucznika.

Bemowi krew uderzyła do głowy. Wszystkie tętna zakolatały w nim wołaniem, aby się rzucił między nich, aby precz odtrącił śmialka, aby od niewiernej porachunku zażądał.

I pułkownik zgarbił się, pochylił, jak ryś do skoku, lecz naraz oczy mu zmętniały, osunął się na ławę bezwładny, przygnębiony. Aż w głębi piersi chrobot głuchy, szydarczy zaskrzeczał mu i kątami ust szarpnął.

— Na śmieszność, na poniżenie własne, na mękę dobrowolną znów tu przyszedł i przyszedł z sentymentami, z głupstwem czulości! Wstyd jeden, hańba, żakostwo, dzieciństwo, lekkomyślność! — Pułkowniczą biedą i pułkowniczą brzydotą chciałby taką zawojować, której albo lali trzeba albo woru złota, a która, mając jedną, gonić będzie zawsze i za drugim! A on tu, za szynkwasem kawiarnianym, w norze, za firanką, wysiaduje, niby gołowąs. Mundur poniewiera dla doczekania się jednego z tysiąca uśmie-

chów, rozdawanych tu na wiązarek do każdej szklanki ponczu!

Bem porwał za furażerkę, przypasał szpadę i, rzuciwszy pieniądz na stół, wybiegł z alkierza i, nie pogładając ku stolikowi za filarem, wysforował się na środek izby ku wyjściu.

Tu atoli śmiertelna glusza, która raptem zaległa kawiarnię, zmieszała pułkownika.

Bem postąpił niepewnie naprzód. Mur stłoczonych głów zagroził mu przejście a równocześnie ponad głowami jakiś głos przeraźliwy wrzasnął:

— Obywatele!

Pułkownik, rad nie rad przystanął.

Tymczasem mówca przygodny, po wyrzuceniu pierwszego zawołania, jął prawić o rewolucji francuskiej, o dziejach Konwentu, o Dantonie, o Robespierre, o Mirabeau, o równości stanów, o knowaniach szlachty, o tem, kto wogóle zgubą jest ojczyzny — aż do przesłanek, od historycznych wspomnień, zaczął staczać się do dziejów ostatnich miesięcy, ostatnich dni.

Bem słuchał, z początku obojętnie burzliwej mowy, ledwie bacząc na jej treść, lecz gdy już nie tylko Rząd narodowy z senatem i sejmem ciągi brał, lecz i armji epitetety dosadne się dostały — pułkownika dojęło. Ale i nie jego tylko, bo ze wszech stron kawiarni rozległy się okrzyki protestu.

— Wojska nie tykać! — Wara od wojska! — Milczeć!

Mówca atoli nie dał się zbić z tropu. Dźwignął hardo głowę i rozśmiał się wyzywająco.

— Cha-cha! Bronicie armji! O którejże myślicie? Czy o tej, którą pędzą bez celu, ladu i planu, którą demoralizują, która daremnie błaga, by ją prowadzono na boje, czy o tej która knowania prowadzi z nieprzyjacielem, która czyni wszystko, aby nas zaprzedać, aby nas zgnębić, aby spiskować, aby wytrącić pierwszej oręż z ręki! Ja, obywatele, o tej drugiej mówię! I na tę wołam do was o pomstę! O pomstę na szpiegów, na sprzedawczyków, na paników, na szlachtę, na łotrów!...

— Na łotrów!! — zawyła ponuro izba,

— „O cześć wam panowie, magnacil!..“ — zaintonował piskliwy głos w ciżbie.

Mówcy oczy się zaiskrzyły.

— Słyszycie, obywatele! Oto zew narodu! Rewolucja ginie, upada, jęczy pod ciężarem zmagającej ją kontrrewolucji! Ocalić rewolucję może tylko gmina, komuna, lud, gilotyna a po naszymu szubienica! Ona naszym ocaleniem, ona ratunkiem przed zgrają Skrzyneckich, Czartoryskich, Chłopickich, Lubeckich. Nasi generałowie już otwarcie układy prowadzą! Tak, obywatele! Prowadzą układy!... Tak-tak! Są dowody, są dokumenty! A wiecież, jaki przedmiot jest układów — żeby oni wrócili na senatorskie krzesła, a nas by zapędzono w dyby!

— Ooo! — mruknęła ponuro kawiarnia.

— Chwili niema do stracenia! Godzina sprawiedliwości wybiła! Na powrozy szpiegów — sprzedawczyków!

— Na powrozy! — zahuczała kawiarnia.

— „Cześć wam hrabiowie, książęta, prałaci!..“

— Niech sąd ludu wyrokuj!

— Wiwat naród!

— Wiwat!

— Za pozwoleniem, obywatele! — wrzeszczał młody dyszkant. — Imieniem akademików proszę o głos!

— Niema głosu! — Niech żyje szubienica! — Precz z wodzem, precz z Czartoryskim!

Ale dyszkant, pomimo tak niechętnego przyjęcia, dzwignął ponad pogłowie pyzată, rozczzerwioną twarz, wystającą butnie z zachodzącego jej na uszy kołnierza gwardyjskiego i, łypnąwszy oczyma, zaczął z impetem:

— Nie dość, obywatele, źle wyplenić, trzeba uczynić jeszcze, by się nie powtórzyło!... Trzeba ustanowić dozór akademicki! Tak, jak to było przedstawionem sejmowi! A co sejm zbrodniczy, targowicki odrzucił! — Gwardja akademicka powinna być rozesłana po województwach, przy każdym urzędniku, przy każdym oddziale, szwadronie, bataljonie, pułku, brygadzie, dywizji, korpusie, władzy zarządzie powinien być jeden akademik z prawem *вето*...

— Chu-chul Niema *veta* precz ze szlachtą! Wszyscy równi!...

— Obywatele, tylko dozór akademicki!...

— Młodzież mościpanowie!...

— Niema mościów! Niema panów!

— Przy każdym oddziale jeden akademik! — wołał zapamiętałe dyszkant.

— A przy każdym akademiku jedna niańka!

— My, obywatele, jesteśmy kwiatem narodu.

— Jeden Krukowiecki może nas ocalić! — beknął bas.

— Wiwat Krukowiecki! — zagrzmiała kawiarnia. —

On jeden! Krukowiecki!

— Tak-tak! — zawtórował dźwięczny głosik z pod niewieściego kapelusza, przybranego biało-amarantowemi wstążkami. — Generał Krukowiecki z ludem idzie! On, w imię ludu, z całą kliką się wodzi! On jeden, nieustraszony!

— A Chłędowska druga — beknął bas.

— Kto śmie uchybiać niewiastom! Wszyscy równi!

— Niech żyje równość!

— Niema zgody! — upierał się bas.

— Bez akademików... — dowodził precz dyszkant.

— Klub rewolucyjny, nieustający... obywatele! — perorował pierwszy mówca.

— „Wszak waszym był synem ów niecny kunktor!“ — intonował piskliwy głos.

— Jedynowładztwo żołnierskie już w czasach rzymskich!... — rozpoczął wysoki, chudy jegomość w niebieskich okularach.

Wszczął się tumult piekielny. Dwudziestu naraz mówców wdarło się na stoły, dwadzieścia zbitych uformowało się gromad. Lecz że i dwadzieścia mównic nie mogło wystarczyć dla racji, rozpierających piersi obywatelskie gości pani Honoraty, więc, w jednej chwili, wszystkie stoły zamieniły się w mównice ludowych trybunów.

Bem tymczasem, uwięziony przez ciżbę, zalegającą wyjście z kawiarni, przechodził męki istne. Gniew, oburzenie, smutek, zniechęcenie, politowanie, ból, żalność miały nim naprzemian. Ledwie sobą władał ledwie ustać

mógł, ledwie powstrzymać, drżącą na głowni szpady rękę... Boć ta szalejąca hałastrą plwała na wszystko i na wszystkich, w błędach widziała rozmyślną zdradę, pozór brała za prawdę, bluźgała kalumniami, bezceściła już nie tylko tych, przed którymi korzyła się wczoraj, których miała za bożyszczą, za zbawców za odkupicieliw lecz i tych, którzy legli i tych, którzy pod gradem kul sprawiedliwości swej dowodzili!

I Bem parł do drzwi, do wyjścia, byle wydostać się, byle nie słyszeć, byle dobyć się z tego odmetu.

Lecz, krom pułkownika, był jeszcze inny człek, który również zdawał się po swojemu rozumieć przemówienia trybunów i okrzyki tłumu. Człkiem tym był wuj Olechowski. On to właśnie piskliwym głosem intonował coraz to inną zwrotkę i z coraz to innego kąta kawiarni. A choć go ofuknięto tu i ówdzie, wyśpiewywał swoje i krążył od stołu do stołu, od gromady do gromady i, w kunsztownie zachowywanych przestankach, sięgał po niedopite lampki, kubki, szklanice i wysączał jednym haustem, co było do wysączenia. Czynił zaś to tak sprawnie, że, zanim właściciel reszty piwa, miodu, ponczu lub wina, spostrzegł się, już wuj Olechowski piszczał zapamiętale: „Nasz Chłopicki wojak, dzielny, śmiały! Wykonywać rozkazy i szturmem brać wały!“

Krążąc tak po kawiarnianych izbach, wuj Olechowski dosięgnął miejsca, kędy Bem przesuwiał się z trudem ku wyjściu.

Pułkownik, dostrzegłszy obrzękłą, fioletową twarz Olechowskiego, cofnął się, aby ująć mu z drogi, lecz Olechowski już go dostrzegł i już doń przypadł.

— Pułkowniku-obywatelu! Co to? Paje, dokąd? Jakże to?... Opuszczasz, odchodzisz, w takim dniu, w takiej godzinie, paje...

— Pozwól waćpan...

— Obywatelu, pułkowniku, generale serdeczny! W takim dniu wszyscy ob... obywatele! Daj, niech cię uściskam! „Niechaj pozna, że nie żarty, a Chłopicki niech gra w karty!...“

— Zalałeś waćpan paleczkę.

— Bohatyrę muszę uściskać! — pisał wuj Olechowski, cisnąc się z rozrzewnieniem w objęcia pułkownika. — „Wszak my z Bemem, w imię Boga!”

Bem odtrącił ramiona Olechowskiego.

— Co wuj, co to wuj! — rozległ się tuż zaniepokojony głosik pani Honoraty.

Bem odwrócił się ku drzwiom, lecz w tejże chwili pulchne rączki właścicielki kawiarni dotknęły jego ramienia.

— Pan pułkownik odchodzi?

— Odchodzę!

— A ja od godziny szukam pana pułkownika.

— Bardzo żałuję, mam honor...

— Panie pułkowniku — szeptał z wymówką głosik — przecież, przecież miał pan pułkownik coś do powiedzenia.

— Miałem, lecz nie mam — odparł Bem, nie podnosząc oczu.

— Boże-Boże i cóż się stało? Może pana pułkownika czem uraziłam! A tu właśnie jeden młody oficer z klubu patriotycznego, u Lelewela podobno najpierwszy, do mnie w jakieś konkury i o co, o to, żebym go panu pułkownikowi sprezentowała.

— Więc chyba innym razem...

— Niech-że tak — lecz niech pan pułkownik nie odchodzi! — błagała pani Honorata tak smętnie, że Bemowi serce tajało. Lecz się zawziął wytrwać.

— Muszę, nie mogę...

— I cóżem ja winna, panie pułkowniku! A tak się cieszyłam, tak radowałam! Niech pan pułkownik dla mnie to uczyni — niech uczyni.

Bem bronił się, upierał, sumitował aż gdy wreszcie spostrzegł, że siedzi, pomimo zarzekania się, za stołem w alkierzyku i nie tylko w towarzystwie pani Honoraty, ale i Gurowskiego i Filińskiego i Małachowskiego i Krępowickiego i czeredy rozmaitych młokosów, klubistów i kawiarnianych wycirusów — złość nim targnęła. Przerwał komplementy i pochwały, które Filiński na jego cześć sypał, i ozwał się bez ogródki.

— Piękne tu odbywa się dziś zgromadzenie! Zaiste warcholstwo polityczne przebrało miarę!

— Lud musi się bronić! — mruknął ponuro Krępowicki.

— Bronić! Więc niech staje w szeregu, niech gębą nie udaje zucha.

— I stanie, gdy wybije godzina — dorzucił ktoś z boku.

— Ale przede wszystkim szanować musi władzę, mores znać dla dowódców...

— Ale chyba nie dla tych, którzy go chcą zaprzedać! — odparł hardo Gurowski.

— Mości poruczniku — uniósł się Bem — gdybyś na polu bitwy zdobył szlufy, może byś inne miał zachowanie dla tych, których powinnością twoją jest poważać! Twym ośmnastu latom przypisuję lekkomyślne słowo!... Zresztą, w mojej przytomności, racz o zaprzędaniu dwa razy nie mówić!

Gurowski zaperzył się. Pani Honorata zaniepokoiła. Zebrani przycichli, Krępowicki uśmiechnął się łagodnie i wycedził:

— Jednakże obywatel Gurowski nie bez kozery, bo są racje do użycia nawet silnych bardzo wyrażen...

— Ale nie takie, któreby upoważniały lada kogo do stawiania wodzów, naczelników rządu pod pręgierzem hańby! Błędy! Mogą być, są nawet błędy! Lecz daleko od błędów do podłości! Odkąd-że to na wojskowej sztuce znać się ma byle kancelista, byle kauzyperda, byle akademik! Błędy! A ten z nich największy, że niema ręki silnej, że niema pięści, że niema woli, któraby na cztery wiatry warcholów rozpędziła!

— Jakto! A wolność?! Każdy ma prawo! — odezwały się niechętne głosy.

Krępowicki zerknął z podelba na pułkownika i skinął na Gurowskiego. Ten wyciągnął zadrukowany papier z zandrza i podesunął Bemowi.

— Proszę niech pan pułkownik czyta.

Bem rzucił okiem na druk i odsunął go ze złością.

— Kalumnie!

— Odpis z protokołu posiedzenia Rządu narodowego... Ze Lwowa już sygnalizują o spisku generałów!

— Oszczerstwo! — Skąd je masz waćpan?

Gurowski musnął dumnie wąsika.

— Od Rządu narodowego!

— Panowie, ach dosyć, doprawdy — utyskiwała pani Honorata. — Róziu, każ ponczu.

Pułkownik zabębnił gniewnie palcami.

— To nie może być, nie może być! Truciznę siejecie, truciznę będziecie zbierali.

— Jako magister prawa i administracji muszę stwierdzić, że strona winna zbrodni musi być ten... — zawyrokował Filialski, tasując od niechcienia talję kart.

I my też niczego innego nie pragniemy! — przyznał słodko Krępowicki. — Sądu się domagamy — niczego więcej, tylko sądu!

— Więc nie ferujcież przed czasem wyroków!

— Panowie, jest świeży ponczyk, prosto z lodu!

— Słusznie powiada pan pułkownik, lecz, aby na piec wskoczyć, lepiej na pułap mierzyć. Musimy zbroić społeczność, musimy...

— Judzić, burzyć, do krnąbrności nakłaniać! — uniósł się Bem.

— Bronić ojczyzny, bronić jej przed zdrajcami! — odparł zimno Krępowicki.

— Patrzenie, aby was samych o zradę nie pomówiono!

Krępowicki pobladł. Gurowskiemu oczy się zaślniły, lecz, pod śmiałem, otwartem spojrzeniem Bema, skryły swe błyski pod powiekami.

Nastala chwila ciszy. Krępowickiemu zawisła już na ustach odpowiedź, gdy, uprzedzając burzę, pani Honorata wionęła spódniczkami między Gurowskim i Bemem i ozwała się rezolutnie.

— Magister Filialski trzyma faraona!

Filialski trzasnął kartami.

— Wola wasza! Proszę, kto laskaw! Tuz żołędny z niżnikiem!

Dokoła magistra zadzwoniły miedziaki.

Gra zaczęła się wlec ospale. Gurowski smoktał flegmatycznie poncz. Krępowicki uśmiechał się drwiąco, pykając z fajki. Bem upatrywał jeno sposobności, aby się wy-

dostać z kompanji, która mu coraz nieznośniejszą się wydawała.

Ale zabiegliwa pani Honorata umiała kres położyć nadziei i przymusowi, zakradającemu się do alkierza.

— Odbieram bank — pan magister pozwoli! Cztery karty ciągnę na szampa! Róziu, każ dawać!

— Doskonale!

— Ale wszyscy, wszyscy!!

— Pan pułkownik?

Bem rzucił niedbale dwuzłotówkę. Gurowski poszedł za jego przykładem.

Wniesiono butelki i szklanice.

Gra żwawiej się potoczyła. Miedziaki zastąpiło srebro. Gurowski, po kilku stawkach, przestał grać. Bem dostawał złotówki, nie troszcząc się wcale, iż zaczęło mu ich przybywać, a natomiast szukając daremnie przyczyny, dla której twarz pani Honoraty wydłużyła się melancholijnie.

Po czwartej karcie, główka pani Honoraty pochyliła się ku Gurowskiemu, a głosik jej zabrzmiał nieśmiałą wymówką:

— A pan, panie poruczniku?

Bema tknęło.

Gurowski roześmiał się pobłażliwie.

— Nie gram w pliszki!

— Nawet ze mną... — szepnęły sentymentalnie wydatne, czerwone usta właścicielki kawiarni.

— Z tobą pani nadewszystko. Po dukacie najmniej, służę...

Filialski zarechotał z ukontentowaniem.

— Che-che, a cóż radbym się akkomodować!

— Ano, ano, kusz to kusz! — wtrącił się Boski.

— Niech po dukacie! — Albo, albo! — Krótszy rachunek! — Dosyć złotych! — ozwały się różne głosy.

— A jak wygram? — zagadnęła wdzięcznie pani Honorata, tonąc w spojrzeniu pięknego porucznika.

— Tembardziej przegranym nie będę...

Pani Honorata pokraśniała.

Bem zagarnął porywczo swe złotówki i podniósł się.

— Co to? — Jakto? — Pan pułkownik odchodzi?

— Muszę.

Pani Honorata milczała.

— Pułkownik po dukacie nie lubi — przyświadczył Boski.

— Słusznie — mruknął Krępowicki, bo jeden dukat gotów zgarnąć wygrane złotych...

Bem rzucił dukata na kartę.

— Zwracam je waćpanom.

Gurowski pociągnął i, wygrawszy, odłożył na bok dukata pułkownika.

— Tego biorę sobie na inkluzal

— Pewnie, Adasiu — zarechotał Krępowicki — bo takiego drugiego się nie doczekasz!

— Owszem, jest drugi! — przerwał ostro Bem.

Gurowski znów wygrał.

Krępowicki parsknął śmiechem.

— Adasiu, nie zapominaj, że sam w artylerji służyjesz!

W pułkowniku krew zakipiała. Stawiał dalej, stawiał na oślep, pragnąc za wszelką cenę zgasić triumfującą minę porucznika. Szczęście atoli trwało przy Gurowskim.

Za siódmym razem, Bem znalazł już jednego tylko i okrutnego kulfona w sakiewce.

Gurowski dostrzegł pomieszenie swego przeciwnika.

— Pan pułkownik ma zadość!

— Nie — jeno nie spodziałem się takiej gry. Trzymam na słowo do jutra pięć dukatów.

Gurowski potrząsnął obojętnie głową.

— Wybacz pan pułkownik, gram o to, co leży na stole!

— Śmiesz mniemać...

— Broń Boże! Taką mam zasadę... Proszę! Dama czerwonna!

Bem spojrział dokoła, jakby sukursu się spodziewał, nikt ku niemu nie odwrócił głowy. Pani Honorata, pochylona ku Gurowskiemu zabawiła się ustawianiem ruloników złota.

Pułkownik ku niej wzrok wyteżył, od niej zdawał się jeszcze czekać słowa, znaku. Napróżno.

Twarz pani Honoraty mieniła się kolorami, oczy jej żarzyły się, pierś falowała, lecz ku junacko podkreśnionym wąsikom Gurowskiego, ku złotym krążkom, piętrzącym się pod jej pulchnymi paluszkami.

I Bem widział i rozumiał niepokój pani Honoraty, gdy który z partnerów, ratując przegraną, dwoił stawkę, widział, jak brewki właścicielki kawiarni ściagały gniewnie każdego, odebranego porucznikowi, dukata, a jak uśmiech witał wracające znów powodzenie.

Przy stole ustały raptem i wykrzykniki i rozmowy. Ten i ów, rzucając pieniądź, stuknął energiczniej ręką, ten i ów odsapnął mocniej, cmoknął z hałasem wina ze szklarnicy — lecz nikt ozwać się nie ważył.

Tymczasem gra, która faworyzowała Gurowskiego, jęła się chwiać ku Filialskiemu. Magister prawa i administracji już po czterykroć zagarnął podwojone stawki. Pani Honorata zmieszała się. Gurowski się nachmurzył.

Bema opanowało uczucie zadowolenia. Filialski nie dał szczęściu zasypiać. Dziesięć dukatów wysunął... i podwoił...

Pułkownik zmrużył oczy. Jeszcze jedna karta, jedna tylko i skończy się... weźmie nauczkę!...

Filialski stęknął.

Bem dźwignął powieki. Promieniejąca twarz pani Honoraty starczyła mu za odpowiedź.

— Kaduk obywatelowi sekunduje! — sapał Filialski.

Gurowski wzruszył ramionami. Pani Honorata zapała rękę na oparciu krzesła porucznika, tak że jakby ramieniem go otoczyła.

Gra, po chwili konfuzji, spowodowanej porażką Filialskiego żwawiej szła. Tym razem nasadził się na bankiera major Boski z Kraińskim, kapitanem, który był między partnerów niepostrzeżenie się wsunął.

Zapasy były zawzięte. Major lewą stronę obstawiał, Kraiński prawą. Szala więc Gurowskiemu nic nie dawała. Ale, gdy sądzić można było, iż porucznik nie ujdzie cało — naraz dwa, idące po sobie, przysły mu dublety. Major zaklął...

W tym momencie pułkownik z pasji raczej, niż kalkulacji, dobył nieśmiało swego ostatniego kulfona i, pod ramię pani Honoraty, pchnął ku leżącej ósemce dzwonkowej.

Po chwili, Gurowski rzucił kulfonowi wygranego dukata, nie bacząc nawet do kogo należał. Bem nie sięgnął doń również.

Lecz podwojony kulfon zmógł „gółkę“ „ryndzią“, a dalej „mogączkę“ „kinalem“ i wten sposób, w ośm dukatów się zamienił.

Gurowski poruszył się niepewnie.

— Czyja stawka?

— Niech leży — bąknął pułkownik.

Pani Honorata szarpnęła kątem ust. Gurowski skrzywił się pobłaźliwie, pociągnął z talji i przegrał.

— Sługa pułkownika — wycedził przez zęby, odliczając mu szesnaście dukatów.

— Niech leżał!

Porucznik zaperzył się, odkrył pierwszą kartę — miał wyznika żółednego — i roześmiał się doń w głos.

— Panfil!

— Proszę o drugą.

Gurowski odsłonił następną i śmiech uwiązał mu w gardle. Bem pobił go tuzem czerwinnym.

Pułkownik sięgnął po wygraną. Pani Honoracie oczy zaiskrzyły się.

— Zabiera pan, lepiej rejterować zawczasu! — rzekła z przekąsem.

— Nie widzę na stole ekwiwalentu!

— Jaktó, jaktó?! — zachrypiał ze złością głos Gurowskiego, a ręce jego zaczęły przebierać gorączkowo, leżące przed nim pieniądze. Lecz z wielkiego rozdrażnienia możeby się nie doliczyły trzydziestu dwóch dukatów, gdyby nie zwinność pulchnych paluszków właścicielki kawiarni, które, zaszeleściwszy spódniczkami, pośpieszyły na odsiecz rękóm porucznika.

— Proszę, proszę, jest pełny ekwiwalent! — wykrzyknęła hardo pani Honorata.

Przy stole cisza zaległa. Gracze skupili się i zaparli oddechy. Karta pierwsza poślizgnęła się niepewnie.

— Dam! — szepnął major.

— Zdradliwe stworzenie! — dodał Filialski.

— Mocne — zaświadczył Krępowicki — trza nań króla albo tuza!

— I jest tuz! — wybuchnął Filialski, który był za każdym drgnieniem ręki Gurowskiego szedł.

Rozruch wszczął się w alkierzyku.

— Dziw, dziw! — Toć dopiero! Sekwens cały! — Ani się kto spodział! — A świerzbilo mnie, żeby trzymać z pułkownikiem! — Trafileś, poruczniku, na adwersarza!

Gurowski siedział bez ruchu, blady, osłupiały. Bem z zimną krwią zawijał rulon dukatów w skrawek gazety, czem tak był pochłonięty, iż nie widział nawet błyskawic, idących ku niemu z czarnych, podcienionych oczu pani Honoraty.

— Tak nie może być — ozwał się jowialnie magister — abyśmy, po tak srogiej batalji, mieli się na sucho rozstać! Pułkowniku, na wapiu mi się zwiija z czczości...

— Zarządź proszę!

— To rozumiem! Róziu! Węgrzyna!...

— Za pozwoleniem! — jeszcze nie koniec gry! — ozwała się niespodziewanie pani Honorata. — Trzymam na kwit!

Bem podniósł głowę. Oczy jego trafiły na wyzywające spojrzenie.

— Na kwit! Pieniądze?! Są!... Tu pięćdziesiąt, tu dwańście! Magister Filialski niech ciągnie!

— Nie pani kwit się należy.

— Ja trzymam! — warknął Gurowski, przysuwając do się wysuplane z woreczka przez panią Honoratę, dukaty. Filialski bęcnął kartami.

— Zbieraj, majoruniu!

Ledwie Boski swą szeroką łapą rozdzielił karty, Filialski już je pochwycił, już odsłonił dwie pierwsze i już zaskrzeczał.

— Złotko idzie sobie do złotka!...

Gurowskiego muskuły na szczękach zakolatały.

— Trzymam dwieście dukatów na parol do jutra rana!
— Mówiłeś waćpan przed momentem...
— Tak, ale nie w tem zdarzeniu! Rewanż mi się należy!...

— Należy się porucznikowi! — ujęła się ze wzburzeniem pani Honorata.

— Prawda — prawda! — przytwierdzili Kraiński z Krępowickim.

— Obywatele, jeno warunek! — rechotał Filialski — zwycięzca płaci po butelce na głowę!...

— Śpiewajmy jeszcze mazurka, dopóki nam służy „Dziurka“, póki trąbka“... — zapiszczał głos z boku.

Pani Honorata porwała się, jakby ją zmija ukąsiła.

— Co wujo mi tu wyprawiał!

— „Bez kawiarni Honoratki nie masz“... — intonował Olechowski.

— Więc trzymam dwieście na parol! Do jutra! Przy świadkach.

Bem zmarszczył się.

— Ja pierwsza! — wmieszała się pani Honorata, zdążywszy już rozprawić się z wujem Olechowskim.

— Mówiłem, że dama zdradliwa, ale mocna.

— Przyjmuję, bo licho mi po dukatach — lecz warunek. Najpierw gram o tyle ile tu leży przedemną, o sto dwadzieścia ośm dukatów, — a powtóre, po jednej nie gram więcej i więcej na kwit nie idę.

— Ani ja!

Karty w rękach porucznika trzasnęły i jęły mijać się dziwnie.

— Jeszcze słowo. Major Boski zechce ciągnąć.

Gurowski zaczerwienił się po same białka i rzucił karty majorowi.

Boski zaczął je tasować niezgrabnie. Pułkownik kończył zawijać nowy rulonik dukatów. Pani Honorata darła rąbek szalika. Magister Filialski pomagał Rózi nalewać wino a dogadywał jowialnie.

— Cóż, akuratny faraonik, nie ma co. Kurtę nam skroił pułkownik rzetelna! Takiej procesyjki dubletów, od czasów szambelana Friebesa, nie oglądałem, dalipan! — Na

kuraż, obywatelu poruczniku, do dna! Friebeś tak właśnie szedł, w piekło po swoje! — A lampka — Małachowski takżeż czka i chlepcę, jako niegdy kawaler de Bolesza! Ciągnij fortunę za ogon, majoruniu...

— Zaniechaj pan!

— Silentium!

Beski uporał się nareszcie z kartami.

— Zaczynam.

— Panceroła! — zaskrzeczał Filialski, na widok szóstki winnej.

— I niżnik dzwonkowy! — dokończył Kraiński.

— Wisisz, Adasiu!

Gurowskiemu oczy zmętniały.

— Zdrowie pulkownika!

Bem podniósł się z ławy.

— Jaktę, obywatelu — zaprotestował Filialski — odchodzisz?

— A wino. wino, obywatelu!

— Jakby w „chapankę“ grał! — syknęła przez zęby pani Honorata. — Róziu, ile za butelki?

Bem spojrział prosto w zło, błyszczące pasją oczy właścicielki kawiarni i rzucił pogardliwie rulonami złota.

— Masz tu pani za wino i za swe trudy!

— Skądże — jakże! — wykrzyknął ze zdumieniem Filialski. — Więc w takim razie kolejka dla wszystkich?!

Lecz Bem, nie zważając na magistra ani na poruszenie kompanów — odwrócił się i wyszedł z alkierza.

VII.

Profos Dziurbacki ledwie około północy dowlókł się na Zapiecek, do kamieniczki i na poddasze, kędy, u kumy Olesiowej, stancyjkę, a raczej norę pod dymnikiem trzymał.

Paralityczka, na widok swego komornika, a jedyne go opiekuna, aż zadygotała na barlogu. Ale profos ledwie że ją pozdrowił a wybelkotał słów kilka w odpowiedzi na żale Olesiowej, jako szewczanki dowołać się nie może,

jako ochędóstwa żadnego jej nie daje, a jako pół dnia bez kropli wody ją trzymała.

Paralityczkę strach ogarnął i ścigające ją od dziesiątków lat lęki przywiódł.

— Jegomość, a może „Szuwarów“ idziel? He?

— Et tam, koszalki — miałby po co z tamtego światła!

— Bo jegomość skwaszon...

— Napij się, kumka, mleka. Jest pelen kubek!

Ręce paralityczki zatrzęsły się łapczywie.

— Daj jegomość, daj! Przymieram głodem. Wszystko mi zje, wszystko wypije... Um! A jak przyjdzie? He? Myśliciel? A król jegomość w Grodzie!

— A Sobieski pod Wiedniem.

Olesiowa mrugnęła z wysiłkiem zaropiałemi oczkami, klapnęła śpiczastą szczęką i zdziwiła się.

— Przecież mu Stanisław!

— Oo — właśnie, mosanie!

— Widziałam go, jakby jegomości, srebrzysty cały, głowa napudrzona, pazie niebieskie dokoła...

— Chccie pytlowego!

— Um! Dajcie jegomość! Dajciel...

Paralityczka chwyciła za pajdę chleba. Dziurbacki poprawił jej wezglowia i, nie bacząc na szeplenienie kumy o „Szuwarowie“, który niechybnie na Zapiecek się wybiera, przystawił małą drabinkę do otworu w kącie ściany, wspiął się i wsunął weń na czworakach. Tu dopiero, podpelznawszy nieco, zmacał zrębu komina, wyprostował się, skrzesał ognia i zapalił ogarek.

Ogarek zaskwierczał przeraźliwie i oświetlił żółtym, migotliwym płomykiem rezydencję profosa Dziurbackiego.

Rezydencja ta, na pierwszy rzut oka, wyglądała na wielką, nieogarniętego rodzaju rupieciarnię, tulącą się do belkowań i skośnych linii poddasza. Dopiero, po bliższem jej przyjrzeniu się, chaotyczna rupieciarnia przeistaczała się w szereg rozmaitego gatunku i charakteru lamusów. Więc, gdy w jednym kącie, pod powalą, zdało się, że krawiec wojskowy składał tu wszelkie gałgany, a zbywające części odzieży — w drugim, możnaby przysiądz, że płat-

nerz z puszkarzem trzymali podręczny arsenalik. Tu nagromadzone butle, słoje, pudła, zdaleka wiały wyziewami jakichś soli osobliwych a ziół — ówdzie piły, młoty i młotki, cęgi i naczynie majsterskie cztery naraz przywozowały kunszty; — ówdzie kupy żelastwa, stosy drewnien, kołów i kółków, patyków, wyznać się w ich przeznaczeniu nie pozwalają. Jeden tylko szary pokład pyłu był tu wszędy ten sam.

Dziurbacki, ledwie okiem rzuciwszy po swoim dzieństwie skierował się za mur komina, kędy, wciśnięte pod więźbą drewnianą dachu, widniało posłanie a przed niem, do komina przyparty, czerniał szeroki stół.

Tu profos postawił ogarek na stole. Odetkał otwór w dymniku. Ściągnął z siebie pas i mundur, otarł potem zroszone czoło i przysiadł na posłaniu.

Ciężko mu czegoś było na sercu, nijako.

Inaczej sobie powrót układał, inaczej spekulował. Wszak ci głowił się już dwa dni, czyli swój „magazyn ubiorczy“ przenieść do „ludwisarni“, czyli „skład porządków“ złączyć z rymarskim warszlatem, a jako najporeczniej będzie deskami kącik zagrozić, aby Antoszcze było prawie na nowej kwaterze. Miał już w myśli wyliczone, czego trza będzie takiej izdebce dokupić, a czego trza dziewczynie, aby opiekłymi huzarami z pod mentyka nie lyskała, bo co ujdzie w obozie, to w mieście nie uchodzi. A co pasuje cygańskiej znajdzie, to cale nie przystoi Staszkowej wnuczce... I cóż — i na jedno znalazł radę i na drugie znalazł — aż tu, niby go obuchem. Pulownik do niego — „na poniewierkę jej nie dam“... a tamten śmignął mu bryką... Do Leszna majaczyła mu się. Tchu mu brakło, lecz nie ustawał, żeby wiedzieć akuratnie, bo nie ochapiał, bo go ciągnęło, bo smarkata mores powinna znać i dla dziadowego ozwania mieć sentyment. A cna, ciele, nie ciele, niby kurczę, wiezione na targ w kobialce, ślepiami myrdnęła, lbem pokręciła i pędziła, gdzie konie poniosły. Na Lesznie, bryka hyc w bok i w uliczkę, około koszar artylerji, i ku Długiej — profos za nią — dopadł węgla, patrzy, ani bryki, ani Antoszki! Pasja go

zdjęła. Poszedł w jedną ulicę, w drugą, na prawo, na lewo znów do miejsca, kędy był z oczu bryczkę stracił. Zagiądał na podwórza, myszkował po zajazdach, nigdzie śladu. Lecz z umęczenia się uspokoił. Już Staszek, nieboszczyk, ciemęgą był nielada, bo ani weź do pojęcia nie brał, że kto się na Kurpiach rodzi, temu z harmaty pudłować wolno, lecz tego prawo, choćby krzyka podejść z krucicy. Ciemęgą był, ale miał szczęście. Siedm razy się wylizal i dopiero ósma mu się dobrała pod serdeczne żebro. Takoz i ta śmierducha. Zawieźli ją gdzie do pańskiego dwora. Jej co! Myrdnęła po swojemu ślepiami i rozpiera się w cycowem krześle. Tak sobie myślał profos. Aliści, przy Miodowej tuż, patrzy, trajkocze pusta bryka. Ten sam srokacz z wysiapanyim ogonem i taż sama kusa, spasiona kobyła cisawa, białonóżka. Dziurbacki do bryki i do pacholka.

— Stój sam! Poczka! A dokąd żeś to, bratku mosanie, zawioził niby swego pana z tym tam?...

Pacholek, za całą odpowiedź, ciął konie przez łeb.

Bryka zawinęła w bok i, zanim Dziurbacki zdołał pomyśleć o wpadnięciu obces na pacholka, pomknęła, jak opętana, w ulicę...

Teraz profosa już niepokojność prawdziwa zdjęła, teraz do reszty odbiegł go rezon.

— Bem! Bem juści, jak Bem! Szczery czlek był, ale jemu cóż do Staszkowej wnuki. Młokosowi przyszło rozkazać tak i tak, a tu coś może tak a może nie tak! Smokiem żadnym nie jest, ni upiorem, aby odeń, jak od zapowietrzonego, lada parobas! Musi inaczej. Pułkownicka racja jedna, a profosowa druga. Każdy po swoje... Ucapi pułkownika i wyłoży, a no wyłoży, że mu potrzeba wiadomości, gdzie i u kogo i co? I śmierduchę odnajdzie, a jakże, i dopiero niech zna siaka, niech się rozumu uczy, że Kurpianka takoz ma się czem pieczętować. A jak nie zechce? A jak jej zapachniały pańskie fupy, dworskie ogryzki?!...

Dziurbacki, który był właśnie nad znalezieniem odpowiedzi na to pytanie się głowił — stęknął ze złością.

— To niech ją, mosanie! A niech przepada nicpotem, niewdzięcznica. Pewnie — Staszkowa krew. Słuchać nie

chciał, na umór wziął i beltał się po Italji, aż się do-
beltał. Tfy! — Samotrzcęć chodzi tyle lat po świecie, to
i chodzić będzie i nic mu nie ubędzie. Et tam, co tam — ty-
dzień lasiła się, niby pies do kija i tyle. I dobrze. Nie na
to całe życie prawie w pojedynkę był, aby niańką czyli
utrzynosem cygańskim zostać. A cygańskim, a ma się wie-
dzieć! Albo jeszcze gorzej! I jeszcze — może niewiadomo,
ileby trzeba było wysupłać. Lepiej niech sobie w skrzyni
siedzą, w zaciszu! Ho-ho, widziało się, obieżyświatowil
Tego jej się zachciewało! Niedoczekanie! Łaska boska!...

Tu Dziurbacki sięgnął za pazuchę i dobył szarego, moc-
no wyładowanego a rozplaszczonego mieszka. Położył go
na stole, sznurek rozsypał i potrząsnął zlekka. Z mieszka
wytoczyły się na prześcigi złote i srebrne monety z całym
tuzinem wielkich, bombiastych, srebrnych guzów.

Profos zaśmiał się zcicha i jął przezierać z ukonten-
towaniem zawartość mieszka. A była ona znaczniejszą, niż
sobie Dziurbacki kalkulował. Samych rubli złotych kata-
rzyńskich, cieniutkich, iż w palcach się gięły, naliczył ko-
pę. Aż nie do wiary, żeby z tyłim majątkiem do bitwy sta-
wać i, co trudniejsze do pojęcia, bimbać tem w sabeltaszył
Snadniej już było temu hułanowi w czapie z temi dwuzło-
tówkami!

— Niema co, silna była rozprawa. Nie spodział się. Po
omacku prawie, bo już i ciemno było, myszkował a zgar-
niał przed maruderstwem. A myślałbyś, że drugie się przy-
darzyły Ponary, kiedy to przy lada zmarzłaku bywało tyle
napoleondorów, co robactwa.

— Cie, dopiero Ostrolęka! Eh-he, gdyby wonczas ten
sam rozum miał, kiedy w legji na bosaka dreptał! Pod
Hochenlindą, czy jak tam, że piechurkowi austrjackiemu
ciźmów ulżył, to póty mu chodziło po rozumie, aż je zzuł
i precz wyrzucił. — Głupstwa mu czmerały, gdzie nie po-
trza, i tyle. Niby na tamtym świecie wiele komu z chu-
doby! I potem, gdy przejrzał, ile zmitrężył, zanim się nau-
czył, że co huzar w sabeltaszy trzyma, sztabowczyk w la-
downicy, tego u linjowego biedactwa i szukać nie warto.
Eh, gdyby wonczas ten rozum miał!

Profos westchnął i zapatrzył się smutnie. Naraz, z po-

między guzów srebrnych, wyjrzały ku niemu szklane, wytrzeszczone oczy...

Dziurbacki wzdrygnął się, nachmurzył i splunął siarczyście. Poczem, z pod desek posłania, wysunął szeroką, w żelazne kucia ujętą, skrzynię, otworzył ją kluczykiem, który miał, pod koszulą, na szyi zawieszony i podniósł wieko.

Wnętrze skrzyni zagrało złoto-srebrnymi blaskami.

Żółta pomarszczona twarz profosa rozpogodziła się na widok tak znacznego dobytku.

— Ciulało się, aż się naciulało! Z mędel albo i lepiej nacji by tu znalazł. I cóż, holendry z napoleondorami i czerwonymi złotem w zgodzie sobie leżą. Ryngraf francuskiego adjutanta spoczywa obok złotych przetyczek angielskiego kwatermistrza, cebulasty, sadzony zegarek, co się pod Smoleńskiem przy neapolitańskim gidzie po ziemi tułał, drzemie sobie we wzorzystej, emaljowanej tabakierce, co umie poloneza wygrać. Wszystkiemu tu dobrze i przytulnie...

Dziurbacki ujął za czworogranne, perłami upstrzone puzdereczko, poniósł je z lubością do światła i otworzył. Dwa sygnety lysnęły ku niemu kolorowymi kamieniami i przypomniały wielkiego kirasjera z rozplatanym czerepem...

Profosowi, na to wspomnienie, okrutnie uciesznem się zdało, że taki chłop sążnisty, miast z manierką, z takim oto klejnotem po bataljach się wodził, więc skrzywił się jowialnie. Gdy naraz, tuż w pobliżu, rozległo się jakby przeciągłe, żalosne westchnienie...

Dziurbackiemu czupryna się zjeżyła. Puzderko wysunęło mu się z palców i upadło z brzękiem między kosztowności.

Profos obejrzał się niepewnie dokoła, zgarnął, leżące na stole, guzy i pieniądze, wrzucił do skrzyni, zatrzasnął ją z hałasem i wsunął pod posłanie. Zaczem ujął za mieszek, aby go między rupiecie wziąć, gdy z mieszka wyslizgnął się jakiś, papierami nawpół owinięty, przedmiot. Dziurbacki uwolnił go z papierów, spojrział i wykrzyknął z podziwu.

Z misternie oprawnej miniatury wychyliła się ku niemu Antoszka.

Też same włosy, oczy, twarz żywcem też sama, jeno kształtniejsza, pełniejsza i ramiona nie takie drobne, zbieżone...

Profos aż okulary na nos założył i precz poglądał a głową chwiał a napatrzeć się nie mógł.

Po chwili, kiedy z pierwszego wrażenia ochłonął, spostrzegł na odwrotnej stronie miniatury koronę, a pod koroną nadpis.

Dziurbacki skupił uwagę, bo w czytaniu nie był mocnym. Rozróżnił literę *ka*, potem *be* po dwóch brzuskach poznał, doszedł i pozostałych, lecz gdy skleić je chciał, wychodził mu cudak, brzmiały raz *Kdescer*, raz *Kbdesery*, to znów poprostu *Bgdecery*.

Więc po daremnych wysiłkach dojścia do zdrowego sensu liter na miniaturze, zaniechał sylabizowania i do porzuconych papierów sięgnął. Tu atoli na uczoność starszego żołnierza sroższa czyhała zagadka.

Papiery owe bowiem wyglądały na pakiet z wojskowemi depeszami, pakiet zapieczętowany uroczyście i zygzakami upstrzony.

Dziurbacki zafrasował się, czyli mu go otworzyć należy, gdy pieczęć, nadłamana przy peregrynacji w mieście, sama się rozwarła. Profos dobył skwapliwie zawartość pakietu i na dobre się zakłopotał. Bo przy naciukanym literami świstku znalazł znów pakiet i jeszcze starszanniej, choć inaczej, zapieczętowany. Profos zerknął po nadpisie, po świstku, lecz się niczego nie mógł dorozumieć. Gotów był przysiąc, że widział w którymś kraju podobnie pisane i kręcone litery, ale to i wszystko, czego dociekł. Lecz stąd zawziętość w nim się ozwała. Nie namyślając się, szarpnął za pieczęć nowego pakietu. Wypadły zeń trzy mniejsze, a każdy z nich innym herbem znaczony, inaczej wypisany.

Dziurbacki poniósł do oczu najznaczniejszy z trzech pakietów i stropił się. Widniał na nim orzeł, niby żywcem odbity z czapy grenadjera litewskiego pułku. A ponad orłem stało pismem kunsztownem, jak drukowane wyra-

zistem — „Do wodza naczelnego Jaśnie Wielmożnego generała Skrzyneckiego“.

Bem, po nocy na poły strawionej na grze u Honoratki, a na poły na bezsennem łamaniu się z myślami, ledwie nad ranem zdrzemnął się nieco, ale i to na krótko, bo już o siódmej zbudził go ordynans kapitana Orlikowskiego z raportem odręcznym i wykazem żołdu do podpisu.

Pułkownik, choć mu tak wczesna posyłka dokuczyla, lecz i rad był z niej. Rozkazów ze sztabu nie było żadnych, w baterji panował ład siaki taki, choć kilkunastu żołnierzów do Warszawy się wymknęło — mógł więc Bem wypoczywać dalej spokojnie.

Na ten koniec otwarł pułkownik okno w swej sypialce, zsunął szczerlnie zazdrostki i ułożył się na posłaniu.

Aliści, ledwie powieki mocniej zemknął, znów do drzwi zakolatało.

Pułkownik dzwignął się, narzucił płaszcz na ramiona i otwarł z trzaskiem drzwi.

Na progu ukazał się Sikorski.

— Daruj miłościwy pułkowniku, wybac, tuszyłem sobie powinne służby, lecz dalipan nie o tak wczesnej porze...

— Istotnie, jak pan widzi, nie do odwiedzin jestem...

— Niechże się jeno pułkownik nie sumittuje przedemną! — Tego by jeszcze do konfuzji mi trzeba było! Tak właśnie mi przypada, serdecznie, poprostu... Bardzo miła kwatery... Proszę się nie trudzić, ct tu sobie usiądę!.. O, widzę, plany wojskowe, kalkulacje na stole...

Bem, który ani ukryć umiał niechęci, skinął lekceważąco.

— Zwyczajny rozrachunek szanów i lunet warszawskich.

Sikorski musnął swych rudych, na szpikulce namotanym wąsów.

— A więc tak się przedstawiają! Arcy-ciekawe. Nigdy pojęcia nie miałem, że się to tak prezentuje! Zgaduję, że tu, z tej strony, wypada Marymont?

— Nie, z przeciwnej — tu.

— Aa! Widzi pułkownik a człek, jak palasz przypasze, imaginuje sobie, że mu do generała gwiazdki nie dostaje...

— Za pozwoleniem — przerwał cierpko Bem — suponuję, że pana do mnie jakowaś ważna sprawa przywidła...

— Tak jest, obowiązek nawet powiadomienia cię o losach pupilki...

— Nadtoś pan uprzejmy.

— Pani Marchocka dała mi znać, więc bez mitręgi udaję się do pułkownika — uciekla.

Bem poruszył się niecierpliwie.

— Jakto uciekla?

— Dziś w nocy. Odwiozłem ją wczoraj. Pani Marchocka jaknajlepiej przyjęła dziewczynę. Zatrzaszczyła się, aby ją oporządzić, ogarnąć, nakarmiła, napoiła, ułożyła do snu, budzi się skoro świt, bo ma porucznika strzelców konnych rannego śmiertelnie na opiece — dziewczyny nie ma... Okno na ogród otwarte... owe przebranie wojskowe porzucone, natomiast niema spódniczek pani Marchockiej, niema sepecika, różanem drzewem wykładanego...

Bem skonfundował się.

— Pozwól waszmość, doprawdy nie miła dla mnie historia... Uciekla i nadomiar okradła swoją dobrodziejkę.

— Ano, żeby nie wiem jak kołować, na tem wypadnie utknąć! Pani Marchocka rozesłała wnet sługi na wsze strony — gdzie, jak kamień w wodę...

— I maleństwo takie, dzieciak.

— Od pieluch uczony zlegc, pułkowniku, od pieluch!

— Lecz w takim razie czuję się tu winnym niebaczności. Straty, poniesione przez panią Marchocką, na mnie spaść muszą.

— A nie, nie pułkowniku. Zgrzeszyłeś złotem sercem, każdy rzetelny człek równieby zgrzeszył.

Pułkownik obstawał przy swoim, na ratusz chciał iść, aby szukano malej złodziejki, lecz Sikorski uspokoił go, ulagodził, przekonał, że na tak blahą sprawę szkoda było gniewu i słów nawel.

— Tedy będę musiał chyba sam przed panią Marchocką się wysumitować.

Sikorski aż przyklasnął z zadowolenia.

— Otóż, otóż, kochany panie Józefie, rozwiązanie. Pani Anna nie będzie się posiadała z radości mieć u siebie takiego bohatera. Nie przecz, pułkowniku, rzetelnie mówię, bohatera. Ofiaruję się na przewodnika. Czekam na cię o piątej, w cukierni Lessla.

Sikorski podniósł się.

— Będę niezawodnie, bo doprawdy przykro mi...

— Ot tam, niema o czym, niema o czym! A ja znów gapię się na ten plan sztuczny! Osiwiałbym, zanim bym się w tych kreseczkach i punkcikach wyznał!...

— A rzecz jest łatwiejsza do pojęcia, niż napozór się prezentuje.

— Byle nie dla mnie, kochany panie Józefie. Uważasz, do pisanego wrodzony wstręt żywię! Śmiej się zdrow, lecz takim się urodziłem. Z kopę tacek samotrzeć na szaniec zaciągnąłem, ale co, jak, żebyś mnie zabił. Więc niby tu wszystko stoi wyluszczone, gdzie jaki rów a gdzie wał?

— Najdokładniej i ze wskazaniem, ile i jakich armat trzeba, gdzie ma być pozycja jazdy, gdzie piechoty!

— No-no! — dziwił się dobrodusznie Sikorski. — I sądzisz pułkownik, że, że do tego może przyjść...

— Kto wie! Osobiście jestem zdania, że nie powinniśmy dopuścić do oblężenia miasta, że nie powinniśmy nawet tracić czasu na jego obronę!

— Patrz pułkownik... a tego, tego bym się nie spodział.

— Długo o tem mówić! Więc o piątej!

— Sługa pański.

Po odejściu Sikorskiego, Bem, wybity ze snu do reszty, zabrał się do odziewania. Ale jakby tego ranka fatalność zawzięła się na jego mieszkanko. Ledwie wodą się orzeźwił, zapukano doń z listem od hrabiny Ilińskiej, zapytującej o syna. Odprawił pułkownik służącego hrabiny, nadzedł właściciel kamieniczki, imię pan Brukalski, pół godziny się nad ojczyznę i jej obrońcami rozwodził, aż na przymówieniu się o czynsz zakończył. Po zbyciu się Brukalskiego, pułkownik raptem mundur zdołał na rękawy wciągnąć, gdy znów zakolatano.

Tym razem był to Krępowicki.

Bem na widok osławionego demagoga, z którym nie jedno miał na pieńku, bąknął niechętnie.

— A, cale się nie spodziewałem.

Krępowicki atoli, nie zrażony tonem przywitania, wystroił swą ziemnistą twarz uśmiechem.

— Uniżony pana pułkownika! Honorowa sprawa niewoli. Honorowa, panie pułkownika...

— Do mnie?

— Tak, w poselstwie od Adasia. Od Gurowskiego. Szlachetna cudzych win niepamięć. Dług honorowy jest atoli świętym godności rycerskiej obowiązkiem.

— Racz pan wyraźniej...

Małe oczka Krępowickiego rozśmiały się szyderczo pod niskim, zarosłem na poly czolem.

— Złotko niosę panu pułkownikowi, jako szczęsnemu fortuny dziecięciu. Nigdy go nie zawiele! Proszę, oto parolu solenne dotrzymanie...

Bem zęby zacisnął. Krępowicki świdrował go swem bezczelnem spojrzeniem, slaniał się w ukłonach a drwił oczywiście.

— Służę, dwa ruloniki, bite dukacikami. Jakby w fa-raona grał. Z pod serca sercem dobyte — ale parol, nieskazitelności lehcący, pieściwie ocalon. Więc z rączki do rączki — zechciej odebrać, panie pułkownika...

— Proszę zostawić na stole.

— Akkomoduję się posłusznie do górnego nicości kruszcu traktowania... Jednakże śmiem przymówić się o policzenie, bo możeby, do pełności honoru, demokratycznego brakło obrzezańca.

— Nie trzeba liczenia.

— Upoważnia mnie pan pułkownik do pokwitowania solennego?

— Tak, imć Gurowskiego! — Żegnam pana.

— Mam wielki zaszczyt...

Bem trzasnął ze złością drzwiami za Krępowickim.

Zanim pułkownik zdołał ochłonąć ze wzburzenia, którym go napelnily odwiedziny kamrata Gurowskiego, u drzwi wchodowych rozległ się ponownie lekki, nieśmiały

chrobot, zapowiadający nowego gościa. Bem tym razem nie myślał otwierać. Zadość miał wizyt. Południe szło. Chciał jeszcze do sztabu dywizji zdążyć i posilić się po drodze i na spotkanie się z Sikorskim nie opóźnić i przed zachodem, na Pradze, w baterji, być.

Nie turbując się o chrobotanie u drzwi, uporządkował uniform, szpadę zasadził i ujął za furazerkę. Lecz tu, wspomniawszy na swą pustą sakiewkę, nie bez odrazy sięgnął po jeden z przyniesionych przez Krępowickiego rulonów i rozwinął go na dłoni. Z rulonu wysunął się na czele dobrze mu znany, jego własny kulfon, który mu wczoraj tyle wygranej przyczynił, a który rzucił wraz z innymi Honoratce za wino...

Bem uważnie obejrzał papier, owijający dukaty. Był to papier ten sam, z „Kurjera Polskiego“, którym uraczył go Sikorski. I między dukatami znajdował się i holenderski Filialskiego i „Król Staś“ majora Boskiego z nadpielowanym brzeżkiem. Były to bezwątpienia jego własne, przezeń zawinięte ruloniki. Z tą różnicą, że nie dostawało do całej sumki... ośmiu...

Pulkownik musiał zażyć całego wysiłku woli, aby się nie poddać gorzkim myślom, które nań wraz z tem wykryciem spadły, aby otrząsnąć się, wydrzeć rozterce, co mu jad chciała sączyć znów do mózgu, aby ruszyć ku wyjściu.

Mroczna sień powitała Bema przeciągłym szurgnięciem. Pulkownik, nie zważając, przekręcił klucz we drzwiach swego mieszkania i ku schodom zmierzał, gdy tuż, w odbłaskach, bijącego z góry światła, zaskrzyła się blacha czapy artyleryjskiej.

— Co tu? Kto?

— Dziurbacki.

— Mów, widzisz, że nie mam czasu.

Profos czegoś się zachłysnął.

— Chciałem, mosanie...

— Zezwolenia na trzy dni! Bierz, ile ci serce dyktuje. Zbyteczne ceregiele. Nikt się acanu dziwować nie będzie... Zapowiem raz jeszcze! — Inni twoich lat dawno na weteraństwie siedzą. Bywaj mi jegomość, bywaj!

Dziurbacki nie ruszał się z miejsca. Bem zniecierpliwil się.

— Więc czegoż jeszcze!? Żold będzie jutro.

— Kiedy ja, aby według tej smarkuli. Bo tak, proszę pułkownika, mnie nic do niej, a przecież nijak. Wola pułkownicka była dać ją na opiekę, żeby się toto w kordegardzie nie zmarnowało. Juści, co pułkownik rozkaże, tego profosowi nie odkazać. Więc ja, aby się przepylać, gdzie opieki zażywa, aby ją uzryć malowiele... bo zawsze w konnej artylerji się wysforowała...

Pułkownik teraz dopiero wątek prośby Dziurbackiego pojął.

— Idzie ci o znajdě. Szukaj wiatru w polu!

Bem w kilku słowach rozpowiedział Dziurbackiemu o ucieczce cyganichy od pani Marchockiej.

Profos atoli odparł z przekonaniem.

— To, nie może być, proszę pułkownika.

— Jakto, nie może być — słyszysz waćpan, co ci mówię. Nie tylko, że umknęła, ale i okradła dobrodziejkę...

— Ja też według tego. Że poszła w świat, nie dziwno mi. Staszek takż pacholikiem „ucikł“, bo do bębnienia smarkulowi było pilno, ale co żeby cudzego tknął... tylego obyczaju między Kurpiami ani dudę, proszę pułkownika.

— I mnie samemu nie wyglądała na to. Trusia, niby trzech zliczyć nie umiała. Tak, tak, mój Dziurbasiu, nie udało nam się z dobrem sercem, nie udało...

Bem przy tych słowach, uważając sprawę za skończoną, jął schodzić na dół, po schodach. Profos ruszył tuż za pułkownikiem.

Przy wyjściu z sieni na ulicę, Bem dodał na pożegnanie sentencjonalnie:

— Za twoje myto, jeszcze cię obito. Takie czasy nastaly, mój Dziurbasiu, takie czasy...

I, nie czekając na odpowiedź profosa, skrzył w bok, ku królówi Zygmuntowi, układając sobie, że najpierw do Jaworskiego, na Stare Miasto, dla posilenia się wstąpić należy.

Aliści, gdy po chwili miał się pułkownik wziąć w lewo

placu Zamkowego, dojrzał, idącego za sobą krok w krok, profosa.

— A waćpan czego jeszcze?

— Więc jakże będzie, proszę pułkownika?

Bem, choć zwyczajny dziwactw starego i jego uprzykrzoności, obruszył się.

— Cóż ma być. Z pod ziemi ci tego ananasa nie dobędę, choć rad bym na ratuszu dać nauczkę szelmie!

— Trzebaby szukać, mosaniel!

— Więc jej sobie szukaj! — oburknął się Bem. Mnie nic do tego. Zadość mam tej sprawy!

Dziurbacki na tę ostrą konkluzję, poprawił z flegmą.

— Musi, proszę pułkownika, się znaleźć.

— Niechże się acanowi znajduje — a teraz zostawaj z Bogiem.

— Uważam, aby najpierw pan pułkownik te papiery zobaczył... Niby według tej...

Bem już miał zekpać profosa, lecz, spojrzawszy na jego suche, zwiędłe oblicze, na postać chylącą się ku ziemi — wziął odeń z przymusem zwitek, rozpostarł i poniosł ociężale do oczu.

— Zawzięłeś się, mój Dziurbasiu, aby mi dokuczyć! Papiery... pisma... czy...

Bem urwał nagle i baczniej wpatrzył się w pierwszy papier.

— Co to? Skąd?

— Według malej.

— Ależ, ależ niepodobna! Czekaaj, chodź ze mną tu, obok, do gospody! — Chodź!

Bem skreślił żwawo ku Święto-Jańskiej, na Stare Miasto i tu, w ustronnej izdebce, w garkuchni imć pana Jaworskiego się usadowiwszy, nad kubkiem piwa grzanego, zabrał się do ponownego wertowania papierów a właściwie jednego zawilego listu, który był dołączony do trzech innych zapieczętowanych.

Pułkownik odczytał raz i drugi list, po kilkakroć obejrzał adresy na listach i jeszcze zebrać myśli nie mógł, jeszcze ogarnąć przedmiotu.

List ten bowiem, pisany do jakiegoś Cher Stanislas,

krom polecenia, aby listy, adresowane do pani Bażanow i „mademoiselle“ de Salacka, były doręczone Lesslowi a list do generała Skrzyneckiego wymyślnie, między jego papiery wsunięty, zawierał bardzo drobiazgową instrukcję działania. W instrukcji tej była mowa, że, na wszelki wypadek, należy przygotowywać dalej zniechęcenie przeciwko Skrzyneckiemu, bo choć jest nadzieja, iż uda się go pozyskać, ale na nadziei poprzestawać nie wolno; że wogóle wpływanie na powiększanie zamętu wewnętrznego jest nicodzownie potrzebne; że generał Roźniecki odebrał solenne zapewnienie, iż wielu dygnitarzów z uprągieniem powitałoby zawieszenie kroków wojennych, iż należy skłaniać ich do coraz szerszego wypowiedania się, że raport ostatni był niedokładnym i spóźnionym, bo, dzięki niemu, Chłapowski zdołał wymknąć się na Litwę; że komplety piśemek, bodaj ulotnych, należy z dnia na dzień zbierać i wysyłać; że większa zapomoga jest udzieloną i w wiadomy sposób będzie wyplaconą...

Bem urwał nagle czytanie i zagadnął Dziurbackiego, skąd miał te papiery.

Profos, który, przy sąsiednim stole, raczył się najspokojniej piwem, otarł znacanych wąsów i odrzekł, zezując ku oknu.

— Ano u małej — w galganach. Dobrze mówię; w galganach, co je nosiła, były zaszyte. Nie ochapiało mi się zrazu aż dopiero dziś, patrząc tłumoczka, znalazłem... i, że okulary mi się zawieruszyły, do Zarzyckiego, by mi przeczytał...

— Tam do licha, a to zgola niepotrzebnel

— I ja sobie tak kalkulowałem, ale po niewczasie! Bo odrazu mi się widziało, że trzeba do pana pułkownika z raportem i po małą na spytki. Dziecko jest, zwyczajne jak dziecko, niewinne, ale coś wiedzieć musi.

— I bodaj wiele bardzol

Profos mlasnął z zadowoleniem.

— Owóż dlaczego chodziło mi, że jej trzeba szukać.

— Zapewne, zapewne! Więc najpierw ani słowa nikomu o papierach, Zarzyckiemu odemnie przykaż, by nie

pisnął o tem. Sprawa niezmiernie ważna. Kto wie, kto wie, co z niej może wyniknąć!

— Gdybym wiedział, proszę pułkownika, dokąd wczoraj małą zawieziono?...

Bem wsunął papiery za mundur i, nie odpowiadając profosowi, podniósł się i zapłaciwszy za piwo, do wyjścia się zbierał.

— Gdybym wiedział! — naprzykrzał się śmieiej Dziurbacki.

Bem potrząsnął głową w zamyśleniu.

— Mnie pozostaw. Nic tu nie poradzisz. Nie twoja rzecz i nie moja nawet. Bywaj!

Profos, nie tracąc rezonu, chciał jeszcze o swoje przystawać, lecz nie zdołał, bo pułkownik odprawił go słanowczem skinieniem. Dziurbacki się zaperzył, ale Bem, nie turbując się oń więcej, ruszył żwawo z garkuchni, wskoczył do stojącej w pobliżu dorożki i kazał się wieść do palacu pod Blachą.

Pułkownika chłoneła jedna jedyna myśl, by do wodza naczelnego coprędzej dotrzeć, by zbyć się coprędzej tych strasznych dokumentów, co go paliły, trwożyły. Skrzynekki ma władzę, ma moc i zresztą taki jego, pułkownicki, obowiązek. Nic mu do nikogo więcej. Raportuje, doręcza papiery i koniec.

Bemowi mignęła się wykrzywiona twarz Krępowickiego.

Pułkownika dreszcz przejął. Dokumenty przypomniały mu paszkwil, który mu Gurowski podsuswał w „Honoratec“...

Paszkwil?

O tych pisaniach nikt, nikt zgola wiedzieć nie powinien! Grom, grom nieublagany musi z nich uderzyć i dosięgnąć winnych i grom tak miażdzący, tak okrutny, aby zniszczył, stopił wszelki ślad swego poczęcia.

VIII.

Dorożka wioząca pułkownika, zaturkotała hałaśliwie po zalanem słońcem podwórku i zatrzymała się.

Bem, nie zważając na pustkę i ciszę, którą wiała siedziba naczelnego wodza, ruszył do głównego wejścia.

Jakiś famulus w jaskrawej czamarze zbył go od proga zapowiedzią, że generał wyjechał z Warszawy i że, jeżeli pułkownik ma co pilnego, to niech się uda albo do adjutanta w oficynie na lewo, albo do naczelnego sztabu głównego niech się melduje, albo do pałacu Tarnowskich do pani generalowej.

Bem zafrasował się, lecz, po namyśle, do adjutanta się opowiedział. Ale i, tu nie łatwo mu poszło. Adjutant, kapitan Działyński, kończył był właśnie zbieranie się do drogi i, ledwie po ostrem starciu pułkownika z ordynansem, wyszedł do Bema i tylko dla dania mu wyraźniejszej odprawy

— Pan pułkownik raczy uwzględnić, konie na mnie czekają. Rozkaz! Żadnych raportów nie mam prawa...

— Zechciej, kapitanie, rzucić tylko okiem na te oto papiery!...

— Wodza zastępuje naczelnik sztabu głównego.

— Ale nie w tym wypadku.

— W każdym. Wódz generał jest w Modlinie...

— Idzie więc o to, abys kapitan te oto dokumenty mu zawiózł.

Działyński sponsowiał.

— Daruje pan pułkownik, lecz nie do niego należy wydawanie mi ordynansów!...

— Najpierw zobacz pan z czem przybywam!

Działyński, miarkując rozdrażnienie, podniósł do oczu papiery, aby tem rychlej zbyć natręta, gdy raptem zmieszal się.

— Przepraszam, za pozwoleniem, ależ...

— Czytaj pan do końca i obejrz te oto depesze...

Kapitan jednym tchem przebiegł treść listu.

— Istotnie, panie pułkowniku... Jadę natychmiast do Modlina! Niech mi pułkownik wybaczy! Przypuścić nie mogłem! To haniebne, straszne! Wódz naczelny musi wiedzieć o tem dziś jeszcze, chwili niema do stracenia.

Bem w kilku słowach objaśnił Działyńskiego o tem jak doszły go papiery.

Kapitan zapisał sobie skrupulatnie nazwisko profosa bakterji i z całą prostotą jął przeproszać Bema za niefortunny swój upór. Pułkownik znów, mile tknięty szczerością wytwornego adjutanta-magnata, starał mu się odwzajemnić. I stąd potoczyła się tak zgiełkliwa rozmowa, że ani Działyński ani Bem nie zauważyli dudnienia przed pałacem wielkiego koczka, oprzęgniętego, znaną całej Warszawie, czwórką koni, nie słyszeli ani hałasu, który się wszczął z tego powodu u głównego zajazdu, ani mocnych kroków, nadchodzącym ku nim wraz z energicznym stukotem laski.

Dopiero, kiedy od proga komnaty zabrzmiał ku nim donośny, tubalny głos:

— Gdzież więc nareszcie podziewa się ów pan adjutant?! — postrzegli majestatyczną, tęgą postać general-gubernatora Warszawy, generała Krukowieckiego.

Działyński wysforował się posuwicie ku dygnitarzowi.

— Hrabio-generale!

— A jesteś pan! Przynamniej ktoś! Dobrze i to, mości dobrodzieju! Kogo widzę! Pułkownik Bem. Witam, witam serdecznie i winszuję pułkownikowi...

— Generale...

— Wiem, wiem, pułkowniku, i nie z rozkazu dziennego, mości dobrodzieju, nie z rozkazu, bo nasze dzienne rozkazy po nocy się piszą! — Uf! Niechże sobie usiedę!

Bem ku wyjściu się cofnął. Krukowiecki ściągnął furazerkę otarł spocone czoło kraciatą chustką i zagadnął:

— Gdzież tedy, mości dobrodzieju, podziewa się pan Skrzynecki?

Działyński wyprostował się.

— General-wódz naczelny wyjechał, jest w drodze...

— Do Ostrołki! Co?

— General-wódz naczelny sam tylko może hrabiemu-generałowi udzielić w tym razie odpowiedzi...

— Cha-cha! Sądzisz, kapitan! Niech tak będzie! Ja tu właśnie przybywam w sprawie ostatniego pisania pana generała i wodza...

Bem stanął na progu, lecz Krukowiecki ozwał się doń przyjaźnie.

— A nie, pułkowniku, nie odchodź! Przerwałem wam, lecz krótko tu popasać będę...

— Nie, generale, załatwiłem moją sprawę z panem adjutantem, a że czas na mnie...

— Zostań, mości dobrodzieju, podwiozę cię, dokąd zechcesz...

— Pan generał bardzo łaskaw... zaczekam więc w przed-sionku, gdyż nie chciałbym...

— Cóż znowu, mości dobrodzieju! Przeciwnie, jako oficer artylerji winienes być przytomnym, bo to akurat coś dla pułkownika! Kalkulujże sobie, że jesteś generał gubernatorem Warszawy, że masz wyłącznie sobie powie-rzone bezpieczeństwo i obronę stolicy i że ci imć pan ge-nerał i wódz prześle taką konotatkę!

Tu Krukowiecki podał Bemowi rozkaz wodza naczelnego. Bem nie wiedział, co odrzec. Działyński stał wyprostowany, zimny z pozoru.

— I cóż pułkownik? He? — nalegał Krukowiecki. — Piękny koncept! — Dwie baterje pozycyjne zdjąć z szan-ców, oddać miasto na łaskę i nielaskę lada ataku i dlacze-go... Ano, bo, mości dobrodzieju, wódz naczelny chce je zabrać sobie na odprawienie nowego spaceru! Ale ja na to armat nie mam! Z tem właśnie do kapitana adjutanta przybywam: Powiesz, z łaski swojej, wodzowi naczelnemu— że Warszawa nie jest Częstochową, ani ja Kordec-kim, abym cudami lunety ostrzeliwał. — Armat nie do-stanie, mości dobrodzieju, bo i tak zadość ich zmarnował! To zechcesz, panie adjutancie, powtórzyć odemnie panu Skrzyneckiemu!

Działyński wyprężył się tak, że mu akselbanty zachrzę-szciały.

— Mam honor oświadczyć panu generałowi, że misji tej się nie podejmę, jako uchybiającej godności i władzy generała i wodza naczelnego wojsk polskich...

Krukowiecki postawił groźnie swe wielkie, płowe oczy na Działyńskiego.

— Jaktó, mości dobrodzieju, jaktó, kapitan ośmielasz się mnie, najstarszemu niemal z generałów!?

— Czynię to z winnego zachowania dla wysokiej rangi.

Nie moje prawo mieszać się do tego, co między generalicją jest przedmiotem sporów. Jeżeli hrabia-general masz za słuszne w podobny sposób traktować rozkaz wodza, racz na pismo pismem odpowiedzieć.

Krukowiecki zachnął się.

— Pismem, mości-dobrodzieju! Hm! Tak, to wasze ulubione bakalarstwo, gryzmoly, pisanina, kauzyperdstwo! Inkaustem wojny nie wygracie! Ale cóż — chwałę kapitanowi respons! Masz słuszność. Adjutancka służba — stać, pełnić ślepo, co każą, a nie w rozprawę się wdawać! Przyznaję ci. Setnie rzekłeś! Uniosłem się, mości dobrodzieju. Lecz Krukowiecki, jak bąka strzeli, to ma zawsze odwagę w piersi się brzdęknać! Wyśmienicie! Daj mi pióra i papieru! Na pismo musi być odpis! Nie przyszło mi, bo myślałem, że pan Skrzynecki w pudermantlu wczasy odbywa po trudach ostatniej kampanji! Jest w drodze, dzięki Bogu, dzięki Bogu...

General gubernator Warszawy przy tych słowach zasiadł za stołem.

Pióro zaskrzypiało przeraźliwie po papierze.

Bem tymczasem stał pod ścianą, zapatrzony bezwładnie we wzorzyste tafle podłogi. Wstyd, wstyd go jakiś ogarnął, że nie śmiał oczu podnieść, że nie śmiał wyznać przed własną świadomością tych myśli, które mu się pod czaszką kłębiły.

Krukowiecki szarpnął zamasyżycie piórem, bryzgnął atramentem przy zakrętasiu i stuknął laską.

— Na — jest i odpis! Zechciej go doręczyć, kapitanie!...

— Nie omieszka!

— Wielcem obowiązany i klaniam! A daruj, pułkownik, zem cię zatrzymał. Lecz cóż artyleryjska sprawa, więc prawie twoja! Pozwól, pozwól, a nie, przedem, bo do mojej idziemy landary!

Bem rozumiał, że teraz za wszelką cenę wypada mu wymówić się od uprzejmości Krukowieckiego, ileż uprzejmość ta nabierze dlań pozoru jakowegoś akcesu do chryi o armaty, ale general-gubernator tak obcesowo do pułkownika się zabrał, z taką dlań estymą wystąpił, że znów,

bez narażenia na załarg nie miły, niepodobieństwem było uchylić się.

I Bem, rad nie rad, zasiadł w koczku, obok generała.

— Więc dokąd każesz, mój pułkowniku!?

— Właściwie zgola nadużywam...

— Cóż znowu, cóż znowu!

— Bo tylko na Plac Zamkowy!

— O co to, to ani! Przejedziemy się do Ujazdowa. Pokażę ci naszych zuchów warszawskich, jak się musztrują!

— Ależ doprawdy...

— Nic — szkapy zawieruchy piorunem pójda! Grześ, wypuszczaj na Ujazdów.

Stangret, po krakowsku wystrojony, pękwał chwacko z biczyska. Siwosze poszły z kopyta.

Krukowiecki zagadał rażno do Bema o przyjemności wielkiej spotkania tak zacnego oficera o tem, że przecież obaj z jednej ziemi galicyjskiej się wywodzą, wypomniął mu i wieczrę wspólną przed bitwą raszyńską i powrót z Saint-Denis, z rewji cesarskiej, kiedy to Bem spragnionego Krukowieckiego jabłecznikiem uraczył i dla czynów pułkownika pod Iganiami i Ostrołęką miał mnóstwo gorącego zapalu — a przecież Bem, choć silił się, choć się zmagał, ledwie zbywał generał-gubernatora.

Aż Krukowiecki umilkł nagle i, gdy pułkownikowi zdawało się, że generał całą uwagę skupia, aby na witające go co kroku ukłony odpowiadać, uciął rubasznie:

— Rozumiem cię, pułkowniku, jesteś mi krzyw za Skrzyneckiego!

— Ależ, nie do mnie...

— Nie powiadaj, mości dobrodzieju! W jednym ogniu bywaliśmy, pod jednemi kulami! Możemy ze sobą otwarcie, mości dobrodzieju, pocztować! Myślisz, że mnie, mnie taka, jak dzisiejsza, rozprawa nie doskwiera, nie boli? Myślisz, myślisz, że i ja nie znam się na tem, czem powinna być osoba wodza naczelnego? Żeć w nim niby pragnienie całego narodu niby przedstawicielstwo walki całej się „personuje“! Pułkowniku, ówóż ci powiem — że dziś, że przed chwilą, dałem folgę niewczesną żalości, co mnie trawi, rozpiera, co mnie dręczy! że do końca życia

bodaj tej folgi płakać będę. Nie w takim obyczaju wyrosłem!... Ale gdybyś, mości dobrodzieju, miał moje siwe włosy, moje generalstwo tylu latami służby wypracowane i gdybyś widział zbliska, jako ja codzień patrzę na niedołęstwo, lekkomyślność zarozumialca — inaczej, inaczej byś sądził. Zawistnym, mości dobrodzieju, nie jestem! Napoljon, jako podrzędny oficer, w pięć czy sześć lat, przerósł wszystkich swoich generalów i naczelników. A przecież żadnemu z tych ani widziało się czynić mu wstręty. Lecz Napoljon „jenjuszem“ się wypromował, a nie wielką sztuką odważnego dowodzenia pułkiem! Myślisz, że Skrzyneckiemu odmawiam tego, co mu się należy? że pragnąłbym pierwszy przyznać mu i to, czego mu niedostaje? Najuczciwszy człek może być, przy całej swej uczciwości, zbrodniarzem i łotrem, jako naczelny wódz! No powiedz, powiedz sam, pułkowniku, czyli, z ręką na sercu, zdolen jesteś przyznać słuszność rządowi Skrzyneckiego?

— Prawda, generale, ale Bóg raczy wiedzieć, co lepsze, czy iść spolem za jednym, choć nie tęgim przewodem, czy w pojedynkę, w rozsypkę.

— Dzielnie wyprowadziłeś. Owóz, póki niepewność jest, póty twoja racja ma walor i miała walor, mości dobrodzieju! Czekaliśmy długo, i cierpliwie. Kiedy mi mój własny pułkownik na wodza, nad moje siedmnastoletnie generalstwo, przed Lipskiem je miałem, się wysworował — ha — rzekłem sobie: *spiritus, fiat, ubi vult*. Pan Skrzynecki balamucił, mitrężył, stroił mataczyny, invidiami gnębił co zdolniejszych, co starszych oficerów, pochlebami, młokosami się otoczył — i to jeszcze przetrwaliśmy, znieśli. Przecież lichy go odejdzie, zbudzi się, zawźmie, bierz djabli Prądyńskiego czyli Chrzanowskiego prawdę, gdy ta najmiłowańsza ciałem się staniel... Aż pan Skrzynecki zabawił się w wyprawę na gwardje...

— Przedtem jednakże pod Dębem i Iganiami!...

— Pod Dębem! Przez litość, pułkowniku, wspomnij, że Chrzanowski ledwie wyżebrać zdołał od pana Skrzyneckiego zezwolenie na atak kawalerją. Chrzanowski wygrał bitwę, wbrew intencji naczelnego wodza! A pod Iga-

niami, pamiętasz? Prądyński trzymał pół dnia cały korpus Gejsmara i wyglądał Skrzyneckiego. A pan wódz spał sobie w Latowiczu do dziesiątej rano, a kiedy narreszcie z całą paradą wybrał się do czekającego nań korpusu Lubieńskiego, a no wypadła godzina śniadania, a po śniadaniu, pora drzemki... Gdy zaś huk armat ośmielił się ccknąć znakomitego wodza, niechybna wygrana nasza skórczyła się na niby zwycięską bitewkę!

Krukowiecki stęknął z alteracji. Bem milczał, nie znajdując odpowiedzi na te prawdziwe zgoła argumenty.

— Mężny, mężny oficer! — warknął po chwili generał-gubernator — takiego męstwa całą dywizję znajdziesz! Co innego pułkiem rządzić, a co innego armją! Jeszcze u was, w artylerji, nie mówię. Kapitan musi mieć już pułkowniczą sprawność. Tak, mości dobrodzieju, sam z piechoty wyszedłem, wiem, ile umiałem, jako pułkownik, a ile siedmnaście lat generalstwa mnie nauczyło. A przecież, za Księstwa Warszawskiego, buljony brał jeno taki, który w potrzebie i brygadą mógł dowodzić! — Żle jest, źle, mój pułkowniku. Do zguby idziemy, do klęski! — Żalność i ból człowieka dojmuje i tu... tu dławi...

Krukowiecki szarpnął kołnierzem. Płowe oczy generała zaszczyły złami...

Kocz tymczasem przytłumił swój turkot. Od lewej strony ciepły wietrzyk tchnął ku pojazdowi generała, z ponad ścielącego się kobierca zielonej murawy, i, wraz z aromatami polnych ziółek, przyniósł mu zgiełkiwe, pomieszane echa trąbek i tarabanów.

Krukowiecki odchrząknął i z ukontentowaniem w stronę pola się zwrócił.

Na zielonej równi Ujazdowa, niby kwietne kwatery, widniały zdała niebiesko-amarantowe wstęgi musztrujących się oddziałów gwardji narodowej.

— Grześ — zakrzyknął rażno generał — skręcaj do najbliższych!

Bat pęknął z fantazją. Siwosze parsknęły na przywitanie murawie. Kocz zatrzeszczał na bruździe i pomknął na przelaj. Ale nim dosięgnął pierwszej wstęgi musztrują-

cych się, już w oddali zabrzmiała komenda „baczność tój!“ A po niej, chrapliwe „w ramię broń, tujbroń!“

Twarz Krukowieckiego rozpromieniała.

— Patrz, patrz, pułkowniku, na tych zuchów! Mleko-lyktusy z dziadami w szereg! i jaka postawa, jaka sprawność!

General dźwignął się i zagrzniął swym tubalnym głosem.

— Bywajcie dzieci!

— Wiwat pan general! Niech żyje Krukowiecki! — huknęli gwardziści.

— Trzymać się, obywatele! W ordynku się zaprawiać! Mocą odbierzemy!

— Z tobą, generale! — Krukowiecki! — Krukowiecki! — Wiwat!

Pojazd utknął między oddziałami. General-gubernatorowi Warszawy sil i jędrności przybyło. Wyskoczył niby młodzieniaszek z koczka, na Bema skinął i w łamiące się teraz nieco szeregi wpadł.

— Jak się maciel!? Jak się maciel!? — zagadnął general na prawo i lewo. — Kto prowadził! Zaczny pan Gabrjel! Niestrudzony, niezmordowany!

— Czyni się wedle ladu! — odrzekł żwawo kusy, pękaty staruszek w pułkownickim mundurze.

— Dziwów, dziwów dokazujecie! Poznajesz-że, panie Gabrjelu, kogo wam przywiozłem! Pułkownik Bem! On pod Ostrołką sprawę uratował. Słyszycie dzieci!

— Bem — Bem! Niech żyje general Bem! — zawtórzyłci gwardziści.

Krukowiecki rozochocił się.

— Dobrze powiadacie! General! Dawno nim być powinien! A z talentów, z zasług dla ojczyzny jest nim! Jest, mości dobrodzieju! No, panie Lemański, jakże obywatelowi z tym nowym pędzlikiem?

Podoficerowi Lemańskiemu, na to przymówienie malarzskiemu jego stanowi, aż karabin zachrzącał.

— Wymaluje się, panie generale, co należy!

— Doskonale! Co widzę, imć pan Glücksberg!

— I ja się rodzilem na tej ziemi — szepnął smętnie wąły, chudy żydek.

General porwał go za rękę.

— Sercem witam cię! Wszystkie stany! Jedność! Spolem, ramię w ramię!...

Wśród gwardzystów wszczął się cichy poszmer rozradowania, wzruszenia. Szeregi łamały się, mięszaly, lecz serca jednym były tętnem, oczy jednym gorzały ogniem.

Wzrok generała padł tymczasem ku drobnej twarzyczce maleńkiego dobosza, wystającej ledwie z pod wielkiej czapy.

Krukowiecki podszedł do dobosza.

— A ty, mój Herkulesie, jak się nazywasz?

Dobosz zaczerwienił się i oczy spuścił.

— Powiadaj mi, tarabanie kochany?... He!

— Michaliku! — bąknął cichutko dobosz, przebierając trzymanemi w rękę palczkami.

— Masz ze dwanaście lat?

— Całe dwanaście!

— A tatulo twój co robi?

— Tatulo je „grenadjer!“ — odrzekł dumnie chłopak.

Krukowiecki chwycił Michalika, podniósł i do piersi przycisnął.

Wielka łza stoczyła się z pod powieki generała na rumiane jagody dobosza.

— Dobrze, szczere pokolenie!

Bem równocześnie przez wszystkie ognie uczuć przechodził. Oto z wątpliwości, z niechęci mimowolnej, która kołatała w nim wspomnieniem nieprzystojnej sceny tam, w palacu pod Blachą, z podejrzeń, mianych dla słusznych, lecz jednostronnych, wywodów Krukowieckiego, wywodów, brzmiających aż nadto wyraźnie złością do Skrzyneckiego — ślaniał się ku uwielbieniu, ku czci dla rzetelnych porywów starego żołnierza.

Aż dobre, pogodne sentymenty wzięły górę w pułkowniku. Zapal gwardzystów i jemu się udzielił i jemu rzewną zagrał nutą. I jemu znikły z przed oczu znamiona bezładu, którym razily go szeregi gwardji narodowej i jemu zszczyły usterki, świadczące o niedość karnem, niedość

swornem zachowaniu się żołnierzków. I Bem widział przed sobą niby jedną rodzinę, niby lud cały, pokłosie wszystkich stanów, zbratane, skute jednym hasłem.

I Bem czuł, jak mu pierś wzbiera, jak każdy wyraz generała wlecze go ku niemu, przekonywuje doń, jedna.

Krukowiecki tymczasem jeszcze znalazł serdeczne odezwanie się i dla Filisa, aktora Francuza, i dla Bieleckiego, czeladnika blacharskiego kunsztu, rozmówił się i z Dietrichem, drukarzem, i szewcem Kwiatkowskim; aż kiedy gwardziści, z tylej dobroci generał-gubernatora, już niemal do rąk mu się rwać zaczęli, Krukowiecki zakonkludował z ferworem.

— A teraz do szeregu, bałamuty! Z Bogiem zostawajcie!

— Wiwat Krukowiecki! — zahuczala gwardja narodowa — Niech żyje! — On nasz dyktator! — On wódz! — Wiwat — wiwat!!

Kocz generała, żegnany okrzykami, pełnymi zapalu, ruszył ku Warszawie.

Krukowiecki jeszcze chwiał ręką ku wiwatującym jeszcze salutował, wreszcie, gdy siwosze dosięgnęły traktu, przetarł oczy chustką, nos wytarł hałaśliwie i ozwał się do pogrążonego w myślach Bema.

— Oto moje najlepsze zmocnienie. Gdy mnie zgryzota, mości dobrodzieju, porze, gdy mi dokuczy do żywego, — tu pędzę i stąd wracam odmłodzony, tęższy na duchu!

— I nietylko sobie, generale, świadczysz, bo krzepisz i tych, których za krzepicieli masz!...

— Uu! Aby mnie, pułkownik, nie wstydz! Jakże na serce, na poczciwość, nie odpowiedzieć sercem. Imć pan Władysław Ostrowski będzie znów fochy stroił, bo imaginuje sobie, że aby jemu, jako naczelnikowi gwardji narodowej, wolno się do musztrowania mieszać! Pal go kat! Wytrzymać z nim nie podobna! Gdyby nie on, byłoby trzy razy tyle wolontarzków! Paniczyk z morskiej piany. Już rodzic jego, senator, za skórę mi zalazł. Ale na tego migdałka, mości dobrodzieju, sposób mam. Bo... widzisz pułkownik, co innego wojsko a co innego gwardja! Wojsko musi karnością, sztuką, a gwardja gromadą, kupą! Nie

wiele poradzi z regularną armją, ale wszystko może z narodem! Tu sedno!

— Niechybnie — przyznał Bem, któremu znów uwagi o Ostrowskim czegoś nie przypadły — bo przez nią droga do uciszenia krzykaczy, do stłumienia krnąbrności ulicznej.

— Hę — sądzisz pułkownik?...

— Że stąd największe grozi nam niebezpieczeństwo. Kluby, towarzystwa uzurpują władzę, judzą, burzą, wywołują rankor do wojskowych, grożą sejmowi, generałom, stanom obradującym, Rządowi narodowemu, szerzą paszkwile, oszczerstwa...

— A nie, nie pułkowniku! Jest warcholstwo, zgoda, — lecz grunt w niem uczciwy. Jaki pan, mości dobrodzieju, taki kram! Nie bez kozery pomstują, nie bez powodu wydziwiają. Nie każdy właden dusić w sobie.

— Ramienia silnego brak!

— Ramienia i głowy! — podchwycił gorąco Krukowiecki. — Nie masz jej ani sławetny rząd, ani wojsko! Kto chce, słucha a kto chce, samopas wędruje. Czartoryszczyzna, Skrzynceczyzna, Łubieńszczyzna. Ostrowszczyzna marnują wszystko! Burzą, judzą! Święta prawda! Ale cóż, cóż mają czynić? Mają, niby owce błędne, pędzić do zguby?

Krukowiecki odsapnął i zaczął spokojnie:

— Mnie, pułkowniku, do silnej dłoni namiawiać nie trzeba! Lecz takie naszły czasy, że w tych zawieruchach-burzycielach jedyna ucieczka. Ich jeszcze boi się rząd. Gdyby nie oni, to pan Chłopicki z fanfaronady i brawury przegrał by nas do Dybicza przy partji ćwika, — albo by nas Weyszenhoff rozpił na śmierć! Rozpędź taką „Honoratkę“ a zgasisz ostatni płomyczek! I zacznie się Targowica a może już się zaczęła, mości dobrodzieju!...

— Generale, gdyby te straszne słuchy miały się sprawdzić!

— Więc i ciebie, pułkowniku?

— Tak — słuchy.

— A mnie nie tylko słuchy!...

Kocz wpadł na Krakowskie Przedmieście. General ujął Bema pod ramię

— Rad bym częściej widywać pułkownika! Bądź laskaw, mości dobrodzieju. Pamiętaj na mój dom!

Bem odpowiedział uprzejmym komplementem — lecz Krukowiecki zaprotestował rubasznie:

— No tam, zaraz, mości dobrodzieju. Czekam jutro pułkownika z wieczerzą! Nie ma wymawiań! Trzeba, abyśmy ze sobą o niejednym. Z dwóch dobrych jedna rzetelna racja się poczyna. Tak, tak, służba, pułkownicze obowiązki, lecz i obywatelskie. Niech każdy umyje ręce po pilacku a ojczyznę nam ukrzyżują! Spolem musimy! Żegnaj mi pułkowniku! Do jutra, mości dobrodzieju. A pamiętaj, że w Krukowieckim masz dawnego towarzysza broni i przyjaciela!...

IX.

Po rozstaniu się z Krukowieckim, Bem miał skręcić do Lessła, zawrócił umyślnie do Ogrodu Krasińskich, aby ochłonąć, uporządkować nieco skotłowane myśli.

Wielka laskawość general-gubernatora Warszawy ujęła go bardzo. Lecz nie dlatego przyznawał mu wiele słuszności... Krukowieckiego znał jeszcze szefem batalionu i zawsze wydawał mu się człowiekiem szczerym, porywczym, zapalczywym, ambitnym, ale szczerym. Ambitnym! Łatwo jemu, pułkownikowi, mówić o karności, o bezwzględnej uległości dla wodza... bo mu jego własny porucznik nie rozkazuje! A przecież Krukowiecki, po Weysenhoffie i Klickim, jest najstarszym generałem dywizji! Od początku rewolucji szedł, nie chwiał się, jak inni, nie mitrężył, całą dywizję Warszawie przyprowadził! I kto wie, kto wie, czy istotnie nie Krukowieckiemu należało się dowództwo. Chłopicki nie lubił go, teraz Skrzynecki nie cierpi. Nie dziw, że zarobi nim i bluźnie, jako dziś pod Blachą! Właściwie weale niepotrzebnie był świadkiem tego rozmawiania gubernatora z Działyńskim. Powinien był, za wszelką cenę, wymówić się i usunąć! Z tej jego obecności Skrzynecki gotów wysnuć urażę. Chociaż nie podobna, wszak dowie się,

jak się złożyło! Et tam, niech się dzieje, co chce! Nigdy nie miał szczęścia do względów sztabu generalnego. Jeszcze aby jutro zbalamuci. Krukowieckiemu nie godzi się despektu wyrządzić — a potem, potem wraca do obozu! Tu, w Warszawie, niczego się nie dogada, niczego nie dokaże. Do partji żadnej nie przystanie! Dawniej, w łoży wolnomularskiej zasiadał, gorączkował się, o zbawieniu całego świata roil i pojedynku się doczekał.

W cukierni Lessla, na przywitanie pułkownika, wybiegl puciołowaty człowieczek, zmierzyl go bystro i głębokim uszanował ukłonem.

— Do nóg upadam pułkownika, dobrodzieja mego! Raduję się, że go mam honor... Proszę tędy!

Na to ozwanie, we drzwiach bocznego pokoiku ukazały się rude szpikulce wąsów i rozradowana twarz Sikorskiego.

— A no, a no przecież, drogi panie Józefie! Już zwątpiłem, czyli przybędziesz!

Bem sumitował się. Puciołowaty człowieczek otrzepywał uniżenie pył ze stolika.

— Paszteciki gorące! Drożdżowe na świeżem maśle! Poncz neapolitański!

— Dziękujemy ci, panie Lessel — innym razem! — Wychodzimy z pułkownikiem.

— Jak moi dobrodzieje rozkażą!

Dowódzca Augustowski skinął cukiernikowi, rzucił mu szeptem jakiś wyraz do ucha i do Bema znów się zwrócił.

— Idziemy więc, panie Józefie?

— Jestem na rozkaz! Czy to daleko?

— Tuż za teatrem, na Święto-Jerskiej.

W drodze Sikorski jał rozwodzić się nad panią Marchocką, nad jej dystynkcją wielką a złotem sercem, napomykać coś, że, właśnie dla tego złotego serca, rozeszła się z mężem, kapitanem żandarmów, hulaką słynnym niegdy w dwunastym pułku jazdy Księstwa Warszawskiego; a dalej prawić o gościnności pani Anny, o niezwykle ożywionych zebraniach, o jej wdzięku niepospolitym, o fortunce znacznej, co przez babkę generalową, a podkomorną spiską czy rawską, spadła na nią.

Pułkownik jednym uchem słuchał Sikorskiego. Ten ostatni pomiarkował się wreszcie.

— Ale doprawdy, panie Józefie, zanudzam pana!

— Bynajmniej.

Zanudzam, bezwąt্পienia. I mimowoli, mimowoli! Bo jak tu można o pani Annie mówić inaczej! Kiedy, na parol, podobnej drugiej nie znajdziesz!

— Ostrożnie, mój panie, — gotówem domyślać się... Sikorski westchnął sentymentalnie.

— Otóż niczego domyślać się nie możesz, pułkowniku! Ba, ba, żeby, gdyby; rada by duszał Hiu, lecz „kumu totu“!... Najpierw jejmość moja a potem, nie zapieram, bez wzdragania z djablem w komitywę bym iść się deklarował! Ba, żebym to, jak pułkownik, samotnikiem chodził a imię jego nosił!

— Pozwól pan, że zapytam, więc pani Marchocka, spozstrzegłszy ucieczkę tej znajdy, zarządziła poszukiwania?

— Oczywiście! Służba jej schodziła wszystkie ulice dokola. Pod Marymont bodaj dotarła, bo nicpołem w ogród chlusnęła i opłotkami na przylegające zagony sadownika się wydostała.

— I nikt nie widział jej?

— Nikt zupełnie! — odrzekł Sikorski, pogładając kątem oczu na Bema, i dodał od niechcenia:

— Na honor, panie Józefie, aby się tem nie turbujcie!

— Hm — ufam dobroci pani Marchockiej, jeno zaszły pewne wypadki, które budzą we mnie obawę, czy z mego powodu kapitanowa nie będzie miała innych jeszcze przykrości...

Matcwa, uśmiechnięta bezmyślnie twarz Sikorskiego wystroiła się glupkowato-dobrodusznym grymasem.

— Inne przykrości? I skądże znów! Na miły Bóg, bo żebyś mnie zabił pułkownik...

— Miałem dziś rano wiadomość... dobrze mówię wiadomość z baterji... Są poszlaki, że dziewczyna należała do szpiegowskiej rodziny.

— Aa! Czy podobna?!

— Uciezka jej potwierdza domniemania.

— Domniemania! Więc wykryto coś? Może, może papiery, depesze, dokumenty?! — natarł gorączkowo Sikorski.

Bem, uderzony zmienionym tonem głosu swego kompana, zatrzymał na nim przelotne spojrzenie. Twarz Sikorskiego stała w płomieniach, oczy rzucały niepewne błyski.

— Nie wiem — odrzekł pułkownik, nie mogąc się oprzeć instynktownemu uczuciu nieufności.

— Lecz powiadasz, panie Józefie, domniemania!

— Tak słyszałem, zresztą to służbowa sprawa! Wspomniałem o niej, gdyż niepokoję się, czy stąd na panią Marchocką nie spadną kłopoty. Mogą trudzić ją pytaniami, a kiedy uciekła, a dokąd przypuszczalnie?...

— Dla osoby tak patrijotycznego zapału wcale niemiła rzecz! Lecz, dalipan, w głowę zachodzę! No, no! Śmierci bym się spodział, niż żeby ów kozaczek ucieszny, com go wozili! — A możeby odrazu dać znać na ratusz? — Nie! — Słusznie, mogłoby to pokrzyżować zabieg! Osobliwa historia, lecz pułkownik dał się podejść! — Hm! — Niezawodnie, widzi się niebożątka — i litość zdejmuj!... Hm! Ale zawsze nieostrożność! I w czasach, gdy roi się od sprzedawczyków. Mów, co chcesz, panie Józefie, a nieostrożność wielka.

Bem usiłował tłumaczyć się, lecz Sikorski tak zręcznie rzecz poprowadził, że gdy nareszcie, w głębi rozległego dziedzińca, ukazał się piękny dworek pani Marchockiej, pułkownik, uwierzywszy w swoją niechybną winę, jął wymawiać się, czyli mu przystoi z odwiedzinami się naprzykrzać. Sikorski atoli ani słuchać nie chciał o odwrocie.

Tymczasem cały bezmiar popełnionej lekkomyślności przedstawił się pułkownikowi dopiero wówczas, kiedy, na jasnym tle wytwornego saloniku, zarysowała się przed nim strojna, smągła postać pani Marchockiej. Bema taka stąd konfuzja zdjęła, że najprostszego ozwania nie mógł skleić. Lecz nadobna gospodyni nie zauważyła nawet pomieszania pułkownika. Starczyła i pytaniami i odpowiedziami.

I Bemowi już zadufanie wracało i pewność siebie, gdy Sikorski, nie dość, że wyrwał się z nowiną o pomówieniu

znajdy o szpiegostwo, ale, nadomiar, pod pozorem obejrzenia opłotków, którymi się wydostała cyganka, wyszedł drzwiami, rozwartemi na ogród, i zniknął za klombem.

Pulkownik nie wiedział, co rzec, jak prosić o przebaczenie za niepokój, którego był istotnym sprawcą. Pani Marchocka jednak i z tej opresji zdolana go rychło dobrać. Piękny jej, harmonijny głosik zabrzmiał taką dobrocią, że Bemowi serce zakolatało.

— Pulkowniku — zakończyła kapitanowa, muskając drobnymi, wypieszczonymi paluszkami bukietek fiołków, tkwiący zalotnie w jej bujnych, ciemnych splotach. — Nie byłabym Polką, żebym imienia twego nie znała, nie wielbiła... I dlatego rada jestem tej właśnie przygodzie, bo dozwoliła cię poznać ze strony, mniej obchodzącej patrijtkę, lecz zawsze drogiej dla kobiety, bo ze strony serca. Niewdzięczność zaś jest mi tu jeszcze lepszym świadectwem. W ćlnięcie bitewnym, w chwili gdy rycerski porryw unosi cię, gdy całą twą duszą władza żądza walki, bohaterstwa, poświęcenia się, dochodzi cię jęk cichy, żallosny dziecka. Serce twe, nawet wśród szczęku oręża, nie pozostaje głuchem... Ratujesz, ocalasz od zguby niechybnej, nie troszcząc się, że ocalasz zmiję, gada, co ukaszaniem odpowie za wyświadczone dobro! I w tem rys wzniosły Jakaż zasługa, naprzykład, z tego, że u mnie porucznik, biedaczysko, zaznaje siakiej takiej opieki, gdy tyle błogosławieństw śle mi co godzina przez klucznicę, iż doprawdy upokorzona się czuję!...

I pani Marchocka mówiła tak długo jeszcze o niewdzięczności, jako o dokumencie prawdziwej cnoty.

Pulkownik czuł się olśnionym, oczarowanym.

Harmonijny, przytlumiony zlekka głosik kapitanowej kołysał go, fale oddechu bżów, które były weń z ogrodu, upajały, a melancholijne spojrzenia ciemnych, podłużnych oczu pani Marchockiej przejmowały rozkosznem drżeniem.

— Nie wiem doprawdy, czem, czem zasłużyłem sobie na tyle laskawości, nie wiem, czem się wywdzięczę.

— Ach nie wymawiaj, pulkowniku, tego słów! Wszystko, byle nie wdzięczność!

— Bywa ona wszakże i szczerą i nieuchybiającą...

— Wiec zgoda, przyjmuję zapowiedź wdzięczności od pułkownika! I nawet sama się ośmielam nakreślić jej wyraz... Raczysz pan nie zapominać o moim dworku.

Bem porwał się z siedzenia.

— Za najmilszy do spełnienia obowiązków poczytałem... Raz jeszcze za tem... i mam honor...

— A nie, nie! Protestuję! Nie odmówisz mi, pułkownik, i zostaniesz na podwieczorku... Spodziewam się kilku pań znajomych.

— Obawiam się nadużywać...

— Cóż znowu! Ale, chciałabym pochwalić się moim ogródkiem. Podaj mi ramię, pułkownik. Odszukamy po drodze tego nudziarza!

Ogródek pani Marchockiej był rozległym i pięknie utrzymanym parkiem, pełnym starannie pielęgnowanych kwietników, wijących się przemyślnie ścieżek, ustronnych altanek i zacisznych ławeczek.

Kapitanowa jęła zwierzać się pułkownikowi ze swych trubacji o utrzymanie ogrodu, o ulubione swe oleandry, o róże, zwarzone przymrozkami kwietniowymi, o jesion, od roku czegoś kwękający. Pułkownik słuchał uprzejmie, a sekundował swej towarzyszcze dorzucanemi pólśłówkami.

— Tu, na lewo, jest moje najulubieńsze miejsce!

— Prześliczny zakątek! — przyznał Bem, rozglądając się po malej, misternie, wśród glogów, wyciętej polance.

— Stąd dal dla rozmyślań i cisza dla wspomnień. Tu moje ulubione dwa laurusy. Już trwożyłam się o nie. W cieplarni więdły, niknęły w oczach. Słońce je odrodziło! Nie uwierzysz pułkownik, jak się temu raduję. Jestem przesadną. Laurusy wszak są godłem zwycięstwa!

— Szczęśliwy kto z rąk pani to godło odbierze.

Pani Marchocka, w odpowiedzi, ułamała gałązeczkę laurusu i podała Bemowi.

— To za Ostrolękę i nie za nią... tylko...

— Nie zasłużyłem na tyle dobroci...

— Czynisz zaszczyt, pułkownik, tym krzaczkom, nie spodziały się takiego honoru. Od tej chwili dopiero stają się wawrzynem.

— Naprawdę usiłowałbym sprostac pani w zgrabności wysłowienia.

— Jedynie dlatego, że ostoja życia twego jest czymś! Takich zaś, jak ja, samotnic są słowa i tęsknoty daremne.

— Poglądając na panią, trudno uwierzyć, by każda z twych tęsknot nie musiała być ziszczeniem.

— Tak przypuszczasz, pułkowniku?

Oczy Bema spotkały się z rozmarzonym spojrzeniem pani Marchockiej.

— Jestem głęboko przeświadczony, pani kapitanowo...

— Nie nazywaj mnie, proszę, kapitanową! — odrzekła smętnie. Nie mam ani ochoty, ani prawa do tej godności. A przytem — dodała żartobliwie — nie wystarczała mi podobno od pierwszej chwili.

— Ambicja pani...

— Ambicja moja szukała serca.

Rozmowa urwała się. Piękna twarz pani Marchockiej zasnęła się chmurkami. Pułkownik milczał, nie starając się nawet o wątek nowy dla ozwania się. Był upojony. Szła obok niego tuż rozwiewna, szeleszcząca, zlekka na ramieniu jego pochylona. Długie jej rzęsy drżały w promieniach bijącego w skos, przez gąszcze zarośli, słońca. Przezrzysta materja chwiała się kornie na falującym lonie.

Szła a płynęła. Odgłos jej kroków ginął w brząkaniu ostróg pułkownika.

— Ach! niema tego nudziarza! — rozległ się głosik pani Marchockiej!

Bem drgnął mimowolnie, jakby ze snu się zbudził.

— Nie ma go — przytwardził machinalnie.

Pani Marchocka wskazała pułkownikowi na wyrwane w rogu parku opłotki.

— Tędy uciekła. — Widzi pan, są jeszcze ślady. Nie uwierzy pułkownik, ile dałabym, aby ją pojmano. I nie idzie mi o ukaranie... Ach raczej nagrodzić bym ją gotowa...

— A ja stokroć sowiciej, bo inaczej nie danem by mi było poznać najpiękniejszej z dobrodziejek.

— Jest pan wartkim w komplementach, nie bacząc, że komplement bywa zdradliwym...

— Prawdę szczerą...

Pani Marchocka objęła pułkownika powłóczyłem spojrzeniem i uśmiechnęła się.

— Z całą skwapliwością deklaruję więc, że gdybym posadzała niewdzięcznicę o tak brzydki rodowód, ha, to kto wie, czy samaby jej do ucieczki nie namówiła...

— A ja wykradłbym ją niechybnie...

Liczko pani Marchockiej spoważniało raptem.

— Zapominamy jednak w samolubstwie o sprawie publicznej. Czy istotnie są dowody na posadzenie tego biedactwa?

— Niezbite nawet. Krótko mówiąc, w lachmanach dziewczyny znaleziono listy a między nimi pismo, będące najwyraźniejszą instrukcją dla szpiega.

— I nie wiadomo, do kogo adresowane?

— Instrukcja owa nosi jeno jakoweś znaki i nieczytelne inicjały.

— A listy? — pytała od niechcienia pani Marchocka.

— Listy są opatrzone nazwiskami.

— Ach, więc z łatwością przyjdzie ująć niegodziwców! Byle dość energicznie wzięto się na policji.

— Hm, nie wiem. Jest to raczej rzeczą rządu a, kto wie, czy nie sztabu.

— Więc nie dano znać do ratusza?

— Nie sądzę. Obowiązek nakazywał mi złożyć raport wodzowi naczelnemu.

— Wyobrażam sobie uczucie odrazy, które musiało przejąć pana, gdyś dotykał tych haniebnych papierów! To straszne! Pomysleć, że, w momencie gdy cały naród!... I nazwiska są znane na listach...

— Jedno tak, dwa inne mniej, chociaż trudno orzec, zakrawają, według mnie, na sieci... Lecz brak mi odpowiedzi. Czytałem ten, który nie był zapieczętowany.

— Więc pułkownik czytał! Ach, nie ważyłabym się spojrzeć. Śmieję się pan! Nie — nie! za nic!

— Szlachetny wstręt!

— Lecz to już słońce ku zachodowi się skłania. Anim

się spodziała. A tam Marynia Salacka pewno już wszystkie altanki obleciała.

— Salacka? — powtórzył przeciągle Bem, uderzony tem nazwiskiem.

— Córka generała inżynierów. Bardzo miła panna. A sentymentalna i nieszczęśliwa. Opowiem kiedy pułkownikowi. Będzie i generał. Jemuby opowiedzieć o tej szpiegowskiej historii. Toż byś go ucieszył. Co kroku widzi zdrajcę. Dzielny, poczciwy człowiek, choć niedalekiego lotu. A naszego nudziarza, jak niema, tak niema. Pułkownik dawno z Sikorskim w przyjaźnielstwie?

— Z panem Sikorskim? Nie mogę powiedzieć...

— Ani ja! — Znam go od tygodnia.

— A ja od wczoraj!

Pani Marchocka parsknęła serdecznym śmiechem.

— Cha-cha-cha! A toś mnie pułkownik zakasował! Cha-cha-cha! Paradne skojarzenie! — Spotkałam go akurat temu tydzień u majorowej Krasnodębskiej.

— A pani zna Krasnodębską?

Pani Marchocka potrząsnęła domyślnie główką.

— Jakby to pułkownikowi powiedzieć. Helenkę pamiętam jeszcze z klasztoru. Była starszą nademnie, lecz wiele okazywała mi. Po tem, co zaszło, — nie powinnam, stanowczo nie powinnam.

— Hurtig!

— Otóż właśnie! Ale i major wiele, wiele bardzo zawinił. Więc poprostu przez litość, raz do roku, aby, aby się miała wyplakać przed kim. U niej zatem spotkałam Sikorskiego. I ten, jak go pułkownik znasz, z honorami do mnie, uprzejmościami. Powiem nawet, że gdy się zjawiał u mnie z siurpryzą, zamierzałam go zbyć. Potulna postać owej nibyto sierotki pomiarkowała mnie nieco, ale przekonało dopiero imię pana pułkownika!

— Pani!

— A od dziś dopiero dla Sikorskiego nabrałam życzliwości... Ucieszna figura, zakazana, lecz poczciwa niezawodnie! Gospodaruje tu, jak u siebie.

— Tyle mu winieniem, iż ośmielam się błagać dlań o przebaczenie.

— I ma je zupełnie i za to, że nas nie nudził.

Z poza klombu bzów wysunęła się naprzeciw idącym dorodna, choć może zbyt opiekła blondynka.

Pani Marchocka powitała ją żwawym okrzykiem.

— Miałam przecucie! Jesteś Maryniu! Pozwól, że ci sprezentuję, pułkownik Bem. — Panna Sałacka. I dawno, dawno?...

— Cały ogród schodziłam. Jest i tatuś!

— Ach, nie wiem, jak się wytłumaczyć! Ale to nie moja wina! Pułkownik odpowie przed generałem.

— Nawet przed sądem polowym!

Pani Marchocka rzuciła Bemowi powłóczyście spojrzenie.

— Trzymam za słowo! — Idźmy, idźmy! Ale, wiesz, przepadł nam Sikorski!

— Nieszkodliwie — zaśmiała się chropowato panna Sałacka — zabawia niewolnicę...

— Ach więc i pani Nadzieja! — wykrzyknęła gospodyni i wyrwała się naprzód i tak, że gdy pułkownik z panną Sałacką stanął na progu saloniku, pani Marchocka już ozwała się żartobliwie.

— Proszę pułkownika, nadewszystko przedstawić cię muszę najweselszej z naszych niewolnic.

Bem skłonił się niewielkiej a korpulentnej osobce o spiczastym, zadartym nosku.

— Pani Bażanow! — dodała gospodyni domu.

Pułkownik rozwarł szeroko oczy. Pani Marchocka, jakby nie spostrzegła zdumienia, które się na twarzy Bema zarysowało, i poprowadziła go ku generałowi.

Ceglaste oblicze Sałackiego rozpromieniało.

— To sobie dobre! Pułkownik Bem! To sobie dobre! Pamiętam, znam, pod tem... pamiętam! Ho-ho! To sobie dobre! Inżynierzy z artylerją jedna broń.

Pułkownik wszczął obojętną rozmowę z generałem. Sikorski zabawiał panią Bażanow. Pani Marchocka z panną Sałacką zniknęły na kilka minut, zakrzętnęły się i zaprosiły do podwieczorku w altance, z lewej strony dworku.

Tu, przy kawie, nawiązała się dość ożywiona pogadanka, w której atoli Bem nie brał prawie udziału, ileże,

pomimo wysiłku, nie mógł odpędzić myśli o tem, że owa szpiegowska posyłka zawierała listy, adresowane do panny Sałackiej i do pani Bażanow. Napróżno pułkownik starał się wytłumaczyć sobie, że listy te mogły dotyczyć i dotyczyły bezwątpienia zgoła innych osób, że córka generała i fertyczna, a chichocząca wciąż jego sąsiadka nie miały nic wspólnego, krom nazwiska, z osobami, na które padał tak ponury cień, — wyzbyć się myśli o tem nie mógł. Jedynie, gdy pani Marchocka zwracała się doń, pułkownik ożywał się nieco, lecz niebawem znów milkł.

Lecz ta niemowność pułkownika dokuczyla śnać tak ruchliwej damie, jak pani Bażanow, bo zagadnęła nagle Bema:

— A cóż tam pułkownik mniema o wojnie?

— Trudna odpowiedź.

— Ma się rozumieć! — podjął z boku generał. — To sobie dobre, jakże tu kalkulować, co, kiedy...

— Uch! generał przecież pół wieku w kancelarji siedział! A pułkownik ot w samym kotle się parzył...

— Jakto, mościa pan! — To sobie dobre, no tak, piętnaście lat szefowałem inżynierskiej rachunkowości... ale ten... pod tym, jakże mu, — dwunastym, nie, w tym roku...

— Wiem, wiem i muchy generał nie zabił...

— Osobiście, to sobie dobre, jako generał inżynierów...

— Raporciki, papiereczki! Wiem! Przecież i mój Bazyli też przy pałazie chodzi i pochwę pustą od pistoletu nosi i ostrogami dzwoni a jak mu strzelić kazałam na wiwat *pour son jour de nom*, całą niedzielę miał bicie serca!

— Za pozwoleniem, bywa to...

— Już go i pan pułkownik nie ustrzeli, choć sobie ze wszystkich armat! Jestem spokojna!

Towarzystwo wybuchnęło śmiechem.

— Lecz to nie chroni małżonka jej — wmieszał się Sikorski — od innych strzałów, bardziej zabójczych bo niewieścich!...

— Oho! A ze mną sprawa! Niech nie śmie, bo, jak się to mówi... Kuba Panu Bogu, Jakób do Michała...

— Cha-cha, — pozwól kochanie...

— *Pardon.* Anetko — niech najpierw się dowiem od pułkownika! Dobrze mi w tej waszej niewoli, przyjaźnie, wesoło — ale ot niewola, jest niewolą. — Dajcie mi mówić! — Więc kiedy pułkownik sądzi, że skończy się wojowanie?

— Gdy wygrana przechyli się stanowczo na jedną lub na drugą stronę!

— Przechyli się! O już tyle miesięcy się chylił! Ot, possibilities się raz porządnie i pogodzili!

— Niema zgody — ofuknął groźnie generał.

— Tatuś zawsze za wojowaniem. A przecież tyle już krwi przelano!

— Waćpanna nie masz tu rezolucji!

— A pan pułkownik?

— Zależy od warunków zgody. Może być ona dla jednej strony klęską, dla drugiej wygraną.

— No tak, ale może być i prawdziwą zgodą — dowodziła pani Bażanow. — Kto się czubi, ten się lubi. Więc nie mówię, sama jestem generalską córką, — poczubić się dobrze a potem niech ten ustąpi i tamten niech ustąpi i zgoda sama się zrobi....

— Obawiam się — odrzekł Bem — że sprawa zaszła tak daleko, iż o ustępstwach dobrowolnych nie może być mowy.

— I słusznie, słusznie! — burczał generał. — Jeszcze jedna bitwa, jak pod tym... i to sobie dobre!

Panna Sałacka skrzywiła się. Pani Bażanow westchnęła z komiczną powagą.

— Uch! Więc proszę jeszcze o buleczkę z miodem na osłodzenie niewoli.

— Bronimy się! — zauważyła melancholijnie pani Marchocka.

— I do ostatniego ładunku!

— Pan generał jest dokuczliwy!

— Nie pani dobrodziejko...

— Lecz sprawiedliwy! — dodał Sikorski. — Musimy do czasu, niema rady.

— Otóż, otóż właśnie...

Pani Bażanow spoważniała.

— Lekko wam mówić, a iluż na tem cierpi! Byłam dziś u Brońcowej. Żal patrzeć! Siedzą na Zamku i sami nie wiedzą, w którą stronę patrzeć. Tu od księżny Łowickiej niema listu a tu pan Chłapowski wojuje i podobno atakował korpus Wielkiego Księcia. Rozdzielenie zupełne. I jeszcze, *sans doute*, czego dobrego, z kwatery ich wyproszą, bo komuż mają marszałkować? Foryś generała Skrzyneckiego przymówił służącemu Brońcowej od szpiegów! Marszałkowa poskarżyła się ale i nic z tego nie wyszło. A ileż razy *la foule la plus basse* wygrażala im pod oknami! Mówiłam Brońcowej, żeby się wyprowadziła! — Biedni, nieszczęśliwi...

— I nie tylko oni! — dodała panna Sałacka. — Ileż rodzin żyje w trwodze o najbliższych.

— Wojna, moje dziecko, to sobie dobre! Każdy ma kogoś...

— Nie o nich mówię! Są w wojsku polskiem. Lecz, iluż poszło z korpusem litewskim, iluż zostało oderwanych od wszystkiego, co kochali, co wielbili...

— Choćby generał Jankowski! — ozwał się wódz augustowski — ma dwóch synów na nauce w Petersburgu. I, od pół roku, znaku życia! A tu zaraza, słyhać; gra-suje cięższa niż u nas...

— W nielepszem położeniu jest pan Morenheim.

— *Pardon*, Anetko! A Nesselrode, a Essakow, a Richta, a biedny Dyakow?

— Panna Rymbarska, której ślub był naznaczony z kapitanem Jegorowem z kirasjerskiego pułku, dostała czarnej melankolji! — wtrąciła generalówna.

— Nie miała z czego! — burknął Sałacki.

— A nie, generale — ujęła się pani Marchocka — serce bardzo często wypowiada posłuszeństwo zastanowieniu. Poryw jego nie zważa na względy, nawet patryjotyczne, idzie na przeciwności za miłowaniem...

— Głupstwo wierutne! — zacietrzewił się Sałacki. — Imię Rymbarska niema za tynfa rozsądku. Pstro w głowie, to sobie dobre!

Generalówna pobladła, usta jej mocowały się z odru-

chowym skurczem. Pani Bażanow pokiwała smutnie głową. Gospodyni próbowała zatrzeć wrażenie gwałtowności Salackiego.

— A pan, pułkowniku, czy równie surowym jesteś sędzią,

— Na sędzię się nie piszę. Słowa generała mam za przypomnienie obowiązku, że, w tych czasach, każdy ma ofiarę do poniesienia, że jeden na ołtarzu musi złożyć życie, drugi serce, inny majątek...

— Otóż i sprawiedliwie! — ucieszył się szczerze generał. — Każdy musi, a to sobie dobre! Jak, panie Napoljon pod tym... wszyscy musieli!

Rozmowa, po tej konkluzji generała, jęła toczyć się cspale. Pani Bażanow próbowała ożywić zebranie rozpowiadaniem historii uciesznej bijatyki medyków Dworzaczka i Belangera. Pani Anna zagadywała o teatrze, o niezwykle poetycznej muzyce *Fra Diavola*. Sikorski prawił o przygotowaniach do bankietu gwardji narodowej. A nuda i przymus, pomimo tylu rozlicznych tematów, nie dawała się wypędzić z altanki. Aż pani Marchocka, śnać dla zajęcia gości, w kilku słowach przedstawiła generałowi i pani Bażanow przygodę Bema z cyganiątkiem.

Salacki zakrzyknął z triumfem. Pani Bażanow wzruszyła ramionami.

— Generał odrazu by ją wieszać kazal...

— A to sobie dobre! Listy, pisma, sztuczki...

— Listy, Listy! Uch, ważna rzecz. Takim szpiegiem więc ja pierwsza jestem, bo i ja pisuję listy...

Bem poruszył się niepewnie. Sikorski bawił się od niechcenia łyżeczką.

— Ależ tu o nie takich listach mowa.

— *Pardon*, Anetko. Nie wiadomo! Ot będzie temu cztery dni, jak wysłałam na Kraków listy do obozu Pahlena. Górska je zabrała.

— Gdyby mościa panią złapano!

— Zlituj się generale, nie do obcych żadnych, lecz do swoich, do najbliższych, do męża, do syna...

— Prawo wojenne! Żeby moje, moje rodzone dziecko — sąd i basta! He, co, pułkowniku...

— Tego rodzaju korespondencja jest zawsze niebezpieczna.

— W sedność trafił! Zanim by mościa pani dowiodła, uczyniłoby się, jak pod tym... w roku, panie... „tymtam“... pluton, salwa i to sobie dobre! Trup!

— Przedstawiasz się generale sroższym, niż jesteś.

Salacki posiniał.

— Rozkaz, stan oblężenia, wojna! Względy, są względy, ale niechby w moje ręce świstek bodaj! — Do kuma czyli do pociotka, do męża czyli do... jakiegoś kirasjerskiego Adonisa — zdrada, a na zdradę ołowianka!

Panna Salacka pochyliła głowę i wybiegła z altanki. Generał bębnił z pasją po stole. Sikorski z panią Bażanow wysunął się za generalówną, gospodyni domu rzuciła zdawkowe usprawiedliwienie i również podążyła do dworku.

Salacki łypnął znacząco oczyma ku Bemowi.

— Masz pułkownik z babami! Dogadaj się! Listy sobie pisze do obozu! A tu szpieg na szpiegu.

Bem, któremu otwarta, szczerą twarz Salackiego coraz bardziej do serca przemawiała, odrzekł uspokajająco:

— Od pań nie podobna wymagać znajomości kodeksu wojennego!

— Myślisz, pułkownik! Gdybyś codzień, co godzina miał toż samo! Uf! Desperacja istna! A czyja wina? Krukowieckiego, rządu, Skrzyneckiego! Zamiast, to sobie dobre, w garści, krótko, ostro tak i tak, tego i tego, oni, panie przez szpary. A tu taka chodzi samopas i dziewczynę mi bałamuci.

— Pani Bażanow po swojemu bierze wypadki.

— Rozstrzelać powinni! — wybuchnął generał, przyrzeciem w głosie jego tak głębokie zabrzmiało przekonanie, że Bem nie wiedział, co odpowiedzieć.

Salacki tymczasem, miał umitygować się, pomstować zaczął na dobre na oficerów korpusu litewskiego, którzy mieli okrutnie wiele złego rodzinom przyczynić na niegodziwość panny Rymbarskiej, na śmieszność opiekowania się jeńcami, na sprzedawczyków, co czają się na każdym

kroku na zgubę rewolucji, na niewdzięczność dzieci i na całego świata przewrotność niezmierną.

Pułkownik słuchał, upatrywał daremnie wątku dla narzekań generała, chciał zmienić przedmiot rozmowy — napróżno. Sałackiego zmora wewnętrzna szarpała, gryzła. Pułkownika cgarnęło uczucie przygnębiającego zmęczenia.

General długo jeszcze rozwodził się a wyrzekał, aż, wyściskawszy gorąco ręce Bema, jako jedyne go czleka, który go zrozumiał, nacisnął furażerkę i boczną furtką, nie żegnając się z paniami, wysunął się z obejścia dworku pani Marchockiej.

Mrok cichego, pięknego wieczoru czerwcowego zapadał — już fioleły półcieniów wypełniły zakątki altanki a pułkownik trwał jeszcze zamyślony, jakby zasluchany w echa ostatnich słów generała.

Naraz, krótki, nieśmiały apel słowika rozległ się w pobliżu.

Bem rozejrzał się dokoła, podniósł się i zafrasował, nie wiedząc, czyli mu należy iść za przykładem Sałackiego, czyli wypada czekać na powrót gospodyni.

Jakby w odpowiedzi na pytanie, kamuszczyki na ścieżce zachrobotwały, niby tchnieniem zefiru ocknione. Na progu altanki ukazała się smągła, biała postać.

— Pan pułkownik! Ach, Boże, Boże, doprawdy nie wiem, jak prosić o przebaczenie...

— Ja raczej winieniem... Nadużyłem łaskowości... Nie chciałem bez holdu należnego...

— A nie, nie, proszę tak nie mówić! Śmiałość moja wynikła z tego, że wydało mi się, że pan pułkownik jest dobrym, dobrym znajomym. General poszedł! Oryginał wielki. Marynia się rozchorowała...

— Panna Sałacka?

— Leży u mnie biedaczka.

— Może to coś ciężkiego? Jestem gotów po lekarza!

— Niestety, pułkowniku, na jej cierpienie nie masz lekarstwa. Tragedja serca! Jedna z wielu dzisiaj tragedyj. General nie panu nie wspominał? — Ach, był dzisiaj w swej pasji! Gdybym mogła przewidzieć, oszczędziła-

bym pułkownikowi przykrości! — Wiem, wiem! — Salsacki jest bezwzględny. — Marynia kocha... Ojciec dał właściwie swoje przyzwolenie. Kawaler dorodny, adjutant przy sztabie generała Kuruty! — Wybuchła rewolucja! Generał w jednej chwili zmienił zdanie! Ani słuchać nie chce. Panna we łzach tonie! Cóż winna! A tu, co moment, sceny bolesne, uwagi! — Rozumiem, stary żołnierzysko najpoczciwszemi rządzi się intencjami. Wojnę by pragnął mieć na wszystkich punktach! Nie sądź, bym pochwałała Marynię. Lecz nie każdemu dana jest moc spartańska. Ach i nie sądź, pułkowniku, bym ją bronić zamierzała! Stokroć razy nie. W głębi ducha przyznaję nawet słuszność ojcu i boleję, że w Maryni obowiązek, płomień świętej miłości ojczyzny nie zwyciężył sentymentu dla adjutanta Kuruty. Ale cóż, widząc jej niedolę, tęsknotę, /lzy...

Bem kilku wyrazami akkomodował się do zdania pani Marchockiej i do jej rączki się pochylił.

— Do zbytku nadużyłem gościnności pani dobrodziejki...

— Jako — jako? — zdziwił się smętnie harmonijny głosik — a ja akurat wyprawiałam Sikorskiego, by panią Bażanow odprowadził! — Czy może służbowe sprawy?

— Nie służbowe, jeno, jeno... — płątał się Bem, czując, że mała wypieszczona rączka pani Anny garnie się laskawie do jego twardej, żyłastej dłoni.

— Więc niech waćpan zostanie! — naprzykrzyła się ze słodkimi rozpaprzeniem pani Anna.

Pułkownik został.

Noc zapadła, noc szafirami nieba zdobna, mrugająca krociami gwiazd.

Dworek pani Marchockiej poglądał w ciemną parkową otwartymi nacięzaj drzwiami a bił przez nie strumieniem światła między klomby i zarośla, ku niemałemu poruszeniu ich skrzydlatych mieszkańców.

I trzepotały się spłoszone zięby, śmieciuchy i pliszki, świergotały wpółsennie skowronki, jaskółki wychylały swe łebki z gniazd a wróble na alarm niemal uderzyły. Aliści najsędziwszy pośród wróblej gromadki, drzemiący w zaciszu konarów ulęgalki, ocknął się, zaostrzył dzioba

na gałązce, spojrzal bystro ku światłu, i, cierknawszy surowo na piszczących smarkuli, lepek pod skrzydło zasadził i chrapnął..

Na takie wróbla sędziwego orzeczenie, uciszyło się i w koronach drzew i zaroślach i krzaczach. Słowik podfrunął na wyższą wilkę leszczyny i gardło nastroił.. Napróżno.

W głębi dworku zabrzmiały ciche akordy a wślad za niemi zadźwięczał melodyjny głosik niewieści. Zadźwięczał z początku niepewnie, głucho, aż, wyrwawszy się do parku, strunami perlącej się na trawnikach rosy spłynął i echo odnalazł.

Czyli pamiętasz, mówił do żołnierza
Poważny rotmistrz od znaku pancerza —

nucił coraz śmieiej głosik melodyjny.

W saloniku pani Marchockiej pułkownik Bem stał zaparty na klawikordzie.

X.

Było już późno po północy, gdy pułkownik opuścił gościnne progi dworku pani Anny. Lecz, żeby nie wozy, które dudniły ulicami, dźwigając już żywność w stronę Pragi, nie wypomniał by nawet późnej godziny! Czuł się pokrzepionym, zadufanym, wniebowziętym. Toć nie śnił nawet, że na świecie spotka istotę tak czarującą, dobrą, a tak mu przyjazną! Łamał się w sobie, utyskiwał, jęczał, błąkał się, poddawał desperacji prawie dla, dla... byle kogo! — A tu przypadek, uśmiech losu może, stawi go oko w oko z kobietą, która już nie wdziękami ciała ale i serca i duszy podniosłej jaśnieje! I nie dość na tem, że widzi ją, ogląda, podziwia, ale znajduje tyle dla się uprzejmości, tyle uwagi, tyle, tyle wyraźnego sentymentu, żeć jeno do wyciągającego doń ramiona szczęścia się skłonić, żeć jeno mu się pozwolić.

Bem spojrzal w głąb słabo oświetlonej bramy wiel-

kiego domostwa które mijał, i wzdrygnął się. Był to pałac Chodkiewiczów i wejście do kawiarni Honoratki.

Pułkownika zdjął pusty śmiech. Toć jeszcze wczoraj tu, w tej norze karczemnej, szukał wzajemności, gmachowi rodzinnego życia tu budował świątynię. Opatrzność go ustrzegła, ocaliła. I cóż by go czekało? — Dźwignął by Honoratę, podniósł, ukształcił? Raczej sam by może upadł. Niedosć miłować samemu, trzeba być miłowanym i trzeba rozumieć się, trzeba wzajem się dopełniać!

A choćby i dwie tak różne urody zestawić i w tem nie trudny wybór. Honoratka jest jak stary, odurzający napój. Nęci, tumani, grzeje, ale i obrzask sprawuje i pali w gardle i nikczemny swój wypomina rodowód. Pani Marchocka jest jak lilja. Szlachetna, wdzięczna w każdym poruszeniu, w każdym drgnieniu swej pięknej, delikatnej twarzyczki. Tu natrętne, roziskrzone, wyzywające spojrzanie bachantki, a tu lazur nieba. A przy tem, co za postawa, co za pośmigłość kibici! O głowę jest wyższą od niego. Honoratka do ramienia jej nie sięga!

Pułkownik tak był temi myślami rozkołysany, że bynajmniej nie zastanowił go osobliwy o tej porze rozruch, którym go powitała sień, zamieszkiwanej przezeń, kamieniczki. Dopiero, kiedy na piąterku powitał go imć pan Brukalski wykrzyknikiem.

— Chryste Panie! A toż chyba Duch conajświętszy pułkownika dobrodzieja sprowadzał! — Bem spostrzegł, że, wraz z właścicielem kamieniczki, coś z dziesiątek pstrokatego luda tłoczy się a rozprawia w otwartych drzwiach, wiodących do jego własnych komnatek.

Pułkownik nie zdołał słowa wymówić, gdyż już nań posypały się ze wszech stron relacje.

— Łotrzyk! — Złodziej! — Zamek wyrwany! — Pani Dzikowska słyszała stąpanie jakby dwojga osób, ale cóż, nie śmiała penetrować. — Pan Marcin także słyszał, lecz myślał, że sam pułkownik! — Nikomu do głowy, że chudobę pułkownika rabują! — Niegodziwiec! — Musi zwyczajny kamieniczki. — Talatajstwa rozmaitego teraz! — Kara Boska takiego nie minie! Jużci, ale do ratusza też nie zawadził!

Aż gdy nareszcie Bem wyrwał się zgiełkliwemu nastrożeniu się sąsiadów a przebiegl zbobrowane swe izdebki, imć pan Brukalski, sztucznie wspomniawszy, jako prawdziwą usługę oddał Bemowi, że właśnie z czynszem się przypomniał, bo niecnota więcej by się obłowił,— do sedna przypadku się dobrał.

— Łomotanie okrutne do drzwi budzi mnie, pułkownika dobrodzieju. — Co to? — Kto? — Rozkaz Rządu narodowego do pułkownika Bema! — Na pięterko, mówię, i pierwsze drzwi! Ledwie się znów uciszyło, znów łomotanie! — Jeszcze zawziętsze! — Tak ja do pana Marcina. Kłaczę przez ścianę. — Pan Marcin do pani Dzikowskiej i każdy ze swej stancyjki. — Co to? — Kto! — Rozkaz Rządu narodowego! — A pani Dzikowska lamentuje — rety, na pospolite ruszenie chcą brać! — My znów do tego a on znów: pułkownika Bema! — Wodzimy się, że na piętrze albo w obozie! — Mówi, wraca z Pragi a na piętrze drzwi otwarte! A że akuratnie i imć pan Kropiwnicki wyjrzał z oficynki, tak my z panem Marcinem i panią Dzikowską — hurmem — do sieni, i znajdujemy tego oto pana fizyljera i izdebki pułkownika stojące otworem.

Bem, który dotąd, z filozoficzną pogodą czleka ubożego, znosił zwiastowanie mu hiobowych wieści, zaniepokoił się widokiem strzeleckiego munduru.

— Posyłka ze sztabu? — zagadnął niepewnie.

— Ordynans z kancelarji Rządu narodowego, panie pułkowniku.

Bem odebrał ze zdziwieniem podany mu papier, spojrział na adres, złamał pieczęć. Rozkaz odręczny księcia Adama Czartoryskiego wzywał go do natychmiastowego stawienia się przed obliczem Rządu.

Pułkownik oczom nie wierzył, bo w pojęciu mu się nie mieściło, co odeń, ledwie od tygodnia mianowanego pułkownika, mógł chcieć aeropag władzy narodowej, że aż wśród nocy go powoływał. A może to pomyłka! — Nie, — nadpis dwukrotny i krom nazwiska, dodatek — „pułkownikowi byleż gwardyjskiej baterji pozycyjnej“...

W niespełna pół godziny Bem znalazł się pod arkadami palacu Radziwiłłowskiego.

Dawna rezydencja namiestnika księcia Zajączka, powitała go słabo oświetlonymi mrokami wielkiego, sklepionego przedsionka.

Pułkownik zameldował się do trzymającego wartę oficera.

Oficer stawił się bez mitręgi i z całą służbistością i atencją pospieszył zapewnić Bema, że nie tylko ma rozkaz powitania go, lecz i zawiadomienia natychmiast komendanta pałacu o jego przybyciu, ileż komendant uważa sobie za obowiązek złożenia mu powinnego honoru.

Pułkownik nie zdołał jeszcze wyrozumieć znaczenia tego niezwykłego przyjęcia, gdy już salutował go z uszanowaniem krępy, zamaszysły major, w mundurze czwartego pułku strzelców konnych.

— Borodicz, do usług pana pułkownika! — zarekomendował się żwawo major.

— Rad wielce, ale daruj, majorze, nie z mojej winy cię trudzę...

— Prawdziwy zaszczyt dla mnie! Niech pan pułkownik raczy pozwolić ze mną... o tu, do tej sali...

— Ależ bo — protestował Bem, coraz bardziej oniesmielony uniżonością majora — ja tu, jak po ogień, dowiedzieć się, kiedy będę mógł stawić się...

— W tej chwili, panie pułkowniku. Dam znać na sesję...

— Jakto, więc Rząd narodowy obraduje, o tej porze?

— W pełnym komplecie. Właśnie pan minister — komisarz wojny, dopiero co nadjechał i już zapytywał o pułkownika. Nie będąc pewnym, czyli pierwsza posyłka dobrze się sprawi, wyprawilem podporucznika, — minął się w drodze niezawodnie...

Tu major wspomniał coś o sekretarzu generalnym, Plichcie, zawiął się i pozostawił Bema samego.

Pułkownik, oszołomiony tem całym przyjęciem a bardziej myślą, że czeka go stawiennictwo przed najwyższymi dostojnikami władzy, głowił się a bił z myślami, usiłując odgadnąć cel wezwania.

Może powołano go dla jakowej artyleryjskiej sprawy? Może idzie o prowadzenie fabrykacji ogniów? — Może

minister wojny chce odeń rozrachunku armat a może przygotowano dlań misję inspekcyjną?! — A może, może czeka nań dowództwo jakiej wyprawy? Może na Wołyn go wyślą iść w głąb, aby siły Dybicza rozproszyć, zasza-chować i porażkę Dwernickiego powetować?

Bemowi od tej myśli aż krew zagrała. Gdyby mu pozwolono... Ośm armatek, dwa szwadrony strzelców i pułk mocnej, starego autoramentu piechoty, ale piechoty na wozach... aby piorunem dążyć mogła! Do tego instruktorów kilkadziesiątu. Runął by, jak strzała, na Starą i Garwolin, zmrużył by chylkiem w okolicę Kocka i lasami dosięgł do Dubienki! — Cha, i zagrałby dopiero w chowanego! Żadnych parad, muzyk, tobołów, zawalidrogów! — Na szpicy, w rekonesansie, plutonik w rozsypce idący, plutonik w kubraki chłopskie przebrany, by wojska nie zapowiadać, za plutonikiem tuż dwie armatki Orlikowskiego z obsługą conajchytrzejszą na odprzodkowanie i zatoczenie. — Bez pukaniny przedwstępnej, bez machania ulańskimi chorągiewkami na dwie mile w okrąg, bez festynów, przyjmowania deputacji, mów i wiwatowania! We wsi, w miasteczku, kwateruje nieprzyjaciel, — kartaczami go, wzmocnić ogień, — zawinąć w bok, wygarnąć tuż żelazem i dopiero, kiedy zamęt, puścić szwadroniki, piechotę, nowozaciężnego ochotnika na dokonanie, na zagarnięcie! Rad wojennych, swarów, paplaniny, gadaniny na owinięcie palca. Rozkaz jeden i koniec. Za naczelnika sztabu wystarczy mu w potrzebie Zarzycki, podoficer lub pierwszy z brzoza kanonier od wycioru. Gejzamer, Pahlen, pójdą za nim w tropy, będą go oskrzydłali?! Niech spróbują! Nie na siedzenie w kotle pójdzie! Ciasno mu będzie za Bugiem, za Prypecią, więc za Dniestrem przestworu do uwijania się znajdzie.

Pułkownikowi czy się zaskrzyły. Plan wyprawy całej coraz wyraźniej, coraz pełniej mu się układał, coraz tęszą dla siebie znajdował w umyśle Bema rację.

Wyprawa na Litwę korpusiku Chlapowskiego była znakomitem posunięciem, — dobrem było i wysłanie Gielguda z Dembińskim, choć mniej, bo wynikiem z przymusu, z bitwy ostrołęckiej, z przegranej bitwy. Dembiński ubiegł

pulkownika, — ha, mniejsza, niechże jego czy Chłapowskiego dowództwo sławę i zasługi weźmie. Ale Wołyń! Dwernicki nie poradził! Hm, bo znów nie z planu, nie z namysłu się wysforował, jeno z konceptu Lelewela. Siedm tysięcy ludzi wywlókl blisko. Więc odrazu o całe pięć zawiele! A potem, ulanami chciał Rydygiera straszyc! — Szarżcwać myślał na całą armję! Za stoczek przypłacił Boremlem! Co innego pościg, atak na złamanie poszarpanego, zdemoralizowanego skrzydła, a co innego przesadzanie kawalerją. Dwernicki miał armaty! Dwanaście na siedm tysięcy żołnierza! Głupstwo oczywiste. I jakie armaty! Takie, co lizą gorzej marudera, co ledwie bitwie zabasować raczą! A dalej Dwernicki śmiały oficer — ale płochy, fantazja go zawsze rozpierała a tu... tu trzeba zęby zacisnąć i pędzić bez tchu, bez spoczynku...

— Wszak pulkownika Bema mam honor...

Pulkownik zerwał się z krzesła.

Stał przed nim szczupły, chudy jegomość w perłowym surducie o twarzy ściągłej, wygolonej starannie.

— Tak panie.

— Jestem Plichta. Proszę, niech pan pulkownik zajmie miejsce. Utrudziłyśmy pana tem wezwaniem...

— Jako wojskowy, panie sekretarzu...

— Rozumiem! Może tabaczki!... To cała moja ratownica! Od wieczora jesteśmy na nogach! Znów taki dzień, że ani sobie dać rady! A wczoraj nieśniło się nikomu!

— Czy pan sekretarz nie mógł by mnie objaśnić...

Plichta ujął pulkownika za rękę i uściśnął gorąco.

— Psyt — pulkowniku — cierpliwości! Dowiesz się za chwilę! Okrutnie się raduję, że go poznaję! Dystygnowałeś się, pulkowniku dobrodzieju, niesłuchanie, niesłuchanie! Książę-prezes... ale to tajemnica... sam jeździł do sztabu po odpis twego stanu służby! I pięknie się układa, — okrutnie. Powinszować!

— Pan sekretarz doprawdy...

— Tylko *relata*, pulkowniku dobrodzieju... Jest to okoliczność szczególnie miła Rządowi narodowemu, bo potrzeba, bardzo nam potrzeba dowódców i to, mających

zaufanie... a tem bardziej, gdy przewidywać trzeba zmiany pewne...

— Nie wiem, o jakich pan sekretarz wspomina zmianach, — lecz z góry mogę mu deklarować, że, jako żołnierz, nawykły do karności, na każdym stanowisku wypełnienie obowiązku mam za najwyższe zadanie.

Plichta aż przyklasnął.

— Okrutnie, znakomicie! To właśnie, pułkowniku dobrodzieju! Otóż czego niedostatek! Tu rząd, tam generalicja. Ówdzie minister a ówdzie naczelnik wojskowy. Ten rozkazuje i tamten. Jedno w tą — drugie w tamtą. I, panie, starcia, polityka i bezczynność militarna! A tak! — Aha, czem ja to nawiasem... Aha, pan pułkownik, nie powiem, że się skłania, lecz z ciekawości niewątpliwie zagłąda do Honoratki?...

Bem skonfundował się.

— To jest bywam, a raczej bywałem, znam właścicielkę kawiarni z dawnych czasów...

— Pozwól, dobrodzieju. Miałem na myśli klub Honoratki, który, niezawodnie, ma dążności najlepsze...

— Nie powiem.

— A!? — podjął skwapliwie sekretarz.

— Cała jego dążność polegała dla mnie na burzycielstwie, na warcholstwie, na demagogji...

Plichta uderzył palcami w tabakierkę.

— Okrutnie mocno zdefinjowane! Więc ten, bardzo się cieszę, bardzo. Chodziły wieści, że niby pułkownik należysz... Książę-prezes Rządu będzie okrutnie, okrutnie...

We drzwiach komnaty ukazał się major Borodnicz. Plichta porwał się żywo ku niemu.

— Co, to sztafeta?

— Od generała Prądyńskiego!

— Nareszcie, nareszcie! Daj komendancie! Aha, do księcia-prezesa! Wybornie! Sam ją zaniosę!

Sekretarz rzucił okiem na podaną mu przez majora kopertę, zważył ją w rękę i mrugnął znacząco do pułkownika.

— Hh! — hm! Jeszcze moment cierpliwości. I kto wie! A więc, dobrodzieju-pułkownik raczy pamiętać, że z całą,

z całą dlań jestem i byłem... że zawsze miałem wysokie o nim rozumienie.

Tu Plichta sklonił się z atencją Bemowi i, zaleciwszy solennie, aby major honorował gościa, podreptał w głąb przedsiönka ku schodom.

Borodzicz, stosując się do rozkazu sekretarza, jął pułkownikowi nastęrczać się z wygodniejszym fotelem, z poczęstunkiem wreszcie.

Pułkownika zniecierpliwienie ogarnęło.

— Dziękuję za wszystko, nie chcę przyczyniać kłopotu...

— Najmniejszego.

— A jeżeli waszmość łaskaw, uracz mnie wiadomością, przed kim mam właściwie stanąć i w jakiej sprawie...

— Książę...

— A ten pan sekretarz?

— Prawa ręka, panie pułkowniku, od niego wiele zależy! I, jak pan pułkownik zauważył, jest dlań z zupełną...

— Wielki honor — ale nie objaśnia mi wcale dostatecznie!

— Mamy niesłychanie ważne posiedzenie...

— Domyślam się...

Major rozejrzał się dokoła i szepnął konfidencjonalnie.

— Sprawy... sprawy dygnitarzów wojskowych, dymisje. Ostatnia kampania wywołała, to jest, spowodowała... Wczoraj książę z ministrem wojny byli u Prączyńskiego. — Odmówił. Przed chwilą nadeszła odpowiedź na wtóre zapytanie. I odmowa.

Bem rozwarł szeroko oczy.

— Nie rozumię.

Major kiwnął z przeświadczeniem głową.

— Niechybnie, inaczej nie dawał by odpisu, jeno sam by przyjechał! — Tak! — Proponuje generała Jankowskiego! — Lecz nie przejdzie. Kaliszanie by podnieśli gwałt. Dla pana Niemojewskiego nie można. Wyszedłby Gielgud, — ale go nie ma...

— Więc zmiana dowództwa?!

Borodzicz na ustach palce położył i znów obejrzał się dokoła.

— Pan pułkownik za złe nie weźmie, ale tu kręci się jeden... Pan Skrzynecki ma tu swoich zauszników. Więc tak, kluje się zmiana! Już kiedy z Rożana, po bitwie, napisał — była o tem mowa. Książę i minister Barzykowski chcieli wówczas. Morawski się nie akkomodował. I ułożyło się — aż dziś, przed północą, adjutant Działyński przybył z Modlina z depezbami do Rządu. Konia z kretelem ochwacił! Pan Skrzynecki żądania stawil...

Major strzepnął bezwładnie rękoma.

— Niepodobna, panie pułkowniku! Nie możemy! Teraz po Ostrołęce, niepodobna! Zresztą, gdyby nawet coś załagodzić się dało... to trzeba myśleć, trzeba, inaczej powaga Rządu... o! Powaga! — I w tem szkopuł. — Tak czy owak. Skrzynecki jest pogrzebany, panie generale.

— Jestem pułkownikiem tylko.

— Nie ośmieliłbym się za to ręczyć! Nie jeden z generałów może mu pozazdrościć. A tak, niechybnie. Więc pan Morawski dopiero zawiadomil Rząd. Pan pułkownik zna raport pana Skrzyneckiego...

— Widziałem rozkaz dzienny.

— Tamten nic jeszcze. Mam tu odpis najwierniejszy, proszę, niech pan pułkownik się przekona, ani słówka o nim...

W słabem świetle pająka, litery raportu, podsuniętego przez Borodzicza, zwały się Bemowi w czarne nierówne pasma.

— O tu na dole, właśnie. Pan pułkownik uważa — stoi wyraźnie „w tym kanonowym boju“ — czyli, że pan Skrzynecki wyróżnia działanie artylerji — „odznaczyli się między innymi generał Pac“ — a dalej — „Małachowski i Bogusławski“... Wymienil więc na chwałę artyleryjskiej bitwy dwóch kawalerzystów i jednego piechura. A w tem dwóch rannych tak, że ani ręką ani nogą i jednego niedołęgę-poczciwca, który na batalion ledwie starczył!

— Cale mnie to nie uraża. I tak dziw, że mógł skleić w takim zamęcie...

— Raport pisany był nazajutrz po bitwie, z Pułtuska. Kiedy zatem pan Morawski o panu pułkowniku, tak dopiero... Niemojowski odrazu żądał wyższego stopnia... lecz

że z panem Skrzyneckim chwiała się — musiano zachować sprawę, odwlec, lecz nie na długo, panie pułkowniku. Dzięki Bogu, nie na długo. Talentom należy się nareszcie pierwszeństwo! Czas największy, abyśmy prawdziwych generalów mieli na czele.

Bema ogarnęło niewytłumaczone uczucie przygnębienia, zniechęcenia. Borodicz dalej rozwodził się nad upadkiem ducha w wojsku, nad szemraniem, które wzmagają się, z przyczyny bezwładności dowództwa, nad coraz większą Towarzystwa patrijotycznego hardością i raz po raz czynił przesłanki do rychłego awansu pułkownika. Bem słuchał tych wynurzeń chmurny, zaszępioty. Chwilami, gdy, na zręczne napomknienia majora, lyskał mu amaryntowy, srebrną wstęgą namiętny, kołnierz generalski, ożywał się, jakby przytakiwał Borodiczowi. Aż raptem w półruchu, w półrozchyleniu ust, gotowych do odpowiedzi, stygł, drętwiał. Chwilami znów zmagął się i gonił myślami rojenia te najskrytsze, najserdeczniejsze, najmilsze, te, które mu tyle nocy dały przemarzyć, tyle niegdy trudów wojennych pozwoliły znieść.

Borodicz chrobotał mu nad uchem swe poufne zwierzenia, a on, Bem, pędził, gonił marę promienną. — Żołnierzykiem prostym dla niej się zaciągnął, dla niej krew niósł.

Czynem nieśmiertelnym dźwignąć się, na tytana urósć, ogarnąć zastępy i powieść je do chwały, do zwycięstwa. Przykładem jaśnieć, być odkupicielem, wodzem nad wodzami, Katonem i Achillesem, pomścić i przebaczyć, zdumieć wspaniałomyślnością, zakląć własną mocą i testament niepożyty przyszłym zostawić pokoleniom!

Te mary były przy nim, gdy, pod Raszynem, pędziła za Włodzimierzem Potockim śród dymów armatnich. — te mary objawiły mu się, gdy z obłązonego Gdańska ruszył na wyprawę, gdy po raz pierwszy dowodził półbaterją! Wówczas te mary rozsadały mu piersi, wówczas widział przed sobą początek ich ziszczenia... Raszyn dał mu porucznikowską epoletę, Gdańsk pana Władysława Ostrowskiego, artyleryjską zdolność rozslawił... Po tem, gdy, po kapitulacji, umknął samotrzeć do Francji, za Napoleonem, za

cesarzem, już odtąd co dnia widział zawzięciej piętrzące się przed sobą stopnie, już odtąd co dnia przekonywał się, iż rzeczywistość na porządnym kapitaństwie zamrzczeć mu nakazuje. Po latach długich koszarowej niczności, koszarowego ubiegania się o pochwałę na paradzie, — zagrała pobudka i ta konspirowana, szeptana. Trzy gradusy zdobyła mu, trzy rangi przyczyniła i cto poniosła go tam, kędy jeden krok, wysilek jeden, dzieli go od tego, czego do niedawna wypominać się nie ważył, co miał za rozwiane mgły młodzieńczych snów, co miał za uludy majaczceń chłopięcych.

I Bem wdziewał generalski mundur i już nie na Wołyń z korpusikiem pochodnię rewolucji niósł, już nie z lada Gejsamerem się wodził, lecz miótl całą Dybiczową potęgę, rąbał na wióry, do pruskiej odsieczy szczyrzył armaty i stanowił prawa i krnąbrność tępił i ziemia jednym zaczynała uderzać tętnem...

Aż gdy wokół siebie widział już jeno błękity, słońcem wyzłocone, gdy już brakło mu czworoboków do rozbijania, fortec do oblegania, gdy już tęczowy jawił mu się luk — rehot szyderczy zrywał mu się pod czaszką...

I pułkownika wstyd ogarniał, wstyd przed samym sobą za samolubstwo, za pychę, za powolność dla schlebcy, za nیکczemność... Tak, boć on, który wczoraj, dziś jeszcze, potępiał generalów, dowódców, że pną się, jeden przez drugiego, że walczą między sobą, że, miast spolem iść, łączyć usilowania, patrzają wyniesienia, że z osobistej niechęci krzyżują plany, — on, który tak surowym, nieublaganym był sędzią, któremu obmierzył Prądyński dla swych uwag i kwasów — on, po jednotygodniowym pułkownictwie, na jedno лыśnięcie mu gwiazdką brygadjera, hołubi się nicpońską ambicją, jak i tamci! Gorzej, bo gdzież jego prawo? Gdzież dokumenty, by on, znany z kapitańskich, pułkownickich zasług, miał tytuł do przewodzenia tym, którym generalowanie było do dawna rzemiosłem! — Podle, ubogie, charłackie zachcianki! Ten szpak kancelaryjny, co mu biada nad uchem a sadzi komplementami, za język go ciągnie, tumani, by zeń w kulak się rozśmiać i nabełtać mętów...

Bema gniewny bunt dojął, poruszył się niecierliwie i, chwytając Borodiczza w półsłowie, ozwał się cierpko:
— Bądź łaskaw niezapominać, majorze, że generał Skrzynecki jest podotąd i moim i twoim naczelnikiem.

Major stropił się.

— Słusznie pan pułkownik...

— I że przybyłem tu na wezwanie księcia prezesa Rządu narodowego a nie na dowiadywanie się, gdzie i jakie błędy strategiczne popełnił wódz naczelny. I zresztą moja rzecz słuchać a nie rozprawiać!

Borodicz wyjąkał kilka słów głębokiego uszanowania dla tak podniosłej zasady i, napomknąwszy coś o komendanckich swoich obowiązkach, wysunął się z komnaty.

Bem został sam.

Gdy się to działo, gdy przedsionek i arkady dolne palacu zasluchwały się w miarowe kroki szyldwachów, gdy ledwie niekiedy skrzyp otwieranych w oddali drzwi przypomniiał pułkownikowi, że siedziba władzy czuwa — na górze, w wielkiej sali namiestnikowskiej, wrzała walka zajadła, tem groźniejsza, że cicha, że tłumiona, że podjazdowa, że pozorami zgodnej rozprawy wystrojona. A przecież nieublagana, bo, oto od dwóch godzin, ścierały się opinie, bo oto od dwóch godzin, co jeden głos z całym obywatelskim spokojem zbudował, to inny z równym spokojem zburzył, co jeden miał za myśl zbawczą, wtóry miał za klęskę.

Pięć zaś tylko było głosów, pięciu mężów, których jeden stół nietylko snać łączył, ale i rozdzielał, bo pięć było poglądów, pięć zdań różnych.

Niekiedy atoli sprawność argumentacji jednego głosu pociągała za sobą zezwolenie drugiego, ale, w momencie, gdy do przekonania trzeciego się dobierała, gdy szale miała przechylić dwa inne, krzyżowym atakiem, wydziełały mu sojusznika.

Trwało tak. Książę Adam Czartoryski, który, jako prezes Rządu, obrady wiódł, coraz niespokojniej poglądał ku ściągłej, kościstej twarzy Morawskiego. Morawski bowiem decydował. Morawski rozstrzygał. O niego tylko szło. Dla niego Barzykowski ścierał się z Niemojowskim,

dla niego odparowywał cierpkie, zgryźliwe uwagi Lelewela. Mieć za sobą Morawskiego znaczyło dla księcia dokonać, zmódcz opozycję, zwyciężyć.

Czartoryski, jak zaprawiony do obław politycznych myśliwy, strzegł się zdradzić przedwcześnie, spłoszyć chwiejność pana ministra skarbu. Barzykowski następował, wiódł naganek, książę czatował w gąszczach ogólnikowych półsłów, gotów do ciosu, do śmiertelnego strzału. Tę jednak zasadzkę odgadł Lelewel, bo raptem on, który Niemojowskiego nie znosił, który dla przedstawiciela Kaliskiej partji żywił niechęć, teraz wspierał go, podtrzymywał.

Rozprawy przeciągały się, wlokły, a wreszcie jęły słabnąć, milknąć. Czartoryski upatrzył chwilę, gdy nad Niemojowskim przewagę wziął minister wojny, i Morawskiego wręcz o zdanie zapytał.

Morawski zachłysnął się nieco i już najwyraźniej rację Barzykowskiemu przyznawał, gdy naraz ogarnęła go nieprzewyciężona chęć mówienia. Ah, bo w panu ministrze skarbu nie od parady siedział ukryty stylistą. Morawski lubił mówić. I mówił, mówił długo, potoczyście, sadził porównaniami, wypominał Tacyta i Herodota, francuskiemu Konwentowi czynił przytyki, romantyzmowi przypinał dowcipne łatki, wzdychał nad gruzami Kartaginy i Troi, ćwierć kazania Skargi tchem jednym zacytował i, pnąc się z myśli na myśl z allegorji na parafrazę, z synkopy, na metaforę, w zapale retorycznym tak rzecz zbeltał, iż utknął na dawno rozstrzygniętem pytaniu, czyli godzi się generała Skrzyneckiego pozbawiać dowództwa.

Twarz Czartoryskiego przybrała barwę wosku. Barzykowski pcczerwieniał. Niemojowski targał swe wijące się pukle włosów. Lelewel ogryzał z upodobaniem paznogie.

Przez chwilę słyhać było jeno skwierczenie świec.

— Zdaje mi się, — czwał się książę, skandując z naciśkiem wyrazy, — że sprawa dymisji generała Skrzyneckiego została zdecydowaną.

— Nie sądzę — mruknął Lelewel.

— Więc stawiam mościpanom zapytanie. — Czyli

Rząd ma dyktować rozkazy generałowi Skrzyneckiemu, czyli imć pan wódz naczelny Rządowi.

— Skrzynecki ma prawo wymagać powolności! Krukowiecki dopuścił się niesubordynacji!

— Nie w tem sedno. Krukowieckiego nie biorę w obronę, nie usprawiedliwiam. Uniósł się. Jestem za tem, żeby go usunąć, lecz dymisja generał-gubernatora nie powinna być zwycięstwem Skrzyneckiego! Inaczej wrzenie się podnieci...

Tu twarz księcia zwróciła się nieco ku Lelewelowi.

— Damy okazję niektórym do rozdzierania szat, do tem gwałtowniejszych napaści na rzekomego faworyta Rządu. No a zaiste, Rząd dosyć zniósł dla miłości generała Skrzyneckiego!

— Może znieść i to jeszcze! — syknął przez zęby Lelewel.

— Imć pan profesor jest wytrwałym! Zważcie, panowie, że ledwieśmy z ostrołęckich dobyli się tarapatów, generał Skrzynecki śle nam z Modlina, nie raport o stanie forticy, lecz żądanie aresztowania generał-gubernatora, uwięzienia... dwóch generałów za rzekome knowanie z nieprzyjacielem...

— Nie dwóch, ale dwudziestu należałoby stawić przed sądem! — wybuchnął Niemojowski.

— Ale z dokumentami w ręku a nie oto ze świstkami, które nam pan Skrzynecki nadsyła.

— List Roźnieckiego, mości książę.

— Mam go za dowód cnoty naczelnego wodza! Lecz nie cnotę jego poddaję waszemu sądowi — tylko kunktatorstwo, ospałość, wywoływanie rozterek...

— Siedm grzechów głównych.

— Rząd nie może być na łasce niehumorów generała Skrzyneckiego.

— Potrzebuje w osobie wodza — podjął z mocą Bazykowski — ramienia silnego.

— Głosuję za udzieleniem dymisji nadewszystko Skrzyneckiemu.

— I ja również — zawtórował minister wojny.

Książę powiódł pytająco dokoła a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, — dodał ironicznie.

— Mości panowie, żądaliście niedawno, aby z akt Rządu wydrzeć list pana Skrzyneckiego, nadesłany z Rożana! — dla przypomnienia więc zacytuję wam początek... „Chcieliście bitwy... chcieli koniecznie, otóż ją macie! Niechże krew, przelana pod Ostrolęką, spadnie na wasze głowy... Teraz nie pozostaje wam nic innego“...

Niemojowski się zachnął.

— Jestem za dymisją!...

— I ja owszem, stosuję się — wtrącił Morawski.

— A imć pan profesor?

Lelewel zasunął kanciąstą brodę w halsztuk.

— I ja jestem przegłosowany!

Czartoryski, nie dawszy wytchnienia radzie, zasachował Krukowieckiego. Lecz tym razem Morawski ujął się za generał-gubernatorem.

Książę przecież jednym napomknieniem o „poetyce“ Morawskiego, dla której Krukowiecki w bitwie grochowskiej odmówił posłuszeństwa rozkazowi, zmógł ministra skarbu.

Narada, w ten sposób, znów doprowadzona do zapytania, komu powierzyć dowództwo, jęła ważyć kandydatury.

Niemojowski oświadczył się za Chrzanowskim, — Morawski wymienił Łubieńskiego, — Barzykowski proponował za radą kwatermistrza iść i Jankowskiego mianować.

Dwaj pierwsi nie znaleźli poparcia, Chrzanowski, że swarliwy i za młody, Łubieński, że ledwie co nie stracił całego korpusu. Jankowski dłużej się utrzymał ale i ten przepadł wreszcie.

Niemojowski zagadał o Umińskim. Morawski atoli tak gorąco za sprawcę wszystkich niepowodzeń go wystawił, że Niemojowski czempredzej bohatera z pod Wawra przypomniał. Rybiński jednak pod Rudkami wawerską sławę zaprzepaścił. Dwernicki był w austriackiej niewoli, Giełgud na Litwie, Małachowski był nadto ociężałym i sterynym.

Minister wojny po raz trzeci odczytał pismo Prądzyn-

skiego i po raz trzeci ubolewał nad uporem kwatermistrza i jeszcze za Jankowskim się wstawiał.

Lelewel obstawał za Szembekiem, może dlatego, iż Szembek słuchać nie chciał o dowództwie. Morawski, z utrudzenia wielkiego, zapomniał, że Krukowieckiemu ferował dymisję i doradził mianowanie generał-gubernatora.

Lelewel, na to ozwanie się, w głos się rozśmiał. Nie-mojowski ujął się za ministrem skarbu. Utarczka zrazu podjazdowa, zaostrzyła się.

Barzykowski przeczekał ją umiejętnie, aż gdy zapaśnicy ustali — wrócił do Jankowskiego.

— Zważcie, mości panowie, — mówił — żołnierz doświadczony, odbył kampanję hiszpańską ósmego roku, przetrwał dwunasty, Lipsk, oficer legji honorowej. Rangą starszy od Prądyńskiego, Łubieńskiego i Szembeka. Charakteru statecznego.

— A jak nieprzyjmie?

— Mam zapewnienie prywatne, że się zgodzi.

— Znów ciche porozumienie, bez wiadomości gremjum członków, za plecami, według obyczaju — mruknął przez zęby Lelewel.

— Jest pan w błędzie. Kandydatura wynika z pisma Prądyńskiego.

— Być może, być może. Cóż, mnie osobiście wszystko jedno. Głos mój niema potężnej głębi orzeczenia pana ministra skarbu naprzykład.

Morawskiemu czub się zjeżył ponad czołem.

— A przecież do waszmości właśnie — zaskrzeczał podrażniony dyszkant Morawskiego — jako do ministra oświaty, należało wspomnieć, że imć pan generał Jankowski synów w Petersburgu kształci, chyba nie na chwałę sprawy.

— Nie uczynilem tego, żebyś waszmość znalazł sposobność do olśnienia nas retoryczną figurą o rycerzu tragicznym!

— Nie mam, przyznaję, uczoności autora „Dziejów Indyj“...

— Tembardziej waszmość powinieneś zważać, bo stylem Polski nie ocalisz.

— Ani wywodami o królu Łokietku! — odciął się Morawski, czyniąc przytyk do utworu Lelewela.

Barzykowski pośpieszył z rozejmem, lecz, nim przeciwników ułagodził, Jankowski przepadł i tym razem przepadł bezpowrotnie.

Tymczasem, poprzez wielkie okna, do sali jęły się skradać pierwsze szarofioletowe błyski poświaty. I płomienie świeczników żółkły i zmęczone twarze obradujących trupa znaczyły barwą.

Naraz nieruchome, woskowe oblicze Czartoryskiego drgnęło. A w ślad za niem martwe spojrzenia dostojników narodu ocknęły się.

Z ust księcia dobyło się nazwisko krótkie, mocno brzmiące, — dobyło się, wzbilo ponad biegnący w górze krużganek i, ozwawszy się hardem echem, ucichło w obłokach fresku na suficie.

Promienie świeczników skloniły się, jakby wiewem ożywym muśnięte, i zaskwierzały rażno.

— Kto — kto?! — zagadnął równocześnie chór bezładnych głosów.

— Pułkownik Bem! — powtórzył śmiało Czartoryski. I, nie zważając, iż cztery spowodował okrzyki zdumienia, iż czterech członków Rządu narodowego przyprawił o zamęt, niepewność, — ciągnął śmiało:

— Mości panowie, zmiana naczelnego wodza łączyć się winna z odrodzeniem, z wysunięciem takiego oficera, takiego męża, któryby niejako nową erę zapowiadał, który by był dziecięciem rewolucji. Każda epoka własnych musi stwarzać sobie naczelników. Przeszłe zasługi, sława zdobyta pod murami Saragossy, jakżeśmy się przekonali, może nie powtórzyć się pod murami Warszawy. Bem, od Grochowa, wykazał się znakomicie we wszystkich bitwach. Przytomnością, bystrością, odwagą i rzutnością własną, generalskie objawił talenty. Za Iganie wart był nie podpułkownickiego stopnia, lecz dywizji. Pod Ostrołęką zażył swej baterji w sposób, o którym nie śniło się nauce strategji, nieruchomy, bezwładny spiż zaklął lotnością

harującego podjazdu kawalerji. Oficer karny, do dziwactwa rygoru strzegący...

Oczy Lelewela strzeliły zezem. Czartoryski uprzedził pierwszy cios i dodał:

— Na zakończenie, daję wam parol, mości panowie, iż z pułkownikiem Bemem, od czasu służbowego przedstawienia go członkom Rządu w obozie, na Pradze, po Grochowskiej bitwie, — żadnych nie miałem spotkań. Skłania mnie ku niemu wiara w jego zdolności, w jego zalety.

Książę umilkł. Nastąpiła chwila ciszy, niepewności. Morawski podejrzliwie poglądał na Barzykowskiego, Barzykowski na Niemojowskiego. Lelewel zgarbił się, wygiął plecy w pałąk, zda się, cały przeistoczył się w znak zapytania.

— Ale cóż, cóż na to wyniesienie pułkownika powiedzą generalowiel!? — ozwał się Niemojowski.

— Przystaną na to tem chętniej — że Bem wychodzi nie z ich koliska, że nie jest ich współzawodnikiem, że dobył się poza ich inwidiami, że nie miał sposobności narazić się któremu z nich, że jest człowiekiem nowym...

— Gdybyż był chociaż generałem brygady.

— Może nim zostać natychmiast.

— Ależ, ależ to niepodobna — zaoponował Niemojowski — mości książę wysunął kandydaturę tak niespodziewaną, że wyznać się nie można!

— Bem jest tutaj. Czeka wezwania z racji wykrytych przezeń papierów. Proponowałbym go przywołać, zagadnąć...

— A ja proponowałbym zarządzić przerwę, aby wytechnąć, zastanowić się.

To ozwanie się Morawskiego poparł nietylko Barzykowski ale i Lelewel.

Książę zmarszczył się, uległ, lecz myśli rzuconej snąc tem zawzięciej bronić postanowił, bo, ledwie ruszono z za stoła, do Niemojowskiego podszedł, i odciągnął go we framugę okienną i wszczął z ministrem spraw wewnętrznych pojednawczą rozmowę.

Morawski i Barzykowski wyszli z sali obrad do bocz-

nych komnat. Lelewel, wyprowadzony z apatycznej drzemki kartką, podaną mu przez woźnego, również się wysunął.

Czartoryski atoli nie zważał na to, gdzie i w jaki sposób światle umysły ministrów sposobią się do powzięcia sądu o Bemie. Księżciu szło o Niemojowskiego. Przewódzca i filar Kaliszanów był do zjednania. Bem stał poza granicami niechęci osobistych niemojowszczyków. Jedno więc zręczne zaszachowanie uczciwości niezaprzeczonej ministra, przekonanie go, że Bem nie jest kreaturą stronnictwa, wróżyło wygranę. Barzykowskiego ksiązę był pewień. Minister wojny, nawet przy różnicy zdań, ustępował mu. Pozostawali Lelewel z Morawskim, lecz ten ostatni, w razie zgody Niemojowskiego, byłby napoly przekonany.

I Czartoryski, nie pomny zapalczywości, którą mu minister spraw wewnętrznych dokuczył nieraz, niepomny, że brat rodzony ministra, Bonawentura, tyle mu życia zatrul w sejmie, — zagadnął tak szczerze, tak otwarcie przeciwnika, że ten zmiękł i ledwie się bronil.

Ksiązę podwoił atak. Zaprawiony, zahartowany w ogniu dyplomatycznych zapasów, statysta zasadził się na gorącość pocziwego, lecz nieopatrnego polityka.

Niemojowski topniał, stygł w swych zapalach, poniechał Skrzyneckiego i już oslaniał się trudnością obsadzenia generał-gubernatorstwa.

— Przystanę na każdego, kogo waszmość pan wskazesz! — natarł przebiegle ksiązę. — Niech będzie który z pułkowników! Nie lejmy starego wina w nowe statki.

— Podpułkownik Kamiński.

— Doskonały wybór. Ręka moja. Godzę się z całego serca.

Czartoryski nie posiadał się z ukontentowania. Zwycięstwo było dlań teraz niechybnem. Zwycięstwo, więc położenie kresu niesnaskom, więc zapewnienie Rządowi powagi, więc nareszcie zdobycie władzy. Bema wspierać ale i ukrócać będzie rada wojenna, naczelnik sztabu głównego i kwatermistrz. Zanim młodemu wodzowi dyktatorskie urosną rogi, Rząd zdola z pentarchji w trium-

wirat się zamienić a więc zbliżyć się do właściwej formy, do wybrańca narodu, do jednej głowy państwa.

Podczas gdy książę, strzegąc się zdradzić ze swem ukontentowaniem przed Niemojowskim, obojętną z nim dalej wiódł rozmowę, trzej inni członkowie Rządu również nie tracili czasu.

Morawski z Plichtą przechadzał się po krążanku. Barzykowski z komendantem pałacu odbywał jakąś służbową naradę. Lelewel zaś na dół do komnaty przyjąć podążył. Skinął uprzejmie pułkownikowi Bemowi, który, na widok dostojnika, porwał się na równe nogi, — i skreślił pod arkady, kędy w mrokach skrzyły się srebrne epolety porucznika gwardji narodowej.

Bem, wyprowadzony z odrętwienia zjawieniem się Lelewela, mimowoli zwrócił głowę ku miejscu, gdzie rozległ się niebawem odgłos przytłumionej rozmowy. Lecz własnej zawstydzony ciekawości, podniósł się i przesiadł na bardziej oddalone od wejścia miejsce. Tu atoli spotkała go niespodzianka. Łuki arkad w tę stronę niosły echo pełne, wyraźne.

Pułkownik raz jeszcze chciał zmienić krzesło, gdy echo wymieniło jego nazwisko, a tuż po niem, przyniosło mu falę gardłowych, znajomych dźwięków...

Bemowi zdawało się, że słyszy głos Gurowskiego. Ale się pomiarkował i, dla odpędzenia złości, uważniej się wsłuchał. Echo zamieniło się raptem w chrapliwe pomrukiwania. Wyrazy pojedyncze zlewały się, nie dawały się ująć. Ale wrażenie, iż tam, pod arkadami, rozmawia z Lelewlem Gurowski, spotęgowało się, wzmocniło.

W sali obrad rozległ się dzwonek. Członkowie Rządu zasiedli. Książę zagaił krótko, lapidarnie i odrazu zażądał głosowania. Barzykowski, który czegoś był mocno zafrasowany, hąknął, że jednakże dobrze byłoby jeszcze zastanowić się. Czartoryski o zwłoce nie chciał słyszeć, bo zwłoka równała się dlań przegraną. Niemojowskiego mogliby mu odmówić Kaliszanie.

— Musimy zdecydować. Najgorsze postanowienie jest lepszem od wahania! Nie zapominajmy, że ściany mają uszy. Jutro kwestja dowództwa dojdzie pismaków...

— Nie gorsi obywatele od innych.

— Nie uchybiam, — jeno tak doniosle zagadnienie stąd winno wyjść rozstrzygniętem.

— Słusznie — poparli Niemojowski z Morawskim.

— A więc proponuję pułkownika Bema na wodza naczelnego i jużci za nim się powiadam.

— Ja również — oświadczył porywczo Niemojowski z tem, że gubernatorstwo obejmie major Kamiński.

— Nie mam nic przeciwko temu, dodał Czartoryski — a pan, mości ministże skarbu?

Morawski wytrzeszczył swe male, okrągłe oczy na Niemojowskiego.

— Jakto, więc pan, pan jesteś zdania, że pułkownik Bem?

— O ile major Kamiński...

— Zapozwoleniem waszmość panów — głosujemy bez rozpraw.

Morawski zachłysnął się.

— Ja, ja?! Ależ, ależ, to niepodobieństwo... to już lepiej przy Skrzyneckim trwać, niż oddawać dowództwo kawiar-nianemu patryjocie.

— Zapisuję głos przeciwny, bez motywów. — Imć pan Lelewel?

— Nie zgadzam się i, w razie nominacji pana Bema, zapowiadam usunięcie się moje z Rządu, bo za występek mam oddawanie dowództwa karciarzowi-faworytowi możnowładztwa, instrumentowi gnębicieli ludu!

Książę z całym spokojem zwrócił się do Barzykowskiego.

— Imć pan minister wojny.

Barzykowski zafrasował się, ściągnął brwi i odrzekł cicho.

— Nie mogę za pułkownikiem... nie mogę.

Czartoryskiemu szczęki drgnęły.

— Odmawiasz pan?

— Odmawiam...

Książę wsparł się na rękę, oczy mu zaszklily się, usta poruszyły się z wysiłkiem.

— W takim razie, proszę... waszmośćpanów... stanów-cie...

Już na dobre świtało, gdy nareszcie przed Bemem zadzwoniły ostrogi majora Borodzicza.

Pułkownik dźwignął się ociężale.

— A do księcia! — Któredyż?

— Na pierwsze piętro i potem drzwi na lewo.

Bem, nie spostrzegłszy nawet obcesowego teraz tonu komendanta, udał się we wskazanym kierunku. Był znużonym, wyczerpanym tylogodzinnem czuwaniem. Dopiero, gdy z odrzwi wyszczerzył się do pułkownika brązowy, lśniący gryf, Bem otrząsnął się i przybrał nieco raźniejszy pozór.

Księżę łaskawie przyjął Bema. Napomknął o jego zasługach, wspomniał o Iganiach, o bitwie ostrołęckiej i zagadnął o szczegóły wykrycia szpiegowskich papierów.

Pułkownik rozpowiedział dokładnie. Czartoryski wysłuchał, rzucił kilka obojętnych zapytań i dodał cicho:

— Tak, hm, bardzo ważne rzeczy powiadasz pułkownik, bardzo...

W tem miejscu księżę, widocznie doniosłością sprawy porwany, zasunął się w głąb fotela i pogrążył się w zadumie.

Bem czekał z uszanowaniem na odezwanie się prezesa Rządu. Czartoryski milczał i jakby w głąb siebie samego poglądał, bo powicki zwisły mu, dolna warga zacisnęła się na górnej, suche, białe kiście rąk zastygły w kurczowym ruchu na poręczach.

Pułkownik z pewnem zdziwieniem poglądał na księcia, tak wydał mu się różnym, niepodobnym do owego dostojnika potężnego, którego z prezentacji na Pradze w myśli zachował. Tam, ostro ryta twarz, postawa, bystre spojrzenie oczu, wygięcie ust, każde drgnienie powiek niemal znamionowało godność, powagę wdrażało, chyliło czoła. Tam majestat zda się sptywał z księżęcego oblicza, a moc ducha biła wokół i zadufaniem przejmowała. Tam Czartoryski wyglądał na męża pełnego sił, zahartowanego w ogniu dziejowych burz, na wybrańca, któremu sądzoną jest jeszcze jedna, nowa i ta najwspanialsza do przeżycia era władania, rządzenia, stanowienia.

A tu, oto ten sam mąż, ten sam dostojnik i najwyższy

zmartwychwstającej ziemi naczelnik — jawił mu się starcem wyczerpanym, złamanym, zasychającym. Oblicze zmięte, żółte, oczodoły podsinione martwością, guzowate kontury czaszki, srebrnymi kosmykami włosów okolone, a każdy skrawek twarzy zryty, zorany bruzdami. I piers zapadnięta i plecy w pałąk załamane, jakby pogląające w próżnię, w pustkę... za tem, co odeszło, co przebrzmiało, co nie powróci.

Bem poruszył się. Ostrogi pułkownika zabrzęczały przeraźliwie. Książę przesunął ręką po czole, jakby zeń ślad natrętnych myśli ścierał.

— A waszmość! Aha — o czym!? Aa — tak. Więc to ważne. Niech pułkownik do nikogo ani słowa, żeby uniknąć niewczesnych kolorystów. Śledztwo się przeprowadzi — zobaczymy. I dobrze się stało, żeś pułkownik, bez mitręgi, wprost do wodza... I o czym jeszcze?... A — jest to dokument służbowej akuratności, za którą niezawodnie generał Skrzynecki będzie pułkownikowi obowiązany.

— Za powinność miałem złożyć raport memu dowódcy.

— Otóż właśnie. Pan minister wojny zwrócił właśnie uwagę i to w momencie, gdy brano waszmości za adherenta klubu, czy jak tam. — Nie należysz pułkownik? — Słusznie. Ile lat masz służby.

— Dwadzieścia jeden.

— Piękny szmat czasu, piękny! Zapewne wódz naczelny przedstawienie o waszmości uczyni. Hm — więc bardzo dobrze — bywaj mi pułkownik.

— Mości książę.

— To jest widzisz waszmość... — dodał Czartoryski i urwał w połowie zdania.

Bem przystanął.

— Czy wasza książęca mość ma co do rozkazania?

— Sądziłem, ale tymczasem inaczej się ułożyło. Więc niech pułkownik... zdolni oficerowie są nadewszystko potrzebni. I oficerowie, co znają się na wojskowej sztuce a do polityki, sejmikowania, rozprawiania społecznego się nie mieszają. Tacy są potrzebni. Żegnam pułkownika.

Bem sklonił się i wyszedł. Na dole zagadał doń żwawo jakiś jegomość w popielatym, rozłożystym kapeluszu.

— Co to? Jakże to! Pułkownik także tu pokutujesz?

— A, pan sekretarz dobrodziej.

— Od wschodu słońca do wschodu prawie! Uu! Ciężka noc, mordująca. Wracasz pułkownik do domu! Idźmy więc. Zażyłeś nieco wczasu, po naszymu! A wam, panom wojakom, imaginuje się, że aby na waszych forpocztach trzeba czuwać! I cóż książę-prezes? He? — Łaskaw! Oczywiście dla pułkownika należało. Prędzej czy później brygada cię nie minie, byle generał Skrzynecki przyzwolenie dał. Uu, bo wódz naczelny tego się trzyma. Bezstronność nakazuje przyznać, że nie może być inaczej. Wy tam sobie, w obozie w sztabach, pułkach, wydziwiacie. A należało mu wówczas, a zrobił to a tamtego nie uczynił. Myśli niejedną, jaby inaczej, jaby lepiej. Majaczą się wam rewje, strategie, a nie rozumiecie się na tem, że wódz musi mieć nie tylko wojsko za sobą ale i rząd, że pierwszemu łatwo hukać a z drugim nie łatwo poradzić, że rząd daje wodzowi siłę. Owóż generał Skrzynecki murem, panie, murem, powiadam, stoi!

— Ależ zupełnie...

— Murem! — Pozwól pułkownik. — Smokowi poradził! Rozumiesz, smokowi... Żaden z was by nie zdołał. Chłopicki by się udławił — a on nie! Nic mu intrygami nie zrobicie!

— Na chwilę nie przypuszczałem.

Plichta lypnął podejrzliwie kątem oczu.

— Nie przypuszczałeś pułkownik, nie przypuszczałeś? — Hm! Waszmość w którą stronę? — Na prawo, więc ja na lewo. Klaniam.

Tu Plichta wykręcił się na pięcie i podreptał w stronę palacu Staszica.

Bem, w pierwszym odruchu, chciał biedz za sekretarzem; do oczu mu powiedzieć, co myślał o tem dzikiem posądzaniu go o konszachty z klubowcami — ale się pomiarkował. Nic mu nie było do tego, co Plichta sobie o nim wyimaginował, bo i do wszystkich tych dygnita-

rzów nie zupełnie. Wezwano go, narobiono mu gwałtu i nie wiadomo, po co i na co.

Szedł, pędził do palacu Rządu narodowego — drzał w głębi ducha niespokojnem spodziewaniem jakowychś doniosłych z nim rozpraw — i cóż, nawycierał się kątów antykamery, nasłuchiwał krętaństw szcurów rządowych, przekawęczył do rana i na to, aby od samego prezesa niczego wreszcie się nie dowiedzieć. A jemu troiły się po głowie misje, rozkazy, plany wojskowe!

Bem próbował uśmiechnąć się do samego siebie, lecz natrętny odbłask promieni słonecznych, padających na świeżo wybielony mur, który mijal, poraził pułkownika.

Dopiero, gdy dosięgnąwszy półmroków sieni, zamieszkiwanej przez się kamieniczki, stanął znów w swych izdebkach a ogarnął panujący w nich nieład, orzeźwiał nieco i jał rozglądać się po zbobrowanym dobytku.

Tu atoli nieładada czekała go niespodzianka. Rzeczy były skotłowane bezładnie, porzucone w piekielnym nieładzie, lecz nie brakło żadnej a przynajmniej żadnej z tych, która na myśl pułkownikowi przychodziła. Z początku mniemał Bem, że skrzynię, wypełnioną co lepszą odzieżą, ograbiono mu nadewszystko. Aliści, w kłębie, piętrzącej się pod ścianą, garderoby, znalazł i płaszcz odświętny zimowy i mundur paradny i epolety srebrne, kapitańskie i ryngraf nowiułki i parę pistoletów staroświeckich, nabijanych srebrem, i puzderko, perłową macią wykładane, i pendent, który ledwie raz miał na sobie. Więc coraz wyraźniejszem zdało się pułkownikowi, iż lotrzyk na pieniądze się lakomil, ich jeno szukał a niczego tknąć nie chciał.

I Bem, już aby dla upewnienia się, przezieral kąty, szuflady i półki. Wszędzie, wszędzie nieporządek, ślad gorączkowego wertowania, niczego na swoim właściwym miejscu a niczego nie brakło.

Wreszcie Bem ustal. Zaciągnął firanki i, gotując się do spoczynku, dobył sakiewki i rzucił ją na stół pod oknem. Stół wydał jakiś niezwykle ostry, suchy dźwięk.

Pułkownik spojrzal uważnie i zadrzał.

Planu szanćów i lunet warszawskich nie było.

Kapitan Orlikowski dnia następnego w nielada był opałach, bo oto w chwili, gdy miał do pułkownika wyprawić posyłkę z raportem, zwiastującym ciszę i siaki taki ordynek w baterji — spadł nań adjutant sztabu i zapowiedział inspekcję na południe.

Orlikowski mało się nie skręcił. Żołnierzków niemal połowa już zdołała o świcie wymówić się do Warszawy. Z oficerów aby jeden był Prószyński. Bałamutów, co od dwóch dni przepadali, bez stawienia się do apelu, było lepiej niż mędel, ledwie starczyło rąk do oprzątnięcia koni a tu inspekcja. W dodatku inspekcja samego podszefa sztabu!

Kapitana desperacja zdjęła. Nie wiedział sam, co pierwszej czynić, na kogo fukać, kogo napędzać. Po jednym konnowodnym na sześć koni mu wypadalo! A tu każdej sprzączce należało lustru przydać, każdemu rzemieniowi gładkości i polerunku dotrzeć i uniformów patrzeć i lawet i smarów na osie i spizu błyszczenia i podkucia koni i siodeł i furaższnurów, bo pochodowy ład nakazano. W dodatku co najprzemysłniejszych trzech żołnierzków z luzakami trzeba było co tchu ślać po pułkownika, po poruczników, po podoficerów — a tu południe było za pasem i aż kurzyło pod kottami praskiego obozu.

Kapitan stękał, kłął, sapał, uwijał się, pomstował — i tyle dokazał, że wytaszczył armaty, pod sznur je ustawił i jaki taki dopiero porządek usiłował zaprowadzić. Prószyński uwijał się ile sił, sam nie sromał się, jako i kapitan, bodaj za wiecheć ująć, bodaj popręga dociągnąć — lecz nie wiele zdołał. Konnowodni nie starczyli prawie na utrzymanie zastawionych, wypoczętych koni. Gdy która armata miała lontowego, no to tam wycior drzemał rozwalony na łożysku; gdzie znów przy dziale wycior sterczał hardo, tam brakło kanonierów, tam nie było żywego ducha przy jaszczyku.

Na tem większe udręczenie kapitana, pułkownik Bem przygalepował, niemal tuż przed inspekcją i, miast Orlikowskiemu ulżyć, wszedł obces na niego, że go zaraz nie wezwał.

Tłumaczył się gęsto kapitan, że adjutant sztabu przybył z rozkazem, kiedy już drugie obroki zasypano, lecz Bema nie udobruchał.

Z tego burzenia się pułkownika, jeno mitręgi przybyło i tak, że gdy podszeł głównego sztabu, Lewiński, z generałem Milbergiem i adjutantami nadjechali — baterja ledwie siaką taką postawę zdolala przybrać.

Bem poskoczył służbową odprawić prezentację. Lewiński a za nim Milberg bardzo łaskawie mu odpowiedzieli i jakby nie zauważyli napomknień pułkownika o niespodziewanej inspekcji.

Dopiero, kiedy wierzchowce Lewińskiego i Milberga dosięgnęły frontu baterji — pierwszy ozwał się raptownie.

— Ależ to niemożliwe! — Zaraz, porucznik Czerwiński — proszę o meldunek pochodowy...

Adjutant podał Lewińskiemu żądany papier. Lewiński rozwinął, przebiegł oczyma i Milbergowi podsunął.

— Najwyraźniej, generale — siedm koni i ośmiu ludzi!

— Meldunek pułkownika jest — nie w porządku — zakonkludował generał. — Wszak ci tu połowy ludzi nie dostaje!

— Miałem honor zraportować, że, nie przewidując inspekcji, udzielono żołnierzom pozwolenstwa do Warszawy.

— Zapominając, że to czas wojny — dorzucił oschle podszeł.

— Że o każdej porze dnia i nocy baterja powinna być gotową do wystąpienia w pole — poprawił Milberg.

— Wróciłem przed dwoma dniami z wyprawy, nie mogłem być surowszym od innych dowódców.

— Lekkomyślność cudza nie tłumaczy własnej.

Pułkownik zbladł i chciał coś odrzec, lecz Milberg z Lewińskim jęli objężdżać baterję.

Bem, rad nie rad, powlókł się za sztabową czeredą.

Inspekcja ogólna wypadła dla pułkownika fatalnie i tak fatalnie, że podczas gdy generał zsiadł z konia i armatę po armacie, konia za koniem, żołnierza po żołnierzu

lustrował, Lewiński odciągnął na stronę Bema i zaczął doń tonem przyjacielskiego napomnienia.

— Pulkowniku, jakże się to mogło stać! Waszmość, waszmość, o którym tak zaszczytne wódz naczelny, cały sztab ma pojęcie!

— Pan podszef zechce wziąć...

— A nie, nie, pulkowniku. — Żołnierzom, oficerom należało się zwolnienie, doskonale, nie mam nic przeciwko temu. Lecz przy ładzie, przy zachowaniu kolei, a nie wszystkich naraz! Jakże, na szesnastu oficerów których określa rozkład baterji...

— Jest ich tylko siedmiu!

— Więc brak czterech! Na siedemnastu podoficerów jest dwóch, na dwustu czterech żołnierzy doliczyliśmy się sześćdziesięciu pięciu! — Brak pełnej obsady? Jest tylko stu czterdziestu? Tedy zawsze o siedemdziesięciu pięciu jest za mało! I na inspekcję.

— O której zawiadomiono mnie na dwie godziny...

Lewiński zasmucił się.

— Tak nie powinienes sądzić pulkowniku! Wojna... I żeby, żeby to zdarzyło się w oddziale woluntarskim, w gwardji narodowej, w pulku napoly nowozacieżnym, lecz w baterji byleż gwardyjskiej.

Pulkownik w milczeniu słuchał dalszej perory, do krwi gryzł wargi i już nawet drgnieniem powiek nie usiłował przeczyć.

Wymowność podszefa sztabu głównego, nie znajdując oporu, już miała ustać, gdy nadszedł Milberg z całym rejestrem bezmala.

Rejestr był okrutny. Cztery konie odsednione, w jednym jaszczyku amunicyjnym skład rupieci żołnierskich, u dwóch jednorogów wysówki celownicze zaśnieżone, kontrola apelów w nieładzie, kanonier Dryliński, zamiast przepisanych regulaminem spodni, ma rajtuzy losiowe kirasjerskie, porządki szeregowców pod psem, ani jednej czapy ani jednego płaszcza w godziwym stanie.

Lewiński chciał ulagodzić Milberga.

— Generale, może by jednakże dało się niejedno wykreślić — pulkownik ledwie dwa dni temu...

— Żałuję bardzo. Szło wszak o wyprawienie baterji natychmiast, jako najprzedniejszej. A tu najmniej trzech dni czasu trzeba. Raport musi pójść do naczelnego wodza.

— Fatalizm prawdziwie!

— Bez wątpienia — dodał Milberg — jadąc tu, kłotałem się, czyli starczy mi pochwał. Żegnaj pulkownika.

Milberg odszedł do swego wierzchowca. Lewiński ujął Bema za rękę.

— Niechże pulkownik nie traci otuchy. Uczynię, co mogę. Glupstwo kapitalne, że raport inspekcyjny spotka się z przedstawieniem do krzyża!

— Z jakim przedstawieniem!?

— Pulkownik nie wiesz! Prezes Rządu narodowego zażądał dlań... I słusznie bo za tą, za Grochowską bitwę należy się pulkownikowi — należy. Bądź dobrej myśli. Idzie o ład, o porządek a nie o dokuczenie tak znakomitemu oficerowi. Owe sławetne, dawne przeglądy minęły. Ścisłość jest, lecz niema owych dawnych chryj...

— I dlatego — odparł śmiało Bem — proszę pana podszefa, aby mi wyrobił łaskę, by do mnie właśnie owe chryje przeszle były stosowane...

Brwi Lewińskiego aż pod daszek furazerki się dźwignęły.

— Tak, bo kiedy panu podszefowi cchota przyjdzie Saskim Dziedzińcem mnie uraczyć, niechże obyczaju Dziedzińca pamięta i da mi dwadzieścia cztery godzin czasu na sprawienie ordynku.

Lewiński wyprężył się wyniośle.

— Zapominasz, mości pulkowniku, że, za dawnych czasów, za jedno z dwudziestu uchybień i postrzeżonych nie na paradzie, lecz znienacka, czekał by cię odwach i reforma.

— Słusznie — warknął Bem przez zęby — bo za owych czasów żołnierz nie należał od fantazji komisarzów, nie potrzebował upominać się o lada skrawek rzemienia, bo mu szczotki mundur okurzały a nie kule, nie ostrza bagnetów!

— Sztab główny weźmie to niezawodnie pod uwagę.

Po oddaleniu się inspekcji — Bem wpadł z furją na Orlikowskiego, na Prószyńskiego, na podoficerów, na żołnierzy. Od armaty, do armaty, od kantara do kantara, od uzd do panewek przy piastach kół, od króczków u żołnierskich kołnierzków, do ładownic i olster, wszystko opatrywał a za lada skazę hukal, beszał, gromił.

Daremnie sumittował się kapitan, tłumaczyli żołnierze, pułkownik nie pofolgował. Im słusniejsze przywodziło mu racje, tem go większy gniew unosił. Aż baterja, jakby zrozumiała swego naczelnika, bo naraz zapadła w głuche milczenie.

Bem jeszcze bluznął wymówkami, jeszcze zagroził polowym sądem i skinął na powrót do koszar.

Baterja mlasnęła korbaczami i z chrzęstem i zgrzytem łańcuchów powlokła swe spiżowe cielska ku barakom.

Pułkownik zsiadł z konia, rzucił trzęzle ordynansowi, poszedł piechotą za baterją i, dosięgniawszy dziedzińca, zaczął niby to przyglądać się wyprzęganiu.

Kapitan Orlikowski, który baczył zataczaniu armat do wielkich stodół, zarekwirowanych na wozownie, stał na uboczu... zdala od Bema i jakoś tak manewrował, że ilekroć razy pułkownik w jego nadchodził stronę, kapitan akurat w przeciwnej stronie dziedzińca spostrzegal coś, co wymagało bliższej uwagi. Bem zaś, niechybnie przypadkowo, z rozłargnienia, które nań naszło, jeszcze natrętniej do Orlikowskiego się zbliża. A że i armat i koni i żołnierzy na koszarowem dziedzińcu ubywało, więc coraz nieporęczniej było pułkownikowi ku Orlikowskiemu skręcać, coraz trudniej było kapitanowi pozór do uniknięcia spotkania znaleźć.

Naraz Bem, w zamyśleniu, wprost do kapitana zawrócił.

Orlikowski równocześnie wskos poszedł, lecz, gdy miał znów odsadzić się od pułkownika, temu nogi się splątały i tak, że raptem tuż przed kapitanem stanął.

— Mości Orlikowski — mruknął Bem, poglądając na rękojeść palasza kapitańskiego.

— Na rozkazy! — odparł głucho Orlikowski, zaparłszy wzrok na bandolecie pułkowniczej ładownicy...

— Żadnych ten, rozumiesz!

— Uważam.

— Słyszałeś, kapitanie. O pętelki, o guziki przyszli.
He — co?

— Przyszli, pułkowniku.

— Więc trzeba ten — niech właśnie. Proszę, tu są trzy dukaty na wódkę dla baterji, żeby, żeby... ten..

Bema zatchnęło raptem. Zerknął nieznacznie ku siwiejącym skroniom Orlikowskiego i skonfudował się.

Orlikowski wziął z flegmą podane mu dukaty i zastygł w służbowej postawie.

Pułkownik uczuł, że należy mu jakoś inaczej się ozwać, zagadać przyjaźniej, swobodnym conceptem całą historję zakończyć — ale naraz zabrakło mu słów, zabrakło wątku. A milczenie obustronne przedłużało się, stawało nieznośnem.

W tem, w bramie dziedzińca, załopotwały końskie kopyta. Ulan trzeciego pułku wpadł na dziedziniec i salutował pytająco ku oficerom.

— Co to? Skąd?

— Depesza z głównego sztabu do dowódcy byłej gwardyjskiej...

Bem skinął na ulana. Odebrał odeń kopertę, złamał pieczęć i rozpostarł urzędowy papier.

Ulan spiął konia ostrogami, żółtem podbiciem czapy się sklonił i ruszył za bramę. Kapitan, skorzystawszy z tej dystrakcji, cofnął się nieznacznie ku swej kwaterze. Ale gdy miał zniknąć za węglem stodół, dogoniło go wezwanie pułkownika.

— Proszę waszmości, Mamy nowinę! Jutro, skoro świt, idziemy do Wiązowny dla połączenia się z czwartą dywizją generała Milberga, a pod komendę Jankowskiego aż do dalszych rozkazów!

— Czy pan pułkownik wyda dyspozycje?

— Zarządź waszmość. Wiesz, równie dobrze, co należał! Do Wiązowny nas wyprawiają, żebyśmy się nie bałamucili! Nielaskawość nas spotyka. Cha, nie ma rady.

— Po amunicję by trzeba...

— Otóż właśnie że nie, mój kapitanie. Bierz ten roz-

kaz. Masz wyraźnie tu: — „uda się... zostawiając ogniomistrzów z porucznikiem dla odebrania amunicyjów, które na dzień pochodu wydane im będą“... Idziemy więc na nowe kwatery.

Bem teraz rozgadał się na dobre i, nie bacząc na flegmatyczną służbistość kapitana, nawet w świetny wpadł humor.

— Co tam — dalipan lepiej w lesie, w polu, niż w tem mrowisku! Będzie przynajmniej więcej spokoju i mniej polityki. Cha, cha! Poczciwszego udręczenia nie mogli wykonać. Ale, tam do djaska — wszak i samemu trzeba myśleć o drodze. Na noc powrócę. No, panie Józefie, nie bez kozery imiennikami się rodzimy. Dojęło mnie dziś — za gardło od wczoraj ścisnęło, oka nie zmrużyłem.

— Nie z mojej przyczyny.

— Stokroć prawda. Daj rękę i ten!...

Bem poweselał zgoła. Na ordynansa zakrzyknął, aby się z nim wybierał i, pożegnawszy serdecznie Orlikowskiego, ruszył konno do Warszawy.

W drodze atoli wymarsz nagły baterji z obozu na Pradze inaczej zaczął się pułkownikowi przedstawiać, a co gorsze łączyć z mglistymi domysłami i wspomnieniami audjencji u księcia-prezesa. Bem z całą zawziętością, bronił się poszeptowi, który nawet podawał w wątpliwość, czyli inspekcja była następstwem gorliwości nowomianowanego podszefa sztabu. Samego siebie upewniał, że gdyby jemu powierzono podszefostwo, to również, dla orjentacji bodaj, przedsięwziął by przeglądy i zwłaszcza artylerji i tej oczywiście, która wracała z pola bitwy; że Milberg dlatego przesadził wymaganiami, że pół życia przy Krasińskim, w dywizji gwardji, miał od rana do nocy mordęgę o guziki, kruczki, halsztuki, klamerki, zmarszczkę na mundurze, plamkę na rzymsku.

A pomimo tych słusznych argumentów, domysły, poszepty zle nurtowały pułkownika.

Nadobitek koń Bema ledwie stępa mógł iść. Trakt idący do mostu łyżwowego, był zatarasowany pojazdami, ciągnąciami jeden za drugim od strony Warszawy.

Pułkownik przesuwał się bokiem traktu, nie bacząc na

pojazdy ani na rozpiecających się w nich panów i damy. Dopiero, w pobliżu mostu, gdy w koczach, kałamaszkach i wolantach, coraz częściej łyskać doń zaczęły generalskie buliony, stosowane kapelusze, akselbanty, kokardy i poselskie szarfy — zastanowił się.

Ani wątpić, jakaś feta czy parada musiała się gotować na Pradze, bo pojazdy coraz były wspanialsze, coraz większych personatów wiozły. Za posłami bowiem jechali tuż senatorowie, marszałkowie sejmu, szef głównego sztabu Lubieński, w pysznym, prosto z igły mundurze, Niemcewicz i chmara wysokiego autoramentu urzędników i obywatelów.

Pułkownik dosięgnął mostu.

Lecz tu już wypadła nań cała wstęga biało-niebieskich chorągiewek, niebieskich wylogów i karych koni ulanów czwartego pułku. Bem osadził wierzchowca i z ukontentowaniem przyglądał się wymuskanemu, chrześzczącemu a łopoczącemu chwacko oddziałowi.

Gdy naraz za rwącą wstęgą, zadudniła czwórka gniadoszów, ukazując pułkownikowi, obok uroczystego woźnicy, jaskrawego krakusa-ordynansa i rąbek, wystającego z głębi powozu, nasadzonego po napoleońsku kapelusza stosowanego.

Był to wódz naczelny. Bem przyłożył dwa palce do fużerki. Równocześnie koń pułkownika zniecierpliwiony podał się naprzód tak, że mało mu gniadosze lba nie musnęły.

Skrzynecki atoli, który zwrócony w stronę Bema siedział, raptem coś niezwykle ciekawego z przeciwnej strony zoczył, bo wykręcił się ku prawej i nie zauważył ukłonu pułkownika.

Bem zebrał cugle, przeczekał drugą wstęgę ulanów, klusujących za powozem i wjechał na most. Teraz mijaly go jeszcze pojazdy, jeszcze dostojnicy, ale pułkownik nie widział ich, nie zastanowił go ani strzelec prezesa Rządu narodowego, ani ożywienie, którem zadrgała ku niemu w przelocie zimna, matowa twarz Czartoryskiego.

Za mostem, u wylotu Bednarskiej ulicy, na obojętność pułkownika zaczęła się jakaś bryczka. Bem i jej chciał

z drogi ustąpić — gdy z bryczki zawołał nań znajomy głos.

— Hej, mości pułkowniku? Jakże, to pułkownik z Pra-
gi, gdy całe miasto na Pragę?

Bem, jakby się ocknął. Z bryczki szczyrzyły się doń
rude szpikulce wąsów Sikorskiego.

— Każdy, dokąd mu woła!

— A nie, tak nie uchodzi! Przecież, panie Józefie,
musieliście odebrać sztafetę. Wam, mości pułkowniku,
przecież nadewszystko przypadało! Bez was właśnie...

— Żaluję, nie mogę! — odparł bez zajknięcia Bem
i szarpnął cuglami.

— Szkoda wielka! Mam ukłony od pani Anny! —
Bywajcie! — okrutnie mi bez pułkownika przykro...

Bem nie odwracał się. Konie sparł ostrogami, wdarł
się na górę, stromo idącej, ulicy i z kopyta zawrócił na
Podwale. Tu jadącemu za sobą ordynansowi rzucił cugle
i poszedł do swych izdebek.

Widok własnych kątów i chudoby niewymyślnej przy-
pomniał Bemowi o czekającym go wymarszu i potrzebie
zebrania co najniezbędniejszych manatek. I pułkownik,
jakby bojąc się, aby go ta myśl nie odbiegła, bez odpa-
sywania szpady, zabrał się gorączkowo do pakowania i u-
kładania rzeczy.

Lecz, po ułożeniu pierwszego tobołu, ustał. Więc rozpiął
kolnierza, zbył się szpady i osunął się na krzesło.

Skronie mu pulsowały, twarz paliła. A równocześnie
ogarnęło go uczucie bezwładności, niemocy. Niby sieć nie-
uchwytna omotała go, spętała krociami ostrych, wpijają-
cych się nitek. Gdzieś, w pobliżu, rechoł zdławiony Krę-
powickiego mieszał mu się z dyszkantem akademika z Ho-
noratki. Zadufana twarz Gurowskiego zdobiła się w wielki
nochal Lelewela. Na ceglastem obliczu Sałackiego ukazy-
wał mu się zadarty dowcipnie nosek pani Bażanow. Z pod
czapy dobosza Michalika śmiały się doń oczy podszeffa
sztabu. Właściciel kamieniczki imię Brukalski stroił mu
się w tabaczkowy surdut magistra administracji a książe-
prezes grał ze Skrzyneckim w faraona.

Bem tarł czoło, odpędzał te cisnące mu się do mózgu

głosy, widziadła osobliwe, cudacznie ze sobą splełane — napróżno.

Do drzwi wchodowych zapukano zlekka. Pułkownik wstał z trudem i otworzył zasuwę.

Na progu ukazał się czarny, aksamitny kołnierz i srebrne naszywki kapitana-audytora.

— Jestem Fiszer — zaczął przybyły, chyląc swą niezwykle chudą i wysoką postać.

— Audytor zapewne w sprawie, w sprawie...

— Z prośbą od generał-gubernatora do pułkownika. Generał polecił mi przypomnieć o obietnicy... Czeka na pułkownika. A ponieważ ma dziś ucztę w Saskim ogrodzie, pragnąłbym zatem mieć go na podwieczorku.

Bem usiłował się wymówić, lecz Fiszer, dowiedziawszy się, że pułkownik rusza z obozu, tem bardziej nalegać zaczął.

— Generał byłby niepokieszony, gdybyś pułkownik nie przybył. A przytem zważ, pułkowniku, na zasługi, na wielką dla cię estymę i na to — dodał smutnie — że do zbytku za dobre, za szlachetne intencje odmowami jest pojon.

Bem nie wahał się dłużej i gdy wreszcie dosięgnął pięknego pałacyku generała, nie żałował, bo Krukowiecki powitał go tak serdecznie, że pułkownikowi jaśniej się zrobiło na sercu.

— A to pocziwie, a to zanie, mości dobrodzieju! Byłem już w nielada turbacji. Prosiłem cię wszak, pułkowniku, na wieczerzę — a przepomniałem o fecie wojskowej. Cale mi tam nie pilno. Ale muszę, muszę się pokazać bodaj na moment! Proszę, pułkownika, tedy, do naszej staropolskiej świetlicy! — I pozwól, że sam zwiastować będę żonie tę radosną nowinę... Heluś — Heluś!...

Bem ledwie rzucił okiem po wytwornym i zgoła stylowym salonie, gdy Krukowiecki już wrócił i w towarzystwie swej urodziwej jeszcze małżonki.

Bem teraz nie lada jako baczyć musiał, aby strzymać wartkością wysłowienia, bo rubasznej szczerości a dobroci generała zawtórowała subtelnosc pani generałowej.

Komplementy, słowa uznania gradem jęły łomotać

w pułkownika. Bem odwracał je, zagadywał, polykał nie-
które gładko, lecz w ostatku już mu i słów brakło i kon-
ceptu i smaku do lykania.

Pani Krukowiecka w lot Bema odgadła i zmieniła
przedmiot.

— Prawdziwie Fiszer miał szczęście, mniemaliśmy, że
pułkownik może paradą zatrzymany...

— A widzisz, że na moje wyszło! — dodał generał. —
Pułkownika trzeba znać, jak ja go znam.

— A nie, Jasiu, dlaczego! Mogło by pułkownikowi wy-
paść z kontenansu.

— Nawet nie wiem nic o żadnej paradzie, hrabino ge-
nerałowu... Jadąc ku Warszawie, napotkałem sznur kola-
sek z dygnitarzami, lecz ani rusz nie mogłem zgadnąć...

— Jakto, mości dobrodzieju, nie wiesz pułkownik
o dzisiejszem głupstwie imci pana Ledóchowskiego, se-
natora i ojca ojczyzny!? — A no palnął mówkę i stany
obradujące uchwały, niby senat rzymski po przegranej
bitwie pod Kannami, wystosować adres dziękczynny i pa-
nu Skrzyneckiemu go doręczyć uroczyście.

— A więc dlatego książę Czartoryski...

Twarz Krukowieckiego stanęła w płomieniach.

— Co!? Czartoryski przyłączył się do delegacji? Czar-
toryski?!...

— Jasiu, nie unós się.

— To jest, nie jestem pewny, hrabio generale, lecz
zdaje mi się, że widziałem jego barwę...

Generał odsapnął z trudem.

— Hm! Pewnie, dlaczegoż nie miałby być! I Barzykow-
ski i Morawski, cała sfera tych, tych gnębicieli sprawy
narodowej! Ich wygrana, że mnie nie zaprosili — ja bym
ich nauczył rzymskiej historii!

— Nie bierz, kochanie, do żywego. Ach, pułkowniku,
nie uwierzysz, ile się co dnia nadręczy, nacierpi! I cóż,
nie ma nawet słów pocieszenia. Zapadamy się w trzęsa-
wiska i z własnej winy, z własnej lekkomyślności.

— Święta prawda, pani hrabino.

— Najszczęśliwsi są ci, którzy wierzą, którzy nie wi-
dzą, którym wystarcza, że jeszcze polskie biją tarabany.

Zawsze powtarzam mężowi, że wolej mu zaniechać tych wątplych honorów, wolej poddać się wyrokom Opatrzności, niż lata zdrowia i życia mieniać w rozterce na miesiące.

General potrzęsnał głową.

— Pilatem się nie urodziłem i symulować go nie będę.

— Pozwól, może byś pułkownika fajką poczęstował. A ja tymczasem wydam dyspozycje, bo jeżeli panowie zamierzacie zdążyć na fetę... Wszak i pułkownik niezawodnie...

— Nie, pani hrabino-generalowo — ani czasu nie mam, ani inwytacji.

— O pierwszy się nie turbuj, pułkownik, bo i ja dłużej godziny nie zabawię — a z wtórej drwij. Jedziesz ze mną. Weźmiemy nadto Fiszera i mego Ledóchowskiego, dzielnego chłopca, no i, oczywiście, nie żadnego familjanta z rzymskim senatorem.

— I wróćcie razem na wieczerzę. Ach, jakby to było dobrze. Prawdziwie byłabym pułkownikowi wdzięczną.

Bem wymawiał się. Ale Krukowiecki nie dał za wygranę. Powiódł go do kancelarji, usadowił wygodnie w rogu tureckiej sofj, poczęstował fajką i zakonkludował stanowczo:

— Trzeba, abyś był na fecie.

— Mam rozkaz wyruszenia jutro, do dnia!

— I tembardziej dziś pokazać się winienes! Tak!... Bierz ze mnie przykład. Myślisz, że ja sobie nie zadaję przymusu, że mi pilno stawać między, między zgrają, między tą Skrzynecczyną, gdzie każdy, gdyby mógł, toby mnie zgnął? Lecz na lud baczę, na wojsko, na mrowie obywatelów, oficerów. Moja przytomność nie pozwala kli-ce lada czem oczu mydlić, tumanić, lgać. Krukowiecki, mości dobrodzieju, umie rąbnąć, umie się o prawdę upomnieć i nie jednemu oślepienemu, zahukanemu do serca trafić! Ho-ho, pułkowniku, a toż by się pan Skrzynecki, uradował, gdybym ja na urazę wziął i ludowi się nie pokazał!

— Lecz, panie generale, daleko mi, abym miał prawo śladem jego kroczyć.

— Masz prawo! Kto ocalił nas od pogromu? Kto klęskę ostateczną zażegnał? Kto Igańską wygrał bitwę? Nie upieraj się, pułkowniku. Nie o chwalby idzie, nie o modestję, lecz o losy ojczyzny. Kto na siłach, kto widzi niedołęstwo, kto czynami dowiódł racji — tego święty obowiązek stać na wyłomie, narodowi się jawić!

— Na wyłomie, lecz nie na fecie — odrzekł cierpko Bem.

Krukowiecki, miast się urazić, rozśmiał się dobrodusznie.

— Cha — cha — cha! Rzekłeś, jak żołnierz, jak rycerz, ale nie jak statysta! Gdybyś miał z żołnierzami do czynienia, twoje byłoby zwycięstwo! Feta! A wiesz, pułkowniku, że dla Skrzyneckiego, dla Ostrowskiego, dla Czartoryszczyzny, Niemojowszczyzny wygrać fetę znaczy więcej niż batalję. Batalja stanowi może o sławie obcego im oficera, batalją można zgnać Dybicza, ale nie tych, którym się wydarło dowództwo! Na fecie dopiero jedna się przyzwolenie ludu, na fecie fałszuje zasługi i urasta na odkupicielów, na wybrańców. Wiwatami, fanfarami, jadem, trunkiem, tumultem, wrzawą niby blekotem odurza się, mości dobrodzieju, rozumy! I wodzi się ich potem od fety do fety, byle nie wywietrzały, byle się nie ocknęły! Jedno im w tych nikczemnych mataczynach bruździ, że są ludzie, których imię jest jak *memento*, jak kongrewska raca wśród nocy. Nie masz, pułkownik, inwitacji? Radbyś wyglądać aż bobrujące myszy kota same w gości zaproszą. Pominęli cię, pułkowniku, z rozmysłem!

— Tembardziej więc...

— Nie, mości dobrodzieju! Nie panu Skrzyneckiemu służysz, nie Rządowi narodowemu! A na Pragę, myślisz, przypadkiem cię nie wezwali? A taż twoja misja nagle, nie wiadomo po co i dokąd. Kiedy panu Skrzyneckiemu i za tydzień nie śni się ruszyć?! Wyprawiają cię, bo się chcą pułkownika pozbyć!

— Ależ generale! — zaoponował Bem, czując, że jakiś chrobot wewnętrzny zrywa mu się w piersiach i wyciąga dłonie do słów Krukowieckiego.

— Nie będę cię przekonywał, dowiesz się o tem sam.

Nie tyś, pułkowniku, jeden. Konsoluj się, mości dobrodziej, że imć pan Skrzynecki cały pułk sztafet rozesłał do klientów i popleczników, że choć, z Modlina o świcie wrócił, już wszystkich senatorów obleciał! Cha — cha! I nie bez racji w rannego ptaszka się zamienił. Ciurów, skrybów wojskowych umyślnymi wezwali na praską ceremonię — tylko nie mnie! Lecz tam moja nieobecność będzie zadość wymowną, tam, w ciżbie skrzyneckczyków, kaliszanów, księcia-prezesa zauszniaków — szkoda było mego głosu, mej fatygi — ale w Saskim ogrodzie ja im powiem, ja im zadam! Ja ich nauczę komedjanckich deklamacyj!

Do kancelarji wszedł audytor Fiszer i szepnął kilka słów do ucha generałowi.

— Jest Chłędowska. Nareszcie! Daruj, pułkowniku, lecz po nowiny muszę.

Krukowiecki ruszył żwawo w głąb pałacyku. Fiszer został z Bemem i ją zabawiać go pokazywaniem co osobliwszych sztuk broni, którą ściany kancelarji były bardzo sztucznie obwieszane.

Pułkownik z prawdziwą lubością admirował dziwery karabel, generalskiego pradziada rotmistrzowski obuszek, złotemi fladrami misternie nażyłowany, na damasceńskich klingach chrobre zawołania, moc starej koleczugi, wschodnich kindżałów cyzelowane labirynty wykretasów, dawnych krucic niezdarłą prostotę. A że kapitan-audytor, świadom dziejów każdego zabytku i sam na takie osobliwości chciwiec zapamiętały, umiał do byle drobiazgu nawiązać i trafne napomknienie i imię wielkie, przeto Bem ani się spostrzegł, gdy tuż zabrzmiał tubalny głos Krukowieckiego.

— A nic mi, pułkownik, nie powiedziałaś, żeś całą noc w Rządzie narodowym zmitrężył!

Bem, zaskoczony tą uwagą, stropił się i bąknął coś o służbowem wezwaniu.

General szarpnął szpakowatych bokobrodów.

— Uuu! Coś mi tam nowego uknuli, mości dobrodziej. Jeszcze nie wiem co — ale już swąd chwytam! Myślałem, że tylko tę rzymską orację a tymczasem... hm!..

General zaciął się raptem i szare, wylupiate oczy na pułkownika postawił. Bem wytrzymał obojętnie spojrzenie Krukowieckiego.

Odtąd niby cień jakiś zapadł między Bemem i generałem. Rozmowa niby toczyła się, niby ciągnęła, ale obojętna, zimna, rwana, ślizgająca się ogólnikami. Nawet w jadalni, choć pani generałowa starała się ożywić męża a pułkownika nadewszystko ciekawym przedmiotem zając, przymus nie ustępował.

Aż Fiszer, który pilnie generałowej sekundował, ozwał się niespodzianie:

— A, przepomniałem. Czy pułkownik wie, że mam doń służbową sprawę i audytorską?

— Sprawę?

— Wszak w baterji pułkownika znajduje się wachmistrz Dziurbacki?

— Dziurbacki? — Oczywiście! Czyżby dopuścił się przestępstwa?

— Kto wie? — kto wie! Żart na stronę — mam odebrać odeń zeznania. Idzie o wykrytą korespondencję Roźnieckiego ze Skrzyneckim.

Bem poruszył się niespokojnie.

— Wybacz, panie audytorze, że, nie prostując błędnego wyrażenia, powiem, iż zbyt służbowej dotykasz sprawy...

— Lecz ponieważ jest ona od dziś tajemnicą całego miasta...

— I nie od dziś, mości dobrodzieju — wtrącił się generał. — Cała różnica, że tym razem panu Skrzyneckiemu płazem nie ujdzie, choćby się Czartoryski na głowie postawił!

— Tak, bo sens pisma Roźnieckiego dowodzi, że nie po raz pierwszy spotyka go zaszczyt adresowania się do wódza naczelnego.

Pułkownika ubódł ten śmiały wywód Fiszera.

— Nie czytałem listu Roźnieckiego — ale postrzegam, że starczy, aby ten nikczemnik dwa słowa do mnie wyprawił, abym, w oczach audytora, zdrajcą został.

— Nie pułkowniku — odparł chłodno kapitan — byłby to dowód jednostronny dopiero.

— Waszmość ludzisz się jeszcze Skrzyneckim! — mruknął z przekąsem general.

— Odróżniam jeno brak talentów od nikczemności.

Krukowiecki poczerwieniał i rzucił się na krzesło z pasją, lecz pani generalowa ujęła się za Bemem.

— Słusznie, sprawiedliwie mówi pułkownik. Zdumiałabym się, żeby sądził inaczej.

General-gubernatorowi oczy kołem stanęły. Bem spojrział z uwielbieniem na świeżą, łagodną twarz, która, w obramowaniu bujnych, siwych włosów, wyglądała mu na zjawisko z obrazu.

— Tak — ciągnęła pani Krukowiecka — pułkownik nie świadom jest tajników, po żołniersku patrzy na wodza, nic mu do sejmowego, rządowego kręłactwa, do intryg, do knowań! Nie widzi ich, widzieć nie może.

— Co więcej, hrabino-generalowo — podjął Bem, którego naszła raptem potrzeba mówienia — wogóle Skrzyneckiego czarno nie biorę. Niezawodnie, ulega, w stosunku do starszych od siebie, zasłużeńszych generalów, obawie, by go który nie zaćmił. Co kroku lęka się o całość należnego mu pierwszeństwa! Lecz, po za tem, usuwając na stronę kwestję zdolności wojskowych, nie wyobrażam go sobie ani złym, ani mściwym...

— Myślisz pułkownik — zauważył pojednawczo Krukowiecki.

— Jestem tak pewnym, jak prawdą jest, że nie mogę chępić się względami naczelnego wodza.

Przytlumiony cdgłos bębnow rozległ się w oddali.

— Gwardja narodowa idzie już do ogrodu, na fetę — bąknął Fiszer.

— Niedługo czas i na panów. Chociaż może byś, Jasiu, zaniechał... Jesteś dziś tak utrudzonym...

Krukowiecki zachnął się.

— Ani mowy! — Ho-ho, tego by im trzeba było! — Hej sam, Maciuś! Wielki mundur! I Grześ niech zakładał...

Szyby coraz mocniejszym brząkaniem akompaniowały nadchodzącemu lomotaniu tarabanów.

Pani generalowa pochyliła się ku mężowi.

— Jednakże, kto wie, czy właśnie nie byłoby polityczniej zaniechać. Trafisz na przewagę. W razie ozwania się, mogą cię zakrzyczyć... Zimnej krwi może ci nie starczyć — jesteś wzburzony.

— Nic to, mości dobrodzieju... Bądź spokojna. Jeszcze nie wszyscy panu Skrzyneckiemu się zaprzędali, jeszcze i Krukowiecki coś znaczył...

Bębny, które tuż przed pałacym dudnić zaczęły, umilkły raptem.

Fiszera spojrział ku oknu.

— A, ósmy pułk piechoty!...

Generał skrzywił się pogardliwie.

— Gwardja króla Jana czwartego! — Ale, czy wiesz, pułkowniku, od czego intronizacja ma się zacząć — od rejencji! Tak, mości dobrodzieju — takiego figla zamierzają nam wypłatać!

— Lecz, generale, byłby to zamach...

— I ostateczne zaprzędanie nas Dybiczowi.

— Nie sądzę, aby ważono się...

— Przyjdzie moment, że przekonasz się pułkowniku! Ho—ho! I udało by się!... powiodło!... Gdyby gubernator był malowanym, gdyby żelaznego nie miał uchwytu!

— Jasiu!

— A co? W bawelnę nie obwijam! Niech wiedzą, że władzą moją gubernatorską z nimi się rozprawię! Niech jeno drgną!

Kapitan-audytor, który był poglądał wciąż ku oknu, porwał się raptem z za stoła, błady jak płótno.

— Panie generale! — zakrzyknął. — Tu się coś dzieje — ósmy pułk zaciąga warty!!

Krukowiecki a za nim Bem i pani generałowa skoczyli ku oknu. Lecz, zanim zdolali pojąć, co Fiszera o tak gwałtowne przyprowadziło wzruszenie, już wraz z odgłosami tumultu, który wybuchnął raptem w antykamerze, wpadł do jadalni porucznik Ledóchowski z szablą w ręku.

— Szyldwachów nam rozbili, generale!... Napaść! spiszek!...

Krukowiecki rzucił się ku antykamerze. W tej samej chwili, we drzwiach, na tle bagnetów, ukazała się gro-

madka oficerów z podpułkownikiem w mundurze komendanta placu.

Generał aż zatoczył się z pasji.

— Co to ma znaczyć! Jak się ważycie!!

— Przybywam z rozkazu Rządu narodowego! Oto dokument! — odrzekł zimno podpułkownik.

Krukowiecki posiniał.

— Aspan do mnie z rozkazami!! Do generał-gubernatora!!

— Rząd narodowy polecił mi zawiadomić cię, generale — ciągnął spokojnie przybyły — że uznał za właściwe udzielić ci dymisji!

Krukowieckiemu oczy wyszły na wierzch, głowę dźwignął, poruszył wargami i osunął się na krzesło.

Przez chwilę słychać było jeno spazmatyczne sapanie generała i szelest rozkładanych przez podpułkownika papierów.

Naraz pierś Krukowieckiego zadygotała dzikim, przeżalnym śmiechem.

Generałowa ujęła męża za ramię.

— Zaklinam cię na imię Boga!

Krukowiecki jeszcze gwałtowniejszym wybuchnął śmiechem.

— Cha-cha-cha! Więc takiej gry im się ze mną zachciewa! — Cha-cha-cha! — Z tej beczki chcecie! Więc, mości podpułkowniku, zaraportujesz Rządowi narodowemu, że swoją dymisję otrzyma z mniejszą paradą! A teraz, waćpanowie, fora ze dwora! *Mores* dla progów generała dywizji! — Stuzba! — Powóz mój niech zajeżdża! Ja się z nimi rozmówię!

Podpułkownik wyprostował się.

— Najpierw, zezwolisz generał, że spełnię misję. Z rozkazu naczelnego wodza siły zbrojnej narodowej i za moim akcesem, aresztuję cię, generale, i żądam oddania mi szpady!...

Okrzyk zgrozy dobył się z piersi Fiszera i generałowej. Ledóchowskiemu oczy poźlaniały złowrogo. Bemem wzburzenie targnęło.

— Hola, podpułkowniku — ozwał się surowo — cóż to wasze za akcesy czynisz!?

— Jestem Kamiński, tymczasowy generał-gubernator Warszawy! Zezłciej, mości pułkowniku, nie przeszkadzaj mi w spełnianiu rozkazów!...

Bem wtulił głowę w ramiona. A Krukowiecki siedział osłupiały, ogłuszony, bezwładny.

Kamiński, zbywszy się teraz nieco urzędowego tonu, wręczoną mu przez Fiszera, szpadę generała wyprawiał przez adjutanta, wydawał rozporządzenia kapitanowi ósmego pułku, Lipskiemu, jak ma wartę nad pałacykiem trzymać, jak areszt domowy nad Krukowieckim sprawować, komu ma bronić przystępu a kogo puszczać.

Generał podczas siedział wciąż, z głową zapartą na rękę, z oczyma utkwionemi w jakiś nieuchwytnie odległy punkt.

Pałacyk generała powoli cisza zaległa. Odszedł Kamiński ze swoją asystą. Zniknął i Fiszer i Ledóchowski. W przylegającej do antykamery komnacie rozkwaterował się już na dobre kapitan Lipski, jeno żwawe poszmery, idące z kuchni i służbowych izb, jeno łańcuch gęsty szyldwachów, otaczających pałacyk Krukowieckiego, świadczył, iż na siedzibę tę padł grom nielaski Rządu narodowego, że ramię wodza naczelnego dosięgnęło swego nieubłaganego przeciwnika.

Bem jeszcze precz gościł u generała. Właściwie stał w jadalni, zaparty o ścianę i pogrądał niepewnie ku siedzącemu generałowi, którego pani Krukowiecka usiłowała wyrwać odrętwieniu.

Pułkownik co moment powtarzał sobie, że należy mu się usunąć, odejść, że nie przystoi nawet być gapiem, że winien odczuwać się żwawiej i odejść — lecz, gdy miał się poruszyć, ogarniało go przeświadczenie, że właśnie dopuściłby się niegodziwości. Nic mu do Krukowieckiego, nic do jego z Rządem czy Skrzyneckim porachunków — a przecież to sponiewieranie starego żołnierza zapadło Bemowi pod serce i piekło i kłóło i szarpało.

Wielki zegar w rogu jadalni zachrobotał przeciągle, cyknął sprężyną i ją wydzwaniać siódmą.

Bem przewyciężył się i podszedł do Krukowieckiego.

— Czas na mnie do obozu!

Krukowiecki drgnął.

— A, to pułkownik!

Bem ujął Krukowieckiego za rękę i uściśnął serdecznie.

— Odchodzę, generale...

— Nie jestem już generałem! — odrzekł cicho Krukowiecki i wielka, perlista łza wyrwała mu się z pod obrzęklej powieki.

— Dla mnie, dla mnie generał nigdy nie przestanie...

Krukowiecki potrząsnął głową i rozplakał się.

XII.

Gdy się to działo, Ogród Saski już huczał od wrzawy uroczystej i zniecierpliwionej ochoty, już ostatniego znaku czekał, aby fanfarami zagrznieć, polonezami rozkolysać i, po rzewnej modlitwie, do stolów, do biesiady, do płomiennych wezwań tłumi powieść i rzucić je potem szalowi wesela, zapamiętania, tanom i radości na chwałę, wzmocnionej fetą, ojczyzny.

I ciżba różnobarwna, pstra, gorąca, falowała, kłębiła się na ścieżkach i trawnikach i zdumiewała.

Rozmaite bo, od momentu wyzwolenia, oglądał lud warszawski parady, przeglądy, gody solenne panów z narodem, szlachty z mieszczuchami, wojska ze wszystkimi stanami. Lud warszawski już się nieraz i nabeczał na polowych mszach i na całego mrowia polskiego rezurekcjach i nahasał z hulanami, czwartakami, strzelcami, piechurami. A co ostatnio, po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, zgolał niemal, że chyba tęszego a piękniejszego dnia nie dożyje.

Tymczasem przemyślność a zasobność pierwszego pułku gwardji narodowej, w którym mnóstwo bogatych służyło posesorów i kupców, już w tydzień po uczcie w Ogrodzie Krasińskich, wyprawiała fetę, która wszystkie poprzednie miała zaćmić.

Prawda, że nie tylko podcienia rozłożystych drzew Sa-

skiego Ogrodu i jego znaczny obszar dodały wspaniałości fecie, ale i niebo samo zdawało się sprzyjać zamysłowi pierwszego pułku gwardji narodowej. Nigdzie chmurki pod stropem błękitów, rozpiętym ponad konarami stuletnich drzew. W powietrzu cisza, kolysana delikatnym wiewem ciepłych zefirów, a ogrodowe krze, zarośla, klomby i trawniki, jakby umyślnie wymalowane, zestrojone. Tu jeszcze fioletami bzów zdobne, ówdzie już glogami grające. Tu stezki ckwitem kasztanowym wymoszczone a ówdzie akacje z jaśminami już tchną ku sobie upajającymi oddechy. Tu wychuchana, wydmuchana arystokracja cieplarnianych sadzonek nieśmiały mi kolory znaczą linje grządek i leszek a ówdzie hołota wszelaka, lecz hołota zadzierzysta, chwacka, dorodna wypełnia trawniki, mętne, pstre kwiatuszki nastawia dumnie wietrzykowi do czesania. I czesze wietrzyk macierduszkę ku szczawiowym listkom, rumianki w ramiona krwawnikowi podaje, płące kiście wąsate, głaszcze trawki i ziółka.

Aleć, przyznać trzeba było, że sprawność gospodarzów fety z oprawą natury szła również w paragon.

Więc najpierw brama, od Dziedzińca Saskiego, była istnem arcydziełem. Nie wiadomo było, co więcej admiraować, czy esów girlandowych zawilość, czyli chorągwi i chorągiewek sztuczne a wdzięczne splątanie, czyli malowanie godeł, herbów i transparentów.

Za bramą, bokami wielkiej alei, po dwa długie śnieżnobiałe pasma stołów i stołów mięsiwem, dzbanami, pieczywem, szklanicami, butlami suto, gęsto nastawionych. I pasma te biegły hen, na przestrzał, aż kędy przez okienko wolnego przestworu, z drugiego skraju ogrodu, rąbek błękitu do alei zaglądał.

Te wstęgi stołów, od strony podcieni drzew, zdobily pasy skrzące się, lyskające bronią, grające zdala barwami, przetykane pstrymi pękami trębaczów i doboszów.

Żółte, niebieskie, czerwone, białe, amarantowe wylogi szły naprzemiany, białe kity rwały czarne, czarne łamały czerwone po czapach piechurskich następowały ulanki, po ulankach krakuski, po nich strzeleckie szkopki i znów

ułanki i jeszcze żandarmskie kaski i inżynierskie helmy i znów piechury.

I ten żywopłot trwał z bronią u nogi karny, milczący, niby obojętny, niby nie czujący, że poza nim, bokami, fałuje równie zwarta, niemniej liczna wstęga loczków, trefionych główek, falbanek, spódniczek, kapelusików, chust i zapasek, — że ta druga wstęga piecze ślepkami pierwszą, że, gdyby nie strażę gwardyjskie, co jej jeszcze przystępu bronią, runęłaby na wyłogi, na czapy, na pałasze, na bagnety i chrupałaby je z miłowania, z porywczosci, z zapamiętania serdecznego.

Z lewej, od strony Saskiego Dziedzińca — znów pasma stołów ale suciej zastawionych, piękniej przybranych. A, dokoła suknem wysłanych ław, ciżba bezładna, gwarząca, wymieniająca ukłony, powitania, uśmiechy, półsłówka. I ciżba wytworna strojna w generalskie kapelusze, złote i srebrne buljony, sztabowe akselbanty, adamszkowe kontusze, batorówki z trzęsieniami, regatywki, popielate, rozłożyste cylindry, pasterki, jedwabie, muśliny, fulary, madrasy, narodowe kokardy, ciżba skrząca się, szeszcząca, wyświeżona, uroczysta.

W bok od ciżby, naprzeciwko środka stołu, oltarz, na armatach spoczywający, w zdobyte przybrany sztandary, bronią wszelaką najeżony, chorągwiami łopoczący. A na szczycie oltarza orzeł symbol, orzeł relikwia, orzeł-testament nad testamentami mocarza, którego sławy wojsko polskie było dziecięciem, za którego przyczyną dźwignęło się, krwią spłynęło i krwią odkupiło kongresowe swobody.

Tego to orła Napoleon dał pułkownikowi Sycowi, przy pożegnaniu wiernych do ostatków polskich zastępów, tego to orła pułkownik strzegł, jak skarbu najdrogocenniejszego, przez lat szesnaście, ten orzeł przez szesnaście lat był tajemniczą arką przymierza, był talizmanem zaklętym, był legendowym szczerbcem, który podotąd nie dał się wykryć, który, dla zmylenia śladów sobowtórem się osłonił, aby powrotu piastowych dziedziców snadniej doczekać.

I w obliczu tego orła jaskrawiej, wyraziściej grały na

piersiach weteranów krzyże honorowej legji, dumniej podnosily się szronem przyprószone głowy napoleończyków, wielkiej armji oficerów.

Z ołtarza bily nadpisy, przywodzące grochowskie olchy, zagajniki Stoczka, wawerskie pola, ostrołęckie łęgi — a między starszyzną oficerską wspomnienia rwały hen w dal, do Tczewa, Gdańska, Raszyna, Berezyny, do Tudeli, do przeszłości. I gdyby nie cywilnych dostojników o sprawach najbliższych rozhovor, gdyby nie młodzi adjutantkiej ku wachlarzom, niewieścim falbankom ostróg brząkanie — zdaloby się, że tu dawni wojacy przyszli gwarzyć społem o tem, co minęło i dawno i na wieki.

Dalej, dokola tych stołów dygnitarskich, a w podłuż głównej alei, siedm polanek, siedm zielonych kobierców, zręcznie wybranych, a w pośrodku każdego z nich wojskowa kapela lunami mosiądzu świecąca, w krąg ustawiona, ku pałeczce naczelnika swego zapatrzona. Krom tych siedmiu, ósma u głównego wejścia i ta w gwardji narodowej uniformach, ta, która na teatrze grywa wieczór w wieczór — a po dniu w mundurach występuje. W tej kapeli, już krom trąb, piszczałek i bębnow, są i zgoła misterne instrumenty, niby na zadokumentowanie, że i w skrzypicach i basellowych pudłach duch poczciwy mieszkwa.

Cały zaś obszar ogrodu w piękny ład ujęty, a granatowo-amarantowymi mundurami gwardzistów symetrycznie obstawiony. Gwardziści tu gospodarzą, oni strzegą, by tłumy ludu przystojny zachowały przedział, by trwały w skupieniu. Oni honory czynią przybywającym dostojnikom, oglądają przy wejściu karty, decydują, kogo należy wedle zasługi, czyli godności pocześniejsem uhonorować miejscem, kogo wypada do stołów oficerskich doprowadzić, a kogo między gawieź wtłoczyć. Gwardzistom przewodzi imć pan Ostrowski Władysław w wielkim mundurze z dwoma adjutantami, przewodzi, a czai się u wejścia, aby conajznakomitszych personatów samemu witać, samemu honorować.

Tymczasem, w miarę trwającego wciąż zjazdu kolas, w miarę napływania ludu, wzrasta jego niecierpliwość, wzrasta gorączka serdeczna.

Już po dwakroć motłoch, zalegający Saski Dziedziniec, okrzykami zaalarmował Ogród, już po dwakroć główna aleja zabrzmiała komendami przedwczesnymi. Aż raptem podjazd opustoszał. Od wejścia nie widać już ani dam nadchodzących, ani poselskich kokard, ani senatorskich postaci.

Wtem, u bramy, żwawiej zakręcili się adjutanci. Kapela gwardji narodowej podźwignęła instrumenty, motłoch zahuczał okrzykami i pierwsze tony mazurka Dąbrowskiego zerwały się, pomknęły między drzewa, aleje i klomby i z siedmiu, rozrzuconych po polanach, orkiestr wtór zamaszysty dobyły.

Ogród zagrział wiwatami i zwrócił się ku wejściu, od strony którego nadchodził wódz siły zbrojnej z prezesem Rządu narodowego, ministrami i świętą adjutantów.

Ogród mruknął okrzykami. Z początku niepewnymi, przytłumionymi, wahającymi — aż, jakby, dopiero dostojnością oblicza i dzielnością postawy Skrzyneckiego ujęty, rozczmychał się i zagrział pełną pierśią.

— Niech żyje! Wiwat Skrzynecki! Hura! — Wiwat!

A dopieroż kiedy wódz dosięgnął głównej alei, kiedy między skrzącemi się w słońcu ostrzami bagnetów i pałaszy stanął, kiedy z całą swą paradową fantazją ją witać szeregi, odzywać się do zuchów, z całymi pulkami rozmawiać — Ogród Saski zatrzęsł się od serdecznego szalu.

I tłum i wojsko zgromadzone taki zapal, taka ogarnęła tęgość, że ledwie nie złamali szyków, ledwie kunsztownego nie zepsowali ladu.

Cha, bo też każde spojrzenie wodza naczelnego, każde drgnienie szlachetnej, wyrazistej, ogorzałej jego twarzy, każde skinienie ręki, każdy dźwięk jego głosu mieścił naprzemiany tyle wspaniałości i dobitności, tyle rycerskiej dumy i myśli ofiarnej, tyle bohaterskiego uniesienia i męczeńskiego smętku, że nawet zimni, nawet obojętni, nawet złośliwi, nawet szemrzący na wodza, rozgorzeli.

I Skrzynecki szedł, niby czarownik nad czarowniki, niby kapłan nad kapłany, co, zakląwszy krnąbrnością grożącą mu rzeszę, znów szczytu sięgnął, znów moc odzyskał. I Skrzynecki coraz śmieiej wyprzedzał ministrów, coraz

mniej troszczył się, czyli nie nadto sforuje się przed Czarotoryskiego. Ale i książę snąc uczuł Skrzyneckiego wracając gwiazdę, bo, miast dostrzymywać mu kroku, czegoś zagadał się z idącym obok niego Plichtą.

Zapał tymczasem coraz śmielszy kształt przybierał. Żołnierze naprzecigi darli się z szeregów, wyrzucali czapami, hukali, potrząsali bronią aż jęli wołać zapamiętałe:

— Prowadź wodzu! — Na bitwę chcemy! — W pole! — Na wojnę! — Na Dybicza! — Wiwat! — Pod twoim przewodem!

Skrzyneckiemu twarz zapłonęła.

— Dobrze chłopcy! — Pójdziemy! Za nasze prawo! — Pora teraz! I ja z wami, na bagnety po swoje, po kochane!...

Batalion piątego pułku strzelców, przed którym stał był Skrzynecki, złamał szyk i rzucił się doń rozmiłowany, szczęśny, radosny. A wódz z oczyma lśnjącymi oganiał się nieusłuchańcem, „dzieciom warszawskim“ a fukał, niby pleban burczymucha, który dziatwie wioskowej niby się opędza, niby ją odpycha a tuli, niby tarnosi za uszy a gładzi, a hołubi.

Entuzjazm głównej alei ogrodowej tymczasem nie pozostał bez wpływu na ciżbę strojną, przed oficerskimi zgromadzoną stołami. Bo i ta ciżba, choć przybycie orszaku władzy najwyższej przyjęła z flegmą i otrzaskaniem, choć tu i ówdzie klójącą powitała go przesłanką, sarkastycznym ust wygięciem, przecież, na widok czynionych Skrzyneckiemu owacyj, zmieniła raptem zachowanie. Tak, że gdy wódz naczelny dosięgnął ciżby, już jeno pogodnie napotkał oblicza, jeno wynurzenia przyjaźni, hołdy, życzenia i komplementy.

Aż imć pan Ostrowski dał znak. Kapele umilkły. Przed oltarzem amarantowy ornat kapelana się skłonił. Modły trwały krótko, tyle aby po Bożemu zacząć i pieśnią wspólną się zmocnić. Zaczem tarabany z piszczałkami zadudniły pobudkę na siadanie do stołów. Wstęgi wojska rozpadły się, broń w kozły złożyły i dalejże do jadła.

Kapele polonezami spłynęły — lecz na krótko, bo teraz na stoły oficerskie przyszła kolej prowadzenia fety. Więc ledwie rozprawiono się z pierwszym daniem — dźwignął

się wódz naczelny i kielich na cześć walecznych wniósł, sekundowany przez fanfary i hukanie biesiadujących. Za naczelnym wodzem imię pan Ostrowski, kunsztownie wyłożywszy, za czym to przewodem tyle męstwa okazali ojczyzny wojownicy a kto nie rozkazywać tylko umie, lecz i samemu przykładem świecić i samemu z karabinem stać, zdrowie Skrzyneckiego wychylił. Za Ostrowskim poszli inni. I pito na księcia prezesa uczczenie, na Rządu wiecznotrwałą moc, na sejm i senat odrodzonego powagę, pito za wszystkich walecznych spolem, za generałów zdrowie, za sztabu nowego naczelnika, za krzyża wojskowego kawalerów. Serca gorzały, promieniały oblicza, oczy lśniły, coraz gęściej rosa perlila się na powiekach. A kapela grała hymny i marsze, pobudki i fanfary — a biesiadujący żołnierze świadczyli oficerskim stolom wybuchami okrzyków.

Aż imię pan Ostrowski znów na adjutantów skinął. Kapela umilkła na chwilę i uderzyła w uczujących polonezem Kościuszki. Skrzynecki porwał się i rękę generałowej Prądyńskiej podał. Lubieński do małżonki naczelnego wodza się podsunął. Za Lubieńskim, generałowie, senatorzy, dostojnicy, sztabowcy, ku damom poskoczyli — pary ustawiły się i polonez ruszył ku głównej alei. Lecz za ledwie jej dosięgnął, już wpadł w swywolne tony zamaszystej polki. Żołnierze porwali się z miejsc, fala tłumu runęła ku mundurom, zmieszała się z nimi i zawirowała.

Skrzynecki puścił panią Prądyńską. Generałowa poszła teraz w tany z prostym żołnierzem. Skrzynecki powiódł w chuścinę i perkaliki strojną mieszczkę.

— Wiwat wódz! — Wiwat naród!

Główna aleja a za nią trawniki i polany ogrodowe wypełniły się tańczącymi parami.

I Ogród Saski aż drżał w posadach od serdecznej ochoty, aż stuletnie dęby i lipy chwiały ze zdumieniem koronami, aż dachy Saskiego palacu rumieniły się dwakroć mocniej i pewnie nie dla chylącego się ku zachodowi słońca. A kamienne twarze bogiń, bożków i muz, zdobiących ogród, ożywiały się.

Cha, ho, jak ogród ogrodem, takiego nie oglądał

w swem łonie mrowia, takiej fety. Bywały tu rozmaite biesiady, bywały i tańce i za Fleminga i za Brühla i takie, które królewski majestat swoją obecnością ozdobił — lecz tylej ciżby, tylego zapamiętania, tylego braterstwa stanów i za majowych dni nie pomniał nikt z ogrodowej starszyny.

Za majowych przysiąg i solennego z ludem przymierza, była znaczna stanów szczerłość, ale było i onieśmienie. Każdy rozumiał, że chocia niby równość się narodziła, lecz nierówność precz chodzi po świecie! A teraz gdzie! Damy w sajetach, fiokach, bransoletach, pantofelkach, napudrzone, wychuchane same wieszają się na ramionach popolitaków ułanów, piechurów, strzelców, woluntarzów gwardyjskich, prostaków. Opiekłe mieszczki, dziewczuchy, igłami pokłute palce cisną do akselbantów, srebrnych na kołnierzach haftów, bulionów, gwiazd orderowych, jedwabnych fontazjów, dostojeńskich surdutów, magnackich kontuszków.

Tu czwartak szczerzy czerwoną, bliznami nakreskowaną, gębę do marcepanowej buzi grafini a wiotką jej kibicią miecie, niby przysadzistą Zośką wachmistrzanką. Ówdzie, na schwał dziewczka wywija wycacany adjutantikiem, że jeno spódnice jej furkoczą. Tu krępa jejmość, co jeno na paradach ułanom się radowała, kula się a tańczy, a sapie z ukontentowania, niby niedźwiadek po raz pierwszy miodu smakujący. Tam chuda, wystrzelista, zbytciem panińskiego stanu udręczona, bladolica dziewczoja, aż wypieków dostaje, bo tak dziarsko kusy strzelczyk melancholję z niej wytrząsa. Tu majsterck podstarzały, siwiznę przepomniał i przytupuje do kumki, tu dygnitarz sunie dworsko a gracją i fantazją wywołuje aplauzy tłumu — tu cywile wywijają, a żołnierzów chcą zakasować — ówdzie kawalerja z piechetą, pułk z pułkiem, szwadron ze szwadronem w zawody idą.

Tu zadzierzysty ułan pod boki się ujął i podśpiewuje na przekorę czwartakom:

Hułany panięta
Pojedli cieleęta

A piechury rury
Noszą po nich skóry!

A tam znów czwartak sadzi ulanom:

Piechur śpi w wygodzie
Hułań podle szkapy,
Pan zajada mięso
A koniuch ochłapy.

Zmierchało się. Ogniomistrzowie jęli czynić ostatnie przygotowania do mających zakończyć fetę rac, szmermeli i świetlanych pióropuszków. Generał Skrzynecki ze starszą obchodził znów ogród a snuł się między ciżbą.

Wódz siły zbrojnej był rozpromieniony, rozkołysany dowodami miłości, czci i zapału, którymi co kroku witała go ciżba.

Triumf, triumf prawdziwy święcił. On królował i on tylko jeden był przedmiotem owacji, holdów, uwielbienia. Próbował się nadstawiać książę-prezes, Rząd, posłowie — daremnie. Wobec niego, Skrzyneckiego, zginęli, zczezli. Po kątach, na stronie kupią się, szepczą, polityczne knują racje. Nie dokażą bo naród, stolica cała rozumie się na tem, gdzie władzy prawdziwej szukać.

I Skrzynecki kluczył między tłumem, a pławił się w sławie.

Naraz, ciżba, którą mijał, miast rozsunać się i zawiwatawać, mocniej się zwarła.

Skrzynecki stropił się i zwrócił w inną stronę, by się nie naprzykrzać tłumowi, gdy jednocześnie jakiś głos wykrzyknął hardo:

— Niech żyje Krukowiecki!

Wódz nachmurzył się. Ciżba zakolysała się i, nie bacząc na Skrzyneckiego, zawtórowała gromko:

— Wiwat generał-gubernator!

— Precz z kunktatorstwem! — podjął znów pierwszy głos. — Dosyć parady! — Bitwy chcemy!...

Skrzynecki przyspieszył kroku. Kapela, stojąca w pobliżu, zadudniła marsza.

Ciżba ryknęła ponuro — lecz wódz już skręcił w bok, między korne dlań hukania.

Gdy się to działo, — fala motłochu wszelakiego przed bramą ogrodową, od strony Saskiego Dziedzińca — rosła, wznosiła się, a zabiegała, aby choć coś z fety uszczknąć. Trzymający straż gwardziści z żandarmami, byli niewzruszeni. A ponieważ karty wstępu dla cywilów, szaraków jeno pierwszy pułk gwardji narodowej rozdawał — przeto, kto w pułku znajomka, familjanta nie miał albo do dygnitarskiej oficyny dotrzeć nie mógł, tego od bram ogrodowych odprowadzano. Ten i ów z waszeciów paktował ze strażnikami, ten i ów sumitował się parantelą, napróżno. Ale byli i tacy, co jakoś dogadać się umieli z argusami fety i ginęli w zaczarowanej bramie — i tacy nawet, co, nie wchodząc w układy, pomykali naprzelaj i nikli w snujących się po ogrodzie tłumach, ku okrutnej zazdrości motłochu przed bramą.

Szczególnie na takowe sprawiedliwości pogwałcenie oburzała się zestrojona odświętnie jejmość, którą gwardziści, mimo prośby i zaklęcia, od bramy sromotnie odprawili.

— Patrzcie, dopieroj ci porządek! dla luda wszelkiego paradę publikowali, a teraz mi tu wstręty czynią! Widzicie ich, rządzcicieli z morskiej piany.

— Niech wasani krwi sobie nie psowa po próżnicy! — upomniał jejmość pękaty gwardzista. — Rozkaz taki i tyła. Kto z wojskowego stanu czyli przepusikę ma, ten ma wchód!

— Mościewy! Z wojskowego stanu! Jeszcześ wasan z koszulą w zębach żołnierzyl, kiedy mój nieboszczyk ze złotym krzyżem chodził! Rycerze! Nauczylbys się wasan choć mundura nosić!..

Cizba dokoła jejmości parsknęła śmiechem.

Gwardzista nasrozył się.

— Miarkuj się, wasani, bo na ratusz pójdziesz!

Jejmość aż zatoczyła się z pasji.

— Mnie, mnie, obywatelce, posesorce osiedziałej, ratuszem będziesz groził! Ty — ty kielbaśniku, mędliskiszko rzeźnicka, zapomniałeś, komuś smalec nosił do pączków!

— Pani Madejowa! — bąknął skonfundowany gwardzista i zmierzyl ku bramie.

Jejmość nie dała się atoli udobruchać rejteradą i mocniej jeszcze pofolgowwała sobie, ku wielkiej ucieście gawiedzi, która zwarła się dokola pani Madejowej i głośnem świadczeniem podniccała jej mowność.

— I ma ci z tego Polska się uczynić. Lada parobas szabelkę wiesz a spokojnym ludziom ogrodu bron! Naści wojaka! Ale niedoczekanie jego! Niech mnie siarczyste, a swego nie daruję!

— A tak i waspani nie puszcza! — podjudził z boku jakiś głos.

— Hę! No to jeszcze zobaczymy!

— Widzimy przecież! — Znów dwie dzierlatki się wemknęły!

— Dwie dzierlatki! A co tego, nie daruję, żebym miała do samego prezydenta, do general-gubernatora...

— Et tam, żebyś wasani gładszą była, to i zaraz byś znalazła rację...

Jejmości oczy kołem stanęły na taką przymówkę, zdawało się, że runie na impertynenta, któremu z ciżby pogłowia jeno załamany nochal wyglądał.

Lecz tuż głosy zawtórzyły bezładnie:

— A bo nie! — Przecie! — Lepiej nie próbować! — Co młoda, to młoda! — Jejmościu czas minął! — Hu-hu i prezydenta oskoma nie zdejmie.

Pani Madejowa powiedła dokola oczyma z bezsilnem wzburzeniem, jakby dla się odsieczu upatrując, i naraz rzuciła się na przelaj między tłum, ku aksamitnemu lampasowi artyleryjskiej furazerki.

Ciżba warknęła na rozpychanie się jejmości, bluznęła konceptami, lecz baba już furazerki dopadła.

— Mości Dziurbacki — ratuj mnie, panie Pietrze. Muszę do ogrodu, a nie puszczają!

Profos, gdyż on to był właśnie, zafrasował się, bo, choć pani Madejowej, która na Starem mieście grzeczną garkuchnię trzymała, rad był, po dawnej znajomości, wygodzić, nie widział jednak sposobu. Baba tymczasem przystawała doń coraz mocniej.

— Uczyni że mi, panie Pietrze! Gospodarstwa odbiegłam. Trzy dni się zbierałam! Sługowaliście razem z nie-

boszczykiem. A pomnisz jegomość, jak żeś mi to w Sandomierzu orzechy trząśł.

Dziurbacki tłumaczył się gęsto, jako nic tu poradzić nie może, pani Madejowa upierała się, przekładała, że gdyby się napał, to jego, wachmistrza artylerji, nie odprawią. Aż profosa udręczyło to naprzykrzanie, bo ani humoru do spierania się ze strażnikami czegoś nie miał, ani, dla obrzęklej twarzy a bombiastej korpulencji pani Madejowej, w przypomnieniu mu orzechów sandomierskich determinacji nie znajdował.

— Nie poradzę — trza mieć kcnotatkę, mosaniel

— Naszą piekarkę puścili...

— Ma stryjecznego w narodowej!

— Strączkowa się władowała! Dwie Jaworszczankil Bez niczego. Lada szargułę, co się im namizdrzy honorują... Patrz-że jegomość!... Uczciwe ludzie, niby zwierzaków pędzą, a Kościolowskiej gacha, niby generała witają...

Dziurbacki, który był ku wejściu spojrział, zatrząśł się. Do bramy ogrodowej sunął butnie ów woluntarski oficer, co mu Antoszkę zaprzepaścił.

Profos mruknął przez zęby. Pani Madejowa po swemu ten odzew zrozumiała.

— Jakże nie! Cydzikabym nie znalazł! U generała Rożnieckiego był w totumfactwie. Aż teraz wasy zapuścił i na oficera wyrósł... Oo! Nie mówiłam! Taką akuratną kcnotatkę ma, że mu się do ziemi kłaniają!

Dziurbacki obruszył się.

— Co zaś waspani! Gdzie, jaki Cydzik!

— Toć powiadam! O, jak się wita za pan brat! Patryjot wielki! Rudzielecl... I poszedł!

Dziurbacki za całą odpowiedź skinął na panią Madejową i wprost do bramy ruszył.

Ciżba, na widok pani Madejowej, sunącej z godnością za profosem, ryknęła z uciechy.

— Macie ją! — Znalazła sobie! — Gdzie djabeł nie poradzi! — Jedna więcej basella! — Puszczą ją! — Nie puszczą! — Wiwa!

Dziurbacki podczas, nie mitrząc z gwardzistami, obces do dowódcy imci pana Ostrowskiego się opowiedział.

Gwardziści, zaskoczeni butnym meldunkiem, onieśmieleni szewronami i marsem starego żołnierza, ustąpiliby odrazu, gdyby nie pełne godności oblicze pani Madejowej.

— Obywatel - dowódca jest przy oficerskich stolach...

— Przybywam z raportem od pułkownika artylerji konnej Bemal

Młody podporucznik gwardzista, któremu wielkie ostrogi nogi wciąż pętały, aż pokraśniał z powagi.

— Hm! Proszę!... Z raportem, wolna droga dla wachmistrza... Ale jejmość!...

Dziurbacki wyprostował się służbisto.

— Jejmość, proszę porucznika, także należy do raportu!

Podporucznik zachłysnął się, nie mogąc się połapać, czyli wachmistrz drwi sobie zeń, czyli też istotnie przepaściste kształty pani Madejowej mają z artylerją związek. Dziurbacki podczas wykręcił się na pięcie i zasunął w fale hulającego po ogrodzie tłumy tak, że, gdy pisk cizby przed bramą podporucznikowi zagadkę wyjaśnił, profos z towarzyszką już zniknął mu z oczu.

Dziurbacki dla pewności nie prędzej przystanął, aż zdyszana, zasapana pani Madejowa za rękaw go ucapiała.

— Rety, panie Pietrze, bo mnie zatchnie! Uf! Chyba pod drzewem sobie siędę albo co! Okrutniem wasanowi wdzięczna. Siadajże podle mnie. Już mi, panie Pietrze, nie odmówisz i na flaczki jutro przy niedzieli pozwolisz.

Dziurbacki usadowił się przy pani Madejowej i poglądał w zamyśleniu na wirujące w pobliżu pary.

— Niema, jak wojskowi dawnego obyczaju. Okrutniem waćpanowi wdzięczna. Jakobym cię widziała jeszcze, gdyś mi w Sandomierzu orzechy trząśł. Siła od tego czasu się zmieniło. Żeby nie wdowieństwo, grzech bym miała wyrzekać. Gospoda idzie, jest z czego wyżyć i ciulać... Okrutniem panu Piotrowi wdzięczna...

Tu pani Madejowa nasunęła się do profosa.

— Wasan, panie Pietrze, już i w Sandomierzu bardzo był nieśmiały...

Dziurbacki, któremu tępnęły tuż przy twarzy białka

szarych oczu pani Madejowej, musnął zawadjacko szczotkowatych włosów.

— Kalkulowałem sobie, że co się odwlecze, to nie uciecze.

— Chi-chi! Ale się zestarzeje.

— I jedno i drugie. Więc porówno, mosanie.

— Pan Piotr sumiennie mi przylepny, i nie od dziś...

— Pani Aniela zawsze była mi wedle skłonności...

— A czemu to wasan tyle czasu ani się pokazał?

— Bo mi na Zapiecku o woźnym trybunalskim powiadano.

— Pewnie kulawa szewcowa jezorem mnie oszamerowała. Choćby dla nieboszczyka z fałdą do sakramentubym nie poszła. Wasan ciągle przy artylerji wachmistrzuje?

— Bo z harmatą snadniej, niżli z niewiastą.

— Jaki pan Piotr uszczypny!

— Z serca dla pani Anieli!

Pani Madejowa szturchnęła Dziurbackiego. Profos zwawiej jeszcze przymówił. Właścicielka gospody nie pozostała mu dłużną. Aż z przemawiania się tego babie skry z oczu iść zaczęły, a profos, jakby mu niedość było, precz sadził zagrzewnemi słowy, a lewem okiem przymrużywał.

Późno w noc pani Madejowa wracała z Dziurbackim z fety w Saskim Ogrodzie. Wracała zziajana, ociekająca potem, ale rozmarzona do cna.

Opatrzność sama chyba tak pięknie ułożyła wszystko dla pani Madejowej. Pan Piotr z kretesem jej się udał. Ochapialo się jej coś, że musiał być chyba o wiele starszym od nieboszczyka sierżanta artylerji Księstwa Warszawskiego, ale były to faramuszki. Wywija, niby dwudziestolatek, jędrność taka zeń idzie, że jak w pół ją trzymał, to nizacz rzemień. I przytem galant. Z początku ciepła woda, ni sia, ni to, dopiero, gdy mu się przymilila, tęgość weń weszła. I na fetę ją zawiódł i piwa dwa razy kupił i obwarzanków. I wyhasała się i ogniom napatrzyła i generalom. Jaworszczanki nosa drzeć nie będą ani byle czem tumanić! Profosa wielka ciekawość zbiera do owego Cydzika, Kościółowskiej gacha. Musi mieć jakieś porachunki swoje! A cóż wygodzi mu. I nie tem jeno mu wy-

godzi. Wachmistrz! Pół świata schodził. Nieboszczyk też bywał — lepiej niż za Smoleńskiem się podziewał... ale i zapodział się, bo nie wrócił. Lecz świeć Panie — po śmierci nawet czuwał nad nią, bo księżę Zajączek wspomógł wdowę po swym dawnym ordynansie! Uch! taki dzień! Kaśka tam pewnie zbroiła coś. Weźmie w pysk. A co dzień to dzień. Prawda, tyli żołnierz nie za jednym fartuszkciem ganiał... Sama ponnila go w Sandomierzu, czasu austrjackiego oblężenia! Nie darmo tyle konceptów ma o marmuzelach, gładyzdkach, ciepeluszkach przeróżnych... Ta skubła i tamta skubała! Że lichu co zostało. Ale przecież i ona też zakonnica nie była. Kaska weźmie w pysk. — Ale nie ze złego, aby z humorów, co ją dręczyły po samotności. — Mrzyglódek trybunalski wyjadał się, wygrzewał przez dwa roki! Drapaka go nie minie. A co kulawej szewcowej nie daruje, żeby nie wiem... Niech jęzorem uczciwej wdowie sławy nie psowa. Na mszę dla pewności da u Pijarów. A flaczki zastawi w izdebce u siebie. Ma się żenić to zaraz, mitrzyć niema czego z sakramentem, na konkury czasu szkoda.

Nazajutrz atoli panią Madejową naszły refleksje, czyli wachmistrz istotnie przedstawia dla niej partję, czyli stateczne ma inklinacje i czyli nie należałoby z woźnym trybunalskim polityczniej uczynić. A że do tych refleksji pani Madejowej przyplątał się i ból w krzyżach i uczucie jakowegoś utręśienia po tanach, więc bez szczególniejszego zapalu gotowała się do odwiedzin Dziurbackiego.

Aliści, kiedy na południe wachmistrz ukazał się na progu gospody — pani Madejowa niemal stęknęła z sentymentu, który ją pod sercem kolnął. Dziurbacki był zestrojony, wymuskany, wygolony, że luna odeń biła. Krótkie, szczotkowate, strzyżone wąsy aż ociekały z czernidla, wyłogi aksamitne na piersiach, na wylogach krzyż wojskowy, przy czarnoniebieskiej wstążeczce, mina gęsta a co pałasz i ostrogi, takiego pełne brzęku i szczęku, że panią Madejową ciarki przebiegać zaczęły.

Dopieroż kiedy wachmistrz się rozsiadł w izdebce a zagadał żwawo a przystojnie, wówczas dopiero pani Madejowa do reszty dla woźnego trybunalskiego straciła po-

wolność. Bo gdzie, tamtemu, aby miskę pokazać a flaszę, to już wachlucje do białego dna, jakby nie jadł trzy dni — a siwuchę chla, niby wodę, że trzeba mu półkwaterek wrywać. A po najedzeniu się, zaprze się i przewraca galami i ziewa. Wachmistrz zaś zgola pańskie ma pomiarkowanie. Co dwa razy grzebnie łyżką, to zastanowi się i zaproszenia czeka. Do wódki przytem wcale nie skory. Przepił raz, przepił drugi — i koniec, nietrunkowy i tak, że pani Madejowa, która nawykła suciej gasić pragnienie — musi do izby gościnnej pozorować i tam w skrytości miary swej dojść, aby wachmistrz za pijaczkę jej nie miał.

I panią Madejową zgola miękkość nachodzi. Ciągnie głosem, przechyla się ku Dziurbackiemu i wymawia mu pieszczotliwie.

— Że też pan „Pietrz“ wcześniej nie pamiętał, że ten pan „Pietrusz“ woneczas, kiedy to, w zeszłym roku, na Święto-Jańskie się napotkali...

A potem prawi znów a wyklada, że garkuchnia, miesiąc w miesiąc, czystego sto złotych przynosi a w zapusty, kiedy to pani Madejowa swoje sławne pączki smarzy, to za jeden dzień i po czterysta złotych targuje — że płótna wszelkiego i odzienia ma całkie dwie skrzynie a pierścionków cztery i koralową broszę — że gdyby wypadło, to możnaby drugą izdebkę przynająć, bo właśnie sąsiadowi krawcowi żona umarła, więc ma jedną stancję za wiele, bo i żeni się ze zdunówną i przy rodzicach jej będzie mieszkał.

Gdy zaś pani Madejowa spojrzy w marsowe oblicze wachmistrza lub gdy ten szurgnie nogą a ostrogą zadzwoni, to wnet zamaszysta wdowa od tych planów i napomknien na przyszłość do miękkości wraca i szeleści krochmalonemi spódnicami i zagaduje czule.

— A może, panu Pietrusiu, wódki pachnącej, a może kawy z mlekiem — a może czegoś „jenszego“?

I pani Madejowa ze słodkim drżeniem serca postrzeżga, że wachmistrz już się czegoś frasuje, już niepokoi — ach, bo jużci patrzy weń, niby w źródlane przezrocza, wskrós go sobie ogląda i raduje się — niezgorzej wdowia dola się układa.

Dziurbacki tymczasem całę innemi chodził drogami. Prawda, że i wdzięczenie się doń baby nie było mu obojętnem. Cóż, samotnikiem był, żywego ducha rodzzonego nie miał, krom chyba tamtej smarkuli-niewdzięcznicy i Olesiowej-kumki, co mu do reszty i na ciele i na rozumie martwieje. I profosowi ochapiało się, że snadniejby może z kobietą i całę niezgorzej byłoby z Madejową. Nie-wiasta dorodna, zbiegliwa. Kto wie, — jeno żeby tak ślepiami nie lyskała i zębów nie szczyrzyła! Ale w tej chwili profos nie o to się turbował, nie na strojenie koperczaków przybył w odwiedziny, nie dla zalecanek z Madejową do północkska wczoraj zmarudził, lecz dla turbacji własnej, która mu codzień więcej doskwierała.

Dziurbacki szukał precz Antoszki cyganichy i szukał wbrew swemu pejęciu, które mu powiadało, że nicpotem-włóczęga nie warta jest nawet wspomnienia, że dobrodziejkę swoją pokrzywdziła, że szpiegowską krwią nasiąkla i że takie robactwo zawždy do gniazda trafi, że grzech prawdziwy o niem myśleć. I gdy profos już za tem przekonaniem isć zamierzał, gdy wyżenął wszelkie o znajdzie wspomnienie, ta jawiła mu się raptem i poglądała ku niemu tak smutnie, tak łzawo, że Dziurbacki miejsca sobie znaleźć nie mógł i wreszcie znów snuł się po ulicach, zaułkach, kątach zapadłych Warszawy, czyli gdzie na ślad cyganiątka nie wpadnie.

Z początku zdało się wachmistrzowi, że owe papiery, co je w mieszku cygańskim znalazł, a które pułkownikowi doręczył, naprowadzą go na trop, bo cały ratusz do poszukiwań zniewolą. Ale z odprawy, którą od Bema wziął, wynikła dlań wątpliwość, bo tyle dokazał, że mu pułkownik nawet mięszać się do rzeczy nie pozwolił, jakby nie o smarkulę szło! I ani weź powiedzieć nie chciał profosowi, dokąd Antoszkę zawiódł ów kompan pułkownika. Lecz Dziurbacki wziął na kiel. Dzień całę przewalał po mieście — aż kiedy to chmara pojazdów z parady na Pradze wracała, dostrzegł znaną mu dobrze bryczkę, oprzęgniętą w srokacza z wysiapanym ogonem i cisawą kobyłę białonóżkę. I tak zwinnie za nią pomknął, że dotarł aż do kamieniczki, przed którą bryka się zatrzymała

i do której wszedł był ów woluntarski oficer. Profos nie posiadał się z ukontentowania, teraz bowiem należało zaszć się, docieć, co zacząć i wypatrzeć. Na ten koniec, dla chwycenia języka, do pobliskiej piwiarni zaszć tu w gawędę się wdał z gospodarzem. Aliści z miejsca cały gmach kalkulacji Dziurbackiego padł w gruzy. Gospodarz bowiem, na pierwsze słowo, odparł z przekonaniem:

— Niby ten pułkownik, co tam jego bryczka?! Godny obywatel. A jakże! W kamieniczce pana ministra Lelewela mieszka i z nim samym w znajomości, a jakże. Pułkownik Sikorski! Rzetelny obywatel! Generały u niego, personaty, państwo! Maślacza dwa razy u mnie po baryłce. Sprawiedliwy pan i „żolmirz“ duży! Siła, mówią, nawojował Kozaków. Ze trzy bitwy ponoś wygrał albo i lepiej. Dziewczyniny? U pana Sikorskiego? Skąd zaś! Dwóch pacholków aby z nim, bo resztę służby wolnością obdarował.

Dziurbacki stracił kontenans, lecz zmógł się i jeszcze na rozpytki dotarł do siodlarza, co w tej samej kamieniczce warsztat trzymał i do przekupki, co kramik tuż pod murem miała i do dworku sąsiedniego się zamówił, kędy była stancyjka z wiktem do najęcia. Lecz i tu i tam odebrał relacje tak gorące, tak pełne zachowania, że się siebie samego zawstydził i, stuliwszy uszy, powlókł się ku domowi.

I profosa znów wątpienie naszło, czyli nań uroku nie rzucono. Boć teraz oczywiście się przekonał, że nie żaden raptus podejrzany smarkulę zaprzepaścił, lecz przednich zasług partyzant, czyli, że przybędą prawdziwie, niby żmija, miłosierną rękę ukąsiła i czmychnęła między padalce.

Wówczas to, zwabiony ćmą luda, która na fetę do Saskiego Ogrodu szła, dla myśli rozerwania, za nią podążył i tam wpadł na panią Madejową i na historję o Cydziku, gachu Kościółowskiej. Od tej nowiny profosowi aż serce poskoczyło z uciechy. Ozłocilby panią Madejową. Stąd taki weń impet wstąpił i taka dla wdowich zachcianek powolność. Jakoż baba siła plotek o Cydziku mu rozpowiedziała. Ale Dziurbacki zważał, że co innego kobiece pytlowanie, a co innego rzecz. Madejowa bożyła się, hm,

lecz pewności brakło. Jakżeby taki Cydzik mógł personata i pana całą gębą udawać.

Lecz Madejowa ręczyła i deklarowała się całą prawdę mu dobyć i w jednym dniu. Dziurbacki więc skwapliwie zaproszenie wdowy przyjął. Jednak by jeszcze tężej do rozmotania sprawy się przyczynić, wybrał się w czas, rano, na Podwale, do pułkownika, ułożywszy sobie zgrabnie, jak mu należy zacząć, a jak napomknąć o wieściach, które o Sikorskim chodzą. Na Podwalu powiedziano wachmistrzowi, że pułkownik jeszcze na noc do obozu ruszył. Profos skonfundował się, bo w obozie do pułkownika zawsze był trudniejszy dostęp i bo taki odjazd nocny zapowiadał niechybnie wymarsz, do którego Dziurbacki nie miał tym razem ochoty. Ale, po namyśle, powędrował na Pragę i daremnie. Baterji już nie było, wyciągnęła o świcie do Wiązowny, pozostawiając kilkunastu koniuchów z ogniomistrzem, wózkami i porucznikiem Łabanowskim.

Profos dowiedział się od ogniomistrza, że porucznik czeka aby na wydanie amunicjów z arsenału i maruderów zbiera i że niechybnie w cztery dni także wyciągnie. Zresztą o więcej i pytać nie chciał, bo go strach obleciał, żeby porucznikowi w oczy nie wleść... Tymczasem, kiedy całe nieznacznie sunął ku bramie z dziedzińca koszarowego — z za węgła wysunął się porucznik i do wachmistrza.

Dziurbackiemu język się splątał z pomięszania, bo jakże tu od służby, od bitwy się wymigać, kiedy wachmistrzowską piastuje rangę, a własne nogi zdrowo go noszą? A przecież, jeżeli pójdzie, to niechybnie znajda przepadnie, przepadnie na zawsze.

Tą trwogą przejęty Dziurbacki ją co tchu się sumitować porucznikowi, na kontuzję narzekać, a łąać niby rekrut, smyk, nowozaciężnik, na uczynku przyłapany.

Lecz porucznik Łabanowski ani myślał profosa gwałtować.

— Nie turbuj się, wachmistrzu. Pułkownik sam zwał, że waspanowi bardziej do weterańskich wczasów niż do pochodu...

Dziurbackiego coś kolnęło, porucznik skinął mu przyjaźnie.

— Stary jesteś, zmęczony...

— Jeszcze mosanie...

— Tie-tiel Rozumiem i chwałę profosowi dobre zamysły. Ale baterja da sobie radę i bez wasana. Pułkownik nawet wspominał, żeby cię należało zreformować z pełnym żołdem i na spokojnym chlebie przy magazynach osadzić. Dziurbackim złość zatrzęsła na to oczywiste poczytywanie go za niedołęgę. Porucznik nie baczył. Jurną odpowiedź profosa za poczcziwy zapal wziął.

— No, no, Dziurbasiu, czas aby twoi wnukowie się bijali. Twoja pora minęła.

— Nie minęła, proszę porucznika! A jak... jak pułkownik sobie nie życzy.

— Bajesz. Pułkownik z uwagi tylko. Przytem i tak zwolnić cię musiał, bo audytor dywizji wzywa cię na świadki i to w pilnej sprawie, bo na dziś jeszcze. — Pułkownik mówił, że wiesz o co chodzi...

Wachmistrz na tę wiadomość zmiękł i, już nie spierając się, wziął ordynans czuwania nad koszarami i zbierania maruderów, ile że Łabanowski spodziewał się wyciągnąć z amunicjami już pojutrze, i bez mitręgi, biedką żydowską, do Warszawy odjechał. Tu wpadł na Zapiecek, wdział paradny mundur i na Żoliborz, do kancelarji audytora poszedł.

Audytor dywizji, którym był kapitan Fiszler, pilnie jął badać Dziurbackiego, a dociekać szczegółowo, gdzie i jak papiery owe znalazł. Wachmistrz aż spotniał, bo mu najtrudniej właśnie było wybrnąć gładko z pierwszego łgarstwa, którego się dopuścił, że dziewczyna miała je w łachmanach zaszyte i że w mieszkaniu nie same tylko były papiery. Ale myśli, iż, w razie gdyby przyznał, jako trafił na mieszek, bobrując w wozie markietana — nikt by się o los Antoszki nie turbował i nikt by jej nie szukał — dodała mu rezonu.

Audytor słuchał cierpliwie, a pisał tak siarczyście, że Dziurbackiemu serce rosło. Lecz, gdy profos już wszystko opowiedział, audytor zaczął go pytać, kiedy pułkownikowi

dał papiery, o której porze, czy nie wie, dokąd pułkownik, po odprawieniu wachmistrza, się udał, co doń mówił — i wogóle o tyle dziwnych rzeczy zagadywać, że profos wytrzymać dłużej nie mógł.

— Bo to, proszę pana audytora, najważniejsze, żeby się smarkula znalazła...

Kapitan się uśmiechnął.

— Mniemasz, najważniejsze...

— A tak — bo żeby pan pułkownik nie bronił mi smarkuli, nie kazał jej raptem jechać...

— Z imię panem Sikorskim?

— Akuratnie — to jużbym ja od niej, co należy wydobył. Przytulne było stworzenie i łagodnego obejścia. Ani wiedziało, biedactwo, co jej tam w gałgany zaszyło.

Lecz pan pułkownik ani, ani, mosanie. Na poniewierkę jej nie dam, mówi. Tylemu stworzeniu trza kobiecej ręki nie kordegardy. Ledwie co odrzekł — smarkuli już nie było.

Kapitan Fiszer poprawił się na fotelu.

— Więc pułkownik Bem, zgoła niespodziewanie, już słysząc o zamiarach waspana, żeś rad był się zaopiekować dzieckiem...

— Jako żywo, panie audytorze!

— Hm! A nie przypominasz sobie wachmistrz, czyli pułkownik nie zapytywał cię, co stało się z odzieniem dziewczyny?

— Juści, mosanie. — A cóżeś — powiada — smarkulę na huzary zestroił — a ja mu — bo dla opatrzania musiałem szmaty na niej pochlastać i precz wyrzucić...

Audytor z tego znów całą litanję zapytań wysnuł. Profos przymówił się nieśmiało.

— Bo, nie chwalcę się, gdybym wiedział, dokąd ów oficer zawiózł smerdę...

— Na Święto-Jerską, do dworku kapitanowej Marchockiej. Przecież pułkownik musiał wam mówić!

— Gdzie zaś!

— A więc tak dalece! — No, no, postrzegam, że ci, wachmistrzu, bardzo idzie o tę małą. Bądź spokojny, z pod ziemi jej dobędziemy. Bo to ważna sprawa, bardzo

ważna. Jenó trzeba, byś się skupił. Każy drobiazg niesłychane ma znaczenie. Od twego świadectwa zależy wszystko...

Dziurbacki od audytora wyszedł rozpromieniony. Teraz wątpliwości nie było, że sprawiedliwość upomni się o Antczkę, no teraz jemu samemu zwawiej pójdzie, skoro wie, dokąd dziewczynina oddana. Ba, a jeżeli przez Madejową owego Cydzika wytropi — to już aby o swoje się upomnieć.

I dlatego profos tyła jeno na wynurzenia pani Madejowej zważał, a tyła jej się zalecał, aby babę w życzliwości dla się utrzymać i, co trzeba, przez nią dobyć. Aż, upatrzwszy moment sposobny, ukuł na poczekaniu historję o jakowymś ukrzywdzeniu, którego właśnie od rzekomego pułkownika, co gachem Kościółowskiej był, zaznał i którego dochodzić musi.

Pani Madejowa spojrziała na profosa z wymówką.

— Także to pan Pietrusz lekce sobie bierze moją pamięć?

— Skąd zaś, mosanie!

— A tak, bo komum serce rada, temu czem chcieć wygodę. Jakżebym zabaczyła! Tedy mam dla jegomości wszystko, co ci potrza.

— Toż mnie prawdziwie jejmość ujęła.

— Więc się jegomość ustąp krzyne, bo mi około pana Pietrza na skrzyńi zręczniej...

Pani Madejowa przysiadła się do wachmistrza, krochmalonych spódnic poprawiła i zabębniła nogami po skrzyńi.

— Kościółowską znam, choć się z nią nie zadaję i znam, kiedy w szynku, u Czarneckiego, za ladą sługowała. Tam ci zeszedł się z nią Kościółowski, Czarneckiego kamrat i namówił ją do siebie, do kawiarni, tej samej co dziś „Dziurki“. Kościółowski był żonaty i dietny. Lecz niepotem do rozumu mu się dobrała i na gospodynię wyszła. A gdy ślubna niewiasta na śmierć się zalamowała Kościółowskiemu, tedy dziad, bo Kościółowski dziadem już był, ożenił się z ową Fruzią! I na własne nieszczęście. Jakże się bo sakramentem wzmocniła, tak starego za łeb, pa-

sierbów na cztery wiatry i dalej się z gachami wodzić. A osobiwie z jednym Cydzikiem, co znów ponoś był żonaty i dietny. Cydzikowa, która do męża, choć ladaco był, wielką miała pasję, za kolana Kościółowską brała, żeby nie balamucila jej chłopca — gdzie zaś! Sucha Jewa upatrzyła sobie coś do rudzielca, a rudzielec do szczapy z łbem nartarmoszonym i Cydzik do Kościółowskiej się wkwaterował. Ale od kawiarni był zdala, swoje czynił, a co różnie ludzie mówią, przy Lubowidzkim się kręcił, z Makrotem był w komitywie. Wiadomo, kiedy się raz i drugi w „Dziurce“ cywile z wojskowymi potlukli i tak, że cały odwach z Saskiego Dziedzińca na rozejm się zleciał, Kościółowskiej włos z głowy nie spadł, choć za byle chryję odbierano konsens i choć Honoratka z przeciwką do samego Gendré'a trafiła, aby się pozbyć sąsiadki. Siła by wypominać! Dopiero kiedy rewolucja się uczyniła, a osobiwie, kiedy to lud był na różnych zawzięty, Cydzik raptem zginął. I będzie temu trzy miesiące, znów się pokazał, ale już niby całki dziedzic, szlachcic i patryjot ognisty. Prawdziwie, do stu ochotnika ze sobą przywiódł, własnym sumptem umundurcwanie sprawił i do Komitywy nie wiadomo z kim doszedł. Z Kościółowską zadaje się precz, ale chyłkiem, tak że go w kawiarni nie widać! Kościółowska takż na ambit wzięła. Tydzień w tydzień chorągwiami stroi wejście do kawiarni, ofiary na zbrojenia składa, cztery izby na lazaret wypuściła, a co do księdza Puławskiego, który na Starem mieście okrutne ma posłuchanie, zgola jak opętana biega.

Dziurbacki, na te wywody, zafrasował się szczerze. Wszystko razem tyle dlań warte było, co nic. Madejowa jeszcze rozpowiadała o bezecenstwach Kościółowskiej, napomykała, że służy u niej stryjeczna Kaśki, i że przez nią pani Madejowa się dowiedzieć może niejednego, bo do dziewczyny stroi koperczaki niejaki Dragoński, famulus oficerski, a teraz onego Cydzika zaufaniec, pijaczyna i pokraka. Lecz wachmistrz na to wszystko coraż bardziej kwaśniał, coraż mniej baczył. Aż Madejowa postrzegła.

— Waspanowi nie w smak moje opowiadanie?

— A no, bo nie widzę, kędy zwierza chwycić...

— Mówię panu Pietrzowi...

— Lada co, bez urazy.

— Bo nie wiem, co by trzał Skrzywdził jegomości, więc masz go na półmisku. Na ratusz iść i pedzieć tak i tak, to i to mi uczynił, świadków podać, skrypt, czyli jak, sprezentować... Tam ci go przycisną i do tribunалу. Chcesz, to mogę wcznego... sprawiedliwie tyle mnie obchodzi, co zeszloroczny śnieg — ale dla pana Pietrza...

— Nie poradzi.

Baba jąla dociekać. Profos zbywał ją półsłówkami, ale tem panią Madejową tak rozciekawil, że wprost napařia się.

Dziurbacki wahał się, ociągał, wreszcie w otwarte, szczerze nań patrzące, oblicze pani Madejowej zerknął i bąknął piąte przez dziesiąte o zniknięciu dwoistej swej siostrzanki, nie wspomniawszy ani słowa o papierach i audytorze.

Właścicielka garkuchni aż się po bokach klasnęła.

— A to ci dopieroj oczajdusza, piekielnik! Żeby dziś dzieciaka...

— Pewności nicma, mosaniel

— Jakto niema! Co mi pan Pietrzuś mówił Wszystkiego się spodziej, żeby przed kuczkami, czy jak tam, myślałabym, że małęństwo żydom do krwi utoczenia na macę sprzedał.

— I tam, pani Madejowa!

— Uczciwie! Niechże sobie pan Pietrzuś pestkówki do mnie... wedle pępka, na zmocnienie od cholery, wysmienita! Na Piekarskiej troje dzisiaj wymiotło! Tedy o czym to!? — Aha! — Jako żywo, do maców chrześcijańskiej trzeba im krwi, tedy dzieciaka zdybają i w beczkę, nabijaną gwoździami! — Na zdrowie waspańskie! Jam nie trunkowa, lecz z panem Pietrzem, eh, to bogdaj w piekło! — Na Cydzika patrzy!

Dziurbacki cmoknął wódki.

— Ludzkie wymyśli!

— Niechże — ale niech sobie pan Pietrz zakonotuje, że juści on na miłosierdzie waszej siostrzanki nie wyma-mił.

— Mogła i sama się zawieruszyć.

— Ani myśli! Dałabym se tę rękę uciąć. A ileż miała?

— Nieco lepiej niż w trzynastym roku!

— Jezus Marja! I przystojnej urody!

— Kwiatuszek, moja pani, a przylepny! Ślepiani mru-gnie i co chcieć z jejmością uczyni.

— Pani Madejowej oczy wilgocią zaszyły.

— Już pan Pietrz nie rozpowiadaj, bo mnie żalność roz-bierze do cna! A jak na nią?

— Antoszka!

— Akurat byliby. We dwoje pewnie, że raźniej, bo jedno drugiemu folguje, kiedy trza. Lecz, gdzie dwoje osiedzie, tam do trzeciego im pilno. Sprawiedliwie, a nie zawsze, co się człeku majaczy. Nie wymawiający, mój nie-boszczyk krzepki był a nie zdarzyło się... to jest i owszem...

Wtem miejscu pani Madejowa zachłysnęła się czegoś, lecz, nie tracąc rezonu, zakonkludowała.

— Cóż, byloby z Antoszką żwawsze gospodarstwo.

— Byloby! — mruknął Dziurbacki, któremu domysły Madejowej o niegodziwościach Cydzika kamieniem zaległy.

— Chodź by pod ziemią, a musimy ją znaleźć! Tak i... i... jeszcze powiem, że dopóki niebożątka nie wykry-jemy, o ślubie naszym ani mowy!

— *Prawdziwie! — przyznał wachmistrz.

— Tak, panie Pietrze! — dodała ciszej pani Made-jowa. — Żebyś nie wiem jak, najpierw ją musimy. Inaczej spokoju bym nie miała. Juści nie żadnam dżierlatka, jeno niewiasta stateczna, tedy byle czego bronić nie mogę, ale co i tyła...

Obcasy pani Madejowej zakolatały niepewnie w skrzy-nię. Dziurbacki spojrzal z podelba na babę, lecz tuż przy-lapały go błyszczące źrenice.

— Uhl... A pan Pietrz to zaraz jak wilk zgłodniały! Jużby się naprzykrzał?... He, co?...

— Niby ja! — stęknął profos, do reszty zbity z pan-talyku swywołnem poszturchiwaniem.

— A któż?! Król Salomon!? Pilno jegomości! Żeby cale miasto przyszło zbobrować, nie zmitręzę. Myślisz, że radam zwlekać! No, no, moja głowa. Nie bój się, siostrzanka nam podruchnuje. Będziem ją mieli, będziem! Tymczasem stan-

cję obok się wyporządzi. Uch! Jak się toto patrzy! Przeciem nie podskok, co gdzie nie potrza, tam się stracha! Toć nawet pasuje! Niech że Pietruś oskomy próznej sobie nie czyni, bom i ja nie żadna drzewiana...

Tu pani Madejowa kiwnęła się melancholijnie a usta jej przypięły się chciwie do twarzy Dziurbackiego.

— Dla Boga, mosanie! Toć układ...

Baba mlasnęła ze smakiem.

— Uch, jaki toto smok!

XIII.

Jeszcze Warszawa nie zdołała rozczmychać się z utrudzenia po fecie w Saskim Ogrodzie, jeszcze brzmiały jej w uszach zapamiętałe wiwaty, gdy już wieść niepojęta, niesłychana poraziła ją, wstrząsnęła do głębi.

General Krukowiecki, generał-gubernator stolicy, najstarszy rangą niemal z pośród generalicji, po naczelnym wodzu, pierwszy wojska polskiego dygnitarz, człek gorącego serca, jeden z tych, co, na zawołanie rewolucji, bez wahania za nią się oświadczyli, ulubieniec ludu, gwardji narodowej faworyt — odprawiony, usunięty, aresztowany!

Jakiem prawem, jaką mocą, kto i za co ważył się na gwałt taki, na tak niegodziwy zamach!

I zakotłowało się w pisemkach. Kawiarnie „Honoratka“ i „Dziurka“ zawrzały od sejmikowego zgiełku. Towarzystwo partjotyczne huknęło na alarm.

Ostatniego sprawiedliwego pogrążono za to, że im prawdę do oczu powiadał, że niedoleństwo im wytykał, że sprawy bronił a nie rządzącej kliki, nie kunktatorów, nie gubiciel!

Krukowiecki im bruździł on trzymał na mundsztuku rejencyjne ambicje księcia Czartoryskiego, on przeszkadzał knowaniom dyplomatycznym, on wymawiał Skrzyneckiemu prowadzenie mataczyn cichych z Dybiczem.

Krukowiecki był jedynym, co po imieniu rzeczy nazywał, nie pozwalał tumanić obywateli, nie pozwalał fałszować klęsk na wygrane bitwy, nie pozwalał narodu oszukiwać.

Krukowiecki był tym ostatnim generałem, któremu Towarzystwo patrijotyczne mogło ufać, że dźwignie żagiew rewolucji, że porwie lud i na koniec jego panowanie ustanowi.

I tego właśnie męża, tego bojownika zbyto, pohaniłono, odebrano mu szpadę, otoczono strażami, niby zdrajcę ojczyzny.

Nie dość było im Szembeka zmarnować goryczą, nie dość intrygami pogrześć Umińskiego, Weyssenhoffa, wydać na śmierć niechybną Kickiego i Kamińskiego, Prądzynskiego do bezczynności zmusić, jeszcze i ten ostatni z Hektorów polskiej Troi im zawadzał.

Lecz nietylko Towarzystwo patrijotyczne i dwie pokrewne mu nastrojem kawiarnie te groźne wywody snuły. Brało w nich udział całe miasto prawie. I posłowie i oficerowie i szlachta i ludek cichy.

Tu i ówdzie stronnicy wodza siły zbrojnej tłumaczyli, że generał Skrzynecki nie mógł inaczej z Krukowieckim uczynić, bo ten za daleko warcholstwo i krnąbrność swoją posunął, że właśnie przyczyną wszelkiego niepowodzenia oręża polskiego był brak subordynacji, samowola generałów, że Skrzynecki zbyt potężne zamierzenia rozpoczyna, aby je wydać na łaskę fantazji wręcz wrogiego mu generał-gubernatora.

Obocześnie członkowie Rządu narodowego, dygnitarze z namiestnikowskiego pałacu rozkładali ręce na znak przymusu, któremu ulegli. — Skrzynecki żądał, domagał się, nastawał, jednego z nich musieliśmy poświęcić...

I kupił się na placach i ulicach ludek na wiece przygodne i układali płomienne mowy i ksiądz Puławski i Czyński i Grodecki i Mochnacki. I tłumy gawiedzi szły wiwatować pod obstawiony strażami pałacyk Krukowieckiego. A srogi patrijotów, w „Dziurce“ obradujących, naczelnik, imć pan Korytko, dwa kroć zapalczywiej śmierci Czartoryskiego się domagał.

Nadomiar, nie wiadomo skąd wszczęły się raptem glucho wieści o wykryciu jakiegoś spisku wojskowego, co miał knuć zgubę rewolucji, o niechybnych samego wodza układach z feldmarszałkiem, o zdradzie haniebnej, którą

gotowali najprzedniejsi, a których nazwiska podawano sobie półszepem.

Wódz naczelny tymczasem, w obozie na Pradze, gorączkową rozwinął czynność. Lustrował pułki, wertował raporty, podpisywał nominacje, ślezczał nad mapami, odbywał z Lubieńskim i Lewińskim narady, chwili nie spoczął. Aż sztab wodza naczelnego zdumiał się, aż adjutanci luzakami nie mogli nastarczyć. Ordynans za ordynansem — pędzał ich do Zamościa, do Modlina, za Kuflew, pod Kock, nad Wieprz, do Jankowskiego, do Ramorina, do Skarżynskiego, do Milberga, z dywizji do dywizji, od pułku do pułku. Adjutanci rwali, co koń wyskoczy, parli na przelaj, ocierając się o kule placówek i pojazdów rosyjskich, wracali zziązani, potem i kurzem okryci, wracali lotem ptaka i wracali witani marsem brwi, grymasem zniecierpliwienia.

Najwyrozumialszy z naczelników, wódz, miłowany przez swych satelitów, troszczący się o nich zawsze, laskawy a wytworny w każdym odezwaniu, przeistoczył się nagle w mrukliwego, porywczego generała-służbistę, w opryskliwego żołdaka burczymuchę, w bezwzględnego gwałtownika.

Co osobliwsze, że sam Skrzynecki czuł, rozumiał swego zachowania niewłaściwość, rozumiał, iż wszyscy otaczający go czynili więcej, niż mogli, że kurjer do Zamościa w godzinę nie będzie z powrotem, że Jankowski stoi pod Wielkim-Dębem, a nie obok na kwaterze, że Turno odpowiedział mu na to, o co sam go zapytywał, a przecież nie był w stanie władać sobą, panować nad nurtującymi myślami, nad zewem, który mu łomotał pod czaszką: „działaj — dokonaj“.

I postanowienie czynu żarło Skrzyneckiego palilo.

Tylko czyn świetny, znakomity czyn, wiekopomny, zdolny go jest ocalić, zdolen wyrwać sieciom nań zastawionym, kłam zadać oszczerstwom. Bez tego czynu po raz drugi już nie podola rządowym chmyzom. Sponiewierają go, wyprą się, oddadzą na pastwę motlochowi Honoratki. Bez tego czynu nie utrzyma dłużej wojska!

Chwili, chwili niema do stracenia. Musi runąć, jak

piorun, na nieprzyjaciela, żeby bodaj przyszło samemu poledz. Z bagnetem w rękę pójdzie! Wydrze pięściami zwycięstwo albo Thermopile zgotuje ojczyźnie. Wymawiają mu, że dotąd liczył siły Dybicza, że wahał się decydującą rozegrać bitwę, więc będą mieli, czego chcieli. Na jedną kartę rzuci wszystko. Cha, bo i podobno ta jedna karta może wyrokować o łagodności punktów rozejmu!.. Przerfymarczyli, przepolitykowali igańskie zwycięstwo, spodziewali się tureckiej odsieczy, angielskiej floty, francuskich legjonów! A teraz w nim szukają winy, że się nie dał w pień wyciąć, że przeciwnika chciał zmordować, przedłużyć wojnę, odwlec godzinę porachunku! Będą mieli, czego chcieli. Ruszy natychmiast, ruszy, całe wojsko porwie, dziesięć pozycji zaszachuje. Ruszył!

Dokąd?

I Skrzynecki chylił się nad mapami, kędy czarne ćwiki znaczyły rosyjskie stanowiska.

Tu, pod Pultuskiem, zaległ feldmarszałek — tu, od Siedlec, czai się Kreutz z Gerstenzweigem, Rosem osłania Brześć. A do Lublina ciągnie Rüdiger. Sierpem idą ku Wiśle. A dalej, hen, posiłki, rezerwy, których ani zliczyć, ani ogarnąć. Tu, za Niemnem, Giełgud z Chłapowskim i Dembińskim, odgrodzeni, oderwani..

Dokąd iść? A iść trzeba, bez mitręgi iść.

I lamal się w sobie Skrzynecki i z szefem sztabu wiódł rozprawy i plany układał i coraz to innej chwytal się kalkulacji i po czterykroć już dopytywał się o Łubę.

Łuba powinien był już być na Pradze z nowinami o tem, co się w głównej kwaterze feldmarszałka dzieje.

Łuba, bowiem najprzemysłniejszym był z polskich szpiegów, bo niby to Dybiczowi służył, niby to znosił mu wiadomości z polskiego obozu, ale juści takie, aby pozór utrzymać i tem bardziej, co należało, naczelnemu wodzowi wypatrzeć.

Łuba, już trzy dni, jak się do Pultuska wybrał i nie wracał.

Skrzyneckiego niepokój zdjął. O przypadek na forpocztach osobliwie było nietrudno. Pierwszy lepszy, co

gwałtowniejszy, placówka mógł, nie czekając wyjaśnień, kulą potraktować nieocenionego czleka.

Troska Skrzyneckiego o Łubę poszła rykoszetem. Dwa plutony ulanów rozpędzono do wedet i rekonensansowych pikiet z zapytaniami, czyli gdzie nie widziano Łuby, *alias* niewielkiego czleka z zadartym nosem, kozią bródką, jednokonną podróżującego biedką.

Pod wieczór Skrzynecki nakazał wymarsz do Wiązowny.

Generał Turno z drugą dywizją jazdy wyciągnął w niespełna dwie godziny za nim tuż jęła dźwigać się pierwsza dywizja piechoty Rybińskiego.

Praga zagrziała głuchem dudnieniem tarabanów, zawodzeniem trąbek, szczękiem, lopotem kopyt końskich.

Skrzynecki lżej odetchnął.

Nie miał jeszcze planu, nie zdecydował się jeszcze na posunięcie, lecz już rozpoczął grę, bo i tak, czy tu, czy ówdzie wypadnie maszerować, Wiązowna jest punktem wyjścia najprzedniejszym, gdyby nawet samego Dybicza należało w pultuskim legowisku szachować okrężnym ruchem.

Lecz to niejaki uspokojenie wodza nie trwało długo. Około północy, jakby silniejszy paroksyzm gorączki nań naszedł, może pod wpływem pisemek warszawskich, których mu cały zwój przywieziono, dość, że jak stał, wskoczył do powozu, na Lewińskiego, podszefa sztabu, skinął, aby z nim siadł i kazał do Wiązowny się wieść. Stało się to tak prędko, że eskorta musiała szarżować, by dogonić generała. Za przykładem Skrzyneckiego, rad nie rad, poszedł Łubieński, sztab, polowa kancelarja, tabor cały głównej kwatery.

A pojazd generała prul tymczasem mrowie maszerującej piechoty, wymijał bataliony, pulki, brygady i pędził w obłokach pyłu, witany chrapliwemi komendami, chrzęstem karabinów i tępyimi okrzykami salutujących oddziałów.

W pobliżu Wawra, pojazd Skrzyneckiego zdołał dobyć się z fali piechoty. Konie wpadły w równego klusa. Eskorta miarowym zabrzmiała tupotem.

Las, który teraz już z obu stron drogę bramował, jał

echami wtórować, a chwiać czarnymi grzebieniami sosen, a żywicznym oddechem muskać jadących.

Wódz naczelny poprawił się nerwowo na siedzeniu.

— Żeby jeno Łubę wyprawili za mną, gdy się zjawi.

— Niechybnie, generale.

— Gotowi zmitrężyć.

— Nie sędzę.

— Lepiej się zabezpieczyć i, na wszelki przypadek, ordynansa.

Lewiński zakrzyknął na woźnicę, aby stanął i podporucznika z eskorty wysłał na Pragę.

Pojazd znów się potoczył.

— Ta ostrożność nie zawadzi — rzekł Skrzynecki. — A, do kaduka! Łuba djabło nam potrzebny.

— Myślę, że nad ranem przyjdzie wiadomość z rekonnesansów dywizji generała Jankowskiego...

— Dużo się dowiemy...

— Ramorino także języka dostanie...

— Języka! I cóż nam z języka przyjdzie! Domysły! Błędne wywody. Podczas gdy Łuba daje treść niezawodną, daje grunt!

— Lecz może nietylko nam!

— Cóż znowu! Skądże!

— Bo przecież nie byle czem musi okupywać sobie wolny przystęp do rosyjskich pozycji.

— Tak, ale nadewszystko nam służy. Powiada to, o czym i bez niego wiedzą.

Gdyby nawet, generale, utwierdzał ich w tem, czego się domyślają, co zgadują, może nam więcej szkody niż pożytku przyczynić.

— Więc pułkownik Łuby nie znasz! Patrjotą jest i zagorzałem nawet! Dzięsić kroć razy się przekonałem. Nie dla pieniędzy donosi nam...

— Szpieg!

— A, zapewne. Możesz pułkownik, cale słusznie dowieść, że, choćby dla ojczyzny podjęte, szpiegostwo honoru nie przynosi, ale na wojnie i tacy są potrzebni, niezbędni.

— Prawda, generale, lecz...

— A nie, już mi pułkownik nie powiadaj o Łubie. Wcale cię nie namawiam na szacunek dlań, na estymę. Ale wiary mu odmawiać nie masz prawa. Toć i Napoleon bez takich robaków nie mógł się obyć! Cnoty w Łubie nie widzę, tylko tę, jak mówię, zajadłość. Łasica nie z poszczucia na kunę napada, lecz z własnego charakteru. Łuba! Wiesz, pułkownik, jaki jest Łuby prawdziwy niedostatek? — że nie ma takiego drugiego. Plan, plan! Byle maruder nieprzyjacielski, wzięty na spytki, który na oczy nie oglądał Dybicza, i dopiero zabawa w ciuciubabkę! Wiesz, kto do wygranej pod Wielkim-Dębem się przyczynił? No, nie mówmy! Przekonasz się, jeżeli nieborak żyw, niedługo zmienisz zdanie.

Tu naczelny wódz urwał i ani słowa do samej Wiązownicy się nie ozwał. Lewiński nie ważył się przerwać milczenia Skrzyneckiego, czy drzemki, do której monotonny ruch powozu i podszeffa sztabu zresztą mocno usposabiał.

Dopiero, kiedy na polanach przydrożnych ukazały się biwaki obozującej kawalerji, a w oddali tuż niespokojne światełka, mrugające w ciemnych kadłubach przyziemnych domostw, Lewiński pochylił się do Skrzyneckiego:

— Wodzu-generale, jesteśmy na miejscul

— A — dobrzel

Wypadnie zatrzymać się w karczmie, choć bodaj że w pobliżu jest dwór...

— Nie trzeba — główna kwatery w Wiązowni — odparł cierpko generał.

Lewiński nieco zdziwił się temu oświadczeniu, ile że wódz naczelny miał wstręt do niewygód, ale bez słowa, skoro tylko pojazd zatrzymał się przed karczmą, ruszył naprzód ład czynić, oficerów kawalerji, którzy izbę zalegali, płoszyć a wydawać rozkazy ku ogarnięciu przystojnemu dla generała bodaj jednej komnatki.

Karczmarz jął się uwijać a krzątać. Lewiński sumitował się zań wodzowi:

— Niefortunnie tu będzie. Możeby lepiej na plebanię?

— Tu zostanę.

— Według rozkazu. Izdebka będzie wnet gotowa. Je-

żeby więc pan generał, zanim bagaże nadejdą, chciał spocząć...

— Dziękuję. Najpierw kto tu trzyma załogę? Jankowski raportował, że zostawił część korpusu?

Lewiński wybiegł do eskorty i ordynansów rozesłał.

W kilka chwil stanął przed Skrzyneckim podpułkownik Butrym i zameldował się:

— Szef sztabu korpusu generała Jankowskiego...

Wódz skrzywił się niechętnie.

— Podpułkownik tutaj, nie przy korpusie...

— Wyprawiałem ostatnią brygadę, a że spodziewaliśmy się rozkazów...

— Rozkazów! Więc Jankowski w Dębem?

— Kwateruje w Duchnowie, z tej strony Mieni. Generał Milberg ku Mińskowi wysunięty. Szwadron strzelców konnych bylej gwardji startł się dzisiaj za Kaluszynem z oddziałem kozaków. Wzięliśmy dziesięciu niewolnika. Rüdiger jest już w Lublinie. Kreutz aż za Łuków wysłała rozjazdy.

— Proszę — hml — Pułkowniku, należy to natychmiast na mapach oznaczyć.

Lewiński skinął na oficera służbowego, aby mu pomógł w dobiec map z blaszanych puszek.

— A jakże generał Jankowski?

— Zdrowszy, dosiada konia.

— Bardzo dobrze. Więc zatrzymasz się podpułkownik tutaj. Jutro zobaczymy! Wyślij resztę wojska, by nas za wiele nie było...

— Pozostała tylko baterja konna pułkownika Bema...

— Pana pułkownika Bema?

— Czeka, wodzu-generale, na rozkazy.

Skrzynecki uśmiechnął się sarkastycznie.

— No, no, jakież to zeń służbista!

— Czy mam wezwać?

— Niech czeka! — rzucił przez zęby Skrzynecki i jął przechadzać się gorączkowo po komnacie.

Butrym a za nim Lewiński i adjutant służbowy wysunęli się na palcach do izby gościnnej.

Skrzynecki nawet nie zauważył ich oddalenia, bo oto

nazwisko Bema poruszyło w generale ledwie co uciszoną burzę, potokami goryczy zalało mu serce.

Bem! Znów jeden z tych obludników, faryzeuszów, których na to podniósł, wywyższył, aby mu złem za dobro płacili! dobył go z kapitaństwa, pozwolił się wykazać, zasłużyć, mianował dowódcą baterji, na pułkownika go wypromował! Cha, i doczekał się wdzięczności! Oficerem ni z pierza ni z mięsa, bakalarz ogniów wywyższenie swoje wziął za prawo do intryg, do knowań przeciwko własnemu wodzowi! Śmiech powiedzieć, ważył się kandydaturę swą wysuwać, iść z nim, ze Skrzyneckim, w paragon. I gdzie nie dotarł! do Krukowieckiego, do prezesa rządu! Jemu, Skrzyneckiemu, czołobitnościami wojskowemi świeci, gorliwca symuluje a za plecami kąsa, szczuje, knowa. I dziwić się tu Prądzyńskiemu, kiedy taki nowicjusz, kapitan w istocie, waży się nadstawiać! A przecież łudził się, że właśnie tacy, jak Bem, ci, którzy za jego przyzwoleniem, pod jego rozkazami na pułkowników wyszli, będą mu najwierniejsi, że na takich dopiero wolno mu polegać. Ale się imć pan Bem przeliczył. Jeszcze mu daleko do generalskiego kołnierza, jeszcze mu zasię do prowadzenia gry z wodzem naczelnym! Tegoby jeszcze trzeba było, żeby mu przyszło z ciurami politykować! Weźmie nauczkę. Przykład musi być!

W tem miejscu Skrzynecki rozwarł gwałtownie drzwi i rzucił przez próg ordynansowi.

— Wolać pułkownika Bema.

Po chwili, we drzwiach ukazała się nikła postać dowódcy baterji konnej.

— Mam honor powitać wodza generała!

Skrzynecki skinął niedbale w odpowiedzi na ukłon i zaczął oschle.

— Stan baterji?

— Według rozkazu, w gotowości do wymarszu.

— Więc doprowadzona do porządku, bo raport inspekcyjny bardzo lichy dla pułkownika wypadł.

— Zawiadomiono mnie w ostatniej chwili... po ranym apelu.

— Nielad, brak doświadczenia. Winienes pułkownik

nie zapominać, iż dnia ani godziny nie jesteśmy pewni! Czas, abys pułkownik zbył się kapitańskich nawyknień. Co dawniej uchodziło, co było w kapitanie cnotą, to jest niezbędnym pułkownika obowiązkiem!

Bemowi plamy czerwone wystąpiły na czoło. Skrzynecki mierzył krokami komnatkę.

— Nie zawadziloby do służby garnizonowej zajrzeć.

— Już w trzynastym roku dowodziłem baterją.

— I niechybnie znakomicie. Bo jak porucznik, w zastępstwie kapitana, kompanję w boju siako tako sprawi, to już osobliwości dokazuje. Lecz za co porucznik może wziąć krzyż, za to samo kapitanowi napomnienie się dostaje! — Proszę nie przerywać. Nie ujmuję pułkownikowi zdolności ani odwagi! Masz je i za nie wziąłeś dwa awanse. Więc chyba sowita spotkała cię nagroda.

— Nie uskarżam się, panie generale.

— Jeno patrzysz lepszych promocji! — Tak! — Sztab odebrał instancję prezesa rządu o krzyż oficerski dla ciebie...

— Nie zabiegałem oń...

— Prezentowałeś się księciu.

— Stawiłem się wezwany w sprawie listów, znalezionych przez mego wachmistrza, listów, które nadewszystko doręczyłem kapitanowi Działyńskiemu, jako adjutantowi.

— A o których nadewszystko dowiedział się pan Krukowiecki.

— Nie odemnie, generale!

— Być może.

— I tak jest! — podjął Bem drżącym od wzburzenia głosem. — A instancję o krzyż raczy wódz-generał odrzucić, bo nagrodzonym dość, więc przyjąć nie mogę.

Skrzynecki ochłonął.

— W każdym razie źle pułkownikowi usłużono. Sam pilnie czuwam, aby niczyja zasługa nie była zapoznana. Wogóle mam pułkownikowi za złe, że dajesz się do jakichś stronnictw i partyj ciągnąć. A przyznaj, że zgola niewłaściwym było twoje uniesienie podczas aresztowania pana Krukowieckiego...

Bem, którego oczy znów błyskawicami lyskać zaczęły, zmięszał się raptem.

— Ciężko było widzieć posiwiąłego w służbie generała...

— A mnie stokroć ciężej na krok podobny się zdobyć. Zniósłbyś pułkownik, gdyby ci twój podwładny oficer od rozkazów się uchylał? Gdyby ci bruździł, wymawiał posłuszeństwo?! Powiedz!

Bem wpił oczy w ziemię. Skrzynecki miał słuszość. Wszak za jedno to obcesowe wystąpienie wówczas, w palacu pod Blachą, wart był Krukowiecki sądu.

Skrzynecki, uczuwszy swą przewagę nad Bemem, zła-godniał.

— Tak, pułkowniku, nie należy brać rzeczy. Dwie strony są, a nie jedna. A przedewszystkiem unikać wypada intrygantów, krętaczów, bo cię wplączą w sieci, uwikłają i zmarnują. Położenie nasze jest samo przez się bardzo ciężkie. Ocalić je może tylko jedność, tylko ufność do dowódcy.

Skrzynecki długo jeszcze i barwnie rozwodził się w podobnym sensie. Bem milczał. Chwilami, gdy generał napomykał o niezgodzie, o współzawodnictwie, które, miast walczyć w szrankach prawdziwego dobra ojczyzny, pograża ją dla zawiści osobistej, zdejmowała go ochota wypomnieć Skrzyneckiemu bodaj jednego Umińskiego. Lecz nie śmiał, nie mocen był mierzyć się z wymownością wodza. Skrzynecki bowiem wpadł w zapal krasnomówczy. Snuł dźwięczne okresy, unosił się ich wspaniałością, roil, śnił, widział siebie samego takim, jakim może pragnął być.

Aż gdy ustał, gdy wzrok rozlśniony utkwiał w pułkowniku, tego ostatniego ledwie że wyrzuty zdjęły. Bo jakże lekce sobie ważył intencje Skrzyneckiego, jakże go nie doceniał, jakże nie ogarniał przeciwności, niweczających najlepsze zamysły wodza.

Skrzynecki snąc czuł się pokrzepionym własnymi słowy, bo ozwał się już pogodnie.

— Nie pułkowniku, mimo te wszystkie chmury i chmurki, ufam, że niedługo brygadjerstwo sobie zdobędziesz! i bez intencji i bez obietcanek, co w oczy rade cię kaptować, a za oczy buty ci szyją w sztabie. Zostaniesz w Wiązownie. Z Rybińskiego dywizją będziesz, więc i ze mną. Lada

dzień wypadnie nam rozpocząć... Czekamy na wiadomość... Stanowczą wydamy bitwę...

Skrzynecki pochylił się nad stołem i jał wodzić ręką po mapie.

— Tak, stanowcza rozprawa musi być; — He — cóż, pułkownikowi nie zdaje się? Słucham, proszę...

— Rozprawy stanowczej radbym unikać, generale.

Wódz się nadał.

— A! — Nie ogarniasz stanowisk nieprzyjacielskich! Spójrz, przekonaj się, bitwa rozstrzygająca sama przez się idzie ku nam.

— O ile stać będziemy beczynnici.

— Nie rozumiem, co pułkownik nazywasz beczynnością! — uniósł się Skrzynecki.

— Stan, w którym trwamy od kilku tygodni!

— Widzę, że pułkownik przejął się racjami warszawskich patriotów. Jakiemuś sejmikowiczowi, kanceliście może troić się w głowie, że jeden pułk nasz starczy na dywizję, że możemy istotnie przedsiębrać nadzwyczajne poruszenia! Ale pułkownik doprawdy głębsze winie nieś mieć pojęcie o istotnych przyczynach tej naszej, jak powiadasz, beczynności!

— I dlatego generale, mogę tylko prosić o zwolnienie mnie z obowiązku wypowiedania mego niefortunnego poglądu.

Wódz strzepnął desperacko rękoma.

— I otóż zwykła racja! Sądzę inaczej, inaczej rzecz biorę, więc urażam się i milczę.

— Obawiam się jedynie nadużyć cierpliwości generała.

— Przeciwnie, mów, niech się dowiem...

— Dybicz najoczywiściej ściąga wszystkie siły ku Wiśle na otoczenie nas.

— Nie masz wątpliwości.

— Jeżeli dotąd nie przeprawił się na lewy brzeg, to podobno dlatego, że Chłapowski, a za nim Gielgud z Dembińskim zagrozili mu na tyłach, że nadchodzące rezerwy mają już niezawodnie do czynienia z płomieniem powstania litewskiego, które, w obliczu wojsk polskich, rozgorzało z podwójną siłą.

— Bardzo słuszny wywód, a w nim argument, że bezczynność nasza przecież coś dokazała.

— Według mnie, należałoby dalej działać na rozdrobnienie sił Dybicza i ruszyć na Wołyń.

— Na Wołyń! Skazać znów kilka tysięcy ludzi na los korpusu Dwernickiego.

— Zależy od tego, jak nowa wyprawa zostanie...

— Pulkowniku, nie wiesz o tem, że Rüdiger sięga Lublina.

— Lecz ma za sobą Zamość a w nim pięć tysięcy załogi z generałem Chrzanowskim.

— Kreutz jest pod Siedlcami.

— Ramorino stoi przy ujściu Wieprza. Uderzywszy więc na Rüdigera z frontu i wysunąwszy ku niemu Chrzanowskiego, można Rüdigera nie tylko rozbić, lecz i drogę otworzyć ku Wołyniowi.

— Zostanie jeszcze Kajzarow.

— Za słaby na zgotowanie oporu.

— Warszawa tymczasem wydaną byłaby na łaskę i niełaskę feldmarszałka.

— Niczupelnie. Generał Ambroży Skarżyński jest nad Bugiem, przy Modlinie. Główne siły mogłyby stanąć w odwodzie, w gotowości do marszu pod Warszawę, korpus generała Umińskiego wystarczyłby na Rüdigera...

— Tak jest.

— A cóż powiesz o magazynach rosyjskich na pruskiej granicy, o przygotowaniach do przeprawy przez Wisłę pod Toruniem?

— Pod Toruniem? — skonfundował się nieco Bem.

— Tak, z czego wynika, że Dybicz czyha na sposobność, aby Warszawę atakować, a wówczas...

— Wówczas stracimy miasto tylko. W dziewiątym roku...

— Żyjemy w trzydziestym pierwszym! i kogo byś pulkownik myślał skazać na podjęcie tej nowej imprezy wołyńskiej?

— Gdyby, generale, nie było chętnego, pierwszybym... Skrzynecki rozśmiał się dobrotliwie.

— Cha-cha! Dziękuję pulkownikowi za gotowość. Pój-

dziesz z pierwszą dywizją. A co zresztą, zobaczymy. Chwałę pułkownikowi owo szukanie posunięcia. Zawsze świadczy ono o bystrości. Kto wie, myśl warta zastanowienia. Będę miał na uwadze, proszę być przekonanym.

Bem wyszedł od Skrzyneckiego pod wrażeniem, że, bądź co bądź, zjednał sobie przychylność wodza dla swego planu. I w tym celu zabrał się natychmiast do wertowania map i wykreślenia kombinacji marszu ku Wołyniowi.

Tymczasem wódz naczelny kładł się na spoczynek z uczuciem, że nowego i zgoła niebezpiecznego intryganta zmusił do odsłonięcia kart i że nadewszystko Bemowi nie można powierzać żadnej samodzielnej misji. Poza tem cały projekt pułkownika zakrawał dlań na awanturniczą zachciankę nieopatrznego oficerka.

Następnego dnia, a raczej w kilka godzin za ledwie po przybyciu Skrzyneckiego do Wiązownicy, zjechał sztab główny, kancelarje, generał Łubieński, tabor, bryki pełne tobołów, manatków, kredensów, służby a nawet i dam znaczna gromadka. Lecz, co najważniejsze, razem z tą ciżbą przybył nareszcie Łuba.

Wódz naczelny, na wiadomość o Łubie, nawet nie zmarszczył się za przerwanie mu wczasów. A jeżeli skwapliwość, z jaką Skrzynecki napierał się oglądać szpiega, wywołała sarkastyczne szeptki między sztabowcami, to dlatego bodaj, aby zupełnego doczekać się triumfu.

Łuba bowiem, na pierwsze pytanie generała, zgął się w pałąk, zmrużył podpuchnięte oczka i odparł rezolutnie.

— Dobrze słyhać, wodzu miłościwy! — Dybicz umarł. Skrzynecki zerwał się z za stoła.

— Co asan! Skąd! Jak?!...

— Cholera go sparła, a podobno lepiej niż cholera. Nad ranem, temu trzy dni, zachorzał, a według południa już go nie było. I cale nie za rychło, miłościwy generale!

— Trzy dni temu!

— Akurat miała być parada wielka, jako w rocznicę jakiejś srogiej bitwy tureckiej. Chciałem wyrwać się, ale nie mogłem. Żywego ducha nie puszczały z obozu. Hrabia Toll dowodzi, a generał Orłow, który z Petersburga zjechał, przeglądy czyni.

Skrzynecki tak był przejęty odebraną nowiną, iż rozwarł drzwi do izby, kędy cały sztab z generałem Łubieńskim wyglądał końca audjencji Łuby, i ozwał się uroczyście:

— Mości panowie, feldmarszałek Dybicz umarł!

Sztab zachrząśniał ze zdumienia. Łubieński a za nim pułkownik Lewiński przysunęli się do wodza.

— Czy aby pewna wiadomość? — Rozbity podjazd Kreutzza słowa nie pisał o feldmarszałku.

Wódz ruchem ręki zaprosił Łubieńskiego i Lewińskiego do swej komnatki i wskazał im na skuloną figurkę zwiastuna.

— Oto właśnie imię Łuba.

Szef sztabu głównego zmierzył go surowo.

— Jesteś pewnym, że to nie bałamuństwo?

— Rany Chrystusa, jaśnie wielmożny generale, jak własnych oczu. Półtora dnia sprawiali mu nabożeństwa, aż wczoraj dwa szwadrony kirasjerów z harmatami wywiozły trumnę do Łomży!

— Na cholere podobno.

— Za to, miłościwy wodzu, nie ręczę; czyli ona go struła czyli nie ona.

Skrzynecki spojrział znacząco na Łubieńskiego. Pułkownik Lewiński jeszcze nie ufał nowinie a krzyżowemi pytaniami próbował zaskoczyć Łubę. Lecz, nim concept swój wyczerpał, nadjechał ordynans Milberga z wiadomością o pojmaniu kurjera głównej kwatery rosyjskiej, wyprawionego do Rüdigera. Papiery, odebrane kurjerowi, nie tylko potwierdzały śmierć feldmarszałka, ale równocześnie świadczyły, że wszystko, co mówił Łuba o rozkazach Tolla ku zwabieniu wojsk polskich na bitwę pod Winnicą, o sypaniu wałów na wzgórzach pułtuskich pod baterje, o wyczekiwaniu na posiłki, prowadzone przez Murawiewia, było najrzetelniejszą prawdą.

XIV.

Wiść o śmierci Dybicza lotem błyskawicy rozniosła się między wojskiem, zgromadzonym pod Wiązowną, bu-

dząc otuchę i wiarę w niezawodne teraz zwycięstwo. Generalowie pędzili z najodleglejszych stanowisk do głównej kwatery, spodziewając się piorunowych rozkazów, dla wykorzystania chwili zamętu w obozie rosyjskim.

Jakoż wódz naczelny istotnie zbył się raptem kunkta-torstwa i rzucał rozkazami tak potężnymi, że szef sztabu Lubieński jął coprędzej ordynansa za ordynansem ślać do Prądzyńskiego a dowiadywać się, co wielki strategik my-śli o planie wodza.

Plan zaś Skrzyneckiego polegał na tem, aby Chrzanow-ski z Zamościa a Ramorino z pod Gołębia uderzyli na Rüd-igera.

Prądzyński odpowiedział Lubieńskiemu, że Rüdiger po-radzi sobie z obu przeciwnikami i że daleko pewnej by-łoby Ramorinie nakazać połączenie się z Jankowskim i ru-szyć z nim razem przez Kock na Rüdigera. Ale ku doko-naniu tego trzeba, by główne siły wyciągnęły w stronę Buga dla pilnowania armji Tolla. Chrzanowski zaś, miast cofać się z Zamościa ku Lublinowi, powinnyby iść na Wołyn i zmierzyć się z Kajzarowem.

Lubieński przedłożył tę zmianę naczelnemu wodzowi, strzegąc się pilnie napomknienia, że od Prądzyńskiego po-chodziła.

Skrzynecki atoli przeczuł w tej kalkulacji nienawistne-go mentora i zmienił ją wnet tak, że własna jego strategia wzięła górę.

Więc nadewszystko było jasnym, że, jeżeli rozbitcie kor-pusu Rüdigera byłoby nielada pomyślnością, to chyba dwakroć większą pomyślnością byłoby zadać równocześnie cios śmiertelny, czającemu się pod Siedlcami, Kreutzowi. Jankowski może się podzielić, sam pójdzie na Kock a Ry-bińskiego wyprawi do Siedlec. On zaś, Skrzynecki, stanie w Siennicy, rozstawiając za sobą mocne rezerwy, aby mieć powrót na Pragę zabezpieczony. A żadnych sił ku Bugowi nie wysunie, bo lepiej licha nie budzić, bo nużby Tollowi przyszła ochota napaść.

Lubieński, znów poradziwszy się Prądzyńskiego, napo-mykał, że jedna dywizja Rybińskiego nie sprostą Kreutzow-

wi — lecz Skrzynecki słuchać nie chciał o zmianie rozkazów.

Nazajutrz główna kwatera wojsk polskich była już w Siennicy. Jankowski pomaszerował do Kuflewa a Ramorino zaczął gotować się do przeprawy przez Wieprz, na połączenie się z Jankowskim.

Ruch gorączkowy ogarnął całą polać prawego brzegu Wisły. Drogami i traktami, wiodącymi ku Siennicy, Gołębiowi, Radzyminowi, Kaluszynowi, Maciejowicom sunęły łańcuchy wozów amunicyjnych, taborów, pędzili oficerowie ordynansu, kurjerzy, ułańskie posylki z rozkazami, sztafety, wlokły się bataljony piechurów, dudniły bryki i pojazdy sztabowców, generalów. Krzyżowały się raporty z raportami, depesze z depeszami. Ścieżynami leśnymi, wertepami skradali się gońce do Zamościa, aż za łańcuchy placówek rosyjskich. Ci haszczami zmrzali za Niemem, z wieściami i po wieści do Gielguda, inni przemykali się ku Wołyniowi. Rekonesanse i podjazdy parły na wsze strony.

Wódz atoli miał, na wartość niektórych sztabowych zarządzeń, swój własny pogląd. Uważał za konieczne, za pożyteczne ślać zwiady, polować na dostanie języka, ale przedewszystkiem wierzył Łubie. On jeden bowiem zdolny był pochwytać wątek i czuwać nad rosyjskim sztabem.

Łuba w lot pojał intencje Skrzyneckiego.

— To się wie, wodzu miłościwy, baczyć, co zamierzają Ho-ho, nie zwiadać mnie. Rany Chrystusa, żeby przyszło gardło dać, spenetruję!

— Tylko mi się asan na hazardy nie puszczaj! Bo i życia twego szkoda i sprawy!

— Wcdzu miłościwy, byle nie życia, bo jego psie prawo za ojczyznę zmarnieć.

— Poczciwie, mój Łubo, rezonujesz! I da Bóg, że ci tego nie zapomnimy.

— Najlepsza moja nagroda będzie, jak Moskałów co do nogi...

— No-no! Więc ostrożnie sobie poczynaj.

— Słucham pokornie. Już wiem, jak z nimi. Za swego mnie mają. Ho-ho! Nowin im przyniosę. Powiem, że ci

całki nasz korpus ruszył brzeskim traktem, musi Rosena dobywać.

Skrzynecki nieco się zmięszął.

— Jakże to?... Chcesz uprzędzić!

— Inaczej niepodobna, wodzu miłościwy. Kozunie myszkuje i beze mnie duchem wiedzieć będą, że wojsko maszeruje. Gdybym więc zmilczał, mieli by mnie w podejrzeniu. A kiedy im ziarno prawdy rzucę, to taka ich chciwość bierze, że potem cyganić mogą, ile ozór zemleć zdoła.

— Masz słusność! Kręć, ile się da, że niby to mamy plan na Ostrów zawrócić i na tyły wpaść, że do generała Gielguda wysłaliśmy tajemnicze rozkazy. Byleś pozorów nie dał, że na Lublin patrzymy... Hm, bo... właściwie ani nam się śni... ale mówię acanowi, abys wiedział, w którą stronę dowiecipu zażywać.

Łuba dmuchnął domyślnie podpuchniętymi oczkami.

— Byleś wrócił rychło.

— Duchem się uwinę. Jeżelibym nie nadjeżdżał, to znak, że nic nowego.

— Czekaj acan, jest dla cię sto złotych w sztabowej kasie.

— Rany Chrystusa, wodzu miłościwy, gdzieżbym śmiał!

— Nie godzi się, byś uszczerbek ponosił.

— A od czego Moskale!

— Bierzesz od nich?!

— Inaczej by mi nie wierzyli! Rany Chrystusowe, i nie żałuję ich! Ho-ho! A im więcej im nabeltam, tem więcej rublów sypią.

Skrzynecki, po wyprawieniu Łuby na przeszpiegi do obozu rosyjskiego, do reszty zagospodarował się w Sienicy. Stanowisko miał zaciszne i mocno ubezpieczone. Raporty nadchodziły pomyślne. Turno z dywizją kawalerji parł na Łuków, Jankowskiemu drogę torując. Ramorino był już w Bobrownikach. Z jednym tylko Chrzanowskim były kwasy, bo, w odpowiedzi na rozkaz przebicia się na Wołyń, odrzekł, że musi mieć po temu zmiażdżonego najpierw Rüdigera i czternaście tysięcy żołnierza. Ale że

Skrzynecki sam w gruncie przekonania do wyprawy na Wołyń nie żywił, przeto zadowolił się rozkazem, aby Chrzanowski z Zamościa wyszedł dla przecięcia odwrotu szczałkom korpusu Rüdigera... I to raczej dla przesadzonej ostrożności, bo Rüdiger był skazanym na śmierć.

Jakoż i sam skazaniec nie wątpił o losie, który go czeka, bo w kilka godzin po odebraniu wiadomości o przeprowadzeniu się Ramorina pod Gołębiem, wyrwał się z Lublina, niby zwierz zaskoczony w legowisku odgłosem naganek, i szedł na linię strzałów, szedł na myśliwych wprost, bo tu jedynie mógł liczyć na możność przebiccia się, wyslizgnięcia. Za plecami bowiem groził mu Zamość, do pleców również dobierać mu się chciał i Ramorino i oddział zbrojny, który z pod Kazimierza się skradał. A gdyby nawet, gdyby zdążył się cofnąć w stronę Wołynia, to jeno tem pewniejsza czekałaby go zguba. Kajzarow ze swojemi dwoma dywizjami nie uchroniłby go od pościgu, od klęski i od sromotnej dymisji. Niechybnie, klęska zastawiała sidła na Rüdigera i od strony Łukowa, lecz nie hańba.

Tak mniemał Rüdiger. Ale nie tracił fantazji. Stał kurjera za kurjerem do głównej kwatery hrabiego Tolla o odsiecz, o uczynienie dywersji i wyglądał odpowiedzi. Odpowiedź nie nadchodziła. Kurjerzy przepadali. Natomiast podjazdy kozackie wracały zewsząd z wieściami o ukazywaniu się polskiej kawalerji. Jedynym więc ratunkiem było zaatakowanie Ramorina, zanim ten zdoła odebrać posiłki.

Rüdiger chwili się nie wahał. Skreślił z Lubartowa w bok, na Michów, aby Wieprz przebyć i, zwróciwszy się na lewo, dosięgnąć Ramorina, wtłoczyć go w kąt rozwidlenia między Wisłą i Wieprzem i tam, uwięzionego, zdziesiątkować.

Rüdiger ani domyślał się jeszcze istotnych arkanów, zastawionych nań, siideł.

General Tomasz Lubicński na glowie się postawił, aby pierwszy jego popis, w roli szefa sztabu głównego, wypadł pomyślnie. Więc cichaczem o każdym poruszeniu uwiadamił Prądyńskiego, co moment rady jego szukał. Wy-

nikala z tego mitręga, lecz plan, na ostrożności ex-kwaternistrza generalnego, wychodził znakomicie.

Dzień siedemnastego czerwca był dla Łubieńskiego dniem, zwiastującym niezawodne zwycięstwo. Rozkazy spełniono, co do joty.

Sierawski czuwał w Kaluszyńcu, na rozdrożu między Warszawą i Siedlcami, gotów na obronę zagrożonego frontu. Skrzynecki z dwiema dywizjami rezydował w Sienicy. Ramorino szedł brzegami Wieprza do Podludowa. Jankowski z Rybińskim czekali na Wodyniach na sygnał do ruszenia w dwie przeciwne strony.

Pierwszy, w jedenaście tysięcy, miał pójść na Gulów i tu, połączywszy się z Ramorinem i oddziałem lotnym Różyckiego, już w siedmnaście tysięcy uderzyć na Rudigera i przeciw go na Chrzanowskiego. Rybiński zaś podczas wienien był Kreutza z Siedlec wypłoszyć.

Jedynym cieniem, który mroczył pogodę raportów, była wiadomość, że generała Jankowskiego naszedł znów reumatyzm i że spowinięty w powozie drogę odbywa.

Łubieński nie bardzo się tem przejął. Przy Jankowskim byli wszak Milberg, Bukowski i Turno. Plan przewidział wszystko, więc byle adjutant sztabu chorego wyreczy. Jednak zabiegliwy pan Tomasz, dla własnego uspokojenia, zaproponował, aby artylerję Bema przyłączyć do dywizji Turna. Co zdało się szefowi sztabu tem słuszniej, że Prączyński wogóle odradzał niepotrzebną wędrówkę Rybińskiego do Siedlec i że stąd przynajmniej Bem, który z Rybińskim szedł, mógł być lepiej użytym.

Lecz Skrzynecki, który dotąd, pochłonięty znów arkaniami swej z Rządem narodowym polityki, ulegał Łubieńskiemu, nie przeczuwając ukrytego za nim ex-kwaternistrza — na pierwsze słowo o baterji Bema, zaperzył się.

— Ani myśli, Bem musi zostać przy Rybińskim.

— Jednakże w dywizji Turny podjazdowe talenty Bema...

— Na talenty ma zadość miejsca w rozprawie z Kreutzem.

— Obawiam się, generale, że Kreutz poprostu cofnie się...

— Być może.

— Bem zaś nietylko wzmocni dywizję Turny ale i sztab Jankowskiego. — Jest chory.

— Więcej zdola z chorobą, niż Umiński ze swoim zdrowiem.

— Nie neguję.

— Bem zostanie przy Rybińskim! I tak mu już świta w głowie. Za generała się ma, a ladu nie umie utrzymać. Turno nie potrzebuje mentorów a przedewszystkiem takich, co go potem z zasług będą obdzierali po Honoratkach.

Łubieński nie dał za wygrane. Skrzynecki opierał się, bronił, aż naciśnięty argumentami, zakonkludował:

— Więc idzie generałowi jeszcze o cztery bodaj armaty!

— Bodaj o cztery! Choć...

— Doskonale. Nie mam nic przeciwko temu... nawet całe ośm z Bemem.

— Czy jednak warto dzielić baterję?...

— Jeżeli nie warto, niech idzie do Siedlec.

Rozmowa ta głuchym buntem ozwała się w Bemie, gdy mu oświadczone, że cztery działa pod Orlikowskim pójdą z pierwszą dywizją, on zaś z ośmioma tylko ma za Turną maszerować. Niesprawiedliwość, lekceważenie było nadto dokuczliwem i oczywistem. Milberg miał baterję artylerji konnej, której dowództwo sprawował kapitan Bagiński, w zastępstwie rannego pod Ostrołęką podpułkownika Piotrowskiego. Tę więc baterję można było i należało podzielić, a nie jemu, pułkownikowi, umniejszać armat. I w pierwszym impecie Bem chciał protestować, chciał do Jankowskiego się meldować, lecz pohamował się, zęby zacisnął i powlókł się do Turny po rozkazy. Turno uradował się Bemowi gorąco. Pułkownikowi zelżało na sercu i, choć doskwierała mu kusa prezencja baterji, choć bez Orlikowskiego i czterech jednorogów, jakby bez ręki mu było, przecież miną nadrabiał i znaku po sobie nie dawał.

Tymczasem rozkazy sztabu głównego, które w Wodyniach Jankowskiego dogoniły, mocniej jeszcze, niż Bema, zadrasnęły generałów Milberga i Bukowskiego, gdyż za-

wiadomiły, że, na wypadek cięższej choroby Jankowskiego, dowództwo korpusu ma objąć generał Turno.

Milberg zaczął się boczyć na Turnę, Bukowski zaś, jako Jankowskiego stary, jeszcze z pierwszego pułku konnych strzelców, towarzyszył i przyjaciel, jął zreumatyzmowanego dowódcę przeciw Turnie judzić. Ale Bukowski nie wieleby u Jankowskiego wskórał, bo ten zgodnym był człkiem, gdyby nie pan Franciszek, pułkownik piechoty, a brat rodzony generała. Owóż pan Franciszek, który w istocie u boku brata trzął całym korpusem, zawzjął się dać nauczkę „belwederskiemu adjutantowi“.

Turno ze swej strony z całym zapalem starał się odpowiedzieć pochlebnemu o nim wyobrażeniu. Jako dowódzca przedniej straży, godziny nie zmarnował niczego nie zaniedbał. Podjazdy jego od Łukowa pod Stężyce szły, we dwa dni ustanowiły komunikację z Ramorinem i Różyckim i wytropiły Rüdigera. Wytropiły go już pod Łysobokami i w położeniu rozpaczliwym.

Rüdiger miał za plecami nurty Wieprza, na lewo, o milę, pięć tysięcy Ramorina, z prawej, w Kocku, oddział Różyckiego, za Wieprzem Chrzanowskiego a przed sobą Turnę i cały korpus Jankowskiego.

Turno zwolnił marszu, wreszcie zaległ pod Lipinami.

Gdy się to działo, do głównej kwatery w Siennicy zjechał Łuba i z wiadomościami, które krew ścięły w żyłach Skrzyneckiego.

Hrabia Toll z huzarami jeździł sam pod Scrock... Za nim cała dywizja poszła z pontonami... Most będą stawiali na Narwil Idą na Warszawę!

W sztabie wodza wszczął się popłoch, Skrzynecki chciał dać rozkaz do cofania się na Pragę. Lubiński ledwie zakłęciami go skłonił do czekania na potwierdzenie wiadomości.

Dywizje kwaterujące w Siennicy, stanęły pod bronią. Bagaże i kancelarje ładowano. Wyprawiano pojazdy z damami. Lubę wzięto pod straż.

Szef sztabu zaś słał cichaczem sztafetę za sztafetą, ordynansa za ordynansem do Prądzyńskiego, by zaniechał

inwidji, by ratował sprawę, by nie uchylał się od rady wojennej.

Nazajutrz, o świcie, przybył raport od Ambrożego Skarzyńskiego, który strażował nad Narwią. Łuba mówił prawdę. Forpocząty Wysockiego, czuwające pod Serockiem, donosiły i o rekonesansie Tolla i o grenadjerach rosyjskich, którzy pale zwożą i łyżwy budują na brzegu Narwi. Ambroży Skarzyński zawiadamiał nadto, że cofa się za Radzynim ku Pradze, burząc za sobą mosty.

Skrzynecki zwołał natychmiast radę wojenną.

Łubieński teraz dopiero odważył się szepnąć wodzowi, że posyłał do Prądyńskiego.

Twarz Skrzyneckiego szkarłatem się załala.

— Co? — On, tutaj... na, na przespīgi, na plotki...

— Generale, należałoby go właśnie wezwać...

— Ani mowy! Pan Prądyński niema tu nic do stanowienia!

— Jednakże w ten sposób odpowiedzialność spadnie i na niego...

— Pan Prądyński niema prawa do odpowiedzialności. Nie posiada rangi, jest w dymisji...

Łubieński nie pozwolił się zbyć. I póty tłumaczył, przekładał, wystawiał polityczność głęboką, tkwiącą w powołaniu Prądyńskiego, aż Skrzynecki dał się przekonać. I, co więcej, zdobył się nawet na dość uprzejme powitanie exkwatremistrza generalnego, z czego zebranych na radę pułkownikom i generałom aż serca przybyło. Nawet ci, co kryli niechęć do wodza, oddali w głębi ducha cześć takiej zacności. Generalowi Małachowskiemu nos łzami napęczniał. A zdecydowani rozumu Prądyńskiego stronnicy przyznawali, że ten niepozorny człeczek w szarym surducie, niemrawy, nie potrafiący wyskrzeczec przystojnego responsu na szlachetne ozwanie się Skrzyneckiego — w paragon z wodzem naczelnym isć nie może. Skrzynecki ma oblicze marsowe i postawę i ruch i głos dźwięczny i spojrzenie wspaniałe. Skrzynecki jest jak orzeł, a Prądyński niby pliszka, śmieciucha, dziobem i ślepiami po ziemi włócząca — niby kancelista, gryzipiórek, niedojadek, ścisłajbrzuszek za złotych polskich dwieście rocznie.

Lubiński radę zagaił przedłożeniem stanowisk polskich i rozrachunkiem sił rosyjskich. Lewiński podszef rozpostarł mapy.

Skrzynecki wyczekał, aż zgromadzeni ogarną, kędy Janowski się znajduje, kędy Sierawski, kędy polskie a kędy rosyjskie zastępy — i dopiero przemówił. Przemówił krótko a dobitnie i podniosło. Retoryczna figura o sercu ojczyzny, na obronę którego śpieszyć należy, wywołała poszmer uznania. Zaczęło się głosowanie od najmłodszego rangą pułkownika. Już trzy pierwsze głosy za odwrotem się świadczyły. Gdy naraz, Prączyński, który wodził precz nosem po mapach, ozwał się piskliwie:

— Czy wolno mi w kardynalnej...

— Bądź laskaw — generale! Prosimy!...

— Niema dowodu, aby Toll zamierzał uderzyć na Warszawę.

Skrzynecki uśmiechnął się pobłaźliwie i do Lewińskiego zwrócił:

— Pułkowniku, racz przedstawić generałowi zeznanie Łuby oraz raport generała Ambrożego...

— Czytałem — uciął flegmatycznie Prączyński.

— A więc wiadomość o budowaniu mostu na Narwi...

— Uważam za demonstrację, za wybieg, za fortell!

— Ależ generale!

— Jestem przekonany — ciągnął flegmatycznie Prączyński swym skrzeczącym głosem. — Toll powziął wiadomość o marszu naszego wojska ku Lublinowi, odgadł nawet bez wątpienia intencję wyprawy na Wołyń... a nie mogąc zdążyć z odsieczą Rüdigerowi ani Wołyńia osłonić, usiłuje wprowadzić nas w błąd, odciągnąć nasze dywizje na Pragę, a więc osłabić atak na Rüdigera, dać mu sposobność wymknięcia się.

Członkowie rady, na ten wywód śmiały a logiczny, jęli spoglądać niepewnie ku mieniającej się kolorami twarzy naczelnego wodza.

— Proszę odczytać raport generała Ambrożego Skarzyńskiego.

Lewiński spełnił rozkaz. Gdy skończył, generał Kazimierz Skarzyński bąknął cicho:

— Raport wyraźny — budują!

— Demonstrują — odparł oschle Prądyński. — Przytem raport jest powierzchowny, niedokładny. General baron Skarzyński, polegając na wiadomości odebranej od kapitana Wysockiego...

General Kazimierz Skarzyński ujął się za familjantem.

— Jakże, skoro dowodzący forpocztami...

— Zgoda, lecz powinien był forpoczt nie ściągać, jeno je wzmocnić i trwać na stanowisku, a nie cofać się. Kawalerja ma zawsze czas na odwrót.

— General Ambroży — odparł urażonym tonem pan Kazimierz Skarzyński — jest nadto zasłużonym i doświadczonym oficerem, aby mu nieopatrność inkryminować!

— I ja tak sędzę! — uciął energicznie pułkownik Fortunat Skarzyński.

— Wypowiadam zdanie, bez myśli uchybienia któremukolwiek z rodów.

— I według zdania tego — podjął wódz, siląc się na spokój — mamy, nie bacząc na przeprowadzanie się Tolla przez Narew, nie troszczyć się i o Warszawę.

— Tego nie powiadam.

— Lecz, skoro general zwiesz budowanie mostu demonstracją...

— Więc nie mniej uznają potrzebę liczenia się z nią.

— A proszę!

— Tak, — odrzekł zimno Prądyński — i dlatego proponuję, aby, przewidując najgorsze, cofnąć się trzema dywizjami, które się tu znajdują, do Wiązowny i stąd na Pragę.

— Mamy w Siennicy tylko dwie dywizje!

— W Kaluszyńce stoi wszak general Sierawski, o jego dywizji też myślałem.

— I trzema dywizjami zamysłasz general stawić czoło armji rosyjskiej.

— Tylko uczynić zadość przesadzonej ostrożności. A podczas z Rüdigerem się rozprawić, jak było postanowieniem...

— Nie kalkulując nawet, czy droga na Pragę jest wolną — czy nas Toll nie uprzedzi, czy nie odetnie...

— Nic podobnego nie przypuszczam.

— Ale ja muszę przypuszczać, generale! — uniósł się Skrzyniecki. — Muszę liczyć się z odebrany raportem!

— Wyniknie stąd niechybny błąd.

— Lecz z dwóch różnych błędów mniejszy! Nie wolno mi i nikomu nie wolno rzucać na kartę losu stolicy!

— Podług mnie...

— Dziękuję panu generałowi za światłą radę! — Debaty uważam za skończone!

— Chciałbym jeszcze...

— Debaty są skończone, generale — powtórzył z naciskiem Skrzyniecki.

Prądzyński zebrał nerwowo swoje notatki, skłonił się i wyszedł.

XV.

Tego samego dnia, gdy, po radzie wojennej w Sienicy, wódz naczelny nakazał wymarsz pośpieszny do Osiecka, Turno ze swoją dywizją podsunął się do Budzisk. Pod wieczór wedety polskie starły się z forpocztami Rüdiger.

Turno pełną sztafetę do Jankowskiego, który we dworze pod Serokomlą kwaterował. W odpowiedzi zjechał do Budzisk sam naczelnik sztabu korpusu, podpułkownik Butrym w towarzystwie partyzanckiego oficera i dwóch jego pacholków.

Turno zajęty był właśnie z pułkownikiem Bemem formowaniem szyku, w jakim najdogodniej byłoby zacząć grę z nieprzyjacielem, gdy zjawił się Butrym. Turno aż poskoczył z ukontentowania ku przybyłemu.

— Bywaj mi pułkowniku! A to mi szef! To rozumiem!

— Dla uniknięcia wszelkiego nieporozumienia, generale.

— Z nieba mi spadasz! Siadaj, proszę...

— Generał daruje, że mu przedstawię — pan Sikorski, partyzant augustowski, który mnie tu eskortował...

— A który rad wielce, że nie tylko na coś się przydał ale i zdobył okazję poznania tak znakomitego generała naszego...

Turnę ogarnęło uczucie niechęci do Sikorskiego. Podał mu protekcyjnalnie rękę i ku Butrymowi spojrział, jakby żądając odeń wyjaśnienia. Lecz Sikorski równocześnie rzucił się ku Bemowi:

— Kogo widzę! Zaczny pan Józef dobrodziej!... Góra z górą! Prawdziwa niespodzianka! A tam biedna pani Anna w głowę zachodzi! Do mnie ciągle — a gdzie pułkownik, a czy aby nie uraził się z mego natręctwa!

Turno, na ten oczywisty dokument zażyłości Sikorskiego z Bemem, zawstydził się i kilku przyjaznymi słowy naprawił swą oziębłość.

Butrym podczas dobył z czapy plan i rozłożył go z zadowoleniem na stole.

— Oto, generale, nasz rozrachunek... Spójrz, proszę... Rüdiger siedzi w pulapce... Różycki strażuje w Kocku i do Firleja dociera.

— Czy wytrzyma napór?

— Otóż właśnie! Wzmocnił go generał Bukowski z trzema batalionami grenadierów i dziesięciu szwadronami kawalerji. Teraz, w Podludowie będziemy mieli Różyckiego. Generał Milberg z brygadą piechoty czuwa w Serokomli. Gdyby więc Rüdiger myślał przez Kock skórę salwować, Milberg przyprze go do Wieprza. A że z tej strony niema brodów...

— Za pozwoleniem — Rüdiger jest niewątpliwie między Łysobokami a Przytocznem.

— Doskonale — według planu, generał następuje...

— Są dwie drogi: jedna wprost a druga na Charlejew...

Butrym uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Wszystko obliczone! Dywizja generała zostawia rezerwę na rozstaju i rusza o świcie, jak strzelił. Jeżeli Rüdiger zawróci na Charlejew — to rezerwa alarmuje, generał zachodzi od boku, od Serokomli rusza Milberg, a od Kocka Bukowski... Ale tego wypadku nie będzie. Rüdiger pomknie na pierwszy strzał do Kocka. Nie taki to przecież nowicjusz, aby dziury w miechu nie szukał najpierw.

— A jeżeli całą siłę zwróci Rüdiger przeciwko mnie?

— Nie może się zdarzyć — ale i to obliczone. Wszystko obliczone! Bukowski i Ramorino przychodzą od boków

i chwytają płaszka za skrzydła. A do stępienia mu dzioba jest główna kwatera pod ręką.

Turno zwrócił się do Bema.

— Co pułkownik sądzi?

— Sądzę, generale, że gdyby nas Rüdiger zaatakował mocno, to z naszymi trzema tysiącami moglibyśmy nie do czekać się posiłków.

— Ramorino będzie na świt w Podlodowie!

— Lecz go jeszcze niema.

— Więc jest generał Bukowski! — tłumaczył Butrym.

— O dwie mile drogi! Nie uchybiam rozkazom dowódcy korpusu naszego, ale nie pojmuję tego rozdrobnienia sił.

— Pułkowniku — bronił się gorąco Butrym. — Idzie wszak o to, by nie umknął! Całą noc ślęczałem z pułkownikiem Jankowskim i generałem Milbergem!

— Dwanaście tysięcy żołnierza nie może ujsć lada ścieżyną. Na dopilnowanie ich starczą podjazdy. Tu, widzę rozrzucone oddziały, z których żaden pojedynczo nie wytrzyma ataku.

— Oddziały, na pierwszy sygnał, dążą na zagrożony punkt.

— Mogą nie zdążyć.

Turno poparł z całej mocy zdanie Bema. Szef sztabu przekładał generałowi, że rozkazy są co do godziny wydane, że Ramorino jest już w Sobieszynie, że cały plan był właśnie tak układany, aby generał Milberg prowadził bitwę — ale Turno, sekundowany przez Bema, trwał przy swoim.

Aż Butrym zakonkludował z alteracją:

— Więc tedy sam pojedę do Podlodowa, jeżeli Ramorina nie zastanę, ruszę do Sobieszyna i sam mu rozkazy powtórzę.

Turno, ujęty tą gotowością Butryma, chciał poprzestać na wyprawieniu oficera ordynansu, lecz Butrym się napał.

— Tak i pojedę, generale. Mila drogi. Wolej samemu. Eskortę? — Nie trzeba, chyba, że pan Sikorski niema ochoty...

— Pułkowniku! Kiedym się raz pisał!

— Droga niepewna — wtrącił Bem. — Noc. Możecie panowie wpaść na rekonesans nieprzyjacielski.

Butrym, który z widoczną urazą ladował w czapę swój plan, wzruszył ramionami.

— Wszak droga idzie za łańcuchem naszych forpoczł i ku Bamorinie.

— Może jednak...

— Dziękuję za troskliwość.

W kilka chwil potem, Butrym z Sikorskim ruszyli wózką w stronę Podlodowa, mając za sobą dwóch pachołków zbrojnych i ulana, którego Turno dał im na przewodnika. Po odjeździe Butryma, Bem chciał do biwaków wracać, lecz Turno go zatrzymał.

— Nie odmawiaj, pułkowniku, skromnego posilku. Hej tam, prosić pułkownika Zielonkę!

Nadszedł wkrótce Zielonka, dowódzca strzelców konnych gwardji. Służba generała wniosła do chaty nesesery i sepeciki generalskie i zastawiła stół.

Bem czuł się nieco onieśmielonym wytwornością gospodarską Turny. General atoli wraz z obejściem dawnego adjutanta księżęcego, bywalca dworu, łączył szczerą, otwartą naturę żołnierza. Więc z miejsca lody przelamał, ku czemu nie mało przyczynił się pogodny humor Zielonki. A że i buteleczka węgryzna się znalazła, tedy wszelka oziębłość znikła do reszty.

— Moi panowie — zagadywał ochoczo Turno — wszak, bez mała, gwardyjską czynimy dywizję! Batalion grenadierów, artylerja, strzelcy konni wszystko dawne gwardyjskie. Osobliwie strzelcy konni! Jakżeśmy ruszali wczoraj ze Stoczka, jak spojrzałem po szwadronach, to mi dawne wypomniały się czasy, kiedyśmy to z panem Benedyktem Zielonką pułkownikowali mu pod generałem Kuratowskim.

— I nie takie dawne czasy, generale.

— Cha, kto wie, które lepsze. Co tam! Za pomyślność jutrzejszej rozprawy!

— Za pomyślność!

— I na podziękowanie Bemowi. Rzetelnieś nam po-

mógł tem natarciem na Butryma. Żacny Litwin, zdolny oficer, ale przesadził w kalkulacji.

— A właściwie — dodał Bem — zbyt wiele zaufał teorii wspólnego działania kilku naraz oddziałów.

— Słuszna uwaga, zwłaszcza że, krom wszystkich niespodzianek, mamy do czynienia z reumatyzmem Jankowskiego — przyznał Zielonka.

— No, lecz Butrym wziął do serca. Niechże Tamorino z Podlodowa do boku Rüdigerowi się dobierze — to i bez Milberga zadamy mu bobu. Imaginuję sobie, ile będą miały do grzmocenia armaty pułkownika.

— Byle ich starczyło. Kusa baterja. I w dodatku rozdzielić ją wypadnie.

— Sądziś pułkowniku?

— Bo jeżeli rezerwa ma pilnować Charlejowskiego traktu...

— Prawda, prawda, że dwie armaty trzeba, bodaj dla dania sygnału.

General spojrział na zegarek.

— Dziesiąta.

Zielonka i Bem dźwignęli się z za stoła.

— Pora nam, generale.

— Nie zatrzymuję. Na świt czeka nas pobudka.

Turno uściskał serdecznie dłonie pułkowników i ze swą dworską atencją do podsieni ich odprowadzał. Gdy naraz, tuż przed chatą generała, zarył konia oficer ordynansu.

— Co to! Kto!?

— Porucznik Kiersnowski, czwartego ulanów, raport z podjazdu, od Podlodowa!

— Dawaj waćpan — zakrzyknął general.

Kiersnowski zeskoczył z konia i stanął przed generalem.

— Podpułkownika Butryma zagarnęli kozacy.

— Butryma!

— Tak, panie generale. Podjazd nasz, wracając od Podlodowa, pod zagajnikiem znalazł rannego ulana, który bryczkę podpułkownika eskortował. I tyle oden dowiedzieliśmy się, że bryczka pomknęła wprost na linję placówek nieprzyjacielskich. Zresztą przytomność mu się splątała.

Mówił, jako mu kozak, w bryczce siedzący, wypalił prosto w oczy. Ma przestrzeloną szczękę...

— Ale to nie może być! Gdzież ten ulan?

— Niosą go żołnierze — jest bez ducha.

Turno zawołał o konia i bez mitręgi podążył z Kiersnowskim na drogę do Podlodowa. Bem z Zielonką udali się za generałem.

Tuż za pikietą ułańską, na Podlodowskim trakcie, napotkano żołnierzy, niosących rannego.

Turno kazał go nieść coprędzej do najbliższej chaty. Dwóch sztabs-lekarzy pochyliło się nad rannym.

— Co, panowie? Żyw — badał niecierpliwie Turno.

— Wygrzebie się, choć nie prędko, bo mu kula zgruchotała kawał szczęki. I sianem się wywinie, choć mu łufę pistoletu niemal do głowy przyłożono... Jaki to osmalony...

— Czy by nie można soli rzeźwiących mu zadać?

Ani myśli, panie generale. Osłabion wielce, krwi zeń wyciekło. Spokojności mu trza.

Generał zafrasował się, ileż przygoda Butryma w głowie mu się nie mieściła. A przecież trudno było wątpić. Kapitan Siewruk, który podjazd odprawiał na podlodowskim trakcie, nie mógłby się rozminąć z bryczką naczelnika sztabu.

Frasunek Turny przeistoczył się niebawem w niepokój, ile że Bem wypomniał mu plan rozkładu wojsk.

— Tam do licha! Widziałem, do czapy go zasadził! Trzeba natychmiast do Ramorina...

— Jeżeli kozacy pojмали podpułkownika, kto wie, czy nie czatują jeszcze. Noc ciemna. Ramorino, bez rozkazu generała dowodzącego...

— Gotów własnego widzimi się słuchać.

— A potem, bacząc, że Rüdiger dowie się o rozkładzie, trzeba na gwałt zmienić pozycję.

— Stokroć prawda. Niema chwili do stracenia. Musimy zawiadomić sztab korpusu! Siewruk ruszy do kwatery dowódcy. Chociaż należałoby kogoś znaczniejszego, bo inaczej pan Franciszek gotów lada czem zbyć. Pułkownika nie śmiem trudzić...

— Jeżeli trzeba, racz mną rozporządzać, generale. Turno chwycił Bema za rękę.

— Z całego serca ci dziękuję. Ty jeden, pułkowniku, zdasz im wyłożyć. Zadufanie mi wraca. Oni tam gotowi liczyć na Butryma, a biedny Litwinisko pokutuje już może za swą nieopatrzność razem z woluntarską kompanją.

W godzinę niespełna Bem, pod eskortą plutonu ułanów, dopadł klasztoru Karmelitów w Woli Gulowskiej, kędy rezydował generał, dowodzący wyprawą na Rüdigera.

W sieniach powitał Bema porucznik Szczuka.

— Generał jest cierpiący, nikogo nie przyjmuje.

— Lecz mnie musi przyjąć, sprawa pilna.

Szczuka wyprostował się z ukontentowaniem.

— Najakuratniej zamelduję, panie pułkowniku.

Szczuka zginął za bocznymi drzwiami. Bem rozejrzał się po wielkiej, sklepionej sieni. Tuż przed nim, o dwa kroki, przeżył się młody oficer strzelców konnych gwardji. Bem odsalutował uprzejmie, lecz, w chwili gdy miał się odwrócić, uderzyły go znajome rysy twarzy, więc przystanął.

— Jeżeli mnie pamięć nie myli... porucznik?...

— Sierawski do usług.

— Syn generala! Daruj porucznik, żem cię nie poznał. Waćpan tu z ordynansem?

Sierawski stęknął.

— Od dwóch godzin, panie pułkowniku, wyczekuję na pieniądze za trzy krowy, któreśmy na rzeź zarekwirowali chłopom dla pułku.

— I meldowałeś się?

— Meldowałem, panie pułkowniku. — Porucznik Szczuka trzy razy chodził, ale cóż on. — A tu konwój czeka, pułk bez kawalka mięsa...

W sieniach ukazał się oficer ordynansu.

— Pan generał prosi pułkownika.

— Bem skinął przyjaźnie Sierawskiemu i, prowadzony przez Szczukę, dotarł do obszernej, migelliwym płomykiem lampki olejnej rozświetlonej, izby.

Bem postąpił niepewnie, nie mogąc wyznać się w półmroku. Lecz z rogu izby ozwał się doń placzliwy głos:

— Czy to pułkownik Bem?

— Tak, generale.

— Proszę do mnie bliżej, bo głośno nie mogę. Patrz pułkownik, a ja tu ledwie zipię. Darcie mnie napadło z wczorajszego deszczu... Walenty, czy aby okno szczelnie zamknięte?

— Zamknięte, generale — odrzekł barczysty cień z pod pieca.

— A doktor Kowszewicz jest?

— Jest, generale.

— To dobrze! — powiadam pułkownikowi, gdyby nie Kowszewicz, chyba bym nie wytrzymał. Nieoceniony medyk. Ufl Strzyka szelmostwo. Może by prosków?

— Za godzinę, generale.

— Widzisz, widzisz pułkowniku, jakiego macie niefortunnego dowódcę... a nie chciałem, wymawiałem się...

— Ufam, że pan generał, da Bóg, szybko do zdrowia przyjdzie.

— Bardzo to pocziwie... bardzom wdzięczny. Byle wilgoci nie było i drogi przez lasy... Lasami nie mogę.

— Generał daruje, że przedłożę mu sprawę, która mnie zniewoliła...

— Proszę, słucham, byle półgłosem...

Bem, w krótkich słowach, zawiadomił Jankowskiego o pojmaniu Butryma, pochwyceniu rozkładu wojsk i wynikającej stąd potrzebie zmiany pozycji.

Żółta, pomarszczona twarz generała wykrzywiła się desperacko.

— Panie Kowszewicz, słyszysz pan! Butrym! Taki dzielny oficer! A ja tu, jak Łazarz! Walenty, nasuń mi koldrę na nogi! Trzeba, trzeba naturalnie. Panie Kowszewicz, daj znać, proszę, Franusiowi, że Butrym!... Chyba Romer go zastąpił! Gdybym był zdrow. Tłumaczyłem naczelnemu wodzowi żeby Umińskiego zostawił. He! Co sądzisz pułkowniku? Nieszczęście!

Bema i przygnębienie i gniew i żal dojmował naprzemiennie.

— Generale, największe, że Butrym przepadł, bo zresztą starczy, aby generał Bukowski z Różyckim do Krępy ruszyli a Ramorino od Podłodowa następował...

— Tak, tak, niezawodnie! Krępa i Podlodów! Widziałem na mapie. Wydam rozkazy natychmiast! I tabor nasz niepotrzebnie do Kocka wyprawiono. Trzeba go cofnąć. Ogarniam. Rüdiger spróbuje na Turnę uderzyć, jako z trzech najsłabszego! Gdybym był zdrow! A tu pod noc opary pewno idą od ziemi.

— Niema oparów!

— Niema — a strzykanie mam silniejsze, musi to Kowzewicz zbadać.

— Więc mogę zapewnić generała Turnę?

Najsolennej! Natychmiast każę ordynansów... Ale, niech pułkownik zobaczy się z moim bratem i od siebie jeszcze mu powtórzy. Porucznik Szczuka cię doprowadzi...

Bem ledwie otrząsnąć się zdołał z wrażenia, które nań wywarła rozmowa z dowódcą w obliczu niechybnej bitwy, gdy Szczuka rozwarł przed nim drzwi huczącego gwarem refektarza.

Snopy światła i kłęby fajczanego dymu buchnęły w pułkownika, jak z czeluści.

Bem zawahał się. Czereda sztabowców zalegała stół. Brzęk złota, stukotanie szklanic i zgłęb pomieszanych głosów bił pod ostrołuki klasztorne.

Pułkownik zmógł się, postąpił naprzód — nikt go nie zauważył.

Bemem pasja targnęła.

— Mości panowie! — Któryż z was nareszcie zatroszczyć się gotów o służbowe obowiązki.

Czternaście par oczu zdumionych zwróciło się do pułkownika.

— W faraona, widzę, zamierzacie pobić Rüdigera!

— Co to! — Kto śmie! — Bem — Tego nadto! — Nauki! — warknął głuchy pomruk.

— Gdzie tu pułkownik Franciszek Jankowski?

Na to zawołanie, barczysty pułkownik zerwał się z za stoła.

— Ja jestem! Co tu pułkownik! Jak mam rozumieć pańskie wykrzykiwanie!

— Jak się panu podoba. Gdyby nie rozkazy generała, nie ośmieliłbym się panom przerywać zabawy.

Jankowski zachnął się.

— Proszę, co za rozkazy?

Na pierwsze słowo o pochwyceniu Butryma, sztabowcom harde spojrzenia przygasły. Bem powtórzył żądania Turny.

Pan Franciszek Jankowski skonfundował się.

— No, no — na jaki to koniec przyszło Butrymowi! Ma się rozumieć, wyśle się rozkazy. Generał Milberg stoi w tym... zaraz obok. Wyśle się...

— Radbym, żeby pułkownik to zaraz uczynił.

Jankowski się uraził.

— Zechciej pułkownik nie zapominać, że ani ja nie jestem pańskim podkomendnym ani mój brat generał, który jeden ma prawo decydować i wie, co i kiedy nakazać wypada.

— Generał dowodzący jest chory.

— Sprawuje obowiązki a reszta pułkownika nie obchodzi!

— Nalegam, aby sprawa gwałtowna, od której los bitwy może zawiść, nie doczekała się takiego lekceważenia, jak ten oficer ordynansu, który wystaje od trzech godzin w sieniach, z kwitem na sto kilkadziesiąt złotych, aby pułk wyżyć...

Jankowskiemu czupryna się zjęzyła.

— Co za oficer? Gdzie?!

— Miałem honor trzy razy meldować panu pułkownikowi! — ozwał się z boku Szczuka.

— Kiedy? Co? Jak?! — Wolać go! — Meści Bogdański, pan, jako komisarz wypląt...

— Nikt mi nie prezentował likwidacji! — sumitował się młody urzędnik sztabu.

— Djabli nadali! Wszystko na mojej głowie! — A więc to porucznik? — Pułk strzelców konnych! ile? — Proszę, proszę, tu jest sto sześćdziesiąt złotych!

To mówiąc, Jankowski sięgnął do kupki złota, leżącej na stole i wyliczył Sierawskiemu należność.

— Trzymam na ryndzie cały ten kwaternistrzowski ekwiwalent! — zakrzyknął jeden z cizby sztabowczyków.

Gromada zarechotała przeciągle.

Oczy Bema błyskawicami trysnęły.

— A zatem mogę generałowi Turnie donieść, że rozkazy...

— Rozkazuje tu generał dowodzący! — przerwał z pasją Jankowski. — Zameldowałeś pułkownik i koniec! Generał Turno jest jeszcze podkomendnym!

— Kląnam więc, by dłużej nie przerywać panom rady wojennej.

Cizba warknęła groźnie.

Bem obrzucił ją hardem spojrzeniem i wyszedł.

XVI.

Nazajutrz, ledwie brzask rozproszył cienie nocy, w obozie Turny zagrały przytłumione pobudki. Żołnierze porwali się na nogi. Ruch zawrzał gorączkowy. Koniom dodatkowe założono obroki. Szeregowcom podwójne rozdano racje, napełniono im manierki. Starszyzna oficerska ostatnie odebrała rozkazy.

Plan Turny ściśle trzymał się rozporządzeń dowódcy korpusu. Więc Turno ze strzelcami pieszymi i konnymi, trzema szwadronami krakusów i ośmiu działami Bema, miał iść wprost na Przytoczno i zaatakować Rüdigera z frontu. Pułkownik Zielonka z resztą strzelców konnych, ułanami i batalionem piechoty, powinien był stać pod bronią w Budziskach, czuwać na rozstaju a stanowić rezerwę Turny.

O wschodzie słońca dywizja Turny dźwignęła się i jęła zanurzać się w poszycie budziskiego lasu.

Turno był pełen dobrej myśli. Złowróżebna relacja Bema, która generała o noc bezseną przyprawiała, znikła. Sztafeta z kwatery Jankowskiego przywiózł Turnie na dzień dobry nie tylko uspokojenie, lecz i wiadomość, że Bukowski jest już w Poizdowie, że Ramorino nadchodzi z przeciwnej strony.

I Turno aż żał miał w duchu do Bema. Dobry żołnierz, bystry, zdolny, ale i dziwak i rygorzysta. Sztab Jankowskiego wzorowym nie jest. Jankowski, gdy zdrow, to i do zbytku przez szpary na nieład pogląda woli sam ra-

port wykaligrafować, niż skrybę sztabowego za niedbalstwo zekpać. Dopieroż teraz, gdy poczciwemu panu Antoniemu reumatyzm doskwiera, gdy sławetny pan Franciszek rządzi się, jak szara gęś! — Nie tak być powinno. — Do badań mu było raczej, niż na dowództwo po Umińskim. Ale tym razem niema szkody. Rüdigera, choć i ze swoich puchów, Jankowski dosięgnie bodaj tem lepiej, że mu brak zapalczywości Umińskiego, że każdy mu rad, że nikt na zacnego pana Antoniego skrzywićby się nie umiał.

Gdy tak pogodnemi myślami hołubił się dowódzca przodniczej dywizji polskiej — Rüdiger podczas przez ognie przechodził niepokoju i gorączki i to w zgola odmiennych warunkach niż Turno.

Rüdiger bowiem, do wieczora poprzedniego dnia, był przekonany, że ma przed sobą Ramorina i że nazajutrz, bez wysiłku, zmusi go do odwrotu. Pochwyceni przez rekonesansu jeńcy prawili coś o wojsku, które od Adamowa ciągnie, lecz Rüdiger się tem nie przejmował. Aliści, pod noc, patrole generała Płachowa, przyprowadziły bryczkę z tak niezwykłym ładunkiem, że Rüdiger kazał obóz alarmować..

Wiadomości były dokładne. Rüdiger był otoczony! Nawet o umknięciu za Wieprz roić nie mógł, bo rozkład wojsk polskich mówił, że Chrzanowski z Zamościa już do Lubartowa nadchodzi.

Pogrom, pogrom niechybny zawisł nad zwycięzcą z pod Boremla. On, który zdołał Dwernickiego usidlić, wyprzeć za austriacką granicę i na rozbrojenie skazać, on, który za najsprawniejszego z taktyków uchodził, dał oto pojmać się w kleszcze, niby generalik salonowy, nowicjusz.

I Rüdiger zębami zgrzytnął i chwycił się desperackiego, rozpaczliwego planu, którego jedynym celem jedyną myślą przewodnią było nie uleść bez walki, bez zapasów, ocalić choćby dywizję, choćby sławy odrobinę uratować.

Po północy Rüdiger wydał rozkazy. Na żer dla Turny miał iść Dawydow, w trzy tysiące, drogą do Budzisk. Stary Ricord z pieciuset ludźmi skazany był na obronę mostów, taboru i zgubę niechybną. Płachowo z dragonami i półbaterją wysłany był między Milberga i Bukowskiego na

straconą pozycję ku Rudzie. A sam Rüdiger z pięcioma tysiącami zawrócił na Charlejów, aby sposobności patrzeć i bądź ku Budziskom się rzucić, bądź na Rudę się salwować.

Z tych gwałtownych zarządzeń wynikło, że ledwie Turno dosięgnął krańca lasu budziskiego, już szpica kolumny jego starła się z przednią strażą Dawydowa.

Bitwa się rozpoczęła, zajaśniała, gorąca.

Dawydów gwałtownie następował, lecz jeszcze gwałtowniej nacierał Turno. Łańcuchy tyraljerów polskich, w godzinę niespełna, wyparły z zagajników strzelców rosyjskich. Armaty Bema zdemontowały dwa działa nieprzyjacielowi, i przewagą ośmiu paszcz nad czterema, coraz śmiertelniejsze zadawały ciosy. Dwudziesty pułk Smirnowa chwiał się, szlusował z wysiłkiem rzednące szeregi, topniał.

Turno już czyhał, aby kawalerji zażyć, gdy, naraz, na salwę armat Bema odpowiedziało hen, w oddali, trzykroć pomnożone echo...

Turno dopadł Bema, lecz, nim zagadnąć zdołał, za lasami, już bez zewu baterji polskiej, huknęły armaty.

— Pułkowniku — słyszysz?

— Bitwa za nami, generale! Zielonkę atakują! Najmniej trzy pełne baterje...

Turno zakrzyknął na adjutantów. Tarabany zadudniły. Chrapliwe dźwięki trąbek zwinęły linję kawalerji.

Dywizja jęła się cofać a cofając się szczyryć lufy karabinów ku następującemu coraz śmieiej Dawydowowi

Las budziski utrudniał temu ostatniemu atak. Dwie armaty Bema, które pułkownik na tyłach kolumny wiódł a co kilka stajań odprzodkowywał, omiały raz za razem drogę z nieprzyjaciela. Tyraljerzy zaś, bokami, krok za krokiem o każde drzewo się spierali. Kule karabinowe łomotały po pniach, sypały igłami sosen, jodeł i świerków, pruszyły murszem, wypryskiwały korę, utracęły gałęzie, nie czyniąc znaczniejszej szkody ani ściganym, ani nacierającym.

Turno podczas ludził się, że to Bukowski naparł jako-wyś znaczniejszy oddział Rüdigerera i prze go na Budziska.

Złudzenie Turny krótko trwało. Wysłany rekonesans wrócił z wiadomością, że ćma nieprzyjaciół debuszuje od Charlejowa na otoczenie Zielonki.

Turno wysłał do Bema adjutanta, by wziął dowództwo odwrotu, a sam przed trzy szwadrony strzelców konnych gwardji się wysunął, palaszem lysnął i porwał ich za sobą.

Strzelcy ruszyli wyciągniętym kłusem.

Turno cwałował na czele ze wzrokiem utkwionym w dal rzędnicjącego lasu. Aż raptem ze skraju, ponad krzami poszycia, wychynął doń grzebień bagnatów. Generał zebrał cugle i ku trębaczom huknął. Zachrypiał sygnał na dobyte palaszy. Szwadrony zaśnily stałą.

— Naprzód — arsz — arsz!

— Aarsz — w koń — wrzasnęły komendy oficerów.

Szwadrony zaszamotały się i runęły, jak huragan. Czajująca na goloborzu podleśnem, piechota Rüdigera pluwała salwą, utraciła kilku z pierwszego plutonu, lecz nim zdążyła odgryźć nowe ładunki, a naboje zastemplować, już Turno wpadł w jej środek, już sztychem majora zwałił, już strzelcy konni, za przykładem generała spiętrzyli się nad piechotą, niby rzeka na grobli, i wpadli na kanonierów rosyjskich, którzy na Zielonkę bluzgali kartaczami.

Zawadjacka, szalona szarża Turny zmięszala Rüdigera, zdziesiątkowała mu jeden batalion lecz krótką świeciła przewagę. Na ratunek kanonierom pospieszyło sześć szwadronów wyborowej dragonji i nowy batalion piechoty.

Strzelcy Turny jęli cofać się, uchodzić ku lasowi, dokąd wzywały ich trąbki, a skąd już armaty Bema się ozwały.

Bitwa teraz zawrzała potrójna.

Od strony Serokomli walczyła rezerwa pod Zielonką z jedną dywizją Rüdigera. Turno zaś, na dwa fronty stawiając czoło, trzymał i Dawydowa i główny korpus Rüdigera i czynił daremne wysiłki ku połączeniu się z Zielonką.

Dwie godziny Turno opierał się Rüdigerowi, przez dwie godziny trzytysięczny korpusik z półbaterją artylerji mocował się z dziesięcioma tysiącami, przez dwie godziny Turno z minuty na minutę spodziewał się, iż, lada sekunda, na trakcie do Kocka, na tyłach Dawydowa, z poza garbów pół

srokomelskich zafurkoczą ulańskie chorągiewki i nadchodzącym kolumnom piechoty polskiej drogę do zwycięstwa uterują, że Rüdiger, opasany zewsząd, na krzyżowy ogień wzięty, kurhanem zalegnie na tych samych łąkach.

I Turno, dla przyspieszenia tego momentu, siał ordynansa za ordynansem, sztafetę za sztafetą do Bukowskiego, do Ramorina, do Jankowskiego, do Milberga. A sam, otuchy pelen, przykładem świecił, docierał do zagrożonych stanowisk, szarżami się oganiał, sam je wiódł.

Zadufanie generała i żołnierzy przejęło. Okrzyki zapalu sekundowały dudnieniu tarabanów i graniu trąbek. Wycie armat zdało im się godzinę chwały wybijać. Szli, trwali, pędzili plutonami na pułki, dywizje batalionami straszili — ich bo wygrana była, ich odwet za Ostrołkę, bo już... już idą posiłki, idą całe brygady polskie! Niechże nygusy, guzdraly poznają, ile druga dywizja namłócić umiała, niechże wiedzą, iż gdzie gwardjackie orzą pułki, tam popolitakom, liniowcom, partyzantom, rekrutom w mundury zaszytym, aby do gotowego przyjść, aby się krzygnę w sobie zebrać i zawiwatować.

Mijały godziny. Szeregi Turny rzedły. — Zielonka coraz słabiej się odzywał... Dawydow wyciągał ramię lewe, lewe podawał mu Rüdiger.

Turnie, stojącemu przy armatach Bema, luneta zadrżała w rękę. Dwa pułki piechoty szły bokiem ku lasowi...

— Pułkownik! — Otoczą nas! Patrz!

Bem chwycił lunetę.

— Ani chybi!

— Bukowski powinien być!...

— Generale! — zakrzyknął adjutant. — Ordynans od Ramorina... nadjeżdża!

Turno szarpnął koniem ku pędzącemu podoficerowi ulanów.

— Dotarłeś? — Wracasz z Podłodowa!

Ulan osadził pianą okrytego konia, musnął rękawem po sznurku krwi, co mu się z pod czapy do oczu sączył i, chwyciwszy powietrza zaraportował chrapliwie:

— Generał Ramorino wyciągnął do Okrzei!

Turno zatrzęsł się ze zgrozy.

— To nie może być! Ramorino! Łesz, nie dotarłeś...

— Dotarłem, generale — żywego ducha w Podłodowie! Turno zwrócił się do Bema:

— Słyszysz, pułkowniku! Ramorino uszedł!

— Proszę o szwadron strzelców konnych. Z dwiema armatami pójdę. — Inaczej ołoczą.

— Nie przedrzesz się.

— Wytrzymam.

— Jeżeli zdołasz, do Bukowskiego szlij!

Bem w okamgnieniu sprzął dwie armaty, szwadronem strzelców je osłonił i ruszył z kopyta skrajem leśnej rubieży.

Rüdiger gotował się do zadania śmiertelnego ciosu Turnie. Drobny korpusik Zielonki wyparł tyralierami za wieś, i, czterema działami odeń się odgrodziwszy — pchnął brygadę świeżej piechoty ku lasowi, aby Dawydowa wzmocnić i bitwę rozstrzygnąć.

Skutek tego poruszenia był piorunującym. Brygada piechoty, pomimo rozpaczliwych wysiłków Turny, rozczepiła strzelców trzeciego pułku i z nich cały bataljon ogarnęła stalowym pierścieniem...

Rüdiger ku dragonom swoim skoczył. Jeszcze szarża kawalerji i zwycięstwo niechybne, jeden z czterech nastpników rozbity. Gdy, naraz, generałowi rosyjskiemu dało znać, iż na drodze od Serokomli ukazała się kolumna kawalerji... Rüdiger stropił się. Turnie nadchodziły posiłki! — Dla upewnienia się, dywizjom dragonów, gotowych do szarży, wrócił i na spotkanie kolumny wyprawił.

Dragoni poklusowali, a zobaczywszy raptem oddział konnych strzelców, bez mitręgi rzucili się do ataku.

Rüdiger z zadowoleniem poglądał w lunetę, jak dragoni szli wyciągniętego galopa, jak staczali się z pochylego traktu ku strzelcom...

Wtem, gdy dwa kłęby idącej ku sobie kurzawy miały się zewrzeć i dragońskiego, jako potężniejszego władanie ustanowić — czwórki strzelców otwarły się, pomknęły na boki a równocześnie smuga kartaczy rzygnęła w dragonów...

Dywizjon zbalwanął się, stracił szyk, poplątał, lecz nim

konie zedrzeć, opanować zdołał, po dwakroć jeszcze krwią i miazgą żywą bluznął.

Rüdigerowi zaćmiła się w oczach cała dywizja kawalerji z armatami...

Tymczasem był to tylko Bem. On to, śród gradu krzyżujących się kul, dobył się na serokomelski trakt, on to, symulując odsiecz, dwoma działkami rozpoczął zajadłą kanonadę na lewem skrzydle Rüdigera.

Zielonka, na odzew Bema, mocniej natarł. Turno ostatkiem sił dobył.

Aż Rüdiger ułakł się walki na trzy fronty i kazał trąbić na odwrót, ani wiedząc, ani przypuszczając, że tam, w odmęcie, piechota jego zagarnęła już pół bataljonu polskich strzelców, że Dawydow kawalerję Turny dziesiątkuje, że wygrana na jego, Rüdigera, przechyliła się stronę, że jeno pozostało mu krwawego żniwa dokonać.

I pulki rosyjskie zwieraly się, opuszczały stanowiska i cofały w stronę Charlejowa.

Turno mało nie płakał z alteracji, pasji, bezsilności. Nieprzyjaciel uchodził, uprowadzał mu kilkuset niewolnika — a tu nie było ani sił, ani amunicjów, aby ścigać go, aby odbić bodaj zagarniętych. Znikąd odsieczy, znikąd pomocy a przecież on miał być jeno przednią strażą, a przecież jego dywizja miała tylko wciągnąć do bitwy przeciwnika, podać go na cepy Milberga, Bukowskiego i Ramorina.

Ból, żal i rozpacz zagrały w Turnie. Dopadł szczątków szwadronu ulanów, formujących się ociężale pod lasem, zaklął ich i powiódł do szarży...

Konie, spięte ostrogami, rozwarły chrapy, wyciągnęły szyje, zadudniły kopytami... i ustały w polowie drogi.

Równie szalona a może głębsza rozpacz targła Bемом, bo oto w chwili, gdy zastępy Rüdigera odpływały zwartemi wstęgami, gdy dwie armatki pułkownika ostatkiem nabojów gonily — nadjechał porucznik Sierawski z wiadomością, że generał Bukowski z trzema tysiącami był tuż, był o pół mili nie całe, że wysłuchał Sierawskiego i polecił mu oświadczyć, iż trzyma się pilnie odebranych rozkazów.

Bemowi krew zakipiała w żyłach. Bez wahania mlasnął korbaczem po koniu i ruszył sam z ordynansem do Bukowskiego.

Rekonesansem dowodził stary major Wierzchlejski.

Bem doskoczył majora.

— Gdzie general? Gdzie Bukowski!

— Za tym folwarkiem, od strony Rudy, ciągnie do Serckomli...

— Bitwa przed wami, klęska, nieprzyjaciel uchodzi...

— Bukowski także!

— Jako, do czarta?

— Od czterech godzin pan general przysłuchuje się kanonadzie. I nie jej tylko. Plachowo rozbił mu pod bokiem konwój i tabor, co szedł z Kocka, zagarnął! Nic! Rekonesansami się obstawił, aby wiedzieć, czyli rychło ma nogi zbierać!...

— A major tu co?

— A ja, resztą zębów zgrzytam! Hunctwot, nie general! Dostyc mam psiapary!... Obwiesia!... Jechał sęk cały rekonesans! — Za mną! Naprzód!

Wierzchlejski dobył pałasza i swój półszwadronik powiodł ku włączającym się w oddali szczątkom dymów bitewnych.

Bem pogalopował ku Rudzie, jeszcze ufając, że dość mu będzie do Bukowskiego dotrzeć, aby go skłonić do pościgu, do marszu na Rüdigera.

Pułkownik bowiem widział w tem ociąganiu się generala jedno z tych fatalnych nieporozumień, które najlepsze intencje marnuje, które umie być klątwą najczujniejszych planów. Domyślał się winy sztabu Jankowskiego, niedoświadczenia dowódcy wyprawy, ale nie wątpił o uczciwości Bukowskiego, o jego dobrej woli. Zgrzeszył niewątpliwie, lecz chyba zbyt skrępowanością, zbyt ślepem trzymaniem się rozkazów. Nie umiano mu przedstawić położenia. Stało się źle, źle bardzo. Atoli jeszcze nie stracono wszystkiego! Byle teraz Bukowski poszedł w tropy, byle napadł utrudzone bitwą wojsko, byle teraz Różycki, Milberg, dźwignęli się, cha, to jeszcze Rüdiger cało nie ujdzie.

Za folwarkiem, na drodze, wśród ploniących się zbóż, za-
niebieszczyły się pasma ulańskich chorągiewek.

Pułkownik mocniej nacisnął konia i dosięgnął nieba-
wem ociężałe wlokących się szeregowców. Jakiś oficer, za-
gadnięty przez Bema o generała, wskazał mu błyszczącą
gromadkę jeźdźców, stojących pod karczmą przydrożną.

Bem zawrócił konia i w kilka chwil osadził go przed
Bukowskim.

Pułkownik jednym tchem wyrzucił zwięzły raport
o tem, co się stało pod Budziskami, i imieniem Turny za-
żądał odsieczy.

Nalana, apatyczna twarz generała drgnęła. Bukowski
wydął policzki.

— Generał Turno niema prawa wydawać mi rozka-
zów!

— Ależ, generale, tu nie o starszeństwo idzie, lecz o na-
prawienie, powetowanie klęski! — Rüdiger cofa się. Na-
sza dywizja zdziesiątkowana!

— Mam pod bokiem generała Plachowo...

— Dwa tysiące ludzi! — mruknął stojący obok adju-
tant — lecz bezsilnych, bo Różycki...

— Nie pytam kapitana o zdanie! — oburknął się ge-
nerał.

— Wzięto nam kilkuset niewolnika, bataljon strzelców
zniesiony...

Bukowski zaparł swe matowe oczy na grzywie wierz-
chowca.

— Hm! To... należy do generała Turno! On odpo-
wiada...

Bemowi wargi pobiełały.

— I odpowiedział już, bo przez sześć godzin walczył
z czterokroć silniejszym nieprzyjacielem.

— Winszuję mu chwały!

— Więc generał odmawia pościgu? Odmawia po-
mocy?!...

Przez chwilę słyhać było jeno ponury, monotony
chrzęst i tupot maszerującej leniwie kawalerji.

— Mam obowiązek trzymać się rozkazów... Ponieważ
generał Milberg nie wystąpił na linję bojową...

— Więc generał wolisz rejterować! Wolisz zaprzepaścić zwycięstwo! Wolisz...

Bukowski posiniał.

— Jak pan śmiesz do mnie w podobny sposób przemawiać! Jak śmiesz!...

— A jak generał śmiesz dla prywaty...

— Milczeć do stu kull! — zapienił się Bukowski. — Subordynacja do milion! Ja tu rozkazuję! Aresztować każdego!... Sądem polowym rozstrzelam!

Bem głowę wtulił w ramiona, zdało się, iż cugłami szarpnie i na generała się rzuci.

— Rozstrzelasz mnie, mości generale! — syknął groźnie. — Lecz pilnuj się, abyś przedtem nie wisiał!...

Bukowski ryknął z wciekłości i do adjutantów się zwrócił, aby wzięli pułkownika — lecz adjutanci niby pod ziemię się zapadli...

Bem powrócił do Turny drżący, wzburzony. Lecz tu czekała go cięższa, gorsza nowina od tej, którą wioził, bo rozkaz cofania się do Okrzei! Więc rozkaz już nieodwołalnego pozostawienia Rüdigera w spokoju, co gorsze rozkaz, będący rzuceniem na łaskę losu Chrzanowskiego.

Turno ręce załamywał. Zielonka kłął na czem świat stoi. Starszyzna oficerska pomstowała w głos.

Tego samego dnia, wieczorem, za ledwie generał Jankowski zdołał dobyć się z pojazdu przed karczmą w Okrzei — otoczył go tłum zwarty oficerów rozmaitych stopni, żądając, by poprowadził wojsko na nieprzyjaciela, by zaniechał odwrotu.

Generał stęknął płaczliwie:

— Panowie! Z serca bym rad... Wymawiałem się zaszczytu dowodzenia... Rozkazy przyszły... Co robić — co robić!...

Bitwy chcemy! — Na Rüdigera chcemy! — warknął ponuro tłum.

Jankowskiego febra naszła.

— Rada wojenna, panowie — belkotał generał trzęsącymi się wargami. — Rada postanowiła! Toll przez Narew — więc musimy Warszawy... musimy... panowie!...

Ja sam... pierwszy, krzyż oficerski legji nie za ten... nie za ten...

Tu głos Jankowskiego uwiązał w gardle. Żółta, zeschnięta twarz generała przybrała barwę ziemi.

Ręce jego zaparły się kurczowo o paliki opłotków przedkarczemnych.

Przez chwilę słyhać były ciężkie sapanie dowódcy. Tłum milczał, jakby onieśmielony, rozbrojony niemocą, przygnębieniem generała.

Naraz wśród oficerów zerwał się chropowaty głos.

— Precz z Bukowskim, precz ze zdrajcami!!

— Pod sąd polowy! — huknęli oficerowie. — Na szablach roznieść Bukowskiego!

Generał zachwiał się.

— Bukowski pod moimi jest rozkazami... Ja odpowiadam — ja... tylko...

— Więc i jego pod sąd!

— Za dywizję Turny! — Za wycięty w pień konwój taboru! — Śmierć sprzedawczykom!

I tłum oficerów zwarł się, zachrzęścił palaszami i dźwignął się pierścieniem ku generałowi.

Gdy nagle, na tyłach tłumu, rozległo się groźne zawołanie:

— Ani kroku dalej! — Stać!!!

Tłum zawahał się i obejrzał.

— Co to — Kto!? — zaszemrał przeciągle.

— Bem — Bem!

Bem podczas wyrwał się z tłumu i Jankowskiego odeń odgradził.

— Ani kroku dalej! — zakrzyknął z mocą.

— Sprawiedliwość musi być!!

— Więc nie gwałt! Dość na dziś było jednej hańby! Na miejsca, panowie! Do oddziałów!

Tłum zakołysał się niepewnie. Jeden ze sztabowców ujął generała pod ramię i powiodł w głąb karczmy.

Korpus Jankowskiego ruszył nazajutrz ku Wiśle i ruszył w takim nieładzie, w takim rozprężeniu, iż gdyby był Rüdiger nie cofnął się do Łęczny, gdyby, miast trosz-

czyć się o Chrzanowskiego, poszedł w tropy za Jankowskim, niezawodny zgotowałby mu pogrom.

Jeden Turno bowiem wiódł w siakim takim ladzie niedobitki swej dywizji i sznury wozów, wypełnione ramniami. Jeden Turno umiał skłonić oficerów do trzymania marszowego ordynku... Inni nawet nie próbowali kusić się o to...

Na drogach, idących do przeprawy pod Potyczą, wlokły się, wśród skwaru i obłoków pyłu, kupy bezładne zmorowanego żołdactwa a hen, w dali, przed nimi pędziły na wyścigi pojazdy dowódców, bryki sztabowców, kawalkaty adjutantów i oficerów.

A w ślady za ciżbą maruderstwa skradala się żółta, wykrzywiona szyderczo postać zarazy. I za każdą kroplę wody, za sok ożywczego owocu, za głód uciszony, za utulone pragnienie zbierała śmiertelną daninę. Żołnierze padali dziesiątkami. Padali, wili się w konwulsjach i stygli tam, gdzie ich powaliło tchnienie cholery... A który jeno zatoczył się, ten idącym był już obcym, ten już z kompanji, szwadronu był wykreślonym na wieki. Podwajano kroku, byle dalej od tego, co pozostał, byle do Warszawy pędzej...

Do Warszawy pędził Skrzynecki, do Warszawy spieszył i Sierawski i Rybiński, do Warszawy dążyli i Milberg i Bukowski. Imieniem Warszawy całe uchodzące krzepiło się wojsko. Jakby Warszawa mogła im była dać odsiecz, jakby Warszawa była niezdobytą warownią, jakby nie oni byli jej obrońcami, lecz ona niezawodną ich tarczą.

Warszawa tymczasem drżała w posadach na wieść o bitwie pod Budziskami, na wieść o odwrocie Skrzyneckiego, o znów zmarnowanym planie wyprawy.

Pierwszym zwiastunem klęski był Prądyński. On to z Siennicy wprost do sejmu trafił z przedłożeniem dokumentu niedołęstwa naczelnego wodza. Sejm nachmurzył się, choć jeszcze nie spodziewał się, by wróżby Prądyńskiego tak okrutne miały znaleźć potwierdzenie.

Aliści, tuż za Skrzyneckim, przybył do Warszawy pierwszy goniec z pod Budzisk a za nim już w tropy jedna za drugą wieści coraz pełniejsze, coraz gorsze.

Towarzystwo patrijotyczne uderzyło na alarm. Sejm

piorunami łysnął. Rząd szukał winowajców. Cała stolica trzęsła się z oburzenia.

Skrzynecki atoli nie dał się zmóc. W odpowiedzi na oskarżenie Prądzyńskiego, oskarżył Jankowskiego i Bukowskiego.

Tak, bo wódz naczelny zgrzeszył tylko zbyt ostrożnością. Prawda, dał się zwieść Tollowi demonstracją, fortel, symulujący przeprawę, wziął za ruch ku Warszawie! Prawda! stokroć prawda! Jeno w tej prawdzie i dowód, że Toll zaniechał przeprawy dopiero po cofnięciu się Skrzyneckiego z Siennicy! A gdyby był został, gdyby był nie zważał na raport Skarzyńskiego — cha, tego Prądzyński nie dowiedzie, że Toll nie byłby Pragi zaatakował.

Winni!? Są winni! Jankowski nie wykonał planów. Bukowski pospieszył z pomocą Turnie. Milberg winien, sztab korpusu winien. Ramorino winien... I on, Skrzynecki, żąda kary na przestępców, śledztwa, sądu...

Deliberacje były krótkie. Postanowienie zapadło niebawem. I nietylko co do sprawców budziskiej klęski, lecz i co do winnych knozań z nieprzyjacielem...

XVII.

Był zmierzch pogodnego dnia czerwcowego. Pani Madejowa uwijała się za ladą swego sklepiku i niby to służyła gościom, niby to słuchała powiadań, że coś nielada stanie się, bo pod zamkiem gwardja narodowa strażuje — a w istocie coraz niespokojniej poglądała ku drzwiom wejściowym.

Aż nareszcie, kiedy już panią Madejową zupełna miała chwycić alteracja, drzwi stuknęły ociężale, do gospody wszedł Dziurbacki.

Pani Madejowa skoczyła, niby piętnastolatek, naprzeciw i, nie bacząc na domyślne uśmiechy i półsłówka gości, zagarnęła profosa do izdebki i dopiero zagadnęła pośpiesznie:

— I jakże, i cóż?

Dziurbacki, za całą odpowiedź, bęcnął furażerką o skrzynię i osunął się na stołek.

Baba pokiwała głową.

— I znów ani śladu?

— Ani-ani

— Zagalusz yli biedactwo, psawiary! — A cóże audytor?

— Powiada, że śledztwo skończone i tyla. Cydzik, jak kamień w wodę!

A ten najglówniejszy! Jego trzeba wypatrzyć! — Obaczyciel... Byle, byle sobie nie dopuszczajcie, panie Pietrze! — Na mszę do Panny Marji dalam! A jakże! I dam jeszcze... bo kiedyżeśmy sobie obiecywali... — Przepijcie pieprzanki! Na zdrowie.

Dziurbacki ledwie usta zmaczał. Pani Madejowa podsunęła na miseczkę siadłego mleka i talerz kartofli.

— A słyszał pan Pietrz, że musi generalów będą strzelać...

Dziurbacki skrzywił się pobłaźliwie.

— Tam, mosanie!

— I mnie się nie widzi! — podjęła politycznie pani Madejowa. — Ludziska gadają, co im ślina!... Gdzieżby generalów!

Profos cmoknął hałaśliwiej mleka z łyżki.

Baba skwapliwie chwyciła się tego dowodu niejakiego ożywienia się Dziurbackiego.

— Zwyczajne prostactwo, nie znające się na wojskowych sprawach! Uh, bo i nie każdemu sądzono. A wie pan Pietrusz — niech się ździebelko przysiędę — że już murarz stancję obok wyprawia...

Dziurbacki zmilczał, jakby nie rozumiejąc przymówki. Baba pociągnęła smętnie nosem.

Naraz, za drzwiami wiodącemi do sklepiku, wszczął się zgielk pomieszanych głosów. Madejowa zerwała się z miejsca. Lecz w teże chwili do izdebki wpadła Kasia.

— Pani gospodyni...

— Rany boskie, co się stało?!...

— Generalów i zdrajców różnych prowadzą do więzienia na Zamek!

Dziurbacki dźwignął się z za stoła.

— Co zaś za banialuki, mosanie!

— Jako żywo!!! Musi wieszać zaraz będą!...

Profos chwycił za furazerkę i wypadł na rynek. Madejowa wionęła za nim spódnicami.

Stare Miasto wrzało od poplochu i zamętu. Jedni ryglowali co tchu sklepiki i uprzętały stragany, drudzy zbijali się w pomstujące gromady, trzeci pędzili ku wylotowi Święto-Jańskiej ulicy, inni od strony Zamku biegli z nowinami.

Dziurbacki bez wahania podążył do placu króla Zygmunta. Pod katedrą atoli zagroziła mu przejście zwarta ciżba ludu.

— Co tu, mosanie! — Co się dzieje?

— Śmierć sprzedawcykom! Śmierć generalom!

Profos szarpnął się.

— Puszcząć! Ustąpić z drogi!

— Niema przechodu!

— Jakto niema!? Ustąp, pókim dobry, do stu par diabłów!

Mieszczuchowie stropili się i zakolysali się niepewnie. Profos podał się naprzód łokciami i, sekundowany pilnie przez Madejową, przedarł się na front ciżby, kędy, u wyjścia na plac, warta narodowej gwardji trzymała kordon.

Stąd już bokiem, w lewo, wzdłuż kordonu, przedostał się ku murom zamkowym i uwiązał we wstędze zbitego pogłowia ludzkiego.

Pani Madejowa, z właściwą sobie rezolucją, wnet z cłaczającym ją tłumem bliższą zawarła komitywę i jeła rej wodzić. Dziurbacki o słup latarni się zaparł i poglądał apatycznie przed się.

Dokola niego ścierały się racje, który z generalów winniejszy, dokola niego toczyły się bezładne rozprawy o tem, który z dygnitarzów wart stryczka, a który ołowianki — a profos stał bez ruchu pod latarnianym słupem, obojętny, głuchy na wzburzenie ciżby.

Zagadywała doń pani Madejowa, odzywali się sąsiedzi, Dziurbacki zmagął się i słowa dobyć z siebie nie mógł. Rozumiał jeno, że to, z czem tyle lat po świecie chodził, co za święte miał, wyrwano mu z pod serca i rzucono na sponiewieranie,

Aż raptem, od strony Senatorskiej ulicy, rozległ się ponury wrzask: jada! — jada!

Cizba zakolysała się. Na skraju placu mignęły czerwone języki pochodni i jęły zdążać szybko ku bramie zamkowej.

Wrzask przeistoczył się w wycie zajadłe, wściekłością drżące.

— Śmierć zdrajcom! — Na latarnię szpiegów! — Na szubienicę! — ryczała tłuszcza, napierając kordony gwardzistów.

— Ukamienować lotrów! — ryknął ktoś w tłumie.

— Ukamienować! — podjęły chrapliwe głosy...

— Grad kamieni, kału, błota zaczął bluzgać ku korowodowi czerwonych języków.

Profos oczy rozwarł szeroko i poglądał. Nadciągające światła pochodni oślepiły go na mgnienie.

— Jankowski z Bukowskim! — pisnął mu dyszkant nad uchem.

Dziurbacki wzrok natężył. I oto, pośród eskorty, z głębi pojazdu, zasrebrzyły się ku profosowi generalskie buliony i wychyliła twarz blada, zastygła w bolesnym skurczu.

Dziurbackiego dreszcz przeszedł.

Był to generał Jankowski!... Generał dywizji, pierwszego strzelców konnych dowódca... To on! Znał go, pamiętał... Z ósmym pułkiem piechoty w raszyński ogień pod Godebskim szedł...

Gruda błota śmignęła z cizby i buliony generalskie Jankowskiego zbryzgała...

Dziurbackiemu w oczach pociemniało. Zaparł się oburącz o latarnię i dyszał ciężko.

A tymczasem, za pierwszą kawalkadą, pędziła w głąb bramy zamkowej druga, trzecia, czwarta, piąta.

Za szóstą tłumy mocniej, przeciąglej zawyły, czem nie tylko ocknęły profosa ale i jego towarzyszkę podnieciły do reszty.

— Nastąpcie się, panie Pietrze, niech kamienia wyrwę...

— Co waspani!?

— Szargule jada!

— Kto!?

— Wywłoki szpiegowskie, kochanice, moskiewskie wygodniczki, jędze morowe!

— Nie waspani są!

— Aby się przyłożył! — wrzasnęła baba z pasją i, zwinawszy się sprawnie, wydrapała gleń spieczonej ziemi i zamachnęła się, by nim rzucić w jasną główkę dziewczęcia, poglądującego wystraszonemi oczyma z eskortowanego wozu więźniów.

Lecz w tejże chwili profos ryknął nieludzkim głosem i z rąk baby wytrącił groźny pocisk.

Madejowa zatoczyła się. Dziurbacki runął na kordon gwardzistów w stronę wozu. Gwardziści murem się stawili. Wszczął się tumult i szamotanie. Profos, potraktowany kolbami karabinów, zachwiał się i zaparł, odrzucony, o latarnię.

— Laboga, panie Pietrz! A wam co...

— Antoszka! — wybelkotał Dziurbacki.

— Gdzie, na wszystkich świętych!?

— Tam, na wozie!...

— Panno najslodsza! Mościewy, ze szpiegówkami! Na Zamek!

— A waspani w nią właśnie!

— Rozstąp się, ziemio!... Niby ta... ta... kędzierowata! Panie Nazareński; i toto niebożatko! Opatrzność Boska, toż bym w grobie spokoju nie miała!... I jakże ona między te — te!?... Przecież sprawiedliwość...

Dziurbacki kopnął z pasją gleń ziemi, leżący tuż.

— Belta ci się tu waspanina.

— Aby już pan Pietrz nie psuj sobie. Jeszcze ku dobru wyjdzie. Znajomka mam na Zamku! Tyle przynajmniej, że jest... że wiadomo, kędy patrzeć, kędy ratować! Ale żeby drobiazg taki ze zdrajcami...

— Generalami, mosanie!

— Których na przeniewierstwie...

Dziurbacki nasrożył się.

— Generalowie — powiadam, mosanie!

Baba zachłysnęła się z pomieszczenia i zaczęła tłumaczyć się profosowi, lecz słowa jej zagłuszył wznagający się znów ryk tłumu.

Tym razem jakaś dzika, szalona wściekłość targnęła ludzkim pogłowiem. Kordony gwardji narodowej ostatkiem sił wytrzymały napór fali, broniąc przystępu do posuwającego się ku Zamkowi pieszemu konwojowi straży.

Po dwakroć już wolny przestwór drogi załala rozhułkana cizba, po dwakroć straż własnymi pierściami osłoniła prowadzonego więźnia.

— Hurtig! Hurtig! — wyły złowrogo tłumy. — Brać go! — Na latarnie katal! — Nie dać żywcem! — W sztuki rozszarpać! — Oprawca! — Lotr!

Gwardzistom mdlały ramiona od szamotania się z motłochem. Żołnierze i dowódzca konwoju ślaniali się wy-czerpani, ogłuszeni, oszołomieni.

Hurtig podczas szedł śmiało, z głową podniesioną, wyprostowany, hardy, zimny.

Znienawidzony komendant Zamościa, nieublagany służbista-general, sam do niedawna ponury więźniów dozorca, głuchy na jęki argus kazamat fortecznych — nie uронił nic ze stalowego wejżenia, nic ze swej butnej postawy.

Grad kamieni, błota, przekleństw, obelg, plwociny bluzgały weń co kroku. Sznurek krwi, z okaleczalej pociskiem skroni, sączył mu się, spływał po twarzy ku haftom generalskiego kołnierza — a jego stosowany kapelusz precz górował nad szalejącą tłuszcza a jego potężne bary ani myślały się ugiąć.

Lecz ta hardość generała, miast uszanowanie wdrożyć, podnieciła motloch, rozbestwiła.

Cizba huczająca w pobliżu Dziurbackiego, umilkła raptem, odstąpiła od kordonów gwardji, cofnęła się. I w chwili, gdy gwardziści, uwolnieni od naporu, rozluźnili szeregi — uderzyła w nich z taką siłą, że łańcuch wojska prysnął na strzępy, że znikł konwój, eskortujący więźnia...

Stało się to tak szybko, tak niespodzianie, że, zanim oficerowie zdołali pomyśleć o obronie, o stawieniu czoła napastnikom, jeno tumult i kotłowanie się ciał ludzkich znaczyło miejsce, kędy nad Hurligiem pienila się wezbrana fala cizby.

Podczas Dziurbacki z Madejową, uniesiony naporem, znalazł się w pobliżu miejsca ponurej rozprawy z komeń-

dantem Zamościa. Profosa żgnęło coś. W pierwszym odruchu chciał wyrwać się z objęć tłumy — ujsć — gdy nagle jakiś rechoczący drab podjął z ziemi, wytraconą żołnierzowi, płonąca pochodnię i darł się z nią do generała.

— Dawać go! Niech przysmażę zbója!...

— Ognia — ognia! — zawyły głosy.

— Podać go tu!

— Żywcem!

Dwadzieścia, zaciśniętych konwulsyjnie, kiści dźwignęło ofiarę.

Ponad ludzkim pogłowiem zakolysało się skrwawione, odarte do naga, ciało Hurliga.

Drab wyciągnął ramię z pochodnią, ale, zaledwie, sięgnął, jakieś potężne uderzenie pięści powaliło go na ziemię...

Tłuszcza warknęła strasznie i przeciwko obrońcy się zwróciła. Lecz ten ani myślał uchodzić z pola. Zbrojny naseczonym dębczakiem parł naprzód, zadając okrutne razy, młócąc bez pardonu dokoła, a torując sobie drogę do Hurliga.

A nacierał tak zaciekle, tak srodze, że ciżba zaskowyczała i rozpadła się na wsze strony, pozostawiając Hurliga u nóg jego obrońcy...

Ale to zwycięstwo było krótkiem. Motłoch bowiem, rozwarłszy wolną polanę i zoczywszy jednego zaledwie przeciwnika, runął zewsząd, by go pochłonać...

— Naprzód! Zadławić i psiego kamrata!... I z tym poigrać... Huzia na szpiegów! Obu na latarnię...

Obrońca generała zawinął młynka dębczakiem.

— Rzuć kij, hyclu! — wrzasnął zdławiony dyszkant.

— Rany Chrystusowe, panie Pietrz! — pisnęła rozpaczliwie pani Madejowa.

— Wara takie syny! — huknął zajadle obrońca. — Mores dla generała! Ja wam psiekrwie sądy wygarbuję!... Szlusuj, żebym wam pysków naznaczył... po równości!...

Przy tych słowach dębczak świsnął w powietrzu i jął grzmocić naokół.

Tłum jednak, pomimo razów zadawanych, zaciskał pierścien. Aż nagle dębczak osłabł... Na plecach obrońcy

Hurtiga zawisł bowiem szary, nikły cień, z pozoru lachman ludzki, chwiejący się bezsilnie w takt szarpania się nastopowanego... Lecz lachman ten miał dwoje kościstych szponów, które wpiły się w szyję i zamknęły jak paszczyka buldoga...

Od boku pluton żołnierzy bagnetami torował sobie drogę, aby tłuszczę rozpędzić. Przychodził atoli już za późno.

Obrońca tracił oddech, miał lada sekunda paść i miazga swego ciała bryzgnąć na skrwawiony kadłub Hurtiga, gdy, w tem, kleszcze szponów zelzały. Oto, na wiszącej mu na plecach szmacie, zaparły się pękate, obrzękłe ręce pani Madejowej i darły ze szmaty pęki nici...

Ta odsiecz niespodziewana dała obrońcy przewagę jednego jeszcze uderzenia... jednego tchnienia... Pozwoliła mu, padając, dostrzec nad sobą ostrza skrzyżowanych bagnetów...

Do późna w noc wzburzony motloch zlorzeczył przed Zamkiem, do późna w noc mimo patrole, warty, zaklęcia gubernatora i wezwania samego księcia, prezesa Rządu — dobijał się do bram, wył o wydanie mu zdrajców. Do późna w noc ulice Warszawy pulsowały, rozbrzmiewały okrzykami pomsty, do późna w noc załoga stała pod bronią, do późna w noc każda minuta groziła wybuchem bratobójczej rozprawy.

Gdy się to działo, na dole, w jednej z izb zamkowych, opatrywano nieszczęsnego komendanta Zamościa i jego obrońcę.

Pierwszy z nich, choć pobit i okaleczon srodze, odzyskał wnet przytomność. W zamian drugi, który zaledwie na szyi miał kilka sinych, krwią nabiegłych ranek, znaku życia nie dawał. Dwóch cyrulików ze sztabs-lekarzem rzeźwiło go solami, nacierało — daremnie. Niby ciepło trzymał, niby kołatało mu się serce, lecz co tchu wyraźnego, ani-ani. Na dobitkę utrapienia dla lekarza i cyrulików, baba jakaś, musi zmartwiałego rodzona, przypięła się do wezglowia i wrzaskliwym lamentem utrudniała cucenie.

Fukał na babę medyk, upominali cyrulicy, oficer służ-

bowy chciał ją precz wyprowadzić. Napróżno. Baba pazurami się trzymała posłania.

— Zabijta mnie a nie pójdę! Ludzie, laboga!... Gwaltu, niech przy nim ostanę!

— Nie krzycz acani!

— Słowa nie pisnę! — Nieszczęśliwa godzina, jednego na świecie miałam! Rozbójników półtorasta na niego jedynaczka... Laboga!

Aż medyk porwał babę za ręce.

— Chcesz żeby żył, do czarta!?

— Arko przymierza!

— Gadaj!

— Domie złoty!

— Więc nie rycz, acani, bo tę krzynkę życia z biedaka wypędzisz!

Baba uciszyła się nieco. Medyk skinął na cyrulików. Obnażono nieprzytomnemu ramiona, nałożono zawiązki i puszczono krew. Obroniciel Hurtiga poruszył się.

Medyk odchrząknął z zadowoleniem.

— No, wygrzebie się rychło! Zelżało mu. Krew zła go przydławiła...

— Niebożátko moje!

Oficer rozśmiał się do medyka na to żalosne westchnienie baby.

— Ze dwa mędle ludu wszelkiego napsował.

— A nie młody człek.

— Hurtiga podkomendny?

— Kto go wie. Artyleryjski mundur, coś na to wypadnie. Zobaczymy, co śledztwo...

— Myślisz, poruczniku, że go będą ciągali za to, iż nie dopuścił do zamordowania generała?

Oficer strzepnął bezwładnie rękoma.

— Takie czasy. Jego za to, że bronił, a tamtych, że napadali.

Puszczenie krwi tymczasem swój zbawienny jęło okazywać skutek. Zdlawiony coraz równiej, coraz pełniej oddychał.

W izbie pozostawiono jednego cyrulika i nie tyle dla pielęgnowania chorego, ile dla czuwania nad babą, która

przykucnąwszy u wezglowia, kiwała się teraz melancholijnie, mrużąc jakieś niezrozumiałe modlitwy.

Szary rozbrzask jał powoli skradać się do izby poprzez zakratowane okna. Kaganek oliwny skwierczał i chwiał smętnie swym coraz węższym, żółtawym ognikiem. Cyrulik chrapał na ławie pod ścianą. Baba mrużąc w półsennie.

Naraz, zdławiony odetchnął silniej i stęknął. Baba zerwała się i przypadła doń.

— Chwała na wysokość!...

— Pani Madejowa!...

— Rety, panie Pietrze...

— Dajcie wody!

Madejowa podała Dziurbackiemu, przygotowany przez medyka, napój. Profos lyknał, odsapnął, zmacał ręką obwiązaną szyi i potarł ręką czoło.

— Ulżyło wam — co?

Dziurbacki potrząsnął głową.

— To ta sekutnica zatracona! Może cyrulika zbudzić, niech rai...

— Nie poradzi!

— O ja nieszczęśliwa sierota!

— Wszystyśmy sierotami.

Baba ze zdziwienia klapnęła zębami powietrza.

— Jakże, mój zlocisty!?

— Polski nie będzie.

— Po... powiadacie?

— Nie będzie, pani Madejowa.

XVII.

Noc z dwudziestego ósmego na dziewiąty czerwca, która, w pojęciu Sejmu i Rządu narodowego, miała być ciosem śmiertelnym dla rozpasanej demagogji, wdrożyć zaufanie do władzy, przekonać o jej energii, sile i sprawiedliwości, wręcz odmiennie wywołała następstwa.

Uwięzienie gromadne nietylko rzekomych sprawców klęski pod Budziskami, lecz i szeregu osób, podejrzewanych o spiskowanie z nieprzyjacielem, było atutem dla

zwolenników tradycji Konwentu francuskiego, było zwycięstwem judzonego motłochu, dowodem słuszności jego oskarżeń.

Rząd narodowy obwieszczał najsurowsze śledztwo na uwieczonych, Katońów zbierał na sąd, patrolami, armatami groził ludowi, a lud w odpowiedzi domagał się nowych ofiar.

Obocześnie, karna podotąd, powolna władzy część obywateli zachwiała się. Najdziwaczniejsze wieści o winie strasznej Hurtiga, Sałackiego, Słupeckiego, pani Bażanow, Marchockiej, Parysowej krzyżowały się z dowodzeniami, iż rząd pozorów się chwycił, iż jeńcy, trzymani na Zamku, ani myśleli o knowaniach, że słuchy o arsenałach tajnym, przez partję rosyjską przysposobionym, są wierutnym fałszem. Manifest naczelnego wodza, który już z całym impetem zapowiadał kary na winnych jego niedołęstwa... ścierał się z głośnymi zarzutami ex-kwatermistrza. Tu kruszono kopje o Skrzyneckiego, ówdzie poniewierano go — jedni wojsko potępiali w czambuł, drudzy mieszanie się cywilów i kauzyperdów — ci gardłowali za potrzebą dyktatury, rejencji samowładnej, owi domagali się trzystu władców, tu żądano szubienic na panów i dygnitarzów, a tam kartaczów na tłuszcę.

Z tego zamętu wynikło, że, już nazajutrz po aresztowaniach, wypuszczono i tych, co poturbowali konwój i poranili Hurtiga i tego, co w obronie generała stawał.

Dziurbacki, który był do rana zupełnie wydobrzały, miał uradować się obwieszczonej mu uroczystości laskowości dyrektora policji, jął napierać się wydania mu uwiecznionej Antoszki.

Komendant Zamku, na gorące instancje profosa, do sędziego Łanowskiego z nim poszedł. Łanowski na pierwsze słowo o dziewczynie — uniósł się gniewem.

— Jaki mości komendancie? Chyba waszmość dworujesz sobie! Toć nawet cała nasza komisja śledcza niema prawa bez zgody sejmu...

— Lecz panie sędzio, idzie tu właściwie o uwolnienie aresztowanego, przez pomyłkę niechybnie, dziecka...

Łanowski szarpnął poszytem aktów.

— Przez pomyłkę?... Zaraz — o kogo idzie... Mamy tu zapisaną... tylko! Aha!... Niewiadomego nazwiska... przy aresztowaniu generała Hurtiga, w mieszkaniu majorowej Krasnodębskiej... pojmana w chwili, gdy chciała ukryć z rozkazu majorowej... innej dziewczyny niema! — Więc, jeżeli komendant masz jeszcze drugą pod kluczem...

— Mamy jedną, oprócz córek pani Bażanow... Wachmistrzowi właśnie o nią idzie. Powiada, że to dziecko prawie i porwane mu w dodatku.

— Dziecko! A w aktach stoi, papiery chciała skryć...

— Gdyby pan sędzia raczył jednak uzalić się starego żołnierza.

Lanowski poglądził bokobrodów.

— Jeżeli nieletnia, to nic jej nie będzie... zobaczy się! A zaraz, jest tu odsyłacz do protokołu audytora.

Lanowski sięgnął do innego poszytu, rozwarł go i, przebiegłszy szybko treść pierwszych stronic, uderzył w nie dłonią.

— Jest, jest czarno na białem wszystko, co trzeba! — Znajda, cyganiątko, przygarnięte przez pułkownika Bema?... Czy tak?

— A... akuratnie, proszę łaski sędziego! — przyznał z ukontentowaniem Dziurbacki.

— Oddane pod opiekę pani Marchockiej.

— O to-to!

— No więc, mości komendancie, w odpowiedzi na twoją instancję, mogę ci jeno zalecić, byś dziewczynę osadził w oddzielnej izbie i podwoił strażę! — Jest to niebezpieczne stworzenie. Cały proces o zdradę stanu o nią się oprze.

— O to maleństwo?!

— Zgola szpetne. Piotr Dziurbacki, wachmistrz artylerji konnej, poczynił bardzo ciężkie dla dziewczyny zeznania...

Profos wyszedł z zamku złamany, oszołomiony. Pani Madejowa, która nań u bramy czekała, przygnębienie Dziurbackiego wzięła za następstwo słabości i, zagarnawszy go do siebie, po swojemu kurować i krzepić poczęła.

Napróżno, wachmistrz chleptał posłusznie zadawane

mu ziółka, poddawał się rozkazom, snuł się, włóczył na Pragę do koszar, niby rozumiał się na wszystkim, niby cieszył staraniami Madejowej która, przez znajomą sobie żonę zamkowego furjera, już dwa razy koszyczek przy-smaków dla Antoszki wyprawiła — a przecież był tak niemowny, taki przygnębiony, że nie do poznania.

Panią Madejową żalność aż sparła. Od momentu, kiedy to pan Piotr z dębczakiem mrowiu całemu się stawił, pięć-kroć był jej bliższym! Gdzieżbo która niewiasta wymarzyćby sobie mogła lepszego junaka. A tu, nagle, choroba nie choroba. Niby ten sam a prawdziwie, dudy w miech, nie ten człowiek, nie ten chwąt.

I wzdychała pani Madejowa po kątach i dopuszczeni-ami się gryzła, czyli rozumu nie przetrącono wachmi-strzowi lub czyli z wysilenia moc na wieki nie odbieżała. Obocześnie radziła się kumek i sąsiadek i coraz to inne stosowała leki.

Jedyną wśród tej zgryzoty pociechą pani Madejowej było, że profos, niegdy oburkliwy i nieprzystępny, zlagodniał do cna, że dawał się smarować, namaszczać obsta-wiać bańkami a nawet hołubić w betach. Smakowała z tej powolności pani Madejowa, do uprzykrzenia.

Obrzednia pociecha w żuźle zimne dmuchać.

Dziurbacki tymczasem wodził się z własnem sumie-niem i borykał z okrutnymi wyrzutami. On wszak ci, przez swą nieszczęsną chytrłość, wydał Antoszkę na wię-zienie, on przecież wykoncypował bajkę o znalezieniu pa-pieru w odzieniu biedactwa, on i ją zgubił i siebie pogra-żył. Z wielkiego sentymentu i czułości dla dziewczyny nałgał tak, że w cztery konie nie wyciągnie! Chybaby, chybaby samemu iść i przyznać się do lupieństwa, do ogra-bienia cygańskiej budy i pod sąd polowy iść, jak maru-der, jak najostatniejszy. Bierz djabli! Co kręcić? Ciulał, nie od Ostrołki ciulał. Żywemu nie brał, tylko temu co był prawie. Miało zbutwieć, lepiej, że się przygodziło do skrzyni. Et-ta, chryja wielka! Kulą w łeb? Tyla mu ich nagwizdało, że go jedna może zmacać. Ale cóż wtedy ze smarkułą? Na niedolę sama pójdzie. Bosówką ponieważ-rać się będzie. Jego śmierć — jej niedola. — Choć głową

w mury zamkowe bij — nie poradzi. A tam drobiazg lamentuje, może opiekuna swego zwie... a tu potępienie, mary podłe szczerzą doń zęby i prychną z uciechy, iż na profosa boleść przyszła. Osobliwie ten wielki kirasjer. Czyha wciąż na zamknięcie powiek Dziurbackiego, aby mu rzeźić nad uchem i rozplatanym szerepem krwawić...

Dywizja Turny a z nią baterja pułkownika Bema, dziwnym zbiegiem wypadków, przez cały tydzień nie wiedziała nic o niepokojach warszawskich. Wprawdzie ku temu przyczyniła się okoliczność, że rozkaz naczelnego wodza rzucił Turnę na lewy brzeg Wisły i kazał mu wedety od Góry Kalwarji aż do Puław trzymać. Ale chociaż Turno tak znacznie był oddalony od sztabu i głównej kwatery, przecież co dnia słał i odbierał depesze, z niemi mnóstwo nowin i ani słowa o rozruchach i aresztowaniach w Warszawie.

Turno, jeden z pierwszych, był powiadomiony o tem, że Paskiewicz zjechał do Pultuska i objął dowództwo po Dybiczu, że ogłoszono pospolite ruszenie, że generał Własow zajął Płock, że galary ze zbożem zagarnęli kozacy pod Modlinem. Turno otrzymał nawet manifesty Rządu narodowego i Skrzyneckiego, manifesty, wydane po uwięzieniu generałów, i głowił się wraz ze swymi oficerami nad znaczeniem apostrof do wykrytych zbrodni.

Na tem odcięciu chwilowem od stolicy zdziesiątkowana dywizja dobrze atoli wychodziła. Pomimo bowiem służby wedetowej i rekonesansów miała czas wypocząć, polatać szczerby, sformować przeredzone szeregi. A już najlepiej skorzystała na tem baterja. Dla niej bowiem nastaly dni wczasów i to pożądanych wielce, osobliwie dla tej części, która pod Budziskami była. A że nadto pułkownikowi wypadło kwaterować nad Warką, w dobrach Prozorów, więc w tydzień nie tylko, że konie skompletował tęgimi mierzynami, nie tylko że odpasł zbiedzone, ale rekrutem ochotnym wypełnił ubytek i z grubsza oswoił go z regulaminem.

Po tygodniu zupełniej ciszy, nadeszła do Turny sztafeta z rozkazami, aby ruszył natychmiast na prawy brzeg Wisły ku Modlinowi a baterję artylerji odesłał na Pragę.

Turno rozesał natychmiast adjutantów na zbieranie wedet i ściąganie rozproszonych oddziałów. I dopiero, uporawszy się ze służbowemi dyspozycjami, zajrzał do pakietu listów dla dywizji. Pakiet zawierał paczkę gazet warszawskich, wypełnionych po brzegi echami aresztowań, oskarżeniami, pamfletami, nowinami o wykryciu sprzysiężenia, pojmaniu zdrajców, pochwyceciu w Skierniewiczach jeńców, którzy knuli zbrojny napad na postereunek ułański.

Turno, Bem i Zielonka zatrzęśli się ze zgrozy, z przerażenia. Gazetki bowiem wręcz za zbrodniarzów ogłaszały uwięzionych i dowodziły tak, że ani wątpić, ani się ludzić.

Zielonka mało nie plakał z alteracji.

— Boże, Boże, tego nam trzeba było! I kto — kto?... Taki Sałacki! Człek gołębiego serca z pozor! Hurtig! Pies był, brytan na literę przepisu! Łukasiński przezeń nacierpiał się! A Białopiotrowicz!... Tak — lecz żeby miał zdradzać...

— Wyraźnie stoi napisano!

— A choćby Bukowski! Pokpił bitwę. Zarozumiałcem, nadstawkopytkiem całe życie był. Rzetelnie winien zdać porachunek za Budziska. Ale Jankowski! — Generale, choremu niedoładze dano dowództwo! Niechby nareszcie! Formalność żąda de nomine! Ustępuje! Jest prawo! Lecz, nie ma prawa, by generałów wlec jak opryszków!...

— Panie Benedyckie — z tego, co piszą, wynika, że Bukowski z Jankowskim nie za jedną wyprawę na Rüdigeru uwięzieni zostali...

— Straszne, nieslychane! Oficerowie zasłużeni, kawalerowie legji!

— To niepodobieństwo! — uniósł się Bem.

Turno potrząsał trzymaną gazetką.

— Jednakże pułkowniku...

— Kalumnie, złość ludzka, fatalność, mataczyny, poduszczenia wszystko co chcecie, lecz nigdy zdrada!

— Skądby więc, zdaniem pułkownika...

— Nie wiem, nie ogarniam! Przypuszczałbym tu chęć zwalania odpowiedzialności za ostatnią bitwę...

— Tym argumentem możnaby osłonić Jankowskiego,

no i Bukowskiego. A gdzie Sałacki, Słupecki a gdzie Hurtig!

— Za Hurtiga dałbym rękę. Nie swat mi, nie przyjacieli! Gdyby mu kazano trzewia mi wyrwać, Hurtigby, dla ścisłości, i żyły mi wypruł. Taki był zawsze. Takim znalazłem go za Księstwa Warszawskiego. Brat rodzony Blumera. Żoldak, ale nie podlec. Na mój rozum, generale, jakaś hydra na nas się zasadziła! Hydra, której nie dość kul, nie dość przegranych bitew, nie dość moru, nie dość waśni naszych — jej trzeba jeszcze wojny cywilnej, bratobójstwa. Ta hydra czyni, aby generalicję pohańbić, aby ostatkiem dowódców naszymi rękoma dobić, aby tej ziemi nawet wspomnienia czystego nie zostawić, nawet skazić krew, dla niej wytoczoną...

— Sprawiedliwie, sercem rzekłeś panie Józefie! — pochwylił Zielonka. — Ot rzecz!

Turno, który był rozpatrywał gazetkę, spojrział dziwnie na pułkownika.

— Hm — być może. Gotów jestem nawet przypuścić, że to poprostu dla złamania nas, dla wytrącenia oreża, usidlono nieopatrnych! Niemniej o coś więcej iść musi, niż o samą nieopatrność. Zważcie, że uwięziono cukiernika Lessła, cały szereg kobiet.

— I kobiet!!

— U majorowej Krasnodębskiej znaleziono kompromitujące papiery.

— Kochanki Hurtiga!

— Tak. Dalej panią Bażanow z córkami i pannę Sałacką przyłapano na korespondencji z kwaterą Tolla...

— Pierwsza do męża pisywała — wtrącił Bem — druga zadurzona po uszy w oficerze sztabu Kuruty...

— Aa! — Pułkownik zna...

— Znam i wiedziałem o tem — odrzekł bez wahania, nie zauważywszy oziębłego tonu generała. — Biedny Sałacki martwił się tem i dręczył. Panna, rozkochana na zabój, nawet zmówiona jeszcze przed rewolucją...

— Więc będzie mógł pułkownik udzielić sądowi wyjaśnień.

— Dlaczegożby nie. Chętnie... Byłem nawet mimowol-

nym świadkiem przymówek Sałackiego... raz na zebraniu u pani kapitanowej Marchockiej...

— Pani Marchocka jest również uwięziona! — uciał oschle Turno.

Bem zmieształ się.

— Pani Anna?...

— Nie inna!

— Ależ to niemożliwe!...

— Dlaczego — z rozmilowania wielkiego do jakiegoś innego oficera.

Bem tak był przejęty, że nie zrozumiał intencji Turny.

— Pani Marchocka jest niewinna.

Generał złożył trzymaną gazetkę.

— Przekonamy się wszyscy niebawem, zwłaszcza iż donoszą o podejrzeniach, które na wiele jeszcze osób padają... Więc kiedy pułkownik rusza do Warszawy?

— Na wieczór będę gotów do pochodu.

— A zatem wymarsz na noc.

— Według rozkazu generała. Snadziej nawet o chłodzie.

— Tak. Na południe, jednym popasem, będziesz pułkownik na Pradze. I dobrze, bo myślę, że tam pułkownika pilnie potrzebują...

— Czy generał ma w tej mierze...

— Nie, tak jeno myślę! — A... jest tu list do pana! Nie zauważyłem.

— Do mnie? — List?

— Najoczywiście, proszę.

Bem złamał pieczętkę, spojrział i drgnął. List zawierał dwa zdania, nakreślone drobnem, niepewnem pismem: „Ratuj, pułkowniku, niewinnie uwięzioną. W tobie cała moja ufność. Anna M.“

Bema rozlargnienie zdjęło. Zapatrzył się tak uporczywie w literki misterne pisanie — że dopiero trzecie z rzędu ozwanie się doń Turny ocknęło go.

— Daruj, pułkownik, że ci przerywam... snąc ważne zaskoczyły cię nowiny...

— Istotnie, generale — bąknął Bem, chowając pospiesznie list..

— Lecz ponieważ pilno mi...

— Mam honor tymczasem...

— Więc dziś na noc?

— Według rozkazu.

Gdy Bem się oddalił, Zielonka zafrasował się dobrodusznie.

— Coś Bema tknąć musiało...

— Obawiam się, czy go nawet nie dosięgnęło.

Zielonka wyrzucił do góry swemi krzaczastemi brwiami.

— Jakto?!

General rozpostarł przed nim gazetkę.

— Patrz, czytaj panie Benedykcie.

Zielonka podniósł gazetkę ku światłu. Na liście osób, których uwięzienia domagano się, widniało nazwisko Bema.

XVIII.

W godzinę niespełna, po przybyciu na Pragę i wysłaniu meldunku do sztabu głównego, Bem, najętym wózkiem, pędził już do Warszawy, pędził wprost do Zamku.

Pulkownika niecierpliwosć paliła. Na Pradze zastał plikę całą papierów. Z komisarjatu, z magazynów, od dyrektora amunicjów, nominację dla Ilińskiego na podporucznika a co najważniejsze rozkaz, aby dowództwo baterji na Orlikowskiego zdał tymczasowo a sam na dalsze rozporządzenia czekał. Słowem tyle odebrał różnych dyspozycji, że w każdym innym razie miałby na cały dzień do czynienia, że, w każdym innym razie, ruszyłby natychmiast dociekać przyczyn, które go pozbawiały dowództwa baterji. Tego dnia atoli chłonęła go jedynie myśl o tej, która wzywała jego pomocy, która cierpi uwięziona, która tam liczy sekundy, która, nie mając odeń wiadomości, zwątpiła o nim niezawodnie... a którą on ocali, dobędzie, uwolni.

Pulkownik, jak zawierucha, dopadł straży zamkowych, zekpał porucznika, nastraszył komendanta general-gubernatorem, wędzem naczelnym, prezesem rządu, lecz tyle

wskórał iż, po godzinie pertraktacji, sporów i tłumaczeń, dotarł do sędziego Łanowskiego.

Sędzia, na ogniste wystąpienie pułkownika, skrzywił się sarkastycznie.

— Niewinna? Może być! — Daj Boże, prowadzi się śledztwo... Weźmie się pod uwagę, że pułkownik rad jesteś świadczyć... Nawet już się to wzięło. Owszem jest zapisano...

— Lecz jaka wina ciąży na pani kapitanowej Marchockiej?

— Nie mam prawa... Zobaczysz się dopiero.

— Więc bez dowodu, bez...

— No, niezupełnie. Widzi pułkownik, trudno odrzec. Akta nieukłónczone. Jeszcze spodziewamy się papierów...

— Ależ, ależ to niegodne! Zohydzić osobę...

— W każdym razie bezpieczniej jej na Zamku, niż u siebie. Pułkownik się dziwi. A tak przecież jest. Długoby rozpowiadać. W mieście wzburzenie. Pogłosek mnóstwo. Kapitanowa Marchocka była w relacjach z panią Bażanową... a tę właściwie pułkownik sam oskarżył. No tak, znalezione papiery. Po nitce do kłębka. Wyszło pułkownikowi z pamięci! Rozumiem, marsze, pochody. — Ale wyklaruje się, wyklaruje bezwątpienia...

— Lecz kiedy nareszcie! Wszak ci to drugi tydzień! Sędziemu może nie pilno, ale niewinnie...

Łanowski pogładził się po łysinie.

— Tak się mówi, pułkowniku. W istocie zaś nikomu nie pilno a już szczególnie aresztowanym... Pułkownik nie ogarnia. A to proste. Gdyby pułkownik był w położeniu...

— Nie mówmy o tem. Będę wiedział, do kogo się mam zwrócić. Tymczasem żądam widzenia się z panią Marchocką.

Łanowski aż na krześle poskoczył, lecz wnet się pomiarkował.

— A, widzenia się!... I owszem. I nie tylko z kapitanową, jeżeli wola pułkownika. Nawet, nawet namawiałbym pułkownika. Jest nieco późno, zmierzch zapada. Ale to może wyrzucić dobry wpływ.

Bem stropił się nieco półusmiechem, który jał błąkać się na wąskich, zaciętych ustach sędziego.

— Idzie mi tylko o uspokojenie kapitanowej...

— Otóż doskonale. Imć pan Krupski pułkownika doprowadzi. Dla mnie, dla całej komisji stąd zadowolenie, że się przekonasz, iż nie jest tak źle, nie jest tak źle! Tylko mały warunek. Racz pułkownik podpisać te kilka wyrazów, jako domagałeś się widzenia z więźniami...

— Z kapitanową.

— No tak! I zechciej oddać mi swoją szpadę.

— Szpadę waćpanu?...

— Z bronią między więźniów nie można.

— Ale sędzia zapominasz!...

— Pamiętam jeno, pułkowniku, jeno pamiętam o rozkazach. W łańcuchach ich trzymamy przecież. A tu i owdzie pasja jątrzy. Ostrożność konieczna. Nużby się przytrafiło, że wyrwanoby pułkownikowi broń. Pułkownik nie dopuściłby — niezawodnie — ale też przepis nie dla pułkownika wydany, skoro jednak pułkownik się zgłaszasz, obowiązuje. Hm, lecz można suplikować do trybunału...

Bem, którego paliła chęć zobaczenia się coprędzej z panią Marchocką, nie spierał się dłużej i szpadę złożył na biurku sędziego.

Łanowski zakrzętnął się wnet. Nakreślił kilka słów do komendanta, wyprawił przez woźnego, zaczem, gdy odpowiedź przyszła, zawołał na jednego z kancelistów, szepnął doń kilka wyrazów i skłonił się uprzejmie Bemowi.

— Właśnie imć pan Krupski! Racz pułkownik za nim się udać.

Bem ruszył za kancelistą przez podwórce, do tylnego pawilonu i tu, kurytarzami, poprzez gęsto rozstawione straże, dotarł do wielkiej sali zamkowej.

Kancelista zaprosił uprzejmie Bema do przestąpienia progu. Pułkownik spojrzął w głąb i zawahał się.

W sali zamkowej odprawiała się widocznie jakaś recepcja. Gromadki dam i panów, podzielonych na kółka i kółeczka, obsiadły kanapki pod ścianami i stoły. Przez otwarte na taras drzwi widać było inne gromadki, zaży-

wające, w podcieniu zieleni, tchnienia pogodnego zmięzchu.

— Miałeś acan prowadzić mnie do kapitanowej — upomniał Bem.

Krupski zgiął się w pałąk.

— Jesteśmy na miejscu, panie pułkowniku. Właśnie więźniowie...

— Tu?!

— Tak jest!

— Ależ, dalipan, cale tu przestronno i ludnie...

— Zebrało się, panie pułkowniku. A ponieważ decyzji sądowej niema... Zdaje się, że pani kapitanowa będzie na tarasie.

Bem przeszedł salę z Krupskim, niepostrzeżony nawet przez zebranych. Dopiero, kiedy zatrzymał się u wyjścia na taras, jakiś jegomość w wytwornym, stalowym surducie, ucieszył mu się raptem.

— Ot miłe spotkanie! Ot kopę lat!... Rad niezmiernie widzieć pana... pana pułkownika...

Bem wpatrzył się w ściągłą, wygoloną starannie twarz, usiłując sobie przypomnieć, gdzie i kiedy ją widział. Jegomość atoli w lot zakłopotanie Bema przerwał.

— Nie poznaje mnie pan! Fanshawe, syn generała.

— Pan Szambelan!

— I we własnej osobie!

— Proszę wybaczyć...

— Cóż znowu! Pan kapitan... pan pułkownik doskonale wygląda... Pamiętam! Ostatni raz w Belwederze, kiedy pułkownik się meldował... A ja panie, schudłem? I schudłem. I nie ze złego żywienia. *Au contraire, on est nourrit largement!* — Tylko z nudów! Bo dopiero od dziesięciu dni ożywiło się. *Et figurez vous, mon colonel,* że, jak na utrapienie, każą mi się wyprowadzać. Wszak tak, panie Krupski.

Kancelista skłonił się szambelanowi.

— Czekamy jedynie na podpisy.

— Byle się nie spieszcie! A pułkownik tu do nas?

— Dla widzenia się z kapitanową Marchocką!

— Z panią Anną! Usychamy dla niej wszyscy z *zeta*-dorstwa... Patrz tam na lewo, pod kasztanem...

— Szambelan pozwoli.

— Niech pułkownik raczy...

Bem postąpił ku kasztanowi. Równocześnie z gromadki dam i wojskowych i cywilnych panów, wysunęła się ku pułkownikowi strojna liljowa postać. Wąska, biała rączka spoczęła niebawem w dłoni pułkownika i do ust jego przylgnęła.

— Pan pułkownik — witam gorąco, witam! — zdźwięczał harmonijny głosik pani Marchockiej.

— Wczoraj dopiero odebrałem posłanie i zdala od Warszawy...

— Ach, więc pułkownik przybywa w odpowiedzi... Boże, Boże, jakżem wdzięczna. W pierwszym momencie sądziłam... Nie dziw się, pułkowniku, ale kogo tu niema, kogo niema!

— Miałem sobie za najdroższy serca obowiązek...

— Jaki pułkownik zacny, jaki szlachetny. Nigdy, nigdy nie zapomnę coś dla mnie uczynił... Nigdy!

— Rad bym dowieść...

— A nie, nie, już dowiodłeś. Proszę, podaj mi ramię. Ach tyle mam do powiedzenia, tyle do powiedzenia! — Za złe proszę nie brać mej śmiałości, lecz sama nie wiem czemu, zdało mi się, że do pułkownika jedynie winnam się odwołać...

— Błogosławię to przecucie.

— Tak, tak. Nieraz mi powiadano, że bywa w życiu, iż spotykamy duszę, która od jednego z nią spotkania już, już staje się nam tak bliską, tak bardzo, bardzo bliską! — Uch, — lecz proszę, proszę sobie nie dworować.

— Śmiałżebym z tego, co jest mi tak wielką, tak głęboką...

— Pułkownik ze swej dobroci wrodzonej!... A ja wiem, wiem, że to nie było stosowne. Nie mogłam jednak oprzeć się, nie mogłam.

Tu pani Marchocka jęła rozwodzić się nad porywem, który ją do napisania listu skłonił. A rozwodziła się tak misternie, tak delikatnych dotykała strun, tak subtelnie siała napomnieniami, że Bem był jak odurzony. Szedł, omijał starannie spacerujące po tarasie pary, odpowiadał

nawet na ukłony, którymi go witano tu i ówdzie, a przecież rozumiał jeno, że tuż kolo niego bije żwawo serduszko pani Anny, że cichy, harmonijny jej głosik kolyse go, a rozmarzone oczy kapitanowej ciągną w zaczarowane swe głębie.

Aż raptem, z poza drzewa, wychyliła się ku pułkownikowi surowa, chmurami zasnutą twarz Hurtiga.

Bema dreszcz lekki przeszedł.

— Pani pułkownikowo — latami pragnąłbym słuchać tych przedziwnych spowiadań — lecz przerwać je ośmielam się dla ziszczenia coprędzej jej ufnosci! Jakże więc stało się? Co za fatalność? Skąd? Za co panią aresztowano?

Twarcyzka pani kapitanowej woalami smutku się przestoniła.

— Nie pytaj mnie, panie pułkowniku! Straszna, straszna chwilę przeżyłam! Są oskarżenia, które ranią najświętsze, najdroższe uczucia. Przyszli, cały dworek splądrowali. Służbie kazali świadczyć przeciw mnie! A wszystko, wszystko, że u Krasnodębskiej znaleziono jakieś papiery, że Bażanow pisywała do męża. Bo ja wiem, bo ja wiem?... A potem, ta drogą do Zamku, pośród motłochu... Nie, nie pułkowniku, nie mam sill! Pomyśl, wystaw sobie katusze Polki, cierpienia kobiety, wleczonej przez siepaczków, istoty niewinnej...

Rączka pani Marchockiej mocniej zapała się na ramieniu pułkownika.

— Ciężko, ciężko o tem mówić...

— Jednakże trzeba, pani kapitanowo. Muszę wiedzieć, do kogo się zwrócić, na czem oprzeć... Czy panią stawiono przed komisję sejmową...

— Nie i nikogo dotąd. Słupecki mówi, że Krukowiecki obejmie dowództwo, a wówczas...

— Krukowiecki jest aresztowanym u siebie w domu...

— Był. Dziś, przed godziną, wrócono mu szpadę.

— Przed godziną!

— Może pułkownik polegać. Jest w dymisji, ale się to zmieni. A gdyby nie — są wiadomości, że albo pokój będzie zawarty, albo wojna się zdecyduje ostatecznie...

— Zdecyduje?!

— No tak, że jeszcze tylko jedna bitwa...

Bemowi zimny pot wystąpił na czoło.

— Jakto, jakto pani rozumie?

— No, że cóż, niema nadziei... wróci, co było, do dawnego...

— To wtóre się nie ziści a pierwsze, pierwsze jest w ręku Boga.

— Więc pułkownik sądzi...

— Nie sądzę, lecz ufam, wierzę, pragnę! Losy wojny i każdej wojny są niezbadane, nieogarnięte, a cóż dopiero u nas, gdzie poryw rządzi, gdzie moce niezbadane narodu tylekroć razy umiały ze snu się budzić! — Ale niech pani tym poszeptom się nie daje. Pani uwolnienie z taką kalkulacją nie może, nie powinno się łączyć...

— Masz słuszość, pułkowniku. Mnie samą to dręczy. Cóż jednak! — Nie uskarżam się. Dotąd dzień za dniem schodzi niepostrzeżenie — towarzystwo bardzo miłe. Po całych dniach zażywamy przechadzek na tarasie. Fanshawe deklamuje. Pani Bażanow śpiewa. A przecież niepokoju świadomość, że z tych sal zamkowych dobyć się nie można!

— Niebo i ziemię poruszę. Na honor, kapitanowo, odwołam się do posłów, do senatorów, do rządu, do wodza! Muszą cię uwolnić, muszą!

— Lecz cóż począłabym?...

Bem przystanął ze zdumienia. Drobne nóżki kapitanowej zatupotały fraszobliwie.

— Tak — dodała ciszej — cóżbym uczyniła? Za granicę bezpiecznego przejazdu niema. A tu, w Warszawie, bezpieczniej na Zamku.

— Bezpieczniej?

— Pułkownik nie ogarnia. Gdybyś widział te tysiące pięści, gdybyś słyszał...

Bem rozśmiał się dobrodusznie.

— Pani kapitanowo! Co za supozycje!

— Tak wszyscy tu mówią! I Bukowski i Słupecki i Essakom i Morenheim! Nie — nie, wolę po raz wtóry nie być na łasce rozbestwionej tłuszczy!

— Niech pani tak nie mówi. Tłum, lud idzie za poduszczeniem, za zaślepieniem. Nie on zawinił, I dalej, nie trze-

ba dawać folgi podobnym myślom, nie należy łączyć swego wyzwolenia ze spodziewaniem klęski narodu! Wszak właśnie z rozpaczy, niedoli, z bólu nad niepowodzeniem narodził się ten wybuch nieszczęsny, którego i pani padła ofiarą.

Pani Marchocka siadła na ławce, na skraju tarasu i zaprosiła Bema. Pułkownik zajął miejsce obok i dodał.

— A kiedy ucichnie w pani żal, sama z dumą i radością wypominać będziesz, żeć i ty dla imienia ojczyzny ucierpiałaś.

Kapitanowa westchnęła smętnie i zapatrzyła się w rozpalające się, poza stalowym grzbietem Wisły, ogniki światelek.

Bem ku skrzącemu się już niebu spojrział, a potem śladem ócz pani Marchockiej pomknął i rzekł z mocą:

— Przyszłość, nadzieja, wiara nasza, zwycięstwo leży w nas samych, leży w sile zapomnienia o ludziach, imionach, nazwiskach. Oto postrzega pani tam, w dali, za domostwami owe pasma migocących płomyków — tam obozują żołnierze. Tam gwarzą rażno ci, którzy poniosą życie, którzy legną może zapomnieni, nieznani, o których przyszłość będzie mówiła tylko: pułk, batalion, baterja, wojsko. A przecież jedyną ich troską, jedynem strapieniem, nie trudy, nie ubytek w szeregach, nie kule, co ich miotą, nie zaraza, co ich dziesiątkuje, lecz cel święty!

— Ale też nikt nie waży się wątpić o czystości ich uczuć, ale też nikt zgoła nie płaci im hańbą za poświęcenie.

— Sądzi pani. A ci, co życie dają w przegranych bitwach, co krwią okupują strategiczne błędy, co giną otoczeni, co odchodzą z widmem błysku nieprzyjacielskich bagnatów! Pułk, batalion uległ, nie wytrzymał naporu dywizji, nie ostał się, pozwolił się wyrąbać! Więc gorze mu, więc wstyd — hańba! Naród wielbi jeno zwycięstwa...

— Otóż, panie, sprawiedliwie! — podchwycił rubasznie przysadzisty, krępy cień, który nadszedł niespodzianie od strony sali zamkowej. — Pułkownik Bem! A jak byliśmy w roku tym pod „tyntam“ panie... Desperacja, nieszczęście i cóż, nawet w rozkazie dziennym cesarz powiada... ten...

— Pan generał Salackil

— Na rozkazy! — Witam pułkownika, raduję się, że

go oglądam, bo ten, ledwie tu mogę!... Uf! Wytchnę sobie, państwo pozwolą. A pułkownik dziś?

— Nie mogłem wcześniej!

— Słusznie i mnie było nie pilno! Cóż, trudno! Świętą mieli rację! Córnka, więc dziecko, a za dziecko kto odpowiada? — ojciec. Tak musi być. Pamiętam w tym... jakże go... też było zdarzenie. Dziecko więc i ojca! Sąd polowy, pluton i trup!...

Kapitanowa trąciła zlekka pułkownika.

— General, jak pan uważa wszystkichby nas rad rozstrzelać.

— A to sobie dobre! — uniósł się Salacki. — Jakże inaczej! Pocóż toto trzymać daremnie. Jeńcy, niewolnicy, szachery, kunktatory — w jeden kłęb, w jeden dół i po harapie.

— Przynajmniej dla niewiast należałaby się większa łaskawość.

— Niema łaskawości! Wojna, skończone. Grzech powiedzieć? — nie grzech. Żeby mi na półgodziny dali dowództwo — żywej duszyby tu nie zostało.

— Piękna zapowiedź! Conajmniej uczuć rodzicielskich winszować można generalowi.

Salacki, miast się urazić tą uwagą pani Marchockiej — stęknął z pokorą:

— Prawda, winienem! Jedną miałem! I cóż, na złą drogę... Mnie samemu, panie, bajdurzyło się! Człek szefował inżynierskiej rachunkowości, a tu, panie, nastreczył się adjutantcik Kuruty! A Kuruta, panie, dygnitarzem był! Więc nijako! Słowo, wyraz i na reformę, na pół pensji, do dymisji! A tu emerytura! Za pasem, bo służyło się, jeszcze pod tym!... Więc chciwość, panie. Nikczemność. Żona mi przymierała, a tu nic, żold tylko. Dziewczyna w amory. Jeżyłem się, ale aby aby... A tu rewolucja! Ja wtenczas ostro, a ona mi na przekór. Serce, wątroba, koszałki, płacze, szlochy i bazgroty do gacha, do nieprzyjaciela! Prosiłem, zaklinałem, groziłem, bilem, pułkownik!...

Pani Marchocka targnęła się. General ciągnął z flegmą.

— A ona mi precz — to sobie dobre! — prowadziła konaszchty, z nieprzyjacielem się wdawała...

— Z narzeczonym! — poprawiła niecierpliwie pani Marchocka.

— Z wrogiem, panie, zdrajczynią została! A ja cóż — nie zabiłem! I tak... sprawiedliwie...

Salacki umilkł.

— Lecz, generale, wszak od niefortunnego, przyznając, sentymentu do zdrady daleko!

— He? Myślisz pułkownik? A, za pozwoleniem — pułkownik tu niby ten, za batalję tu... pod tym czy pod tamtym?

— Pułkownik — wyręczyła Bema pani Marchocka — tylko na rozmowę ze mną...

— Toto... pułkownik nie jesteś uwięziony?! — wykrzyknął z odcieniem serdecznego żalu Salacki.

Bem ledwie śmiech opanował.

— Dalipan, że nie i wcale z tego powodu nie czuję się dumnym.

— A w takim razie — odrzekł cierpko generał, zrywając się z ławki — przepraszam. Myślałem, że choć jednego poczciwego mieć będę kompana.

I, zanim pułkownik odezwać się zdołał, Salacki odszedł szybko.

— Pomieszany! — wyjaśniła kapitanowa.

Bema przygnębienie naszło. Pani Marchocka rozpowiadała mu o dziwactwach generała, które już od dawien dawna zwiastowały niechybny oblęd. Pułkownik ledwie pojmował, co doń mówiła. W uszach dźwięczały mu słowa Salackiego.

— Pułkownika to dojęło!

— Przyznaje!

— A pomyśl dopiero, co my tu cierpiemy. Biedna Marynia komnatki swej nie opuszcza. Pani Bażanow siedzi zamknięta z córkami... Salacki, na jej widok, wpada w gorączkę!

— Nieszczęśliwy stokroć...

— Prawda, lecz powinni go w domu oblakanych!... Gdyby nie on, gdyby nie te jego chore napady i wygrażania nam wszystkim kulami, sądami — wcale znośnieby się układało. Towarzystwo wytworne... I żeby nie myśl

o moich opuszczonych grządkach i doniczkach, żeby, żeby nie brak klawikordu... Pan zna Dyakowa? Był adjutantem. Ma przepiękny głos. Ale bez akompanjamentu trudno mu. Nie uwierzy pułkownik, ile mam dlań wdzięczności. Dzisiaj, w tej chwili nawet, nawet imaginować sobie nie mogę, aby mi straż broniła wyjścia, aby tu, za tem pasmem strzyżonych krzaczków, snuły się cienie zbrojne, czujne...

— Ale, ale nie mniej należy działać, aby copędzej się stąd wydobyć. Pani nie może tu pozostać, nie powinna godziny dłużej, dnia dłużej! — I stąd proszę, jako o największą łaskę, abys mi pani zezwoliła działać, czynić. Nie zdaję sobie sprawy co przedsięwezmę, jak i do kogo się udam, lecz niczego nie zaniedbam...

— Doprawdy pułkownik chciałbyś? — zdziwiła się poszeptem kapitanowa.

— Pani, pani wątpi...

— Nie, pułkowniku, tylko... tylko... jeżeli, jeżeli oskarżą mnie przed tobą? Jeżeli oczernią?

— Na oszczerstwa będę umiał odpowiedzieć!

— Tak, tak, wiem! — poskarżył się tęsknie przytłumiony głosik pani Marchockiej a pośmignęła jej kibić pochylona ku Bemowi — ale... niewieście sprawy, choć malcńkie, jak ziarenka proszku, nie zawsze mieszczą się w rozległych pojęciach rycerstwa. Twoją miarą, pułkowniku, jest honor szczytny, a takich nikłych, jak ja, istot słabe, wrażliwe serce!

— Więc pani, pani wątpi?

— Jenó trwożę się, niepokoję raczej. Bywają zdarzenia, skojarzenia! Powiedz waszmość, cobys uczynił, gdyby powiedziano ci, że dopuściłam się szpiegostwa, że wiodłam korespondencję z nieprzyjacielem, gdyby, gdyby przedłożono ci dokumenty, dowody...

— Pani szpiegiem?

Tak, gdyby...

— Ależ, ależ, to niepodobieństwo!

— A jednak, przypuścimy!

— Nie uwierzyłbym — nigdy, nigdy!

Rączka pani Marchockiej chwyciła dłoń pułkownika.

— Otuchy mi sporzysz, pułkowniku, siły. — Nie, nie

pytaj mnie, nie dociekaj... Jestem bardzo, bardzo nie-
szczęśliwa.

— Pani Anno...

— Ty jeden, pułkowniku... Imię twe było mi przeczuci-
ciem. Ach Boże, lecz jesteś i nie opuścisz mnie, prawda?

Głosik kapitanowej złamał się i zadrgał łzami.

Bem zaczął skwapliwie koić smutek pani Marchockiej,
tulić drobne jej rączki, a całunkami okrywać. Kapitanowa
mu ich nie broniła.

— Tak, tak, pułkownik mnie dobędziesz stąd, i wywie-
ziesz daleko od tych, tych mar, od tej łuszczy, od tych...

— Uczynię wszystko, wszystko, co w mej mocy, byle
uciszyć żal, byle wrócić pogodę...

— Wyjedziemy stąd zaraz natychmiast.

— Zaraz! — powtarzał z rozmarzeniem pułkownik, —
zaraz.

— Tu niepodobna. Inaczej znów wrócą, inaczej nie
ujdę im, nie dobędę się nigdy, nigdy!

— Słusznie, słusznie.

— Najlepiej żeby mnie najpierw przenieśli do pałacu
Brühlowskiego. Nie wzbudzi to podejrzania, bo mają
istotnie przenieść kilku dla większego bezpieczeństwa...
Pułkownik dworował sobie, lecz ja wiem, wiem niezawo-
dnie. Wówczas nie udało się, nie powiodło, lecz to sta-
nie się!

Bem zaniepokoił się.

— A przyrzekła pani ufać?

— O tak i wierzę, gorąco wierzę ci, wierzę pułkowni-
kowi, że mnie wyzwolisz, że, że nie potępisz.

— Więc trzeba wyżenąć od siebie te wizje złowrogie...

— Wizje? — Nie, nie, to prawda, prawda. Lecz lepiej
nie mówić o tem, lepiej nie wspominać! — Czy pułkownik
widuje Sikorskiego?

— Nie — ostatni raz przed bitwą... Dostał się, biedak,
do niewoli.

— Do niewoli — on!

— Zagarnął go podjazd nieprzyjacielski razem z puł-
kownikiem Butrymem.

— To niemożliwe! — uparła się pani Marchocka.

— Jednak ręczę, że...

— Był to pozór. Sikorskiego powinien się...

Ostry, przenikliwy rechot tłumionego śmiechu przerwał kapitanowej. Rączka pani Marchockiej ścisnęła kurczowo dłoń Bema i osunęła się bezwładnie.

Równocześnie z pomiędzy drzew wysunęły się dwa cienie, z których pierwszy zbliżył się z ukłonem.

— Proszę wybaczyć śmiałość — lecz przybywamy w deputacji do pani kapitanowej! — Fanshawe, zechciej mnie przedstawić.

Wtóry cień nadszedł śpiesznie.

— Pułkownik pozwoli — fligel-adjutant Gendre.

Bem, na dźwięk tego nazwiska, zawahał się i ledwie końce palców podał do uścisku.

Właściwie miałem zaszczyt niejednokrotnie widywać pułkownika.

— Nie przypominam sobie.

— A ja znakomicie — odrzekł drwiąco Gendre — my tu, na Zamku, wogóle cieszymy się dobrą pamięcią — zazchem, podając ramię kapitanowej, ozwał się z naciskiem: — Pani Bażanow wygląda pani z upragnieniem...

Kapitanowa poruszyła się, spojrzała ku Bemowi i odeszła z Gendrem.

Stało się zaś to tak szybko, że, zanim pułkownik zdolał rzec słowo — i Gendre i kapitanowa znikli w mrokach tarasu. Fanshawe zaśmiał się jowialnie.

— Hu-hu! A ot i zabrał nam damę! Śliczna osoba! Ale cóż i tak na ćwika zaraz nam zabębnią!

Bem usiłował opanować rozdrażnienie, którem go nappełniło odejście pani Marchockiej.

— Na ćwika?

— Po capstrzyku taras zamykają! *Impossible de se plaindre!* I tak są bardzo grzeczni. Może i pułkownik się do nas przyłączy? Ostrzegam jednak z góry, że Dyakow oszukuje! — O, już bębnią.

— Nie będę korzystał z uprzejmego zaproszenia.

— Pułkownik wraca! Zazdroszczę panu szczerze. Lecz już nie długo, nie długo.

— Czy szambelan nie mógłby mi wskazać wyjścia?

— Ja, pułkowniku? — Hu-hu! Gdybym je znał, *ma foi*, nie pokutowałbym tu tyle miesięcy! Żart na stronę, proszę tędy i na prawo. Za drugą salą jest galerja, a w głębi niej warta pocziwych cerberów.

— Dziękuję szmbelanowi. Chociaż wypadaloby mi pożegnać kapitanowę.

— Zdaje mi się, że damy już udały się do swoich sypialni. Gendre rozmawia z Essakowem, niechybny znak. Ale naturalnie do pana nie mogą stosować klauzuli!

Bem sklonił się zimno Fanshawe'owi i skierował ku wyjściu.

Dwaj żołnierze atoli, trzymający wartę, miast nadchodzącego pułkownika uhonorować sprezentowaniem broni, skrzyżowali przed nim bagnety.

— Niema przechodu! — mruknął starszy z żołnierzy.

Bem w lot się pomiarkował.

— Kto tu dowodzi?

— Niema przechodu — rozkaz!

— Gdzie twój oficer!?

— Tam, gdzie się należy!

— Wołaj go do kroćset!

Żołnierze mocniej się zwarli. Lecz obocześnie za ich plecami lysnęła blacha oficerskiej czapy.

— Co to — kto!? — ozwał się młody, energiczny głos.

— Pan tu dowodzisz posterunkiem?

— Tak jest! — odrzekł barczysty oficer, wysuwając się z lekkim ukłonem przed sztyldwachów.

— Jestem Bem!

— Porucznik Silnicki, do usług.

— Rozkaż więc nadewszystko swoim żołnierzom, aby mi wyjścia nie bronili...

— Bardzo żałuję, panie pułkowniku, lecz wyraźne polecenie...

— Słusznie — jeno nie do mnie się stosuje...

— Żadnych nie mam prawa czynić wyjątków!

— Co mi tu, porucznik! Bierzesz mnie za aresztowanego!? Melduj mnie do komendanta!

— Komendanta niema.

— Więc któż tu sprawuje jurysdykcję!?

— Pan sędzia Łanowski, lecz jest nieobecny! Jutro pan pułkownik będzie mógł...

— Jakto, więc śmiesz pan mnie, mnie pułkownika artylerji?

— Tak samo jak i generała dywizji...

— Ależ acana zamroczyło chyba! — Toć ja tu przed dwoma godzinami, dla odwiedzenia kapitanowej Marchockiej! Toć ledwie uporałem się z sędzią, że mnie tu puścił... Był ze mną jakiś kancelista Łanowskiego!

— Wierzę święcie, lecz muszę trzymać się... Pan pułkownik sam nie może nie przyznać...

— Rozumiem i nie żądam od pana uchybienia rozkazom, jeno naprawienia błędu. Zapomniano cię uprzedzić. Pana nie winię. Lecz, do licha, są tu jacyś dozorczy, stróże, posługaczeli...

— Na rozkazy pana pułkownika! — wmieszał się z boku jakiś głos.

Bem odwrócił się i ujrzał przed sobą pochyloną służalczo łysą głowę, wystającą z czerwonego kołnierza.

— Acan?

— Woźny trybunalski...

— Aha! Ten najlepiej porucznika objaśni.

Łysa głowa woźnego aż do pasa się schyliła przed Bemem.

— Na rozkazy — właściwie mam honor, że komnata dla pułkownika jest już wyszykowana...

XIX.

Tegoż samego wieczora, za ledwie pani Honorata rozpostarła swe furkoczące spódniczki na stolku za szynkwasem, już podcienione jej oczy błyskawicami gniewu trysnęły, bo dostrzegły jednym rzutem i pustkami świecące kąty i butle porozstawiane bezładnie, i piegowatą Stefkę, bobrującą w cukrze, i brak na stanowisku swej powiernicy.

— Gdzie Rózia!? — zagadnęła surowo pani Honorata.

Piegowata Stefka wychynęła z ponad szuflady z cukrem.

— Rózia! w dużym alkierzul Niby oficjery czy jak! —
Panno Róziu! Do pani gospodyni! Hej, panno Róziu!

Pani Honorata zwróciła groźne spojrzenie ku arkadzie, wiodącej do sąsiedniej izby, lecz wzrok jej, miast pannę Rózię porazić, osiągnął, sunącego pośpiesznie, wuja Olechowskiego.

Właścicielka kawiarni szarpnęła się.

— Co wujo — gdzie Rózia?

— Honoruś, ani dudu. Cały, alkierz artylerji, pajel Rózia, paje, niby z jednym, pajel Trzecia butla, maślacza, pajel Graf Iliński, pajel Podporucznikowskie epolety, pajel

— Więc wujo mógłbyś tu dawać baczenie.

— I daję, paje, Smarkacze słabo, paje. Trzaby im, paje, posekundować! Proszę cię do kompanji.

— Ani myślę! Niech idzie Władka.

— Honoruś kiedy powiadam!

— Co znów wujol

— Iliński!

— Wielka mi osoba!

— Pszyt! Ani dudul Twego pragnę. Panicz!

— Niech tam. Grać będą?

— Ii!

— Więc nie pójdę.

Wój Olechowski otarł kraciatą chustą pot z czoła.

— Gubisz się.

— Wiem, co robię.

— Gurowski znów ci wziął...

— A wujowi do tego zasię! Nie wujowe brał.

— Czterech kamratów pije z nim borgiem. Szukaj wiatru...

— Znajdę go.

— Majster, paje, sam powiadał.

— Z rankoru, że mu się urwało.

Olechowski stęknął żałośnie.

— Honoruś!

— Dość chyba.

— Z serca, paje, radzę. Znów byli od Dobrycza. Gości łącho. Miał niby stręczyć Gurowski...

— Co wujo do niego. Powiedziałam!

— Prawda Honoruś. Ja to wiem. Na teatrze nawet teraz śpiewają — „serce nie sluga“! — Ale czasy, paje. Niech się rewolucja zrobi — niech zaczną rżnąć, paje, magnatów, panów, grafów...

— No to Gurowski zostanie prezesem rządu!

— Honoruś! — stęknął z wyrzutem Olechowski.

Pani Honorata oczy nań postawiła.

— Co wolałby wujc, żebym jego usłuchała i na Zamku ze szpiegami już była? Psu na budę z wujowem rajeniem!

Olechowski prychnął, lecz, słowa nie rzekłszy, podrepłtał ociężale do dużego alkierza, kędy rozochociona gromadka artylerzystów raczyła się maślaczem pod wodzą podporucznika, a ognistem spojrzeniem pyzatej Rózi.

Alkierz, na widok Olechowskiego, zahuczał okrzykami:

— I cóż! — Jakże?! — Gdzież Honoratka? Gdzież bab-ska kompanja!

— Cierpliwości pajowie! Duchem, aby krzynkę!

— Łże, bazyliszek!

— Za drzwi go!

— Huzia! Na ostre przez metal!

— Rykoszetem go zatulać!

— Moćpajowie! — wrzasnął żałośnie Olechowski, uchodząc przed wyciągniętymi doń kłóściami rąk. — Będzie, parol szlachecki!

Lecz w tejże chwili na progu alkierza stanęła panna Władka. Napastujący ku niej się zwrócili:

— Wiwat! — Zdrowie panny! Dawać ją! — Kruczowski, aby się nie przypinaj! — Niech przy Surmackim siada!! — Tak, przy Surmackim!

Surmacki atoli, któremu *vox populi* bogdankę ferował, dźwignął barami i oburknął się gniewnie.

— Nie trza mi sąsiedztwa. Niech sobie Radoński do niej stroi!

— Patrzcie — zażartował podporucznik — nasz Surmacki ma rankor do niewiast!

— Nie do niewiast, aby do trznadłów, ogryzków. Toć w narącze niema co wziąć!

— Awansował na ogniemistrza i zakochał się w armacie!

— Cha — cha! — Doskonale Zarzycki! — To cię ściał!
— Trzaby świeżej buteleczki, paje grafie! — nastroił się podporucznikowi Olechowski, który był, korzystając ze zgiełku, wlał resztę do swego kubka.

— Dawaj jegomość, co trzeba!

— Nie pytaj!

— Chcem słodkiej wódki i biszkoptów! — napała się panna Władka.

— A ja szampana! — pisnęła wybredniejsza panna Róża.

— Ot nam powiedziała! — podchwycił z fantazją podporucznik. — Hej, stary wszystkim szampana!

— Wiwat!

Zapowiedź tak sutego poczęstunku wzmogła ochotę artylerzystów. W dumę wbiła kawiarniane panny, wywołała radosny popłoch za szynkwasem a wreszcie strzeliła korkami.

— Za podporucznikowskie epolety pana grafa! — Niech żyje Iliński! — zagrzmiąły głosy.

— Nie przyjmuję! — wykrzyknął zawadjacko podporucznik. — I piję za nasze przyjaciółstwo, za służbę naszą żołnierską! Epoletów mi nie wymawiajcie! Z wami w jednym ogniu na nie pracowałem i z wami na wasze pracować będę! W wasze ręce!

— Ale najpierw my panu grafowi wystukać pomożemy porucznikowski awans!

— Wiwat druga kompanja artylerji gwardji!

— Wiwat nasz pułkownik!! Wiwat Bem!

— Bem — Bem! — beknął z kąta wuj Olechowski, któremu wino na dobre zaczęło zaszkodzić.

Podoficer Zarzycki ściągnął brwi i napomniał ostro.

— Co waćpan tam!

— Akkomoduję się, dobrodzieju! Bem, paje, wiadomo!

— Jako? — Co?! — zagadnięto natarczywie.

— Oficer, paje! Pod Ostrołęką, paje, harmatami całą armię, paje, zbębnił! A jakże! Znam! I owszem. Pół roku ledwie — kapitan, major, podpułkownik, pułkownik! Tylko cóż, wstydu mi przyczynił! A tak, siostrzanka z pa-

zurami do mnie, bo Bem, paje, zamiast „bum“ paje... ani „be“ ani „me“, paje...

W alkierzu cisza śmiertelna zaległa.

Olechowski rozejrzął się głupkowato i rad z własnego konceptu, dodał ze śmiechem:

— Cha—cha! I nie spisał mi się. Ze szpiegami się wdał i na latarni gotów...

Olechowski nie dokończył, bo naraz sześć strasznych pomruków wyrwało się z piersi uczujących i sześć ciał runęło nań, zaszamotało nim i rzuciło na stół między butle i szklanki.

— Na ćwierci obwiesia! — Prac szelmę!

— Litości obywatele!

— Ja cię nauczę, szelmo, zachowania!

— Gwałtu! Ratunku! Jam nie winien! Pajowie! Ja nigdy! Gurowski! — To Gurowski! Rety! — jęczał wuj, wijąc się pod zadawanymi mu razami.

Aż Iliński skinął na towarzyszków i Olechowskiego za pierś zatarmosił.

— Co za Gurowski! Gadaj prawdę, całą prawdę!

— Gurowski! On rozpowiadał! W gazecie stało! Nie-szczęśliwa moja godzina! Póki życia, obywatele...

— Co za Gurowski!? Gdzie?!

— Aby już nie mordujcie! Powiem, oświecony grafiel Niech tchu! Niech zipnę!... Tak! Porucznik gwardji narodowej, Gurowski! Ewa mu na imię, to jest Adam!... Oo... moje krzyże! Adam i Ewa! Do siostrzanki mej, do Honoratki, choć przysięgam, mówiłem Bem...

Gdy w alkierzu gorączkowa wszczęła się indagacja, kawiarnia, zaalarmowana przez Rózię i Władkę a bardziej jeszcze przez odgłos piekielnej wrzawy, gotowała się do pośpieszenia z rozejmem i wymiarem sprawiedliwości.

Pani Honorata prawdziwie błogosławiła Opatrzność, że porucznik Gurowski nadszedł był właśnie. I nie dlatego, żeby jej, zaprawionej do rozmaitych wydarzeń, zabrakło rezolucji, lecz że zawsze z wojskowymi wojskowego trzeba.

Jakoż, dzięki energii pani Honoraty a Gurowskiego przytomności, w jednej chwili nietylko wezwanie poszło na ratusz ale i tuż przed szynkwasem stanęła i czeladź

z sąsiedniego warsztatu szewckiego i gapiów gromada i służby regiment i gości, co zadzierzysztzych plutonik a nawet jeden milicjant.

Gurowski z panią Honoratą stanęli na czele. Kolumna ruszyła. Ale nim dosięgła arkady, odgradzającej ją od wejścia do alkierzyka, naprzeciw niej wysypała się gromadka artylerzystów z chwiejącym się bezwładnie Olechowskim pośrodku.

Oddział Honoraty zatrzymał się, grodząc sobą wolne przejście. Artylerzyści zawahali się.

— Co to za napaść! — fuknął hardo Gurowski. — Rozbój w biały dzień!...

— Za pozwoleniem pana porucznika — bąknął niepewnie Iliński, onieśmielony widokiem oficerskiego munduru.

— I to podporucznik z niższymi stopniami! Aresztuję was! Na odwachu zdacie porachunek!

Artylerzystom miny zrzędy.

Gurowski, ku zachwytowi całego fraucymeru kawiar-nianego, ujął się pod boki i gremił bez pardonu.

— Wstyd! Hańba! Mundury poniewieracie! W sześciu na bezbronnego dziada! — Ciąg się jeden z drugim!

Artylerzyści wyprostowali się służbiście.

— Do trybunału za mojej! — stęknął Olechowski, wlokąc się z pośród swoich oprawców. — Krzyże mi przecięli! Zbóje takie...

— Abyś na drugi raz imienia oficerskiego nie kalał! — bąknął Iliński.

Olechowskiego dojęło.

— Nie kalał! Widzicie go, sprawiedliwca! Chciałeś, paje, o Bemie się dowiedzieć, darłeś się do porucznika Gurowskiego — a teraz przed nim dudy w miech...

Ilińskiemu oczy na węgle się rozżarzyły.

— Porucznik — nazywasz się... Gurowski!

— I jestem nim!

— Porucznik, porucznik rozsiewasz wieści, uwłaczające czci pułkownika Bema?!

— Co mi tu pan za pytania stawisz! Awantury jednej...

— Proszę o odpowiedź!

Gurowski wykrzywił się szyderczo.

— Idzie ci o cześć pułkownika! Maszże tu, podporucznik, gazetkę a w niej relację pana Psarskiego... Możesz sobie nad czią pułkownika Bema na odwachu plakać...

— Coś powiedział!? — warknął Iliński.

Gurowski cofnął się nieznacznie.

— Na ratuszu się rozprawimy!

— Ale najpierw z tobą tutaj! — huknął podporucznik i porwał Gurowskiego za epoletę — lecz ten skrzył mu się w rękę, jak węgorz i w ciżbę znurkował. A uczynił to tak błyskawicznie, że, zanim artylerzyści zdolali rzucić się za Ilińskim — Gurowski już pod stolami zmrużał.

Ale nie uszedłby, bo przed naporem artylerzystów oddział pani Honoraty prysnął na wsze strony, gdyby nie męstwo właścicielki kawiarni.

Pani Honorata bowiem drogę zatarasowała Ilińskiemu.

— Na Boga! Panowie!

— Bić — zabić! — Niech nie hańbil...

— Ale cóż on winien! Słyszeliście! W gazecie drukowane! — Wujo!...

— Ustąpcy acani!

— Nie ustąpię! Ludzie! Niewinny człek! Psarskiego bierzcie, on pisał!

— Psarski!?

— Sprawiedliwie! — ujął się Olechowski, ratując z cpressji siostrzanekę. — Psarski, co drukuje „Merkurego“ — tu zaraz, na Kapitulnej!

— Więc prowadź do Psarskiego! — ryknął Surmacki, porywając Olechowskiego za kołnierz.

— Do Psarskiego! — zakomenderował Iliński. — Za mną! Z drogi! Naprzód! Na Kapitulną!

— Na bok fałdy!! Hurra!!

Artylerzyści runęli ku wyjściu i wypadli na ulicę.

W jednej chwili na Miodowej powstał zgiełk, tumult, popłoch. Idący za napastnikami, oddział pani Honoraty skłębził się z gośćmi kawiarni Kościółowskiej, przechodniami i wylegającym zewsząd mrowiem ludzkim.

Wrzawa zerwała się tak piekielna, że, nim oddział pani

Honoraty zdołał na jedno ze stu zapytań odpowiedzieć, już grad kamieni zadzwonił po szybach sąsiedniej kamienicy, już zagrzmiwały groźne hasła — „śmierć zdrajcom!“ — „na latarnię!“ — już starły się pierwsze zawołania, czyli ratusza dobywać, czyli rząd najpierw powywieszać.

Lecz, na szczęście, od Senatorskiej ulicy, nadbiegł pluton gwardji narodowej. Ratusz i rząd ocalał natychmiast... ale nie ocalał wzamian ani imię pan Psarski, ani siedziba „Merkurego“. Gdy bowiem gwardziści wodzili się z tłumem, dla docieczenia przyczyny zbiegowiska, Iliński z kamratami, wlokąc Olechowskiego na przewodnika, już izdebki redakcyjne spustoszyli za szczętem a niefortunego pisarza zamienili w wyjącego z sińców, umorusanego atramentem nagusa.

Aż Iliński ochłonął z pasji.

— Dosyć ma responsu! Dalej, za mną i do obozu!

— Do obozu! — zakrzyknęli rażno kompani i skoczyli do schodów i schodami do sieni.

Lecz tu powitał ich łysk bagnatów i wycie zajadle tłumu.

Miodowa ulica już o jedno z całą szła Kapitulną.

— Bij — morduj! — Żywcem nie puszczaj!

Iliński pobleadł. Stojący na przedzie plutonik gwardzistów był sam na lasce ciżby.

— Zagaluszą! — stęknął Radoński.

— Barykadować się na górze! — szepnął Kruczkowski.

— Niedoczekanie! — oparł się Zarzycki.

— Walić! — zakonkludował Surmacki.

Iliński wahał się, poglądał niepewnie ku wylotowi sieni. Gdy wtem, ponad głowami gotujących się do ataku gwardzistów, wychynał wielki kamień, otarł się o bagnety i wpadł do sieni i załomotał tuż pod nogami Ilińskiego.

Podporucznik jeno oczami łysnął ku towarzyszom.

— Za pałasze! Naprzód! Kupą!

— Wał cywilów! — Huzia na faldy! — Wiwat Bem! — wrzasnęli artylerzyści i z dobytą bronią rzucili się na plutonik, rozdarli go na skrwawione części, w tłum się

werżnęli a, pędząc go przed sobą, szli wprost na Podwale.

I tu jeszcze powodzenie sprzyjało zawadjackiej kompanji.

Tłum walił za nimi, ścigał ich kamieniami, lecz zbliżyć się ku nim nie śmiał. Artylerzyści wydostali się cało na plac Zamkowy i już Bednarską ulicą zaczęli debu-szować ku mostowi.

Tu jednak za tłumem zadudniły kopyta żandarmerji. I te niewątpliwie artylerzystów by zmogły, gdyby nie okoliczność, iż dysząca pomstą tłuszcza z własnymi obrońcami wodzić się zaczęła. Żandarmi znów i sunący za nią oddział piechoty rozumieli, że mają przed sobą sprawców zamieszki. Stąd wynikła dywersja, krótka wprowadzie, lecz dostateczna dla kompanji Ilińskiego, aby odsadzić się i obozu dopaść.

Zdązało wprowadzie za artylerzystami kilkunastu mieszczuchów — ale zdaleka. Wreszcie najgorsze minęło. Koszary już było widać i już szyldwach baterji przeżył się u wjazdu na dziedziniec.

Iliński odsapnął z ulgą.

— No, chłopcy, pałasze do pochwy i ani pary z gęby!

— To się wie!

— Ale idą! — mruknął Dzwonkowski, który arjer-gardę stanowił.

Iliński obejrzał się ku mieszczuchom i chciał konceptem potraktować obawy Dzwonkowskiego, gdy w oddali zamajaczyła mu się, od strony mostu, czarna, zbita, rosnąca w oczach, fala.

— Do koszar, co sił! — zawołał stłumionym głosem podporucznik.

Towarzysze Ilińskiego pojeli komendę i bez słowa znurkowali na dziedziniec i do izb koszarowych zdążyli, aby przycupnąć, jakby nic.

Gdy wtem zaskrzeczał ku nim chropowaty głos kapitana Orlikowskiego.

— Stój sam! — co to za gonitwa!? He! Podporucznik baraszkuje za pan brat?! Skąd — co!?

— Niby z ten... kapitanie! — wybełkotał z trudem Iliński.

Orlikowski wpatrzył się pilnie w osłupiałą kompanję.

— Uhuhu! — Mundurki potarmoszone! — Łapki podrapane! — Uuu! — Pan podporucznik. Nowoupieczony gagatek... taaak...

Ilińskiego ciarki przeszły. Kapitan zaś jeszcze pociągnął głosem i jeszcze naderwane naramienniki zliczył i guzowi na czole Radońskiego się zdziwił — aż warknął z pasją:

— Coś zbroił jeden z drugim!?

— Przystali...

— Całą prrrawdę!

Iliński, prażony groźnym wzrokiem kapitana, nawet siły nie miał, żeby jakoś łagodniej awanturę sprezentować, ani konceptu, by przecież w lepszym wydać się świetle. Cała chryja kamieniem brzdęknęła.

Orlikowski aż głowę w ramiona wtulił.

— Uhuhu! Taki pan podporucznik! Takie, panie dziu, podoficery!... Takie uczczenie epolety...

— Kiedy naszemu pułkownikowi!

— Milczeć jeden z drugim! Galony oberwę, na czterrri wiatrrry! Do ciurów, do szczygłów! Armaty nie dam powaćhać! — Niema podporucznika! Niema podoficerów, ogniomistrzów! — Na koniuchów pójdziecie! Pod sąd! Ja was nauczę! Degradacja! Kazamaty, panie dziu! Co? — Milczeć! — Napad?... I toto imé Zarzycki, lizusek, marcypanek...

— Bo niech kalumni nie piszel — ozwał się z desperacką odwagą Zarzycki.

Kapitanowi w gardle zacharkotało.

— I dlategoś acan bezbronnego czleka mordował!?

— Aby... aby mu krzyża atramentem zmaczałem.

— A gwardziści bagnetami do nas! — Kamienować chcieli! Pan podporucznik sam pilnował, aby plazować! — Dwustu na jednego szło! — jeśli uskarżać się artylerzyści.

Kapitan zachnął się i piorunami zaklął — gdy nagle, od strony wjazdu na dziedziniec, wybuchnęła wrzawa.

Orlikowski porwał się do bramy.

Artylerzyści spojrzeli po sobie przerażeni.

— Cma za nami!

— Za stajnię i opłotkami w pole!

— Inaczej kajdanki!

— Niema co! — wrzasnął podporucznik. — Co to!? — Wystrzał! Grają na alarm! — Bierz djable, co swoje! Za mną chłopcy!

I kompanja pomknęła do bramy.

Tu dopiero sprawców napadu na Psarskiego ogarnęło drżenie. Bo nie dość, że, dla odparcia ścigających ich mieszczuchów, szyldwach zaalarmował koszary, niedość że tłum szukających pomsty rósł, huczał, groził, ku utraceniu gwardji narodowej, która usiłowała go odeprzeć, lecz nadomiar nad pęglowiem zarysowała się postać samego wice-gubernatora na koniu.

Iliński, widząc co się dzieje, pożałował niewczesnego posłuszeństwa dla alarmowej trąbki. Kapitanowi Orlikowskiemu bowiem, formującemu żołnierzy swych, nic nie groziło, natomiast ku nim nadchodziła chmura brzemienne gromem. A o cofaniu się, o desperackiej dezercji, ani, ani marzyć już nie było można. Sygnały bowiem, zwabiwszy zawadjacką szóstkę, wnet ją uwięziły w szeregu, odcięły jej myśl o odwrocie.

Tymczasem, wraz z ukazaniem się wice-gubernatora i wartkiem jego przemówieniem, tłum zawiwatował i uspokoił się.

Iliński raźniej ku Zarzyckiemu spojrzął, ale wnet oczy mu na dobre zmętniały, bo wice-gubernator, uporawszy się siako tako z tłumem — wpadł na Orlikowskiego i, nie zważając na należne mu honory, zakrzyknął gniewnie:

— Kto tu dowodzi?

— Kapitan Orlikowski w zastępstwie pułkownika Bema.

— Gdzie są ci rozbójnicy?!

Orlikowski wyprostował się.

— Nie rozumiem, generale.

Ruthie rzucił się na kulbacc.

— Jakto kapitan nie rozumiesz?

— Widzę jeno tłum ośmielający się...

— Z winy pańskich podkomendnych...

— Najzupełniej. Hej tam, którzy byli świadkami!? —
Dawać ich! Kempanja gwardji, zrewidować koszary!

— Baczość! — Czwarty i piąty pluton do armat! Na pozycję zataczaj!...

Koń pod generałem dał susa.

— Kapitan chyba nieprzytomny! Nie rozumiesz, co się dzieje! Widzisz ten tłum? Uspokoilem go zaręczeniem, że winni będą ukarani! Pół miasta wzburzyli. Dziesiątek ludzi porąbali. Tu za nimi, do tego wjazdu goniono.

— Niema ich!

Ruthie kiwnął się po koniu, tracąc ostatek cierpliwości, wobec tego niesłychanego uporu.

— Ady właśnie stoi najgorszy! — dopomógł generałowi jeden ze świadków, wskazując na Ilińskiego.

— Ten podporucznik?!

— Tak, tak! On siekł! On prowadził!

— Proszę wydać tego pana straży! Aresztuję go! Słyszysz, co powiadają.

— Podporucznik jest w porządku! Naznaczył jedynie tych, co ważyli się uchybić pułkownikowi dowódcy baterji!

— Nie pański sąd! Dosyć! Podporucznik, wystąpić z szeregu!

— Tój!

— Bunt! Bunt! — zapienił się generał. — Ja acana nauczę! — I ty i twój pułkownik razem i cała wasza buntownicza baterja... pod bagnietami...

— Ma dwanaście armat!

— Co?!

— Gotowych do strzału, generale!

XX.

Zajście u Honcralki i jego następstwa z niefortunnym imci Psarskim i nakoniec z krnąbrnością niepojętą kapitana Orlikowskiego, miało zgoła osobliwy skutek. Alarm bowiem, uczyniony przez wice-gubernatora, miast skłonić rząd i wodza do surowości, do ukarania śmiałka, do dania innym odstrasżającego przykładu, skończył się na

wysłaniu dziesiątka sztafet i na oświadczeniu Skrzyneckiego, oświadczeniu, z którego raczej płynęło uznanie dla „wolności kijów“ niż potępienie ich. Prawda, minister wojny, w pierwszym impecie, adjutanta swego na śledztwo do baterji buntowniczej wysłał, lecz że adjutant, miast protokółu, przywiózł wiadomość, że baterja stoi w pogotowiu i aż drży na potwarców Bema — więc jakoś i minister stracił przekonanie do śledztwa dalszego.

Co dziwniejsza, że gdy na wieść o tej chryi już pióra skrzypiały, aby bronić swobody przekonania obitego imię Psarskiego — niewiadomo skąd i jak wzmogła się estyma dla pułkownika Bema i to jednocześnie i w kancelarji rządu, i w kwaterymistrzostwie i w sztabie wodza naczelnego.

Bem ma zachowanie! — Bem stanowi nielada siłę! — Bem wiele mocen!

Rezultatem zaś tej estymy było, że już o świcie pośpieszono sprostować fatalną pomyłkę dowódcy straży, który ośmielił się tak nieposzlakowanego oficera zatrzymać między więźniami.

Pułkownik sam nie wiedział, czyli gniewać się ma, czy śmiać z przygody, która mu się wydarzyła. Toć sędzia Łanowski mało nie płakał ze zmartwienia, sumitował się komendant, sam gubernator w pomstowaniu na nieład wyřęcał Bema a nieszczęsny służbista, porucznik Silnicki, pod ziemię ze wstydu się zapadł.

I Bem powrócił do swych izdebek zmęczony, lecz uspokojony, pogodny, jak człowiek, który zły sen prześniwszy, spocznienia w nim nie znalazłszy, nie dba o ciała słabość, radując się, że jawy nie przeżył, że marą tylko się dręczył.

Krótkotrwałą atoli była pogoda pułkownika. Bo ledwie wytchnął, ledwie wspomniał, co i jak począc dla pani Anny, gdy nadszedł doń raport od kapitana Orlikowskiego, raport przyniesiony mu przez przebranego po cywilnemu ogniomistrza.

Bemowi w oczach pociemniało. Osunął się bezwładny, przybity na stółek przy stole rysunkowym i utkwil szklisty, zdrewniały wzrok w przestrzeni..

Tuż przed owartem oknem izdebki pułkownika śmiał się doń, zalany słońcem i ciepłem, ogródek. Tuż ku Be-

mowi chwiały się pędy klonu, targane nóżkami baraszkujących wróbli. Echa hałaśliwej dziatwy, bawiącej się w żołnierzy na dziedzińcu pobliskim, szły w zawody z świergotem niefrasobliwym ptasząt. Rąbek błękitu, jak turkus, nieskażony ludzkim tchnieniem, czystego, poglądał na pułkownika, wabił, niby napelnić go pragnął swą mocą, swą wiarą w światłość.

Dusza Bema tonęła podczas w mrokach.

Pułkownik przetrwał tak godziny, wieki.

Aż głos gardłowy, niepewny a natrętny, ocknął go.

— Respons?

Oczy Bema zaparły się przez chwilę na ostatniemu zdaniu raportu Orlikowskiego: „Baterja, z lontami zapalonymi, czeka na rozkazy swego dowódcy“ — ozwał się do pułkownika raport.

Bem potrząsnął smutnie głową, ujął za pióro i nakreślił w odpowiedzi Orlikowskiemu: „Dziękuję, nie mam nic do rozkazania, nie jestem dowódcą“.

Tymczasem Warszawa, po rozruchach ostatnich, nagle uciszyła się, uspokoiła, jakby wytrzeźwiała. Daremnie hukaly na alarm ulotne pisemka, daremnie perorowali po kawiarniach samowwanczy trybunowie, lud naraz zobojętniał dla nich ochłódl. A natomiast całą swą uwagę zwrócił na echa nie milknących wiadomości o pochodach, szachowaniu się wzajemnem zmagających się wojsk.

Lud warszawski atoli i w tym kierunku był teraz powściągliwym, małowównym i nie skłonnym do uniesień.

Wódz naczelny razem z Chrzanowskim wodzili się na odmianę, z korpusikiem Gołowina, podchodzili go, osaczali, czaili się nań zgola strategicznie, zadawali mu cios śmiertelny w przededniu natarcia a w momencie bitwy pozwalali mu ująć cało.

Po kilkakroć wszystko było wyliczone, każdy pagórek, zagajnik, rów, karabin, nabój był rachowany. Po kilkakroć arytmetyka sztabowa dowiodła, że Gołowin co do nogi wycięty w pień będzie... I daremnie.

Na siedem tysięcy Gołowina prowadził Skrzynecki dwadzieścia tysięcy żołnierza bitnego, rwącego się do rozprawy na ostre.

Ale cóż, arytmetyka była arytmetyką, a zmora zmorą. Tak, bo, od wyprawy na gwardję, zmora prześladowała naczelnego wodza, żarła go, zaprzętała myśl swarami, inwidjami, niweczyła plany, rozbijała kalkulacje.

Tu sztafeta się spóźnił, tam zasnął general, owdzie, w decydującej chwili, nowa kombinacja objawiła się Skrzyneckiemu, gdzieindziej dwóch dygnitarzów się przemówiło — i w niwecz szedł plon spodziewany.

Żołnierz obocześnie jęczał, niszczał, marnował siły na daremnych marszach i kontrmarszach, pędził zziajany do tego samego Płońska, Garwolina, Kałuszyna, Siennicy, z których był ledwie powrócił, i po to, aby bez wystrzału, bez racji, bez celu znów powędrować na Pragę.

I żołnierz posepniał, chmurniał, drętwiał.

Niekiedy jeszcze, gdy przed frontem jawił mu się wódz naczelnny, gdy ozwał się doń gromko, gdy mu zagrzmiął wezwaniem „umrzem lub zwyciężym“ — żołnierz, jakby budził się...

Na krótko atoli, bo podobno, w rozstrzygającej chwili, sam Skrzynecki zapominał o swem zaklęciu, bóg podobno on budził się, lecz tylko w obliczu parad, mszy polowych, przeglądów i biesiad.

Na jawie dowództwa swego, Skrzynecki nie widział dla się już ani śmierci chwalebnej, ani zwycięstwa — jeno pogrom, pogrom, pogrom, wychylający się doń z każdej bitwy, z każdego starcia. Na jawie, Skrzynecki już wierzył jedynie bałamuctwom o interwencjach, potencjach, niemieckich sympatjach, francuskiem braterstwie broni, tureckich janczarach i angielskich korwetach, na jawie Skrzynecki pragnął wygrać na czasie, przeciągnąć wojnę, nacieszyć się jeszcze honorami i adjutantami naczelnego wodza.

Paskiewicz wojsko przeprowadzał na lewy brzeg Wisły, zwierniał ramiona kolumn na zamknięcie Warszawy pierścieniem — Skrzynecki bawił się w chowanego z korpusem Golowina.

Na tem zesza wojsku polskiemu większa część lipca.

Przez trzy tygodnie Warszawa czytała z dnia na dzień, że Rybiński idzie tam i tam, że Chrzanowski stąd atako-

wać będzie, a Małachowski z owąd, że główna kwatera była tu, a jest już tam, że znów się odznaczyli nasi strzelcy, że, równych polskim ułanom na świecie nie ma, że wódz naczelny przed frontem uściskał jakiegoś nowonarodzonego bohatera i wirtuti militari krzyżem go naznaczył, że słowem wojsko nie przestaje składać dowodów poświęcenia a wódz dzielności. Aż, po trzech tygodniach tego rodzaju nowin, wróciło znów wojsko na Pragę i wróciło z dotkliwym ubytkiem w szeregach, odsednionych końmi i wiadomością, że Gołowin, Gołowinem został.

Warszawa jednak nie dała tym razem posłuchu wyrzekaniom na Skrzyneckiego. Bo myśl jej, bo serce gorzało pragnieniem czynu.

Powrót bowiem wojska na Pragę wyprzedziła wieść, że Paskiewicz przebył Wisłę i że idzie od Nieszawy, na dobowanie stolicy.

Rząd narodowy do Warszawy się ozwał: „Nieprzyjaciel, wszędzie ze stratą odparty, usiłuje z drugiej strony grozić. Niechaj przybywa!... Na okopy! Na wały!”

Warszawa, na to strzeliste zawołanie, drgnęła i runęła do sypania wałów!

I dnie nastaly niesłychane, niebotyczne, wiekopomne! Niewiasty, dzieci, starcy, księża, kto w Boga wierzył, czy nie wierzył, ten biegł na sypanie okopów...

I na okopach dziwy, dziwy.

Cechy z chorągwiami, muzyki, feretryny, kropidla, śpiewy, hukania. Kopacze narodowi wystrojeni, kwiatami przybrani, ochota, zapal — co rydelek odrzuci garstkę ziemi, to się przypiętą kokardką skłoni.

Wiekopomne dni! — Od świtu Warszawa, rozrzewniona własnem poświęceniem, własną cnotą, pędzi ku swym szancom, żłobi wądół przepastny, łzami radości leje; że najslabsze rączyny do grabarstwa się rwą.

A dopieroż budujących przykładów wypominać!

Wysiadł z pojazdu sam książę, ujął za rydel i śmignął kopystkę ziemi na garb wału! — Z półtora tysiąca ludzi splakało się na bobry.

Zajechała dama a z nią drab w barwie z łopatką. Drab piastował w niedźwiedzich łapach parasolkę i szkielka,

a dama podczas wydlubała tyli dołek, że w nim piesek, co naszczekuje na swą panią z karjolki, mógłby się ułożyć! Jak tu nie wiwatować: „Niech żyje ojczyzna!”

Larum na ulicy, zgielk, ścisk głowa przy głowie.

Procesja nie procesja.

Idą męże w oznakach godności ze sztandarami, kotłami, litaurami, srodzy, uroczyści, natchnieni. Idzie cała muni-cypalność. Ludek gęby drze ze zdumienia! Toć dygnitarze, bogacz! Jakby to, co w skarbonach mają, na kupę złożyć — che, che! toby akurat dwa razy tyle żołnierza polskiego można by wysztyftować! I cóż oni? A toć i oni, ci potentaci, idą, aby czeluść, otaczającą Warszawę, choć o kilkanaście rydelków pogłębić. Niech potomność wielbi cnotę nad cnotami.

Wiekopomne dni, pracowite dni. Bo i zmierzch nawet nie był hasłem do spoczynienia. Ileże gdy ostatnia kompanja ludu wracała z szańców, już teatry zapalały swe światełka.

Więc, kto jeno mógł, ten śpieszył krzepić serce „Fra diavolem“, „Wolnym strzelcem“, „Wiarusem“ — a radować się nowej przyspiewce o „miotłach, miotelkach“ w „Chłopie miljonowym“.

Dni tych wiekopomnych było coś dziesięć. I byłoby ich może i drugie tyle, bo zapal patryjotyczny miał jeszcze zatrząsienie wspaniałych pomysłów na nowe pochody, loterje, posiedzenia uroczyste, fety, bo poeci warszawscy, aktorzy i Demostenesowie tyle, tyle jeszcze mieli wierszów, mówek, pięknych myśli, kunsztownych apostrof do odczytania, wygłoszenia, odgadania — tak, byłoby dwakroć więcej tych dni epokowych, gdyby nie zgrzyt ponury, straszny, który z poza Niemna nadszedł...

Korpus Gielguda, korpus, który na Litwę poszedł roz-palać żagwie rewolucji, który ruszył na wzmocnienie, trwającej tam od dawna, partyzancki, który miał ją pokrzepić, zagrzać, na tyłach armji rosyjskiej okrutną wywołać dywersję, pozbawić tę armję żywności, furazów, magazynów, posiłków, zniewolić ją do rozproszenia sił — ten korpus, z bronią w ręku, z pełnymi patrontaszami, przeszedł granicę pod Gożdami i poddał się Prusakom.

Ten korpus, który był nadzieją i ufnością ludu, kalkulacją sztabu, wiarą, że hen, na Litwie i Żmujdzi, łopoczą polskie sztandary, że tam, między Dźwiną i Niemnem, wtóre gorzeje ognisko, że walka, że rozprawa nie da się już w ramionach Wisły, Narwi, Pilicy i Wieprza zdławić, że nawet w przypadku otoczenia, w razie opasania, w godzinie rozpacz, jeszcze tam, na Litwie, tam na Żmujdzi — pieśń legjonów grzmieć nie przestanie — ten korpus się poddał! Siedem tysięcy żołnierza dzielnego, karnego odeszło, karabin porzuciło dla żebraczego kija! Ci, co mieli być podtrzymaniem, podporą gromad litewskich woluntarzy — ci stali się ich zgubą, ci bowiem garnącego się do nich ochotnika powiedli na tułactwo.

Kłęska, nieszczęście, cios, cios, przechodzący pojęcie!

Stanęli nad Niemnem, porwali mrowie, najzimniejszych ocknęli do wysiłków do poświęceń, zaklęli się, że raczej legną pokotem, raczej własnymi ciałami nowe kurhany dźwigną, zaklęli się i cofnęli, jak odstępcy, jak tchórze, jak najmici!

Tak, miesiąc cały przysięgali i swarzyli się między sobą o strategiczne racje, a zgodzili się na jedno, ale wówczas, gdy szło tylko o dziadowski honor, o „godne“ złożenie broni i czywiście nie przed nieprzyjacielem — och, przenigdy! — Lecz przed pruską potencją.

Landrat był rozjemcą polskich sztabowców, polskich generałów, polskich bohaterów, męczenników. Siedem tysięcy ludu zdrowego, silnego, zwartego powędrowało w świat na poniewierkę, na zagładę, na chępcie się imieniem obrońców tej samej ojczyzny, którą opuścili. Na udawanie, że nie ci, którzy tam, na ruinach, na mogiłach i zgliszczach orzą, sięją i budują, mają prawo do stanowienia, do zasługi, do honoru, lecz oni tylko, oni, co tyle ucierpieli, oni co woleli raczej pójść na wygnanie, niż dotrzymać przysięgi!

Warszawa oniemiała ze zgrozy, z bólu i ledwie pytała śmiała o dzieje tej klęski.

Dzieje atoli same nadchodziły, same nastęrczały się...

Cały korpus poszedł na marne, a z nim kwiat oficerów, czoło powstańczych wahań i zastęp instruktorów!

I generał Dezydery Chłapowski i Roland i Szymanowski! Jeden Gielgud został... powalony kulą polską, jako zdrajca!!...

I Warszawa przez dni kilka była, jak człowiek, który ciosem złamany, zdruzgotany, niema siły ani poskarzyć się ani tchnąć.

Życie atoli, życie roku 1831 miało dla Warszawy jeszcze jeden brzask nadziei.

I oto gruchnęła wieść, że Anglja z Francją i Austrią pospolu już... już interwenują, że, że, czego oręż polski nie dkonał, czego Gielgud nie umiał, Chłopicki ze Skrzyneckim nie zdołali, czego naród sam niemocen był uczynić — to stanie się, stanie za sprawą Anglji, Francji i Niemiec!

I zahuczały znów ulice, kluby, izby sejmowe, ra-dzieckie sale.

Interwencja! Trzy potencje się zebrały! Szkoda Gielguda, szkoda korpusu, — ale, ale teraz uczyni się tak, że i bez wojska, co należy będzie. A będzie, bo musi być. Najpierw ze sprawiedliwości; dalej, że Kongres wiedeński jest siłą, taką potęgą niewzruszoną, iż gdyby litereczce kto ważył się uchybić, na tegoby cała Europa z armatami; dalej jeszcze, że otóż w tym Kongresie stoi napisano, co należy, z czego wynika, iż nawet rewolucja była i dla Kongresowej racji także; no, a nakoniec idą trzy potencje i basta! — Jedna dyplomatyczna epistola i ho-ho! Paskiewicz za Wisłę umknie i dopieroż zacznie się paktowanie. I w tem właśnie tkwi sęk, by się trzymać ostro, by nic ze swego nie ustąpić, by twardo stać.

I delegacje izby poselskiej snuły polityczne wywody, rozprawiwały głęboko pisemka — a najnieufniejsi nabie-rali szacunku dla owych znacznych potencji.

Tymczasem te dobre nowiny nie przybywały same. Bo oto z Radzymina nadszedł ordynans generała Dembińskiego z wiadomością, że Dembiński ocalał, że dobył się z matni, zastawionej na Gielguda, że wprost z pod Kur-szan, ze Żmujdzi ruszył przebojem, że pięćdziesiąt stoczył bitew, utarczek, lecz nie uległ, nie poddał się, nie myślał nawet szukać pruskiej łaskawości i wracał do stolicy, do

Warszawy! — On jeden prawy, hardy, nieugięty Dembiński!

I Warszawa zatrzęsła się od wiwatów i rzuciła na uhonorowanie bohaterskiego generała.

A było zaiste za co Dembińskiego witać. Z pod Rygi się darł, lasami, puszciami, błotami się przedzierał, na trzy fronty walczył z nieprzyjacielem a czwartym drogę żłobił. Cha, i wytrwał i ani jednego rannego nie uronił, ani jednego nie porzucił. Nie dość, nie odepchnął od siebie, garnących się doń, powstańców, obywatelów, uchodzących przed porachunkiem za bunty — półpięta tysiąca ludu przywiódł na Pragę!

I wyjechał Rząd pół mili naprzeciw i uczcił go solennie, na Szmulowiznie hołdy poniosła municypalność, na okopach lud — aż przed pałacem jeszcze raz Rząd. Aleć nie koniec na tem było. Nazajutrz, u Karmelitów, *Te Deum*, dalej huczny awans na generała dywizji, parada, krzyżów rozdawanie walecznym, Izby solenne obrady, uczyły, zebrania i mowy, mowy, mowy.

Dembiński był i Ksenofontem i generałem Moreau, Rząd zdobił się w łogi rzymskiego senatu i dowodził znów poznańskim szwadronom, że są rycerzami wracającymi z bitwy kannenńskiej. Retoryczne figury uczyły co kroku powracających, jako Hannibalowe zwiędły wawrzyny, jak Rzym z Grecją i Troją pospołu nie posiadały równego im zastępu.

Jakoż te racje do przekonania trafiły nawet conajmniej na krasoinóstwie znających się żołnierzyków! Bo gdzieby szukać większej ludów, stanów, uniformów, uzbrojenia mieszaniny, nad tę, którą przedstawiał korpusik Dembińskiego.

Już sam rdzeń regularnego wojska był wielce różnorodnym, gdyż zawierał po trochu z każdej broni żołnierzyków — i strzelców i ulanów, i artylerję i inżynierów — a nadto i kawalerzystów bez koni i piechurów... konnych. Dalej, że za Dembińskim ten i ów plutonik, co zawziętszy, zdołał od Gielguda umknąć i ku Dembińskiemu przez łańcuchy nieprzyjaciół się przedostać — więc regularny żołnierz był sam przez się zlepkiem najprzeróż-

niejszych mundurów. A dopieroż woluntarze! Tu Żmujdzin, tu Łotysz, tu Litwin ówdzie burlak, inflancki posesor i kurlandzki panicznyk, akademik z Wilna i klecha z Oszmiany; borowy co krom lasu świata dotąd nie znał, białorus w łapciach i szlachcic w żółtych butach; tu huzar na żandarmskim koniu, ówdzie oberwus w dragońskim szyszaku i na kozackiej szkapie; tam jacyś rycerze zakłęci w szkarłatnych płaszczach, czarnych kalabryjskich kape-luszach a obok, niby naganka magnacka, zielone czamary, baranie czapy i grzebień dwururek! Mięszanina taka, że ani się wyznać, ani dojść, gdzie upiccy, kędy dusiatcy lub nowogródzcy.

Aż kiedy, po pierwszym porywie, dowiedziano się i tego, że z Dembińskim zjechał prawie że sam wybór, co znamienitszych obywali z nad Niemna, Wilji i Dźwiny! Kiedy rozpoznano Matuszewicza, Dowgiałę, Lisieckiego, Kurmina, Platerów, Kończę Medarda a z nimi Szuksztów, Jasiewiczów, Łapów, Kołyszaków, Łopacińskich, Przeździeckich, Solłohubów, Prozorów — cha to juści solenniejsze jeszcze zaczęły się powitania, gorętsze, dłuższe oracje.

Do niewielu rzadkich ludzi, którzy w tych gorączkowych, pełnych wzruszeń serdecznych, momentach, przeżywanych przez Warszawę, nie brali żadnego udziału, należał pułkownik Bem.

Jeszcze w pierwszych dniach po przygodzie, co go na Zamku spotkała, zdawał się całą swą pewnością i energją odzyskiwać. Był i w sztabie i u generała Krukowieckiego na żwawej konferencji, odwiedził baterję a nawet i do gubernatora chodził i do prezesa sądu wojennego. I potem jeszcze, jeszcze przez parę dni nie tracił pewności siebie, jeno wcześniej, niż zazwyczaj, zrywał się z posłania i nad-słuchiwał odgłosów stąpań po schodach, jakby kogo wyglądał. Lecz może i nie spodziewał się nikogo, bo nikt, nikt zgola nie zapukał do drzwi pułkownika, ani posyłka ze sztabu, ani ordynans, ani znajomek, ani towarzyszy.

Ale i pułkownikowi czegoś nie sporo było między ludzi, bo po całych dniach siedział teraz zamknięty w swych izdebkach, nawet swego Michalka z baterji odprawił i ledwie, gdy mrok zapadł, wymykał się chyłkiem na mia-

sto do pobliskiego sklepiku i, lichy co mleka i chleba zakupiwszy, wracał do mieszkanca.

To dziwne zachowanie się Bema nie uszło uwagi sąsiadów. Imć pan Brukalski, bąknął to i owo do pani Dzikowskiej, pani Dzikowska do pana Kropiwnickiego a pan Kropiwnicki znów do pana Brukalskiego.

— Źle jest z pułkownikiem! — zawyrokowała kamieniczka. — Nie darmo powiadają na Kapitulnej. — I uczciwie! A tak — przycupnął i siedzi pod miedzą. Hurtig takż podobno baranka udawał i znaleźli go. A najważniejsze czynsz! Zapłacił, niema co. Ale za ten, co idzie, kto płacić będzie? Statku w izdebkach za dukata nie uskrobie! Trza barzej pomyśleć.

Tymczasem nie pomалу zdziwiliby się mieszkańcy kamieniczki, gdyby mogli ściany przejrzeć i zobaczyć, co się w izdebkach Bema dzieje.

Pułkownik bowiem był pogrążony w jakiejś niezmiernie pilnej a ciężkiej pracy. Od świtu do późnej nocy trwał nad mapami, planami i liczbami. Kreślił linje, faliste ciągnął wstęgi, rozmieszczał czarne i niebieskie krzyżyki na arkuszach papieru, zielonemi kropkami wypełniał wolne tu i ówdzie kręgi aż, śnać niezadowolony z wypadającej mu kalkulacji, brał nowe arkusze i znów nowe ustawiał krzyżyki, inaczej łamał linje, w inną stronę zwracał ostrza rysowanych strzałek.

Chwilami, jakby niemoc go ogarniała, jakby już sił i pomysłu mu brakło do dobycia się z labiryntu, bo zapierał głowę na rękę i trwał bez ruchu godzinami.

Aż raptem, jakby dogasające w nim skry płomieniem wybuchały, jakby dla się niezawodne podsyćcenie znalazły, bo znów wracał do map, do liczb, do rysunków swoich i śleczął nad nimi, dopóki głód nie zmusił go do wycieczki na miasto po chleb i mleko.

Tak zeszyły mu dwa tygodnie. Pułkownik jeszcze pracował, jeszcze nie ustał, ale już coraz częściej zapadał w odrętwienie, coraz częściej odrywał oczy od zwojów papieru, od cyfr i poglądał nieruchomym, zamglonym wzrokiem w bezbrzeżną pustkę.

Z takiego to momentu wyczerpania, osłupienia, wyrwało pułkownika raz gwałtowne łomotanie do drzwi.

Bem dźwignął się, zawahał, czyli i tym razem jeszcze nie pozostawić natręta za drzwiami. Lecz łomotanie z taką ozwało się energją, że pułkownik uległ mu i ruszył za-suwę.

Drzwi, naciśnięte z zewnątrz, rozwarły się z impetem. Na progu zarysowała się barczysta postać Krukowieckiego i tuż zabrzmiał jego tubalny głos:

— A toć widzę szturmem pułkownika trza dobywać! Witam, mości dobrodzieju! Co się dzieje? Wyczekuję, ślę pacholka za pacholkiem! — Szukać każę po mieście! — Już mi suppozycje rozmaite! — No, ale cieszę się, cieszę, że cię widzę...

Bem w milczeniu podsunął stolec generałowi. Krukowiecki odsapnął, otarł spocone czoło, łysnął wylupiastemi oczyma na bladą, obrzękłą twarz pułkownika i dodał chmurnie:

— Pewnie, pewnie, do Krukowieckiego nikomu nie pilno! Bo cóż on! Przyjacielstwo z takim jeno kompromituje, rzuca podejrzenia, do utracenia łask przywodzi! Grat stary, zużyty, niedolega, bo się chmyzom dał ubiedz, bo pozwolił się szczurom zwalić! Hę — co, mości dobrodzieju?! Nie wycelowałem! Nabeltali pułkownika.

— Nie widuję nikogo!

— Nie widzujesz — hm — przecież? Albo to nie wiem, jak przy sztabowych raportach...

— Nie składam raportów.

— Więc to prawda, że pułkownikowi odebrano dowództwo?

Bem poruszył się z wysiłkiem.

— Tak, jak mówiłem generałowi! Zawieszenie, rozkazów dotąd nie...

Na twarzy Krukowieckiego odmalowało się niemile zdziwienie.

— A — więc twoja baterja...

— Jest pod dowództwem Orlikowskiego.

— Ale, ale juści możesz na nią liczyć?

Bem spojrział na generała niepewnie,

— To jest, chciałem powiedzieć — ciągnął Krukowski — że... że żołnierze i oficerowie tobie są oddani. Wszak nie na żarty umieli za swoim stanąć pułkownikiem i że ten, mości dobrodzieju, jakby co, no to twoje słowo, pułkowniku, zdecyduje. — He?

— Jakto hrabio generale?

— Zaraz ci to wyłożę. Tylko zacznę od najważniejszej nowiny. Uwolnienie kapitanowej jest na dobrej drodze.

Bem ożywil się.

— Tak, niezawodnie! Chociaż to kaducznie trudna historia, mości dobrodzieju. Gdybym ja a nie klika pana Czartoryskiego rządził, to starczyłoby mi słowo takiego, jak pułkownik oficer! — Ale z tymi trzeba się dopiero wodzić na ostre! — Nawet było już wszystko — gdy niespodzianie do komisji śledczej nadeszła nowa denuncjacja na Marchocką. Zrobiono rewizję drugą i znaleziono u niej w skrytce korespondencję z Roźnieckim...

— Z Roźnieckim!

— Tak, tak. Między nami mówiąc, pułkowniku, kapitanowa, z lekkomyślności niezawodnie, była narzędziem szpiegowskiej szajki. Ani wątpić.

— To niemożliwe!

— Wierz mi pułkownik! Wiem coś więcej, niż sławetna arcy-komisja — inaczejbym się nie ważył ufać banialukom imć pana generała Węgierskiego. Mam ja i własne wiadomości i dla siebie je mam. Dzielę się niemi z pułkownikiem, boć należy się, byś wiedział. Kapitanowa była kochanką syna Gendre'a. Była nią przed rewolucją. Gendre się na nią rujnował, pomimo że wówczas już pobierała pensję... Ale bo, mości dobrodzieju, pułkownikowi coś jest...

— Nic — nic, proszę niech pan generał...

— Pobierał! — Owóz za mego gubernatorstwa — już pisywała do Gendre'a do Zamku... Nie bronilem tego, ileż w ten sposób dowadywałem się niejednej ciekawej historii i niejednego gagatka mogłem wczas, na gorącym, ucapić. Ale juści, nie imaginuj sobie pułkownik, że stąd dla kapitanowej wynikną subjeckje. Co wiem, to wiem. Bo zresztą, uczciwie rozsądziwszy, nie ona jedna. Amory,

madrygały nie tylko ją do tego przywiodły. Lecz pułkownikowi doprawdy coś dolega? — Niel — Supponowałem. Marchocką tem snadniej, mości dobrodzieju, tłumaczyć, iż Gendrowi wiele ma do zawdzięczenia. On przecież dobył ją z biedy, przygarnął, na damę wypromował, dworek jej kupił... Tak, tak. Słupecki i Lessel już uwolnieni! Wniebowzięcie nie wyjdzie — kapitanowa też się wydostanie. Moja w tem głowa.

— Dziękuję generalowi — bąknął pułkownik.

— Niema za co. Z serca uczynię i z sumienia. Bo nie babską paplaninę winniśmy karać, nie rozmiłowane ścigać podwiki — ale dobrać się nareszcie do zbrodniarzów, do tych, co nam świadomie gotują zgubę!

Bem zmilczał, Krukowiecki bluznął pomstą na wodza naczelnego, na rząd, na kunktatorów, gasicieli zapału. Nie znalazłszy atoli ani opozycji, ani zachęty ze strony pułkownika, ochłonął wprędce.

— Co tu mówić, działać trzeba! I dalipan, mości dobrodzieju, chybabym nie był Krukowieckim! — A! czy pamiętałeś, pułkowniku, o planie?!

Bem szurgnął po stole zwojem papierów.

— Wygotowałeś!? Ciekawym okrutnie!

— Obrona Warszawy jest niemożliwą.

— He! powiadasz!

— Tygodnia nie wytrzymamy!

— Na boga, zmiłuj się pułkowniku! — Nie baczysz, że silny przewód może w jednej chwili sił namnożyć, że starczy mocnego uchwytu, aby w kamieniach serce się ozwał! Liczyłeś pulki i dywizje a nie liczyłeś mrowia ludu...

— Liczyłem tylko armaty — odparł cierpko Bem. — W razie szturmów one zdecydują...

— No tak, tak, po artyleryjsku rzecz biorąc! a przecież mości dobrodzieju! O, Saragossa! Masz przykład — czterokrotnym zastępom, co mówię, oddziałek wojska z bandą gerillasów!

— Lecz była pozycja lepsza, działa słabsze niż dzisiaj... mniejsza przestrzeń do obrony!

Krukowiecki głową kręcił niedowierzająco a frasował się serdecznie.

— Toś mi pułkownik zadał! Wolalbym nie słyseć! Wiem, wiem, matematyka, taktyka, fortyfikacja! — Strach ogarnąć! Patrz do czego nas przywiedli! Ale boś może pułkownik za pośpiesznie...

— Dziesięć planów wyprowadziłem. Najśmielszy z nich, najtrudniejszy odwlecze pogrom na godziny. Obrona Warszawy zgubi nas!

— Więc jakto, więc cóż, cóż mamy!

— Najpierw ruszyć pod Nieszawę, zastąpić Paskiewiczowi drogę, stoczyć z nim bitwę, zaniechać gonitwy za pojedynczymi korpusikami...

— Na to by trzeba Skrzyneckiego udławić!... Inaczej czasu zabraknie... Paskiewicz już Bzury sięga.

— Więc w takim razie, powinniśmy rozpocząć wymarsz!

Krukowiecki stuknął niecierpliwie łaską.

— Wymarsz, generale! — podjął z wiarą Bem — armaty forteczne wyprawić do Modlina i Zamościa. Tam skierować magazyny, zapasy i woluntarskie działy dla wzmocnienia garnizonów. Główne nasze siły winny stoczyć bitwę pod Warszawą — aby lunet zażyć i nieprzyjaciela osłabić... Po jednodniowej walce — przyjąć lada warunki, zabezpieczające mieszkańców, i ująć za Wisłę...

— Opuścić Warszawę, stolicę oddać na łaskę! — wybuchnął Krukowiecki. — Pułkowniku, toć zabójstwo!

— Chwilowe jednego miasta, decz ocalenie sprawy! Nieprzyjaciel tu ugrzęźnie, tu wpadnie w zamęt ustanawiania ładu nowego, wodzenia się z wrogą ludnością a podczas nasze główne siły rozpadną się na cztery lotne, samoistne korpusy i, wspierane przez fortece, cztery naraz wydadzą wojny! Tak w dziewiątym roku najście Austriaków odparto, tak nietylko stawiono im czoło ale i granice Księstwa Warszawskiego pomnożono! Polska, generale, nie jest pałacem Radziwillowskim, ani Krakowskim-Przedmieściem, ani Saskim Dziedzińcem. Pola i lasy, puszcze i doliny są lepszymi redutami niż mury i kamienice! Póki nie wyzbędziemy się, nie otrząśniemy z sentymentów dla mieszcuchowskich upodobań, póki nie weźmiemy rozbratu z troską o dolę Karmelickiej bani, póki żalować

będziemy wydania Zamku na kule, na zniszczenie, póki całość ulubionego kopersztychu, rupiecica, trzосу za podstawę całości ojczyzny mieć będziemy, póty tyle naszej mocy, póki trwałości opłotków, których nagrodziliśmy na obronę od napadu, póty jedno więcej działo o przyszłości naszej rozstrzygać będzie!

Krukowieckiemu żyły wezbrały na skroniach.

— Na trzydzieści trzy tysiące przedniego wojska — siedemnaście!

— Zgoda, mości dobrodzieju — lecz nieprzyjaciela równocześnie łarnosił z drugiej strony Napoljon!

— A nam od Brześcia groził korpus rosyjski! Fortecy nie mieliśmy ani jednej. Musieliśmy dobywać dwa razy. Sandomierz! Zamość był w ręku Austriaków.

— Dziś nad Bugiem, nad Niemnem strażują całe dywizje!

— Ale wówczas nie było na Litwie Giełguda!

Krukowiecki wytrzeszczył swe wielkie, okrągłe oczy i parsknął chropowatym, zdławionym śmiechem.

— Cha-cha-cha! Giełguda! Więc pułkownik na nim budowałeś! Cha-cha-cha!

Bem zmieszał się. Generał rzucił mu okrutną prawdę. Pułkownikowi zamąciło się w głowie. Krukowiecki rozpowiedział mu o poddaniu korpusu, o Dembińskim, o ostatnich balamuctwach rządzącej „szajki“ — drwił, szydził z piekielnym humorem a zda się samego siebie szarpał, drażnił, podniecał.

Aż jakby upił się sam własnym jadem, bo galki oczne krwią mu nabiegły, czupryna się zjeżyła a barczyste plecy wygięły w kabląk.

— Pułkowniku! — warknął przez zęby Krukowiecki — nie ujmuję planu, jeno bliższego patrzę! Miara się wypełniła! Polska, mówisz, nie jest kopersztychem! Ale nie jest także panem Skrzyneckim lub panem Czartoryskim! Rozumiesz? Skończyło się! Kto nie umiał, ten ustąpi! Rewolucja musi ocknąć i porządek uczynić. Burza idzie... i stanie się. W klubach wre, może lada dzień, garnizon będzie rozstrzygał. Liczę na pułkownika. Jedna twoja bateria starczy — Co?

Bem wyprostował się i spojrział bystro w oczy Krukowskiemu.

— Nie mam baterji.

— Oczywiście, mości dobrodzieju. Ale niechybnie, lada dzień wrócą ci. A gdyby, to zawsze mógłbyś mieć w pogotowiu...

— Na nieprzyjaciela.

— No tak, boć nieprzyjacielem jest nietylko...

— Znam tylko jednego generale.

XXI.

Jeszcze wiwaty na cześć Dembińskiego trwały, jeszcze sobie rozpowiadano o niechybnej mocarstw interwencji, gdy naraz Warszawa drgnęła i zawrzała popłochem.

— „Kozacy w Mszczonowie!“ — zagadało niespodziewanie Stare-Miasto. — „Pod Tarczynem huzary“ — dodał Zapiecek. — „Bo Paskiewicz przeszedł Bzurę!“ — objaśniła Miodowa ulica. A za temi już, ile przedmieść było w stolicy, ile kątów, domków i kamieniczek tyle rozmaitych gruchnęło wieści. Pisemka, gazetki zawtórzyły alarmowi. Kluby i kawiarnie przyświadczyły mu wrzaskiem.

Rząd, municypalność usiłowała manifestami i odczwanami podtrzymać ducha, rozniecić zapal. Napróżno. Obchody, zgromadzenia przeistoczyły się w burzliwe swary o tem, jak należało Paskiewicza zażyć; z której strony nań uderzyć, gdzie go zmódz. Na sztuce wojennej, na budowaniu lunet, wyborze pozycji, marszach, forsowaniu skrzydeł, szarżach i atakach znalazł się lada pacholek, lada kupczyk, lada mizerak. Co donioślejsze, przeświadczony był, że gdyby nie Skrzynecki, gdyby nie sztabów niedoleństwo, cha, to i teraz jeszcze w tydzień bodaj, możnaby całą armję nieprzyjacielską za lasy za góry przepędzić, a choć sobie na dorobek, na nowego gospodarstwa tęższy rozmach, przybrać bądź Odessę z Krymem, bądź Połock z Pskowem.

Tymczasem popłoch, którym zabrzmiała Warszawa, nie był bynajmniej fałszywy.

Wódz naczelny, pomimo wyraźnych rozkazów Rządu narodowego, nie stoczył decydującej bitwy z nadchodzącym Paskiewiczem, zadawał się utarczkami z przednią strażą i cofaniem się ku Warszawie. Linja obrony pod Gostynimem, nad Bzurą, porzucona została bez myśli obrony...

Kozaków wprawdzie nie było w Mszczonowie, ani pod Tarczynem, nie było też przegranej bitwy — ale wzamian Paskiewicz fortyfikował się w Łowiczu, Kreutz nadchodził od Łomży, Rosen do Siedlec, Rüdiger przeprowadzał się przez Wisłę, Kajzarow oblegał Zamość!

Bajki więc o kozakach pod Tarczynem nie ogarniały nawet grozy położenia, były raczej przecuciem, odgadnięciem instynktownem prawdziwego niebezpieczeństwa.

Sejm uląkł się. Juści nie rozpaczliwego położenia, boć na nie miał w zapasie arsenał retorycznych figur, lecz pomruku, który z godziny na godzinę wzmagał się w Warszawie, który przemieniał się w ponury zew, który już grozić zaczynał porachunkiem.

I sejm nareszcie zdecydował, że istotnie inaczej być powinno, ustanowił komisarzy i wyprawił ich do Bolimowa i zwołali radę wojenną. I na radę, jak przystało na parlamentarne stany, sprosili nie tylko generałów, pułkowników, sztabowców, ale i zgola każdego szwadronu, kompanji reprezentantów.

Nieprzyjaciel wydawał ostatnie rozkazy do wyruszenia z Łowicza. A w sąsiednim Bolimowie dobosze nawet się głowili nad tem, czyli nie należałoby jednego z pośród siebie conajtęższego tamburmajora wybrać i do rady posłać dla akuratnego przedstawienia, jako być powinno.

Aliści rada wojenna tak żwawo się uwinęła, iż dobosze nie mieli czasu na elekcję. W ciągu jednego dnia bowiem nie tylko, że kto z poruczników czy kapitanów zadzierzyszy ten zdołał własnemu generałowi czy pułkownikowi do oczu z prawdą swoją skoczyć, ale i mówcy się nagadać i sztabowcy narozprawiać i komisarzy narozczulać i wódz naczelny ze wspaniałym gestem na szeregowczyka się deklarować.

Innego trzeba wodza!

Na tem pytaniu znojnny skończył się dzień.

— Ale kogo?! — gruchnęło nazajutrz pytanie.

— Kogo?! — zafrasowali się i komisarze i obóz i wedyty na forpocztach, i koniuchowie przy działach i medycy w ambulansach.

— Chyba Prądyńskiego!

— Ten przecież od miesięcy na każdym rozumiał się błędzie, ten najlepsze koncypował plany, ten wszystko dołąd przepowiedział.

— Jeden Prądyński!

— Tylko Prądyński!

Ba, ale raptem na przeszkodzie generałowi kwatermistrzowi stanęła szlachetność! Wal głową o mur, klnij na ojczyznę, na ziemię, na ewangelję, kap łzami — szlachetność Prądyńskiego ani drgnie.

Do tej pory ten i ów mniemał, że Prądyński intrygantem był zawołanym, sprzeką, że z pychy, zawiści ręce umył, że na papierze tylko umiał wygrywać bitwy, że swojemi wystąpieniami nieład, rozprężenie w wojsku podniecał — a tu, naraz, w osobie kwatermistrza Katon się ozwał.

Odmówił dowództwa i tym razem. — Dlaczego? Dlatego, że o zasadę mu szło, że ponieważ Skrzyneckiego zwalczał, więc nie może brać po nim szarzy, nie może dopuścić, by go o prywatę posądzono!

Katon i owszem rad był służyć planem, który, byle go wykonano, był niechybny, Katon atoli nie dał się ublażyć, wołał być dalej prokuratorem niedołęgów, niż z własnem niedołęstwem się zdradzić.

Szlachetność Prądyńskiego zabrała radzie wojennej pół dnia a drugie pół dnia ważenie innych kandydatur, rozprawianie się z Zaliwskim, który żądał uwięzienia Skrzyneckiego, i niepewne ku Dembińskiemu podjazdy.

Dembiński zdawał się po Prądyńskim jedynym. Ale, ale Dembiński tak gwałtownie stawiał się komisarzom, tak wyraźne czynił przytyki do sejmu, mieszania się cywilów do spraw wojskowych, że deputacja bała się wymienić jego nazwiska.

I możeby i tego dnia nie rostrzygnięto pytania, gdyby nie strzały na forpocztach i hukanie groźne pułków: „wodz nam dajcie! wodza chcemy — bitwy!”

Komisarze stropili się. Poszeptali zwarzeni i westnęli.

Dembiński nie świetny. Przebił się na Litwę i z Litwy wrócił, lecz zapaleniec. Mir posiadał w Warszawie, ale, ale czwartemu pułkowi się naraził, bo go zekpał w raporcie po Kuflewskiej bitwie. Wyboru niema — gotów rozpedzić obradujące stany — hm, i co powie na to czwarty pułk, co powie czwarty pułk!

Dziej się wola Nieba!

Dembiński tymczasem cale nie myślał kwapić się na dowódcę. Czy z obyczaju, który zapanował między generałami, wybieranymi na naczelników, czy dla braku wiary w samego siebie, Dembiński, ledwie po długich naleganiach, zgodził się na chwilowe zastępstwo.

Był więc wódz nareszcie. Ale nowego wodza trzeba było zaprezentować wojsku. Uczyniono zatem przegląd.

W obozie rosyjskim ruch wzmagął się, lecz i w polskim zaczął się nielada. Skrzynecki sam podjął się przedstawić wojsku swego następcę i przedstawił tak, że Dembiński porwał go w objęcia i ryknął wielkim głosem: „we dwóch osobach jednego tylko macie wodza!”

Dzień nadszedł wreszcie czwarty, dzień czternastego sierpnia. Dzień ten rozpoczął o świcie komunikat rządu Cesarsko-Apostolskiej mości, komunikat, druzgoczący w niwecz nadzieje na austriacką odsiecz i pismo odręczne gubernatora Warszawy do księcia prezesa Rządu o tem, że Klub patrijotyczny otwarcie wzywa ludność do rewolucji.

Komisarze rzucili się do pojazdów i pomknęli na ratunek stolicy.

Nowy wódz zabrał się do planów i rozpraw z Prądyńskim, Chrzanowskim, Łubieńskim i Skrzyneckim.

Siedemnastu generałów deliberowało, swarzyło się... aż, w toku najgorętszych argumentów, od strony Łowicza wychynęły ciemne, ruchome kolumny i jęły mieść przed sobą polskie placówki.

Generałowie porwali się do szpad. Zagrały pobudki. Wojsko stanęło pod bronią.

Dembiński mierzył lunetą zbliżające się kolumny i wahał się, ważył racje, czyli iść pod Sochaczew i stamtąd zaszachować Paszkiewicza odcięciem go od Torunia, czyli uderzyć nań teraz i za Bzurę wyżęnać.

Dembiński wahał się. Niepewność rozstrzygnął kurjer z Warszawy...

Nowy wódz dał rozkaz wymarszu do Oltarzewa.

Wojsko polskie dźwignęło się chmurne, ponure. Znowu odwrót, znowu cofanie się, uchodzenie bez planu, bez myśli o znalezieniu lepszego stanowiska, znowu mile drogi, znowu mitręga i znowu bezsilne poglądanie na luny pożarów, znaczących posuwanie się w tropy Paszkiewicza i znowu niemiłkące echa beznadziejnych utarczek arjergardy, staczanych z nieprzyjacielskimi podjazdami.

Szło wojsko i kłęło Dembińskiego.

Podczas wódz nowy nie z braku serca, nie dla niedostatku zadufania na odwrót się deklarował. Dembiński był jeno czlekiem, który, ratując dobytek przed powodzią, widzi płomienie nad własną strzechą. Dembiński z dwojga niebezpieczeństw szedł na zmożenie bliższego, szedł na ocalenie Warszawy...

W łonie stolicy Królestwa, w ciągu dni rozpraw na błoniach pod Bolimowem — zaszły niepojęte, niewyllumaczone zmiany. Zmiany, których nawet wezwani do Warszawy członkowie Rządu i komisarze sejmowi nie mogli ogarnąć.

Nikomui nie było tajno i oddawna, że klub patryjotyczny burzy ludność, że i Zaliwski i Mochnecki i Czyński i Lelewel sam praują nad zachwianiem powagi rządu, nad odtworzeniem krwawych dni francuskiego konwentu. I sejm i rząd i municypalność i wszystkie ogniwa władzy znały na palcach burzycieli, demagogów, opętanych ideowców, mściwych pyszałków, wicherzycieli i agitatorów. Rozumiano się u steru i na niechęci do Skrzyneckiego, i na niezadowoleniu, że sąd na zdrajców nie dość szybko się rozprawia i na tem wszelkiem przeczuwaniu, niepokoju, gorączce, która płynęła z grasującej cho-

lery i z niepowodzenia oręża polskiego i z trwogi o rodzonych i ze zbliżania się nieprzyjaciela!

Rozumiano się znakomicie i baczono na lada objaw złowrogi.

Z początku członkowie Rządu tuszyli sobie, że sam powrót ich do stolicy uciszy wrzenie, zwłaszcza, że dla ludu warszawskiego mieli wspaniały raport z deputacji do Bolimowa, mieli Dembińskiego, mieli niesłuchanie doniosłą zmianę konstytucji, bo poddanie wodza rozkazom Rządu, no i tuzin conceptów na odwołanie się do obywatelskiego ducha szlachetnych mieszkańców. Lecz że te, dotąd niezawodne, środki nie zdawały się skutkować, więc nie zaniechano wzmocnienia posterunków gwardji, pomnożenia patrolów, wart i gubernatorskiej czujności.

Aliści Warszawa odpowiedziała na te zarządzenia jedno głośniejszem szemraniem. Klub patrijotyczny do otwartego nawoływał buntu. Pisemka, pamflety, plakaty na rogach ulic wróżyły niechybną śmierć zdrajcom i kunktatorom. W koszarach sejmikowano niby u Honoratki.

Rząd zebrał się na nieustające obrady...

Warszawa drżała w posadach, hukiem podziemnym zwiastowała nadchodzącą godzinę wybuchu — a pałac Radziwiłłowski precz się zastanawiał, jako należy sobie począć i nie poczynał nic zgola. Lecz że chwila była groźna, więc członkowie Rządu radzili dalej, bez przerwy, dzień i noc, dwa dni z rzędu i trzeciego dnia jeszcze trwali dla dobra ojczyzny w fotelach sesjonalnej sali — choć był to dzień świąteczny, dzień Wniebowzięcia!...

Nie było zgody w Rządzie. Dawne przymierza oligarchów znikły. Pięć ciągle było zdań. Morze słów wylewano o potrzebie wdrożenia uszanowania dla władzy, o silnem ramieniu, o rozpaczliwych terminach, o zewie ludu, o tem gdzie, kiedy i jak która rewolucja, która rzeczpospolita, które państwo w podobnych terminach bywało i jak się z nich dobyć mogło lub dobyło...

A równocześnie każdy z pięciu członków innych wyglądał zbawców, każdy z nich radził a nasłuchiwał, czyli upragniony nie nadejdzie odzew.

Czartoryski przygnębiony austriackim komunikatem, żywił nadzieję, że rozwaga najdzie i Dembińskiego i Pa-skiewicza, że rokowania dowódców nawiążą nici rozejmu a kongres mocarstw dokona, co należy, no i że juści pierwsza wiadomość o parlamentarzach ukoji stolicę; Niemojowski wierzył w Prądzyńskiego i Sejmu powagę; Morawski sądził, że w ogóle wrzenie trzeba pozostawić wrzeniu; Barzykowski czekał na armaty Dembińskiego; Lelwel miał w zanadrzu listę skazanych na śmierć przez przysły rewolucyjny komitet... listę, którą rozpoczął Czartoryski!

Tymczasem ranek, dnia 15 sierpnia, zdawał się zapowiadać niewątpliwie zbawczy wpływ trwającej pracy Rządu.

Warszawa, jak zwykle, dzień świąteczny rozpoczęła od wędrówki do świątyń, od spaceru po nabożeństwach, od rozkoszowania się zielenią, słońcem przepojonych ogrodów.

Po cukierniach, gospodach było tyle gwaru, jak przystało na dzień świąteczny. Ludek kupił się na placach i rynkach, zbijał w gromadki, rozprawiał według zwyczaju, według zwyczaju najgłośniej dowodzili oficerowie, co do żadnego nie należeli pułku. Zresztą i cisza i ład i swywola nawet. Wybierano się na „Fra diavola“, recytowano sobie ostatnie „Miotelki“, bajdurzono o kozakach i czytano proklamacje patriotyczne jak od miesięcy, jak co dnia.

Ledwie popołudniu na gubernatorstwie, na policji nieco się stropiono. Bo oto ktoś nie tylko doniósł, że generał Dembiński idzie z całym wojskiem do Warszawy, ale że idzie na dokonanie 18 brumaire'a, czyli że armaty na ulicach zaciągnie, Klub powywiesza a krnąbrny ludek karcaczami moresu nauczy.

Zafrasował się imć pan Węgierski, co teraz generał-gubernatorską władzę sprawował, i dał znać do Radziwiłłowskiego pałacu. Pałac Radziwiłłowski zaciągnął tę, wy-magającą sprostowania, pogłoskę, na porządek dzienny i radził dalej. Pogłoska zaś szła, obiegała miasto...

Pułkownik Bem tego samego dnia, już przed zmierz-

chem, wybrał się na miasto i to zgola uroczyście, bo w odświętnym wicemundurze i nowych epoletach. Ta niezwykła staranność pułkownika z kilku wynikała powodów. Najpierw, że, po tygodniu rozterki, przygnębienia, przyszło nań ucieszenie, poddanie — zjawilo się tem łatwiej, iż nazajutrz po odwiedzinach Krukowieckiego, przyszedł odzew ze sztabu. Odzew ten nie zwiastował mu jeszcze dowództwa, nie wracał mu baterji, powolywał do komisji obrony stolicy tylko, ale zawsze był dokumentem, że bezczynność się dlań kończy, że przecież wspomniano nań. Bem był daleki od zakładania na tym odzwie jakichś spodziewań. Nie widział ich, nie widział żadnych.

Drugim a raczej stanowczym powodem, dla którego pułkownik aż odświętny przywdział uniform, był Krukowiecki. Ex-gubernator tego dnia, od świtu prawie, atakował go ordynansami, gwałtując o przybycie doń na niezmiernie ważną naradę. Bem, przez wzgląd na wiek i zasługi generała, przyrzekł stawić się wieczorem. A że dzień był dokuczliwie parny, więc wybrał się wcześniej, aby po drodze wytchnąć nieco w Saskim ogrodzie.

Ale parny, duszny dzień sierpniowy zdawał się czyhać na piękny strój pułkownika. Bo oto, zaledwie Bem wszedł na Senatorską ulicę, wielkie krople dżdżu posypały się i pociągnęły za sobą całe upusty. Ulewa bluznęła potokami wody.

Pułkownik rad nie rad, musiał zrejterować do restauracji Chovota i tu przycupnąć w kąciku przy kuchni i cieszyć się, iż tak gładko udało mu się wykryć wolny stołek, fajkę i kubek zimnego ponczu. W ślad za pułkownikiem bowiem, do wypełnionej po brzegi restauracji, jęła płynąć fala szukających schronienia przed deszczem. Zgiełk, tumult i wrzawa zapanowała piekielna.

Bem spowil się kłębami dymu i zerkał flegmatycznie ku oknu na, bębniące i pryskające po szybach, krople.

Dokola niego tumult rósł, sypał oderwanymi okrzykami, rozpadał się na części zwarte, to znów łączył w zgodny wrzask — pułkownik nie zważał. Nawet wyrazy takie, jak — „szubienica“ — „precz z rządem!“ — „Pułaskiego nam trzeba“ — „nie dajmy się wymordować!“ — nie zdo-

łały uwagi Bema zaostrzyć. Tyle się razy nasłuchiwał podobnych, tak z nimi otrząsał, że cukierni, kawiarni nie mógłby sobie bez nich wyobrazić. Tak przecież trwało od nocy listopadowej, dlaczegóż miałyby być dziś właśnie inaczej...

Najdokuczliwszem zdało się Bemowi, że plucha nie ustawała, że, miast ogrodowego tchnienia zażywać, musiał trwać w dymie i dusznych wyziewach. Bo zresztą najmniej turbował się o wizytę u Krukowieckiego. Przeciwnie, będzie miał grzeczny pozór. Ex-gubernatorowi rewolucja nowa chodzi po głowie, walka z Rządem, sejmem, całym światem! Żałość go zalewa, dręczy, unosi, desperackie nieci pomysły! Demagodzy podbijają generałowi bębenka! Pograżony korab chcą ratować gwałtownym targnięciem, gdy póty korabia dłużej na powierzchni póki jedności, wewnętrznego spokoju! Szkoda Krukowieckiego, szkoda człeka. Nominację Dembińskiego ma sobie za nowy kamień krzywdy! Pewnie, bardziej należało się temu, który, bez oglądania się na wpływy, intrygi, rangi umiałby je sam wziąć...

Żółte światełka zapalonych pajaków zaświdrowały natrętnie w źrenicach pułkownika. Bem poruszył się. Tuż przed nim zarysowała się wątła, szara sylwetka ulicznika i mignęła mu białym świstkiem papieru.

— Afisz „Fra diavola“, wielkie przedstawienie ze śpiewami narodowymi! Czartoryski ze Skrzyneckim na jednej szubienicy! Za pięć groszy!

Pułkownik spojrział machinalnie ku świstkowi i otrząsnął się gniewnie — afisz teatralny zdobiło dwóch, łatwych do rozeznania wisielców...

— Do teatru obywatele! — zagrzmiała tuż restauracja. Tam zbierają się patrjoci! — Komu ojczyzna miła, ten do teatru! Naprzód! — Do teatru!!!

Tłum w cukierni zakolysał się i porwał z poza stołów.

Bem poglądał na cisnących się do wyjścia ludzi i tarł niespokojnie czoło. Boć chyba nie zrozumiał, chyba z duszności w głowie mu się zamąciło.

Naraz, z rogu cukierni, z pośród dymu, wyłoniła się

ku pułkownikowi szeroka, rozczzerwieniona twarz majora Boskiego.

— Tak, obywatele — dowodził major ochryplym głosem — Rząd zdrajców osłania! Deputację ludu kłamstwami zbył!! Do redutowych, na teatr, za siekiery brać, za postronki! Ksiądz Pułaski prowadził! Z nami gwardja! — Do dzieła! Godzina sprawiedliwości wybiła! Za mną, obywatele!

Wiew świeżego powietrza, który, poprzez rozwarłe na sciążaj drzwi, wpadł do opustoszałej nagle restauracji, orzeźwił pułkownika. Bem podniósł się i zmierzał ku wyjściu, gdy tuż z ponad stolika bocznego dźwignął się ku niemu mundur artylerji konnej.

Bem spojrział i uśmiechnął się przyjaźnie, rozeznawszy podporucznika Ilińskiego.

— Waćpan przed deszczem...

— Nie, pułkowniku, jeno przedostać się nie mogę na Królewską, do matki... Trzy razy usiłowałem...

— Jakże to?...

— Mrowie ludu zalega pałac Radziwiłłowski a drugie mrowie przed Redutowemi salami nie daje przejścia!

— Coraz więcej rozpasania motłochu.

— Aż strach bierze ogarnąć, co się dzieje...

— Mój podporuczniku, toć prawie codzienny widok! Rwie się wszystko, kruszy nie od dziś!...

— Lecz przed pałacem pięściami Rządowi wygrażano! Na własne oczy widziałem. Jakiś mieszczuch, mówili Brawacki, na lwa kamiennego się wdrapał i wyroki śmierci odczytywał, podczas gdy cała deputacja klubistów z Rzędem wprost się wodziła! Podobno ksiądz Pułaski dyktatorem będzie!

— Co waćpan! Toć banialuki krzykackie! I ślamazarstwo gubernatora! Szwadronu, jednej kompanji gwardji brak! Rezolucji brak!

— Gwardja, pułkowniku, uciekła z przed pałacu!

— Chyba podporucznik dworujesz sobie!

— Uciekła, między tłum poszła i z nim stawała za jedno. General Węgierski wzywał, zaklinał, kazał bębnić na zbór — daremnie.

Bem zatoczył się, jak pijany, ku wyjściu i oparł o framugę drzwi. Iliński postąpił za pułkownikiem.

Ulica tonęła w mrokach ponurej nocy. Z obsiākających dachów chlupotały resztki wody w kałuże pod zrębami domów. Środkiem ulicy sunęły jakieś gromady ciemne, nawołując się wrzaskliwie.

— Mają dzisiaj mordować! — ozwał się po przestanku Iliński. — Lęk zdejmuje pomysłać. Przy matce mej drobne rodzeństwo i troje starych sług — jeżeli rabunek pójdzie... A wszystkiego można się spodziewać! Podobno wojsko nadciąga — ale czy zdąży, panie pułkowniku, czy zdąży?!

Bem głowę pochylił i zagadnął raptownie:

— Czy Orlikowski nocuje w koszarach?

— Nie, kapitan na te dwa dni świąt wyjechał pod Wierzbno. Jabłonowski trzyma komendę, za wiadomością sztabu brygady...

— A obsługa?

— Zwyczajnie połowa, bodaj mniejsza część pełni służbę. Na apel niejeden nie wrócił. Kapitan wyrzeka słusznie. Warszawa pod bokiem, ciągnie żołnierzków, dezercja. Z tego postoju więcej ubytku niż po najsroźszej potrzebie...

— Na cztery armaty wystarczy?

— Obsługi? — niezawodnie.

Bem dał znak Ilińskiemu, aby szedł za nim. Podporucznik ruszył bez wahania.

Pułkownik jakby ważył coś, jakby zastanawiał się.

— Iliński — mruknął przez zęby — czy aby waćpan nie nadto dałeś się zwieść wrażeniom?

— Wrażeniom?

— Hm — w najlepszej wierze! — Rząd musiał się zabezpieczyć. No tak, nahalasowali mu przed pałacem. I nie pierwszy raz! Ale trudno na zdesperowany lud z bagnetami...

W głębi ulicy Miodowej zerwał się przeciągły poszmer.

— Idą! — szepnął Iliński.

— Kto — dokąd?! Troi się waćpanu! I dalipan ciemno, że światu nie widać! Latarnicy śnać także delibe-

rują dziś nad ojczyzną! Zbierz acan przytomność. Strachy cię oblatują, jakbyś bitwy w życiu nie próbował.

— Cóż, bitwa nie wielka rzecz... a tu...

Iliński urwał. Bem czegoś się zamyslił. Szli tak, wlokąc nogę za nogą, nie zważając na pomykające na wsze strony cienie ludzkie.

Wtem, jakaś gromada zziajana ogarnęła ich swoim oddechem.

— Do broni, obywatele! — zachrypiał przeraźliwy głos.

— Do broni! — Na Rząd! — Na Rząd! — Ratusz ojczyznę! — podtrzymywały inne głosy.

Ulica, w jednej chwili, zatrzęsa się od wrzasków, którym coraz pełniej zaczęło wtórować nadchodzące z głębi, od placu Krasieńskich, wycie.

Bema oburzenie zdjęło.

— Wieszać arystokratów! — zaskrzeczał mu nad uchem chudy cień.

Pułkownik odwrócił się i porwał go za kołnierz.

— Jak śmiesz nicponiul

— Śmierć Czartoryskiemu!

— Coś za jeden?!

— Jestem Korytko! A ty jak się ważysz? Do mnie obywatele! Na pomoc! — Szpiegl! szpiegl!...

Ku szamocącemu się z Bemem Korytce chlusnęła fala postaci. Lecz Iliński skoczył ku Korytce, oderwał go od pułkownika, pchnął między falę i Bema odciągnął szybko pod mur.

Korytko wołał na swoich, aby zatarasowali ulicę, aby zdrajcę imali, ale ciemń panująca a bardziej jeszcze tłum, w oczach rosnący, udaremnił wszelką możliwość poszukiwań. Wreszcie sam Korytko zaniechał napastnika, bo, zadowolony się gwałtowniejszym obwieszczeniem śmierci arystokratów, ruszył dalej.

Bem stał pod murem, drżąc z pasji bezsilnej. Iliński szeptał coś doń, namawiał do cofnięcia się bokiem ku Marywilowi i przeczekania na skwerze, pod Prymasowskim pałacem, wolnego przestworu.

Pułkownik milczał i trwał na miejscu.

Tuż przed nim wplynęła teraz zbalwaniona, huczająca cizba ocierając się oń i tchnąc mdłym zaduchem potu.

Bem poglądał na czarne mrowie, jakby przeniknąć chciał, rozpoznać to bezimienne rojowisko.

Aż, naraz, z przeciwległego zbocza snop światła trysnął.

— Wiwat „Dziurka“! Niech żyje Kościółowska! — wrzasnęły tłumy! — Górą „Honoratka“! — Na Rząd! — Hurra!...

Pułkownika dreszcz zimny przejął.

Oto, między pochodniami, które z kawiarni „Honoratki“ i „Dziurki“ niemal równocześnie wysypały się na ulicę — ujrzał nie tylko drabów z siekierami i oskardami, kołami ale i oficerów i gwardzistów i ichmościów z waszecia i baby o twarzach sekutnic i dziewczyny z gorejącymi oczyma i wyrostków i karabiny i noże i pałki i znajome mu dobrze oblicza.

Na czele bowiem pochodu, który z kawiarni pod „Dziurką“ się wysypał — szła z siekierą mała, sucha, z nastroszonymi, rzadkimi włosami kobieta... szła, słynna na całe miasto, Kościółowska. Tuż obok niej, rycząc bez wytchnienia, toczył się Boski major, Małachowski — lampka, Morawski krawiec, co Bemowi wicemundur szył. A dalej, dalej, wśród pogłowia, niby ten, co oddział „Dziurki“ z oddziałem „Honoratki“ kojarzył, szedł Sikorski...

Bemowi zdawało się, że śni. Wysunął się, aby lepiej augustowskiego partyzanta rozeznąć, gdy tłum odepchnął go razem z Ilińskim i we wnękę, aż pod pałac Igelströma weisnął.

— Panie pułkowniku — upomniał Iliński — trzeba się stąd dobyć — tu niepodobna... Najśnadniejby Kapitulną i Żoliborzem!

— Musimy na ratusz!

— Tam gorzej...

— Musimy! — Do gubernatora! Natychmiast! — Idźmy pod murami! — Zważaj!

Podporucznik chciał odwodzić Bema, lecz ten już się rzucił na przelaj i jął sobie drogę torować. Iliński podążył za Bemem.

Z początku jedynie z największym trudem się posu-

wano. Gdy nagle, tarasująca ulicę, ciżba drgnęła i popłynęła ku Senatorskiej.

Bem z Ilińskim ledwie z wysiłkiem oparli się prądowi, rwącemu do Placu Zamkowego, i skręcili na prawo, ku Marywilowi. Tu jednak runęła na nich wprost inna zawała ludzka, targnęła nimi, zaszamotała i poniosła w ślady za pierwszą.

— Na zamek! — Śmierć zdrajcom! — Wieszać szpiegów! — ryczał tłum rozszalały dokoła Bema.

Pułkownik nie władał sobą.

— Stać do milion!!! — Milczcie!

Na to niespodziewane wezwanie, najbliżsi Bema zawahali się, stropili.

Iliński chwycił za rękojeść pałasza... Jakaś pięść dzwignęła się ku pułkownikowi. Gdy niespodziewanie pisnął ktoś z boku.

— Bem z nami! Pułkownik Bem!

— Wiwat pułkownik! — Wiwat lud! — Hurra! Naprzód! — Na zdrajców!

Pułkownik porwał za ramię Ilińskiego.

— Słuchaj — zachrobotał mu do ucha — do baterji trzeba! Jeden z nas dotrzeć musi i... bodaj...

Bem nie dokończył — ciżba bowiem szarpnęła nim, ramię Ilińskiego wysunęło mu się z ujęcia i znikło w tłumie.

Podczas gdy osamotniony, uwięziony w kleszczach zbitego mrowia, pułkownik rwał ku Zamkowi, niby lupina, pędzona nurtem wezbranego potoku, tam, pod Zamkiem, już lysnęły siekiery i zadzwoniły o wrzeczadze.

Okna zamkowe wysunęły lufy karabinów.

Plac warknął złowrogo. Siekiery mocniej zadzwoniły.

— Ognia! — huknął ktoś od strony Zamku.

Kilkanaście posłusznych ogników mignęło w oknach, strzały padły w dal nieuchwytną. Tłumy zawyły.

— Morduję lud! — Zabijają nas! — Stój! — Ratuju się!...

I czarne zawały ludu rzucili się w tył, jak grzebień spiętrzonego morza przed zrębem skały... Lecz na krótko, bo za grzebieniem tym wyrósł garb potężniejszy, zda

się, zawzięwszy, uchodzących osadził, pochłonął, wzmocnił i pod Zamek zawrócił.

Była to ciżba z oddziałami „Dziurki“ i „Honoratki“...
Siekierom przybyła teraz rezolucja.

— Narodzie! — Smoly! — Słomy!...

— Wiwat! Ramię do ramienia! Spalić łotrów! — Podkurzyć!

Tłum wybuchnął pijanym rechotem, gdy, raptem, z rechotu przeszedł znów w pomruk... Bo oto, od strony pałacyku pod Blachą, ukazały się dwie kompanje piechoty ośmnastego pułku i, wiedzione przez samego generał-gubernatora, żłobiły sobie drogę do zamkowej bramy.

Tłumy zalterowały się widocznie taką determinacją. Lecz bardziej jeszcze od nich zalterował się sam dowódca, bo nagle, o kilkaset kroków od bramy, utknął w ciżbie i coś prawić zaczął do ludu.

Tłumy ryknęły. Zawory zadrżały w posadach.

Węgierski obejrzał się po żołnierzach, skinął pałaszem i nacisnął konia. Koń wspiął się, jakaś ręka porwała go za uzdę.

— Ustąp! — wrzasnął generał.

— Stój, na Boga, generale! — odpowiedział mocny głos. — Nie poradzisz! Co zamierzasz!...

— Co? Kto do pioruna?! Głośniej!

— Bem, do kroćset

— Pułkownik?!...

Bem podsunął się do siodła Węgierskiego.

— Nie zdołasz! Trza od Wisły! Armat trzeba...

— Co pułkownik?!... Wiem, jak należy!

— Palić chcą! Ogień podkładać!

— Idę na to wzmocnić załogę!

— Gdzie, któredy?!...

— Oknami iść nie będę, tylko bramą!

— Niepodobieństwo!

— Idź pan do stu djablów!...

— Ocal więźniów, generałów! Od strony Wisły! Mord pójdzie!...

— Tędy wystarczy!

— Daj mi choć, trutniu, jeden pluton żołnierzy!

Węgierski targnął koniem. Bem, nie zważając na generała, wpadł między kompanję.

— Trzeci pluton za mną!

Gromadka żołnierzy, mniemając, że taki rozkaz generała, bez mitręgi ruszyła za pułkownikiem.

Gubernator podczas sapał ze złości na pułkownika a znów wahał się i mierzył pogłowiem ludzkie, dzielące go od bramy.

Aż dokoła oddziału Węgierskiego zerwał się istny huragan przekleństw, obelg i grózb. Szalejącej burzy jakby nowe chmury przybyły z sukursem.

Thuny czy podsłuchały Bema, czy go przeczuły.

— Wywożać zdrajców! — Szpiedzy uciekają! — Szturmować! — Brać nędzników! — nawoływały chrapliwe glosy.

Rykowi tłumów zawtórowały strzały, idące ku Zamkowi. Zamek milczał.

Węgierski ruszył ku bramie. Ciżba dokoła piechoty zbałwanila się. Wrzask, gwizd i grad kamieni padł w oddział.

— Hycle! — Rakarze! — Siepacze! — bluzgała tłuszcz.

Bębny zadudniły z pasją. Piechota szła...

Plac zamkowy, na widok idącej ku bramie piechoty, zaskowyczał z wściekłości...

Oto już, już ostatek obywateli wyparli z przed bramy, już ją otoczyli, otwierają teraz, wchodzą do Zamku!

— Naprzód! — warknął plac i runął na bramę, na piechotę, na bagnety...

I znikła w jednej chwili i piechota i gubernator i gwardja, znikli, jak znikają równiny nadbrzeżne, gdy szalejąca powódź zerwie ostatnią groblę...

W oknach Zamku zamigotały pochodnie i blysnęły ostrza...

Tłuszczka parla wciąż jeszcze, jakby chciała własną miazgą mury rozsadzić. — Aż ustała nagle, bo oto plac ryknął z triumfem i ręce wyciągnął z rozradowania... Z pierwszego piętra Zamku już ślaniał się ku tłumom skrwawiony, nagi trup!...

— Bierz go narodziel! — wrzasnął cień na piętrze.

— Wiwat! — Niech żyje Korytko! — Dawać go! Dawać...

I trup zakolysał się i padł, rzygając gorącą jeszcze krwią generała Jankowskiego.

Motloch rzucił się na trupa, jak stado zgłodniałych hyjen i jął go szarpać, rwać na kawaly a potem sponiewierane, zbeszczeszczone szczątki wlec na postronku do latarni... i cieszyć się i radować i wyć z uciechy, że narzecie... zamordował i shańbił niewinnego człowieka...

XXII.

Zaledwie ciało generała Jankowskiego zawisło na latarni, już tłumowi rzucono nowego trupa.

— Który — który zbrodziej! — zagadało mrowie.

— Fanshave! — odpowiedziano z Zamku.

Nazwisko szambelana jakby zdziwiło ciżbę.

— „Fenczau“? — „Fencz“!?? — Ki djabel? — mruknęły glosy.

— Musi najgorszy, kiedy go na drugiego „wzieni“!

— Za nogi wieszać, za nogi, szelmę!

— Wiwat!!

I na latarni sąsiedniej, obok Jankowskiego, zgrzytnęło kółko pod gniotem naprężonego sznura.

Plac zawył z uciechy i rozognione, obłąkane spojrzenie zaparł na murach Zamku...

Zamek mrugał pochodniami i milczał...

Plac warknął gniewnie, niby zwierz zgłodniały na niedość żwawego karmiciela.

A tymczasem, wśród labiryntu komnat, sal, krużganek i kurytarzów zamkowych „elita“ tłumu czyniła wszystko, byle coprędzej jego woli stało się zadość, byle wymiar sprawiedliwości na sekundę nie chybił.

Ale cóż, zadanie było trudne. Więźniów licho co zostało, po przenosinach do Brühlowskiego pałacu, a ci, co trwali, ci, jako zazwyczaj nikczemnicy, pochowali się, zaszyli w kąty i ani myśleli honorem imponować. Nado-

miar bobrujące czerechy obywateli i obywaterek wypędziły kluczników, zniosły warty a co ważniejsze i kaganki i światła...

Plac huczał ze zniecierpliwienia a „elita“ przebiegała zanikowe komnaty, ścierała się ze sobą, wodziła, po razy kilka do tych samych wracała kątów, napróżno. Zdrajcy jakby się pod ziemię zapadli.

I możeby istotnie uszli, gdyby nie ukazanie się w krążganku nowego oddziału, prowadzonego przez małą, chudą postać i tęgiego draba w sutym uniformie partyzanckim.

Oddział ten, ani zważając na ciżbę, zapuścił się w kurytarz najbliższy.

— Tam żywego ducha! — ostrzegła ciżba.

— Za mną! — uparła się chuda postać i, rzuciwszy się ku przodowi, wskazała na małe, niewidoczne prawie drzwi.

Oskardy i siekiery rozplatały zaporę. Światło pochodni w darło się w głąb...

— Jest! — syknął żmijowy głos.

Oddział, na to zawołanie, jakby ośłupiał, jakby w ziemię wzrósł... bo oto tam, w rogu komnatki, stał cień wyprężony, o twarzy woskowej, z oczyma wytrzeszczonemi, niby lala z magazynu komisarjackiego, mundurem generalskim opięta, niby upiór.

Nastąpiła wieki trwająca... sekunda ciszy...

Aż przed oddział wysforował się imię Korytko.

— Generale Sałacki — ozwał się z powagą — trybunał ludu wzywa cię...

Korytko nie dokończył, bo tuż z za jego pleców drąg żelazny spadł na czaszkę generała. Sałacki runął, pryskając mózgiem.

Oddział wrzasnął. Nastąpił zgiełk, tumult, bo każdy pałasz, każdy bagnet, nóż, siekiera chciały krwi sprzedawczyka zakosztować.

— Ludowi go dać na skaranie! — zapiszczała chuda postać. — Brać! — Reszta za mną!

— Wiwat Kościółowska! — Niech żyje!

— Za mną!

Sześciu chwyciło krwawą, bezkształtną masę — inni podążyli za Kościolowską, która już wpadła do sąsiedniej komnaty.

Sąsiednia komnata wiała pustką.

Drab w mundurze partyzanta skoczył do łóżek i roztrząsał je.

— Umknęli!

Kościolowska wskazała na otwarte okno.

— Na taras! W ogród!

Oddział zatoczył się i poszedł za swoim wodzem.

I, po krótkiej bieganinie, wśród klombów i kwiatnych floresów, w podcieniu lip rozłożystych, wybuchły dwa idące po sobie, spazmatyczne odgłosy wrzawy a po nich znów dwie latarnie przed Zamkiem zakolysały trupami. A że z powodu tych nowych trupów na placu wszczęła się wątpliwość — tedy imć pan Brawacki, wszech nauk lekarskich chirurg a oprawców dowódzca, uczynił dwa nowe nadpisy: „radca stanu Bentkowski“ i „Bukowski, dywizji lysobockiej generał...“

Po tej rozprawie na tarasie, oddział Kościolowskiej, choć uszczuplony nieco, bo ten i ów z ochotników zawieruszył się, jeszcze wrócił na kurytarze, jeszcze szukał i szukał długo... Tak długo, że podkomendnym już cierpliwości brakło, że w oczach topnieli, że woleli pójść za okrzykami, które, poprzez mury, wzywały trybunał do „Prochowni“, do „Franciszkanów“.

Ale ci, co wytrwali przy Kościolowskiej, sowitą wzięli nagrodę. Bo w momencie, gdy po przepatrzeniu wielkiej sali, jakiś wykrzywiony garbus zaskrzeczał ze złością:

— Co ta obywatel Sikorski!... Ludzie, czasu szkoda! Do prochowni.

W tym samym momencie Kościolowska żgnęła nożem w porzucony pod stołem toboł... Toboł jęknął i bluznął krwią.

— Hurtigl

Ostrza lysnęły.

Kościolowska zagroziła im drogę.

— Żywcem go! — Strykiem za nogi i wlecl

— Tyło, że mu jednego ślepiea zmrużę! — uparł się

im pan krawiec Morawski i błyskawicznym ruchem ostrzem palasza zakręcił w oczodole komendanta Zamścia.

General zaskomlał nieludzkim głosem. Powróż spętał mu nogi i, szarpnięty przez kilkanaście rąk, jął wlec Hurtiga z triumfem na podwórzec zamkowy, kędy general miał przeżyć jeszcze własne trzewia!...

Pojmanie Hurtiga było atoli ciosem i dla Kościółowskiej. Z oddziału mnogiego został przy niej jeno ów partyzant, mieszczuch łysy, dwóch oberwańców i garbus z jedyną pochodnią, który wręcz groził wymówieniem posłuszeństwa.

Kościółowska zerknęła do partyzanta.

— Chyba do prochowni!

Partyzant rzucił jej w odpowiedzi jakiś wyraz.

Oczy Kościółowskiej zaiskrzyły się.

— Szpiegówek trza napocząć!

— Co pani! Do prochowni wołają!

— Milcz! Za mną.

— Dragoński, psiawiario!

— Z babami poigrać! Nuże ludzie!

Gromadka rzuciła się za Kościółowską. I nie zawiodła się na niej, bo snać właścicielce kawiarni pod „Dziurką“ szczęście sprzyjało. — Na drugim zakręcie, już przenikliwe jej, nabiegłe krwią oczy wykryły we wnęce dygoczący cień człowieka i, o dziwo, miał go podać na rozplatanie — wpily się weń laskawie.

— Ten nam wyśpiewa! Trzymać go! Tyś klucznik?...

— Na Boga... nie...

— Gadaj! Otworzyć mu kołnierza! Gdzie baby?...

— Nie wiem... zlitujcie się... ja... — belkotał cień.

Nóż Kościółowskiej musnął mu po gardle.

— Są... aby trzy... cztery są... Tu zaraz... schodami...

Rany Boskie!...

— Prowadź!

— Pochód ruszył i dotarł do długiego kurytarza, na który wychodziło kilkoro drzwi.

Mieszczuch szarpnął klucznikiem.

— Gdzie!?

Wargi klucznika poruszyły się drżeniem.

— Tu...

Partyzant nastawił bagnet. Jeden z oberwańców rąbnął siekierą w odrzwia i przepołowił je na części.

Otwarta izdebka zabrzmiała okrzykiem przerażenia.

Partyzant pochylił karabin.

— Brać się do miodu, chłopcy! — napomniała Kościółowska i skoczyła za partyzantem we drzwi.

Gdy naraz, od strony zasłoniętego kotarą łóżka, zerwała się wąła postać i padła przed bagnetem na kolana.

— Moja matka niewinna... zaklinam was!!

Bagnet zawinął pogardliwie od ziemi i stłumił jęk... lecz w tejże samej chwili porwały zań jakieś drobne, wypieszczone ręce.

— Dziecka mi nie mordujcie!

— Puszczaj! — oburzył się partyzant.

Ale ręce zacisnęły się na bagnecie, jak klamry spiżowe.

— Panie, panie Sikorski! — wołał równocześnie głos szamoczącej się z bagnetem kobiety. — To ja, Bażanowa! Nie poznajesz że mnie? — Ratuj! Zamordowałeś mi dziecko! — Wszak to pan, pan!... Ja z panem!!

Gromadka zbirów stała rozciekawiona. Sikorski targał z wściekłością karabinem. Kobieta wyla się, lecz nie puszczała bagnetu.

— Zmiłuj się! Cóżem ci uczyniła... Wszak byłam dla ciebie...

Krótki, przenikliwy śmiech rozległ się tuż.

Kościółowska rzuciła się i kłębiła z ciałem pani Bażanow... Nastąpiło spazmatyczne krótkie mocowanie się dwóch zdławionych oddechów, dwóch charkotów, dwóch śmiertelnych skurczów, aż z pod zmijowatego uchwytu Kościółowskiej trysnęła krew. Ręka kawiarki zesunęła się po łonie ofiary, zatoczyła śmieiej i zanurzyła. Usta pani Bażanow zabułgotały różową pianą.

Kościółowska dzwignęła się i rzuciła Sikorskiemu pod nogi krwawą breję miazgi.

— Naści amory!

Sikorski a za nim oberwańcy próbowali się rozśmiać, lecz twarze ich jeno wykrzywiły się potwornie.

— A co, może jej się nie należało?! — syknęła baba, ccierając o porzucone odzienie nóż i ręce.

— Nie tylko jej ale i tobie, psiawiaro! — mruknął lysy mieszczuch.

Kościółowska wyszczerzyła doń swe długie, wystające zęby.

— Za to, żeś sam próchno! Widzicie go, jakiego to smaku obywatel Czarnecki nabrał!

Czarnecki targnął się ku babie — lecz z rozejmem pośpieszył garbus.

— Bo też pani mogła się nie śpieszyć! Na szlachtuza było czasu zadość.

Kościółowska zachichotała.

— Chi - chil Myślisz! Najdziesz żwawsze! Dalej, chłopcy!

Gromadka wyległa na kurytarz. Sikorski ledwie że się za nią ruszył. Kościółowska w lot to spostrzegła.

— A tobie co?

— Bo cię opętało. Mitrężysz a najważniejszego nie patrzysz! Tamte może i uciekły!

— Nie minie ich. Lepiej im zadam!

— Ale bez głupstw! Skończyć odrazu i do „Prochowni“, inaczej Łuby nie sięgniemy!

— Duchem pójdzie! — bąknęła Kościółowska, zaczem krzyknęła na gromadkę. — A wy co! Rusz się!

— Klucznik zemknął! Nie wiadomo!

— Co wiadomo! Walić drugie drzwi!

Siekiery rąbnęły. Drzwi trzasły na części, prysnęły wiórami, lecz nie odsłoniły wnętrza.

— Chyba że mur albo jak!

Garbus nacisnął jeden z kawałów drzwi.

— Bogame — całka forteca! — Chwytaj za deskę! — Rąb!

Oberwańcy wydarli ostatek drzwi. Gromadka ujrzała przed sobą spiętrzoną barykadę ze stolów, stołków, łózek i szaf.

Przeszkoda podnieciła napastników. Siekiery ober-

wańców i drąg żelazny garbusa w jednej chwili rozbiły górną część barykady.

— Zgarnąć resztę!

— Czekać! — Zajrzeć do szelmów!

— Nasunąć pochodnię!

Garbus a za nim Kościółowska i Sikorski wychylili się nad barykadę i spojrzeli w głąb.

— Cie, niema żywego ducha! — mruknął garbus, lypiąc dokoła oczami.

Kawiarka zachichotała cicho.

— Bo niemal! — przytwierdził gniewnie Sikorski.

— Aby dwie pary ślepi!

— Gdzie?

— Widzisz w kącie, z lewej! Rusz-że światłem!

Pochodnia zwróciła się i rozproszyła ciemń lewego wgłębienia, ukazując dwie skulone postacie niewieście.

Sikorski warknął:

— Brać się!

— Ciągnąć bety!

— Nuże, obywatele!

— Na szpiegówki!

Gromada jęła na prześcigi rwać, burzyć ostatek barykady, rozwierać wolny przystęp do komnaty.

A postacie w kącie były wciąż jak skamieniałe. I gdyby nie konwulsyjne drżenie, które niemi targало, gdyby nie oczy pierwszej rozszerzone, gorejące bezsilną grozą, zdawałoby się, iż życie z nich samo uleciało.

— Dosyć! — Naprzód! — Społem! — Za kołtuny chwytać!

Pięcioro rąk wyciągnęło się... gdy w tem, między sunącą gromadę, runął od strony kurytarza złom potrzaskanego stołu, roztrącił ją i zmieszał. Pochodnia wypadła z rąk garbusa.

W komnacie wynikł piekielny zgiełk i szamotanie.

Sikorski nawoływał, klął, lecz zamęt wzrastał. Przytomniejsza od niego Kościółowska chwyciła za pochodnię i dźwignęła ją.

Gromada zawyla z wściekłości.

Oto w rogu komnaty, niby z pod ziemi, wyrósł jakiś

oficer z pałaszem w ręku... Tuż przed nim tarzał się we krwi jeden z oberwańców. Czarnecki siedział pod ścianą z rozplatanym policzkiem.

— Śmierć szpiegom!

— Z drogi zbójel! — zagroził oficer i wpadł na drugiego oberwańca i ciął go po ręku.

— Do nas obywatel! — Chwytać zdrajców!!

Oficer atoli tak zręcznie natarł, iż od wyłamanych drzwi odpędził napastników. Postacie niewieście wyrwały się na kurytarz, oficer za nimi zaczął się cofać.

Sikorski a w ślady jego garbus i Kościółowska rzucili się za uchodzącymi.

— Będziesz wisiał, mości pułkowniku! — chrypiał augustowski partyzant, następując nań pochylonym karabinem.

— Nikczemniku!

— Tu jest Bem! Tu największy ze zdrajców! — Do mnie, obywatel!

— Brać Sikorskiego!

Sikorski, osłaniany od boku przez drąg garbusa, parł coraz zajadlej. Bem wytrzymał pałaszem natarcia, uchyłał żądla bagnetu, wymykał się drągowi i cofał poprzecz kurytarze i komnaty zamkowe.

Kościółowska wrzeszczała o pomoc a miotała obelgami.

Ale szczęście Bemowi sprzyjało, bo nie tylko zdołał ująć śmiertelnego razu, który mu garbus gotował, lecz przejście zagrozić stołem i wpaść do następnej komnaty i drzwi na zasuwę zawrzeć.

Pogoń była przerwana na chwilę.

— Bem atoli czasu nie tracił, zamknął i wtóre drzwi i dosięgnął trzeciej, wazkiej izdebki. Na tle okna, dwa splecione cienie się ukazały.

— Pani kapitanowo!

Cichy spazm mu odpowiedział.

— To ja, Bem!

— Ratuj! Przez Boga!

— Odwagi! — Okno wychodzi na taras! — Rwijcie firanki!

Jeden z cieniów pośpieszył pułkownikowi z pomocą. Bem jął drzeć pasy i wiązać je ze sobą. Jakieś małe, drobne rączki sekundowały mu zwinnie.

Kapitanowa ślaniała się ku krawędzi okna.

W pobliżu rozległ się łomot wysadzanych drzwi.

— Idą! — jęknęła kapitanowa.

— Pułkowniku, nie daj mnie!

— Mają jeszcze jedno do wysadzenia!

— Po to przybyłem!... Zaraz! Jest raptem półtora-piętra!...

— Boże, już są, tuż!

— Zdążymy! — Ostatni szmat!

— Ratuju!

— Jestem przy tobie, wszak dla ciebie wszystko, wszystko...

Rączki, pomagające pułkownikowi zatrzęsły się, pukle jedwabistych włosów musnęły go po twarzy. Bem nie zważał. Sznur był gotów. Pułkownik uwiązał go szybko do żelaznej galeryjki okiennej.

Drzwi, w sąsiedniej komnacie, dygotały i trzeszczały ostatkiem oporu.

Kapitanowa odchodziła od przytomności.

Bem porwał ją wpół.

— Tyś mój zbawca, tyś mój jedyny!... Ty mnie nie opuścisz!...

— Uchodźmy!... Każda sekunda mitręgi!...

Pułkownik powlókł panią kapitanową do okna — lecz naraz, obok, rozległ się zgrzyt tak złowrogi, że Bem za pałasz porwał.

— Uchodź pani!

— Boże, nie mam sił!...

— Uchodź! Zaklinam cię!

Do zgrzytu i łomotu przyłączyła się wrzawa piekielna. Sikorskiemu jakby odsiecz szła.

— Imać szelmów! — huczały głosy.

Bem z panią Marchocką wodził się daremnie. Kapitanową przytomność odbiegła. — Wczepiła się w ramię pułkownika i nie puszczała go.

— Błagam! Pani Anno! Ratuju się... Przewiążę panią...

- Nie daj mnie, nie porzucaj... ja dla ciebie...
- Pulkownika desperacja już ogarniała..
- Nagle drugi cień niewieści przypadł doń.
- Uchodźcie razem!
- Nie zdążę — przelną sznur...
- Ja ich zatrzymam!
- Co?!...

Miast odpowiedzi do ręki pulkownika przyłgnęły na mgnienie małe, drobne usteczka i nikły, wiotki cień wionął do sąsiedniej komnaty.

Pulkownik nie zdołał ogarnąć jeszcze, co znaczyło to dziwne zachowanie się nieznajomej, gdy łomot, trzask i wrzawa zwiastowały mu zdobycie ostatniej zapory.

Wahać się dłużej było niepodobieństwem.

Bem objął ramieniem kibić pani Marchockiej i chwycił za sznur...

XXIII.

I noc krwawa, straszna, sierpniowa noc szalała w murach Warszawy; noc, która nie miała w dziejach polskich równej, noc ohydy, noc hańby, noc samobójstwa, noc, która obłąkanej, rozpasanej tłuszczy wydawała się być nocą wyzwolenia!

Lud warszawski był nocy tej, jak człowiek, co, przywiedziony do rozpacz, krwawi własne członki, rany sobie zadaje śmiertelne, co ból duszy zagłuszyć pragnie bólem ciała.

Lud warszawski zresztą nietylko mordował, popełniał zbrodnie, ale i ufał i wierzył święcie, iż wymierza sprawiedliwość, iż karze tylko, iż tępi winowajców, iż żenie ze swego łona tych, co je ssali, zatrawali, toczyli.

Trybunał ludu warszawskiego sprawiał się bez mitręgi. Wieszal i dławił i niezawodnych szpiegów i pomówionych o szpiegostwo i tych co wyglądali na szpiegów, i tych, co nie wyglądali. Od Zamku pędził do Franciszkanów, od Franciszkanów do prochowni. A gdy mu ofiar zabrakło w więzieniach śledczych, domach karnych, szukał ich po

mieszkaniach, imal po ulicach. Ścigał zarówno łotrów niechybnych, jak Makrot, Grünberg, Birnbaum, jak i zacnych obywateli. Zastawiał sieci nietylko na Lessla, lecz i na braci Lubieńskich. Nie dość mu było życia czterech polskich generałów, chciał jeszcze i Czartoryskiego i Skrzyneckiego i Lubowidzkiego i tych, których imiona między ciżbę padały.

Trybunał ten własnym rządził się kodeksem, własnym obyczajem. Koncept był mu dokumentem niewinności. Protest zbrodnią. Jęk, błaganie — hasłem do śmiechu. Strumień krwi bodźcem do oglądania nowego męczeństwa.

W trybunale tym działali wszyscy ci, którzy, na odgłos rozruchów, wylegli na miasto, których przypadek uwięził w ciżbie, których tłum powłókł. Opryszkowie, męty płci obojga, ómy występku zagarnęły wodze. Oni prowadzili, oni wiedli, oni wydawali rozkazy.

Za nimi walił gromadami motloch bezimienny, za nimi szła fala kramarzy, kupczyków, za nimi biegli ci, co na ulicach Warszawy udawali oficerów, żołnierzków, co od miesięcy snuli się po fetach, paradach, obchodach i karczmach niby ojczyzny rycerze — za nimi wypełzło wszystko maruderstwo i wszystko tchórzostwo — za nimi nakoniec runęli klubiści, patryjoci, krzykacze i zapaleńcy, trybunowie ludu, co od początku rewolucji pławili się w historii Konwentu, co śnili o Robespierach, Maratach, Dantonach i Desmoulinach!

Ci ostatni bowiem, ci patryjoci, zapaleńcy, utopiści noc tę sierpniową mieli za udaremnienie 18-go brumaire'a, za walkę, wydaną Bonapartemu... który, pod postacią generała Dembińskiego, nadchodził, aby Radę pięciuset rozpedzić, Dyrektorjat obalić i ustanowić wszechwładne rządy Konsulatu, a może odrazu dyktatorem się obwieścić.

I ci utopiści wycie tłuszczy poczytywali za głos ludu, za pieśń wolności, za hasło, że nareszcie przyszedł moment śniony, że nareszcie, u steru, staną prawdziwi bojownicy ci najgodniejsi i jedyni narodu całego wybawiciele.

Stąd, jeżeli nawet w tłumie budziło się sumienie, je-

żeli uczucie litości pragnęło się ozwać — milkło onieśmiałe, upokorzone.

Wszak ci mordom towarzyszyły nie same nawet patryjotyczne zawołania — ale i płomienne mowy luminarzów! Toć kto wątpił o racji drapichrustów, prostaków, ten miał tuż i Dmochowskiego Franciszka i Raszewicza w mundurze Komisji wojny, i Gurowskich w gwardyjskich uniformach i Grodeckiego sędziego i Brawackiego w stroju sztabslekarza i Szynglarskiego w sutannie. A kto nakoniec nie odróżniał pani Chłędowskiej od jędzy i hetery z zaułka, komu nie trafiały do przekonania oficerskie epolety, natchnione oblicza Krępowickiego, Boskiego, Dębińskiej, Plużańskiego, Czyńskiego, Matusiewicza, Kozińskiego i legjonu innych, ten musiał leż pod gromami przemówień Pułaskiego, boć gromy te znał z kościoła, z ambony, boć Pułaski był i klubistą i „Honoratki“ dygnitarzem i kaznodzieją!

A Rząd narodowy a władze rozliczne, ładu i obyczajności wszelkiej strażnicy? — Ostatnim ich drgnieniem, ozwaniem się, była owa niefortunna obrona Zamku, owo wkroczenie do bramy generał-gubernatora na czele dwóch kompanji piechoty...

Od tej chwili znikli zapadli się wszyscy.

Książę Czartoryski, przed napadem tłumy, schronił się do obozu. Leleweł zczezł między klubistami, nie było ani Morawskiego, ani Barzykowskiego, ani dyrektora policji, ani municypalności, ani dowódcy gwardji, ani żadnego z tych co stanowili.

Po salach pałacu Radziwillowskiego snuł się, błakał jeden Niemojowski.

Rozhukany żywioł wdarł się na nadbrzeżne piaski, co ziemi były tarczą i zmiotł je i pochłonał.

Mrowie rządziło Warszawą, a w mrowiu tem już nowe rodziły się ambicje, już nowi urastać chcieli oligarchowie.

Rdzeń Klubu patryjotycznego radził, — panowanie stało otworem... jak je pewniej zagarnąć, jak się podzielić liktorskimi różgi.

Tymczasem zanim fala ludu zdołała opamiętać się, za-

nim klubiści zdążyli rozgadać się — już dwa szwadrony ułanów poznańskich zniosły pierwszą gromadę siepaczy.

Klub zgrzytnął.

Żywioł szalejący nietylko jednym zmiotem, pochłonął lawice nadbrzeżne ale i brzegom nowy przedpieścić zbudował.

O godzinie drugiej w nocy generał-gubernatorem Warszawy został — Krukowiecki!

Czyżby Rząd narodowy ocknął się z paniki, czyż Izby, pod grozą wypadków, na tę zdobyły się nominację?

Nie.

Krukowiecki nie szukał dla się podpisów, ani kontr-sygnowanych patentów.

Na pierwsze echa rozruchów, wielki wdział mundur, ruszył na plac przed Zamkiem, kędy ostatnich ciągniono męczenników, i przemówił.

Jak przemówił? — O tem ci, co otaczali generała, słabe mieli wyobrażenie a rozkołyszany tłum żadnego.

Krukowiecki był tym z generałów, który przecież za bary wodził się Rządem, a na zdradę dzwonił — więc „niech żyje Krukowiecki!“

— Wiwat gubernator! — poprawił tłum.

Krukowiecki salutował i... przyjął szarżę.

W pół godziny później Krukowiecki wydawał rozkazy swemu poprzednikowi... W godzinę piorunową odbył z Niemojowskim naradę, o świcie rządził.

Ale klub nie dał za wygranę, nie dał się okiełzać a motłoch uliczny kilku szarżami nastraszyć. Pióropusze iskier znikły, płomienie zgasły, ale ogień, pożar trwał, na nowe ujście się czaił, nowego oddechu szukał.

Krukowiecki atoli był graczem nad graczami. Na obrady Honoratki miał sojuszników, miał nawet tuza nad tuzami, któremu i ksiądz Pułaski nie mógł się ostać i Lelewel poradzić. Za Krukowieckim ozwali się nie tylko jego sprzymierzeńcy w rodzaju Krępowickiego, Płużańskiego i Saniewskiego ale i Mochnacki!

Stronnictwo księdza Pułaskiego ryknęło ze zgrozy, lecz na protest ich odpowiedziały trąbki karabinierów. Gene-

rał Sznajde wkroczył do Warszawy. Na placach piechota zakładała biwaki...

Nazajutrz pałac Rządu narodowego i Izby Sejmowe zawrzały.

Ojcowie narodu zasiedli przerażeni, spłoszeni, bo w Warszawie kłął i gromił Dembiński, bo Dembiński bagnietami groził, bo o szubienice wołał na wichrzycieli, na podżegaczy, na Honoratkę, na Izby bodaj! Listę wisielców tym razem rozpoczął Lclewel.

A jakby na dopełnienie grozy — lud, choć łańcuchami wojska miarkowany, wyległ i huczał i pomstował.

Rząd narodowy podpisał abdykację...

Stany rozstrzygały. Piekło intryg, knowań, poszeptów, agitacji, sporów zakotłowało się...

Ale lud huczał, wojsko szemrało, a nadomiar tam, w pałacu Radziwiłłowskim, na dyktaturę czekał jeszcze Dembiński — jeszcze lamał się, czyli mu przystało bez pergaminu i pieczątki się obejść...

Każda chwila zwłoki mogła być Izb zgubą.

Krukowiecki czuwał.

Imię Prądzyńskiego znów zabrzmiało i znów najgenjalniejszy ze strategików, którzy żadną nie chcieli dowodzić bitwą, odmówił.

A po kwatremistrzu wspomniano na Bema. Podniesiono jego zasługi i nie pytano go o zgodę. Bem nie miał ani stronników, ani wpływów, ani pojęcia, że o nim pamiętano.

Echo salwy armatniej pod Utrąą przerwało spory — prezesem Rządu narodowego został Krukowiecki.

Dembiński zawrzał. Postanowienie Izb poddawało go władzy prezesa, czyniło Krukowieckiego wszechwładnym dyktatorem — panem, monarchą!

Wódz naczelny siły zbrojnej znieść tego nie mógł — bo wogóle nie był w stanie ścierpieć Krukowieckiego. Ten ostatni oddawał mu z nawiązką.

A że nadto ksiązę Czartoryski jeszcze nie wyrzekł się prawa głosu i w obozie prowadził wiece, a dalej i Skrzynecki i Prądzyński i Kaliszanie, i zdesperowani klubiści

i Umiński i trzydziestu innych na jedno przystać nie mogli — więc walka u steru znów wybuchła.

Dembiński z pięściami do oczu szedł Krukowieckiemu. Posiedzenia Rady wojennej zamieniły się w karczemne sprzeczki... a podczas, podczas armija Paskiewicza zaciśkała pierścień, podczas lasy, pola i łąki okoliczne zalewały rosyjskie dywizje...

Ale dni Dembińskiego były policzone. Jego odezwa po mordach warszawskich obrazila lud... jego zapalczywość żołnierska i chęć wrócenia subordynacji, pogrzebanej do reszty, odebrała mu serce wojska — lekkomyślność Władysława Zamoyskiego powaliła go ostatecznie...

Szesnaście armat i tysiąc czterystu żołnierzy poszło do niewoli tuż pod lunetami warszawskimi!

Kto winien? — Los, wyrok, zrządzenie Opatrzności!

General Łubieński wydał rozkaz Ramorinowi odprawienia rekonesansu. Ramorino juści wręczył papier swemu naczelnikowi sztabu, Zamoyskiemu. Zamoyski znów, jako wczorajszy podporucznik strzelców konnych, miał nieco osobliwe o taktyce rozumienie, więc przeinaczył rozkaz, i, miast jazdy, wyprawił piechotę, no i stało się!...

Dowódzca rekonesansu, pułkownik Gallois został oczywiście „zdrajcą“ — Zamoyskiego próbował dosięgnąć sąd wojenny — Dembiński zaś miljonem przekleństw bluznął i zawiesił szpadę na kolku.

Krukowiecki zamianował sobie własnego wodza.

Tymczasem pamiętna noc krwawych porachunków nie tylko na publicznem i wojskowem zaciężyła życiu, ale i smutkiem, troską, bólem ozwała się w izdebkach, dworcach i pałacach. Trwoga, lęk, niepewność jutra zakolatała z całej mocy. Niewiara, przygnębienie docierały do najtęższych serc.

Tak z pozoru niby było, jak po dawnemu, jak przed tygodniem, a przecież inaczej. Na teatrach śmiano się na „Skrytych drzwiach“ — cieszono „Miotelkami“ i lubowano głębią poetyczną „Fra diavola“ — z pozoru jednakowo — ludziska rozprawiali po kawiarniach, dowodzili, a nawet lawą pod Zamek chodzili — a przecież, choć pozory docna też same powtarzały sentymenty, upodobania, nawyknie-

nia, a inaczej, inaczej już się działo. Ludek prosty nawet osowiał, spochmurniał. Bo gdzie! Nie było domku na Powiślu, na Starem-Mieście, żeby nie strachał się o swojaka, którego karabinierzy zagarnęli i trzymali pod strażą, jako posądzonego o mordy! Juści zgola niewinnie, boć każdy teraz dowieść mógł, że nocy onej spał snem uczciwym! A tu Krukowiecki sądy zwołał i ma strzelać bez pardonu!

Nawet i te domki, w których żadnego szpiega nie zagaluszono i w których na nikogo nie padło posądzenie — a nawet w tych czegoś impetu brakło. Majsterek, co miał rezonu okseft, jejmość, co się na „całkiem“ wojsku znała od małego, co przez lat dziesięć nie darowała żadnej rewji na Saskim Dziedzińcu — chodzili zwarzeni, nasępieni, po dniu kiwali się sennie, po nocach stękali, jak we dnie.

Zresztą i miasto samo wyglądało osobiwie. Kawiarńia „pod Dziurką“ zawarta, u Madejowej okiennice zamknięte, niczem na Wielkanoc, u „Honoratki“, w pałacu Chodkiewiczów, gości prawie wcale, właścicielki nie widać a wuj Olechowski chodzi z obwiązaną gębą i podpuchłym okiem ledwie mrugnąć może. Pod Bankiem dwie armaty, pod prymasowskim pałacem znów armaty, armaty przed kwatęą generała Krukowieckiego a co krok, już nie gwardziści, znajomkowie, kamraci, lecz djabły ogorzale, wychudzone a srogie, że gęby nie uchyl, jeżeli kolbą szturchnięcia nie chcesz. I u wielkich państwa nie lepicj. Wiadomo, że już od karnawału z połowa pałaców się wyniosła, bacząc, że snadniej im w Dreźnie, Krakowie, Wiedniu lub Paryżu politykę czynić, potencji pilnować i dyplomatyczne maskary, bale i fety sprawiać dla miłości ojczyzny — niż tu, w Warszawie, daremnie siedzieć. Ale była jeszcze garstka siedzib możnych, która dotrzymywała placu kamienicznikom. A teraz i te pociemniały, pograżyły się w głuszy, umilkły. Aż osobiwość — bo miasto otoczone, bo o wyjeździe, choćby do badów, roić nie podobna.

Jedna tylko dróżka. i po tej nocy nie zawiodła — ona jedna zabiegała szczerze, aby przecieź Warszawa nie wyz-

była się zgola swego poprzedniego charakteru. Tą družką była cholera. Ona chodziła sobie po dawnemu ulicami, placami, zatarmosiła czlekiem tak dobrze, na teatrze, jak i w Saskim ogrodzie, nie pytała nikogo o poglądy, klubiście, kaliszczanina, oficera czy żołnierza, skręcała mu trzewia i dosyć. Warty nie warty — placówki czy wedety, takie forpoczty czy inne, wszędy sobie znajdowała oblubieńców.

Do najdziwniejszych atoli zmian, spowodowanych wypadkami nocy pamiętnej, należały bezwątpienia te, które zaszły w mizernem życiu paralityczki Olesiowej.

Staruszka, od kilku tygodni, zdawała się być już pół szkieletem, pół trupem. Martwota jej czyniła z dnia na dzień postępy. Od nóg do prawej szła ręka. Wyraźną dotąd mowę Olesiowej zamieniła w cichy belkot a i mózgowi dokuczyla ciężko, bo kuma profosa Dziurbackiego nie troszczyła się o nic, zaprzestała swych wypomnień a nawet z obsługującą ją szewczanką przestała się wadzić.

Tyle — jak mówili sąsiedzi — że dychała jeszcze a mrugała na śmierć.

Podczas cisza głęboka zalegała izdebkę Olesiowej. Kun Dziurbacki przez dwa dni częściej do niej zagadywał, ale ani razu odpowiedzi nie odebrawszy, zaniechał daremnego trudu. Cóż, pora było biedactwu, po tylu latach, na wieki i całkiem skrzepnąć. — Zresztą Dziurbackiego służbowe obowiązki musiały pędzić, bo tyle, że zajrzał na Zapiecek, tyle czasem, że się pokazał.

Wieczorem, przed ową pamiętną nocą, szewczanka, jak co dnia zaświeciła stoczkim do oczu Olesiowej a zobaczywszy, iż paralityczka powiekami trzęsie, dała jej się napić mleka, ogarnęła nieco posłanie, kaganek przed Matką Boską objaśniła i poszła sobie.

W izdebce zapanowała cisza, przerywana sennem brzęczeniem much i chrobotem myszy, zabierających się do jakiejś okrutnie twardej pracy.

Trwało tak, gdy nagle z ulicy wpadły do izdebki pierwsze odgłosy, wszczynającego się na ulicy, zgiełku.

Muchy przyłgnęły onieśmielone. Myszy umilkły, nawet

kulawy stólek zadygotał ze zdziwienia. Olesiowa ani się poruszyła.

Żgiełek zaś rósł, potężniał, niby przewalający się po chmurach grom, to z groźnym pomrukiem oddalał się, to znów zbliżał się z hukiem i lomotem.

Już i szyby jęły się odzywać i kaganek przed Matką Boską prychać ognikiem i kubki blaszane trącać się między sobą a dzwonić — odruch protestu budził się i w starej, spróchniałej szafie. Jedna Olesiowa leżała wciąż bezwładna, z zamkniętymi palcami rąk. Jeno mętne, przygasłe zazwyczaj oczy staruszki rozpały się na węgle i żarzyły skrami.

Uplywały tak godziny.

Wrzawa, zgiełek uliczny, który dotąd jakby omijał kamieniczkę, jakby jej bokami tylko się wałęsał — zbliżał się, walił ku niej wprost...

Chude, guzami nasęzione piąstki staruszki zaczęły trząść się na bezwładnych przegubach rąk.

Wrzawa rosła, wznagała się, aż wybuchła piekielnym lomotem i wyciem. Uderzenia siekier zwały się z ogłuszającym trzaskiem. Kamieniczka zadrżała w posadach.

Naraz, tuż za ścianą, zabrzmiał okrzyk rozpaczliwy, straszny i utonął w chrapliwym jęku...

Ciało Olesiowej, na ten zew, wyprężyło się jak struna i zachrzęściało stawami. Paralityczka dźwignęła się i uściadła na posłaniu...

— Śmierć zdrajcom! — Na latarnię sprzedawczyka! — huczały przed kamieniczką pomieszane głosy.

A Olesiowa teraz natężyła mięśnie, wyginała kadrę, mocowała się, aby i nogi oderwać, aby powlec się w ślady za swemi gorejącymi ku drzwiom oczyma...

Wrzawa ucichła, kamieniczka ledwie odzywała się poszmerem urywanych rozmów, szara poświata skradała się do izdebki a staruszka precz z własnym odrętwieniem toczyła walkę.

Walka była to okrutna. Z ust paralityczki nie dobywał się żaden głos, żaden stęk, ręce jej, wpijające się w krawędź łóżka, były na struny wyciągnięte, skrecone, natężony kadrę zdawał się być zastygłym. Jenó wzrok sta-

ruszki, jeno skrzące się oczy mówiły, iż całe jej życie, całe serca kołatanie skupiło się na zmożeniu, skruszeniu więzów, pokonanie martwoty, która jej skuwała nogi.

Mózg Olesiowej był tak przytem owładnięty walką, iż nawet zastanowienie jego nie obudziło, że właśnie te upragnione drzwi skrzyknęły, że profos Dziurbacki ukazał się w nich zdyszany z jakimś osobliwym tobołem na rękę, i że, wspiąwszy się żwawo po drabinie na swoje poddasze, wszczął tam osobliwy rwetes i krętaninę.

Dopiero okrzyk zdumienia szewczanki, która wsunęła się rano do izdebki z mlekiem — ocknął staruszkę. Olesiowa porwała za kubek z mlekiem i jęła je chleptać chciwie.

Szewczanka przeżegnała się.

— Wszelki duch!... A to chyba, że jejmości zelżało! Olesiowa cmoknęła resztę mleka i gęby utarła.

Szewczanka ledwie własnym oczom wierzyła.

— Jeje! Myśmy właśnie powiadały, że z tego gwałtu jejmości utrząsie do cna! Już wczoraj jejmość była prawie zimna.

Paralityczka obruszyła się gniewnie:

— Pilno ci do gałganów po mnie?! Chciałabyś?

— Ale bo, toć aby powiadam, że wczoraj rewolucja szła — jeje! Lepiej niż ze stu obwiesili zdrajców... Nawet tego, co tu, podle drugiej sieni, mieszkał u Kwiatkowskiej, z pod łóżka ściągli...

— Wiem!

Szewczanka aż pociągnęła nosem.

— Bo i... książęcia będą na stryk...

— Wiem.

— Chyba jegomość Dziurbacki powiadał...

— Nikt mi nie powiadał. Wiem wszystko. Tak musi być!

Szewczanka cofnęła się ku drzwiom zabobonnie.

— Nagotujesz mi klusek.

— Uważam.

— Byle rychło, bo czas w drogę, trzeba się zmocnić...

Jeszcze południe nie wyszło, gdy już cała kamieniczka na Zapiecku zagadała o pomieszanu rozumu, co naszło

Olesiową, głodem niezaspokojonym ją trawi i dziwami o podróży gada od rzeczy.

W istocie zaś paralytyczka od dziesiątków lat nie miała jaśniejszego o wszystkim pojęcia. Toć ledwie Dziurbacki zsunął się po swej drabinie — ona, miast z wyrzekaniem — odrazu zagadnęła go:

— A jegomość tam kogo na komornika przybrał?

Profos skonfudował się.

— Kumka, mosanie, coś nie zgorzejl...

— A no, mam się, na psa urok. Lecz tam z wami jakś po górze się szwenda?

— Nizacz! Aby ten... Antoszka.

Olesiowa kiwnęła na znak pojęcia.

— Niby ta, co jegomość mówił, po Sztaszku?

— A wy skąd?

— Kalkuluję! — Będzie szturm!

— Hę?

— Będzie. Przyjdzie lada dzień. Trzeba się zbierać. Jeno muszę dużo zjeść, jeszcze dużo zjeść. — Inaczej „Szuwarów“ by mi uczynił...

Profos, na to zakończenie, zbył się konfuzji.

— Niech tam kumka licha nie wywołuje!

— Ani mi. Hetmanów obwiesili!

— Co wy znów! Obraza Boska. Czterech sprawiedliwych generałów...

— Po jegomościńemu generałów a po mojemu hetmanów...

— Troją się wam dawne dzieje...

— Nie dawne. Szuwarowa tylko patrzeć! Zajązek nie poradzi, nikt nie poradzi. Tak było i tak będzie. Wojtaszkowa też nie wierzyła. A potem, jak się wszystko na most rzuciło, to nie zdążyła. Z dzieckami się upiekła, choć dom też nie był drzewiany! Nie macie tam choć kruszyny chleba? Muszę się zmocnić.

Paralytyczka bajdurzyła jeszcze o tem, że i „Kościuszek „Szuwarowi“ nie sprostą, że wszelka nacja od Prusaka musi pójść i że w Warszawie aby król Zygmunt się ostanie, bo z takiego jest kamienia, co się go kule nie ima-

ją — aż, opatrzona przez Dziurbackiego zawieszistą kromką chleba z serem, pogrążyła się w łapczywem ćpaniu.

Profos zwyczajny był tych wywodów Olesiowej i konceptami je zbywał — a przecież tym razem kamieniem mu pod serce zapadły. Czy to że połączone były z niespodziewanem odzyciem staruszki, czy to że jego samego wizje jakoweś naszły. Dość, że myśl mu sama rwała się w dal przeszłości i ludziła, jakby raz jeszcze te same dzieje miały się powtórzyć.

Dziurbacki zrazu nie dawał się temu przywidzeniu.

Bo i gdzie! Co minęło, to minęło. Wówczas inaczej a i teraz inaczej będzie! Tam woluntarstwa rozmaitego a tu wojsko i nie żadne regimenty koronne czyli litewskie, z których uczciwego bataljonuby nie skleił, jeno pulki! — Tak, tak, kara Boska swego nie pofolguje! I trzeba i trzeba! Tylich generałów! — Pasy drzeć z tałatajstwa! — Stać się musi. Ale co o tem! Pilniejsze ma na głowie! Olesiowa, jak Olesiowa! Faramuszki. Polski nie będzie — hm — to już tak! Lecz coś w jej miejsce przecież, gdzie po ludzku mówić będą! — Byle smarkuła wydobrzała...

I Dziurbacki skradał się cichaczem pod więźbę dachu, kędy na jego posłaniu widniała blada twarzyczka, opromieniona koroną złoto-popielatych włosów, i wsłuchiwał się w równy poszmer oddechu.

Lecz, po każdej takiej inspekcji, złe myśli jeszcze bardziej go się czepiały.

— Bo cóż, niema co, Opatrzność czuwała nad nim wczoraj! Inaczej biedactwoby zadziobali, szelmy. I jeszcze nie poradziłby sam, żeby nie porucznik Iliński, który na Cydzika wpadł i karabin mu wytrącił a jemu, Dziurbackiemu, dał czas, aby małą porwać i w ogród pomknąć. — Dziw, że Madejowej nie widać! Musi osłabła. — Była Opatrzność. Ludzie różnie każą a tu przecież... Niechby krzynekę się potknął, już rozbójnikom biegli z pomocą! — Hm, ale juści Opatrzność ma co lepszego do czynienia, niż się ciągle turbować o tę kruszynę! Olesiowej precz Szwarzarów się troi! Trzebaby coś. — Tu zacisznie jest — piecze do kaduka, no bo lato, dachówki się nagrzewają — ale niech pójdzie szturm... Jedna kula... tfy! — żeby, mo-

sanie, w podłą godzinę! — Cie dopiero babie Szuwarów uwiąz!!!

Nazajutrz atoli wraz z rumieńcami, które zagrały na twarzyczce Antoszki, i Dziurbackiemu pojaśniało czegoś. Olesiowa prawila mu swoje, ale profos nie baczył, może dlatego, że miał okrutnie wiele turbacji.

Dziewczyna przyszła niby do siebie, niby i piła i jadła i mrugała przytomnie oczyma — a niech tylko stukot jaki lub rozgwar żwawszej rozmowy z uliczki na poddasze sięgnął — wnet ją drzenie napadało, bladeść i ziąb taki, że ani rady sobie dać.

Profos już i wódki dwa razy jej dał i ziółek, a co gdzie kto w drewnitni zakolacze, już usta Antoszce sinieją, już w kłębuszek się zwinie i dygocze, jak pęczek osinowych liści na najwyższej witce.

Dziurbacki z tego wszystkiego aż przekonanie do własnych leków stracił i, kiedy na dziewczynę znów paroksyzm naszedł, chwycił za czapę medyka szukać.

Lecz Antoszka, z której dotąd słowa nie mógł dobyć, zakrzyknęła nań z rozpaczą.

Profos się wystraszył.

— Może cię na wnętrzu?! Hę? Powiadaj, bo to nie przelewki... Co?

— Nie odchodźcie mnie! Nie zostawiajcie!

— Wróć zaraz!

— Nie — nie, bo przyjdą! Zabiorą mnie!

— Cóż zaś!

— Nie dajcie mnie, nie dajcie!...

— Nazywaj mnie dziadkiem! Aspannie się ubrdał!

Któżby się ważył tutaj!

— Nie zarzną mnie?

Dziurbackiego mrowie przeszło.

— Cóżes ty kura jaka? Glupstwa ci się ochapiają!

Niechby się pokazał!...

— I nie przyjdą po mnie?

Profos ofuknął, lecz, zerknąwszy na drobne rączyny, na jej wątłą, nikłą postać, złagodniał i jął Antoszce prawić, jako teraz nikt palcem jej nie będzie śmiał tknąć, jako źli ludzie wyginęli na świecie, a jeżeliby który jeszcze

chodził, to póki Antoszka dziada się trzymać będzie i najgorszy nie poradzi, jako Kurpiance nie godzi się lękać, bo na Kurpiach tchórze się nie rodzą, jako dostanie spódniczkę w kwiatki, gorsecik wyszywany i trzewiki z dzyn-dzelkami czerwonymi, jako zresztą aby dziada słuchać powinna a nie zapatrywać się na Staszka, co póty się waleśał, aż się zawieruszył.

Dziurbacki prawil tak długo Antoszce, a gładził jej jedwabiste sploty. Dziewczyna słuchała z natężeniem. Beładne, poplątane słowa wachmistrza koily ją snać, krzepily tężej od ziółek.

Z czwartem zaaplikowaniem podobnej perory, Antoszka już nie zwracała uwagi na dochodzące ją odgłosy.

Dziurbacki jeszcze dzień zmitręzył przy dziewczynie, aż, zaniepokojony niepokazywaniem się Madejowej, postanowił iść do niej.

Antoszka, widząc, że profos gotuje się do wyjścia, jęła krzywić się i wzdychać—lecz Dziurbacki na ostre poszedł. Zawstydził ją mazgajstwem, przykazał, aby nie ważyła się na dół po drabinie schodzić do Olesiowej, wściubil jej bicz koralików a wreszcie napomniał:

— Furda, mosanie. Byle zbiegam na Stare-Miasto i Madejową ci przyprowadzę...

— Madejową?

— Zgadłaś? Jakże ci ona wypadnie — chyba że... ciotką... A no, więc sobie nie kucz. Siła ci dobrego życzyła, tedy należy wdzięczność okazać. Więc ci ją przyprowadzę...

— I tego... tego oficjera także? — naprzykrzała się nieśmiało Antoszka.

— Co — kogol?

— Tego pana oficjera...

— Oficje...ra!?

— Tego, co tam, co wtedy, co taki dobry... — jękały coraz ciszej usteczka dziewczyniny, spłoszone groźnym lyskiem oczu wachmistrza.

— Uuhuhul... Takie to aspannie chodzą po głowie zmartwienia? Taka cnota na Kurpiach się narodziła?

Oficjera aspannie już potrza a nie śliniaczka? I może w hulańskim mundurze? He?

— Nie, w takim, w takim, prawie, jak dziadek!...

— Taaak, mosanie?! A no, dobrze wiedzieć! — He? — Ma się rozumieć już ja ci go wysztukuję!

To wyznanie Antoszki wzburzyło Dziurbackiego. Ani wątpić, że dzieciak złego obyczaju nabral i jakimś smykiem, szelmą, zaproszył sobie mózgownicę. Żeby chwycić odmienca, przecherę! Z oka jej nie można! Ułęgalka! Tfy! Ale on jej to wyklaruje tam, gdzie potrza. Ci Staszek paranteli się dopytał... Lecz kiej smyk mógłby jej?!... Chyba na tym Zamku. Poniewieralo się nieboże między wszelakiem...

Zawarte okiennice gospody pani Madejowej przerwały profosowi tok myśli.

Dziurbacki się zakłopotał i zawrócił sienią do drugiego wejścia. Tu, na progu, Kaśka, wyręczna Madejowej, aż przykucnęła na ziemi na jego widok.

— Rety, a to pan wachmistrz nie w więzieniu!

Profos ledwie ust uchylił, gdy Kaśka obces załala go potokiem słów:

— Pani Madejowa? Niema pani Madejowej, niema kulawej szewcovej, niema rzeźniczki i Jaworszczanek też niema! Siedzą na ratuszu i będą wisieć! A jakże. Sam obywatel Sitarski, co przy „majstracie“ służy, powiadał i jeden woźny „trebunalski“ powiadał. Gospodyni nawet całe do dom nie wróciła. „Inszych“ wzięni z „mieszkani“ a „jom“ na gorącym, bo rznęła zdrajców — a że zdrajce tera górą, tedy kto im tylko, tego obwieszą. A tak. I gospodynię najpierwszą, bo na Zamku jedną obywatelkę, jak chwyciła za włosy, tak się z nią skulała po schodach i tak ją trzymała, że hułany musieli obie do więzienia! — Cóż, niema co, rzetelna była niewiasta, tyle że rękę miała skorą do byle czego. Kaśka zła jej za to nie życzy — i tak ją obwieszą — równość je pisana w konstetujcy i ju. Najbarzej wedle testamentu. Woźny trybunalski powiada, że spadkobierców niema, tedy pójdzie na majstrat. Ale nie wiadomo, bo gospodarzowi się należy i jej, Kaśce, się należy i za mąkę się należy. Najważniejsze, aby krótko,

nie tak jak tego jednoręka, co, kiedy mu kieszki ciągli, to jeszcze mówił... I mszę Kaśka zakupi — a juści, niech tam. Powiadali, że jutro, skoro świt. Właśnie na woźnego czeka. Trza, żeby ktoś ze swoich popatrzał.. zawdy różniej...

Kaśka miałaby jeszcze na parę godzin do mówienia, lecz profos nie słuchał więcej. I tych wiadomości miał zadość.

Odruchowo niemal zawrócił Dziurbacki do ratusza. Ale tu daremny był trud, daremna droga. Wojsko żywego ducha pod mury nawet ratuszowe nie dopuszczało. Karabiniery rozpedzali gromadki krewniaków i znajomych, którzy o bliskich przepytywać się chcieli.

Dziurbacki juści wyobrażenia nie miał o tem, że energja generała Krakowieckiego nie tylko z dygnitarzami rządu wczorajszego zdołała się rozprawić, ale bez mała własnych elektorów pod kluczem osadziła.

W szyncku na Koźlej, do którego był profos wstąpił na ust zwilżenie — rozpowiadano szeroko, że generał Krakowiecki nawet klubistom nie darował, że ksiądz Pułski, Szynglarski, Czyński, Grodecki, Płużański, Dmochowski i chmara co najgłośniejszych patryjotów czeka wyroku, że i Kraiński co generałowi bakę świecił a zgoła, niby adjutant, za nim się uwijał, także sądowi podan. Lecz Dziurbacki na tych wszystkich imionach się nie znał. Dowodzenie o tem, że nowy prezes nie pofolguje i samemu Lelewelowi, również niczego nie pouczyło wachmistrza. Natomiast oczywistem dlań było, iż tłum luda pokutuje na ratuszu i że sprawiedliwość ryczałtem pójdzie. No a w tloku i tu blisko i tam blisko. I potem kto babę dociecze? Nuże zamoczyło ją, nuże z rozbójnictwem poszła dalej, nuże się zażarła i ubabrała w krwie? — Gdzie taką nie poniesie! — Cóż! zasłużyła. Harmatami by nie dość tratować! Generał Hurtig!...

I profosa już tchnęło, aby na Zapiecek wracać a Madejową pozostawić własnemu losowi — lecz wnet go skrupuły napadły.

Szczera była baba. Naprzykrzona i przymilna do zbytku, poszturchiwałaby cały dzień a ślepią raczyła. A przecież barzej mu było z nią. Kiedy go starmosili wówczas,

pod Zamkiem, niczem rodzona! I czerwona na gębie, a podbródków to ma dwa. Że to tyła ciała jej nie zawadza. Sapie a drepcze a miele ozorem! Już w Sandomierzu była niczego. Cie, żeby tak w artylerji ostał, na całe wojskoby takiej nie znalazł. Przygodziłaby się! Slugcecki, w ósmym roku, miał niewiastę poduchwałą, co za markietankę szła. Ale nie równać! Tylko, żeby nie poszturchiwała. Babie ślepie do przewracania a jemu do spania! Pojedyńkiem snadniej. Namotała sobie, to sobie odmota. A zawsze godziwie się należy. Ostawać niepodobna, bo i szkoda i żal, juści żal...

Dziurbacki, po tem zastanowieniu, powędrował do baterji na Pragę, kalkulując słusznie, że mu kapitan Orlikowski może radę znaleźć albo gdzie, przez sztabowczyka, trafić do sedna.

Aliści na Pradze dowiedział się wachmistrz, że baterja stoi, jak za dobrych czasów, w koszarach w Warszawie.

Zaklął siarczyscie profos, lecz, co było robić, powlókł się z powrotem i o zmierzchu doclapał na ulicę Przejazd.

I tu jednak spotkał go zawód.

Orlikowski z ośmioma armatami wyciągnął do obozu, za Wolą. W koszarach rezydował podporucznik Iliński.

Dziurbacki, raczej z potrzeby uzalenia się i wypomnienia, jak to Iliński go salwował na Zamku, zameldował się do podporucznika.

Iliński wysłuchał uważnie wachmistrza, musnął z fantazją puszkę pod nosem i zawyrokował.

— Ciężko będzie, Dziurbacki! Kapitana nie ma. Pułkownik się nie mięsza! A potem, sam widziałeś, co się działo! Nie ci winni, którzy czynili, lecz ci, którzy podzegli...

— Madejowa ani podzegała, ani czyniła...

— Hm-hm! Za kogo tu ręczyć! Opętanie istne. Strach wymówić kto był! — Mam wezwanie na jutro do sądu. Generał Mycielski prezyduje z pułkownikiem Majewskim... Idzie o tych, których widziałem... Mogę się zapytać...

— A przecież, bez urazy podporucznika, i Madejowa tam była! Ja się oganiałem Cydzikowi a ona z Kościo-

lowską się wodziła, kiedy pan porucznik salwował nas od zbójów.

— Czekaj, wachmistrzu, tęga, przysadzista, w niebieskiej katance płóciennej...

— Czerwonego oblicza, a podbródków to ma dwa...

— Aa! Toż ona właśnie dławiła jakąś kościstą, małą...

— Kościolowską...

— Tak, że trzech żołnierzy ledwie uwolniło...

— Największą morderczynię!

Tu Dziurbacki jął co tchu opowiadać Ilińskiemu o Kościolowskiej, o Cydziku, który za pułkownika się przebiął Sikorskiego, a obwiesiem był najgorszym, o tem, że on właśnie pierwszy ze zgrają wpadł do Zamku, że Madejowa po sprawiedliwości z nim, wachmistrzem, była, bo ich oboje zagnała pasja i strach o Antoszkę, dziecinę, co ją Cydzik wplątał, że na Zamku ją osadzono, niby pani Marchockiej kompankę...

Iliński choć piąte przez dziesiąte zrozumiał, przyrzekł solennie rzecz na sądzie powtórzyć.

Wachmistrz chciał podziękować, lecz podporucznik przerwał mu uściśnieniem ręki.

— Mości wachmistrzu, rad wam będę wygodzić. Toć szkoły żołnierza mnie uczyłeś!... A jeżeli nie poradzę, to do pułkownika naszego się udam, z generałem Krukowiczem był w relacji! — A i pułkownik tem chętniej pośpieszy, gdy będzie wiedział, że o waszą idzie instancję...

— A nasz pułkownik niby teraz cóż?

— Nie wiadomo. Kapitan mówił, że do komisji obrony Warszawy mianowan.

— Cie mu tam, na pisanie zeszło! Takie i teraz rządy, mcsanie! Szkoda pułkownika i czasy, czasy...

— Oj, prawda. Ale, bo nic mi nie powiadacie o tem dziewczątku, coście je ratowali...

— A według tej...

— Właśnie — podjął żwawo Iliński, muskając jedwabistego puszku — aby mi się mignęła w oczach, lecz nie szpetny buziak, dalipan nieszpety...

Profosa tknęło. Nieprzystojność Antoszki kojarzyła mu

się z zapytaniem młodzieniaszka-podporucznika i dopiekła mu do żywego.

— Po nocy chyba — mruknął cierpko Dziurbacki.

— A nie, nie — jak żywą mam ją przed oczyma w świetle pochodni. Dziecko prawie a nie dziecko. Nad wiek urodziwe... I cóż ona, cóż?...

— Ona? — Skręciło ją! — Niema jej... Wody się... — dobrze mówię, o... wody się napila i ten..:

— Cholera!? — wykrzyknął Iliński.

— No, cholera, mosanie, i już!

XXIV.

Pani Marchocka główkę swą na ramieniu Bema skłoniła i wybuchnęła płaczem.

Pułkownik stracił rezon i jął sumitować się przed kapitanową.

— Pani Anno, proszę do serca... parol, nie chciałem... Jenó, jenó pragnąłem wystawić położenia... Pani nie winna! Los, los tak zrządził... On jeden!... Trzeba zapomnieć. Przed panią świat jeszcze...

Główka pani Marchockiej bezwładniej zwisała, pierś załkała.

Bema i żalność zdjęła i złość na samego siebie.

Sumienia chyba nie miał, aby za tkliwą spowiedź, za rozwarcie mu księgi całego życia, odpowiadać żołdackimi moralami, prawieniem kazania! I jakiego jeszcze. Niczemby kto patykiem lilji imponował. Ona z całą wiarą, z zaufaniem całym do niego — a on z pazurami. Jeszcze w innym momencie, lecz gdy tu, u niego, tuli się, chroni, le-dwie swobodniejszego nabiera tchnienia po strasznych przejściach, po tej nocy okropnej!...

I pułkownik już nie tłumaczył się, lecz błagał o przebaczenie, już nie usprawiedliwiał, lecz oskarżał.

Aż wilgotna twarzyczka pani Anny podźwignęła się nieśmiało i ostatnie zakłęcie Bema — utonęło w całunku...

Oczy kapitanowej jaśniały poprzez zroszone rzęsy, jak uśmiech słońca na perlących się kroplami rosy habrach. Pułkownikowi grała w duszy pieśń szczęsna.

Siedzieli obok siebie. Dłonie ich splatały się, szukały wzajemnie.

Twarz Bema gorzała. Blizny, prochem osmalone policzki pułkownika, jakby znikły, wyrównały się. Usta wąskie zazwyczaj a szerokie, napęczniały i kształtny przybrały wykrój.

A obocześnie umysł pułkownika nabierał przejrzystości, mocy, zwartości rzutu. Sięgał w dal, najrozleglejsze ogarniał widnokregi i wracał ku pięknej kapitanowej zadufany.

Czyżby Bema rozmarzenie wodziło, czyżby złudy pojmowały go w swe sieci?

Przenigdy.

Pułkownik rozumiał, zgłębiał samego siebie, na siebie samego poglądał.

Miłował? Prawda, gorąco, szczerze miłował, ale nie zaślepienie! Annę wskrósł przejrzał i widział w niej nie same lazury, nie same czary — ale i rzeczywistość i to wszystko, co w niej było ludzkim, złem nawet.

Niedola ją ścigała, prześladowała, powiodła do ołtarza z żołdakiem, prostakiem niewątpliwie, który niezdoła był delikatnych jej uczuć uszanować, który sam, sam pchnął ją na drogę buntu. Wówczas zjawił się Gendre i wycieńczoną, złamaną otumaniał, zagarnął. Czyż mogła się ostać?... Niecne kręactwo Gendre'a czyniło wszystko, byle zgasić w niej porywy, byle mieć z niej powolne narzędzie dla swych szpiegowskich sprawek. Któraż w jej położeniu by nie uległa. Bez środków, bez rodziny, opieki... Nawykła do dostatniego życia, młoda, piękna, pochlebstwami karmiona! — Gendre ją trzymał w żelaznym uścisku intrygi! — Opór, bunt najmniejszy, groził jej wyjawieniem tajemnicy jej życia, dyshonorem... A ostatnimi czasy nawet już i kaźnią! Wszak Anna miała chwile, w których rwała się do sentymentów zacnych, obywatelskich. Choćby tego dnia, gdy po raz pierwszy ją widział! Ileż godzin przegawędzili o miłości ojczyzny, o obowiązkach Polki, tego wieczoru pamiętnego, ileż zapału mieściło się w jej głosie, kiedy nuciła mu przy klawikordzie rzewną piosnkę rotmistrza. Bezwątpienia — z obcowania z takim Gendrem nie zdo-

lala ujść bez skazy. Szczerby pozostały i w jej wyobrażeniach i w jej przekonaniach i w sercu. Lecz drzewko, które robak toczy, godzi się ratować i można uratować. Życie swe poświęci. I powoli, jak ogrodnik zabiegliwy, osmyczać będzie wilczki z pięknej roślinki — spędzać mszyce złośliwe a baczyć, by zbyła się przyziemnych skrętów, by ku niebu zwracała smukłe swe pędy.

Mijały godziny. Dzień odchodził. Słońce ostatkiem swych smug złociło rąbki obłoków. Izdebki pułkownika już szarobłękitna wypełniała poświata. A jemu precz grała jasność promienna i odślaniała mu nowe przestworza, nieznanne krainy.

Harmonijny głosik pani Marchockiej kolysał go, czyste, świeże jej tchnienie poilo rozkoszą.

Kapitanowa mówiła mu o swym dworku opuszczonym, o roślinkach, pozbawionych opieki, o tem, że radaby bodaj tymczasem, choć do garderoby swej dotrzeć, drobiażdżków nieco toaletowych wziąć, bo... inaczej, inaczej pułkownikowi zbrzydnie zupełnie w tem zaniedbaniu!

Bem juści przekonywał ją skwapliwie, że nigdy nie wydawała mu się piękniejszą.

Kapitanowa droczyła się, upierała. Rączki jej kumały się coraz częściej z ustami pułkownika. Promienie splotów pani Marchockiej za pan brat z mundurem Bema szły.

Pułkownik, niby to przy swoim obstawał, lecz jeno byle swarzenie się przedłużyć, byle pozór do przypięcia się mocniejszego do rączki znaleźć.

Niekiedy, na żwawe słówko kapitanowej, Bem wybuchał śmiechem serdecznym, takim śmiechem, że dźwięk jego pełny, metaliczny jemu samemu osobliwością się zdawał. Ani przypuszczał, że tak przyjemne posiada brzmienie.

I jakże mogło być inaczej, gdy oto pani Anna, utyskując ze swym prześlicznym uśmieżkiem na brak grzebiuszczków, wypomniała mu, że ma jeden i to napoły bezzębny! Nigdy tego nie spostrzegł i nawet dziwował się, że mu nadto dokuczliwie łysinę porze. Ucieszna historia.

Juści trzeba, trzeba jej i tego i tamtego i dworkiem się zająć i ogródkiem, pomyśleć o konsystorzu, o znalezieniu kanonicznych racji i o służebnej, bo trudno te pięściwe rą-

czyny na zniszczenie wydawać. Uczyni wszystko, wszystko, każde jej spełni życzenie, bo nie miałby sił, nie mógłby go nie spełnić! Wszak dla niej, dla niej tylko żyć będzie, dla niej będzie pracował, zabiegał, jej pragnieniami żył. Było inaczej, samotnikiem się błakał po świecie. Od śmierci rodziców szukał, latami szukał odzewu, na manowcach go ścigał nawet! — A teraz nareszcie, nareszcie przystań dla skołatanego serca znalazł.

Przeszkody!? — Czyż mogą istnieć takie, którychby on nie skruszył, nie przełamał? Lub czyż zdolną jest narodzie się taka siła, co byłaby władną oderwać go od kochania, od szczęścia! Co zdolną byłaby ich rozdzielić?...

Krótkie, energiczne stuknięcie do drzwi wchodowych przerwało zwierzenia. Pułkownik dźwignął się niechętnie i poszedł otworzyć.

Na progu zadzwoniły hałaśliwie ostrogi.

— Mam honor z dowódczą baterji konnej?...

— Tak!...

Podpułkownik placu Noffok...

— A... wszak dawny adjutant połowy generała Rautenstraucha...

— Do usług.

— Może podpułkownik raczy pozwolić...

— Dziękuję. Przybywam z rozkazem prezesa Rządu narodowego, generała piechoty, hrabiego Krukowieckiego...

— Prezesa Rządu... Krukowieckiego?!

— Tak jest, polecono mi wręczyć to pismo panu generałowi... i pozdrowić pana generała w imieniu hrabiego-generała...

Bem odebrał machinalnie podaną mu kopertę i rzucił okiem na nadpis...

Nadpis, pomimo zmroku — z osłepiająco białej powłoki zawołał doń wielkimi, czarnymi literami:: „Do JW. Generała brygady Józefa Bema“.

Już żwawy wietrzyk rozświtu hulał ulicami Warszawy, gdy Bem wyszedł z pałacu Radziwillowskiego od nowego prezesa Rządu.

Krukowiecki przyjął go pocziwie, serdecznie, z całym wylaniem, niby dawnego towarzysza broni. Uhonoro-

wał go, epoletami generalskiemi obdarzył... Pani Krukowiecka sama uparła się mu je przypinać, a dawne pułkownicze jego na pamiątkę wzięła. — Szczerzy oboje... Mówili, że niby cała Izba sejmowa na generała go wy-promowała!... Lecz, żeby nie Krukowiecki, ba długoby czekał, bo właściwie fawor go spotkał. Chorzewskiego nawet przeskoczył, wszak Chorzewski według listy starszeństwa, już w dwudziestym roku przed nim szedł. A Kołyszko? Podpułkownikuje sobie, drągał, załedwie! To się tam Anusia uraduje! Z chudej fary pułkownickiej — dwa tysiące złotych miesięcznie! Hm — miesięcznie! A co dlań oświście najmilsze, że siła, siła radości będzie w baterji. Orlikowski, Jabłonowski, Iliński — dwa awanse i krzyż. Pojęcia nie miał, że tak łatwo można tyle wykołatać. Krukowiecki bo po dyktatorsku się bierze. Ład porządek, agitatorów, mąciwodów, cywilów w ryzę chwytal! Chłopicki jeno groził a nie strzymał. A ten, miast obiecywać, czyni. Sprawcom mordów nie przebacza. Słusznie, uczciwie! Inaczej, inaczej ranga generalska byłaby wprost męczeństwem, byłaby awansem na ofiarę dla pospólstwa. Strach pomyśleć! Ilu, od listopada, ilu ich padło z bratobójczej ręki... I jakich żołnierzów, jakich generałów! Hauke, Blumer, Nowicki, Potocki Staś, Siemiątkowski, Trębicki, Giełgud, Jankowski. Hurtig, Bukowski, Sałacki! Jedenastu!... Winni! A przecież każdy z nich tylekroć razy życie i zdrowie ważył dla tych samych sztandarów, o zdradę których ich pomówiono! A przecież między tymi sprzedawczykami byli ludzie bez skazy, oficerowie dzielni!... Choćby Nowicki a Siemiątkowski a Sałacki! Trudno wspomnieć bez zgrozy, bez lęku przed pomstą niebios! — a tu brak, brak właśnie wodzów, brak generałów... Krukowiecki ma determinację — lecz czy nie zapóźno, czy zdola, czy wytrwa. Prądzynski i Dembiński również są za opuszczeniem Warszawy! Krukowiecki słuchać o tem nie chce! Drwi z matematyki, z liczb, z rachunków. — Niestety! — Bem pierwszy rad je sobie lekceważyć, ale w szczerem polu, tam, gdzie w odwodzie jest wolny przestwór gdzie można najgroźniejszego przeciwnika napaść, dopiec mu do żywego, zdemoralizować i samemu uniknąć stanowczej, rozstrzy-

gającej bitwy. A tu jakże? Dwie i pół mili cale nietęgich szanów na płaszczyźnie bezbrzeżnej... I, na dobrą sprawę dwadzieścia pięć tysięcy żołnierza, miast dziewięćdziesięciu! Męstwo, bohaterstwo znaczy, — czasem kompanje umie zamienić w dywizję, — czasem jednym szwadronem korpusowi zagrozić umie. Ale i męstwo i bohaterstwo zamknięte, dławione, opasane zewsząd giną, nikną, wypełniają przekopy własnymi ciałami, moszczą drogi mrowiu nieprzyjaciela.

Sowiński zaprzysiął, że przystęp do Woli po jego chyba trupiel — Szlachetny zapał — liche argument. Takoz Bogusławski, Muchowski, legjon jest takich niezawodnie. Dziejom znów trupów przybędzie! I cóż z nich, cóż po nich?! Jeden przez drugiego deklarują się umierać, gdy tu żyć, bronić trzeba! — Ale podobno taki zapadł wyrok. Jeżeli Prądyński z Dembińskim nie zdołali — ha, to cóż, lepiej milczeć. Poswarów i zamętu i tak dosyć. A w ostateczności najgorsza decyzja warta więcej od chwiania się. General Wilt przysłał parlamentarza z listem, wzywającym Krukowieckiego na widzenie się z feldmarszałkiem. Rzecz idzie niby o zamordowanie barona Kettlera i szambelana Fanshave. Rząd przypuszcza w tem ukrytą chęć nawiązania pokojowych układów. Twarde byłyby warunki, ale kto wie, czy za miesiąc, za dwa tygodnie, nie byłyby jeszcze cięższe! — Trudno się z tem oswoić. — Ale jego, Bema, prawo czuwać, działać a nie oglądać się, nie zważać na spodziewania paktów. Krukowiecki daje mu dowództwo artylerji i to cale prawie niezależne od Umińskiego i Dembińskiego, którzy obronę Warszawy mają stanowić — Żeby jeszcze chcieli zwęzić, ścieśnić linje szanów! Sto redut i lunet! A z nich tylko jedna, na trakcie Kaliskim prawdziwie tęga. Działa forteczne mocnego kalibru — ale ich za mało na przestrzeń. Chyba lotne baterje. Musi, musi zgłębić rzecz. Aby jeno zdrzemnie się i do pracy.

Wietrzyk zważając musnął po twarzy nowomianowanego generała.

Bem wspomniał na panią Annę i przyspieszył kroku. Układła się pewno a może i czeka nań, nadsluchuje

odgłosu kroków a drży z niespokojności! Wypadnie mu chyba kogo uprosić, aby sama nie zostawała. Może pani Dzikowska, swojskiego chowu niewiasta — lecz przez ścianę prawie sąsiaduje!... Boć jemu rozmaicie może się wydarzyć. Krukowiecki zapewniał go, że kapitanowa prosto do dworku może powrócić. Nie, nie podobna. Dla własnego przeświadczenia! Radyby sobie nie dał, gdyby nie był przekonany, że jest bezpieczną. Ukryje ją, tak ukryje, że nikt, nikt krom niego!

We wnętrzu kamienicy, w miejscu, gdzie Krakowskie-Przedmieście z wąskiej gardzieli przechodzi w szeroką ulicę, zamajaczył się Bemowi jakiś skulony cień.

General sięgnął do sakiewki i, nadchodząc ku cieniowi, wyciągnął ku niemu rękę.

Cień, na ten ruch generała, cofnął się, przyłgnął do muru, jakby zapaść się weń chciał.

Bem przystanął, spojrzal w głąb wnęki, utworzonej przez skarpy muru, podpierającego kamienicę, a rozpoznawszy szeroki cylinder i płaszcz dostatni, sklonił się zlekka i odszedł, konfundowany oczywistą pomyłką.

Lecz, zaledwie postąpił kilka kroków — tuż za nim rozległ się zdławiony szept:

— Wszak, wszak to pułkownik Bem?

General odwrócił się zdumiony.

Cień w cylindrze i płaszczu szedł ku niemu niepewnie.

— A obywatel co za sprawę masz do pułkownika Bema?

Cień przypadł doń i za ramię go chwycił.

— Pułkowniku, ratuj mnie, jestem ścigany! Krukowiecki nastawił na mnie siepaczy... Byłem do Exnera zdołał, do austriackiego konsulatu...

Bem, oszolomiony znanem mu brzmieniem głosu nie rozumiał, co doń mówił nieznajomy.

Ten poczytał to za wahanie.

— Czatuja na mnie. Ulica do Exnera obstawiona zbirami. Chcieli mnie w palacu Tarnowskich!... Do oficerskiego honoru pułkownika się odwołuje...

— Lecz... kto... kto pan jesteś?!

— Nie poznajesz że mnie, pułkownika, nie poznajesz?...

— General Skrzynecki!

— Ciszej na Boga! — nadjeżdża patrol... a może oni.

Bema niechęć tknęła do Skrzyneckiego. Lotem błyskawicy przemknęły mu się wspomnienia niedawnych z egzordem rozpraw i dosięgły imienia Jankowskiego! — Wszak ci to Skrzynecki wydał go na śmierć haniebną, on, dla osłonięcia własnego niedołęstwa, Jankowskiego aresztował. — Krukowiecki mu dokumenty pokazał! — Skrzynecki winien. — Tysiące żołnierza zmarnował, on gniazdo szerszeni żywił, on pogrzebał Dęby Wielkie, Iganie, on doprowadził do Ostrołęki...

Niespokojne, błyszczące gorączką oczy Skrzyneckiego padły na epolety Bema.

Wódz wczorajszy zadrzał.

— Pułkownik jesteś generałem! Rozumiem obligacje, skłaniające pana...

Skrzynecki nie zdołał dopowiedzieć, ile że oddział konny, lopoczący dotąd leniwie kopytami w głębi ulicy — porwał się i spadł jak grom przed generałami.

— Kto idzie!? — zawołano surowo z oddziału.

Skrzynecki stanął jak wryty. Bem odwrócił się nie dbale.

— Cóż, do czarta, za indagacjel? Forpoczty czy co u licha!

— Taki rozkaz, generale! — odrzekł jeden z jezdnych, wysuwając konia.

— Kapitan Fiszer! Waćpan audytorujesz teraz w patrolu?

— Czasem i tak trzeba.

— Dobrejnocy kapitanowi.

— Sługa pana generała. A obywatel z nim idący?...

— Wraca ze mną od generała Krukowieckiego, jeżeliś ciekaw.

— Najuniżeniej się sumituję!

— Zostawaj waćpan z Bogiem.

Oddział ruszył naprzód.

Skrzynecki porwał Bema za rękę.

— Generale, ocaliłeś mi życie! Nigdy ci nie zapomnę twej zacności.

— Cale niezasłużonej.

— Nie, generale! Cóż, prawdziwie, miałaś wszelką rację przysłużyć się nowemu prezesowi Rządu. Krukowiecki uprzedził mnie, ubiegł w wyniesieniu cię..

— Więc też dlatego okazałem mu wdzięczność generale.

— Jakto?

— Uchroniłem od popelnienia zapalczywości. Proszę za mną — doprowadzę pana do konsulatu.

XXV.

Tymczasem, po widzeniu się z podporucznikiem Ilińskim, znów dla profesora Dziurbackiego dzień minął bez slychu o pani Madejowej a raczej pełen złowróznych wieści o losie, który czekał uwięzionych za rozruchy i zabójstwa.

Wachmistrza korcilo pójść do koszar i dowiedzieć się responsu, lecz, co spojrzal na Antoszkę, to mu nastreczały się junackie wąsiki podporucznika i jego bezceńska ciekawość do dziewczątka... A co bardziej go dojmowało, oczy Antoszki tak nań poglądały, ilekroć przychodził mu na myśl Iliński, że Dziurbacki mało się nie skręcił.

Raz podporucznika zbył. Lecz niechby młokosowi przyszło na kieł wziąć. U takiego nie kupić. Choćby miesiąc wystawać musiał gdzie pod murem a taki wytrzyma i wyślepie sobie turkawkę. I jeszcze kiedy to jej samej aż się zęby śmieją do artyleryjskiego opatrzenia. Co natrafi na jaką blachę, szlufę, pas albo pałasz, to już się pyta, czyli panowie oficjery przy harmatach takuteńkie mają!

Lepiej nie kusić licha i Ilińskiemu się nie pokazywać. A dziewczynę trza krótko. Ho-ho! mores panna musi znać. Regulamin się powoli ustanowi i ani na krok samej.

I wachmistrz marsa okrutnego stroił i zezował ponuro na Antoszkę.

Lecz o dziwo, Antoszka cale już teraz o groźny wyraz oblicza profesora się nie turbowała i bobrowała sobie w rupieciarni na poddaszu, jak u siebie. Gdzie, z Olesiówą na-

wet była w komitywie. Kiedy się to stało, Dziurbacki sam sobie wytłumaczyć nie umiał. Wszak zakazał dzievczyninie najsurowiej, żeby na dół po drabinie ani się ważyła. I nie mógł rzec, żeby uchyliła rozkazowi. Olesiowa napała się mleka a że mleko miał profos na poddaszu, więc smerda, całe w porę, zsunęła się po drabce ze dzbanuszkciem. I odtąd Olesiowa ciągle za nią wzdycha. Pewnie, bo przymilniejszej nie znaleźć. Aby raz widziała, jak guziki przy mundurze między deszczulki brał i czyścił. Odtąd co dnia, ledwie oczy rozewrze — już mu guzy blyszczą, jakby je ordynans jaki lustru uczył.

Sila z tego wszystkiego było uciechy i sila turbacji serdecznych. Ale niema co, układałoby się Dziurbackiemu niezgorzej, gdyby nie Madejowa. Podporucznik obiecał, a tu drugi dzień mija...

Ociągał się wachmistrz jeszcze pół dnia, aż, nie mogąc sobie poradzić z udręką — znów poszedł na Stare-Miasto do gospody Madejowej.

Tym razem zastał Kaškę, w towarzystwie jakiegoś gwardzisty, rozpartą za stołem suto zastawionym.

Kaška, na widok wachmistrza, ani drgnąć nie raczyła.

— Gospodyni? Chce jegomość, a no więc jutro msza wyjdzie u Augustjanów, bo u Pijarów wikary zachorzał.

Dziurbackiego ciarki i rzeszły.

— Co panna wygadujesz!?

— A to jegomość nie wiedzą — już po wszystkim. Kogo mieli wypuścić to wypuścili a resztę będą „strzylać“... Tylko że niewiadomo, na którym placu!

— Koszałki, mospaniel

— Jaworszczanki wróciły już na południe, Zatrulowicz wolen, Morawski — aby najgorszym nie darowali! Może se jegomość przepije słodkiej wódki?

Profos wyszedł z gospody odurzony.

Włókł nogami, wymijał gromadki rozprawiających przechodniów, salutował kapitana piechoty i postrzegł nawet, że ósmego był pułku — a przecież czuł, iż mu się rozumienie bełcze, że wszystko dokoła zlewa w jakąś czarną mareę.

— Mości Dziurbacki! — huknął nad uchem wachmistrzowi rażny głos.

Profos tchnął z wysiłkiem i zaparł się o róg kamienicy.

— Czy poznał? Jakżeby mógł nie poznać! Matysiak z drugiego ulanów! Oczywiście Matysiak. Lepiej dwadzieścia lat się znali. Wyszedł z lazaretu? Niechże na zdrowie...

Matysiak zagadywał, rozprawiał. Dziurbacki pojmował wszystko, aby mu te mary bruździły.

— A wam co — jakby was z nóg ścięło? — Wódki z pieprzem i gorczycowego siemienia, bo psiawiara chodzi...

Wachmistrz potrząsnął głową.

— Matysiakowi cholera się ochapia — a owoż, aby ta czarność.

Matysiak rozśmiał się domyślnie.

— Pewnie, bo chmara ludu się kotłuje, pod Zamkiem mają rozstrzeliwać. Zwyczajnie gamonie do lada czego się cisną, żeby widzieli, jak w ósmym roku, w Madrycie, dwustu odrazu Hiszpanów do muru przygwoździli...

Dziurbacki wytrzeszczył oczy na ulana, nie mogąc zrozumieć, o jakim rozstrzeliwaniu mówił — gdy naraz, od strony placu Zamkowego, zagrzmiała salwa karabinowa.

Wachmistrz zatoczył się i pomknął jak szalony w głąb Święto-Jańskiej ulicy. Lecz tu objął go zbity tłum gawiedzi. Profos zaszamotał się i uwiązał bezwładny, wy-czerpany.

Upłynęła tak długa chwila. Pierś wachmistrza głębiej po oddech sięgnęła. Krew żwawiej zakolatała mu w skro- niach...

Profos spojrział przed się i zadrzał. Oto widział ją tuż przed sobą, niby żywą... Twarz czerwona, impetem try- skająca, jak wówczas, kiedy... kiedy biegła z nim Antoszkę salwować. Takąż miała żwawość gestu... pani Madejowa!

I wachmistrz poglądał na objawienie i smęcił się ża- lością. Gdy, naraz, mara wionęła ku niemu wprost i za ra- mię go ucapiała.

Dziurbacki mało nie runął z przerażenia.

— Panie Pietrze! A co, nie darowałam!... A co!? Tre-

bunałowi skoczyłam do oczu! — He? A bo wam czego ręce latają?...

— Aby nic, aby... acani... aby żeście — belkotal wachmistrz, nie mogąc jeszcze ogarnąć, czyli przywidzenie go nie tumani.

Madejowa nie dała mu długo wątpić.

— Macie dytki? — Idziem do Jacentego na wiśniówkę, bo takam słaba, że mnie ckn! Soczysty był rudzielec. Jak go ustrzelili, to aby nogami trzepnął a ciekł, że niepodobna! Sucha Jewa trzy roki kajdanów dostała! — Chodźma na wiśniówkę!

Rada pani Madejowej w samą porę przyszła, bo, za drugim półkwatkiem, i Dziurbackiemu zgoła pojaśniało i powiadanie obywatelki Starego-Miasta nabrało ladu.

Teraz dopiero pani Madejowa jęła wyluszczać profosowi, jako Kościółowską, co z nożem na Antoszkę szła, w pół chwyciła i jako szelma miałaby prawie, gdyby nie podporucznik, co z żołnierzami wpadł, w rezultacie czego i ją, wstyd powiedzieć, zagarnęli ze zbójami, owym Cydzikiem, Kościółowskiej gachem, z Czarneckim i tym pokraką Dragońskim. Panią Madejową na ratuszu, pierwszego dnia, ledwie krew nie zalata z dyshonoru. Aż kiedy luda z półtorasta przybyło i to nawet od waszecia i ze szlacheckiego stanu, kiedy to sam ksiądz Pułaski między więźniami się ukazał — i pani Madejowej raźniej się uczyniło, przecież nie ostatniejsza żadna była. A Kościółowska od niej zdala, chyłkiem. Tak było dwa dni. Trzeciego dnia audytor, Ciepiewski się zwie, ją na spytki, że ona to na Zamku rznęła panią Bażanow. Pani Madejowa mu na to tak, że czterech drabów ją musiało wyprowadzić. Aż potem, nazajutrz, wolają ją do majora Narzymskiego. Srogi człek i charakterny. U majora podporucznik Iliński? — Pani Madejowa nie baczyła, jak nań mówili — ale co gładki to gładki. Pysio, jakby mu kto malinami umalował, a wcięty i opięty, że jeno kiecczyny zbieraj, a w dyrdy za nim. — Nie godzi się? — Juści, ale co smakiem się oblizać nie grzech. — Tedy ów podporucznik dalej świadczyć za nią. Major nareszcie po ludzku a co jejmość, a kiedy, a dlaczego? — Tak pani Madejowa

mu sprawiedliwie od początku, od kiedy się narodziła. Narzowski słuchał, słuchał, z audytorem poszeptał, z pisarzem, i mówi — jesteś obywatelko, wolna. — A pani Madejowa mu na to z góry — toć mi nie nowina, bo od rewolucyj wszystkie ludzie są wolne! — Major się napsztęczył. — Możesz acani wracać do dom. — A ona mu: — Nie pójdę, aż zbrodzeniów, obwiesiów, hyclów ostatnich wielmożny trebunał ukarze! — Narzowski z audytorem na nią! — Niedoczekanie. — Jak im zaczęła pomstować a przymawiać, tak musieli ją z powrotem między więźnie. — Tu znów słuch odrazu, że wszystkich luzem puszcza, bo generał Krukowiecki łaskawość nakazał, tak, że i tych, co będą sądzili, nie uszkodzą. — Panią Madejową desperacja zdjęła. — To taką sprawiedliwość, takie trebunałstwo — za jedno godnych obywatelów z Kościółską, Cydzikiem łotrem, Dragońskim nieponiem, Czarneckim, co rodzoną żonę do grobu wpędził? Taka generalska łaskawość, co niewinnych ludzi ze złoczyncami mięsza?... Aż sam Cydzik do niej w prośby i obietnice — a ona na całe więzienie — jako ją przekupywać chce! — Wówczas gwałt się zrobił. — Auditor ją znów. Zaczęli szperać. Podobno znaleźli dawne sprawki i wykryli, jako Cydzik partyzanta udawał, posesora Sikorskiego symulował a szpiegowskie wiódł konszachty... I wyszło po bożemu! — Na śmierć — wszystkich czworo — aby, aby tę, tę szargulę, suchą jędzę Kościółską, użalili na kajdany, że, ify, nadobnej jest słabości czy jak...

Baba w tem miejscu odsapnęła z ulgą, posmakowała wódki i dodała z intencją:

— Uchl a co do pana Pietrza, to mnie aż piekło. A pan Pietruś to hę...

— Bogać nie, mosanie.

— Widzicie — a! — przyświadczyła z zadowoleniem pani Madejowa, nastawiając mu się pod bok. — Kuczyło się? Duchem się naprawi. A jakże jej to?...

— Antoszka.

— Podruchnuje? — Jak toto się patrzy! — Myśleliście u panny Marji?... Hę?...

Wachmistrza dystrakcja napadła.

— Nie, bo ten, u Pijarów ksiądz zachorzał, więc mo-
sanie do Augustjanów poszła...

— Jakto do Augustjanów?!

— No bo kiedy dziś rano wszystkich puścili — a jej-
mości nie było — tedy najgorsze suppozycje chodziły!

— I skąd — toć chyba tyła mi się należało, abym na
własne oczy oglądała, jak nicponiów pod Zamkiem ubijali.
Wachmistrzowi ział po krzyżu przeszedł.

— To pani Aniela.

— A przecie. Ostalam się po dobrej woli i dopiero, jak
oddział ruszył ze skazanymi, to ja za nim! Miałabym ta-
kiego widoku darować! Krwie mi potrza było obaczyć...
Ale, bo według czego pan Pietrz o Augustjanach?

Dziurbackiego przekora kolnęła. Nie bacząc na rozmi-
lowane spojrzenie baby, rąbnął jej prawdę o porządkach
w gospodzie i o intencjach Kaśki.

Pani Madejowej, na pierwsze słowo, aby podbródki się
zatrzęsły, lecz gdy wachmistrz o mszy za jej duszę bąknął,
babę poderwało, zawinęło i wymiotło z szynkowni...

Profos, po tem spotkaniu, wrócił do dom kwaśny. Nie
szło mu czegoś po sercu, choć sam sobie wytłumaczyć nie
umiał dlaczego, bo skądinąd zapamiętałość pani Madejowej
wydawała mu się słuszną. A przecież coś go jakby odstrę-
czyło, coś oziębilo raptem.

W zamian pani Madejowa, ulżywszy sobie radykalnie
na wzburzeniu i za chrześcijańską pamięć Kaśki pogańską
wymierzywszy sobie sprawiedliwość, nietylko że impetu
zupelnego nabrała do wachmistrza ale i desperackiej chy-
trości ku zapieczętowaniu go sakramentem.

Wil się Dziurbacki jak piskorz, głuchł na poczekaniu,
na poczekaniu każde przypomnienie ogonem wykrczał,
strzegł się rozmawiania sam na sam z panią Madejową,
Antoszkę wodził, by obecnością swoją bruździła wywnę-
trzeniom — a z dnia na dzień czuł, że nadchodzi, że zbliża
się stanowcza godzina. Rezolucji zaś prawdziwej dobyć
z siebie nie mógł.

Kiedy bo na poddaszu sobie dumał a w rupieciarni
majdrował — to mu policzki kraśne pani Madejowej grały
a podbródki aże w oczach świdrowały. Układało mu się

wówczas wszystko po myśli. Cóż, gospodarstwo się wy-
stukuje grzeczne. On nie młokos, ona też prawie, wdowa
z wdowcem, a i dziewczynie sprzej będzie.

Lecz, kiedy Dziurbackiemu one imaginowane pod-
bródki zaczynały zbliżać się dołkami się śmiać, zamaszysta
korpulencja chrobotać nad uchem a białe zęby pani Ma-
dejowej lyskać, to profosa taka ogarniała słabizna, taka
do tych specjałów niechęć, jak bezzębego do orzechów
gryzienia.

Pani Madejowa podczas. we wstępnym boju napotkaw-
szy opór — chyłkiem szła. W trzy dni Antoszkę sobie za-
wojowała, a w dwa dni później kuma Olesiowa błogo-
sławiła ją, jako jedyną istotę, która pocziwie o zmocnie-
niu jej na siłach myśli, aby „Szuwarowi“ jeszcze raz uszła.
W tydzień zaś, gdy Dziurbacki, chwyciwszy się pozoru,
że izdebki przy gospodzie są niezręczne, oświadczył, że
śnadjiej „ze wszystkim“ zaczekać bodaj do świętego Mi-
chała — pani Madejowa rozpoczęła przeprowadzkę na Za-
piecek. I przeprowadzkę tak sztuczną, że w koszyczkach
i puzdereczkach, co je znosiła, w oktawę cały dobytek bez
mała powędrował na poddasze. A że wskutek tego nijako
było pani Madejowej ogarniać się w pustej izdebce na
Starem-Mieście — więc sama przez się wynikła potrzeba
przeniesienia i pościelowych puchów.

Dziurbacki struchlał na widok pierzyn. Chciał prote-
stować, przekładać niewłaściwość takiego najazdu, wresz-
cie wypomniał szkodę niechybną, którą stąd poniesie ład
w gospodzie i tyle dokazał, że za pierzynami wtarabanily
się sienniki. A już najbardziej dokuczyla podobno Dziur-
backiemu uciecha Antoszki, że ciotka Aniela przecież ra-
zem będzie. Juści niewdzięczne stworzenie. Tu on głowi
się, czem smarkatej wygodzić, aby niczego jej nie brakło,
a tu jej Madejowa najbliższa! Jużby przy niej ciągle ba-
jała, jużby się do niej lasiła, już jej teraz nie do tego,
co dziadek ma w skrzyni a co w ładownicy — babskie
toboły, babskie fatalaszki w ślepiach jej siedzą, a dziadek
ją, co ten wiatr, mosanie.

Jakoż tego samego dnia w momencie, kiedy pani Ma-
dejowa wносиła na poddasze swój ostatni jasiek, co ko-

roną był jej sążnistych belów — wachmistrz sam nie umiałby zdać sobie sprawy, jakim cudem dotarł pod wolskie okopy, do stanowiska baterji konnej...

Lecz zresztą baterja tylu nowinami i zmianami przemówiła do wachmistrza, że domowe kłopoty raptem mu się zapodziały.

Artylerzyści ledwie co powrócili właśnie z wyprawy rekonesansowej. I jakiej wyprawy! Huzarzy wysunęli się ku szancom przedniej reduty. General Bem czynił był inspekcję z Sowińskim. Gdy zobaczył huzarów spiął konia i do baterji. W trzy pacierze zarzucono przedki i z kopyta. Wygarnęli kartaczami na ostre przez metal — i, nim ułani się porwali, ze szwadronu huzarów trociny się zostały. Baterja wróciła jak z parady, aby jeden Michalski, co niezdarzony był, czegoś kiwnął się na koniu i stratowano go armatami. Nygus opętany i niezgraba, bo mańkut. A zmian mnóstwo. Orlikowski podpułkownikuje, majorostwo go nawet ominęło, według porządku, że, za Wielkiego księcia, w inżynierach i artylerji, majorów nie bywało. Porucznik Jabłonowski ma krzyż, Surmacki na podoficera się wysforował a Zarzycki na podporucznika. Przy dwóch granatnikach są nowe wysówki celownicze — a gniadosz, co pod Radońskim chodził, dostał paskudnika, w jego miejsce jakiś srokacz trębacki. Nie pasuje, bo srokacze, jak baterja baterją, jeno trąby nosiły — ale cóż, paskudnik a o remoncie należywym niema kiedy.

I rozgadał się Dziurbacki na dobre a było o czem. W baterji aż huczało od rozpraw o spodziewanym szturmie. A wachmistrzowi szturm nie pierwszyczna. Więc powiadał, powiadał tak, że mu czegoś żwawiej się uczyniło. Bo i od słuchającej go gromadki taka biła gorącość, taka osobliwa fantazja, iż profosowi się zdało, jakby onej wiosny, kiedy z tobołkiem na plecach rodzinnym niwom i śmiał się i plakał z wojackiego animuszu.

W tym roku było tak — tak znów pod tym... — to już ostatnia zgrzytała rozpacz, już nie było ani żywności, ani amunicjów, jednej palisady całej a przecież nie ugryźli, a przecież nie swego, nie własnego człek onego czasu

bronił, jeno tego, co Napoljon przykazał a Dąbrowski z Kniaziewiczem uradzili. Dopierój Warszawy!

Prawił tak Dziurbacki. Kupili się dokoła niego żołnierze, zasluchani w dokumenty przeszłości. Z tego bowiem, co było niegdy, racja o tem, co będzie, jako się stać musi.

Naraz gromkie „bacność!“ dosięgnęło żołnierzów. Gromadka przysła na wsze strony. Wachmistrz dźwignął się z lawety. — Nic mu tam było teraz do bacności ale zawsze godziło się.

Spojrzał profos ku lewej, skąd komenda się ozwała, i mlasnęła z ukontentowania.

— Juści Bem!... Cie i generał... Idzie mu ten amarantowy kolnierz! A jak mu się to bimbają zgrabnie buliony! — Cóż, mosanie, udał mu się. Zawsze miał o nim dobre pojęcie! Od podporuczniczyny jednoepoletka nań patrzył i doczekał się pociechy... Ale z kimże to on tak deliberuje? — Białe bokobrody, oblicze zeschłe, generał... ale nogą zawijał — Gdzieże tego cudaka oglądał?...

— Bywaj mi Dziurbaśiu! — zawołał ochoczo Bem.

Wachmistrz wyprostował się.

— Zdrowia życzę panu generałowi!

— I cóż jegomość kalkulujesz?

— Wytrzymamy, panie generale!

— Dalby Bóg! — No, ale przykładu nam nie zabraknie, kiedy wiarusy takie stają w ordynku...

Wachmistrz, na to orzeczenie, chciał z miejsca generałowi odrzec, że kiedy mu prucznik Łabanowski o reformie tedy i on, profos, do serca wziął, że mu pora — lecz niespodziewanie z poza Bema wysunęła się ku niemu marsowa postać generała, stukając zamaszycie drewnianą nogą.

— Dziurbacki, *saperlot, perlot, perlot!*... Nie poznajesz-że mnie?! — Do djaska!

Wachmistrz zachłysnął się.

— A według... jakżebym — pan generał Sowiński!

— Patrzaj, a to żeśmy się gdzie ostatni raz widzieli?

— Pod Możajskiem, kiedy panu generałowi kula...

Sowiński stuknęła energicznie nogą.

— Niezdarzona była, *saperlot!* Chmara czasu. To wacpan wachmistrzujesz tym zuchom?!

Dziurbackiemu zapodziała się nagle i myśl o reformie i zapieckie jego gospodarstwo i najazd pani Madejowej i liczko Antoszki. Wyprężył się, przyszczyżonymi wąsami, jak sum ruszył, i odparł junacko:

— Według rozkazu trzyma się smyków, mosanie!

XXVI.

W cztery dni, po objęciu rządów przez Krukowieckiego, ukoilo się, uciszyło w Warszawie. Sędziwy Małachowski, wypromowany na zastępcę wodza naczelnego, nie miał wrogów. Okrutny proces o zabójstwa i zamieszki skończył się na rozstrzelaniu czterech łotrzyków i uwięzieniu jednej kawiarki. Odetchnęli więc stronnicy Lelewela i księdza Pułaskiego kommilitoni. Skrzynecki znikł. Prądzynski po sztobie się kręcił, Dembiński przystał na kierowanie po równości z Umińskim obroną Warszawy a nawet z samym „dyktatorem“ politycznie się rozmawiał. Co podobno łatwem było poświęceniem bo nowy prezes Rządu narodowego czegoś zlagodniał, przycichł, zmętniał.

Napróżnoby teraz w generale Krukowieckim dawnej stanowczości, uporu, gwałtowności szukał. Cztery dni władzy najwyższej z kretesem go zmieniły. Nietylko nie sromał się odmiennego poglądu, lecz się go dopominał. Niekiedy, prawda, wybuchał jeszcze pasją, zrywał się siny, z zaciśniętymi pięściami na obronę swej racji, ale zrywał się, jak płomień, co przywalony gruzami, dobywa się, wystrzela a nalazłszy jeno glazy, gaśnie. Cały wczorajszy zapal i energja generała skupiła się teraz w pragnieniu, aby czynić, aby działać, aby pogrążyć się w gorączkowej pracy, aby nie ustać, aby ciszy nie dać przystępu.

I stąd wielka rada wojenna piorunem poszła. Nigdy zgodniejszej podobno nie było. Wszystkie rajce naraz triumfowały!

Lubiński chciał w trzy tysiące jazdy ku Modlinowi przeciw, aby Płockie województwo oczyścić z podjazdów nieprzyjacielskich — wyprawiono go natychmiast.

Prądyński żądał, aby dwadzieścia tysięcy Ramorina poszło na korpus Rozena, który do Pragi się skradał, rozbiło go, opanowało Brześć; zaszachowało tem samym Rüdigera i pozwoliło Różyckiemu do tyłów armji Paskiewicza się dobrać. I stało się, jak żądał Prądyński. Ramorino wyciągnął bez zwłoki, mając u boku samego twórcę planu.

Dembiński z Bemem mówili, że właściwie należałoby zaniechać Warszawy i wszystkiemi siłami uderzyć na Rozena — ale że obocznie Małachowski, Krukowiecki, Rybiński, Sowiński i sześciu innych za obowiązek najpierwszy poczytało obronę stolicy — więc istotnie i jednym wygodzono i drugim! Upadek bowiem Warszawy nie rozstrzygał już wojny, czego Bem z Dembińskim się obawiali. Teraz przecież w Warszawie było raptem dwadzieścia pięć tysięcy ludzi — a całe czterdzieści pięć poza Wisłą. A niechby na miasto zła przyszła godzina — no, to Ramorino z Prądyńskim, rozprawiwszy się z Rozenem, piorunem wróca.

Co więcej, pułkownik Lewiński, który naprzykrzał się na szefa sztabu z Łubieńskim, został nie tylko szefem ale i generałem brygady. Książę Czartoryski znów, a za jego przykładem Sapięha. Gustaw Małachowski i mendel dygnitarzów conajprzedniejszego rodowodu powzięło myśl pójścia z Ramorinem i Prądyńskim na wyprawę wojenną... Osobliwem nieco było to życzenie, bo i co za intencja mogła tylich dygnitarzów, ludzi niewojskowych, składać do włóczęgi za główną kwaterą generała Ramorina! Krukowiecki, na wieść, o tem zachnął się, wykrzywił ironicznie, ale słowa nie rzekł. Rad był pewnie w duchu dobrowolnemu wyjazdowi księcia eksprezesa Rządu.

Po tak zgodnem odprawieniu rady wojennej, jeszczeby może zmitrężono z wyprawą Ramorina, bo po radzie zagadano śród posłów sejmowych o osłabieniu garnizonu warszawskiego — lecz tu przyszedł z pomocą Krukowieckiemu sam Rozen i, nie przeczuwając zapadłego nań wyroku — wychynął z pod Wawra i na Pragę się rzucił. Skończyło się wprawdzie na alarmie ale i na uznaniu dla decyzji Rady wojennej.

Krukowiecki z Małachowskim troszczyli się teraz wy-

łącznie o zabezpieczenie Warszawy. Było wiele, bardzo wiele do dokonania, tak wiele, że i miesiący całego czasu nie starczyłoby. Ale niemniej ponad siły czyniono i niemal nad potrzebę!... Wszak ci nielada było pytaniem, czy feldmarszałek wogóle ośmieli się pójść do szturm. Od tygodnia przecież obozuje tuż i kontentuje się utarczkami przednich straży. Niechybnie okazji szuka do nawiązania układów. List Wittta oczywistym dowodem. Przytem i boi się — reductami się otacza. Miast nieprzyjacielskich dobywać, stawia sobie własne.

Niechże teraz się dowie, że Rozen rozbity, Brześć wzięty, że jemu samemu grozi poprostu odcięcie, uwięzienie na lewym brzegu Wisły!

Paskiewicz tymczasem, czy nie dowiedział się o tem nowem dlań niebezpieczeństwie, czy innego coś knuł, dość, że najspokojniej ściągał nowe dywizje, umacniał się na pozycji.

Krukowiecki zaniepokoił się. Wiadomości, powzięte przez rekonesanse, podjazdy, zagarnięte placówki, opowiadały o nadciąganiu Kreutza, o okrutnych dwudziestu mordercach, aż z Kijowa przez Gejsmara prowadzonych. Dalej istne duby smalone wywodziły o rewjach, które piechota rosyjska odbywa codzień z drabinami, koszami i pękami faszyny — o ściąganiu prowiantu i wogóle o gorączkowem sposobieniu się do uderzenia na Warszawę.

Krukowiecki z Małachowskim nie dali by się jednakże temi przesadzonemi niechybnie nowinami zastraszyć, gdyby nie raporty Ramorina i Prądyńskiego.

Stoczył bitwę Ramorino pod Krzynką i zadał, stanowczo zadał Rozenowi. A co w Rogoźnicy piąty pułk cudu dokazał, sześćset nieprzyjaciela padło, i chorągiew zdobył!

W Międzyrzeczu zato Rozen na miazgę byłby poszedł i nie zdołałby ująć do Brześcia, żeby nie Ramorino, pisał Prądyński — żeby nie Prądyński, objaśniał ze swej strony Ramorino. Kwintesencja, że korpus Ramorina, po ośmiu dniach marszu, wybiera się do Terespolu, że co najmniej dzieli go od Warszawy sześć dni pochodu.

W odpowiedzi na ten raport wysłano do Ramorina rozkaz, wzywający go do powrotu, do śpieszenia pod War-

szawę. Na czwarty dzień atoli, miast korpusu wojska zjawił się sam Prądzyński z referatem sążnistym o błędach Ramorina, o tem, że nietylko on, kwatermistrz generalny, nie mógł sobie z nim poradzić, ale i Rząd narodowy także nie zdoła, bo Ramorino ani myśli wracać, bo woli Brześcia dobywać, bo na Ramorina nie ma sposobu.

Zaledwie wykoncypowano piorunujące depesze do krnąbrnego generała — na Woli ozwały się po raz pierwszy armaty. Rząd porwał się wylękniony do telegrafu skrzydłowego, ustawionego na teatrze. Śmigi nie dały na szczęście długo czekać na siebie. Reduta pod Odolanami donosiła o zwycięskiej wycieczce Bema na rekonesans luzarów.

Rząd raźniej odetchnął. Od dwóch tygodni była to pierwsza sposobność do zadufanego rozkazu dziennego..

Aliści, zanim zdołano ucieszyć się do reszty tą wycieczką a postanowić, czyliby wtórej podobnej za Rakowiec nie przedsięwziąć — do forpczt przybył parlamentar! I tym razem nie lada sobie sztabowczyk z pisaniem od Witta — ale sam generał Danenberg z przedłoženiami feldmarszałka.

Na spotkanie z Danenbergiem wyprawiono Prądzyńskiego z Wysockim.

Feldmarszałek stawil wprost warunki zaniechania krwi rozlewu. Twarde warunki.

Wrócili wysłańcy nieco zwarzeni. Krukowiecki zebrał radę wielką, aby odpowiedź obmyślić.

Prądzyński a za nim i prezes Rządu i Dembowski i Radziwiłł przebąkiwać zaczęli, czyby nie lepiej, czy nie politycznie... Ale wnet żwawa dyskusja oczy im otwarła.

Czemże było istotnie parlamentarstwo Paskiewicza? — juści podstępem. Strach go oblatuje o Rozena i, dla fortelu, zucha udaje, aby rozejmu się dopytać. — Szczerze chce paktować? — Więc na warunki trzeba z warunkami wystąpić. Gwałtu nie ma. Warszawy byle kanonadą nie weźmie. A jak miasto raz mu da opór — to Europa się dowie i zagada. W każdym razie przy swoim stać należy.

I Niemojowski ułożył odpowiedź tak siarczystą, jakby feldmarszałek za Niemnem w widłach rzeki zmilowania

wyglądał. Aż ciekawość paliła, z czem teraz Danenberg przyjedzie, jak wybrnie Paskiewicz z tak jędrnego dictum. Tegoż dnia lunety inżynierskie, czuwając na wieży luterskiego kościoła, rozstrzygnęły domysły.

Armja rosyjska dźwigała się, ustawiała w ciemne, podłużne dzwona.

Wojsko polskie stanęło pod bronią.

Rozrachunek Krukowieckiego był prosty. Umiński dowodził lewem skrzydłem od Solca i Belwederu do Czystego — Dembiński prawem od Czystego do Parysowa i Marymontu. Bem z rezerwą artylerji miał być w odwodzie — i na Mokotów baczyć. Z tej strony bowiem należało się spodziewać właściwego szturm, bo tu i redut było licho co, i szanice nieskończone i dla nieprzyjaciela korzystne schrony między ogrodami, wądołami, błotami i garbami belwederskimi. Demonstracja może pójść i na Rakowiec i na Wolę — ale na Mokotów lawą się rzuca. Najważniejsze Mokotowa strzedz.

Już na pierwszy sygnał o następowaniu nieprzyjaciela, na pozycjach od Mokotowa wszczęła się gorączkowa praca. Łatano palisadami niedokończone nasypy i fasy — umacniano armaty, w domkach okolicznych wybijano strzelnice. A w ostatku, na jeszcze tęższe szaniców wzmocnienie, zdecydowano z fortu numer pięćdziesiąt pięć działa ciężkie ściągnąć i na Mokotów zawlec. Co żadną nie było szkoda, bo tuż przed fortem, z lewej, była reduta Orzona a z prawej ostróg potężny Sowińskiego. Kule armatnie ostrogu i reduta i tak się krzyżowały. Więc pozycja wolska i bez foru była mocną. Mokotów zaś zyskiwał niezmiernie.

Ale z ustawieniem dział ciężkich był nielada trud i kłopot. I stąd, gdy na Woli przytlumionemu poszmerowi, co z dali ciemnej szedł ku polskim szancom, odpowiadał spokojny rozgwar korpusu Dembińskiego — pod Mokotowem cały sztab z Umińskim i Bemem pracował bez wytchnienia.

Aż, około północy, wraz z uporaniem się z działami, nadjechał ordynans dowódcy baterji Rzepeckiego, który z pułkiem trzynastym za Wierzbnem stał. Rzepecki donosił, że od Szop skrada się nieznacznym korpusik a od Zba-

rza idzie na Wyględów drugi, lichy co tęższy, i że pojmany oficer kozacki mówi, iż z tej strony niema więcej dywizji, bo główny korpus na Wołę uderzy.

Bem, wobec którego generał Milberg odczytał Umińskiemu tę depezę, nie mógł powstrzymać się od wykrzyknika:

— Więc cały szyk bojowy wypada zmienić!

Umiński a za nim Milberg spojrzeli nań pobłażliwie. Bem usiłował bronić swej racji, lecz dowódzca korpusu pokonał go argumentami.

Nadewszystko oficer kozacki, choćby pragnął najrzetelniejszą wyznać prawdę — uczynić tego nie zdoła, bo niema o niej wyobrażenia! Są to tylko dwa słabe korpusiki, niechby tylko dwie brygady. Zgodził — Cóż to znaczy? — Atak na Wołę pójdzie — ale dlatego na Wołę, aby równocześnie wykonać ruch na lewe skrzydło polskie i uderzyć na najłatwiejszy do zdobycia punkt.

Bemowi zawisła na ustach odpowiedź, że feldmarszałek w ten sposób musiałby dobywać miasta w podłóż — lecz zmilczał. Bo zaiste, w ciągu dni ostatnich, tyle stoczył utarczek na radach, tylekroć razy pozostał ośosobniony ze swem zdaniem — tylekroć całą generalicję miał przeciwko sobie — że do upierania się brakło mu i siły i ochoty i wiary nawet.

Umiński zresztą nadto wielki mir żywił dla Bema — by owej różnicy poglądów nie zagadać, nie zatrzeć przyjaźniejszym ozwaniam. Jakoż, wnet spędziwszy ostatek chmur z czoła dowódcy artylerji, zakonkludował ochotczo:

— No, kolego generale, a teraz czas o spoczynieniu pomyśleć. Niechże się Milberg z Rybińskim sami konsolują.

— Przydałoby się, chociaż za trzy godziny świt prawie...

— Do południa bodaj mamy czas! Najpierw Sowiński musi nawiąatować. Do pierwszego strzału Milberga możemy spać. Do wolskiej pukaniny nam nic.

Bem skwapliwie poszedł za radą Umińskiego. Na pozycji, według planu obrony, istotnie nic nie miał do czynienia. A do miasta wlokło go, ciągnęło.

I, w niespełna półgodziny, Bem błogosławił Umińskiego, że go nie zatrzymał, że go odprawił.

Toć kapitanową zastał we łzach, skuloną, zasuniętą w najciemniejszy kącik, drżącą z przerażenia, z trwogil

Zaiste oplakany miał pomysł dania pani Anny pod opiekę owej Dzikowskiej. Baba naplotła dub smalonych, nagadała jej bajek i, miast otuchy przysporzyć — delikatną duszyczkę pani Marchockiej śmiertelnym napelniła lękiem.

Nadomiar, niewiadomo po co, skąd, zjawil się, podczas nieobecności całodziennej generała, wuj Olechowski. I czy on naplotł po pijanemu, czy Dzikowska ozorem nabeltała — dość że serduszko kapitanowej, śmiech powiedzieć, Honoratkę sobie wyobraziła za rywalkę!

Ileż zakłęb, ileż przysiąg trzeba było, aby uciszyć lęk pani Anny, aby dowieść jej, że pomimo spodziewanego szturm, gwardja strzedz będzie, jak co dzień, ladu w mieście — że ów szturm nie sięgnie murów Warszawy, że kule armatnie nawet okopów nie dojdą, że jej nic nie grozi, że jemu nic, nic zgoła, że Honoratka jest sobie kawiar-ką, która równie do niego, jak do wszystkich gości, wdzięczyć się rada, że nakoniec jest taką pospolitą jejnością, tak nieciekawą, że pani Anna, przywodząc taką, grzeszy, grzeszy okrutnie.

A potem — ileż całunków, ileż rzewnych słówek zużyć musiał generał na umitygowanie pulsujących żyłek, na ochłodzenie rozpalonych skroni, na odświeżenie spieczonych ustek.

Lecz, gdy nareszcie główka pani Marchockiej do piersi Bema się przytulila, gdy harmonijny jej głosik zabrzmiał mu pełnią czystego dźwięku, generała ogarnęło uczucie takiego szczęścia, jakiego dotąd wyobrazić sobie nie umiał.

Utrudzoným był bardzo, bardzo. Od świtu chwili nie miał odpocznienia. Te eksplikacje znużyły go, wyczerpały... lecz dają mu teraz błogość, dają świadomość ciszy pogodnej, niebiańskiej.

Mogłaż być na świecie istota, któraby zdolen był równie gorąco milować?

Przeciagliy, smutny łomot rozległ się hen w dali.

Bem spojrział niepewnie ku roletom, z poza których skradalo się szare światło brzasku.

— Naraz, jakby w odpowiedzi lomotowi — zagrziała piekielna salwa. Kamieniczka zatrzęsa się. Szyby jęknęły żalśnie.

Pani Marchocka zarzuciła Bemowi rączki na szyję.

— Józefie, na Boga, nie odstępуй mnie, nie opuszczaj!

— Ciebie opuścić kochanie? Uspokój się, dziecko, to kanonada... Do szturmego pewno dziś wcale nie przyjdzie! A gdyby nawet...

— Więc nie odejdziesz mnie, nie pójdiesz!? — błagały koralowe usteczka pani Anny.

XXVII.

Fort pod Odolanami, co na wedecie wolskiej stał pozycji, nie dał tego dnia zwieść się bieli oparów wrześnie-wego poranku. I, miast lunetami je przezierać — narychtował paszczę spiszową i wypalił.

Od strony Chrzanowa sto armat mu odpowiedziało, sto pocisków targnęło oparami.

Fort wszystkimi lysnął lonty. Czające się za nim reduty zawtórzyły fortowi.

Rozmowa się zaczęła. Rozmowa szarej, ziejącej gromami w dali z zamienionemi w wulkany gniazdami redut. Rozmowa sześćdziesięciu fortecznych potworów ze stadem stu furji.

Dymy armatnie skłębiły się z oparami. Siny całun okrył wolskie równiny. Clunury żelaza rwały ku sobie na oślep.

Aż, z poza rozplywających się we mgłę spiętrzonych konturów Warszawy, trysnęły na ołowiane podniebie krwawe smugi. Wschód rozgorzał. Silnie celownicze zgrzytnęły. Chrzanowskie baterje i wolskie reduty dosięgły się wzajemnie — ogarnęły, wypatrzyły. Za cios płacły sobie ciosem, na salwę salwą odpowiadały. Bas ciężkich dział fortecznych brzmiał pełniej, hardziej.

Wtem, na salwę redut, miast chrzanowskich armat, odpowiedziało czterdzieści z pod Jelonek, pięćdziesiąt z pod

Zborza, sześćdziesiąt z pod Włoch, czterdzieści z pod Rakowca...

Reduty na wsze strony wyszczerzyły swe działa, lecz bas ich utonął, rozplynął się w złowrogim huk.

Feldmarszałek już trzystu armatami raził i raził coraz mocniej, bo je toczył ku redutom, bo sto czterdzieści paszcz Kreutza i Pahlena wymierzył na fort Odolański i redutę pod Szczęśliwicami, która między traktami krakowskim i kaliskim strażowała.

Pięć armat liczył fort, pięć również miała do obrony reduta. Wspomagał obie ostróg wolski Sowińskiego — lecz ostróg posiadał ich raptem dwanaście.

Zapasy były krótkie. W pół godziny reduta umilkła. Kreutz skinął na dywizję Gejmara i Sulimy. Dwie kolumny rzuciły się na zryte kulami rozsypiska reduty. Zalały bezbronne schrony pięćdziesiątej piątej fortyfikacji, i rażąc z niej redutę, objęły ją pierścieniem.

Pół bataljon piechoty zaszamotał się z dywizją Kreutza, krwią ją zbluzgał i legł pokotem na szańcach. Dowódca reduty, Ordon, tarzał się okaleczony. Na reducie wionął dumnie sztandar białozierskiego pułku. Lecz w tej samej chwili huk podziemny zatrzęsł redutę. Wyrwał z jej posad garby szańców, wystrzelił ku niebu kłębami piachu, złomami kamieni, palisad, spiznu i ludzkiej miazgi i jedną mogiłę usypał i zwycięzcom i zwyciężonym.

Podczas, gdy na kurhanie reduty nieszczęsnej, rodziła się już legenda o Ordonie, podczas gdy ranny dowódca jej ani spodziewał się, że go baśń tęczowa patronem zamianuje szańców, że kanonierowi Nakrutowi zawdzięczać będzie nieśmiertelność — tuż, na Woli, wtóra zaczynała się legenda, wtóra pieśń gminna.

Fort odolański bronił się zajadlej, dzielniej. Bo choć dwustu tylko żołnierzy, lecz przedpiersienia tęższe, bo był dwuramiennikiem — lunetą, bo za nim, tuż, ogniem swych armat prażył nieprzyjaciela ostróg wolski.

Lecz Pahlen atak swego korpusu wsparł kartaczami rezerwowej artylerji. Dwuramiennik nie ostał się, bo jeden bagnet nie mógł się ostać stu bagnetom, bo pięć armat nie mogło pięćdziesięciu sprostać.

Droga do ostrogu wolskiego stała otworem.

Feldmarszałek nie dał wytchnąć Pahlenowi i Kreuzowi.

Na kurhan reduty, na fortyfikację sąsiednią i na szaniece dwuramiennika zaciągnięto rosyjskie armaty.

Baterje konne półkołem ruszyły ku ostrogowi. Dwadzieścia cztery tysięcy wyborowego żołnierza stało w pogotowiu.

Paskiewicz skinął i dziewięćdziesiąt czeluści zionęło.

Sowiński miał tylko dwanaście.

Gdy się to działo, w głównej kwaterze polskiej panowała wyczekująca cisza. Cóż — generałowie byli na pozycjach, wojsko pod bronią według planu. Na kanonadę feldmarszałka odpowiadały reduty. Więc jeno czuwać należało, aby, pod osłoną tej pukaniny, nieprzyjaciel Mokotowa nie zaskoczył.

Lecz owa pukanina coś tak gwałtownie się wzmagała, że wódz z prezesem Rządu, jedną myślą wiedzeni, ruszyli do mokotowskich rogatek. Tu atoli nad podziw spokojnie było. Szaniec pod Wierzbem spierał się z dwoma baterjami o Szopy — zresztą cisza. Umińskiego nie było jeszcze na stanowisku — nie dziw, do świtu prawie porał się z szanecami.

Była godzina dziewiąta rano. Przed południem więc Paskiewicz się tu nie ruszy.

I wódz naczelny z prezesem zawrócili w stronę wolskich rogatek, aby i tam przytomnością swoją dodać otuchy. Kocz generała Krukowieckiego potoczył się ociężale.

Droga była daleka. Konie znużone rozgonami i strachające się huku armatniego. Nadomiar na ulicach tłumy ludu, tłumy głuche, ponure...

Stąd Krukowiecki, na widok straży, zamykającej wyłot dojazdu do wolskich okopów, odetchnął z ulgą.

Tu jednak, miast spodziewanych wiwatów, które miały odpowiedzieć na przemówienie, jakie prezes Rządu kalkulował sobie do żołnierzów wygłosić — spadł na kocz dygnitarzy adjutant Dembińskiego.

— Trzy reduty zdobyte! Sowiński otoczony!

Krukowiecki z Małachowskim porwali się z kocz na

siodła wierzchowców i pocwałowali za adjutantem do Dembińskiego.

Przybywali w samą porę, bo dowódzwa korpusu wojskiego alterację swoją na Prądyńskiego zamierzał wyrzucić. Sędziwa postać zastępcy naczelnego wodza pohamowała nieco zapalczywość Dembińskiego.

Była klęska. Dwie reduty opanował feldmarszałek — trzecia się nie liczy, bo nie była obsadzona. Główny atak z tej strony idzie. Sowiński zagrożony! Kto winien? — Prądyński winien! — Nie Prądyński, bo owszem, on napomykał, nawet w protokóle zapisano, że zwracał uwagę. Sam general Małachowski był tego zdania i Umiński i Krukowiecki i Maletski! — Nie należało reduty numer pięćdziesiąt pięć opuszczać, pozbawiać ją armat! — Jakto, więc ściągnięto armaty? — A właśnie i to wczoraj. — Nie-slychane! Wobec tego Ordon nie mógł... — Bierz djabli reduty! Trzeba czynić!

— Trzeba!

— Trzeba rezerw, trzeba artylerji!

— Gdzie Umiński?

— Bema należy. — Bema natychmiast!

Dembiński dwóch ordynansów wysłał po niego.

Nie ma Bema! — Do miljon, powinien być na stanowiskul Wolać, — szukać, do kroćceć! — Po Umińskiego co koń!

I adjutanci rozpadli się na wsze strony.

Generalicja zaś jęła, w oczekiwaniu na rezerwy, na Umińskiego, na Bema, organizować odsiecz.

Więc generalowi Ruthi nakazano ruszyć z pod Powązek dwa bataliony piechoty — Dluskiemu wysunąć brygadę kawalerji, stojącej pod Parysowem. Rybińskiego wyprawiono traktem krakowskim.

Licha to była pomoc, bo równocześnie Chilkow pod Górcę się zbliżał, Murawiew szedł na Rakowiec a od strony Opacza dudniły nowe łańcuchy artylerji. Siedemnaście tysięcy nieprzyjaciela stawało jeszcze do boju.

Ogień działowy wzmógł się.

Nareszcie przybył Umiński — Bema wciąż szukano.

Bem tymczasem, ledwie około dziesiątej, wysunął się

ze swego mieszkanka i zdązał w stronę luterskiego kościoła, aby zawczasu, z wysokości wieży, rozeznac pozycje i nabrac orientacji.

Zresztą nie śpieszył się. Według planu rezerwa artylerji do popołudnia miała wyczekiwać. I tak nadto rychło opuścił panią Annę, rychlej niżby pragnął. Lecz musiał korzystać z chwili, w której utrudzenie zamknęło jej powieki. Inaczej nie miałby może siły, nie miałby woli oprzeć się jej zakłębom. Obowiązek stądby ucierpiał, powinność, którą ma do spełnienia...

Ale, kto wie, kto wie, czy feldmarszałek nie zaniecha ostrzeliwania, bo, jak przewidywał Krukowiecki, będzie straszył miasto aby łatwiej do paktu dojść. Gdyby zaniechał, Bem momentu nie zbalamuci i wyrwie się do swego gniazodka, na skrzydłach doń powróci.

Na tę myśl generała rozmarzenie ogarnęło. Szedł, zbliżał się do luterskiego kościoła — a witał już panią Marchocką, czuł dotknięcie jej delikatnych rączek, napawał się jedwabiami jej miękkich splotów, tonął w jej spojrzeniu. I widział ją przy sobie tak bliską, tak uchwytną, że nawet mroki krętych schodów na wieżę nie zdołały mu milowanego widzenia zgasić.

Blask światła i wiew natrętny powietrza przejął generała.

Kilka mundurów inżynierskich przypadło doń.

Bem skinął im przyjaźnie i zagadnął.

Pięć naraz ozwało się głosów, głosów tak zdławionych, pomieszanych, iż Bem zmarszczył się i porwał za lunetę.

— Tam, generale, wprost! — chciał objaśniać pułkownik Rossman.

Bema dojęło.

— Pozwól, pułkownik, że sam rozpatrzę!

Generał narychtował lunetę w lewo, na wstędze Wisły ją zaparł i prowadził wolno.

— Wisła i sieleckie forty... brygada Czyżewskiego, tu cisza. Mokotów — pod Wierzbnem potyczka... Widać! Jakby straż przednia korpusu. — Piechota Milberga następuje. — Al — Rakowiec atakują! Dziewięć redut do zgryzienia. Nie zdołają — najtęższa pozycja!

Bem przesunął lunetę. Dymy kłębiące się snąć zmyliły mu widok, bo szkło przetarł, silniej oko zmrużył.

— Do pioruna... wszak tu reduta! — Tu być powinna!...

— Wzięta, generale.

Luneta zadrżała zleka i skierowała się ku prawej i zamarła w bezruchu.

Bemowi natężony wzrok mgłą zaszedł... Płatało mu się w oczach. Z blasku chyba!...

— Ostróg Sowińskiego wypada na wprost szanica prawego, broniącego traktu. Szaniec jest... tu... a przed nim — bastjon południowy widać teraz i dzwonnice kościółka, przylegającego tuż... Tu artylerja półkołem... a tam czarna, długa wsłęga płynie z odmětu i oto pnie się, wdziera na przedpiersienia ostrogu...

Bemowi pot zimny, kroplisty, wystąpił na czoło. Zgarbił się, pochylił, jakby skoczyć chciał z wieży między kotłujące dymy, przed bluzgające spazmatycznym ogniem schrony ostrogu.

Rossman ozwał się do generała. Bem odetchnął, objął pułkownika krwią nabieglemi oczyma i rzucił się do schodów.

W pół godziny niespełna Bem dopadł, stojącej pod Czystem, rezerwowej artylerji. Generał Chorzewski, który już na własną rękę do wystąpienia się gotował — chciał Bemowi rozkazy wodza prezentować, lecz Bem ani go słuchał. Na prawem skrzydle warowała w pogotowiu baterja Orlikowskiego. Bem huknął na trębaczy.

Baterja zgrzytnęła i naprężyła szleje.

— Naprzód! — arsz!

Bem spiął konia ostrogami. Korbacze konnowodnych mlasnęły i baterja runęła w odmět, na Wołę, na chmury spiżu, na odsiecz Sowińskiemu.

Baterja, pod przewodem Bema, wyrwała się przed drugą linię szaniców — zawróciła w bok pod wiatraki i rozpoczęła ogień.

Tu jednak dopędził ją major dziesiątego pułku piechoty, Świtkowski.

— Generale... prowadzimy z Wysockim batalion do ostroga!

- Nic mi do was! — Jednorogi pod ką! —
- Następujemy cmentarzem! — chrypiał Świtkowski.
- Będzie wam poręczniej!
- Krzyżowy ogień — nie zdołamy!

Dwa granaty zaorały piachem tuż przed baterją. Orlikowski ryknął na ogniomistrzów o wysówki celownicze.

— Generale! — upominał znów Świtkowski.

Bema targnął się.

— Więc prowadźcie! — Daję wam kwadrans czasu! —

Dalej!

Świtkowski pochylił się po koniu.

Baterja nową dała salwę.

Orlikowski pieniał się.

— Do ośmnastej linii, psie krwi! Pilnuj wysówek! Iliński, do stu tysięcy! — Dziury w dymie, szelmy jedne, dlubią...

Bema podrzuciło na siodle.

— Dostyc mazgajstwa! Nic czasu na wysówki! — Zakładaj przodki!

— Zakładaj!

Baterja sprzęgła się, zawinęła ogonem i pomknęła wprost na czarne pasma, idącej do szturm, piechoty rosyjskiej.

Aż Orlikowskiemu, który do nielada był zaprawiony desperacji, w głowie się zakręciło. Toć już, już czarne pasma grają żółtymi kołnierzami, już widać grzebień hagnetów — a baterja rwie, pędzi, jakby swem cielskiem do tratowania szarżowała.

Pałasz Bema łysnął w powietrzu. Galopujący przy generale trębacz — zadał przeciągle... i zwałił się z konia. Baterja skręciła dzwonami, szarpnęła przodkami. Sześć gardzieli wygarnęło z rykoszetu do piechoty, na odległość dwóch pistoletowych strzałów.

Maszerujący batalion sybirskiego pulku skotłował się, zmienił front i rzucił na baterję — lecz wtóra salwa mocniej go skrwawiła, trzecia wyżarła rozwartą ranę.

Szalone, niepojęte, uwłaczające strategicznym rachubom natarcie Bema — wywołało popłoch, zagroziło dopływ piechoty, szturmującej ostróg, a co gorsze dla Pahle-

na i Kreutzta, umożliwiło batalionowi polskiemu pomnożenie załogi.

Jakoż ostróg Sowińskiego mocniej się ozwał. Mrowie, zawieszona na jego zboczach, tępniało, nikło.

Feldmarszałek stracił rezon, lecz naczelnik sztabu, Toll, czuwał.

Pięćdziesiąt armat zwróciło ogień przeciwko Bemowi. Trzy tysiące kawalerji Chilkowa poszło na odcięcie ostrogu od rezerw w Warszawy. Szesnaście tysięcy gwardji, świeżego, stalowej mocy żołnierza, maszerowało podwójnym krokiem.

Baterja Bema, pod gradem piekielnej kanonady, zwijała się, skręcała jak wąż i jeszcze zionęła, jeszcze na harce szła, jeszcze zdawała się urągać wojskowej sztuce.

Bem podczas dwu adjutantów pchnął z wezwaniem, aby cała rezerwowa artylerja wystąpiła, by Soltyk ze swojemi armatami ruszył z szańców, by Bogusławski uderzył całą dywizją...

Lecz, za szanćami Warszawy, w sztabie głównym, lepsze miano bitwy ogarnięcie, tam, uchodzący z pod Woli, major Dobrogojski mówił już o wycięciu w pień załogi ostroga, tam nie przypuszczano, że Sowiński z karabinem w ręku trwa jeszcze na ostatnim bastjonie — tam nakoniec wiadano również o zdobyciu przez nieprzyjaciela dwóch fortyfikacji pod Rakowcem, tam nie ufano, sromano się hazardu...

Bem trzymał się jeszcze, jeszcze nie myślał schodzić z pola. Zdemonutowano mu jeden granatnik, ubito ośmiu koni, dwunastu kanonierów pławilo się we krwi — nie ustępował.

Aż półkole armat nieprzyjacielskich jęło się zacieśniać, skupiać.

Baterja cofnęła się i zasunęła za ostróg. I tu znów hekatombę zbierała i tu znów żniwo śmiertelne świeciła.

Bem pieszo trwał przy narożnem dziale, którem dowodził profos Dziurbacki. Dowodził, a raczej nastawiał, rychtował i podpalał bez komendy, bez nawoływań, bo zdławione krztanie żołnierzy i oficerów oddawna przestały kusić się o zagłuszenie piekielnego huk, bo uszy nie

chwytaly, nie rozróżniały innego dźwięku nad lomot działowy.

W pobliżu dymił bastjon ostrogu.

Bem podniósł do oka lunetę. Z lewej pędziła baterja konna. Bem chciał ją wskazać Dziurbackiemu, lecz ten i bez lunety ją dostrzegł, szarpnął silnią i podpalil.

Bem aż się rozśmiał. Jedno dzwono nadjeżdżającej baterji zaryło ziemię.

Już to wogóle lichy jakieś zagrało w starym wachmi-strzu tego dnia. Sprawiał się niby najteższy drab dwudziestolatek. Okrakiem do silni przywarł i ani jednego strzału nie dał na marne. A kiedy mu z początku Orlikowski ogniomistrza chciał do wyreki, to nań mało z pięściami nie poszedł.

Baterja konna z lewej dała salwę i obsypała piachem Dziurbackiego. Profos skinął na żołnierzy — szarpnął armatą za koła i ku baterji ją zwrócił.

Bem znów podniósł lunetę. Dymy nad bastjonem rozwiewały się, rozsnuwały...

General wpil lunetę — gdy, wtem, bastjon Sowińskiego wypalil w sam środek pozycji Bema...

Wola byla wzięta.

Bem z potarmoszoną swą baterją rzucil się jak kula do drugiej linii szanców i pomknął do sztabu, do generalicji, do Krukowieckiego, do zastępcy wodza.

Generalicja zczerniałego od prochu i dymu Bema powitała gradem wymówek. Bem był winien! On przyczyną klęski, on sprawil, że sztab główny Mokotowa tylko strzegł, że Umiński atak na Wolę miał za demonstrację, że Malachowski uległ Umińskiemu, że Dembiński nie zdołał dać odsieczy.

Bem nie tłumaczył się, nie osłaniał, jeno wyszeptal matowym, bezdźwięcznym głosem:

— Trzeba odebrać Wolę!

— Hm — odebrać!

Umiński podtrzymał gorąco Bema. Prądyński się zgodził. Rozkaz padł.

I, w godzinę niespełna, Bem, na czele dwóch baterji wysunął się zboczami fortu ośmdziesiątego trzeciego i za-

czął prażyć piechotę. Bogusławski z dwoma batalionami czwartaków i zbieraniną ósmego i dziewiątego pułku ruszył na bagnety. Z prawej pomykali krakusi, kryjąc zbliżanie się czterdziestu armat pod Chorzewskim.

Bitwa zawrzała wściekła, rozpaczliwa, zajadła. Toll dwieście armat wycelował na obronę ostrogu. A przecież piechota Bogusławskiego parła, następowała.

Aż dwa pułki karabinierów rzuciły się z furją na czwartaków.

Czwartacy zachwiali się, jęli uginać się, cofać, miewać z karabinierami. Chorzewski stracił cel. Działa szanśców polskich umilkły, aby, mierząc w nieprzyjaciela, własnych nie dziesiątkować pułków. Artylerja Tolla nie ważyła się przykładać lontów.

Piechota brała się za bary. Przewaga już była widoczna. Gdy, naraz, Bem porwał się, jak lew na obronę swych szczeniąt, pod karabinierami odprzodkował i zaczął piekielną kanonadę. I miótl kartaczami kolumnę piechoty i darł ją na strzępy i miażdżył.

Czwartacy z ósmakami mocniej natarli.

Już tylko kilkadziesiąt kroków dzieliło ich od pierwszego schronu ostrogu, już żołnierze potykali się o trupy, o zawaly ciał ludzkich — gdy, za karabinierami, wyrosła nowa dywizja...

I znów czwartacy cofnęli się i znów, parci zajadle, jęli ginać, topnieć — i znów Bem wyrąbał krwawą szluzę i znów zbocza ostrogu lśniły się rdzawemi plamami tuż... tuż do bagnatów polskich.

Wtem, na czwartaków uderzyła fala grenadjerów Szachowskiego. Bogusławski nie dał się zachwiać.

Lecz za pierwszą falą szła druga, trzecia, piąta, siódma...

Chorzewski je plużył, szarpali bokami krakusi, Bem darł kawalami — daremnie.

Grenadjerzy płynęli jak potok wezbrany. Na okielznanie go, na zatrzymanie, a odparcie zabrakło naraz i kartaczy i bagnatów i lanc...

Raz jeszcze czwartacy zdołali przeprzeć grenadjerów, raz jeszcze Chorzewski armaty wyszczerzył — aż rzeka

grenadjerów rozlala się i zagarnęłaby, pochłonęła polskie bataliony, gdyby nie mordercze salwy, osłaniającego odwrot Bema.

O godzinie piątej popołudniu armaty umilkły. Nastąpił rozejm, rozejm dwóch wyczerpanych przeciwników, rozejm bez parlamentarzy, bez warunków, bez podpisów.

Na zgaszenie lontów baterji feldmarszałka — baterje polskie odpowiedziały zgaszeniem lontów.

Zagrały trąbki długo, smętnie, zadudniły tarabany i cisza zaległa, cisza śmierci. A kiedy wietrzyk rozegnał włóczące się dymy, ku tej ciszy jęły wysuwać się wozy ambulansowe i krążyć i skrzypieć i przebierać trupy.

Główna kwatera polska czyniła obrachunek, wynik jego był straszny.

Linja pierwsza reduct była przerwana. Na ostrogu Sowińskiego stały armaty Paskiewicza. Przystępu od strony Woli broniły już wałe szańce i wstęga okopów. Trzy forty czołowe. pod Rakowcem, były w ręku Murawiewa. Na lewem skrzydle błysk pomyslniejszy. Korpusik Strandmanna wyparty za Służewiec. Licha przewaga! Ubytek w szeregach straszny. Trzy tysiące poległych, tyleż rannych i dogorywających i tysiąc niewolnika. Czwarta niemal część załogi stracona. A tu spodziewania, pokładane w woluntarskim animuszu gwardji narodowej, rozwiane. Bo gwardja ledwie utrzymać może w karności wzburzone miasto, bo tłumom wylęknionego motłochu przybyły teraz gromady ojców, dzieci, żon, matek, gromady obłąkane bólem, gromady szukające tych, co legli, co nie wrócili.

I w kwaterze głównej zaczęła się praca gorączkowa, rozpaczliwa, beznadziejna praca. Godziny nie było (do stracenia bo żadnej pewności, czyli Paskiewicz nie wznowi ataku, czyli nie zamyśla napaść znicnacka, czyli na świt dopiero szturm odkłada.

Przesuwano gorączkowo brygady, wzmacniano szańce i okopy, zbrojono wolskie przedmieście, przylegające dworki zamieniano w reduty, zwożono amunicję, opatrywano baterje.

Śród generalicji i sztabów ucichły raptem strategiczne dociekania, olśniewające głębią wywody. Całe wojsko za-

pomniało nagle o sejmowych racjach, o ustroju nowego Rządu, o klubach, cywilach, godnych i niegodnych wodzach. Ład, jedność, sprawność i przytomność oficerów i żołnierzy była teraz tak wielka, tak trzeźwa, że budziła grozę, że przywodziła na myśl tych, co sposobią się do odejścia na wieki.

Inaczej było wśród dygnitarzów narodowego Rządu, inaczej wśród generalskich dostojników, którzy od początku wojny, od pierwszego dnia rewolucji, największe zwycięstwa za stołem sesjonalnym święcili, inaczej wśród posłów i statystów. Tam troszczono się nie tylko o życie, ale i o triumf stronnictw, pogwałcenie przeciwników, tam procesowano się jeszcze, jeszcze spierano o wyższość, o czystość swej bezbrzeżnej ku ojczyźnie miłości. Tam również wyglądano z niepokojem Danenberga, wyglądano go do późnej nocy. Naprawdę. Wreszcie zniecierpliwiony prezes Rządu narodowego postanowił sam zagadnąć feldmarszałka o warunki.

Prądyński ruszył do forpoczty rosyjskich. Po jego powrocie, na rozmowę z Paskiewiczem wyjechał Krukowiecki. Dalej znów do Warszawy przybył Berg i znów Prądyński z Breańskim do głównej kwatery feldmarszałka podążyli.

Pertraktacje wlokły się, rwały, wybuchały pogrozkami, nawiązywały ponownie — a w ostatku, przed świtem ledwie, ułknęły na potrzebie uchwały sejmu.

Paskiewicz zgodził się czekać na tą uchwałę do godziny pierwszej w południe.

Lecz sejm był jak łódź rozkołysana, najsłabszej poddająca się fali.

Więc najpierw, na hiobowy raport prezesa Rządu o niepodobieństwo obrony, o zagładzie grożącej miastu, ułakł się, ogłosił się za rozwiązany i Krukowieckiemu prawo do układów przyznał. A potem, kiedy Niemojowski przemówił, nabrał otuchy i Krukowieckiego pozbawił dygnitarstwa na to, aby, po przedłożeniach Prądyńskiego, wrócić znów do zwątpienia, do lęku, do pomięszania.

Aż armaty zagrzmiały na godzinę pierwszą... Kruko-

wiecki wysłał parlamentarza z żądaniem przedłużenia zawieszenia broni, ile że sejm już kończy narady...

Paskiewicz odmówił. Sejm trwał dalej. Mówcy mieli jeszcze mnóstwo oracyj, klątw, pustych frazesów do wyrzucenia, do powiedzenia...

Czteryście armat rosyjskich wybijało minuty, morze krwi lalo się na szańcach, okopach i redutach, żołnierze polscy ginęli setkami, walka rozpaczliwa, beznadziejna, wrzała na przestrzeni od Wierzbna po Marymont — a tam, w izbach sejmowych, ojcowie narodu jeszcze nie mogli się zgodzić na jedno.

A tymczasem brak postanowienia, brak słowa był wzrastającą wciąż dla wojska klęską — bo albo o daremne ofiary je przyprowadził, albo kazał mu płacić hekatombami za mitręgę w przyjęciu układów — albo też skazywał na odosobnienie, na bronienie miasta wbrew jego woli i intencji...

Warszawa bowiem naraz wyrzekła się wszelkich o Saragossie wspomnień. Póki nieprzyjaciół zdaleka z wojskiem się zmagali, póki mundurem narodowej gwardji starczyło imponować kumoszkom, póty imć panowie cobywatele, kupcykowie, kauzyperdy i ciury wielkemiejskiego warsztatu radzi byli w konfederatki się stroić a pałasikami dzwonić. Teraz atoli, kiedy kule armatnie już za okopy jeły padać, gdy kramom, kamienicom, betom, mieszczańskim kurnikom zagroziły pożary, rabunek, gdy już nie wrzaskiem ale czynem, własną miazgą należało przysiąg dowieść — teraz tym samym tłumom już nie odwagi, nie serca zabrakło, lecz godności.

I w mieszczech zagrała nareszcie krew, ta neoficka, ta nikizemna, ta żywiona od wieków polskim chlebem, ta samolubna, ta kramarska, ta, która zabagniała sarmackie grody — i gwardja narodowa wyprawiła deputację do sejmu w osobach imć panów municypalności prezydentów, juści z żądaniem nie „wystawiania Warszawy na zniszczenie...”

A ponieważ sejm ciągle wahał się — więc, dla tymczasowego ulagodzenia wezbranych sentymentów patryjotycznych stolicy, trzeba było z szańców, z okopów zabrać

pulk piechoty i zamienić go na milicję — trzeba było jeszcze osłabić tych, co nadludzkim jeno wysiłkiem stawili czoło nieprzyjacielowi!

Bem dnia tego czuwał od świtu, mając sześćdziesiąt dział na pozycji między Wołą i Krakowskim traktem. Na pierwsze ozwanie się armat Paskiewicza, runął piekielnym ogniem i, podzieliwszy baterję swą na dzwona, jął harcować niemi a podjeżdżać zawadjacko. Aż śmiałością swą zarazil przeciwnika, bo i ten, wzięwszy na ambit, wysunął raptem cztery armaty i zaczął Bema podchodzić.

Bem snać się stropił tym atakiem i cofnął pośpiesznie. Cztery armaty nabrały jeszcze większego impetu, bo poszły do pościgu i odprzodkowały tuż za plecami Bema. Ale, nim wycelowały, baterje Bema zawróciły i odwrót armatom przecięły. Zdobycz była niewielka, bo kanonierzy rosyjscy dwie zdążyli zagwoździć — a kilkunastu żołnierzy ująć ku swoim — lecz w zamian pojmany został młody pułkownik sztabu, który na ochotnika z armatami się wysforował. Co najważniejsze, przy pułkowniku znaleziono papiery i służbowe rozkazy, a w nich dokument, że artylerja feldmarszałka miała amunicji już tylko na jeden dzień szturm.

Bem wysłał z tą wiadomością Orlikowskiego do zastępcy wodza a sam nowy szyk armat sprawiał. Bo i gra teraz wielka iść miała. Feldmarszałek nie chciał puścić płazem czterech swoich dział. Dwieście armat ustawił półkolem na Bema.

General odpowiedział dwiema linjami, załamanemi w tył pod kątem, którego wierzchołkiem był granatnik Dziurbackiego.

Bem, w środku szpicy trójkąta, ogarniał nieprzyjacielskie pozycje — gdy naraz dojrzał, na schronie dawnej reduuty Ordon, lśniąca gromadkę oficerów.

General pochylił się z konia ku celującemu wachmi-strzowi.

— Hej — Dziurbasiu — patrz tam, nieco z lewej, na reducie... feldmarszałek!

Profos raczej odgadł niż dosłyszał, chwycił za wysówkę i ustawiał ją wolno... — aż wypalił długim nawiasem.

Kula skryła się za kłębem dymu... Feldmarszałek upadł.

Bem zaparł na reducie lunetę i widział, widział wyraźnie, jak Paskiewicza podźwignięto i prowadzono... Nie zabito był, lecz skałeczono.

General chciał skinąć na wachmistrza i coś doń się ozwać, gdy, wtem, granat nieprzyjacielski pęknął tuż i bryznął złomami. Koń pod Bemem skręcił się — Dziurbacki legł porażony kontuzją.

Morderczemu pojedynkowi artylerji zaczęła sekundować piechota. Chmary bataljonów rzuciły się do ataku, nawiązując dziesięć naraz różnych bitew. Lecz najgwałtowniejsza na razie wynikła pod redutami, broniącemi miasta od strony jerozolimskich rogatek.

Bem nie miał teraz stałej pozycji, baterjami swemi raz mitygował zaciekość Finlandczyków, którzy, pod wodzą Murawiewa, imponować chcieli grenadjerom Szachowskiego, raz dziesiątkował kirasjerów — to znów siał pole czerwonymi mundurami lejbluzarów. Raz Gorczakowa wyzywał na armaty, to znów, osadziwszy Pahlana, Kreuzowi dobierał się do skrzydła.

Bem był nieustannym ratownikiem, odsieczą, ocale niem, wytchnieniem. Sam docierał wszędzie, sam w największym stawał ogniu. Dwóch adjutantów stracił, trzeciego dosiadał konia, po dwakroć kula karabinowa rozorała mu dawną bliznę na prawej goleni. Kazał kanonierowi przewiązać sobie nogę gałganem i tyle się o nią kłopotał.

Aż Bema niepokój ogarnął, lęk, strach bezmała. Żołnierze polscy walczyli, jak lwy... ale szeregi ich grobowe zalegało milczenie. Ani jeden okrzyk zadufania z piersi ich się nie wyrwał, ani jedno zawołanie triumfu na znak udaremnionego ataku. Toż samo uczucie nurtowało i oficerów i generalów. Umiński, Bogusławski, Milberg, Dembiński pod gradem kul ani drgnęli. Jagmin szarżował bez wytchnienia. Muchowski z brygadą, nawet jednego nie stanowiącą pułku, opierał się korpusowi. A przecież i ci dowódcy i ci nawet byli, jak ludzie, co urągają śmierci dlatego, że z nią się pogodzili, jak ludzie, co wyrzekli się

wszelkiej tęsknoty, co dziesiątkowali nieprzyjaciela dlatego, że żyli jeszcze.

Na chwilę tej trwogi Bema dotarł doń wreszcie podpułkownik Orlikowski.

— Co — jak — cóż wódz? Doręczyłeś pan papiery? Orlikowski skinął apatycznie.

— Doręczyłem.

— I cóż na to? Niesłychanie ważne! Nieprzyjaciel musi szturm zaniechać.

— Im tam, generale, wszystko jedno. Już archiwa na Pragę wywożą. Warszawa przepadła!

— Co, do kroćset, podpułkownik!

— Bo tak! Nam każą zdychać a sami precz z parlamentarzami się prowadzą. Berg znów przyjechał!

Bema zgnęło. Chorzewskiemu kazał komendę artylerji wziąć a sam, co koń wyskoczy, pogalopował wprost do Sejmu, do Zamku.

Tu szczęście Bemowi sprzyjało, bo w przedsionku spotkał Krukowieckiego z Prądzyńskim.

Jednym tchem rzucił Bem wiadomość o niedostatku amunicji.

Krukowiecki jakby go nie słyszał. Prądzyński skrzywił pobłaźliwie.

— Są to pozory ludzkiej przewagi. Byłem w kwaterze rosyjskiej, nawet mi oczu nie zawiązano. Ośmdziesięciu pięciu tysiącom nie możemy się oprzeć w ośmnaście!

— Lecz skoro doład nie przyjęliśmy rozejmu, więc...

— Uchwała zapadnie lada chwila...

— W niekorzystnych warunkach. Jeszcze cały dzień wytrzymamy! Amunicji mamy zadość. A jeżeli Ramorino nadejdzie...

— Ramorino otrzymał rozkaz czekania w Kałuszy nie — więc nie nadejdzie!

— Generale! — Rozpoczęliśmy bitwę od odebrania czterech armat, mam pewność, żeśmy ranili feldmarszałka...

— I otóż kapitalne się stało głupstwo! Raniliście go w rękę i stąd w taką wpadł pasję, że gdyby nie księżę Michał, toby o układach słyszeć nie chciał...

— No, ale generał, przeprasiles go za plochość naszego kanoniera...

— Nie potrzebuję zdawać generałowi sprawy!

— Do pioruna — nie takiego mniemałem doczekać się po panu kwatermistrzostwa!

— Nie jestem kwatermistrzem.

— Hrabio-generale! — A pan — pan?! — Na Boga — toć nasi, nasi walczą o każdą piędź ziemi, giną... Jeden wyraz, jedno zawołanie władnem jest podwoić ich zapal, dać im wiarę, że istotnie mają coś do bronienia... Hrabio-generale — toć jesteś prezesem Rządu, jesteś dyktatorem!

Krukowiecki utkwil wzrok w ziemię i odparł glucho.

— Podalem się do dymisji.

XXVIII.

Noc zapadala przy huku armat, lunach pożarów i śmiertelnych zapasach walczących ze sobą wojsk.

Już nie na redutach, nie na szanicach, lecz na okopach warszawskich, na ostatniej ościenu, u wylotów ulic podrogatkowych trwał teraz bój, bój krwawy, morderczy bój. Bój fal nieprzebranych, łomoczących tysiącami ostrzy, kul, piersi ludzkich z broniącymi okopów upiorami. Bój potężnych, karnych, prowadzonych dzielnie a wymyślnie dywizji ze szczątkami polskich brygad, z bezładnemi, potarmoszonemi kupami żołnierzów. Bój strategji, bój siły, potęgi z rozpaczą.

Z jednej strony sztab Tolla, ciżba czujnych dowódców, generałów, świadomość ruchów, stopniowanie ataków, rezerwy, podniecanie ducha, karność — a z drugiej, z drugiej już ani odzewu bębna, ani sygnału trąbki, jeno mrok, ciemń, jeden szereg dla wszystkich rang, jedna szarża i dola jedna; z drugiej strony, poza tą wstęgą, płużącą krwią, poza Thermopylami, miasto wylękle, klnące tych, co zań giną, no i sejm ciągle niezgodzony, no i most natłoczony gromadami, uchodzących na Pragę, patryjotów, klubistów, mieszcuchów, ratujących worki złota, tchórzów wszelakich, nawet i co zabiegliwszych posłów.

Na warszawskich okopach żołnierze własnymi ciałami nowy budowali szaniec, na warszawskich okopach pulsa, serca zlewały się w pragnieniu wielkiem, świętem, ofiarnem — a tam, w murach Warszawy, mizerne szalało kłopotarstwo, tam, w murach Warszawy męstwo, dzielność polskich bataljonów poczytywano za nieszczęście, za lekkomyślność, która mieszkańców przyprawiłeno o tem cięższą kontrybucję, o rabunek, o rzeź może.

I pośród tego mrowia sobków była tylko garść takich, co darli się ku walczącym, co szli śmiało ku okopom, co nie baczyli na kule, na granaty, co nie uciekali. Imię tej garści było sieroctwo. Ono to, w uniesieniu bólu, szukało tej samej śmierci, co w żalobie je pogrążała. Ono oblegało ambulansowe wozy, ono miało i kubek wody dla umierających i ozwanie braterskie i posłuch na szept ubogich testamentów — ono jedynie pozostało głuchem.

O dziesiątej w nocy zaledwie armaty umilkły. Wojska szturmujące ustąpiły nieco i, na odległość strzału karabinowego, zaległy pod okopami.

Bem, który, od strony cmentarza ewangelickiego, dwicma baterjami trzymał w szachu cały korpus grenadjerski — odetchnął. Od godziny blisko gonił ostatkiem amunicjów — od godziny, już tylko ośmioma armatami się opędział. Dowóz nabojów ustał zupełnie. Ordynansi przepadali dotąd. Rozejm chwilowy zdał się Bemowi ocale niem. Byle teraz jeszcze ze dwie baterje wysunąć od lewego skrzydła — a tym zabezpieczyć spiżę — cha, to w pół godziny krzyżowym ogniem zmusi nieprzyjaciela do prawdziwego rozejmu.

Na ten koniec Bem, jeszcze pełen żaru bitewnego, ruszył do Dembińskiego. Dowódzca wolskiego skrzydła — w uliczce podokopowej, sprawiał ład między niedobitkami brygady Bogusławskiego.

Na pierwsze ozwanie się Bema, Dembiński targnął się desperacko:

— Ani mowy, generale! Niema nabojów, ładunków niemal

— Co, general!

— Wywieźli zapasy już na Pragę! Arsenal główny do Modlina splawiają!

— Więc kapitulacja przyjęta, zatwierdzona?!...

— Wiem tylko, że w połowie dokonana!

Bem osunął się na pudło przewróconej bryki. Dembiński podał mu manierkę z wódką. Bem pił długo, chciwie — aż pewnie odetchnął.

— I cóż — cóż teraz!?

— Mamy odejść i my! — Milberg już poszedł do mostu.

— A potem, a dalej?

— Dalej! — powtórzył glucho Dembiński. — Nie wiem. — Będzie rada. Jeszcze prawy brzeg Wisły zostanie. Modlin, Zamość, korpusy Ramorina, Rózyckiego... Łubiński... Do czterdziestu tysięcy luda... Ale — generał podobno masz stanowić arjergardę. Pozwól, właśnie adjutant naczelnego wodza.

Bem siedział odrętwiały. Tuż przed nim Dembiński wadził się z adjutantem, piorunami sypał, pienił się, kłął na czym świat stoi. Bem nie rozumiał nawet, co Dembińskiego tak poruszyło. Aż Dembiński położył mu rękę na ramieniu.

— Kolego-generale! — Słyszysz, do miljon! — Rozkaz! — Masz z zapalonymi lontami cofać się od rogatki do placu Bankowego!

Bem dźwignął się i powlókł bez słowa odpowiedzi.

Ale teraz pojął. Wyśmienicie pojął. Najpierw ściągnie armaty bezamunicyjne — a dopiero, w ostatku, tamte. Praca wielka, bo koni padło chyba połowa a i przodków całych licho co!

Trzeba i natychmiast trzeba... Jeno że odstał mocno i nogi, nogi uginają mu się i płaczą...

Bem potknął się raz i drugi i przystanął pod opłotkami.

Wytchnie aby chwilę.

Zmrużył nieco powieki — ale jaskrawe, miedziane światło luny ocknęło go.

Bem rozejrzał się z zadowoleniem.

Widno, jak w dzień. I dobrze, bo chybaby nie zdołał. Gdzie bo tyle piecuchów tarza się wszędy... O, jak to stę-

ka, nicpoń! Okopy! — Oczywiście, a tam, z prawej, widać baterję... Chociaż nie podobna, bo coby tu robiła ta ciżba wyjąca!

Bem zmógł się. Okraczył z trudem, zagradzające mu drogę, ciało żołnierza i szedł pod opłotkami.

Naraz jakiś chrapliwy zew osadził go na miejscu.

— Edwardziel — Edwardziel!

Bem rozśmiał się sucho. Juści biorą go za Edwarda.

Twarz skurczona zbliżyła się doń.

Bem wyprostował się przytomnie.

— Jesteś w błędzie, przyjacielu! Na imię mi Józef! Ależ tak... parol! Czy jestem z artylerji?! Czekać waćpan!... Cha-cha! Przecież łatwo poznać... chociaż, prawda, jestem w ogólnie generalskim... — Edward — Edward Plater... był — kanonierem!?

Bem potarł czoło.

— A, Plater, czekaj waćpan, był, był niezawodnie! Wielu ich było... jeszcze przed południem! Cóż, kartacz wół!

Twarz wykrzywiła się tak cudacznie, że Bema tknęło. Chwycił się opłotków i odszedł.

— I naprzykrzony jakiś! Jest o czem! Był — był — Dwustu siedmdziesięciu ludzi winno być w baterji według regulaminu. A niema i stu! Kartacz! Tęgi nabój!...

Bemowi w oczach pociemniało. Nogi splątały mu się. Pod czaszką lysnęła mu myśl złowroga. Jeszcze ostatkkiem sił szarpnął się ku przodowi i padł nieprzytomny.

Aż z pomroki, która go spowila, zbudziło go dotknięcie małych, drobnych rączek.

— Tak, były to niechybnie jej rączki, Anusine, ukochane. Zabalamucił się, świta dawno, a on się wyleguje. A rączyny muskają go po czole, chłodzą rozkosznie...

Bema opanowała nieprzewyciężona chęć ucapienia ich i przyciśnięcia do ust. Więc zemknął chytrze powieki, zaczął się i porwał za nie, otworzył powieki i osłupiał...

Chyliła się nad nim drobna postać dziewczynki...

Bem nie zdołał jeszcze ogarnąć zjawiska, pojąć, gdzie się znajduje, gdy tuż nastroczyła mu się zamaszysta, opieka baba i jęła mu prawić, jako właśnie, kiedy go z nóg

ścięło, widziała, jak lepiej niż godzinę chyba przeleżał i jako zaniechałaby go, bo sama z trwogi, co ją drugi dzień lamie, ustać na jednym miejscu nie może — lecz że właśnie smarkula, czyli Antoszka, przygląda, że to pan oficer najpewniej wie, co z dziadkiem, czyli Pietrusiem. Generał otrzeźwiał.

W kilka chwil później z pozycji pod cmentarzem jęły dźwigać się pierwsze armaty i wlec się smutnie a zgrzytać w stronę placu Bankowego.

Zanim purpura brzasku zdołała przyćmić purpurę lun — już ozwały się tarabany i fajfry grenadjerów Szachowskiego, już w ulicach Warszawy zadudniły, gotowe do strzału baterje Gorczakowa.

Wojsko polskie ustąpiło, odeszło bez warunków, razem z deliberującym dalej sejmem...

Bem stał na opozycji przed mostem od strony Pragi z armatami, wymierzonymi ku murom, których wczoraj jeszcze tak gorąco bronił, w moc których jeszcze wczoraj tak święcie wierzył.

I poglądał Bem na rozwijające się wzdłuż przeciwnego brzegu wstęgi wojska. Poglądał na bramujące się paszczami podzamkowe tarasy, dynasowskie wzgórza, bernardyńskie ogrody. Aż, śnać dla polysku bagnetów, które w dźwigającym się z za Pragi słońcu lśniły coraz natarczywiej, uprzykrzył sobie oglądanie ku Warszawie, czyli innego zapragnął widoku, bo zawrócił nagle na tyły pozycji, kędy, za biwakami piechoty, rozpostarł swe namioty ambulans artylerji.

Tu oblicze Bema ożywiło się, tu bowiem byli ci, których on nie dał szpitalowi wojskowemu, których na lawetach, na przodkach wydarł niewoli, tu przecież leżeli pokotem ci, co tchnęli walką, bitwą, co jej jeszcze nie przebyli.

Tu podpułkownik, trawiony gorączką, huczał jeszcze na kanonierów, tu podporucznik Iliński nastawiał precz wysówki celownicze, tu biała, przeźroczysta twarz Zarzyckiego miała ciągle ten sam skurcz powieki, kiedy przed skorupą granatu, co mu bok rozwarła, kierował silnią.

I chodził Bem od noszy do noszy. Zagadywał sztab-lekarza, pozdrowiał tych, co dosłyszeć mogli, krzepił, do-dawał otuchy, żartował nawet. I sam czegoś już rozru-szał się, tężyzny nabral, siły, gdy, naraz, zamajaczyła mu się tonsurka na siwopłowym ciemieniu.

Bema dreszcz przeszedł. Zbliżył się, lecz, miał spo-dziewanego obrazu, — trafił na cały spór, który krępa, opiekła baba wiodła na piękne z księdzem Mierzowskim i to u wezglowia profosa Dziurbackiego.

Bem chciał zagadnąć księdza, lecz baba pierwsza ku niemu się zwróciła.

— Chwalić Boga, wielmożny generał najlepiej nas rozsądzi!

— Ależ moja kobiecino — sumitował się ksiądz — je-no *in articulo mortis* wolno mi śluby takie dawać. A tu wachmistrz w obliczu śmierci nie jest!...

— Ale był, ale całe dwa dni był, wielmożny generał zaświadczy! Dwa miesiące się wlecze. A jedna zapowiedź wyszła — a tak, u Pijarów... A wyszła! Wdowa jestem rzetelna, całe Stare-Miasto niech powie! Gospody zanie-chalam, aby z nim być. Aby tę skrzynkę, w ostatnim mo-mencie, co Pietrusz jęczał, przydzwigalam... W jednej kiecczynie dla niego ostałam!...

Baba rozgadała się na dobre. Aż generał skinął i do-piero mu ksiądz, że oto pani Madejowa gwałtem dopomi-na się o danie jej ślubu z Dziurbackim.

Bem aż się rozśmiał.

— Pozwól, księżo kapelanie — a mości Dziurbacki jakże sobie układa?!

Profos westchnął.

— Cóż, mosanie, jedną Olesiową miałem, kumkę i po-razilo ją z hukania! Zresztą mnie nic — aby Antoszcze sporzej byłoby...

— Waćpan masz dzieci!?

— Dzieci — są proszę generała!

Bem dostrzegł teraz piękną, opromienioną popielato blond włosami główkę, wychylającą się z poza ramienia Madejowej, i jednym rzutem myśli ogarnął wspomnienia.

— Więc ta dziewczeczka? Ta, którą wówczas...

— Kurpianka!

— Dalipan, księżę kapelanie!

Ksiądz strzepnął bezradnie rękoma.

— Chyba, że lekarz zaświadczy, jako stan rannego...

— Ręczę księdzu!

Madejowa chciała dziękować. Bem ujął profosa za rękę.

— No, stary towarzysz — więc pierwszy ci pozdrowienia składam! A na wiano zwiastuję ci podporucznikowskie epolety...

Madejowa aż beknęła na tyli honor. Dziurbacki zwiesił głowę i odparł glucho:

— I cóż mi, generale... kiedy Polski nie będzie!

— Jakto nie będzie, do kroćset!? A dawne czasy pomnisz!? Pod Marengo byłeś a „póki my żyjemy“ — zapomniałeś!?

Dziurbackiemu oczy łzami się uśmiechnęły.

— Boże cię błogosław...

I Bem opuścił ambulansowe namioty pokrzepiony, rozchmurzony i skręcił teraz w bok, między domostwa, kędy był ukrył w zaciszu swoje własne miłowanie, swoje własne szczęście, kędy, pod opieką poczciwej pani Dzikowskiej, przebywała pani Marchocka.

General szedł chyłkiem, onieśmielony, zawstydzony sam w sobie, że, w chwili tak bolesnej, tyle klęsk niosącej — tyle, tyle dźwiga w sobie radości, wesela tyle...

Pomięszana, zafrasowana twarz pani Dzikowskiej powitała go na progu izdebki ustronnego dworku.

— Wczas nadto wczas?! — ozwał się rażno Bem.

Pani Dzikowska potrząsała osobliwie głową, lecz, nim na wyraz się zdobyła, generał wpadł do izdebki — spojrzal i przystanął...

Kapitanowej nie było.

Pani Dzikowska podała mu kartkę papieru.

General podniósł ją machinalnie do oczu.

Czytał i nie rozumiał...

„Daruj — do innego nawykłam życia — wart jesteś lepszego losu — wracam do . . .“

Bem wpił oczy w trudny do pojęcia wyraz — aż wyraz pełnią swoich liter zaskowyczał doń — „Gendre’a“...

Okolo południa główna kwatera naczelnego wodza została zaalarmowana wiadomością, że Bem, dowódzca arjergardy, general, co miał być osłoną w marszu do Płocka — zaniemógł, że odmawia szarzy, że może — jako inni — wrócić do Warszawy zamierza...

Małachowski z Umińskim podążyli do generała.

Bem leżał w ambulansie polowym.

Tu atoli Małachowskiego i Umińskiego spotkała niespodzianka — bo oto Bem siedział przy Dziurbackim i słuchał powiadań starego — a gładził, tulącą mu się do nóg, główkę wątlej dziewczyniny.

Małachowki aż zakrzyknął z ukontentowania.

— Bywaj, generale! Na Boga, w tobie ufność, w tobie! Na ciebie oczy wojska zwrócone...

Bem za całą odpowiedź uściśnął dłoń Małachowskiego, spojrzal na wachmistrza i szepnął z wysiłkiem:

— Póki żyjemy...

I wojsko polskie ruszyło w dal i odchodziło, wlokąc na ogonie pochodowej kolumny baterję artylerji... a na ostatniej armacie, zamykającej marszową wstęgę, uwoziło zgarbioną postać generała, zwróconego twarzą ku rozplywającym się konturom Warszawy...

Generał poglądał, jeszcze linje murów chwytal — jeszcze więzycom się radował, jeszcze z niemi byl — aż jeno mgły, mgły, mgły tylko zostały...

I pierś Bema drgnęła i zalkała.

Paryż w październiku 1911 roku.

~~BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum i Gimnazjum
w Orlowicach~~

~~Nr. _____~~



B I B L I O G R A F J A .

dzieł, które posłużyły do opracowania niniejszej książki.

-
- Barzykowski*. Historia powstania listopadowego. Poznań 1883.
Dembiński H. Generał. Pamiętniki o powstaniu w Polsce roku 1830—31. Kraków 1877.
Mochnacki M. Powstanie Narodu Polskiego. Poznań 1863.
Puzyrewski A. R. Generał. Wojna Polsko-Ruska 1831 r. Warszawa 1899.
Mierosławski L. Powstanie Narodu Polskiego w r. 1830—31. Paryż i Poznań 1845—87.
Świtkowski Mieczysław. Wspomnienie o Tomaszu Świtkowskim. Lwów 1905.
Weyssenhoff Jan Generał. Pamiętnik. Warszawa 1903.
Łubieński hr. Rogier Generał. T. Pomian hr. Łubieński. Warszawa 1899.
Kraśiński hr. Józef. Pamiętniki. Poznań 1877.
Mańkowska z Dąbrowskich B. Pamiętniki. 1830.
Wybranowski R. Generał. Pamiętniki. Lwów 1882.
Umiński generał. Relation de l'attaque de Varsovie dans les journées des 6 et 7 septembre 1831. Spectateur militaire. Paris 1833.
Prądzyńskiego Generała pamiętnik. Kraków 1908.
Gembarzewski Br. Wojsko Polskie 1815—1830. Warszawa 1903.
Domejko Ignacy. Pamiętniki. Kraków 1908.
Jabłonowski ks. S. Wspomnienia o baterji pozycyjnej. Poznań 1860.
Roczniki wojskowe Królestwa Polskiego 1822—1830.
Sierawski Napoleon. Pamiętnik porucznika strzelców konnych gwardji Królestwa Polskiego, w rękopisie.
Kraushar Aleksander. Życie potoczne Warszawy. Warszawa 1910.
Dwernicki Józef. Generał. Lwów 1870.
Szumski L. Wspomnienia o trzecim pułku ułanów. 1892.
Komplety czasopism z r. 1831. „Kurjera Polskiego“, „Nowej Polski“, „Kurjer Warszawski“, „Wolny Polak“, „Zjednoczenie“, „Niepodległość“, „Orzeł Biały i Pogoń“, „Merkury“.
-

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GŁIWICACH

5021037